



ELIOT PATTISON

Autor *Mantry czaszki*

Grzechoczący  
kośćmi



POLSKA

# Grzechoczący kości

**N**a statku wiozącym głównie szkockich przestępców i więźniów politycznych do amerykańskich kolonii dochodzi do tajemniczych zabójstw. Duncan McCallum, chcąc ocalić skórę, musi rozwikłać zagadkę. Ku swojemu przerażeniu odkrywa, że akty przemocy na statku są w dziwny sposób powiązane z Indianami... Po wylądowaniu w kolonii Nowy Jork śledztwo i tragiczne wydarzenia nabierają tempa, a Duncan musi lawirować pomiędzy pragnącymi jego śmierci żołnierzami, szamanami i łowcami skalpów. W mistrzowskim stylu autor snuje ekscytującą opowieść o francusko-brytyjskiej wojnie o kolonie i dramacie Indian.



REBIS [www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Cena 37,90 zł



# JEZIORO ONTA

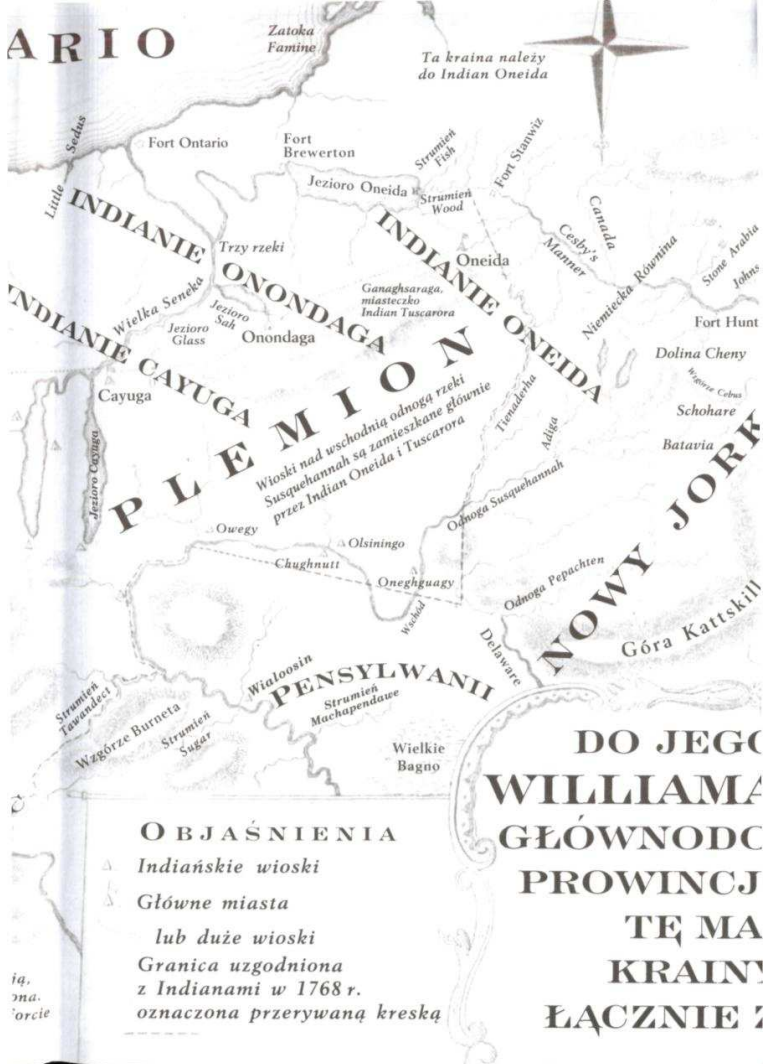


Przez krainę Sześciu Plemion należy rozumieć obszar, na którym przeważnie zamieszkują, pozostała zachodnia część jest ogromna i zamieszkała głównie przez podległe im plemiona Mohawkowie nie zaliczają się do nich, gdyż pozostają na obszarze Nowego Jorku przy Fort Hunter, wchodzącym w skład terytorium Indian Oneida i Tuscarora

ARIO

Zatoka  
Famine

Ta kraina należy  
do Indian Oneida



**OBJAŚNIENIA**

△ *Indiańskie wioski*

△ *Główne miasta*

*lub duże wioski*

*Granica uzgodniona  
z Indianami w 1768 r.*

*oznaczona przerywaną kreską*

iq.  
ma.  
orcie

**DO JEGO  
WILLIAMA  
GŁÓWNODC  
PROWINCJ  
TĘ MA  
KRAINY  
ŁĄCZNIE Z**

ELIOT PATTISON

# Grzechocący kośćmi

Przełożył Zbigniew A. Królicki



DOM WYDAWNICZY REBIS

Poznań 2009

Tytuł oryginału

Bone Rattler

Copyright © 2008 by Eliot Pattison.

All rights reserved under International and

Pan-American Copyright Convention

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2009

Redaktor Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki Zbigniew Mielnik

Ilustracja na okładce Bridgeman/BE&W

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-114-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

*Z wdzięcznością i przeprosinami  
dla Jamesa Fenimore'a Coopera  
i Thomasa Macaulaya*

# Rozdział 1

Wrzesień 1759

Północny Atlantyk

Nadzieja, co Duncan McCallum odkrył po dwóch miesiącach pobytu na angielskim statku skazańców, jest najbardziej zabójczą rzeczą na świecie. To nie skorbut zabijał jego towarzyszy ani żadna inna z morskich chorób, jakich jego medyczna wiedza kazała mu się wystrzegać. Nadzieja była ich trucizną, gdyż kryła w sobie ziarno desperacji i na tym ciemnym, wilgotnym więziennym pokładzie ci, którzy wsiedli na statek z wielkimi nadziejami, teraz umierali z rozpacz.

Gdyby miał czas, papier i atrament, Duncan mógłby spisać traktat o fatalnych skutkach rozpacz, dokładnie odtwarzając rozmaite sposoby, w jakie pozbawiła życia poszczególnych więźniów, a w ostatnim rozdziale opisując swój przypadek. Gdyż Duncan w dziwnie beznamiętny sposób nie przeoczył swoich symptomów. Widział zapadnięte oczy spoglądające na niego z odbicia w beczce wody, zauważył drżące ręce, brak apetytu, obsesyjne powracanie do wspomnień z chłopięcych lat w Szkocji, jedynych miłych chwil w jego dwudziestoczteroletnim życiu. Wyruszył do Nowego Świata, mając niesprecyzowane ambicje rozpoczęcia wszystkiego od nowa, lecz szara rzeczywistość losu skazańca zepchnęła je w niebyt i teraz iskierkę życia podsycala jedynie chęć wyjaśnienia okropnej śmierci przyjaciela, Adama Munroe.

- Przejście! - usłyszał okrzyk z dziobu, a po nim zbliżający się tupot nóg.

Wyskoczywszy ze swej kryjówki między dwiema beczkami, wspiął się między olinowanie. Modlił się, by tym razem nie odkryto jego obecności, a nawet wmówił sobie, że we mgle zdoła niepostrzeżenie wrócić do ładowni



i swoich towarzyszy, ale jeśli znów mieli go chłostać, to - na Boga - najpierw będą musieli zadać sobie sporo trudu, co da mu czas na rozwiązanie tej niepokojącej zagadki, która kazała mu się wymknąć z kolejki stojącej rano po wodnistą zupę. Jeśli istniało jakieś antidotum na jego rozpacz, to Duncan wiedział, gdzie go szukać.

Wspinając się, oczami duszy znów widział twarze umarłych. Iana, przystojnego młodego drukarza, który został aresztowany kilka godzin przed ślubem i rozpoczął ten rejs, śpiewając o miłości. Pewnego dnia ich statek przegoniła flotylla płynąca na zachód, przystając tylko na chwilę, aby doręczyć pocztę, w której znalazł się list od jego narzeczonej zrywającej zaręczyny, ponieważ rodzice zabraniają jej wiązać się z przestępcą, Ian godzinami spoglądał na ten list, a potem w nocy przekradł się na dziób, legł na pokładzie i napchał sobie gardło piaskiem trzymany tam w beczce. I Stewart Rossa, kamieniarza i inżyniera, który - otrzymawszy wiadomość, że jego jedyny syn i dziedzic zginął na wojnie z Francją - przegryzł sobie w nocy żyły. Jednak twarz Adama, jedynego prawdziwego przyjaciela wśród więźniów, Duncan nieustannie miał przed oczami. Jednego dnia roześmiany Adam stawiał drewniane guziki, obstawiając zwycięzcę w wyścigu żużków, a następnego dziwnie sposepniał, jakby nagle i niepostrzeżenie odmieniony przez kogoś lub coś. Przez następne dwadzieścia cztery godziny Duncan bezradnie patrzył, jak twarz Adama staje się trupio blada, a światło życia w jego oczach gaśnie tak szybko, jakby tracił krew, a nie ducha.

Duncan wspinał się, nie patrząc w dół, instynktownie podciągając się na linach rękami i nogami, jak to często robił jako chłopiec na wodach Hebrydów, przeskakując z rei na reję. Bryzgi smaganych wiatrem fal moczyły mu samodziółową koszulę, powodując pieczenie otwartych ran po ostatniej chłości. Wspinał się dokładnie tą samą drogą, którą Adam pokonał dwa dni wcześniej, podczas gdy przytrzymywany przez nadzorców Duncan obserwował to bezradnie. Adam zatrzymał się chwilę na bocianim gnieździe, skrobiąc coś w drewnie masztu, po czym drwiąco zasalutował oficerom i marynarzom zebranych na dziobie.

Spiesznie pnąc się w górę, Duncan usłyszał przestraszony okrzyk sternika, niewątpliwie obawiającego się, że któryś ze ścigających zbiega spadnie, gdy wielki i niezgrabny statek, osiem tygodni po wypłynięciu z Glasgow, ciężko pracował na wzburzonych falach. Mgła kłębiła się wokół masztów, gdy Duncan gorączkowo piął się coraz wyżej, wiedząc, że rozwściczeni

prześladowcy nie przerwą pościgu. Łamanie więziennych przepisów niczym się nie różni od plucia na króla, oznajmił kapitan i obiecał pół korony w nagrodę dla tego, kto przyprowadzi mu Duncana, jeśli ten znów ucieknie. Uciekał już trzykrotnie, a ostatnim razem przez pół godziny rozkoszował się wolnością wiatru i morza, zanim go znaleźli trzymającego się bukszprytu. Był jakby stałym gościem przy maszcie, chłostanym przez sadystycznych marynarzy. Kapitan poprzysiągł, że następnym razem Duncan otrzyma czterdzieści batów i zostanie przywiązany do masztu na całą noc, żeby słona woda omywała jego poranione ciało.

Wspinał się z ponurą determinacją, aż w końcu przeskoczył z fokmasztu na grotmaszt i dotarł do bocianiego gniazda, wysoko nad pokładem, gdzie wcześniej zatrzymał się Adam, żłobiąc coś w drewnie. Serce urosło mu w piersi na widok wyskrobanych gwoździem rys, po czym równie szybko boleśnie się skurczyło. Nie ujrzał tam żadnych mądrych słów, żadnego wyjaśnienia, co tak szybko załamało Adama, żadnych sekretnych wskazówek tłumaczących tajemniczą spuściznę, jaką pozostawił Duncanowi. Przyjaciel nie zostawił żadnego napisu, tylko dwa niezdarne rysunki - jeden jakiegoś pulchnego stworzenia z krótkim ogonem i rozpostartymi skrzydłami, a drugi złożony z dwóch równoległych, wygiętych linii połączonych na górze i na dole, niczym spłaszczone S. Ostatni bezsensowny gest i jeszcze jedno życie zniszczone przez króla.

Gdy tylko skończył ryć te znaki w drewnie masztu, Adam zjechał po linie na reling bakburty i przebiegł po jego płaskiej powierzchni, umykając przed zbliżającymi się dozorcami. Duncan wyrwał się im, gdy zobaczył wykrzywioną w uśmiechu twarz przyjaciela, i też mknął do niego, gdy Adam zerwał łańcuch z ramienia jednego z dozorców, owinął żelaznymi ogniwami swoją szyję i pobiegł w kierunku rufy. Nie przestał biec, gdy dotarł do końca relingu i spadł, tuląc do siebie łańcuch. Duncan dotarł tam chwilę później i zdążył jeszcze zobaczyć, że przyjaciel nawet nie próbował się wynurzyć, tylko rozłożył ręce i zanurkował głębiej, pozostawiając mu na pożegnanie widok podeszwy jednej bladej stopy szybko znikającej w toni.

Duncan wyjął z kieszeni mały, czarny przedmiot - czterocalowy kawałek rzeźbionego czarnego kamienia. Tamtego strasznego ranka, kiedy wyszli na pokład po poranną cienką zupkę, Adam położył dłoń na ramieniu przyjaciela, powiedział mu coś do ucha i tak szybko skoczył na olinowanie, że

Duncan w pierwszej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że Adam wepchnął mu do ręki ten kamień i zacisnął na nim palce, jakby chciał go ukryć. Dopiero kilka pełnych udręki chwil po zniknięciu Adama uświadomił sobie, że trzyma kamień w dłoni, a także to, co powiedział mu przyjaciel.

- Przepraszam - szepnął. - Skończyła ze mną - rzekł, jakby kamień był żywą istotą. - Zawiodłem ją. To ciebie teraz potrzebuje.

Od tej pory w rzadkich chwilach samotności Duncan oglądał ten niepokojący czarny przedmiot, szukając jakiegoś wyjaśnienia. Jednak to był tylko kamień uformowany na kształt jakiegoś niezgrabnego, paskudnego stwora o szerokim zadzie i wielkim łbie opuszczonym między dwie grube przednie łapy, jakby w poklonie. W otwór pod spodem była wetknięta karteczka. „Byłem w rozpacz, gdyż tylko zaklinacz duchów może zrozumieć, co trzeba zrobić” - głosiła. „Teraz jednak widzę, że stałeś się nim. Niechaj pradawna zabierze cię tam, dokąd musi iść”. A na odwrocie pospiesznie naskrobano jeszcze kilka zdań. „Duncanie, poprzysiągłem nie zaprzyjaźnić się z tobą, ale nie sądziłem, że okazemy się tak podobni. Nie oczekuję twego przebaczenia za to, co uczyniłem tobie i twojemu klanowi, ale modłę się o to, żebyś pewnego dnia przynajmniej to zrozumiał. Potrzebują Kompanii do czegoś wręcz przeciwnego, niż mówią. Chcą cię wykorzystać, a potem będą musieli cię zabić. Wiedzą, kim jesteś”.

Coś równie ciemnego i zimnego jak ten kamień uwięzło Duncanowi w trzewiach, gdy spoglądał na dwa toporne rysunki wryte w drewnie. Był tak pewny, że znajdzie tu odpowiedź wyrrywającą go z tej bezsilności, sens dziwnych słów Adama, jakąś cienką nić, która utrzyma jego więź ze światem. Tymczasem uciekł na próżno i teraz zedną mu skórę z grzbietu za te dwa rysunki pozostawione przez szaleńca.

„Wiedzą, kim jesteś”. Dlaczego Adam umieścił te słowa w swojej łamigłówce? Oczywiście, że wiedzieli, kim jest Duncan - jeszcze jeden wygnaniec ze szkockich wyżyn, bez domu i nadziei na ponowne znalezienie jakiegoś kiedykolwiek.

Znaki w drewnie były bezsensownym epitafium nie tylko Adama, ale także Stewarta i Iana. To nie przypadek, że trzej najlepiej wykształceni członkowie Kompanii, jej naturalni przywódcy, umarli - gdyż oni widzieli najwięcej świata, mieli największe marzenia i byli dostatecznie mądrzy, by zrozumieć, że przed skrzywdzonymi przez angielskich sędziów zatrzasnęły

się wszystkie drzwi i jeśli przeżyją, to do końca życia ich sny będą najgorszymi koszmarami.

Duncan spoglądał na rysunki, aż przesłoniło je przepływające pasmo mgły - wtedy oderwał od nich wzrok. Statek wpłynął w niską ścianę mgły, której gęsty biały obłok zakrył cały świat poniżej bocianiego gniazda. Na dole słychać było tylko ciche okrzyki, już nie gniewu, lecz przestachu, oraz dziwne żalosne zawodzenie. Duncan był sam, omywany słonecznym światłem przebijającym się przez dziurę w gęstniejących chmurach. Słyszał tylko jęk żaglowego płótna i skrzypienie olinowania. Zawieszony nad tą gęstą, nieprzeniknioną bielą, Duncan miał wrażenie, że unosi się między tym i tamtym światem, i nagle rozpaczliwie zapragnął być razem z Adamem.

Wiatr zaczął spychać mgłę i w odległości jednego kabla Duncan zobaczył morze, podczas gdy statek nadal spowijał gęsty biały opar. Jego wielkie kłęby sunęły aż po horyzont, usiany chmurami czarnymi jak atrament. Duncan poczuł się dziwnie chudy i niewiarygodnie lekki. Gdyby puścił linę, uleciałby z wiatrem.

Doznał wrażenia obcowania z jakimś surowym i strasznym pięknem, które zdawało się go szukać, wzywać do siebie. „Ciesz się tą chwilą” - mówił mu jakiś wewnętrzny głos - „bo to jest wolność lub najbliższy jej stan, jakiego kiedykolwiek zaznasz”. Jednak jego serce znikło, zastąpione przez ten zimny, pusty twór, który przenikał jego ciało. Pełne bólu, bezsensowne słowa Adama i jego obłąkańcze rysunki były po prostu pożegnalnym podarunkiem odbierającym Duncanowi ostatnią iskrę nadziei. Z dziwną ulgą czuł, jak toczące go zwątpienie w końcu wydobywa się na powierzchnię.

Nie wiedział, jak długo spoglądał na burzę, w nicość wiatru, wody i kłębiącej się mgły, lecz powoli uświadomił sobie, że ktoś mówi do niego z bardzo daleka.

*Spójrz na szalejące morze, a napotkasz wzrok twego boga.*

Był to głos dziadka, uwolniony z tej komory pamięci Duncana, której nie otwierał od lat. Kiedy jako chłopiec stojący na klifowym urwisku w nadciągającej burzy Duncan po raz pierwszy usłyszał te słowa, uznał je za ponurą przestrożę. Teraz jednak, gdy chropowaty i suchy głos przyleciał do niego z odległości prawie dwóch dziesięcioleci, wywołał melancholijny uśmiech na jego twarzy. Te słowa nie były ostrzeżeniem, ale kpina. Teraz wiedział, że gdy brytyjska korweta zniszczyła słup, na którym jego dziadek

szmuglował rebeliantów, stary wódz klanu gniewnie spojrział na ciemne fale i rzucił gaelickie przekleństwo swojemu bogu, zanim pochłoneły go wzburzone i zimne wody Hebrydów.

Duncan uświadomił sobie, że wodzi palcami po podobnych do runów znakach na maszcie. Mylił się. Nie potrzebował rozwiązania. Lecz wyzwolenia. Adam pokazał mu to, a jego dziad uczynił to ponownie. Są losy gorsze niż śmierć i sposób, w jaki ginący klan może zatriumfować nad tymi, którzy go zniewolili. Duncan był gotowy zmierzyć się wzrokiem ze swym bogiem.

Statek wpadł w objęcia szalejącego morza i nagle wypłynął z mgły. Duncan chwycił się masztu i wyrzał z bocianiego gniazda, nie chcąc znów dać się zauważyć. W każdej chwili mogli spaść na niego, uzbrojeni w pałki i łańcuchy, tym razem zamierzając zedrzeć mu skórę z grzbietu.

- Podnieś ręce!

Ten nagły rozkaz z dołu przeszył go jak ostrze. Duncan znów przywarł do masztu, aż zapiekły go rany na plecach, po czym powoli wyprostował swe wysokie i chude ciało, spoglądając na zdradliwe olinowanie nad głową. Wespnę się wyżej, na sam czubek grotmasztu. Potem zaczeka na odpowiednią falę, kiedy statek przechyli się na bok, a on znajdzie się nad wzburzonymi falami. Nie zejdzie na pokład, nigdy więcej.

- Powstańcie na spotkanie Baranka!

Duncan zastygł, chwytając się lin, po czym wyrzał z bocianiego gniazda i zobaczył na dole grupkę mężczyzn skulonych na dziobie wokół brodatego marynarza wymachującego jakąś czarną książką. Te wołania nie były skierowane do niego, lecz do innych marynarzy zebranych wokół tego człowieka i słuchających... czego? Modlitwy za zmarłych? Jednak nie było tam okrytego całunem ciała ani posepnego oficera w paradnym mundurze recytującego regulaminowe słowa morskiego pogrzebu. Gdy słony rozbryzg chlasnął Duncana w policzek, zobaczył, że na pokładzie nie ma żadnego oficera, chociaż zarówno tam, jak na masztach powinno roić się od marynarzy refujących żagle i przygotowujących statek na sztormową pogodę. Uświadomił sobie, że na statku panuje głucha cisza, od kiedy godzinę temu innych więźniów zaprowadzono do ładowni. Nawet sternik zdawał się zapomnieć o swych obowiązkach, gdyż stał obok koła sterowego, trzymając je tylko jedną ręką i niespokojnie wpatrując się w fale za rufą. Jednak nikt nie ścisnął Duncana. Alarm ogłoszono z jakiegoś innego powodu.

Z grupki na dziobie płynął nierówny chór modlitwy, coraz cichszej, gdy Duncan skierował wzrok na wzburzone wody przed statkiem. Pokład здаwał się ginąć w oddali, umykając jego świadomości. Nie musiał wspinać się wyżej.

Dotarli do skraj burzy. Otworzył jedną dłoń, pozwalając wiatrowi odebrać jego ciało od masztu, w końcu poddając się wzbierającej w nim pustce. Wybrał sobie ogromną falę w oddali i patrzył, jak się zbliża, pozwalając drugiej dłoni zsunąć się po drzewcu masztu, wyzywając swego boga, żeby napotkał jego wzrok i wysłuchał jego drwiącego przekleństwa.

Nagle silne palce chwyciły go za ramię i pociągnęły do tyłu.

- To strasznie ostateczna rzecz, chłopcze.

Nie odwracając się, Duncan rozpoznał chropowaty głos najstarszego z dozorców.

- To tylko jesienny sztorm, panie Lister.

- Nie żartuj sobie ze mną, McCallum - rzekł stary. - Czy nie widziałem takiego spojrzenia aż za często podczas tego rejsu? Wiem, co zamýślasz, nawet jeśli sam tego nie wiesz.

Duncan obejrzał się i zastygł, zaskoczony zbolalym wyrazem poznaczonej bliznami, ogorzałej twarzy towarzysza. Lister sam był więźniem, jak wszyscy dozorczy wyznaczeni do pilnowania innych, funkcyjni niezamykani w brygu ani ładowni. Większość swego życia spędził na morzu, najpierw w marynarce, potem jako zastępcą kapitana jakiegoś handlowego statku przemierzającego Atlantyk, aż został skazany za jakąś zbrodnię. Lister był jedynym dozorcą, który okazywał Duncanowi odrobinę sympatii - często rozmawiał z nim o morzu, a zaledwie poprzedniej nocy przysunął lampę bliżej zakratowanych drzwi ładowni, żeby siedzący i piszący na ich progu Duncan miał więcej światła. Czarna fala dotarła do statku i przeszła dalej, a ci dwaj mierzyli się badawczymi spojrzeniami, trzymając się olinowania, by nie stracić równowagi na rozkołysanym maszcie.

Kiedy Duncan w końcu odpowiedział staremu, słowa z trudem przeszły mu przez wyschnięte gardło.

- Adam - rzekł, wskazując na niezdarne rysunki.

- Okrutna, ohydna rzecz - wymamrotał jadowicie Lister, a potem dostrzegł pytający wzrok Duncana. - Nie mam rozsądnego powodu tak twierdzić, ale w głębi serca wiem, że to, co widzieliśmy, to było morderstwo, tak

jakby ktoś wbił Munroe nóż w plecy. Jego śmierć była inna niż pozostałych. Adam nie chciał umierać. On musiał umrzeć.

Niespodziewanie Lister poruszył jakąś strunę w duszy Duncana. Ten stary żeglarz znalazł słowa, które usiłowały się wyrwać z serca młodzieńca.

- To ten parszywy czerwony krab - dorzucił Lister. - Nasz sztywniak w niebieskich pończochach.

Pustka odplynęła na chwilę. Czyżby Duncan nie dostrzegł czegoś związanego ze śmiercią Adama?

- Porucznik Woolford? - zapytał.

Na pokładzie był tylko jeden żołnierz królewskiej armii.

- Byłeś przy tym. Słyszałeś, jak Woolford ogłosił, że zmienił się cel naszej podróży, że płyniemy do Edentown w kolonii Nowy Jork. - Lister przeszył Duncana ponurym spojrzeniem. Przed oświadczeniem Woolforda przywódcy Kompanii pozwolili ludziom zakładać, że płyną do Wirginii lub Georgii, gdzie na plantacjach tytoniu i bawełny pracowały legiony przetransportowanych przestępców. - Adam był w milicji - dodał trzeźwo, jakby to wiele wyjaśniało. - Nowy Jork to miejsce, gdzie będzie wojna. W dziczy.

Duncan uważnie wpatrywał się w twarz Listera, ponownie wspominając ostatnie słowa Adama. „Chcę cię wykorzystać, a potem będą musieli cię zabić”. Wiedział, że Adam spędził kilka lat w kolonii Pensylwania, ale zawsze udzielał wymijających odpowiedzi na pytania Duncana o jego dawne życie w Nowym Świecie, opowiadając mu o tamtejszych miastach i tawernach, obiecując, że pewnego dnia pokaże mu góry i jeziora mogące rywalizować ze szkockimi.

- Mówisz, że Adam umarł z powodu czegoś, co wydarzyło się w Ameryce?

- Widziałem, jak jego twarz zbielała jak śnieg, kiedy Woolford wypowiedział te słowa. Tamtej nocy poprosił o ołówek i kawałek papieru. Nazajutrz umarł.

- Po tym, jak ogłosił zmianę celu podróży - przypomniał sobie Duncan - Woolford chciał się z nim zobaczyć. Adam kazał mi powiedzieć Woolfordowi, że jest chory i porozmawia z nim następnego dnia. - Jednak dla Adama nie było następnego dnia. Duncan milczał chwilę, rozważając słowa Listera. - Adam nie bał się Francuzów.

- Czy mówiłem o Francuzach? W tej dziczy może spotkać cię los, jakiego Bóg nigdy nie przeznaczył człowiekowi.

Lister zacisnął szczękę i spojrział na kolejną ogromną falę, jakby i on zaczął dostrzegać jakąś wiadomość w szybko wznoszącym się sztormie.

Po chwili Duncan ponownie wskazał na rysunek dziwnego zwierzęcia wyryty w drewnie masztu.

- Znasz takie zwierzę?

- Założę się, że to bóbr.

Duncan dotknął rysunku czubkami palców.

- Jeszcze nigdy nie widziałem bobra.

Wiedział, że czako z gęstego bobrowego futra jest w modzie na ulicach całej Anglii, ale nie miał pojęcia, jak wygląda całe takie zwierzę.

- Wielki tłusty szczur z ogonem jak patelnia. Tylko że ten ma skrzydła - dodał z powątpiewaniem Lister.

Z pokładu na dole dobiegły kolejne okrzyki przestrachu, a po nich gniewne krzyki oficerów.

Duncan zacisnął palce na zimnym czarnym kamieniu, który miał w kieszeni, i już miał go wyjąć, żeby pokazać Listerowi.

- Co to znaczy, Lister?

Jednak stary spoglądał na panujący w dole chaos i nie rozumiał. Dopiero teraz Duncan zauważył siniec na jego prawym policzku i podbite oko. Ktoś uderzył Listera, i to mocno.

- Kapitan posłał po ciebie - rzekł dozorca, nie odrywając oczu od zamieszania.

- Żeby zedrzeć więcej skóry z moich pleców.

Duncan zerknął na olinowanie nad głową. Nawet jeśli Adam miał rację i przywódcy Kompanii potrzebowali go w jakimś sobie tylko znanym celu, najwyraźniej nie przeszkadzałoby im, gdyby był pokiereszowany i załamany.

- Nie dziś. Mamy straszny kłopot. Załoga odmawia pracy. To problem medyczny. Nie uwierzą w wyjaśnienia kapitana. Szukaliśmy profesora Everinga - rzekł, mając na myśli uczonego, który płynął na statku skazańców. - Jednak nigdzie go nie ma. Niewątpliwie chowa się przed sztormem w którejś ładowni. Kucharz mógłby coś poradzić, lecz ilekroć jest sztorm, ten kolek wypija pół dzbana rumu.

Duncan wsunął kamień z powrotem do kieszeni.

- Nie jestem lekarzem.



- Ludzie mówią, że studiowałeś anatomię i tym podobne rzeczy. Najlepiej z nas znasz się na medycynie. To, czy postanowisz odebrać sobie życie, to sprawa między tobą a twoim bogiem. Jednak na pokładzie jest stu innych ludzi, którzy nie chcą dziś umierać. Chyba sam diabeł...

Słowa uwięzły staremu marynarzowi w gardle, gdy spojrzął Duncanowi przez ramię. Zaklął i jedną ręką objął Duncana w pasie, a drugą chwycił się masztu.

Kolejna ogromna fala spadła na dziób statku, zalewając go i przetaczając się po pokładzie aż po rufę, a marynarze z krzykiem łapali się najbliższego relingu lub liny. Na długą i okropną chwilę cały główny pokład znikł pod zwałami piany i Lister z Duncanem zostali sami. Trzy wielkie maszty sterczały niczym drzewa z morza, a wiatr z rykiem przelatywał między konarami rei, rozrywając grotżagiel.

Moment później statek wynurzył się z fal, woda spłynęła z pokładu i morze nieco się uspokoiło. Podarty żagiel oderwał się od rei i mokre płótno z łopotem opadło na pokład. Dwaj żeglarze podbiegli do niego, gdy zaczepił się o wanty na bakburcie. Kiedy próbowali go złapać, płótno zaczęło się zsuwać do wody i jeden z nich wychylił się za burłę, żeby je złapać. Zaraz jednak wyprostował się z pustymi rękami i gwałtownie odciągnął towarzysza, po czym z przerażoną miną pobiegł ku modlącym się na dziobie ludziom.

- Za późno! - jęknął. - Przyszli po nas!

Lister puścił Duncana i popchnął go tak, że młodzieniec usiadł na deskach. Spoglądając na spanikowaną załogę na dole, dozorca ponuro pokręcił głową.

- Głównie Kornwalijszczy i Hindusi. Każdy z tych głupców bardziej przesądny od drugiego. Jeśli kapitan szybko nie przywróci porządku, statek jest stracony. Ja wolałbym żyć, chłopcze - dodał głuchym i zdesperowanym głosem. Kiedy Duncan nie odpowiedział, spojrzął mu w twarz i westchnął. - Na wybrzeżu zachodniej Szkocji w pobliżu Lochlash byli McCallumowie, panowie tamtejszych wysepek. To twoi krewniacy?

Duncan niepewnie spojrzął na dozorcę, po czym powoli skinął głową, obserwując przerażonych ludzi na dole. Nadal nie było widać innych dozorców, którzy lubili dręczyć uciekinierów. Z pewnością jako były oficer Lister poganiałby załogę, gdyby uważał, że statek jest w niebezpieczeństwie. Zaraz jednak Duncan przypomniał sobie, że Lister też jest więźniem

- Dumni, uparci ludzie - ciągnął Lister - odważni jak wszyscy w armii księcia Karola. Walczyli z moim klanem pod Culloden, o tak - wyznał dozorca, wspominając ostatnią desperacką bitwę zbuntowanych Szkotów z angielską armią w 1746 roku.

Duncan popatrzył na niego ze zdumieniem.

Lister rozejrzał się i zniżył głos, jakby maszt miał uszy.

- Zawsze mustruję się jako Lister. Myślą, że jestem Anglikiem wychowanym w Glasgow. Niewielu wie, że moje prawdziwe nazwisko to McAllister.

Stary żeglarz zmierzył Duncana spokojnym, rozumnym spojrzeniem. Ujawnianie swoich szkockich korzeni było niebezpieczne i mogło kosztować Listera nie tylko stanowisko dozorca, ale o wiele więcej. Zaledwie dzień przed tym, zanim wypłynęli w ten rejs, Kompania, niemal całkowicie złożona ze szkockich górali, zebrała się, aby patrzeć, jak wieszają pewnego owczarza za to, że wbrew prawu ukrywał miecze i kilty.

Po chwili dozorca zerknął na pokład szańcowy, gdzie pojawił się żaglomistrz, przeklinając sternika i krzycząc na marynarzy, żeby refowali fok. Kiedy nikt nie zareagował, Lister zaklął pod nosem i spojrzął na Duncana z obawą w swych zwykle spokojnych oczach.

- To były ciężkie lata, chłopcze. Wyglądasz mi na takiego, który uszedł z życiem z tej bitwy. Chociaż jesteś na to za młody i wtedy jeszcze trzymałeś się matczynego fartucha.

- Byłem w szkole we Flandrii. A moja matka podarła wszystkie swoje fartuchy na bandaże - odparł z urazą Duncan. - Ktoś przyniósł mi gazetę z opisem tej bitwy - dodał, zmagając się z nagłym przyływem emocji. - Napisano w niej, że tuziny jeńców powieszono później jako zdrajców angielskiego króla, nie pozwalając nikomu odcinać zwłok. Ciała mojego ojca i wszystkich jego braci pozostawiono, żeby zgniły na szubienicach króla. Kilka tygodni później, kiedy przybyli, żeby zająć nasz dom i ziemie, moja matka dźgnęła angielskiego oficera w ramię. Została zabita, razem z moimi siostrami. I moim sześciolatnim bratem. Ocalili tylko dwaj z naszego klanu, którzy uczyli się wtedy za granicą.

Pełne bólu słowa płynęły mu z ust, ku zdziwieniu samego Duncana. Od lat nie mówił o tych mrocznych dniach.

Na pokładzie znów rozległy się krzyki przest్రachu. Ludzie pokazywali coś za rufą.

- A morze odda umarłych - oznajmił przybity głos.

Duncan spojrzął w dół, rozpoznając słowa. Jakiś marynarz recytował

wersy z Księgi Objawienia, zamiast bronić statku przed nawałnicą. Zimny dreszcz przeszedł Duncanowi po plecach. Istotnie. Chociaż wiatr na moment przycichł, sztorm w całej swej sile jeszcze był przed nimi, a tymczasem całą załogę obezwładnił niewytłumaczalny, paraliżujący lęk.

- Płyniemy do Nowego Świata, chłopcze - rzekł Lister. - Tam można zacząć nowe życie.

- Ja miałem nowe życie - odparł z przygnębieniem Duncan, znów spoglądając na chmury. - Wychowali mnie kuzyni z Yorkshire. Nigdy nie pozwalali mi głośno mówić naszym ojczystym językiem ani wspominać zmarłych rodziców. Zrobili ze mnie prawdziwego Anglika. Najlepsze szkoły w Holandii i Anglii. Ukończyłem trzy lata studiów medycznych i miałem zostać członkiem izby lekarskiej w Nortumbrii. Aż tu sześć miesięcy temu na progu stanął ostatni z moich wujów i poprosił, żebym go ukrył w moich pokojach. Ponad osiemdziesięcioletni. Myślałem, że przebywa na wyspach, daleko na północy, ukrywając się przez te wszystkie lata. Ostatni wódz naszego klanu.

- Teraz ja proszę cię o pomoc, tak jak prosił on - powiedział ponaglając Lister.

- Trzy tygodnie później przyszli po niego, twierdząc, że jest rabusiem - ciągnął Duncan, mając na myśli rozbójników ze szkockiego pogranicza. - Zostałem aresztowany za pomaganie mu i skazany w imieniu króla na siedem lat więzienia. Po czterech miesiącach wyciągnęli mnie z wilgotnego lochu, bardziej martwego niż żywego. Zawlekli przed sędziego, który powiedział, że król postanowił być litościwy i zmienił wyrok na siedem lat ciężkich robót w koloniach. Sędzia nazwał to „transportem” - dodał z goryczą. - Pielgrzymką dla rozważania moich grzechów. - Popatrzył na ogorzałą twarz dozorczy. - Miałem nowe życie, a teraz nie mam żadnego.

Duncan wiedział, że już nigdy nie zostanie lekarzem, nigdy nie zrealizuje swojego cichego marzenia, żeby wzbogacić się na tyle, by odkupić ziemię swojej rodziny w Szkocji. Adam dostrzegł w jego drodze życia coś, czego Duncan nie zauważał. Po siedmiu latach ciężkich robót nie będzie dla nich wolności. Wykorzystają go, a potem zabiją. Adam również został w jakiś sposób wykorzystany i zabity. Duncan znów poczuł, że ogarnia go rozpacz, ściskając serce jak żelaznym imadłem.

- W moim hamaku jest list, panie Lister. Może zdołasz oddać go mojemu bratu w Nowym Jorku.

Przez większość poprzedniej nocy, kiedy inni więźniowie spali, Duncan pisał ten list do brata, który również musiał porzucić zwyczaj i ziemię swego klanu. „Angielski król” - napisał na końcu - „dopełnił zemsty na naszej rodzinie”.

- Bóg wie, jak mi przykro, chłopcze. Jednak na tym statku jest wielu dobrych ludzi, którzy kiedyś nosili oset - rzekł Lister, przypominając stary symbol Szkocji. - Oni też umrą, jeśli im nie pomożesz. Tak jak ci w szczu-  
rych norach - dodał.

Duncan wzdrygnął się na myśl o zamkniętych celach w przedniej ładowni na więziennym pokładzie, przeznaczonych dla najbardziej agresywnych z transportowanych więźniów, wyłącznie morderców, na rozkaz króla przewożonych na zabójcze plantacje trzciny cukrowej w Indiach Zachodnich.

- Wszyscy co do jednego zabrani z sądów w Glasgow, skazani przez angielskich sędziów - ciągnął Lister. - Znam ten statek. Fokmaszt jest słaby i pod naporem nawałnicy trzaśnie jak gałązka. Padając, zapewne wgniecie pokrywą ładowni i statek zacznie nabierać wody. Ci w celach umrą pierwsi, utopieni w swoich klatkach. - *Redeat*- mruknął po chwili. Dawno temu było to zawołanie zwolenników króla Jakuba, pragnących powrotu szkockiego księcia. Z czasem stało się czymś w rodzaju modlitwy dla wszystkich Szkotów, jakby inwokacją do szkockich bogów. - Kompania Ramseya szczególnie, nie zdążywszy się wykazać - dodał, przypominając lorda Ramseya, do którego wieziono wszystkich więźniów niezamkniętych w celach. Gromada niespokojnych duchów - jak nazywał Kompanię wieloletni Arnold, anglikański pastor, który ich eskortował - w drodze do odkupienia swych win w raju Nowego Świata.

Z dołu dobiegł ich gniewny krzyk. Jakiś oficer gonił dwóch marynarzy uciekających z eleganckim fotelem wyniesionym z kabiny.

- Co ich opętało? - zapytał Duncan, gdy ci dwaj wyrzucili fotel za burłę i pojawił się następny mężczyzna, który zaczął wyrzucać butelki brandy, przy każdej mamrocząc ze strachem modlitwę. Składali ofiary morzu.

- Dzisiaj rano zbudził się diabeł. Musimy położyć temu kres.

Duncan powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie. Jak miał powstrzymać to szaleństwo?

- Nawet jeśli mogłem jakoś pomóc innym - odparł z goryczą - to odechciało mi się, kiedy siedziałem w więzieniu.

Teraz widział błyskawice - długie, zygzakowate pasma rozdzierające horyzont. Twarz Adama nadal majaczyła na skraju pola widzenia, jakby wzywając Duncana, żeby do niego dołączył.

- Dlaczego akurat dziś, chłopcze?

- Niebawem zawiniemy do portu. Wtedy nie będę już miał okazji, by znów uciec. Członek Kompanii ma tylko jeden sposób, żeby odzyskać wolność. Mój klan nie skończy w niewoli.

- To tylko siedem lat, McCallum. Nie bądź taki dumny. Jesteś jeszcze młody.

Duncan znów przeniósł wzrok na smagane wiatrem fale.

- Sugerujesz, Lister, że takim ludziom jak ty i ja warto długo żyć?

Teraz marynarz zamilkł i zapatrzył się w morze.

- A twój wuj? - zapytał po długiej chwili.

- Wywlekli mnie z celi, żebym się temu przyglądał. Ogłosili, że jest niepoprawnym zdrajcą. Odańczył giga i napluł na kata, gdy ten zakładał mu stryczek.

- A twój brat? Jest starszy?

- Rok młodszy.

Ta odpowiedź dziwnie poruszyła Listera. W jego oczach pojawiło się nagłe, głębokie zaciekawienie. Z dziwnym błyskiem w oku przyjrzał się Duncanowi, jakby widział go pierwszy raz, a potem skrzywił, jakby niezadowolony z wyniku tych oględzin.

- Spójrz na siebie - warknął. - Czy tak szanujesz tych, którzy odeszli przed tobą?

To niewiarygodne, lecz ten karcący głos oraz pełne dezaprobaty spojrzenie starego marynarza wydawały się należeć do dziadka Duncana. Poruszyły jakąś strunę w jego duszy i chłopak znieruchomiał, na chwilę zapominając o sztormie. Lister otworzył następną, od dawna zamkniętą komnatę jego pamięci, pełną koszarów, z której gnijący trup jego ojca groził mu palcem z szubienicy, oskarżając o porzucenie klanu i zostanie Anglikiem.

- Zapomniałeś, co to znaczy być najstarszym?

- Nie... Nie mogę... - wymamrotał po chwili Duncan łamiącym się ze wzburzenia głosem.

To była kolejna komnata, jaką często odwiedzał, zawierająca wspomnienia długich dni spędzonych z dziadkiem, podczas, których z podziwem patrzył, jak ten zapalczywy stary Szkot pełni obowiązki głowy klanu, broniąc

niewinnych, wspomagając ubogich, sprawiedliwie rozsądzając dzierżawców odległych wysep tradycyjnie związanych z klanem, a nawet ratując tonących, gdyż dziadek był najlepszym pływakiem wśród mieszkańców wysp.

- Mój klan wymarł.
- Nie, dopóki ty i twój brat wciąż oddychacie.

Duncan ze zdumieniem spojrział na Listera. Przez te wszystkie pełne udreki dni od chwili aresztowania nigdy nie przyszło mu to do głowy. Kaci jego wuja uczynili Duncana wodzem klanu.

- Na miłość boską, McCallum! - prychnął Lister. - Musisz zapomnieć o swojej niedoli! Więzy krwi łączą cię z twoim klanem, z żywymi i zmarłymi, ze wszystkimi noszącymi oset. Śmierć kroczy po tym statku i jeśli ktoś przeżyje, winą obciążą Szkotów. Co wódz klanu z tym zrobi?

Duncan oderwał wzrok od Listera i spojrział na sztorm, który już prawie ich dopadł. Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

- A jeśli prawdą jest to, co powiedział zaledwie przed kwadransiem wielebny Arnold, że tylko ty możesz ocalić statek - nalegał Lister.

- Arnold? - To pastor zabrał go z sądu i umieścił na statku skazańców. - Nic mu nie jestem winien.

- A jeśli to prawda, że profesor potrzebuje twojej pomocy?

Duncan odwrócił się do starego marynarza.

- Evering?

- Tamtej ostatniej nocy, kiedy siedział przy luku, Adam kazał mi powiedzieć ci, że Evering znalazł klucz, który może uratować nas wszystkich, ale nie wie, jak się nim posłużyć. Powiedział, żebym pomógł McCallumowi chronić profesora.

Duncan obejrzał się na fale, nie chcąc okazywać swego zdziwienia ani nagłego przypływu nadziei w tym oceanie rozpacz.

- Kazał nam baczyć, jak Evering wyjaśni swoją kometę - dodał po-naglająco Lister. - To ocali nas wszystkich. Jakbyśmy w przeciwnym razie wszyscy mieli umrzeć.

Duncan mocno ścisnął linę i wychylił się z bocianiego gniazda, jakby wiatr mógł rozjaśnić jego myśli. Sztorm wciąż go wzywał, lecz młodzieniec już zaczął się zastanawiać, w jaki sposób dotrzeć do kryjówki Everinga w ładowni na dole. Nie, nie zdoła tam zejść niezauważony przez innych dozorców.

- Moja babka była McCallum, pochodziła z twoich wysp - wypalił Lister, kiedy Duncan nie odpowiedział. - Mój klan jest w rozsypce, chłopcze, jak popiół na wietrze. Dawno temu przybyliśmy z tych samych wysp.

Staremu załamał się głos.

- Co chcesz powiedzieć?

Z dziwnym namysłem Lister dotknął wyrytych w drewnie rysunków Adama, a potem poważnym spojrzeniem zmierzył Duncana.

- Proszę o ochronę Klanu McCalluma - powiedział powoli i z rozmysłem, używając jednego z tradycyjnych tytułów wodza klanu. - Składam ci przysięgę krwi.

Wargi Duncana wygięły się w krzywym uśmiechu.

- Ślubujesz wierność skazańcowi? To śmieszne, Lister. Jestem nikiem. Mniej niż nikiem.

Duncan był zaledwie bladym cieniem swego dziadka. Jednak krzywy uśmiech zastygł mu na wargach, gdy zobaczył szczerą urazę na twarzy Listera. Stara tradycja nakazywała góralom, których łączyły więzy krwi, słubować wierność klanowi w zamian za ochronę.

- Składam przysięgę lairdowi klanu McCallumów.

Oniemiały Duncan zobaczył, że Lister spluwa na dłoń i wyciąga ją ku niemu.

- Bóg mi świadkiem - poważnie oznajmił stary żeglarz.

- Ludzie chcą mojej śmierci - rzekł Duncan. - A ja nawet nie wiem dlaczego.

- Tam, skąd pochodzimy, to zaszczytne godło. Z doświadczenia wiem, że wodza klanu trudniej powalić niż kosmatego osła, a kiedy taki ginie, to na własnych warunkach. Królewskiemu skazańcowi łatwo umrzeć. Jednak wódz klanu ma obowiązek pozostać przy życiu, choćby na przekór.

W ojczyźnie mianowaniu nowego wodza zawsze towarzyszyła wielka uroczystość, z kobzami i tańcami, a tradycja jego klanu nakazywała chłostać węzłastymi linami ziemię u stóp nowego wodza, aby przepędzić demony, a następnie wręczyć mu bukiet ostu. Jednak w świecie, w którym zakazano gry na kobzie i noszenia tartanów, tradycje zanikały.

Duncan pozwolił Listerowi zacisnąć twardą dłoń na swojej ręce, po czym niepewnie odwzajemnił uścisk. Kiedy to robił, wiatr znów się wzmógł, zmieniając kierunek i popychając statek tak, że ten na moment wyprzedził wzburzone fale.

- Jezusie, Maryjo i Józefie! - jęknął stary żeglarz i jak szczur łądowy mocno złapał się masztu.

Gdy Duncan powiódł wzrokiem za spojrzaniem Listera, zimny dreszcz przebiegł mu po krzyżu. W ścianie wody za rufą był zawieszony jakiś człowiek, bladą twarzą zwrócony do statku, wyciągniętą ręką jakby przywoływał do siebie załogę. Właśnie ten widok tak przeraził tych dwóch marynarzy, którzy usiłowali złapać zerwany żagiel. „Za późno” - krzyknął jeden z nich. - „Przyszli po nas”.

- Martwi powstaną - powiedział ściszym głosem Lister.

W jego głosie po raz pierwszy Duncan usłyszał lęk.

Duncan miał wrażenie, że patrzy z boku, jak jego ciało samo wyskakuje z bocianiego gniazda, łapie linę i szybko opuszcza się na dół.

- Więzień! - krzyknął jakiś dozorca i skoczył na Duncana.

Czyjaś ręka chwyciła go za szyję. Ktoś inny uderzył go łokciem w bok, próbując obalić. Duncan wyrwał się prześladowcom i skoczył do relingu rufy.

- To McCallum! Zostawcie go! - zawołał za jego plecami Lister, gdy jakiś młody marynarz skoczył na Duncana i zaczął się z nim szamotać.

- On nas nie ściga! - zawołał Duncan, wskazując za rufę. - Jest wleczony!

Marynarz puścił go, zaskoczony, a potem pomógł mu rozwiązać kilka węzłów liny mocującej beczkę do relingu. Duncan pokazał mu dotychczas schowany za beczką sznur, przymocowany do słupka relingu i ocierający się o drewno burty.

- Lina ratunkowa! - zdziwił się marynarz, gdy odepchnęli beczkę na bok, i zaczął razem z Duncanem ściągać sznur.

Lister pojawił się przy nich i zaczął im pomagać.

- Na co komu lina ratunkowa - mamrotał - jeśli nikt nie wie, że wypadłeś za burte? To po prostu zwyczajny wypadek - dodał, jakby chciał podnieść na duchu gromadzących się ludzi. Kiedy jednak złożyli na pokładzie ponure brzemie, nawet Lister zadrżał i z jękiem cofnął się o krok. Lina nie była przywiązana w pasie mężczyzny. Była owinięta wokół jego szyi.

- Profesor Evering! - jęknął młody marynarz, złapał się za brzuch i wymiotował za burte.

Duncanowi ścisnęło się serce. Zebrał siły i spojrzął na trupio bladą twarz i puste piwne oczy patrzące ze zdziwieniem. Istotnie, był to uprzejmy



profesor w średnim wieku, który płynął z nimi, aby objąć posadę prywatnego gubernera rodziny Ramseyów - Evering, który odkrył coś, co mogło uratować Duncana przed tymi, którzy chcieli go zabić.

- Ten sznur - ochryplym szeptem zauważył Duncan. - Jego ręka zaplątała się weń. Dlatego wydawał się do nas machać.

- To dzieło człowieka, nie demona - oznajmił Lister przerażonym marynarzom, którzy wydawali się tego nie słyszeć. Skrzywił się, po czym odciągnął Duncana w kierunku luku przed sterówką. - Do kapitana - rzekł ostrzegawczo.

Po chwili byli w pomieszczeniu, nazywanym przez marynarzy nawigacyjnym, gdzie pośród skrzyń z namalowaną nazwą Kompanii Ramseya okrętowy cieśla zbudował postument dla zgrabnego kompasu, który został zamówiony przez lorda Ramseya u londyńskiego rzemieślnika i miał być wykalibrowany podczas tego rejsu. Lister popchnął Duncana w kierunku ponurej grupki składającej się z brodatego kapitana, jego zastępcy, wielbego Arnolda, poważnego anglikanina będącego duchownym Kompanii Ramseya, oraz porucznika Woolforda, oficera, który płynął z nimi do Nowego Jorku. Dalej, w cieniu, stało kilku marynarzy, czujnie obserwując kapitana i jego towarzyszy, podczas gdy jeden z nich klęczał i modlił się żarliwie, a łzy płynęły mu po policzkach.

Lister nachylił się i szepnął coś do ucha kapitanowi.

- Ten twój przekłety uczonej dureń! - warknął kapitan do Arnolda, po czym gwałtownie obrócił się do Duncana. - Czy Evering miał otwartą pierś?

Duncan spojrział na niego, oniemiały ze zdziwienia.

- Tak trudno stwierdzić, czy człowiek stracił serce? - zapytał kapitan. - Mów, niech cię diabli porwą!

- Jego ciało wyglądało na nietknięte - wykrztusił Duncan, daremnie usiłując wyczytać jakieś wyjaśnienie z twarzy pozostałych.

Kapitan znów zaklął, posłał swojego zastępcę na pokład, a potem nagle złapał Duncana za koszulę i wciągnął go do kręgu.

- Mów! Powiedz mi, nędzniku! Czy jest ludzkie?

Głos kapitana był pełen gniewu, lecz w skierowanych na kompas oczach widać było strach.

- Nie rozumiem co...

Słowa uwięzły Duncanowi w gardle, gdy zobaczył przyrząd. Kompas był zalany krwią. Na podłodze pod nim, ułożone w niewielki krąg, leżały pióra

jakiegoś dużego ptaka, dwie kupki kości, długi czarny szpon, metalowa sprzączka, dwucalowej średnicy żółte oko oraz duże zakrwawione serce, spoczywające na kopczyku soli. Na skraju tego kręgu, naprzeciw słupa, stał mały miedziany kotlarz, jakiego czasem używał kucharz, z dymiącymi resztkami tytoniowego skręta. Nad tym okropnym kręgiem, zawieszony na jednym z mosiężnych uchwytów, kołysał się na rzemyku kolorowy medalion, który Duncan często widywał na szyi Adama Munroe.

Patrzył nie na krąg, lecz na medalion. Miał wrażenie, że Adam wrócił, żeby przypomnieć mu o obowiązku. Duncan bezwiednie cofnął się, aż kapitan złapał go za kołnierz i pchnął w kierunku kompasu, tak że młodzieniec upadł na pokład.

- Nikt z załogi nie chce wejść na maszty! - ryknął kapitan. - Słuchają starych durniów, którzy wmawiają im, że ktoś rzucił na nas urok, że jednemu z nas wyrwano serce, że zmarli podczas tego rejsu powrócili po nas. - Kapitan zacisnął szczęki, z trudem usiłując się opanować. - Połowa załogi chowa się pod pokładem, więc nawet nie możemy ich policzyć, żeby ustalić, czy kogoś brakuje. Możesz być bezczelnym szydercą, przeklętym złodziejem, który okrada uczciwych pasażerów, ale teraz...

- Nigdy niczego nie ukradłem...

Protest Duncana zakończył się głośnym stęknięciem, gdy kapitan kopnął go w brzuch.

- ...ale wasz zacny wielebny mówi nam, że jesteś anatomem miłującym Boga i służącym Kompanii, a ludzie cię posłuchają. To oko z pewnością należy do jakiejś dużej ryby. Jednak serce... Powiedz mojej załodze, że nie mają się czego bać. Powiedz, że żaden człowiek nie został zabity. Kucharz leży nieprzytomny w swoim hamaku. Ten przeklęty łotr ma zwierzęta na świeże mięso w mesie. Mógłby nam wyjaśnić, czy to serce jednego z nich. Jednak nie możemy czekać. Zdejmij ten przeklęty czar! Powiedz im to, McCallum!

Duncan jednak nie patrzył na zakrwawione serce. Przeniósł wzrok z medalionu na anglikańskiego duchownego, odzianego w czerń mężczyznę o okrągłej twarzy. Od chwili zaokrętowania Duncan nie zamienił z nim ani słowa. Przez większość podróży wielebny, tak samo jak porucznik Woolford i profesor Evering, pozostawał w przestronnej kajucie, w której - jak głosiły plotki - jeszcze jeden pasażer, zbyt chory, by chodzić, był przykuty do łóżka.

- Wielebny Arnold każe ci to powiedzieć - dodał napiętym głosem kapitan, a duchowny zachęcił Duncana sztywnym skinieniem głowy.

W głosie kapitana słychać było niewypowiedzianą groźbę. Duncan podniósł głowę i zobaczył, że dłoń oficera spoczywa na kolbie dużego pistoletu, który miał za pasem.

- Rozumiesz, panie? - wrzasnął. - Moja załoga zmieniła się w stado tchórzliwych kundli! Bez niej ten statek jest stracony! - Wyrwał pistolet zza pasa i wycelował w głowę Duncana. - To człowieka czy zwierzęcia?

Duncan sięgnął nie po serce, lecz po długie nakrapiane pióro, po czym obrócił je w palcach, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Nie należało do żadnego morskiego ptaka, lecz do sokoła, lądowego drapieżnika. Minęły tygodnie, od kiedy oddalili się od terenów łowieckich takich ptaków. Na samym końcu pióro miało namalowane dwa poprzeczne cynobrowe paski. Dutką pióra Duncan obrócił serce. W jednej z arterii tkwił jakiś okrągły srebrzysty obiekt. Dotknął szponu, zamierzając posłużyć się nim, żeby wyciągnąć ten przedmiot. Szpon był długości jego wskazującego palca i ostry jak brzytwa. Duncan nigdy nie widział stworzenia, które miałyby takie szpony.

- Takimi demony wyrwały to serce! - jęknął ktoś w tłumie.

- To czarna magia Szkotów! - wyrzucił ktoś inny. - Za burtę z nimi!

Duncan podniósł głowę, czując na sobie wzrok Listera. Dozorca ostrzegał go, że za wszystko będą winić Szkotów i jako wódz klanu ma obowiązek ich chronić.

- Kto ma dostęp do tego pomieszczenia? - zapytał Duncan, odwracając głowę do kapitana.

Patrząc na pistolet w jego prawej dłoni, nie widział lewej i nie zdążył się uchylić, gdy kapitan uderzył go pięścią w skroń, po czym odciągnął kurek.

- Ty przeklęty szkocki nędzniku! Nie pozwolę, żeby zbiegły skazaniec narażał mój statek - syknął. - Masz tylko jeden sposób, żeby pozostać żywy za sześćdziesiąt sekund!

- Dobry ojczy, pokieruj tą zbłąkaną duszą w godzinie największej potrzeby - wtrącił trzeźwy głos.

Gdy Duncan spojrział na niego, zastanawiając się, o której ze zbłąkanych dusz mówi wielebny Arnold, na zewnątrz rozległ się nowy dźwięk, piskliwe zawodzenie, które nie było świstem wiatru, oraz. chór przestraszonych okrzyków.

Jeden ze stojących w cieniu mężczyzn wybiegł, a po nim następny.

- Morska wiedźma! - zawołał z przestachem ktoś na pokładzie.

Gdy kapitan się odwrócił, Duncan odskoczył, złapał medalion Adama, wyminął Arnolda i przemknął przez otwarty luk. Gonił go Lister i potok przekleństw kapitana.

Kiedy Duncan z medalionem w kieszeni dotarł na główny pokład, był tam tuzin marynarzy. Siedzieli przy przywiązanej do pokładu skrzyni, zasłaniając rękami oczy. Jeden trzymał między nogami topór, jakby chciał się nim przed czymś bronić. Dwaj inni mocowali się z długą liną zwisającą z fokmasztu, wiążąc ją do grubego słupka relingu jako dodatkową wantę mającą wzmocnić maszt, który Lister uważał za słaby. Pozostali w niemym przerażeniu spoglądali na białą zjawę na bomie fokmasztu, zaledwie kilka stóp nad pokładem. Młoda kobieta w białej sukni miała rozwiane długie czarne włosy i bose stopy.

To było niewiarygodne. Na statku nie było przecież kobiet, nie licząc krępej żony kapitana i kilku morderczyń, zawsze zamkniętych w celach głęboko pod pokładem. Zerknął na dozorcę. Lister nie patrzył na kobietę, lecz na Duncana. Z taką samą dezaprobatą jak wcześniej, jakby to Duncan był winien temu, że kobieta uciekła i postanowiła popełnić samobójstwo. Lister przypomniał mu, że wszyscy w celach to Szkoci. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Lister wypowiedział tylko jedno słowo, ledwie słyszalne przez świst wiatru. *Redeat*. Jego modlitwa za wszystkich Szkotów.

Kobieta zdawała się unosić nad bomem, nie zważając na bryzgi fal i śliskie drzewce, przesuwiała się na jego koniec - trzymając się jedną ręką cienkiej liny łączącej koniec drzewca z masztem. Twarz miała zwróconą ku ciemnym chmurom na horyzoncie, a drugą rękę wyciągniętą i skierowaną palcami ku niebu.

- Banshee! - zawołał marynarz stojący najbliżej Duncana. - Przywołuje sztorm!

Jeden z marynarzy mocujących wantę puścił koniec liny, wyjął dwa kołki z najbliższego kabestanu i cisnął nimi w kobietę. Nie zwróciła uwagi na przelatujące nad jej głową pociski.

- Banshee! - zawtórował mu inny marynarz, gdy na pokładzie pojawił się kapitan.

Przekleństwo zamarło kapitanowi na ustach, zmieniając się w zduszony jęk, gdy zobaczył kobietę.

- Dobry Boże, dopomóż! - jęknął ktoś inny. Obok kapitana pojawił się wiewielbny Arnold. - Woolford! - zawołał duchowny, odwracając się w kierunku kabiny nawigacyjnej.

Kobieta znieruchomiała na moment. Powoli zwróciła wzrok na Duncana i stojących za nim ludzi, ukazując ładną twarz, choć pełną melancholii. Potem odwróciła się do morza i zrobiła kolejny krok.

Krzyki ucichły. Nawet Arnold przerwał swe gorączkowe modły. Wszyscy spoglądali na kobietę, gdy puściła linę i uniosła ręce ku niebu, jedną bosą stopą balansując na rozkołysanym bomie, a drugą opierając o szekłę. Wydawało się, że niechybnie runie na pokład, gdy rufa statku opadła na fali i bom podskoczył wysoko, ale jakimś cudem utrzymała równowagę. Kiedy statek zaczął wychodzić z przechyłu, Duncan zobaczył, jak Lister rzucił się ku drabinkom sznurowym fokmasztu, rozpaczliwie usiłując złapać kobietę, tuż przed depczącym mu po piętach porucznikiem Woolfordem. Kiedy jednak statek wyrównał i koniec bomu opadł ku powierzchni wody, biała postać uniosła ręce jeszcze wyżej i wyjęła stopę z przytrzymującej ją szekli.

Przez moment zdawała się unosić w powietrzu, powoli opadając z wyciągniętymi białymi ramionami, w białej sukni wydętej na tle ciemnego nieba i jeszcze ciemniejszych fal.

Nikt się nie odezwał. I nikt się nie poruszył - oprócz Duncana. Ten nagle, bez namysłu chwycił topór, jednym gwałtownym uderzeniem przeciął wantę i owinął się w pasie jej luźnym końcem. Kątem oka dostrzegł wymierzony w siebie pistolet.

- Łapcie go! - ryknął kapitan i z lufy jego broni trysnął płomień.

Żebra Duncana eksplodowały bólem, lecz już był na relingu i za burtą, już zanurzył się w skłębionej czerni.

## Rozdział 2

Piekło Duncana było zimnym i ciemnym miejscem na dnie morza. Za młodu wysłuchał wielu kazań opisujących męki oczekujące niepoprawnych grzeszników i kiedy ocknął się w ciemnościach, zeszywniały, mokry i drżący, przez kilka strasznych chwil zastanawiał się, w jakim to piekle znalazła się jego zbląkana dusza.

Nagle dno tego piekła zakołysało się i przesywający ból żeber uświadomił mu, że wcale nie umarł. Osunął się na ścianę z grubych desek, lecz następny gwałtowny przechył rzucił go na przeciwległą ścianę, znajdującą się kilka stóp dalej. Wyciągnął ręce przed siebie i stał, rozpaczliwie usiłując ustalić, w której części statku się znajduje. Kajuta była mała, miała zaledwie siedem stóp długości i jeszcze mniej szerokości, za niska, by mógł wyprostować swoje mierzące sześć stóp ciało. Podłogę pokrywała spleśniała, zbutwiała słoma. Jedna ze ścian była nieco pochylona i wyczuł za nią ruch. Jakieś stworzenie z drugiej strony jęczało, z szaleńczą siłą napierając na ścianę, jakby próbowało się przez nią przedostać. Zaraz jednak pojął z dreszczem lęku, że znajduje się poniżej linii wodnej, a tym czymś nacierającym na deski burty jest żarłoczne morze. Pospiesznie zaczął macać wokół i znalazł długi płat żaglowego płótna wiszący w kącie na kołku oraz masywne drzwi w ścianie naprzeciw burty. Te wąskie drzwi nie miały zasuw ani żadnego innego otwarcia.

Jęk rozpaczy wyrwał mu się z ust i serce ścisnęło się w piersi. Był w jednej z cel, w których trzymano morderców. Lister zapowiedział, że statek zatonie, a jego zamknięto w klatce, w której utonie jak wszystkie inne szczyry. Z mocno bijącym sercem chodził tam i z powrotem po kajucie, dotykając lepiej od zaschniętej krwi skóry na boku, rozciętej kulą z pistoletu kapitana, daremnie usiłując przypomnieć sobie, co się stało po tym,

jak zamknęły się nad nim ciemne wody. Co takiego zrobił, że zamknięto go w tej klitce, niewiele większej od trumny? Rozpaczliwie chciał umrzeć, a potem, kiedy porozmawiał z Listerem i zobaczył medalion, równie gwałtownie zapragnął żyć.

Z pokładu na górze dobiegły go krzyki przest్రachu. Ktoś wzywał ludzi do pomp, ktoś inny Pana Boga. Duncan usłyszał plusk wody przelewającej się po korytarzu i ze ściśniętym sercem poczuł, że pod jego stopami tworzy się kałuża. Zaczął tłuc pięściami w drzwi, aż rozbolały go ręce, a potem statek znów gwałtownie się przechylił. Duncan uderzył głową o ścianę i ponownie stracił przytomność.

- Wietrze czarnego węża, wietrze czarnego węża, zjaw się.

To ciche upiorne zawołanie odbijało się echem w koszmarnym śnie Duncana, gdy powoli odzyskiwał przytomność. Bezsensowne, natrętne słowa powtarzały się bez końca, znikąd i zewsząd. Uszczypnął się we śnie i palcami dotknął powiek, upewniając się, że są otwarte, po czym przycisnął dłoń do rany na boku. Przeszywający ból sprawił, że Duncan gwałtownie usiadł.

- Wietrze czarnego węża, wietrze czarnego węża, zjaw się.

Był przytomny, ale koszmar nie minął.

Jednakże sztorm najwidoczniej ucichł. Morze już nie nacierało na kadłub, a woda znikła z podłogi celi. Duncan zdjął mokre ubranie i owinał się płatem żaglowego płótna, po czym usiadł w ciemnej pustce, przez kilka minut słuchając mrozącego krew w żyłach, melancholijnego zawołania, aż uświadomił sobie, że to nie wytwór jego wyobraźni, lecz okrzyki zrozpaczonej kobiety. Wstał, usiłując zrozumieć, dlaczego tak wyraźnie słyszy jej głos. Wodząc czubkami palców po zamkniętych drzwiach, odkrył w połowie ich wysokości kwadratowe sześciocalowe okienko, zwisające na skórzanym zawiasie. Przyłożył drżące dłonie do ust i do okienka, po czym zawołał:

- To było serce świni! - I uświadamiając sobie ponurą rzeczywistość swojej sytuacji, powtórzył te słowa ochrypłym, zrozpaczonym głosem: - Nie ludzkie! Żaden człowiek nie został zabity!

Nikt mu nie odpowiedział, nic się nie poruszyło w ciemnościach. Był na więziennym pokładzie, opuszczony, samotny. Niezupełnie sam.

- Wietrze czarnego węża, wietrze czarnego węża, zjaw się!

Smutny głos wydawał się teraz bardziej ponagląjący, niemal rozgorączkowany i stało się oczywiste, skąd dobiega. Ta kobieta znajdowała się w sąsiedniej celi. Duncan mocniej owiązał się żaglowym płótnem.

- Kim jesteś? - zapytał, daremnie przyciskając oko do okienka, nie widząc nic prócz smugi słabego światła pod oddalonymi o kilka stóp drzwiami. - Jesteś chora?

- Zdejmij skórę, którą jesteś - odparła kobieta cichym, żalonym głosem. - Zobaczysz prawdziwą, krążącą ziemię.

A jednak trafił do nowego kręgu piekła. Był ranny, drżący z zimna i wilgoci, bez słowa wyjaśnienia uwięziony w ciemnościach, a jego jedyne towarzystwo stanowiła nie tylko morderczyni, ale w dodatku wariatka.

- To było serce świni! - ponownie zawołał Duncan, powtarzając to i nie zważając na ciche przekleństwa dobiegające ze znajdujących się dalej cel.

Przestał wołać dopiero wtedy, kiedy uświadomił sobie, że słowa zmieniają się w szloch.

- Świeże mięso! - zawołał chrapliwy głos w ciemności. - Sztorm przyniósł świeże mięso dla naszych zwierzątek!

Duncan opadł na kolana, pojmując, że więźniowie w głębi korytarza mówią o nim, a potem wtulił się w ciemny kąt i słuchał pomruków morza, aż w końcu zdołał zasnąć.

Kiedy się zbudził, był przy nim Adam Munroe, przykucnięty w kącie naprzeciwko, poganiający swojego żuka i przerzucający z ręki do ręki drewniane guziki, które stawiał. To był ten uśmiechnięty, zawadiacki Adam Munroe, którego Duncan znał, ten, który cicho śpiewał w nocy szkockie ballady i żartował, gdy inni podupadli na duchu. Tylko że teraz miał we włosach wodorosty. Duncan z drzeniem wymówił jego imię. Adam podniósł głowę i z gasnącym uśmiechem wyciągnął do Duncana otwartą dłoń, na której leżały drewniane guziki, a z jego ucha zaczął wychodzić wijący się ogon węgorza. Przerazony Duncan cofnął się i przycisnął do ściany, z mocno bijącym sercem patrząc, jak Adam powoli znika w ciemnościach.

Kiedy znów się poruszył, nie wiedząc, czy minęły godziny czy zaledwie minuty, usłyszał nowy dźwięk. Ktoś szeptał miarowo słowa przypominające modlitwę. Ich sens zdawał się majaczyć na skraju jego świadomości, jakby powinien je rozumieć, chociaż nie były angielskie ani gaelickie, ani w żadnym innym europejskim języku.

- *Haudenosaunee! Haudenosaunee! Ohkwari! Ohkwari!*



W ciemnościach nie widział, skąd padają, lecz wiedział, że im dłużej ich słucha, tym bardziej mrozą krew w jego żyłach. Mogła je wypowiadać morderczyni z sąsiedniej celi albo ktoś z cel leżących dalej, a nawet ktoś chodzący po korytarzu. Albo coś przyczepione do burty statku. Marynarze twierdzili, że martwi chcą przejąć statek. Może tylko chcieli podzielić się swymi tajemnicami.

Zadrzał, chociaż rana w boku paliła go żywym ogniem. W gorączce widział przesuwający się przed nim korowód pytań i twarzy. Lister. Evering. Widmowa kobieta, która utonęła. Adam Munroe, raz po raz Adam, którego pamięć Duncan znieważa, nie mogąc spełnić żądania umierającego. Nic z tego, co wydarzyło się tego okropnego dnia, nie miało sensu, ale Duncan wiedział, że wszystko to w jakiś sposób łączy się ze sobą. Ktoś dokonał tego diabelskiego czynu w kabinie nawigacyjnej, zostawiając tam dziwny medalion Adama, a potem melancholijny anioł pojawił się na bomie i postanowił umrzeć, skacząc we wzburzone fale. Kapitan i Arnold chcieli, by Duncan orzekł, że nikt nie zginął. Tymczasem on odkrył, że Evering zginął, i to w inny sposób, niż sądziła załoga. Evering, który miał klucz do tego wszystkiego, umarł, zanim Duncan dowiedział się, jak uratować życie.

Wciąż słyszał wypowiedziane przez Listera słowo *redead* i widział karzące spojrzenie starego Szkota. Przecież to kiepski żart - nikt, nawet ten zaszusony stary żeglarz nie mógł uważać Duncana za wodza klanu.

Wcisnął się w kąt celi, mając wizje - równie pozlepiane jak krew na żebkach. Adam i Evering, trzymając razem porcelanowo białego anioła, biegli po falach, ścigając statek i wołając do Duncana coś, czego nie mógł zrozumieć. Kapitan szturchnął go w żebra rozżarzonym do czerwoności pogrzebaczem. Ojciec chłostał go ostem.

Kiedy znów się ocknął, znacznie później, w jego głowie rozwiła się już mgła wywołana gorączką. Z korytarza wpadało słabe światło lampy zawieszanej na belce sufitu. Ktoś zostawił przy wejściu kubek wody i Duncan wypił ją, po czym zauważył, że jego ranę opatrzone, owijając pasem materiału. Przy drzwiach leżał drugi taki pas - dodatkowy bandaż. Pomocawszy go, stwierdził, że to właściwie nie bandaż, ale lniana chusta, część podróżnego ekwipunku dżentelmena. W starannie złożonym materiale wymacał jakiś mały metalowy przedmiot. Podniósł go i obejrzał w smudze słabego światła sączącego się przez okienko, a potem dotknął językiem. To był guzik, srebrny guzik pokryty kropelkami zaschniętej krwi.

Po raz pierwszy od kilku tygodni poczuł głód - skrecający, dotkliwy głód. Zdejmując z kołka spodnie, żeby je włożyć, przeskakał kieszenie w nadziei znalezienia czegoś - kawałka rzemienia albo jakiegoś drewnianka, które mógłby pożyć. Nagle jego palce dotknęły twardego, zimnego kamienia otrzymanego od Adama i Duncan zapomniał o głodzie. Obok tego kamienia spoczywał medalion, którego oględziny przeprowadził dopiero teraz, obracając go w palcach w ciemności. Sztorm ucichł, realny świat powrócił i Duncan nie mógł już polegać na tym, że demony lub duchy dostarczą mu jakiejś odpowiedzi.

Nigdy nie widział, żeby Adam zdejmował medalion z szyi, jednak ktoś go zabrał tylko po to, żeby pozostawić go na zakrwawionym kompasie dwa dni po śmierci Adama. Duncan czasem widział kolorowy wzór na skórzanym kręgu pod koszulą Adama, symbol wielkiego ptaka podobnego do wrony w koncentrycznych, czerwono-żółtych kręgach, ale zawsze sądził, że ten wzór jest zrobiony z paciorków. Teraz odkrył, że to nie paciorki, lecz rzędy płaskich pasm - nie szklanych, nie kruchych jak trzcina, woskowo czarnych, lecz elastycznych. Ten medalion nie pochodził ze Starego Świata. Duncan pomacał wybrzuszenie z tyłu i ze zdziwieniem odkrył, że w miękkiej skórze jest zaszyty jakiś niewielki przedmiot. Nie wiedząc, dlaczego to robi, założył sobie medalion na szyję i schował pod koszulę, po czym wciągnął spodnie. Usiadł, trzymając w dłoni rzeźbiony kamień i ściskając go, aż rozboleły go palce, nienawidząc go, irracjonalnie obwiniając o śmierć Adama, a potem, gdy znowu poddał się rozpacz, powoli uderzając weń pięścią. W końcu, gdy wyzuty z sił i emocji oparł się o burzę, słuchając w ciemności szumu wody, wyczuwając zmiany jej rytmu, zastanawiając się, czy w tych dźwiękach kryją się ostatnie słowa Adama, wypowiedziane kiedy zanurkował w toń, pozostawiając swoje niedokończone ziemskie sprawy w rękach nieprzygotowanego do tego Duncana.

Zapadł w półsen, tuląc do piersi rzeźbiony kamień, przyciskając ucho do desek, raz po raz widział obrazy Adama oraz Everinga i słyszał niepokojące, niezrozumiałe szepty, aż nagle zbudził się, gwałtownie siadając.

- Guziki! - zawołał, zrozumiawszy pierwszą, niewielką część zagadki.

W oddali usłyszał głosy. Uklękawszy przy okienku, po raz pierwszy spojrzął przez nie na sien z masywnym stołem oraz pionową drabinką wiodącą na wyższe pokłady. Wzdłuż cel przesunął się jakiś cień, przystając przy każdej, aż wrzucił do jego kajutki małą kromkę suchego chleba i

nadgnię jabłko. Potem znikł, z głośnym trzaskiem rygła zamykając za sobą zewnętrzne drzwi. Jedząc, Duncan zrozumiał, że głosy należały do innych więźniów w głębi korytarza, rozmawiających ze sobą przez okienka w drzwiach, ożywionych po posiłku. Duncan nie rozróżniał poszczególnych słów, tylko beznadziejny ton tych głosów.

- Jesteś tam? - szepnął przez swoje okienko, kiedy przełknął pożywienie, nagle zapragnąwszy czyjegokolwiek towarzystwa, nawet tej wariatki. - O co ci chodziło z tym czarnym wiatrem?

Zastanawiał się, jaką popełniła zbrodnię, cóż takiego okropnego uczyniła, żeby zasłużyć na zesłanie do zabójczych tropikalnych plantacji? Słyszał kiedyś o kobiecie skazanej na zesłanie za zamordowanie nowo narodzonego dziecka.

- Ja też bałem się sztormu - powiedział ściszym głosem, zawstydzony tym, jak rozpaczliwie pragnie usłyszeć choć jedno słowo. - Słyszałaś ten głos wcześniej? Jakby jakiś przerażający duch mówił do nas przez burzę. Słyszałaś go już kiedyś?

Jednak nie otrzymał odpowiedzi. Czyżby to sobie wyobraził? Może tracił zmysły?

Po kilku godzinach dowiedział się, w jaki sposób więźniowie odróżniali noc od dnia. W nocy przychodziły szczury.

Obudził go szczeł żelastwa. Jakaś postać weszła do celi, zamknęła za sobą drzwi i usiadła, stawiając obok siebie osłoniętą i dającą niewiele światła lampę.

- Przyniosłem ci koc - szepnął przybysz, wręczając Duncanowi postrzępiony wełniany materiał i następny kubek wody. - Jak twoje zębra?

- Lepiej, dzięki tobie, panie Lister - odparł Duncan, prawie opróżniwszy kubek. - Co ze statkiem?

- Kapitan chciał zawinąć do Halifaksu, żeby go naprawić. Wielebny Arnold się nie zgodził. Straciliśmy fokmaszt. Więźniowie od trzydziestu godzin pracują przy pompach. Kazali mi wysprzątać kabinę nawigacyjną.

- To tam znalazłeś guzik? Ten, który tkwił w sercu?

- Tak. Zimnokrwisty, gwałtowny czyn. Na guziku była wygrawerowana mapa, bardzo mała. Biżuteria jakiegoś lorda. Ktokolwiek ukradł ten guzik, zrozumiał, że lepiej, by go nie złapano z czymś takim na statku. - Wyjął z

kieszzeni kawał solonej wieprzowiny i podał Duncanowi. - Jezu Chryste! - wykrzyknął. - Twoje ręce!

Duncan wyciągnął palce do światła. Krew sączyła się z tuzina napuchniętych ranek.

- Rana na moim boku krwawiła. Szczury były głodne.

Wskazał dwa martwe gryzonie leżące pod ścianą, o którą je rozgniółł.

Dozorca cicho jęknął.

- Zamykaj okienko po rozniesieniu posiłku - pouczył go, pochylił się i wyrzucił trupy na korytarz. - A w nocy zasłaniaj szparę pod drzwiami.

Nerwowo obejrzał się za siebie. Duncan przypomniał sobie, że Lister nie należał do dozorców mających prawo przebywać na więziennym pokładzie.

- Przecież nie muszę siedzieć tutaj następną noc - zaprotestował. - Niech mnie przeniosą do brygu. Nic nie zrobiłem, żeby...

Stary żeglarz nachylił się, uciszając go machnięciem ręki.

- Kapitan zachowywał się jak szalenciec. Kopnął kogoś usiłującego ocucić cię po tym, jak cię wyciągnęli, i próbował wyrzucić cię za burtę. Wielebny Arnold odciągnął go na bok. Zachowywał się tak, jakbyś był pierworodnym Ramseya, a nie jego niewolnikiem. Kiedy skończyli rozmawiać, dwaj marynarze znieśli cię tutaj, a kapitan wykrzykiwał, że wywiesi cię za burtę głową w dół, jako przynętę dla rekinów. Rzucił oskarżenia. Dwukrotna próba ucieczki. Celowy sabotaż. Mówi, że ma prawo cię osądzić i powiesić na rei. Arnold musiał umieścić cię tu za karę, żeby cię ocalić, chłopcze. Pokaż się kapitanowi, a poderżnie ci gardło. Teraz trwają targi.

- Targi?

- Kapitan oprócz oskarżeń wysunął żądania. Domaga się odszkodowania od Kompanii Ramseya. Wielebny twierdzi, że niedbalstwo załogi tamtej nocy omal nie doprowadziło do zatonięcia statku i gdyby załoga została na swoich stanowiskach, nie stracilibyśmy profesora Everinga, tak więc kapitan powinien zapłacić Kompanii za utratę gubernera.

Duncan splótł dłonie, patrząc na brudną słomę pod nogami.

- Kto wygra w tym sporze?

- Wiem tylko, że ty będziesz nagrodą. Bosman mówi, że jeśli wygra kapitan, to zaszyje cię w worku z kamieniami i wyrzuci za burtę.

Przez długą chwilę w celi było słychać tylko pomruk morza.

- Czy przynajmniej miała porządną pogrzeb? - zapytał głuchym głosem Duncan.

Czoło Listera zmarszczyło się ze zdziwienia.

- Nie pamiętasz? Wyciągnąłeś ją, chłopcze! - oznajmił stary dozorca z podziwem w głosie. - Myśleliśmy, że już po tobie, skoro miałeś ledwie pół sekundy na owiązanie się liną i kulę kapitana w boku. Miałeś jedną szansę na tysiąc. Kobieta była prawie martwa. Kiedy cię zabrali, wielbny Arnold się nią zajął. Zaczął ugniatać jej brzuch, ale potem byłem potrzebny na dziobie i nie widziałem nic więcej.

Duncan podniósł głowę.

- Ona żyje?

- Nie było pogrzebu.

Ta wiadomość wywołała nieoczekiwany przypływ emocji. Anioł spadł, a on wyciągnął go z morza. - Ale kim...?

- To chora z kabin na dziobie. - Lister nachylił się niżej i dodał szepem: - Widziałem ją już kiedyś, przysięgam. Zeszłej jesieni. Płynąłem na statku handlowym zmierzającym na wschód z drewnem dla Liverpoolu. Ona była pasażerką. Nie zapomnę tej twarzy, takiej młodej i urodziwej, a zarazem tak starej. Jakby całe jej piękno się wypaliło. Przez cały czas pozostawała w kabinie. Podróżowała z jakimś greckim dżentelmenem.

- Greckim?

- Przypominał mi poławiaczy gąbek, których widziałem na Morzu Egejskim. Smagły i milejący. Wykształcony. Uprzejmy. Nocami przechadzał się po pokładzie. Rysował konstelacje i wielkie ryby. Uczyłem go wiązać marynarskie węzły. Wyrzeźbił mi małego wilka, ponieważ powiedziałem mu, że jako chłopiec miałem takiego psa. Nazywał się Sokrates Moon.

- A kim była ona?

- Mówił, że księżniczką. Wygnana i w niebezpieczeństwie, więc nie należy wymawiać jej imienia.

- To brzmi jak bajka dla dzieci.

- To nie moje słowa, lecz jego.

Duncan wstał i położył dłoń na ramieniu Listera, gdy stary żeglarz odwrócił się, by odejść.

- Dzień przed śmiercią Adama - rzekł - splądrowano czyjś kufer. Kapitan oskarżył o to mnie.

- Jak płyniesz z psami, wszyscy mają pchły - z westchnieniem stwierdził Lister.

W Kompanii Ramseya było kilku złodziejasków i kieszonkowców. Osobiste rzeczy marynarzy, a nawet oficerów, czasem pojawiały się na więziennym pokładzie, zawsze wywołując burzliwe targi, a czasem zakłady.

- Jednak tamtego dnia pojawiły się nowe drobiazgi - wyjaśnił Duncan. - Igły do szycia. Krzemienne krzesiwo. Puchar z rogu. Krzesiwa do muszkietów. Drewniane guziki.

Adam nigdy wcześniej nie miał drewnianych guzików.

- Jegomości kraba.

- Porucznika Woolforda?

Lister pochylił się jeszcze bliżej, jakby nie chciał, żeby usłyszał go choćby szczur.

- Kiedy doszliśmy do siebie po burzy, Woolford w asyście najtęższych osiłków kapitana zebrał wszystkich członków Kompanii, obszukał ich i każdy hamak. Przeklął wszystkich, żądając zwrotu swojej własności. Miał w ręku pałkę i gniewny błysk w oczach. Nawet Cameron się bał - dodał, mówiąc o zapalczywym, krępy męczyźnie, który dowodził dozorcami. - Mówi, że Woolford zna sposoby pogan, którzy potrafią zadawać ból, jakiego nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Bił tych, którzy się opierali, a młodego Frasiera uderzył tylko za to, że zadawał pytania. Ktoś włamał się do kufra w jego kabinie.

- Co odzyskał?

- Formę do odlewania kul. Stalową głownię topora. Kubek z rogu. Rzeczy wiezione do Ameryki. Posłanie Adama przeszukiwał dwa razy. Wyglądał na wzburzonego, kiedy skończył.

- Chcesz powiedzieć, że nie znalazł tego, czego szukał?

- Większość swoich rzeczy odzyskał, ponieważ powiedział, że nikogo nie ukarze, jeśli natychmiast mu je oddadzą. Jednak moim zdaniem nie znalazł tego, na czym najbardziej mu zależało. I chyba chciał się upewnić, że Munroe zabrał to ze sobą.

- Ze sobą?

- Wszyscy to widzieliśmy. Wszyscy, którzy tamtego dnia byliśmy na dziobie. Woolford. Arnold. Cameron. Kiedy Adam stał na bocianim gnieździe, po tym jak wyrzył tam coś, podniósł rękę. Miał w niej jakiś mały, czarny przedmiot. Wyglądało mi to na kawałek węgla. Jednak zwykła węglowa

bryłka nie niepokoiłaby tak naszego żołnierza - rzekł Lister i ruszył do drzwi. - Może była to czarna sakiewka z klejnotami. Kiedy Woolford zobaczył, że Adam wychodzi z bocianiego gniazda, rzucił się, żeby go złapać.

Duncan przypomniał sobie, że rzeczywiście tak było. Woolford był tuż za nim, zdyszany, gdy Adam znikł w toni. Kiedy Duncan się odwrócił, porucznik miał taką minę, jakby kopnął go muł. Powstrzymał chęć dotknięcia czarnego kamienia w kieszeni.

- Jakie pytania? - indagował Listera. - O co pytał Frasier?

Ten zaledwie dwudziestoletni młodzian pochodził z rodziny mieszkającej w odległym krańcu Szkocji i został wychowany przez niezamężną ciotkę po tym, jak zabrano jego rodziców. Jednym z powszechnie znanych sekretów Kompanii był fakt, że ciotka kupiła mu stanowisko dozorycy.

- O werbunek do Kompanii. Dlaczego Woolford brał udział w każdym posiedzeniu sądu? Powiedział, że jeśli Kompania jest jedynie sposobem wcielania ludzi do wojska, to wolałby zostać w więzieniu. Zanim policzylibyś do trzech, drań rzucił się na chłopaka i zaczął go dusić. We trzech ledwie zdołaliśmy go odciągnąć. Woolford był pijany. Przez cały rejs trzeźwy jak w kościele, a teraz nosi przy sobie flaszkę.

- To wszystko, co powiedział Frasier?

- Tak się zdaje. Rozmawiałem z tym chłopcem. Mówi, że pytał o to wszystkich więźniów i każdy z nich pamięta, że Woolford był na sali sądowej, chociaż większość nie przywiązywała do tego wagi, gdyż armia czasem werbuje rekrutów prosto z sądu. Mówi, że dla wojska jesteśmy jak owce trzymane na mięso. Mówi też - dodał po chwili wahania Lister - że angielskie teriery słusznie zamyka się w psiarni morderców.

Duncan zmartwił, słysząc te słowa.

- Tylko jednego z Kompanii zamknięto w tych celach - szepnęła. Przez Adama Duncan utrzymywał kontakty z członkami Kompanii, z których wielu z niechęcią odnosiło się do jego angielskiego wychowania. - Nie miałem nic wspólnego z tym, co się stało.

- On mówi, że na łaskę trzeba sobie zasłużyć.

- Łaskę? Taką jak uwięzienie w tej szczyrzej norze?

- Frasier jest oszalały z nienawiści i strachu. Rozsypuje sól po kątach i mówi stare słowa, których nie słyszałem od dziecka. Wielebny Arnold zwołuje Kompanię dwa razy dziennie, żeby czytać Biblię. Mówi, że jedyne, czego

trzeba się obawiać, kiedy ludzie odbierają sobie życie, to zbytne oddalenie od Boga.

Chcieliby, żebyśmy tak myśleli - ciągnął Lister, ponownie obejrzawszy się na drzwi. - Stado słabeuszy obawiających się dziczy, jak mówi Cameron. - Lister spojrział Duncanowi w oczy. - Jednak obaj wiemy, że to nie słabość zabiła Adama Munroe. Tamtej ostatniej nocy, kiedy siedział przy drzwiach, przyniosłem mu kubek herbaty. Wyglądał tak kiepsko, że myślałem, że ma gorączkę. Nic nie mówiąc, przez długą chwilę spoglądał w parujący kubek, po czym nagle podniósł głowę i zaczął zadawać pytania, nie oczekując odpowiedzi. Spytał mnie, czy kiedykolwiek zastanawiałem się, jak wygląda Bóg. I czy byłem kiedyś żonaty. Zapytał, czy marynarka jest równie bezduszna jak armia. Powiedział, że robił straszne rzeczy ludziom, nie wiedząc o tym. Zapytałem, czy zdobył gdzieś rum. Powiedział, że Kompania zostanie użyta do wyznaczenia ceny za przemienienie świata. Łza spłynęła mu po policzku i powiedział, że jego przyjaciel Duncan wkrótce runie w czarną otchłań. Powiedział też, że armia przeżuje cię i wypluje kości.

Duncan zrobił głęboki wdech.

- Ja nie mam nic wspólnego z armią.

- Może - podsunął Lister - jeśli wierzyć młodemu Frasierowi, wszyscy mamy z nią coś wspólnego.

Duncan znów upił łyk wody z kubka.

- To z powodu tego, co powiedział Adam, wszedłeś za mną na maszt.

- Cameron zawsze przydziela mi późną wachtę, nad ranem. Przeważnie siedzę na pokrywie luku, myśląc o tych na dole, słuchając ich pieśni oraz krzyków przez sen. Wiedziałem tylko, że nie mogę już patrzeć na to, co się dzieje z młodymi członkami klanów.

- Ten siniak na twoim policzku, panie Lister. Skąd się wziął?

- To nic, miałem wypadek.

- Nie. Ktoś cię uderzył.

Stary marynarz milczał przez długą chwilę.

- Nazajutrz po śmierci Adama zapytałem o niego Camerona. Ten bez słowa mnie uderzył. Potem kazał mi pilnować swojego nosa.

- A o co dokładnie zapytałeś?

- Kto sprowadził Adama na pokład. Czy Adam przybył z Everingiem.

- Przecież Adam był jednym z więźniów.



Lister wyjął z kieszeni skrawek papieru, wyrwany z jakiejś gazety, wielokrotnie złożony i ściśnięty jak w prasie.

- To było w kabinie Everinga, wciśnięte w szparę w belce. Artykuł z gazety z Argyll, skąd pochodził Adam. Pamiętasz, że Adam nosił przy sobie wiele takich kawałków papieru?

- W bucie - przypomniał sobie Duncan, biorąc papier od Listera. - Trzymał je w bucie.

Początkowo Duncan sądził, że Adam trzyma te papiery jako wkładkę ocieplającą, tak jak wielu innych mężczyzn. Potem jednak zobaczył, jak Adam czyta skrawki, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Teraz Duncan w nikłym świetle spojrzął na artykuł i zaparło mu dech. Był to opis procesu Duncana i jego wuja.

- Dlaczego Adam...? - wymamrotał, kiedy odzyskał mowę. - Czemu dał to Everingowi?

Wiedział jednak, że ani on, ani Lister nie znają odpowiedzi na te pytania.

Lister wyjął zza pazuchy następny skrawek papieru.

- A kiedy pomagałem oczyścić ciało Everinga, znalazłem to za jego pasem.

Duncan wziął kartkę, a Lister przysunął bliżej lampę. McCallum, przeczytał, sześć szklanek, pierwsza wachta. Spojrzął na Listera.

- Chciał się spotkać ze mną o świcie. Zapewne następnego dnia zamierzał przekazać mi jakąś wiadomość podczas porannego posiłku.

Jednak znaczące spojrzenie Listera świadczyło, że dozorca jest świadomy tego, że wszyscy inni dojdą do wniosku, że Evering spotkał się z Duncanem w dniu - i prawdopodobnie w godzinie - swojej śmierci.

Lister zabrał Duncanowi ten skrawek papieru.

- Nie możesz mieć tego przy sobie - ostrzegł.

Kiedy odwrócił się, żeby odejść, Duncan dotknął jego ramienia.

- To, co powiedziałeś na maszcie, o McCallumie, wodzu klanu.

- O tobie, chłopcze.

- Nie. Właśnie o to mi chodzi. Wiem, że chciałeś dobrze. Jednak nie powinienem przyjmować tak poważnego zobowiązania. Nie jestem wodzem klanu. I nigdy nie będę. Mówiłeś o naszych przodkach. Nie mogę przynieść im zaszczytu.

- Czego nie możesz, chłopcze, to udawać, że ich świat wciąż istnieje. W tym rzecz.

- W czym?

- Nigdy nie będziesz miał ich świata. Jednak zawsze będziesz miał ich nazwisko.

Te słowa na długą chwilę zawisły w powietrzu.

- Czasem, tuż przed zaśnięciem - rzekł stary żeglarz, odwracając się do drzwi - słyszę kobzy i czuję zapach wrzosów. Zwykłem pomagać ojcu przyprowadzać długowłose bydło ze wzgórz - dodał nagle ochryplym głosem. - Sadzał mnie na włochatym krowim grzbiecie i szedł obok, śpiewając.

Serce podeszło Duncanowi do gardła, tak że nie mógł nic powiedzieć.

- W więzieniu - rzekł wreszcie - trzymali mnie w pojedynczej celi bez światła przez prawie dwa miesiące. Myślałem, że oszaleję. Przetrwiałem, przypominając sobie kolejne dni mojej młodości i odtwarzając wszystko, co wtedy robiłem, godzina po godzinie, od kiedy matka wyjęła mnie z kołyski. Festyny. Chwile spędzone z dziadkiem. Letnie dni, gdy niebo było błękitne, a wiatr sprzyjający i pływałem łodzią wśród baraszkujących fok.

Położył dłoń na ramieniu Listera.

Ten został i siedzieli na podłodze celi, z lampą słabo palącą się między nimi jak obozowe ognisko, rozmawiając o życiu, jakie obaj znali. Duncan snuł opowieści, których nie opowiadał od wielu lat, a siwowłose Lister uśmiechał się, mówiąc o dawno zmarłych ciotkach, które tańczyły z nim, gdy był chłopcem, oraz o picciu podczas festynów *athole brose*, szkockiego napitku z whisky zmieszanej z miodem, owsianką i śmietaną. Opowieści same płynęły z ust Duncana - o ogniskach palonych przez całą noc świętego Jana, by zapewnić dobre plony, o tym, jak pomagał dziadkowi skrapiać whisky łodzie rybackie, zanim wyruszyły na pierwszy wiosenny połów, jak przywiązywał gałązki jałowca do krowich ogonów, jak kobiety z wysp stawały wokół rozpostartego tweedu, wyśpiewując swoje krzykliwe przyśpiewki przy międleniu i rozciąganiu materiału, o wielu innych wspomnieniach z dawnych lat. Minęła godzina i choć Duncan nie wiedział dlaczego, poczuł taki spokój, jakiego nie czuł, od kiedy aresztowano go przed kilkoma miesiącami. Duncan wiedział, że Lister też to czuł, gdyż głos dozorca stał się swobodniejszy, a nawet radosny, aż siedząc w półmroku, Duncan słuchał chłopca, który przemierzał wrzosowiska przed półwiekiem.

- *Tapahd leat* - szepnął dozorca, kiedy w końcu wstał. - Dziękuję.

Gdy Lister zamknął za sobą drzwi, Duncan nachylił się do otwartego okienka.

- Nie wymienileś jego nazwiska - rzekł do odchodzącego. - Tego, który mnie ocucił, kiedy wyciągnięto mnie na pokład.

- Sam diabeł - odparł Lister. - Czerwony krab. Gdyby nie on i Arnold, kapitan poderzwałby ci gardło i wrzucił z powrotem do morza.

Duncan patrzył przez okienko, jak Lister zamyka zewnętrzne drzwi. Ona przeżyła. Tajemnicza kobieta w białej sukni jest bezpieczna, powiedział sobie z niespodziewaną uciechą. Ani przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości, że mogło mu się udać. Uratował ją, a ona nie była więźniarką, lecz chorą, przewożoną w tajemniczy pasażerką - upiorem, księżniczką lub aniołem - przez cały czas pozostającą w dziobowych kabinach z Arnoldem i Woolfordem. I Everingiem.

Wyjął z kieszeni czarny rzeźbiony kamień. Adam chciał, by inni, a szczególnie Woolford, sądzili, że zabrał ten kamień ze sobą na dno morza. Duncan obracał go w palcach, usiłując zrozumieć, dlaczego jest on tak ważny. Nagle mimowolnie uświadomił sobie, że ten kamień przedstawia niedźwiedzia - a raczej grubą, ciężarną niedźwiedzicę. „Skończyła ze mną”, powiedział Adam. „Teraz to ciebie potrzebuje”. Przecież to niemożliwe, żeby Adam umarł z powodu tej figurki, tylko po to by Woolford i Arnold sądzili, iż została zniszczona. Duncan rozwinął lniany bandaż i położył na nim kamień obok srebrnego guzika. Spoglądał na nie w nikłym świetle. Stary i Nowy Świat. Piana zabójczego wiru, w jaki wpadła Kompania.

Kilka godzin później, w większości przespanych niespokojnym snem, znów usłyszał te dziwne słowa w jakimś obcym, dźwięcznym języku, pełnym wywołujących dreszcz śpiewnych fraz z „s” i „q”. Bezwiednie przyłożył kamień do ucha, sprawdzając, czy mówi to niedźwiedzica, po czym - zastydzony - schował go z powrotem do kieszeni.

- Cicho bądź, więdźmo! - zawołał ktoś na końcu korytarza.

Duncan nachylił się do okienka, czując dziwną ulgę. Nie tylko on słyszał ten głos.

Jakby w odpowiedzi głos stał się silniejszy, a sylaby wyraźniejsze, choć wciąż niezrozumiałe.

- *Haudenosaunee! Haudenosaunee!*

W końcu, gdy głos stał się głośniejszy od szeptu, Duncan zdał sobie sprawę,

że to mówi kobieta z sąsiedniej celi. Z końca korytarza dobiegły kolejne przekleństwa. Przerażała swych współtowarzyszy - morderców. Przez długi czas nasłuchiwał przy okienku, aż głos przycichł do szeptu i zamilkł.

- Czy wiesz, dokąd płyniesz? - nagle zapytał kobietę, czując nieoczekiwaną chęć, by odwrócić jej uwagę, pocieszyć. - Na Jamajkę? Ten statek najpierw zawija do Nowego Jorku. Tam na pewno pozwolą ci wyjść na pokład i odetchnąć świeżym powietrzem. - Na przemian przyciskał do maleńkiego okienka usta lub oko. - Kompania Ramseya schodzi na ląd w Nowym Jorku. Jednak kapitan musi dostarczyć cię w dobrym zdrowiu. Pozwoli ci na przechadzki, kiedy...

Zamilkł, uświadomiwszy sobie, że on również może być wieszony na jedną z zabójczych tropikalnych plantacji lub - co bardziej prawdopodobne - opuści ten statek wyrzucony za burtę z kamieniem przywiązany do nóg. Jego życie spoczywało w rękach wielbego Arnolda, człowieka, którym gardził i który okazywał mu jedynie pogardę.

- Mam brata w nowojorskiej kolonii - rzekł po długiej chwili. - Czytałem w gazetach o tamtejszych pięknych górach i jeziorach, pełnych nieznanym nam dzikich zwierząt. Miałem plan, o którym napisałem mu w zeszłym roku - ciągnął Duncan nieco głośniejszym głosem. - Napisałem, że kiedy wyjdzie z wojska, założymy farmę na jednym ze wzgórz nad jeziorem. Będziemy mieli krowy i owce. Moja matka uwielbiała owce. Kiedy byłem chłopcem, trzymała w domu osieroczone owieczki. - Duncan uświadomił sobie, że mówi cieniem, chłopcowskim głosem. Czuł się tak, jakby prosił kobietę o wybaczenie, i sam nie wiedział, dlaczego kłamie, udając przed nią, że kiedyś będzie wolny i odszuka brata. - Mój brat jest na wojnie...

Szczupła ręka, naga i blada, wysunęła się z okienka sąsiedniej celi, pozwoliła podnosić się i opuszczając, jakby badała mrok. Jego brat Jamie został wychowany na nizinach na Anglika przez dalekiego kuzyna, który pozbył się go, podając nieprawdziwą datę jego urodzin i kupując nieletniemu przydział do królewskiej armii, co miało gwarantować, że nigdy nie wróci do swych szkockich zwyczajów. Teraz plan założenia farmy stał się jeszcze jednym niespełnionym marzeniem, a wojsko, w którym służył brat, zdaniem Adama zamierzało zniszczyć Duncana. To wojsko, które - jak twierdził Frasier - miało jakieś sekretne powiązania z Kompanią. W swoim liście Adam napisał, że Kompania zamierza robić w Nowym Świecie coś wprost

przeciwne niż to, co deklaruje. Duncan często słyszał, jak Arnold mówił o zamiarach Kompanii. Miała szerzyć dobro i cnoty, upodobnić nową ziemię do spokojnej, uporządkowanej Anglii.

Nagle, bez namysłu, Duncan wystawił rękę przez okienko, sięgając ku sąsiedniej celi. Jego ramię zupełnie wypełniło niewielki otwór, tak że nie widział, gdzie jest ręka kobiety. Musnął ją, po czym wyprostował palce. Jej dłoń napotkała jego dłoń i dotknęli się czubkami palców. Dzieląca ich odległość była za duża, by mogli uścisnąć sobie dłonie, ale splekli końce swych palców.

- Mam na imię Duncan - oznajmił.

Jej palce były miękkie, jak u kobiety nienawykłej do ciężkiej pracy. Bogate kobiety, przypominał sobie Duncan, też czasem zabijają swoje dzieci. Istotnie, gdyby nie była bogata, taka kobieta zapewne zostałaby powieszona na rynku miasteczka.

Powiedziała kilka słów w swoim dziwnym języku, po czym ścisnęła jego palce i znów zamilkła. Azjatka. Nigdy nie słyszał żadnego orientального języka, ale wiedział, że są dźwięczne i śpiewne. Widocznie wychowała się w jednej z azjatyckich kolonii i teraz wracała myślami do tamtego szczęśliwszego okresu życia. Wiedział, że to jeden ze sposobów, w jakie rozpacz igrza z ludzkim duchem.

- Jak mam cię nazywać? - zapytał.

Jej jedyną odpowiedzią był zduszony śmiech. - Zatem będziesz Florą - oświadczył.

Nie odpowiedziała, ale nie zabrała ręki.

- Ona śpiewałaby im, Floro - szepnął z nieoczekiwane ściśniętym sercem. - Moja matka. Trzymała osierocone owieczki i śpiewała im w nocy, kiedy sądziła, że wszyscy śpią. Ja nie szedłem spać i podkradałem się do kuchennych drzwi, żeby posłuchać. Nie wiedziała, że tam jestem. Myślę, że te piosenki utrzymywały je przy życiu tak samo jak mleko, którym je karmiła.

Kobieta mocno ścisnęła jego palce, a on mówił dalej, na moment zapominając o czekającej go zgubie, opowiadając o starym kamiennym domu, w którym mieszkali, o żeglowaniu z dziadkiem, a nawet o tym, jak raz dziadek rozebrał się do naga i wskoczył na grzbiet przepływającego wieloryba, pozostawiając Duncana samego w łódce, podczas gdy stary ryczał ze śmiechu i śpiewał gaelicką balladę lewiatanowi pozostającemu na powierzchni, z dziwnie zadowolonym błyskiem w wielkich czarnych ślepiach.

W końcu, zdawszy sobie sprawę, że od lat nie zwierzał się tak żadnej kobiecie, Duncan zamilkł i tylko nadal ścisnął jej palce w ciemności. Jej dłoń była pierwszą ciepłą rzeczą, jakiej dotykał od wielu dni.

Nagle usłyszał skrzypienie drewna i Flora gwałtownie zabrała rękę. Ktoś zbliżał się do zewnętrznych drzwi, niosąc lampę. Duncan cofnął się i wtulił w kąt. Po chwili klucz obrócił się w zamku, drzwi jego celi się otworzyły i stanęli w nich dwaj mężczyźni o twarzach skrytych w mroku.

- Kapitan śle wyrazy uszanowania - drwiąco oznajmił jeden.

Gdy nachylił się, by wejść do celi, Duncan skulił się przerażony. Kapitan wygrał targi i posłał po swoją nagrodę. Duncan uchylał się i uskakiwał, przez chwilę unikając ciosów, dopóki kopniak w brzuch nie rozciągnął go na podłodze. Spadł na niego grad silnych uderzeń pięściami oraz kopniaków w nogi i plecy. Marynarz śmiał się, gdy Duncan daremnie próbował stawiać opór i unikać kopnięć. Zamierzali pozbawić go przytomności, którą odzyska, dopiero wpadając do wody, zaszyty w płótno.

Nagle oprawcę odciągnął jego kompan trzymający w ręku kawałek grubej, powiązanej w węzły liny, którą zaczął okładać Duncana. Ten jednak po pierwszym uderzeniu nie czuł następnych, tylko słyszał ich odgłos. W pierwszej chwili pomyślał, że stracił czucie, ale zaraz pojął, że marynarz uderza ściany i podłogę obok niego, głośno go przeklinając. Po chwili przestał, upuścił coś obok głowy Duncana, pospiesznie wymamrotał kilka słów i odszedł. Pierwszy mężczyzna ponownie pojawił się z wiadrem lodowato zimnej morskiej wody, którą oblał Duncana, po czym z okrutnym śmiechem zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Duncan wstał, otrząsnął się i zapomniawszy o bólu, podkraść się do drzwi, żeby spojrzeć na odchodzących. Czyżby kapitan jednak przegrał negocjacje?

Duncan podniósł przedmiot pozostawiony przez drugiego z mężczyzn. Był to wysuszony kwiat. Ostu. Nagle przypomniał sobie pospiesznie wyszeptane słowa. *Redeat*, „Klanie McCallumie”. Duncan powoli uświadomił sobie, że Lister wykorzystał wizytę kapitańskiego oprawcy. Uparty stary Szkot nie zamierzał pozwolić, żeby Duncan odwrócił się od swojej przeszłości. To Lister tłukł liną w deski i zostawił tradycyjny dar. Chociaż rana w boku znów się otworzyła i zaczęła krwawić, wargi Duncana wykrzywił kpiący uśmiech. Ceremonia mianowania nowego wodza klanu McCallumów właśnie została zakończona.

Dwie kupki kosteczek, sprzączka, oko, pióro, serce na kopczyku soli. Z początku te przedmioty pojawiały się i znikwały w świadomości Duncana, a potem skupił się na nich, aż oczami duszy ustalił ich położenie wokół kompasu. Następnie, niczym naukowe fakty z medycznych wykładów, zebrał w myślach wszystko, co wiedział o ostatnich dniach życia Everinga. Adam widocznie zwierzył mu się i powierzył dziwny amulet, który nosił na szyi. Tylko dlaczego zachował ten czarny kamień dla Duncana, obierając na swego spadkobiercę jego, a nie Everinga? Dlaczego, wciąż zadawał sobie pytanie Duncan, Adam powiedział: „Oni wiedzą, kim jesteś”, jakby przywódcy Kompanii wiedzieli o nim coś, czego sam nie dostrzegał? Dlaczego Evering zginął zaraz po Adamie i dlaczego wkrótce potem anioł na bomie usiłował się zabić? Duncan po raz setny wyjął z kieszeni kamień i - sfrustrowany - przycisnął go do czoła.

Zasnął, dręczony powracającym snem o pięknej kobiecie unoszącej się w wodzie obok niego. Jej zakończone długimi czarnymi szponami palce wyciągały się ku niemu, tak jak ręce jego ojca w najgorszych z sennych koszmarów. Kiedy się ocknął, na podłodze celi leżały dwa duże suchary, najwidoczniej wrzucone przez okienko w drzwiach. Przez kilka minut próbował po ciemku powyjmować z nich robaki, po czym zrezygnował i zjadł je całe, tak jak robiło to wielu marynarzy. Ponownie podszedł do okienka i zawołał szaloną kobietę, wyciągając w ciemności rękę w poszukiwaniu jej dłoni. Flora była tam, gdyż kilkakrotnie słyszał, jak krzyczała, jakby w koszmarnym śnie, lecz już nie śpiewała i nie podała mu swych miękkich palców.

Znów zasnął i zbudził go odgłos zamykanych drzwi oraz nagle światło, które ponownie zabłysło w okienku celi. Na podłodze leżał stosik złożonych ubrań. Zewnętrzne drzwi korytarza były otwarte i Duncan widział przez nie stół, na którym był jakiś papier i dwie świece w dużych osłonach.

Ubrał się powoli, obserwując stół. Strój był prosty i solidny, chociaż nie tandetny - najwyraźniej liberia sługi w jakimś dużym dworze. Gdy Duncan włożył zapinane na sprzączki buty, skrzypnęły otwierane drzwi i ujrzał porucznika Woolforda cofającego się w kierunku stołu, za którym usiadł, gdy wielebny Arnold wyszedł z cienia, zamknął zewnętrzne drzwi za Duncanem i usadowił się obok oficera. Stojący naprzeciw nich stołek czekał na Dunca-

- To nie było ludzkie serce - oświadczył Duncan, siadając na stołku.

Woolford zmarszczył brwi.

- Kucharz w końcu doszedł do siebie i wyjaśnił, że należało do świni, którą zarznął poprzedniego wieczoru - potwierdził zwięźle oficer, gładząc się po kanciastej szczęce i spoglądając na Duncana. Szkarłatny uniform, który zwykle nosił, był dziwnie pozbawiony jakichkolwiek naszywek czy insygniów. Duncan nigdy nie widział, żeby Woolford nosił na piersi małą mosiężną odznakę, tak cenioną przez innych oficerów. W istocie, pomimo arystokratycznych manier zdradzających pochodzenie, Woolforda otaczała dziwnie złowieszczą aurą, jakiej Duncan nigdy wcześniej nie zauważył u żadnego innego oficera.

- Statek poradził sobie ze sztormem - podsunął Duncan.

- Z tym sztormem, McCallum, ty musisz sobie poradzić - warknął Woolford. - Evering zginął, straciliśmy cenny czas, walcząc z burzą, ponieważ nie podtrzymałeś załogi na duchu, mówiąc jej prawdę, a potem przeciąłeś reję w chwili, gdy była najbardziej potrzebna. Większość z nas uważała, że jesteście zgubieni.

- Połowę sprzętów z kajuty kapitana wyrzucono za burtę, usiłując przebłagać demony morza - zauważył nieco spokojniejszy głos. - Obiecaliśmy, że Kompania Ramseya poniesie koszty ich odkupienia i napraw - z westchnieniem wyjaśnił Arnold. - Zapewniliśmy, że nie wyrządzisz więcej żadnych szkód.

- Jestem równie bezsilny w ładowni więźniów jak tutaj - odparł cicho Duncan, spoglądając w kierunku korytarza z wilgotnymi celami.

- Dowiodłeś, że jest inaczej - odparł Woolford. - Gdybyś widział błysk w oku kapitana, kiedy pada twoje nazwisko, byłbyś wdzięczny, że zostałeś tam zamknięty. - Oficer obrzucił go zimnym spojrzeniem. - Przypomniał nam, że zgodnie z naszymi przepisami należy ci się czterdzieści batów za ucieczkę.

Ostatnie słowa oficera uciszyły protest, który cisnął się Duncanowi na usta. Jeszcze niewygojone rany na plecach zapiekły go na wspomnienie bata.

- Kapitan uważa cię za najniebezpieczniejszego z naszych przestępców - przerwał karcąco Arnold. - Jednak - dodał nieco łagodniejszym tonem - jesteśmy świadomi tego, że choć być może naraziłeś życie wszystkich na pokładzie, to niewątpliwie jedno uratowałeś.

Duncan spojrział na leżące przed Arnoldem papiery. Duchowny przycisnął łokciem róg szerokiego, rozłożonego pergaminu zwijającego się na



brzegach. Obok leżały gęsie pióra, cynowy kalamarz i jakiś czarny gałgan.

Arnold nachylił się, pozwalając trwać ciszy, jakby zamierzał wygłosić jakieś ważne pouczenie z ambony.

- Kompania poniosła okropną stratę - oznajmił. Duncan uświadomił sobie, że wielebny nie ma na sobie swojej sztywnej czarnej kamizelki, lecz brązowy surdut i koszulę z koronkowymi mankietami - strój bogatego kupca. - Nasz Arystoteles został wezwany do większej świątyni.

- Będzie nam brak profesora Everinga - zauważył Duncan, nie rozumiejąc, czego Arnold od niego oczekuje. Ukradkiem obserwował drabinę, wciąż czując mrowienie na plecach. Wkrótce przyjdzie tu dozorca i chłosta, jaką planowali mu wymierzyć, pozostawi blizny do końca życia - jeśli ją przeżyje. Jeżeli sam kapitan chwyci za bat, Duncan nie ujdzie z życiem.

- Jednak Opatrzność miała nas w opiece.

Duncan uświadomił sobie, że Arnold patrzy na niego i do niego kieruje te słowa.

- Opatrzność?

- Osobiście wybrałem wszystkich członków Kompanii - przypomniał mu Arnold. Duncan nie rozumiał, po co ten obcy w koloratce stoi przy sędziowskiej ławie, dopóki sędzia nie oznajmił, że zmienia wyrok więzienia na ciężkie roboty w koloniach, po czym odwrócił się i uściśnął dłoń Arnolda. - Odebrałeś europejskie wykształcenie. Zanim się stoczyłeś, miałeś uprawiać szacowną profesję.

- To przeszłość - niemal szeptem odparł Duncan, zerkając na Woolforda i wspominając słowa Frasiera, że nie tylko Arnold wybierał ludzi do Kompanii. - Teraz jestem skazańcem.

Arnold przysunął lampę do pergaminu, tak że oświetlała znajdujący się na nim tekst.

- Zasadniczą rolą Kompanii Ramseya - rzekł z powagą, wskazując na dokument - jest odmiana ludzkich losów.

Duncan spojrział na niego niepewnie, po czym zaczął czytać. „Na statku *Anna Rose*, płynącym z Glasgow” - zaczynał się tekst. W pierwszej linijce, wykaligrafowane wielkimi literami, widniało jego nazwisko. Przeczytał cały tekst, po czym stropiony podniósł głowę. Była to umowa zmieniająca wyrok siedmiu lat ciężkich robót na taki sam okres służby u lorda Ramseya. Poniżej widniał podpis Arnolda jako pełnomocnika wielmoży.

- Taka służba nie jest czymś niehonorowym. Wielu wolnych ludzi podpisało takie dokumenty w zamian za przewiezienie do Nowego Świata - zauważył Arnold.

Duncan przypomniał sobie swój skok z relingu. Tak się czuł, kiedy zamknęły się nad nim ciemne wody.

- Ja już zasłużyłem sobie na przewiezienie - mruknął, nie odrywając oczu od stołu i widząc, jak Arnold zaciska pięść.

Wciąż był stropiony, a nawet przestraszony, lecz te uczucia przyćmiewała głęboka niechęć, jaką darzył tych dwóch mężczyzn.

- Musimy znaleźć kogoś, kto zastąpi Everinga jako gubernator dzieci jego lordowskiej mości - ciągnął wielebny. - Król potrafi być litościwy. Zostałeś skazany za ukrywanie starego rabusia. Jednak w sprawozdaniu z procesu napisano, że był to podstarzały krewny. Może po prostu spełniałeś swój obowiązek wobec starego członka rodziny, nie znając wszystkich okoliczności - ostrożnie dodał Arnold, jakby mógł nie tylko zmienić wyrok Duncana, ale także samo sprawozdanie z jego procesu. - Podpisz, a porucznik poświadczy.

Duchowny podsunął Duncanowi czarny gałgan. Duncan zobaczył, że to czapka, jedno z tych czarno-szarych nakryć głowy noszonych przez uczonych mężów, które zapewne otrzymał Evering, kiedy formalnie został członkiem Kompanii.

Nagle Duncan przypomniał sobie, że młody Frasier, który niedawno ukończył szkoły, czasem pełnił rolę sekretarza Arnolda. Frasier wiedział o tym dokumencie, kiedy twierdził, że Duncan cieszy się łaskami, chociaż on sam nadal nie mógł do końca zgłębić znaczenia tych łask.

- Proponujesz mi wolność?

- Pewnego rodzaju, po zejściu ze statku. Wolność lepszego służenia lordowi Ramseyowi. Jestem upoważniony, by podpisać ten dokument w imieniu jego rodziny. Pozostaniesz członkiem Kompanii związanym warunkami swego wygnania. Będziesz nauczał członków Kompanii w każdą niedzielę po mszy.

- Zaczynam się zastanawiać, wielebny - rzekł z udawanym zmieszaniem Duncan - czy mówisz w imieniu Boga, króla czy lorda Ramseya?

- Człowiek w twojej sytuacji nie powinien uważać tego za istotne - lodowatym tonem wtrącił Woolford.

Arnold splótł przed sobą dłonie i pochylił się, jakby wdzięczny za sposobność wyjaśnienia tej kwestii.

- Rodzina Ramseyów od niemal trzech stuleci łaskawie mianowała Arnoldów proboszczami parafii Kentu. To niewielkie probostwo, zależne od włości Ramseyów. Mój starszy brat zajmuje się duchowymi potrzebami dzierżawców, którzy tam zostali. Ja zaspokajam potrzeby Ramseyów wszędzie indziej, pod wieloma względami. Jestem proboszczem Edentown, nowej siedziby Kompanii Ramseya. Mam również zaszczyt służyć jako pełnomocnik lorda, upoważniony do prowadzenia jego interesów. Światli ludzie rozumieją, że Boża wola nie ogranicza się do spraw ducha.

Duncan miał coraz większe wątpliwości.

- Zatem lord przebywa w Nowym Świecie?

Napotkał spojrzenie Woolforda. Oficer uważnie mu się przyglądał, wodząc palcem po długiej bliźnie na szyi, najświeższej z kilku znaczących jego szczękę i kark. Chociaż niewiele starszy od Duncana, Woolford miał wygląd starego weterana i zimne oczy drapieży. Lister twierdził, że to on spowodował śmierć Adama, mówiąc mu, że płyną do miasta lorda Ramseya w nowojorskiej kolonii.

- Oprócz swoich włości w Anglii - ciągnął Arnold - lord Ramsey posiada wielki dom w mieście Nowy Jork, jak również ziemie na zachodzie tej kolonii. Cieszy się życiem w Ameryce, wiedząc, że w koloniach może lepiej służyć interesom swojego kuzyna króla. Pragnie jednak, żeby jego dzieci nauczał ktoś znający europejskie realia.

Duncan wpatrywał się w pociągłą, nieruchomą twarz Arnolda. To, co mówił duchowny, było niewiarygodne. Duncan musiał się przesłyszeć.

- Nauczał przez siedem lat - dodał z nikłym uśmiechem Arnold.

Podniósł pióro i podał je Duncanowi.

- Mam być guwernerem? - z niedowierzaniem spytał Duncan. - Dzieci angielskiego lorda?

Arnold zacisnął szczękę, po czym wycelował długi, kościsty palec w kierunku korytarza za plecami Duncana.

- Albo możesz być winny współudziału w zdradzie twego wuja i próby sabotażu na tym statku. Co zasługuje na najsurowszą karę, taką, jaka czeka tych w celach, którzy płynęli na Jamajkę. - Arnold wstał i pechnął drzwi prowadzące na korytarz, po czym stanął w progu. - Masz pojęcie, co czeka te nieszczęsne stworzenia? Co może czekać ciebie, jeśli nie weźmiesz tego pióra? - zapytał, podnosząc głos, jakby chciał mieć pewność, że usłyszą go wszyscy w celach. - Lata pracy na plantacjach trzciny cukrowej, jeśli będziesz

miał pecha i pożyjesz tak długo. Chmary owadów tak gęste, że wciągasz je do płuc przy każdym oddechu. Jadowite węże. Żółta febra. Malaria. Huragany. Połowa nie przeżyje drugiego roku. Pochówek w płytkim grobie bez nagrobka, w którym twoje kości zmieszają się ze szczątkami innych zmarłych niewolników.

Ten anglikański kapłan potrafił w swym łagodnym głosie zawrzeć mnóstwo siarki i ognia.

Duncan spojrział w kierunku cel, nienawidząc Arnolda za tak cyniczne ukazanie losu czekającego Florę w jej obecności, po czym znów popatrzył na oficera. Widział już to chłodne wyrachowanie na jego twarzy w sali sądowej, kiedy skazywano jego wuja. Był to moment, w którym zdecydowano o ludzkim życiu. Teraz Duncan zatęsknił za tymi monotonnymi chwilami w celi, kiedy przy życiu trzymała go jedynie szalona myśl, że jest wodzem klanu. Kiedyś widział człowieka niemal pogrzebanego żywcem, który obudził się ze śpiączki, gdy grabarze zaczęli sypać na niego ziemię - wypaloną ludzką skorupę, w której nie pozostała nawet iskra życia. Arnold i Woolford mieli nadzieję, że takiego Duncana wywloką z celi.

Pióro, które podniósł, wydało mu się ciężkie jak granitowy głaz.

- Po wyokrętowaniu będziesz sługą rodziny Ramseyów – oznajmił z aprobującym skinieniem głowy Arnold. - Nie będziemy tolerować żadnych wybryków ani opieszałości. Jak również zuchwałego lekceważenia swojego życia, które przez siedem lat będzie należało do lorda Ramseya. Jesteś wybrańcem Boga.

Duncan ze zdumieniem spojrział na księdza, gdy Woolford podniósł drugie pióro, aby poświadczyć. Gdyby te ostatnie trzy słowa usłyszał od kogoś innego, uznałby je za kpinę. Ponownie popatrzył na dokument i przypomniał sobie pytające, niewidzące spojrzenie Everinga, kiedy wyciągnęli jego ciało na pokład.

- Skąd mam wiedzieć, że podpisując to, nie skazuję się na taki sam los, jaki spotkał Everinga - zapytał, trzymając pióro nad dokumentem.

Woolford opuścił rękę, miał oczy okrągłe ze zdziwienia. Arnold zacisnął cienkie wargi, groźnie marszcząc brwi.

- Z pewnością zdajecie sobie sprawę, że ostatni gubernator Ramseyów został zamordowany - rzekł Duncan.

Woolford nachylił się, mierząc Duncana badawczym, niedowierzającym spojrzeniem.

Arnold obrzucił go lodowatym wzrokiem.

- Profesor utonął.

- Ze sznurem na szyi? - spytał Duncan.

- Dokładnie rozważyliśmy okoliczności tego tragicznego wydarzenia - odparł stanowczo Arnold. - Evering był przygnębiony, od kiedy w zeszłym roku stracił żonę, zmarłą na zarazę. W kraju miał krewnych. Jego rodzina z przykrością się dowie, że popełnił samobójstwo.

- Samobójca na tym statku może skoczyć za burtę albo się powiesić - zauważył Duncan, odkładając pióro na stół. - Nie musi robić obu tych rzeczy naraz.

- On po prostu chciał, żeby jego ciało wyciągnięto i pochowano po chrześcijańsku - zapewnił duchowny, zamykając drzwi, wracając do stołu i nachylając się do Duncana. - Pętla na szyi zapewniła szybką śmierć. Tak zanotował kapitan w dzienniku pokładowym, z moim podpisem jako świadka. Podaliśmy, że Evering wypadł za burtę podczas sztormu. Już napisałem nekrolog, który zostanie opublikowany w Londynie na koszt Kompanii. Jest w nim bohaterem, chociaż umarł, zanim rozpoczęliśmy nasze dzieło w Ameryce. Kapitan spodziewa się niebawem napotkać jakiś statek zmierzający na wschód. Ciało i nekrolog zostaną odesłane do kraju.

- Gdyby żył, kiedy sznur się zacisnął, miałyby na szyi otarcia - wyjaśnił Duncan, patrząc na swoje złączone dłonie. - Nie było ich.

Zapadła cisza, w której usłyszeli przeciągły jęk udręki dobiegający z cel.

Arnold zmrugał oczy.

- Nic nie wiesz o takich sprawach.

- O ile pamiętam, niedawno potrzebowaliście mojej medycznej wiedzy.

- Nie zostałeś oficjalnie uznany za lekarza lub chirurga - upierał się Arnold.

Uniósł róg dokumentu, jakby ostrzegawczo.

- Obaj słyszeliście w sądzie, że mam za sobą trzy lata studiów medycznych. Przez większość tego czasu stałem na sali sekcyjnej i badałem ciała przynoszone przez urzędników magistrackich, organ po organie, członek po członek. Może nie mam należytych kwalifikacji, aby leczyć żywych - przyznał Duncan - lecz potrafię wyjaśnić przyczynę śmierci. Pokażcie mi ciało, a dowiem się prawdy.

Te słowa wywołały grymas zdziwienia na twarzy Woolforda. Arnold splótł dłonie jak do modlitwy.

- Takie zuchwałe zarzuty tylko zaniepokoją lorda Ramseya - rzekł i wymienił posępne spojrzenia z Woolfordem. - Evering był związany z Kompanią.

- Pierwszego dnia rejsu słyszałem, jak mówiłeś do wszystkich więźniów, że Kompania dba o uczciwość i prawdziwą wiarę - przypomniał Duncan.

Ta uwaga uspokoiła Arnolda.

- Co więcej - przyznał duchowny - jest to eksperyment pod królewską egidą. Jeśli się nam powiedzie, powstanie dwadzieścia takich kompanii i dwadzieścia nowych społeczności, które powstrzymają Francuzów i ich dzikich sprzymierzeńców. Nie zawiedzimy. I nie damy się od tego odwieść ani okryć niesławą. Mylisz się, panie.

Duncan podniósł głowę. Czyżby Arnold właśnie dostarczył mu odpowiedź na pytanie, dlaczego wojsko tak interesowało się skazańcami?

- Jeśli tych rytualnych znaków nie pozostawił samobójca - rzekł Duncan - to miały być wiadomością dla żywych, a nie zmarłych.

- To zakrwawione serce pozostawiono dla nas? - Woolford nagle stracił pewność siebie.

Pochylił się z niespodziewanie rozbudzonym zainteresowaniem.

Arnold odwrócił się i gniewnie spojrział na Woolforda, najwidoczniej zaskoczony jego reakcją.

- Ilu członków Kompanii było już przedtem w Nowym Świecie? - zapytał Duncan.

Arnold odsunął pióro poza jego zasięg, jakby ponownie rozważał swoją propozycję.

- Dlaczego pytasz? - dociekał oficer.

- Te rytualne znaki. Część z nich pochodziła z Nowego Świata. Część, jak sądzę, nie. Ilu, poza Adamem Munroe?

Woolford uważnie przyglądał się Duncanowi, ale nie odpowiedział.

- Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, poruczniku - ciągnął Duncan - że śmierć Adama Munroe, profesora Everinga, ten rytuał, a nawet skok tej biednej dziewczyny do morza, wszystkie te wydarzenia zaszły po tym, jak splądrowano pański kufer. Ten stał się dla Kompanii istną puszką Pandory. Co w nim było z Ameryki?

W oczach Woolforda Duncan nie ujrzał gniewu, lecz błysk zaskoczenia,

który szybko zastąpiło coś, co mogło być niepokojem. Oficer wstał, wyszedł zza stołu i wskazał Duncanowi drabinę.

Pięć minut później byli w ładowni na dziobie, wąskim i ciemnym pomieszczeniu, gdzie wilgotne powietrze było przesycone ostrym, niemal duszącym zapachem zęzy, przypraw, pleśni, smoły i zepsutego mięsa. Arnold i Woolford stali z latarniami w rękach, podczas gdy trzej dozorca pod wodzą Listera ściągnęli płótno żaglowe z długiej skrzyni i wyjęli gwoździe przytrzymujące wieko. Zdjęli je i pospiesznie się oddalili, rzucając Duncanowi podejrzliwe spojrzenia. Tylko Lister pozostał w polu widzenia, stojąc w pobliżu wejścia.

Ciało profesora Everinga zostało zasolone. Zanim złożono je na warstwie soli, został obmyty i starannie odziany, a do pasa przyczepiono mu jego sfatygowany srebrny czasomierz. Skórę miał suchą i ściągniętą, a sine wargi wykrzywione w groteskowym uśmiechu. Oczy profesora zakryto dwiema dużymi jednopensówkami.

Arnold podszedł do trumny i czubkami palców zepchnął monety, pozwalając im spaść w sól.

- Poganie - wymamrotał ze wzgardą.

- My zawsze umieszczaliśmy zwłoki w beczkach z solanką - powiedział w zadumie Duncan, z zawodowym skupieniem oglądając ciało. - W ten sposób zostają doskonale zakonserwowane.

- Tak też sugerował kucharz - odparł Woolford. - Jednak opuszczanie beczki do grobu wydawało się niezbyt heroiczne. Ponadto dzięki temu mamy pewność, że przez pomyłkę nie złożą w grobie dwunastu kamieni peklowanej wieprzowiny.

W jego słowach wydawało się pobrzmiwać lekkie rozbawienie, lecz w jego oczach Duncan ujrzał tylko wyzwanie.

Szybko zabrał się do pracy. Rozpiął kołnierzyk zmarłemu. Stężenie pośmiertne już dawno ustąpiło i bez trudu obrócił głowę zmarłego w dłoniach, gdy Arnold cofnął się z grymasem obrzydzenia.

- Najcenniejszym przywilejem profesji kata jest możliwość sprzedawania zwłok ofiar szkołom medycznym - wyjaśnił Duncan. - Badałem wielu wisielców. Każdy z nich miał rozległe obrażenia na szyi, ponieważ sznur zawsze miażdży żywą tkankę. Zobaczcie sami. Profesor nie ma takich śladów.

Pokazał im bladą skórę na szyi zmarłego.

- To z pewnością zajęcie dla urzędnika magistrackiego - zaprotestował Arnold. - Szacunek należy...

Woolford przerwał mu, podnosząc rękę.

- Tutaj nie ma żadnych urzędników magistrackich, a ciało wkrótce zostanie odesłane do kraju - rzekł. - Z pewnością powinniśmy dać szacownemu Everingowi szansę przekazania czegoś jego następcy.

Duncan zerknął ku drzwiom, gdzie stał Lister z dziwnie zbolaną miną, po czym podjął dalsze badania szczątków Everinga, zaczynając od dłoni. Te były miękkie, bez śladu skaleczeń świadczących o stoczonej walce. W prawej dłoni profesor ścisnął małą Biblię, którą czasem czytywał na pokładzie.

- Czytałem z niej podczas nabożeństwa żałobnego, które odprawiliśmy na pokładzie - wyjaśnił Arnold. - Żył w świecie swoich książek - rzekł nieco głośniejszym, podniosłym tonem, jakby postanowił wygłosić mowę pogrzebową. - Kiedy w zeszłym roku umarła mu żona, chciał zacząć nowe życie. Jednak zawsze wydawał się taki samotny.

Duncan pochylił się i obejrzał książkę w dłoni uczonego.

- Dlaczego jest uszkodzona? - zapytał. - On kochał swoje książki i nigdy by tego nie zrobił.

- Czego by nie zrobił? - spytał Woolford.

- Ostatnie strony są wydarte. - Palce Everinga nie stawiały oporu, gdy Duncan ostrożnie uniośł okładkę Biblii i zerknął na ostatnią stronę. - Księga Objawienia. Z jego Biblii wyrwano Księgę Objawienia.

Usta Arnolda otworzyły się i zamknęły, jakby chciał zażądać wyjaśnienia, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Ktoś usunął strony mówiące o końcu świata.

Duncan oglądał ubranie Everinga.

- Czy to nie te rzeczy, które miał na sobie, kiedy wyciągnięto go z morza?

- Owszem, wysuszone i wyszczotkowane - potwierdził Arnold. - Dodaliśmy tylko kamizelkę i zegarek.

Kamizelka. Duncan nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział Everinga bez kamizelki, której kieszenie zawsze były wypchane kartkami, a nawet sucharami, którymi dzielił się z więźniami, stopniowo nabierającymi sympatii do spokojnego, cichego uczonego. Kiedy jednak wyciągnięto go z wody, Evering nie miał na sobie tej części garderoby. Jakby umarł, zanim skończył się ubierać. Jakby umarł w swojej kwaterze.

- To jego kamizelka na co dzień - zauważył Duncan. - Miał też czarną, na niedzielne msze. Ten zegarek też jest na dni powszednie. Miał drugi, złoty, z cyferblatem w kształcie książki.



- Ten przypadek - odparł Arnold. - Na tym statku jest tyleż złodziei, ile szczurów.

- A jego buty? - spytał Duncan.

- Wyczyścił je jeden z dozorców - rzekł Arnold.

- I naprawił? - zapytał Duncan, pokazując sprzączkę przy lewym bucie, mniejszą i bardziej błyszczącą od tej przy prawym.

- Przypuszczam, że tak - niecierpliwie odparł Woolford. - Dlaczego mielibyśmy... - zaczął, ale zaraz słowa uwięzły mu w gardle, a w oczach zapalił się błysk zrozumienia.

- Co sprzączka profesora robiła przy zakrwawionym kompasie? - spytał Duncan.

Arnold pochylił się nad butem, a Woolford patrzył na to z ponurą miną. Obaj nie odpowiedzieli.

Duncan ponownie zatrzymał się przy lewym kolanie Everinga, gdzie spodnie zdawały się dziwnie przylepione do ciała. Podwinął nogawkę, chociaż musiał oderwać materiał, który przywarł do skóry.

- Klęczał na czymś, zanim umarł - zauważył, przykucając, aby obejrzeć kredowobiałą skórę na kolanie.

Wokół rzepki znajdowały się liczne drobne nakłucia, a wokół każdego skóra była lekko odbarwiona. W kilku tkwiły maleńkie odłamki błyszczące w świetle latarni. Duncan przyglądał im się przez chwilę, przyświecając sobie lampą. Szkło. Drobne, ostre odłamki zielonego szkła. Przy każdym kroku musiałyby sprawiać Everingowi dotkliwy ból. Co oznaczało, że profesor nie ukląkł na szkle przed śmiercią, ale w chwili, gdy umierał.

Duncan zajął się kieszeniami i w kamizelce znalazł skrawek papieru. Mając nadzieję, że tamci dwaj nie zauważyli jego wahania, Duncan wsunął drugą rękę do innej kieszeni, chowając skrawek w dłoń. Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę, w którą był zawinięty pęk jakichś liści i łodyg. Powąchał je, po czym podał tamtym.

- Wodorosty? - zapytał Woolford.

- Herbata - odrzekł Duncan. - Czy człowiek może jednocześnie myśleć o kubku herbaty i samobójstwie?

Spojrzał na martwą twarz Everinga, który nagle stał mu się dziwnie bliiski, uświadamiając sobie, jak wiele ich łączyło, wspominając jego ciche rozmowy z Adamem. Evering z pasją mówił o swoich obliczeniach, które zapowiadały przejście komety nad Ameryką Północną w połowie jesieni.

Duncan czuł, że on i Evering zostaliby przyjaciółmi, gdyby profesor nie umarł. A teraz po raz pierwszy rozumiał, że nawet nieżywy Evering mógł dostarczyć klucz do tajemniczej śmierci Adama.

- Przygnębiony dżentelmen, wciąż oplakujący stratę żony, mógł to zrobić. Samobójstwa są irracjonalne - odparował Arnold. - Pragnienie śmierci może dopaść człowieka niespodziewanie. A my mamy tylko słowo skazańca, że Evering umarł, zanim wpadł do morza.

Duncan westchnął i obszedł trumnę, po czym szybko rozchylił szczęki Everinga, przykładając ucho do warg trupa i jednocześnie mocno naciskając przeponę. Z gardła zmarłego uszedł strumień powietrza, tak przypominający kaszel, że Woolford odskoczył z okrzykiem przestachu.

Duncan nadal pochylał się nad ustami Everinga.

- I co pan na to, profesorze? - zapytał poważnie, patrząc przy tym na Arnolda. Nacisnął ponownie i ciało wydało odgłos podobny do jęku. - Właśnie - rzekł Duncan. - Tak im mówiłem.

Twarz Woolforda pobladła, jakby spodziewał się, że Evering zaraz wstanie z trumny.

- To profanacja! - syknął Arnold.

Duncan zmierzył go ponurym spojrzeniem.

- Podobno mieliśmy dojść do prawdy. Wątpiliście w moje słowa - przypomniał. - Uznałem, że może uwierzycie profesorowi, jeśli sam wam to powie.

- To bluźnierstwo! - warknął Arnold. - Nie pozwolę...

- Jego płuca były pełne powietrza. - Ta uwaga Woolforda uciszyła księdza, który wytrzeszczył oczy na porucznika i rozdziawił usta. Powoli opuścił go gniew, zastąpiony przez szok i niedowierzanie. - Sam słyszałeś, wielebny. W płucach nie było wody - ciągnął Woolford - tylko powietrze. Ten człowiek nie utonął.

Duchowny popatrzył na zmarłego.

- Zatem umarł, próbując popełnić samobójstwo. Upadł. Statek mocno się kołysał na falach.

Duncan ponownie ujął głowę zmarłego, obmacał ją i odkrył miękkie miejsce za lewym uchem, gdzie powinna być twarda kość.

- Ktoś uderzył go od tyłu - wyjaśnił, odgarniając włosy i pokazując odbarwioną, pękniętą skórę. - Jest siniec, tak więc zrobiono to, zanim umarł. Krew zlepiająca włosy natychmiast by to uwidoczniła, ale zmyła ją morska

woda. Ślad ma owalny kształt i średnicę około cala. Koniec pałki lub kija. Może kolba pistoletu. Albo młotek - dodał.

- Zamierzał popełnić samobójstwo - upierał się Arnold. - Chciał wyskoczyć za burłę, przywiązawszy linę do relingu, kiedy nagły przechył statku sprawił, że upadł i uderzył się w głowę, nie dokończywszy przygotowań. Taki ślad mógł pozostawić kolek kabestanu. Upadł między beczki, które zakryły jego ciało, a jedna z dużych fal zmyła je za burłę.

Duncan dalej badał głowę profesora. Odgarnął długie włosy na drugiej skroni i ponownie pokazał ślad.

- Tutaj jest drugi - rzekł, wskazując podobny owalny siniak nad uchem po drugiej stronie. - Zapewne po pierwszym ciosie profesor osunął się na kolana i wtedy został uderzony po raz drugi. To nie był wypadek.

Arnold przestał się upierać i odwrócił się do zmarłego.

- Evering - rzekł żalobnym szeptem, po czym podszedł bliżej. - Gdy Jehowa wzywa, nawet najszlachetniejsi ze śmiertelników muszą usłuchać - powiedział załamującym się głosem. - Bóg tak chciał.

Stali w milczeniu, spoglądając na profesora, jakby czuwali przy jego zwłokach. Kiedy Duncan był dzieckiem, w takich chwilach przyjaciele całowali lodowato zimną twarz zmarłego.

- Nigdy nie rozmawiał z marynarzami - rzekł w końcu Woolford, powoli i z namysłem. - Traktował załogę tak, jakby była niewidzialna.

Arnold zaczął szeptem odmawiać modlitwę, położywszy dłoń na głowie Everinga.

- Często jednak czytał więźniom - ciągnął Woolford. - I pisał im listy.

- Wieczorami - potwierdził Duncan, wspominając, jak Evering zostawał z więźniami Kompanii, kiedy wieczorem wypuszczano ich na pokład. Siedząc na beczce, pisał listy niektórym więźniom szepczącym mu ich treść. Nawet dozorczy czasem go prosili, żeby pomógł im w korespondencji. - Beczka przy relingu zasłoniła przywiązany do niego sznur. Węzły na tej linie zawiązał sznur łodowy.

Kapłan przerwał modły w połowie zdania.

- Co mówisz?

- Pytałem kapitana - wyjaśnił Woolford. - Tamtego dnia zamieszanie zaczęło się o świcie, kiedy nowa wachta weszła do kabiny nawigacyjnej. Evering umarł w nocy. Wszystkie wcześniejsze wachty poza sternikiem pozostawały pod pokładem z powodu pogody. Przed świtem statek spowiła

mgła, tak gęsta, że sternik nie widział latarni na śródkręciu. Jednak cała załoga przebywała razem pod pokładem i nikt się nie oddalał. Tak więc mordercę - rzekł Woolford, zniżając głos do szeptu - był ktoś z Kompanii.

Słyszac to oświadczenie, Arnold jakby zupełnie opadł z sił. Osunął się na najbliższą skrzynię i przez długą chwilę spoglądał na splecione dłonie.

W końcu odzyskał głos i przemówił jak z ambony:

- Nie dopuścimy, aby ten szlachetny eksperyment został zniweczony przez skandal. - Powoli podniósł głowę. - Tę tajemnicę trzeba rozwikłać. Może to uczynić ktoś obeznany ze śmiercią.

Duncan spojrział na Woolforda. Ten nie zareagował na wyraźną zachętę Arnolda.

- Jeszcze nie podpisałeś umowy, McCallum - zauważył Arnold.

Duncanowi ścisnęło się serce i zaschło w ustach.

- Sądzę, że zacny wielebny właśnie zaproponował zmianę warunków tej umowy - z uśmiechem zauważył Woolford.

- Nie mogę jej podpisać. Nie będę donosił na swoich.

- Oczywiście, wybór należy do ciebie - rzekł Arnold tym modlitewnym tonem, od którego zimny dreszcz przechodził Duncanowi po plecach. - Możesz znaleźć mordercę. Albo wydamy cię kapitanowi, który będzie cię chłostał przez całą drogę do Jamajki. Zanim tam dopłyniemy, będziesz umierający i muchy będą składały jaja w twoim ciele.

## Rozdział 3

Arnold szybko odzyskiwał siły, krążąc wokół trumny Everinga.

- Możesz mieć tę umowę i wolność, jaką cieszy się gubernator Kompanii - ciągnął - ale musisz wykryć sprawcę tej okropnej zbrodni.

Serce podeszło Duncanowi do gardła.

- Nie mam z tym nic wspólnego - powiedział.

- Przede wszystkim masz obowiązki wobec Kompanii. Trzeba się tym szybko zająć - rzekł Arnold, po czym znów obszedł trumnę, zbierając myśli.

- Nikomu nie powiesz, co robisz. Zbierzesz fakty, wykryjesz zabójcę i zgłosisz to nam.

- Mylisz się - rzekł Duncan. - Jestem tylko...

Wahał się chwilę, nie wiedząc już, kim lub czym jest.

- Jesteś dobrze wykształconym lekarzem we wszystkim prócz tytułu. Przed chwilą dowiodłeś, że umiesz wyciągać wnioski. Nadal pozostaniesz członkiem Kompanii. Jako gubernator będziesz mógł swobodnie obserwować wszystkich. Więźniowie będą mówić z tobą jak ze swoim. Będziesz miał doskonałą okazję, by posłuchać mojej rady i obrać właściwą drogę. Albo - rzekł nieco ostrzejszym tonem Arnold - mogę spalić tę umowę. - Podkreślił to stwierdzenie znaczącym spojrzeniem w kierunku celu. - Kapitanowi płacą od głowy za dostawę robotników na plantacje trzciny cukrowej. Nikt nie będzie protestował, jeśli dostarczy o jednego więcej, niż powinien. Nikt też nie zauważy, jeśli znikniesz w morzu.

Duncan nie odpowiedział.

- Wielebny i ja zbierzemy listy, które profesor napisał więźniom - zaproponował Woolford.

- A tajemnica korespondencji? - zaprotestował Duncan.

- Właśnie - odpalił Arnold. - Cienka granica dzieli sekrety więźniów od jawnego spisku. Zbierzemy wszystkie listy, jakie jeszcze są na statku.

- Są częścią królewskiej poczty.
- Właśnie dlatego musimy je przejrzeć, zanim zejdziemy na ląd.
- Chcacie, żebym został szpiegiem, informatorem. Nie mogę.

Arnold głośno westchnął. Protesty Duncana zdawały się dodawać mu sił.

- Proszę tylko, żebyś odwrócił wiszącą nad Kompanią groźbę skandalu. I dowiódł swojej lojalności wobec lorda Ramseya. Podpisz tę umowę i znajdź odpowiedź. Każdy z płynących na tym statku ochoczo skorzystałby z takiej sposobności.

- Mam znaleźć odpowiedź czy pożądaną odpowiedź? - Patrząc na nie-ruchome Everinga, Duncan uświadomił sobie, że to pytanie samo padło z jego ust. Podniósł głowę i ujrzał gniewny błysk w oczach Arnolda.

- Oszczędź nam tej sofistyki, McCallum - warknął wielebny. - Prawda to święta rzecz. Twoim obowiązkiem jest to zrobić. Nakazuję ci to. Jeśli podpiszesz i nie usłuchasz, dołączysz do więźniów wiezionych do lasów Ramseya, gdzie czekają na nich mieszkające tam dwu- i czworonożne bestie. Członkowie Kompanii nie zginą na skutek tropikalnych chorób. Jednak zapewniam cię, że niektórzy zginą od strzał i toporków. Albo w jeszcze gorszy sposób.

Duncan uznał, że najbezpieczniej będzie znów wrócić do kwestii zmarłego.

- Zatem sprawiedliwość w Ameryce to prywatna sprawa.

Walczył z pokusą przyjacielskiego uściśnięcia dłoni zmarłego. Po śmierci profesor stał się częścią przeznaczenia Duncana w większym stopniu niż za życia.

- Naprawdę znalazłeś człowieka do wszystkiego - zauważył z chłodnym rozbawieniem Woolford. - Lekarza. Żeglarza, sądząc po obyciu z olinowaniem. Guwernera. A teraz prawnika.

- Podczas tego rejsu - chłodno odparł Arnold - miałem zaszczyt pełnić rolę pełnomocnika lorda Ramseya. Każdy członek Kompanii podpisał jej statut, zgadzając się poddać jego władzy sądowniczej.

- Mnie dano wybór między podpisaniem cyrografu a powrotem do więzienia. Nie pokazano mi żadnego statutu.

- Kiedy uzyskamy właściwą odpowiedź - ciągnął Arnold, ignorując protest Duncana - lord Ramsey oficjalnie zamknie sprawę. Przekonasz się, że nie unika trudnych decyzji.

Duncan nie wiedział, co bardziej go boli - groźba Arnolda, że dołączy do

więźniów przewożonych na Jamajkę, czy przypomnienie, że aby odzyskać wolność, musi zostać pieskiem arystokratów, którymi tak gardził.

Kiedy opuścili ładownię, Woolford skinął na Listera, żeby wrócił tam i zamknął wieko trumny. Stary Szkot poruszał się sztywno i przechodząc, tylko lekko skinął głową Duncanowi. Ten przystanął, wyczuwając jakąś zmianę w zachowaniu starego marynarza. Patrzył, jak Lister w milczeniu znów kładzie monety na powiekach Evinga, po czym bierze leżący na najbliższej skrzyni młotek i zaczyna ponownie przybijać wieko trumny.

Pięć minut później byli z powrotem na więziennym pokładzie. Duncan w milczeniu podpisał umowę, po czym patrzył, jak Woolford poświadcza ją swoim podpisem, a Arnold zwiija dokument w rulon.

- Ten strój - niecierpliwie rzekł duchowny, wskazując na Duncana - należy do rodziny Ramseyów. Nie chcemy, żeby pobrudził się w celi. Możesz zachować bieliznę i buty.

Duncan spojrzał na niego ze zdumieniem, ale powstrzymał słowa protestu, słysząc kolejny jęk udręki w jednej z cel. Powoli zaczął rozpinąć kamizelkę.

Arnold bez pożegnania wspiął się po drabince, przewiesiwszy przez ramię starannie złożoną kamizelkę, a umowę trzymając pod pachą. Woolford westchnął i zgasił latarnię. Miał już wspiąć się w ślad za nim, ale zawahał się.

- Mógłbym znaleźć jakiś koc - zaproponował.

Duncan bardzo się starał zniechęcić oficera, lecz teraz w jego głosie usłyszał przeproszające nutki.

- Nie potrzebuję od ciebie niczego prócz odpowiedzi. Czy Lister jest chory?

Poszarpana blizna na policzku Woolforda zbielała, gdy zacisnął zęby.

- Kiedy więzień ucieka, ktoś musi otrzymać chłostę.

Duncan na moment zamknął oczy. Jako dozorca, który przyprowadził zbiegłego Duncana, to Lister powinien przywiązać go do masztu i wymierzyć chłostę.

- Lister jednak oznajmił, że twoje zniknięcie było jego winą, gdyż zezwolił ci zostać jeszcze chwilkę na pokładzie po śniadaniu i zapomniał o tobie, tak więc wcale nie uciekłeś.

- To kłamstwo! - jęknął Duncan. - Mój Boże! Gniew kapitana...

- Lister został wychłostany za ciebie.

Te słowa zapiekły Duncana jak rozżarzone żelazo. Woolford uniósł latarnię i przyjrzał się jego twarzy.

- Kapitan osobiście wymierzył karę. Czterdzieści uderzeń. Zachowywał się tak, jakby pozbawiono go ogromnej przyjemności. Lister przegryzł trzy kawałki drewna, które włożyli mu w zęby, ale nawet nie krzyknął.

Duncan poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Oparł się o ścianę. Wątpił w słowa Listera, kwestionując znaczenie, jakie dla starego Szkota miała przysięga wierności wiążąca go z Duncanem i jego klanem. Dlatego Lister dowiół mu jej znaczenia.

Kruczą ciszę przerwał odgłos kroków. W cieniu pod drabiną pojawił się Cameron, wysoki i silny jak muł dozorca, trzymający w ręku wiadro z rojącymi się od robaków sucharami.

Wydawało się, że Woolford chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się na widok nadzorca.

- Nic jej nie jest? - spytał go Duncan.

Oficer zdawał się przez chwilę szukać właściwej odpowiedzi.

- Żyje. Nie wiem, czy to, co uczyniłeś, było aktem niewiarygodnej odwagi czy niewiarygodnej głupoty.

- Byłem pewny, że zginęła.

- Po raz pierwszy podczas tego rejsu zostawiono ją samą. Wszyscy myśleli, że zasnęła.

Woolford wskazał mu drzwi celi.

- Kim ona jest?

To pytanie wywołało błysk w oku Woolforda.

- Trudno powiedzieć. Przez cały czas była przykuta do łóżka i zbyt słaba, by mówić.

Jednak nie aż tak słaba, skoro wspięła się na maszt i spacerowała po bomie - miał ochotę powiedzieć Duncan.

- Poruczniku, opiekował się pan nią przez kilka tygodni - powiedział zamiast tego. - Z pewnością wie pan, jak ma na imię.

- Słyszałem ich wiele. - Ton Woolforda wyraźnie zdradzał, że nic więcej nie powie.

Stali, w milczeniu spoglądając na siebie, gdy Cameron rozdawał suchary więźniom w kolejnych celach.

- Mam brata, poruczniku - rzekł Duncan, podchodząc do drzwi. - Służę



w armii. Kiedy przybędziemy do Nowego Jorku, mógłby się pan dowiedzieć, gdzie stacjonuje?

- To duża kolonia.

- Ma na imię James. James McCallum. Kapitan czterdziestego drugiego regimentu piechoty.

Woolford spojrział na niego z dziwną mieszaniną gniewu i niepokoju.

- Kapitan McCallum z czterdziestego drugiego - powtórzył napiętym głosem, po czym obrócił się na pięcie i pomaszzerował do wyjścia, gdy Cameron podszedł do nich, trzymając w ręku klucz do celi Duncana.

Zanim zgrzytnął zamykany zamek, Duncan już trzymał w dłoni skrawek papieru, który wyjął z kieszeni Everinga. Spojrział nań w słabym świetle wpadającym przez okienko. Natychmiast podupał na duchu. Była to mała mapa nieba, z wykropkowaną trajektorią między konstelacjami i jednym słowem: październik. Jednak Lister bardzo wyraźnie powtórzył słowa Adama. „Baczenie, jak Evering wyjaśni swoją kometa” - jakby to mogło coś dać Duncanowi. Niemal namacalnie odczuwał swoją niewiedzę, niczym miażdżący go ciężar. Jednak Lister dowiódł mu czegoś wręcz przeciwnego. Klan McCallumów nie zostanie zniszczony. Duncan musi żyć - dla Listera, Jamiego, dla Szkotów w więziennej ładowni, dla bezimiennej kobiety, którą uratował.

Ze zdwojoną energią spróbował zrozumieć rytualne znaki pozostawione w kabine nawigacyjnej, przywołując z pamięci każdy przedmiot. Postanowił poprosić o nie Arnolda i ułożyć je tak, jak leżały wokół kompasu, żeby przyjrzeć się każdemu z osobna i wszystkim razem. Musiał być w tym jakiś sens i jeśli nie zdoła go odkryć, zarówno on sam, jak i inni mogą przypłacić to życiem.

Kość, sprzączka, oko, szpon, pióro, sól, serce. Kiedy był mały, takie oko pojawiło się kiedyś na słupie wyspiarskiej wioski i chociaż jego dziadek orzekł, że należało do wielkiego rekina, wieśniacy opuścili swoje domy i wrócili dopiero, kiedy wezwany ksiądz pokropił cały teren święconą wodą, oczyszczając go. Mówili, że to było oko diabła. To oko tutaj należało do jakiegoś dużego zwierzęcia, natomiast kości były znacznie mniejsze. Były to kostki kilku różnych ptaków - widział kilka kręgów, a nawet kości skrzydeł. Oko i kości. Wielki bóg i jego śmiertelnicy.

Ponownie spojrział na mapkę nieba, tym razem usiłując ułożyć w myślach dialog z uczonym na temat komety, taki, jakie prowadził z profesorami w

swoim dotychczasowym życiu. Evering był naukowcem, a Duncan zapewne miał najlepsze przygotowanie naukowe ze wszystkich płynących na tym statku. Profesor otworzyłby swój dziennik i pokazałby mu resztę notatek i map, opowiedziałby o starych zapisach, które znalazł, a które podtrzymywały jego przewidywania odnośnie do komety, powiedziałby...

Duncan nagle ścisnął skrawek papieru w dłoni i uśmiechnął się. Nie chodziło o kometa. „Baczenie, jak Evering wyjaśni swoją kometa” - powiedział Adam. Chodziło mu o dziennik. Adam wiedział, że Evering z pewnością pokazałby mu swój dziennik. A w nim były inne sekrety. I ważna była nie kometa, lecz to, o czym była tam mowa oprócz niej - na innych stronach zapisanych przez kilka ostatnich tygodni.

Pożywienie przynoszono dwa razy dziennie i zawsze była to kromka twardego jak deska chleba lub kwadratowy zarobaczony suchar, czasem nadpsute jabłko lub ochłap solonej wieprzowiny. Duncan spał, owinięty ciepłym i suchym kocem dostarczonym przez Listera, co kilka godzin daremnie próbując nawiązać rozmowę z Florą. Szalona kobieta odpowiadała tylko niezrozumiałymi zawodzeniami. „Zabierz skórę, którą jesteś” - wykrzyknęła raz, jakby z bólu, i były to jedyne angielskie słowa, jakie wypowiedziała, od kiedy Duncana zamknięto w tej celi. Jej głos stał się głuchy i rozwlekły, czasem belkotliwy, jakby była rozkojarzona lub pijana, co dowodziło, że jeśli jeszcze nie całkiem oszalała, to ten stan szybko się pogłębiał. Czasem bez słowa wystawiała rękę przez okienko i machała nią, ściskając czubki palców Duncana, kiedy wyciągał do niej dłoń. Za każdym razem pozostawali w tym dziwnie intymnym kontakcie przez kilka minut, słuchając swoich oddechów, nigdy nie widząc swoich twarzy. Duncan kilkakrotnie próbował wtedy mówić do kobiety, ale zawsze się cofała. Flora zabiła swoje dziecko i nawet jeśli nie wiedziała tego wcześniej, Arnold wyraźnie powiedział, że czeka ją pewna i bolesna śmierć. Duncan mimo ciemności rozpoznawał objawy. Ona już zaczęła umierać w ten powolny i bolesny sposób, w jaki umarł Adam Munroe.

Duncan spał, kiedy znów po niego przyszli. Arnold otworzył drzwi jego celi i wrócił do stołu stojącego w korytarzu. Gdy Duncan ostrożnie tam podszedł, z cienia wyłonił się Woolford. Nie odrywając oczu od dwóch listów leżących na środku stołu, oficer machinalnie wskazał więźniowi stojący na brzegu cynowy talerz z kromkami chleba i kawałkami baraniny.

Duncan wytrzeszczył oczy. Od miesiący nie jadł świeżego mięsa ani prawdziwego chleba.

- Zabraliśmy więźniom ponad dwadzieścia listów, z tego kilka napisanych w ich imieniu przez Everinga - wyjaśnił Arnold, gdy Duncan wepchnął do ust kawałek mięsa. - Głównie wyznania samotnych ludzi proszących o wybaczenie lub piszących nieszkodliwe kłamstwa, żeby uspokoić rodzinę. Kilka prośb o znalezienie adwokatów, którzy złożą apelacje. Tych dwóch - rzekł, wskazując na środek stołu - nie można zbyć tak łatwo.

Rozłożył na blacie otwarte koperty. Evering zamknął je woskowymi pieczęciami, które niezdarnie otwarto, przecinając je rozgrzanym nożem, tak by potem ponownie zamknąć, nałożywszy kroplę stopionego wosku na stary.

Patrząc na te papiery, Duncan przypomniał sobie, że on także napisał list, zaadresowany do brata, w którym przeklinał króla. Podniósł pierwszy i zaczął czytać. Młody dozorca, Frasier, napisał go do swojej ciotki, starej panny, która wychowywała go po tym, jak stracił rodzinę po bitwie pod Culloden. Pisał o monotonnej podróży, wplatając kwaśne uwagi o swoim aresztowaniu i procesie. „Wiemy, dlaczego Anglicy poszli aż do Auld Reekie, kiedy zwożono pełne wozy więźniów do Ayrshire, Lanarkshire i Argyll. Wiemy, co sący się z lothiańskich koszar. Wiemy, jak traktować psa, który stoi nad zwłokami. Wiemy, jak usuwać zgniliznę. Dzień zapłaty przyjdzie, zanim zapłoną ognie Beltanu”.

- To może mieć wiele znaczeń - rzekł Duncan, ponownie przeczytawszy te dziwne słowa. Co takiego Kompania sprowadziła z Auld Reekie, jak od dawna pogardliwie nazywano Edynburg, czego nie mogła znaleźć w zachodnich krajach? I czego Frasier spodziewał się po koszarach w pobliżu tego miasta na wschodzie? Z rosnącym niepokojem ponownie przeczytał ten fragment. Szkocki zwyczaj nakazywał zabić psa, który przebiegł nad trupem.

- To mogło oznaczać, że ten człowiek z Glasgow zamierza zabić Anglika - oznajmił Arnold. - Jako dozorca może swobodnie poruszać się po całym statku. Został skazany za uderzenie poborcy. Tu pisze o pogańskim rytuale.

- Wiele angielskich dzieci świętuje noc świętojańską - odparł Duncan.

- Nie przez palenie ognistych kręgów i skakanie przez ogień - odparł Arnold.

Na końcu listu było postscriptum. „Zanim został wezwany przez wiedźmę, ten człowiek z Argyll zamienił sześć guzików na sakiewkę z białej jeleniej skóry, którą znalazłem, poplamioną krwią. Daj je jednemu z młodych bratanków”. W złożonej kopercie znajdowało się sześć znajomych Duncanowi drewnianych krążków.

Duncan spoglądał na kartkę, nie widząc napisanych na niej słów, a potem popatrzył na Woolforda.

- Dlaczego Adam Munroe miałby wymienić te doskonałe guziki na zakrwawioną sakiewkę? - zapytał oficera.

Woolford zmarszczył brwi.

- Zajmijmy się najpierw jednym podejrzanym, dobrze?

- Nie zabrałeś swoich guzików - naciskał Duncan.

- Wydawało się niegodne odbierać coś, co sprezentowano dziecku - odparł zwięźle Woolford.

Oficer podsunął Duncanowi drugi list.

- Czytałem go kilkakrotnie, usiłując znaleźć w tych słowach jakiś sens.

Nadawcą był Cameron, nadzorca, który zawsze z ogromnym entuzjazmem chłostał innych współwięźniów. Czterostronicowy list był adresowany do D. Camshron, za pośrednictwem księdza w Strontian. Zaczynał się słowami „Droga Doilidh”, po których autor nieskładnie opisywał podróż, przechwalał się bogactwami, jakie zdobędzie w Nowym Świecie, i opowiadał o śmierci Everinga. „Wiemy, czemu człowieka sprowadza się w nocy. Im mroczniejszy skrywa sekret, tym prędzej zabija”. Woolford wskazał ostatni fragment listu, który wyglądał na szyfr. „Trzy razy w górę twego nowo narodzonego, trzy razy *deiseal* przy kościele, z gorącymi węglami. Trzy razy nad płomieniem, z solą przeciw grzechom. Trzy razy nad żelazem, żeby diabły ogryzały swoje kości”.

- Pisz o soli, diabłach i kościach - zauważył Woolford. - Czarna magia. Ponadto Cameron był już w koloniach.

Duncan ponownie przeczytał ten fragment i spojrzął na Arnolda i Woolforda. Obaj zdawali się mieć swoich kandydatów do stryczka.

- To tylko list do ukochanej.

- Tego nie wiesz.

Jednak Duncan wiedział, bez cienia wątpliwości. Lister nie był jedynym, który ukrywał coś o swojej rodzinie. *Doilidh* to gaelickie zdrobnienie Dolly, a nazwisko Camshron w angielskiej wersji to Cameron. Ten fragment

dotyczył noworodka, ale mógł go zrozumieć jedynie mieszkaniec szkockich wyżyn. *Deiseal* w dawnym języku oznaczało „ze słońcem” - czyli wędrówkę ze wschodu na zachód. Młoda matka wychodząca po raz pierwszy z dzieckiem powinna wejść z nim na trzy schodki, aby zapewnić mu pomyślność, następnie trzykrotnie obejść kościół od wschodu na zachód, czyli zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aby uniknąć schwymania przez duchy czyhające na noworodki, rzucając za siebie gorące węgle, aby je odpędzić. Trzykrotne przeniesienie dziecka nad płomieniami było starym urokiem mającym chronić noworodka, tak samo jak dotknięcie solą jego warg. Tajemne drugie chrzciny w wiejskiej kuźni, polegające na przeniesieniu niemowlęcia nad żelaznym kowadłem, budziły niechęć Kościoła, lecz miały długą tradycję sięgającą czasów przed przybyciem księży do Szkocji. Miały uniemożliwić diabłom pożarcie noworodka i zmusić je do ogryzania własnych kości. Cameron zostawił w kraju ciężarną kobietę, żonę lub siostrę, i chciał mieć pewność, że dziecko zostanie ochrzczone zgodnie ze szkockimi zwyczajami.

Duncan niepewnie spojrzał na Woolforda.

- Tego nie wiem - odparł i zamarł, uświadamiając sobie okropną prawdę.

Ponownie zerknął na swych towarzyszy. Czy oni też na to wpadli? Cameron pisał o człowieku sprowadzonym nocą. Frasier wspominał o czymś, co Kompania zabrała z Edynburga. Arnold i Woolford tylko raz wybrali się do Edynburga - po Duncana. I przyprowadzili go na statek w nocy.

- Nie ma tu niczego, co wyjaśniałoby to, co się wydarzyło w kabinie nawigacyjnej - zauważył, usiłując ukryć wzburzenie.

- Evering sam to zrobił - oznajmił Arnold. - To on umieścił tam sprzączkę, ukradł ze spiżarni sól, krew i serce, a nawet to okropne oko, które według kucharza należało do rekina wyłowionego dzień wcześniej. Szpon zapewne pochodził ze zbiorów profesora.

- Dlaczego miałyby robić coś takiego? - zapytał Duncan.

- Był niespełna rozumu. W delirium. Znów wpadł w rozpacz po stracie żony. Może zobaczył coś, co obudziło przykre wspomnienia. Chciał wysłać żonie ostatnią wiadomość, zanim odbierze sobie życie.

- Został zamordowany. To nie było samobójstwo - przypomniał Arnoldowi Woolford.

- Zamierzał popełnić samobójstwo, McCallum może przyjąć to za pewnik - odparł duchowny. - Był bardzo niezrównoważony. Nie mogę zdradzać tajemnicy spowiedzi, ale wystarczy, jeśli powiem, że często modliliśmy się razem. Widocznie te przedmioty zgromadzone w kabinie nawigacyjnej były wyrazem jego szaleństwa. To postępowanie nadzwyczaj dobrze wykształconego człowieka, u którego emocje wzięły górę nad intelektem. Kości oznaczają śmierć. Dwie kupki kości to dwie śmierci. Jego i żony. Sprzączka symbolizuje profesora jako przedmiot należący do niego. Oko to zło, które spoglądało na niego, od kiedy zmarła jego żona. Szpon symbolizuje jego cierpienie, a pióro zamiar dołączenia do żony w szeregach aniołów. Serce to jego złamane serce, a sól to ziemia, którą miał opuścić.

Zacząwszy cicho i z namysłem, Arnold zakończył swój wykład donośnym i triumfalnym głosem.

- Evering był romantykiem - stwierdził wyniośle. - Ten rytuał w kabinie nawigacyjnej tego dowodzi.

- Sól jest również stosowana jako środek czyszczący - podsunął Duncan. - A metal, nawet w sprzączce, może być użyty do odpędzania demonów.

Arnold prychnął ze zniecierpliwieniem.

- Nie przez chrześcijanina.

- Kościół, który znałem jako dziecko - ciągnął Duncan - jedną nogą chodził starymi drogami.

- W końcu doszliśmy prawdy - rzekł zadowolony z siebie Arnold. - Wyjaśniłem, dlaczego to Evering musiał być tym, który odprawił ten rytuał. Ty dowiodłeś pochodzenia tego, który mu go przerwał. Powinieneś to zapisać, McCallum. Zabójca popełnił tę odrażającą zbrodnię, a potem poukladał przedmioty w sposób mający sens jedynie dla niepiśmiennych ludzi, których kapłanami byli druidzi.

Duncan walczył z tkwiącą mu w gardle kulą żółci, wzbudzoną przez słowa Arnolda. Musiał jednak ukryć ziarno prawdy zawarte w jego słowach - a mianowicie to, że rytuał najwyraźniej odprawiły dwie różne osoby, pochodzące z różnych światów.

- Jeśli to nie Evering zakończył ten rytuał, to może ta część, której nie odprawił profesor, była przeznaczona dla zwykłych śmiertelników - naciskał, uważnie obserwując Woolforda.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał porucznik.

- Chcę powiedzieć, że może powinniście przyjąć, że była to wiadomość dla kogoś na pokładzie.

Woolford ukrył twarz w dłoniach. Kiedy znów ją odsłonił, z determinacją zaciskał zęby, jakby szykował się do bitwy.

- Połowa - rzekł. - Połowa ludzi.

Uwagi Duncana nie uszło to, że Arnold zacisnął pięści.

- Słucham?

- Pytałeś, ilu ludzi było już w Nowym Świecie.

- Połowa... To nie wygląda na zbieg okoliczności. Trzeba było sporo trudu, żeby znaleźć tylu skazańców, którzy byli w Ameryce.

- Bardzo pożądana cecha - wtrącił Arnold. - Mieliśmy kilka tygodni na zebranie kompletu, czas, żeby dobrać ludzi. Pobyt w koloniach świadczył, że są silni i nie będą potrzebowali wiele czasu, żeby się przystosować do wymogów nowego życia.

Duncan nigdy nie spotkał duchownego, który byłby zwyczajnym kłamcą, ale znał wielu takich, którzy zamiast na całej prawdzie skupiali się tylko na jednym jej aspekcie, jeśli odpowiadał celowi ich kazania.

- Te przedmioty użyte przy odprawianiu rytuału - powiedział. - Chciałbym je zobaczyć. Może dokładne oględziny...

Woolford przerwał mu, unosząc rękę.

- Załoga się ich bała. Lister i ja zawińliśmy wszystko w płótno, obciążyliśmy kamieniami z balastu i wyrzuciliśmy za burtę.

Duncan spojrział na niego ze zdumieniem.

- Mogły nam coś powiedzieć.

Wyglądało na to, że Woolforda również interesuje tylko część prawdy.

Oficer znów pogładził długą bliznę na szyi. Najwidoczniej miał taki nerwowy odruch, którego Duncan nie zauważył przed sztormem.

- Twoja fajka - rzekł nagle, przypomniawszy sobie glinianą fajeczkę, którą Woolford często pykał podczas rejsu. - Już nie palisz. Dlatego jesteś podenerwowany.

Porucznik się skrzywił.

- Ktoś ukradł mi tytoń - przyznał.

- I spalił go w kabinie nawigacyjnej - dokończył Duncan. - Nigdy nie słyszałem o takim rytuale w Starym Świecie - dodał po chwili.

- Są ludzie, którzy palą liście, żeby przywołać duchy - niechętnie wyjaśnił oficer.

- Jacy ludzie? - naciskał Duncan. - Kto modli się do duchów, paląc tytoń?

Zauważył ostrzegawcze spojrzenie Arnolda. Woolford jednak odwrócił oczy i zapatrzył się w mrok.

- Leśni ludzie - wydusił wreszcie.

Lęk, z jakim to powiedział, patrząc w ciemność, sprawił, że Duncan obejrzał się za siebie. Tak jakby słowa Woolforda trafiły wprost do jego serca, mroząc je i wzbudzając zimny dreszcz, który przeszedł mu po krzyżu aż do mózgu. Dziecy. Woolford mówił o budzących lęk rdzennych mieszkańcach amerykańskiej puszczy.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

- Zatem tytoń spalono, żeby zwrócić uwagę pani Evering na tamtym świecie - podsunął poważnym tonem Duncan, czując na sobie gniewny wzrok Arnolda.

- Większość mężczyzn pali tytoń, gdy tylko nadarzy się okazja - wtrącił duchowny. - Jeden z nich ukradł go porucznikowi, który - jak powszechnie wiadomo - ma zapas dobrych wirginijskich liści. - Zamilkł, spostrzegłszy, tak samo jak Duncan, melancholijną minę porucznika. - Evering przyniósł tam kosiak, żeby się ogrzać. Tytoń musiał upaść na węgle, gdy się szamotoł z mordercą.

- Muszę zobaczyć kwaterę profesora - stwierdził w końcu Duncan.

Nie odważył się okazać jawnego zainteresowania dziennikiem Everinga.

- Kapitan wydał rozkaz, że nie wolno ci opuszczać więziennego pokładu - rzekł Arnold.

- Muszę przynajmniej przejrzeć pozostałe listy.

- To też jest niemożliwe - odparł Arnold. - Nie możesz grzebać w królewskiej poczcie.

Duncan spojrzał na leżące przed nim listy.

- Zatem te dwa zostaną dołączone do poczty.

- To dowody.

- Jest tylko jeden zabójca. Nawet gdyby był nim któryś z tych dwóch, drugi jest niewinny. - Bacznie przyjrzał się nieruchomej twarzy Arnolda. - Przynieście mi papier i inkaust. Przepiszę je. Możecie poświadczyć, że to wierne kopie. Z pewnością - dodał - nie chcemy karać niewinnego. Kiedy znów będą mieli okazję przesłać bliskim jakąś wiadomość? A dziecko potrzebuje tych guzików.



Arnold obrzucił go rozczarowanym spojrzeniem.

- Niewinnego, panie McCallum? - zapytał, jakby nie znał tego słowa.

Woolford wstał.

- Przyniosę papier i atrament - rzekł i pospiesznie wspiął się po drabinie.

Arnold krążył wokół stołu.

- Mając papier i inkaust, będziesz mógł sporządzić raport - zauważył. - Lord Ramsey przywiązuje dużą wagę do sprawozdań. Będzie oczekiwał szybkiej konkluzji, ale wyczerpującego opisu. Podlej go naukowym sosem. Wojsko szybko się dowie o zabójstwie w Kompanii - dodał, zerkając w głąb korytarza, w którym znikł Woolford. - Lord Ramsey nie będzie sobie życzył otwarcia wojskowego dochodzenia.

- Ktoś piszący taki raport, wielebny - zauważył Duncan - powinien chyba wiedzieć, dlaczego wojsko miałooby się tym interesować.

Arnold przez długą chwilę rozważał to pytanie.

- Kompania Ramseya i wojsko mają wiele wspólnych celów, lecz co do dróg ich osiągnięcia dzieli nas cały ocean. - Pastor spojrział w kierunku cel. - Twój raport powinien wykazać wszystkie grzechy popełnione po drodze i kończyć się wnioskiem jasnym jak blask Wszechmocnego.

- To brzmi tak, jakbym miał pisać kazanie - odparł Duncan. - Zapominasz, wielebny, że byłem zamknięty w celi.

- Izolacja tylko zwiększa twój obiektywizm. Opiszesz prostą i tragiczną historię. Everinga opętał demon żalu, każąc mu odprawić ten dziwny rytuał w kabinie nawigacyjnej. Chwilowy brak wiary stworzył okazję zabójcy. Amen.

Arnold rzeczywiście chciał zrobić z tego kazanie.

- Może należałoby wspomnieć o gromie z nieba, który poraził Everinga, pozbawiając go rozumu - z poważną miną zaproponował Duncan.

- Doskonale - rzekł Arnold takim tonem, jakby przemawiał z ambony. - Poetyckie. Wezwany przez Boga. Godne gubernera Ramseyów. Natchnąłeś mnie, McCallum.

- A potem pojawiła się syrena i zabiła profesora.

Arnold westchnął i odpowiedział na to, otwierając drzwi wiodące do cel. Doleciał stamtąd odór niemytych męskich i kobiecych ciał, pleśni i ekskrementów, zmieszany ze szlochem. Wielebny przystanął, jakby dla wzmocnienia efektu, po czym wrócił do stołu.

- Zabójca będzie wisiał, jakikolwiek był powód tej zbrodni. Może jeden z nich ukradł Evingowi coś wartościowego. Zginął jego złoty zegarek. Powiązanie zabójstwa z rabunkiem byłoby dobrą lekcją moralności - zasugerował. - Kompania zobaczy egzekucję winnego po przybyciu do Edentown. Doskonały akcent nadający właściwy ton nowemu życiu więźniów. Ścieżka prawości - dodał, nagle wpadając w kontemplacyjny ton - może być cienka jak nić. Dobrze wykonaj swoje zadanie, a nie będzie potrzeby budzić widma buntu.

Nagle Woolford ponownie pojawił się w kręgu światła rzucanego przez latarnie, niosąc pudełko z przyborami do pisania: papierem, inkaustem i gęsim piórem. Gdy Duncan układał je na stole, Arnold wspiął się po drabince. Woolford na moment przystanął w ciemnym korytarzu, a potem podążył za nim, zostawiając Duncana samego, wpatzonego w pustą kartkę papieru. Młodzieniec zaczął przechadzać się wokół stołu, rozważając rzucaną Szkotom groźbę w pożegnalnych słowach Arnolda, usiłując opanować przesądny lęk, jaki obudziła w nim wzmianka Woolforda o dzikich mieszkańcach puszczy. Angielskie gazety opisywały przypadki kanibalizmu, skłonność do przemocy i nienasyconą żądzę krwi amerykańskich tubylców. Często nazywano ich zwierzętami w ludzkiej postaci.

Kiedy w końcu Duncan podniósł pióro, nie zaczął od przepisania listów, lecz sporządził listę nazwisk. Złożona z szesnastu pozycji kolumna zawierała nazwiska jego wuja, ojca i dziadka - nazwiska wszystkich wodzów klanu McCallumów w ostatnich czterystu latach, wypalone w jego pamięci już w dzieciństwie, gdy wykrzykiwał je z dziadkiem, żeglując lub wiosłując wokół Hebrydów. Pierwszym był Angus McCallum, potem Ian McCallum, Kulawy Rob, Alastair, Niegodziwy James i Ślepy William. Kiedy skończył, oddał skrawek papieru z tą kolumną i owinął nim amulet Adama, który trzymał na piersi. Potem wyjął z kieszeni srebrny guzik i po raz pierwszy obejrzał go w jasnym świetle. Guzik był misternie zdobiony i chociaż został zgnieciony, nie zatarło to czegoś, co było - tak jak mówił Lister - mapą. Na guziku widniał maleńki kontur Europy i wschodniej Ameryki, starannie wyryty w srebrze.

Węgi zaskrzypiały w ciszy, a stół lekko się przechylił, gdy statek zakołysał się na wietrze. Duncan zerknął w kierunku drabinki i znieruchomiał, przypomniawszy sobie coś. Woolford. Duncan przywykł do odgłosów towarzyszących wychodzeniu z więziennego pokładu na górną -

trzeszczenia niektórych szczelbeków, kolejno otwieranych i zamykanych luków. Odejściu Woolforda nie towarzyszyły takie dźwięki. Duncan wstał i ostrożnie podszedł do drabinki.

Wspinał się powoli, przystając i nasłuchując na każdym szczelbku, aż w końcu dotarł na następny pokład, gdzie były ładownie zapchane skrzyniami, beczkami i kuframi. Z mocno bijącym sercem, wiedząc, że drogo za to zapłaci, jeśli go przyłapią, pchnął drzwi prowadzące do pierwszego magazynu. Bezgłośnie otworzyły się na żelaznych zawiasach.

Druga ładownia była oddzielona od pierwszej nie drzwiami, lecz zasłoną z żaglowego płótna, którą cicho odgarnął na bok. Trzydzieści stóp dalej Woolford z przyciemnioną latarnią chodził między stosami skrzyń i kufrów, trzymając w ręku żelazny łom do podważania drewnianych pokryw. Duncan zobaczył, jak oficer przystanął, napił się z butelki, którą wyjął z kieszeni, po czym otworzył jedną ze skrzyń i zaczął przeglądać jej zawartość.

Duncan cał po calu posuwał się naprzód, nagle desperacko zapragnąwszy zobaczyć przynajmniej nalepkę na otwartej skrzyni, wyszukując gęściejszego mroku, który mógł zapewnić mu kryjówkę. Znalazł ją między dwiema skrzyniami, gdy nagle jakieś włochate stworzenie skoczyło mu na ramię. Szczur bezszelestnie przebiegł mu po plecach, lecz narobił hałasu, skacząc na stertę baryłek, gdzie pośliznął się i usiłując złapać równowagę, zaskrobał pazurami po drewnianej powierzchni.

Woolford błyskawicznie się odwrócił, trzymając w jednej ręce latarnię, a w drugiej żelazny łom, przygotowany do rzutu.

- Z tej odległości wbiję ci go w śledzionę, zanim zdążysz się schować - oznajmił cicho i groźnie.

- Sądziłem, że jako sztuka wojenna oszczepnictwo skończyło się wraz z krucjatami - rzekł Duncan, starając się powstrzymać drżenie głosu.

- Zdziwiłbyś się, co obecnie potrafi oficer - warknął Woolford, jeszcze wyżej unosząc łom.

- Lepiej zrób to tu i teraz, poruczniku, jeśli nie chcesz mi pozwolić odkryć prawdy o tych zabójstwach.

- Zabójstwach? Było tylko jedno morderstwo.

- W tym właśnie problem, poruczniku. Obaj wiemy, że nie mogę dociec prawdy o śmierci Evinga, nie znając prawdy o Adamie Munroe. Może istotnie chcesz znaleźć zabójcę profesora, ale nie chcesz pozwolić, aby ktoś poznał twoją tajemnicę związaną z Adamem.

- Czy masz pojęcie, co zrobi z tobą kapitan?

Duncan nie wątpił, że Woolford mógłby go zabić. Jednak przyszedł czas sprawdzić prawdziwość słów Adama. Jeśli wojsko chce go wykorzystać, musi go chronić. Podeszedł, trzymając ręce z daleka od ciała.

- Możemy tu stać przez pół godziny, poruczniku - rzekł, gdy krąg światła dotknął jego twarzy - i słuchać twoich opowieści o tym, w jaki to okropny sposób kapitan może zakończyć moje życie. Uznam, że dowiodłeś swojej racji, jeśli pogodzisz się z tym, że gdy zaprowadzisz mnie przed kapitana i wielbnego Arnolda, wyliczę tuzin możliwych wyjaśnień tego, dlaczego ukradkiem przetrząsałeś skrzynie - zerknął na dobrze widoczne teraz naklejki - zawierające prywatne rzeczy rodziny Ramseyów.

Woolford opuścił łom.

- Inwentaryzacja - mruknął. - Mając tyłu złodziei na pokładzie, musimy pilnować wszystkiego.

- Świetnie. Tak im powiemy. Jeśli chcesz, mogę pójść do nich sam.

- Żeby dostać tuzin batów za opuszczenie więziennego pokładu?

- Będę rozkoszował się każdym uderzeniem, jeśli ujawnię twoje prawdziwe zamiary.

- Czy wszyscy Szkoci to samobójcy, McCallum, jak ty i Munroe?

- Uważaj to za przykład tego, co robią ludzie, kiedy król przekłuje bańkę ich nadziei.

Woolford miał taką minę, jakby zjadł coś kwaśnego. Oparł się o skrzynię, stawiając obok siebie latarnię.

- W przypadku pata wolę oczyścić szachownicę i zacząć nową partię. Obejrzymy dzieło naszego poprzednika? - rzekł, wskazując na stojący w pobliżu kufer. Duncan zobaczył, że jego zamek został już wyłamany, tak samo jak kilku innych oznaczonych ozdobną literą „R” - znakiem Ramseyów.

- Co zrobiłeś w zeszłym tygodniu Adamowi?

- Z głębokim żalem wyznaję, że nic.

- Dlaczego gubernier Ramseyów jest tak ważny dla ciebie, żołnierza niezwiązane go z Kompanią?

Woolford zignorował pytanie, oglądając zawartość stojącego przed nim kufra.

- Zatem czemu Adam Munroe uważał za tak katastrofalny fakt, że zmierzamy na pogranicze Nowego Jorku? - naciskał Duncan.

Woolford znieruchomiał, patrząc w ciemne wnętrze kufra. Wydawał się dziwnie poruszony tym pytaniem.

- Dzieć w rozmaity sposób wpływa na ludzkie dusze.
- Mówisz o różnych rodzajach strachu.

Woolford powoli podniósł głowę i zmierzył Duncana trzeźwym spojrzeniem.

- Nie masz pojęcia, McCallum, jaką masz rację.

Duncan pochylił się i zajrzał do kufra. Przeszedł go dreszcz, gdy rozpoznał zawartość. Długie płócienne worki z troczkami. Zawsze prężni zarządcy Kompanii Ramseya załadowali całą skrzynię całunów.

- Zaklinacz duchów - rzekł Duncan, patrząc na płótna. - Czy to oznacza człowieka planującego samobójstwo?

Woolford oburącz ścisnął łom.

- To określenie niełatwo wytłumaczyć - odparł dziwnie melancholijnym tonem. - Oznacza coś wręcz przeciwnego. W Ameryce zmarli nadal chodzą po ziemi.

- Przejąłeś pieczę nad Adamem w sądzie. Czytałeś jego akta. Dlaczego się zabił?

Woolford spoglądał na łom, obracając go w rękach, krzywiąc się i rzucając słowa w ciemność.

- Adam Munroe był jedynym, którego nie aresztowano. Powiedział Arnoldowi, że jeśli musi zostać aresztowany, żeby dołączyć do Kompanii, to chętnie napadnie na mnie i każdego żołnierza w Argyll.

- Niemożliwe. On nigdy dobrowolnie nie zostałby niewolnikiem.

- Podejrzewam, że ty i ja nie znaleźmy go tak dobrze, jak sądziliśmy.

Duncan ujrzał w oczach Woolforda coś, co go przestraszyło, i przez moment oficer znów uniósł łom jak oszczep, lecz zaraz głęboko westchnął, odrzucił go i poszedł wzdłuż rzędu splądrowanych kufców. Duncan szedł tuż za nim. Pierwsze trzy zawierały piękne stroje, pomięte, lecz niezniszczone. W następnym, oznaczonym napisem „Narzędzia”, na wierzchu leżała warstwa koców. Jednak pod nimi kryły się co najmniej dwa tuziny bagnetów przeznaczonych do mocowania pod lufami muszkietów oraz topory i ciężkie noże, niemal tak duże jak miecze. Następna skrzynia zawierała grube wełniane surduty, czerwone z długimi rękawami - jedne z niebieskimi, inne z ciemnożółtymi wyłogami. Chociaż postrzępione od długiego używania, wytrzymałyby jeszcze długie lata „służby, gdyby ktoś nie polał ich smołą, która wsiąkła w materiał.

- Zabrałeś je z koszar? - zapytał Duncan.
- Nie ja. Ale zostały uszyte na rozkaz króla. To mundury dla wojska.
- Jednak nie nowe.

- Powiedziałbym, że w większości dwudziestoletnie i starsze. Kwaterniści czasem sprzedają stary ekwipunek, żeby kupić nowy. Znam pewien teatr w Chelsea - zauważył Woolford - który regularnie kupuje całe skrzynie na kostiumy. - Urwał i z żalnym uśmiechem pociągnął łyk z butelki. - W wiejskiej posiadłości mojego ojca był wielki dziedziniec. Zwał go swoim rzymskim amfiteatrem. Wystawialiśmy tam sztuki, w których wychwalaliśmy królów i celebrowaliśmy Anglię jako dziedziczkę i królową cywilizacji.

Drugi syn, pojął Duncan. Woolford miał ojca arystokratę i był zaledwie młodszym oficerem. Mogło to oznaczać jedynie to, że nie dziedziczył. Woolford w zadumie mówił dalej.

- „(...) ta monarsza wyspa (...). Ten drogi kamień oprawiony w srebrne morze”<sup>\*\*</sup> - zacytował z głęboką ironią. - Szekspir był moim ulubionym autorem. „Słowa sumienia” - recytował scenicznym głosem - „używają tchórze, aby wzbudzało grozę pośród silnych”<sup>\*\*</sup>.

- „Nic w ciągu życia nie odznaczyło go tak szlachetnością jak rozstawanie się z życiem” - odparował Duncan. - „Umierał, jakby był w śmierci ćwiczony, i jako nikczemną fraszkę odrzucił od siebie to, co mu było najdroższe”<sup>\*\*\*</sup>.

- *Makbet*.

- Szkocki król o śmierci Szkota. Dlaczego Adam uparł się płynąć tym statkiem? - naciskał Duncan. - Co takiego zrobiłeś, co doprowadziło go do samobójstwa?

Woolford przez chwilę spoglądał na swoją zdobną flaszkę, po czym uniósł ją w toaście ku Duncanowi i pociągnął łyk.

- „Drew nie dorzucaj do ogniska wroga, byś w nim nie spłonął”<sup>\*\*\*\*</sup> - wygłosił. Zamknął kufer i gestem pokazał Duncanowi drogę w cień. Przeszli za następną płócienną kotarę i dotarli do grubych, wygiętych desek kadłuba, gdzie odgłos uderzających o drewno fal był szczególnie głośny.

\* W. Szekspir, *Ryszard II*, przeł. M. Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 2004.

\*\* W. Szekspir, *Ryszard III* przeł. M. Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 2004.

\*\*\* W. Szekspir, *Makbet*, przeł. M. Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 2004

\*\*\*\* W. Szekspir, *Henryk VII*, przeł. M. Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 2004.

- Odkryłem to dzień po śmierci Adama - oznajmił oficer, wyciągając z kąta niewielką skrzynkę i oświetlając ją latarnią.

Duncan poczuł paraliżujący lęk. Oparł się o skrzynkę, spoglądając na dziesięciocalowej średnicy dziurę, którą ktoś próbował wybić w kadłubie obok jednej z grubych wręg. Ktoś chciał zatopić statek.

- Jak grube... - zaczął.
- Deski kadłuba mają osiem cali grubości, jeśli wierzyć cieśli okrętowemu. Według moich obliczeń od morskiej wody dzieli nas mniej niż cal.
- Chcesz powiedzieć, że to zrobił Adam?
- Tak przypuszczałem. Kiedy jednak wróciłem tu po jego śmierci, odkryłem świeże ślady pogłębiania otworu.
- Nie powiedziałeś o tym kapitanowi?
- Kapitanowi brak wyobraźni. Jest jak artylerzysta myślący tylko o tym, by szybko wycelować i wystrzelić. Szalałby, wniąc Szkotów, a potem skierował statek do Halifaksu.

Duncan przyklęknął i obejrzał ślady w deskach. Otwór znajdował się po lewej stronie wręgi, ukryty w cieniu. Trudno byłoby go zauważyć podczas rutynowej inspekcji, tak samo jak bagnet, który wyciągnął zza najbliższej stojącego kufra.

- Powinieneś jednak powiedzieć o tym cieśli okrętowemu - poradził.
- I spłoszyć sprawcę? Oficjalnie nikt o tym nie wie - rzekł Woolford. Ponownie zasłonił otwór kufrem.
- Oficjalnie?
- W wojsku mamy oficjalne akta, do wiadomości powszechnej i króla. Nieoficjalne są obszerniejsze, zawierają więcej interesujących szczegółów.
- Takich jak prawda.
- Zwykle materiału wystarcza na kilka prawd. Jak u Szekspira.
- Albo w tych listach, które otworzyliśmy.

Woolford wskazał Duncanowi powrotną drogę do drabinki.

- Uważam, że zareagowałeś bardzo spokojnie. Doskonała gra. - Odwrócił się i chłodny uśmiech wrócił na jego wargi, gdy ujrzał zdumioną minę Duncana. - Z pewnością zrozumiałeś list Frasiera, w przeciwieństwie do wielbnego Arnolda.

- Frasier to niespokojny duch.
- Frasier napisał Kompanii, że mają w swych szeregach szpiega - oznajmił Woolford. Ciesz się, że siedzisz w celi. Ciesz się, że chroni cię

wielebny Arnold. Pozostali więźniowie i kapitan mają wobec ciebie podobne zamiary. Z jedną wielką różnicą. Kapitan chce cię rzucić rekinom na pożarcie. Członkowie Kompanii zrobiliby to samo, ale odrąbując kawałek po kawałku.

Duncan nagle osłabł i oparł się o luk, patrząc, jak latarnia Woolforda znika w górze, jak gasnąca gwiazda na tle nieba. W Szkocji ktoś otwarcie stojący po stronie Anglików był wrogiem, ale przynajmniej można było stoczyć z nim uczciwą walkę. Tymczasem donosiciel był najniższą formą życia i zasługiwał najwyżej na pchnięcie sztyłem w plecy w mglistą noc. To Duncan był tym zgniłym mięsem, które Frasier chciał odciąć.

Oszołomiony, wrócił do stołu i zapatrzył się w płomień świecy, usiłując ochłonąć i znów zabrać się do pracy. Przepisał jeden list i nagle wyczuł czyjąś obecność za plecami.

Z cienia wyszedł krępy mężczyzna.

- Mam to - powiedział Cameron, podając mu coś zawinięte w kawałek żaglowego płótna. - Wielebny prosił mnie, żebym wyczyścił buty profesora, wyszczotkował jego ubranie i przygotował ciało.

Duncan położył węzełek na stole i rozwiązał. W środku były odłamki zielonego szkła.

- Kiedy poszedłem po buty, te odłamki leżały na podłodze kajuty profesora. Powinienem je wyrzucić. Jednak wepchnąłem je w kąt pod koją.

Duncan przegarnął odłamki końcem gęsiego pióra. Pasowały do tych, jakie tkwiły w kolanie Everinga. Większe były dziwnie wygięte.

- Co to było za naczynie, Cameron?

- Człowiek w dobrym humorze może wypić szklaneczkę whisky, a potem ją rozbić - podsunął nadzorca.

- Odłamki są za małe jak na szklaneczkę. To raczej był kieliszek - rzekł Duncan i nagle już wiedział, co to było. Mały dozownik, jedno z niewielkich naczynek używanych do podawania leków chorym. Powąchał największy kawałek. Poczuł słaby kwaskowaty zapach. - Czy profesor był chory?

- Nic na to nie wskazywało.

A jednak na statku ktoś chorował, przypomniał sobie Duncan. Kobieta, która skoczyła za burzę.

Duncan przyjrzał się rosłemu nadzorcy. Podczas ich długiej podróży Cameron okazywał Duncanowi jedynie wzgardę.



- Dlaczego mi to mówisz?

- Pilnuję skrzynki na listy Kompanii, robię wykaz listów i oddaję je okrętowemu skrybie. Ten drań Woolford zabrał mój list. Ludzie w ładowni wiedzą, co się dzieje. Wiemy, że kiedy dopłyniemy do kolonii, jednego z nas powieśzą. - Cameron podszedł bliżej, sięgnął do kieszeni i wyjął złożony papier. - Jednak mam tu inny list, którego mu nie pokazałem.

Z drżeniem serca Duncan zobaczył, że to list napisany przez niego, w którym przeklinał króla i wszystko, co angielskie. Wosk ze świecy, którym zapieczętował list, był złamany.

- Wszyscy wiedzą, że byłeś na pokładzie tamtego ranka, kiedy znaleziono ciało Everinga.

- To ja je znalazłem - przypomniał Duncan.

- Sprytna sztuczka, jakiej mógł użyć wykształcony zabójca, żeby odwrócić od siebie uwagę.

- Nie zabiłem go.

Cameron udał rozczarowanego.

- Nie traćmy czasu, McCallum. Obaj wiemy, że oni chcą tylko ładnej opowieści do jednego z kazań wielbnego Arnolda oraz pokazowej egzekucji, która zapewni posłuszeństwo nowemu panu. Nie mieszaj do tego mojego nazwiska, a ja nie wmieszam twojego. - Cameron pomachał Duncanowi listem przed nosem, po czym schował papier do kieszeni. - Rozumiemy się?

- To tylko list.

Cameron wyglądał na zadowolonego z oporu.

- Był jeszcze jeden kawałek papieru, ten, który zabrał Lister. Nie wiedział, że ja przeczytałem go pierwszy. Mógłbym spisać zeznanie, wszystko legalnie, co w nim było. O tym, jak profesor miał się spotkać z McCallumem właśnie wtedy, kiedy zginął.

Duncan na moment ukrył twarz w dłoniach, po czym spojrzał na Camerona i skinął głową.

- Mam jednak kilka pytań, na które musisz mi odpowiedzieć, Cameron.

Nadzorca wzruszył ramionami.

- Tak samo jak ty chcę, żeby to się skończyło.

- Pilnowałeś więźniów szorujących pokład dzień przed śmiercią Adama.

- Tak. Frasier i ja.

- Ktoś z tej grupki włamał się do kufra porucznika Woolforda.

Cameron wyraźnie się zjeżył.

- Dlaczego o tym mówisz?

- Widziałem część waszych łupów, kiedy się pojawiły. Niektóre były jeszcze mokre. Ponieważ ktoś ukrył je w wiadrze z brudną wodą. W tym kufrze była żywność z Anglii. Cukrowe różki mieszczące się w kieszeni. Dla niektórych nieodparta pokusa.

Nadzorca spochmurniał.

- Młody Frasier bardzo lubi słodczyce.

- Młody Frasier godzinę później ssał kawałek cukru - zgodził się Duncan. - A ty nagle miałeś mnóstwo drobiazgów do postawienia. To ty tamtego dnia rozpoczęłaś zakłady. Wielebny Arnold byłby rozczarowany, gdyby się dowiedział, że dozorcę są zamieszani w kradzieże na statku.

Nadzorca zrobił groźną minę. Dotknął kieszeni, w której schował list, jakby chciał o nim przypomnieć Duncanowi.

- Zatem dlaczego? Po co włamywać się do kufra Woolforda akurat tego dnia, kiedy ogłosił, dokąd płynie Kompania? Jak sam powiedziałeś - dodał Duncan, kiedy Cameron nie odpowiedział - mamy umowę, ty i ja.

- To nie był mój pomysł. Ja tylko mu pomogłem. Frasier twierdził, że nie poradzi sobie bez mojej pomocy.

Pomocy, akurat, pomyślał Duncan. Frasier sam nie tylko nie dokonałby tak zręcznej kradzieży, ale też nie wpadłby na to, żeby odszukać należącą do Woolforda skrzynię z rzeczami przewożonymi do Ameryki.

- Byłeś tam już. W Ameryce. Jak tam jest?

Na chwilę wielkolud jakby się skurczył.

- To była piękna farma w północnej Pensylwanii, w miejscu zwanym Wyoming Valley. Wciąż mam koszmarne sny. Na moich oczach zabili moją żonę i dwoje małych dzieci, a mnie zostawili, żebym umarł, ale przybyła milicja.

Obrócił głowę i odgarnął zwisające loki, odsłaniając dużą bliznę na linii włosów.

- I dlatego zostałeś nadzorcą wielebnego Arnolda?

- Byłem jednym z pierwszych na pokładzie. Poprosiłem o modlitwę. Wielebny wysłuchał mojej opowieści i ulitował się. Wiem, jak wygląda życie w Ameryce.

Duncan doszedł do wniosku, że to amerykańskie życie już narobiło zamieszania w Kompanii. Przyjrzał się leżącym na stole odłamkom.

- Evering miał porządny czarny surdut i złoty zegarek. Gdzie one są?
- Skradzione, tak jak mapa przypięta nad jego koją.

- Jaka mapa?

- Widywałem ją, kiedy sprzątałem jego kajutę. Z obliczeniami i notatkami. Zapewne zapisywał na niej, o czym jako gubernier bęǳie mówił swoim małym uczniom.

- Co jeszcze znajdowało się w kajucie profesora?

- Zwykle rzeczy. Książki. Ubrania. Zamknięty kufer. Pudełka z różnymi rzeczami.

- Jakimi rzeczami?

- Jego zbiorami. Przyrodniczymi. Był filozofem.

- Masz na myśli kości? I pióra?

Cameron kiwnął głową.

- Widujesz czasem tę chorą kobietę?

- Tylko tamtego dnia, kiedy próbowała latać. Leży w łóǳku. Noszą jej jedzenie. Pilnują jej pilnie jak noworodka.

- Kto?

- Wielebny. Porucznik. Czasem żona kapitana. Wcześniej także profesor.

- Powiedz mi coś o tych dzikusach, Cameron. Mają swoich czarowników?

To pytanie wstrząsnęło wielkim Szkotem. Przez chwilę spoglądał w mrok, zanim odpowiedział:

- Tak. Straszliwych starców i staruchy mogące przybierać zwierzęcą postać. Latać jak ptaki. Pływać jak ryby. Czarowników. Nazywają ich szamanami.

- I ci czarownicy, szamani, którzy mogą przelecieć przez ocean, używają do swych rytuałów krwi i kości?

W oczach Camerona pojawił się groźny błysk, lecz zaraz zmienił się w niepokój, gdy Szkot znów spojrział w ciemność. Duncan podniósł pióro, żeby dokończyć pracę.

- Za godzinę bęǳiesz musiał znów zamknąć mnie w celi, Cameron. Tymczasem zapytaj cieślę okrętowego, czy nie brakuje mu młotka. I przynieś wykaz członków Kompanii, którzy wysłali listy.

Kiedy nadzorca wrócił, Duncan wręczył mu plik papierów do przekazania

Arnoldowi i szybko przejrzał wykaz listów. Właściwie były dwa, oznaczone „na wschód” i „na zachód”, z nazwami statków, które zwolniły, żeby je zabrać. Do nielicznych skierowanych na zachód należało kilka zaadresowanych do szanownego Williama Ramseya, a wysłanych przez Arnolda. Adam Munroe napisał dwa listy zaadresowane do gospody w pewnym mieście nowojorskiej kolonii, oba do tego samego człowieka, którego nazwisko Duncan przeczytał ze zdziwieniem. Sokrates Moon. Tajemniczy Grek, który sześć miesięcy wcześniej podróżował do Anglii z pasażerką o samobójczych skłonnościach.

Jednak najdziwniejszy był inny list, również zaadresowany do Sokratesa Moona i włączony do poczty dzień po śmierci Adama. Nie miał adresu nadawcy, tylko słowa „Gubernier Kompanii Ramseya”.

Gdy dozorca odprowadził Duncana do celi, wyjął ogarek świecy, zapalił go i wręczył więźniowi.

- Cieśli zginął jego najlepszy młotek - rzekł Cameron, zamykając drzwi.  
- Był w magazynku z drewnem, a kiedy ucichł sztorm i cieśla poszedł tam po deski do naprawy szkód, już go nie było.

- Powiedz mi, panie Cameron, czy w swoim wykazie zapisujesz nazwiska dokładnie tak, jak są napisane na listach?

- Tak nakazuje regulamin.

Duncan miał ponure podejrzenia. Evering posłał list do tajemniczego Greka, ale przedstawił się tylko jako gubernier, jakby to miało coś oznaczać dla adresata, jakby ten Sokrates Moon oczekiwał czegoś od guberniera, niezależnie od tego, czy jest nim Evering czy jego następcą.

- Muszę mieć ten list wysłany przez Everinga - powiedział przez okienko.  
- Przede wszystkim muszę mieć ten list.

- Nic z tego. Oddany na szkuner rybacki mijający nas trzy dni temu.

Duncan podupadł na duchu i osunął się na podłogę, gdy kroki Camerona ucichły w ciemności. Po kilku minutach wyjął listę swych przodków i zapatrzył się w nią, szepcząc imiona, aż okienko w drzwiach jego celi się otworzyło i wsunięto przez nie duży blaszany kubek z parującym płynem. Herbata posłodzona miodem. Podziękował szeptem i usiadł z kubkiem w kącie na moment przed tym, zanim ogarek zamigotał i zgasł. Znalazł się w ciemności, żałując, że nie słyszy nucenia Flory, które dziwnie go

uspokajało. Ona jednak milczała od kilku godzin, a dźwiękiem, który dobiegał go z jej celi, był głównie szloch. Duncan próbował zabić czas, wspominając szczęśliwsze dni swej młodości na wyżynach Szkocji i Hebrydach, lecz myślami wciąż wracał do spuścizny Adama i martwych, badawczych oczu Everinga, do zakrwawionego kompasu i tej strasznej chwili, gdy zamknęły się nad nim wody oceanu. Złe przeczucia były tak realne i namacalne, że niemal je czuł, jak słońą i gorzką wodę w ustach. Duncan szukał uciezki w czarnych falach i był pewien, że nie przeżyje tej burzy. Wszystko się zmieniło w ciągu kwadransa, gdy Lister dał mu powód do życia i Duncan skoczył do morza z innej przyczyny.

Teraz jednak zaczął rozumieć, że jego życie istotnie skończyło się tamtego dnia. Człowiek, który przeżył sztorm, nie był tym samym, który skoczył do wody. Przez kilka godzin cieszyła go myśl, że mógłby spełnić życzenie Listera i zostać wodzem klanu, a potem naprawdę chronić obecnych na pokładzie Szkotów. Jednak Kompania uczyniła go kimś innym, kimś gorszym od więźnia, kim wódz klanu nigdy nie mógł być. Został informatorem, sługusem, pionkiem angielskiego lorda. Arnold i Woolford dowiedli straszliwej prawdy w podejrzeniach Frasiera. Czy Arnold naprawdę był tak sprytny, by zrozumieć, że znalazł idealny sposób, żeby złamać Duncana?

Nie, spierał się jakiś głos w głębi jego świadomości. Jest nadzieja, gdyż ta umowa oznacza, że zrzuci łańcuchy i będzie mógł postępować jak wódz klanu, choćby tylko w sekrecie. Jednak ten słaby głos szybko umilkł, gdy Duncana zaczął trapić kolejny koszmar, w którym widział dwóch ludzi na szubienicy. Jednym był mężczyzna w tartanowej opasce na oczach, ze skórą zdartą batem wielebno Arnolda. Drugim jego nieżyjący ojciec, przeklinający go za cierpienia, jakich Duncan przysporzył Kompanii. Anglicy oczekiwali, że dostarczy im winnego do przykładowego ukarania. Teraz, kiedy Duncan ich przekonał, że profesor został zamordowany, oczekiwali, że da im Szkota, jakiegokolwiek, żeby mogli go powiesić za tę zbrodnię. A Szkoci, których przysięgał chronić, pragnęli jego śmierci.

## Rozdział 4

Gonił jagnię na podwórzu, a matka obserwowała to z granitowego progu, śmiejąc się, gdy wraz z jagnięciem runął na rabatę. Nagle wesołe beczenie zmieniło się w powarkiwanie. Jagnięciu wyrosły długie, ostre kły i zaczęło drapać go pazurami.

Duncan gwałtownie się ocknął, kaszląc i szukając po omacku czegoś, czym mógłby cisnąć w szczury. Nagle osłona na latarni znajdującej się w odległości wyciągniętej ręki podniosła się o cal. To nie szczury, tylko silne i twarde palce trzymały go za nogę i budziły, potrząsając.

- Twój czerwony kubrak zwiął - oznajmił chrapliwy głos. - Jakby goniła go brygada Francuzów.

Duncan potarł oczy, wytyżając wzrok, by dostrzec w mroku sylwetkę Listera, i odruchowo podniósł dłoń do szyi. Miał w ustach dziwny posmak i czuł pieczenie w przelyku. Zerknął na blaszany kubek, który podano mu w nocy przez okienko w drzwiach, pełen słodkiej i gorącej herbaty.

- Woolford uciekł? Jak?

- Dogonił nas szkuner rybacki - odparł Lister, przykucnąwszy obok Duncana, podając mu kawał szarego mięsa owinięty w zwiędły liść kapusty. - Mniejszy i szybszy niż ta stara balia. Gdy tylko marynarz na oku zameldował, że widzi szkuner, Woolford skoczył pod pokład, a kiedy tamci podpłynęli bliżej, zawołał do nich i zaproponował im nagrodę za fatygę. Oni mogą żeglować bardziej na wiatr i zawinąć do portu za kilka godzin. My będziemy później o cały dzień lub więcej.

- Popłynął sam?

Lister wyciągnął zza pleców poplamiony i postrzępiony żeglarski worek, w którym Duncan trzymał swój skromny dobytek.

- Woolford, dwaj marynarze i jakiś człowiek w płaszczu podpłynęli

szalupą do tamtego statku. Z dwoma kuframi. Potem wrócili tylko ci dwaj marynarze, bez kufrów.

- Kim był ten drugi człowiek?

- Byłem pod pokładem, dopóki tamten statek nie odpłynął. Jednak brakuje Frasiera.

Duncan poszedł w kącie celi, wziął stojący tam kubek z wodą i napił się. Mimo to wciąż czuł w ustach kwaskowaty smak.

- Ta herbata, którą mi przyniosłeś - powiedział. - Co w niej było?

- Nie przynosiłem ci żadnej herbaty.

Został odurzony. Ktoś go uspił, dosypując coś do słodkiej herbaty, którą Duncan tak łapczywie wypił. Tylko dlatego ktoś chciał go odurzyć w jego celi? Z niepokojem dotknął ukrytego w kieszeni kamienia, medalionu na szyi, a nawet płóciennego zawiniątka z guzikiem. Niczego mu nie zabrano.

- Słyszałem, co dla mnie zrobiłeś, Lister - rzekł. - Skłamałeś. Otrzymałeś chłostę za mnie.

Lister uśmiechnął się z przymusem.

- Byłeś w kiepskim stanie, chłopcze. A dla mnie to nie pierwszozna. Jak już masz twarde blizny na grzbiecie, nie jest tak źle. Jakby podrapali tam, gdzie swędzi.

- Najpierw na maszcie przywróciłeś mi chęć życia, a teraz przyjąłeś za mnie karę. Jeszcze nigdy nikomu tyle nie zawdzięczałem.

- Powiedz mi coś, Klanie McCallum - odparł Lister. - Czy wiesz, czym jest Nowy Świat?

To pytanie wydawało się dziwne i z wyraźnym trudem przeszło przez gardło staremu żeglarzowi.

To też więzienie, tylko nieco inne - miał ochotę odpowiedzieć Duncan.

- Na razie zdaje się mieć wiele wspólnego z umieraniem.

- Ja już tam byłem. W Nowym Jorku, Bostonie, Filadelfii. Wiem, że tam można oddychać pełną piersią. Rzecz w tym, że tam nie jest ważne, gdzie ani kim się urodziłeś. Teraźniejszość nie jest kompromisem z przeszłością - mówił z błyskiem w oczach stary. - Zamierzam zbiec po trapie, zatańczyć giga i dać kwiatek pierwszej napotkanej dziewczynie.

Po długich godzinach, jakie spędził w ciemności, Duncanowi z Nowym Światem kojarzyło się tylko dziwne i przerażające wrażenie, że czai się tam coś, co bacznie obserwuje jego i Kompanię, oraz spojrzenie Arnolda, gdy

Duncan był odziany w liberię Ramseya, którą miał nosić w Ameryce.

- Wygląda mi na to, że Nowy Świat oznacza „tak, proszę pana” i „nie, proszę pana” oraz wycieranie błota z butów paniczka.

Lister nie zwrócił uwagi na ten żart.

- Powiem ci, jak możesz mi się odwdziżyć, Klanie McCallum. Mnie i duszom twoich zacnych rodziców.

Duncan zmrużył oczy.

- Idź z wielebnym i zajmij miejsce Everinga. Ramsey będzie wymagającym panem, ale chce twego dobra. Spełnij swój obowiązek wobec Kompanii Ramseya i swojego klanu. Daj szansę Nowemu Światu. Dbaj o siebie. To, co zrobiłeś dla tej dziewczyny w czasie sztormu, było godne wodza klanu. Jeśli zabójca chce przerzedzić nasze szeregi, może ty go powstrzymasz.

Zaskoczony siłą uczuć malujących się na twarzy Listera, Duncan zawahał się, a potem splunął na dłoń i po raz drugi w tym tygodniu uściśnął szorstką, spracowaną rękę Listera. Kiedy napotkał jego spojrzenie, wydało mu się, że spogląda w oczy swego ojca i dziada, jakby składał przysięgę nie tylko Listerowi, ale im wszystkim, starym Szkotom.

W głębi korytarza usłyszał skrobanie szczurzych łap. Był środek nocy.

- Zabierz mnie do kajuty Everinga - rzekł nagle.

- Kiedy kapitan jest gotów zrobić z ciebie gulasz? Nie ma mowy.

- Wiesz, że Arnold domaga się wyjaśnienia morderstwa Everinga - powiedział Duncan. - Nie skłamię, żeby go zadowolić. A wiesz, co robi, jeśli nie odkryję prawdy.

Słyszac te słowa, Lister przestał się opierać. Westchnął i wstał, z powrotem opuszczając osłonę latarni.

- Daj mi coś, co można by uznać za broń. Twoją pałkę. Jeśli nas zauważą, dam do zrozumienia, że cię do tego zmusiłem.

- Pochyl głowę i pospiesz się - szepnęła dozorca, wręczając Duncanowi krótką, grubą pałkę.

Lister przeprowadził Duncana przez labirynt magazynków na towarowym pokładzie, a potem po drabince wiodącej do kajut na dziobie, przystając co chwilę, by nasłuchiwać kroków nocnej wachty. Kiedy przekradli się ciemnym korytarzem, Lister odryglował drzwi kajuty i gestem pokazał Duncanowi, żeby wszedł. Zamknął drzwi i podniósł osłonę latarni, a wtedy



Duncan zobaczył, że kajuta jest niewiele większa od jego celi. Została opróżniona - na koi nie było pościeli, a półki za nią były puste. Dziennik, który Duncan tak rozpaczliwie chciał znaleźć, znikł.

- A jego książki? - szepnął.

- Zabrali je dozorczy. Mają zostać przesłane do domu Ramseyów w Nowym Jorku.

Odpowiedzi, które według Adama powinien znaleźć, zostały zapakowane i zabezpieczone, tak więc Duncan będzie musiał jakoś je odnaleźć w Ameryce. Przewycięził rozczarowanie i rozejrzał się po maleńkiej kajucie. Nad łóżkiem wisiały dwie wstążki, jedna blad różowa, druga jasnozielona. Podłoga obok łóżka była poplamiona woskiem. Gdy Lister pilnował drzwi, Duncan przechylił koję i położył się na niej tak, jak zapewne robił to zmarły. Długie nogi wystawały mu poza koję. Dotknął wstążek nad głową. Ich wyblakłe barwy świadczyły o tym, że Evering musiał robić to samo bardzo często, wiele razy, tak jak wielokrotnie studiował zabraną stąd mapę, przybitą czterema gwoździakami, wciąż sterczącymi z desek. Takie było życie Everinga na pokładzie tego statku: leżąc w podobnej do trumny koi, czytał przy świetle świecy, wbrew rozkazom kapitana zabraniającym używania otwartego ognia, spoglądał na mapę i niegdyś eleganckie wstążki. Marzył o komecie, której chciał nadać swoje imię. Pisał więźniom listy. I opiekował się chorą wariatką w kabinie na dziobie.

Mrok nad łóżkiem był tak gęsty, że Duncan o mało nie przeoczył skrawka papieru wetkniętego w szparę. Podnosząc go do światła, zobaczył narysowaną strzałę. Bardzo szczególną strzałę, gdyż jej drzewce wycieniowano na całej długości, co mogło oznaczać, że było pomalowane, a brzechwa również miała cztery różnokolorowe segmenty, nadające jej pasiasty wygląd. Poniżej, napisane drobnym i starannym pismem, jakim Evering sporządzał swoje naukowe zapiski, widniały dwa słowa - „Klan Wilka” - oraz kilka krótkich zdań, od których Duncana przeszedł dreszcz. „Kostki przemawiają. Prawda wzywa. Zaklinacz ryb nad rzeką. Fałszywe twarze”. Drżącą ręką wepchnął skrawek papieru do kieszeni.

Wyszedłszy z koi, przykleknął i zajrzał w cień pod nią. Natychmiast zauważył nie tylko odłamki szkła, wepchnięte w kąt przez Camerona, ale także kilka innych, znacznie mniejszych i ułożonych w krąg, wbitych w deski podłogi pod koją.

- Jakąś szmatę, Lister - poprosił Duncan, wydłubując kilka okruchów z desek. - Coś, do czego mógłbym je schować.

Stary marynarz na próżno przeszukał kieszenie, nerwowo spoglądając na drzwi.

W cieniu pod łóżkiem stał wyszczerbiony ceramiczny garnek, służący Everingowi za nocnik, a w nim leżały kawałki zwęglonego papieru. Duncan ponownie spojrzął na krąg szklanych okruchów. Zapewne na moment przed śmiercią Evering upuścił tu szklany dozownik, a nawet celowo go rozgniół, być może gniewnie. Duncan odtwarzał tę scenę. Evering rozbił dozownik i niedługo po tym otrzymał pierwszy cios - zapewne skradzionym młotkiem - po którym osunął się na kolana, a wtedy został uderzony ponownie. I mniej więcej w tym samym czasie ktoś spalił jakieś papiery w nocniku. Duncan nie wiedział, czy zrobił to Evering czy jego zabójca.

Skinął na Listera, by mu poświęcił latarnię, i przyjrzał się popiołom w garnku. Dostrzegł zarys liter na jednym zwęglonym skrawku, a na samym spodzie nietknięte przez ogień słowa skreślone ręką Everinga. „Stary zaklinacz ryb będzie wiedział. Jeleni łeb. Pokaż mu medalion”.

Gdy wracali na więzienny pokład, Duncan przystanął i położył dłoń na ramieniu żeglarza.

- Czy po tym, jak ktoś splądrował kufer Woolforda, widziałeś, by Adam rozmawiał z Everingiem?

Lister przez moment gładził się po nieogolonej brodzie.

- Tak. Na pokładzie tamtego wieczoru, zanim Munroe umarł. W niedzielę wieczorem. Wielebny odprawiał nieszpory dla więźniów, a Evering i Adam siedzieli obok siebie. Potem profesor napisał jakiś list dla Adama.

- Przecież Adam sam mógł pisać sobie listy - przypomniał Duncan.

Lister zmarszczył brwi.

- Prawda.

Duncan domyślił się, że Evering nie pisał listu, lecz notował coś, co wyznał mu Adam. Munroe i Evering mieli jakąś wspólną tajemnicę i w wyniku tego obaj zginęli. Jakiś sekret związany z Nowym Światem.

- Co wiesz o tym Edentown, do którego nas zabierają?

- Leży na pograniczu, kilka dni drogi od portu. Zbudowane przez jakiegoś wielkiego pana. Niektórzy je znają i mówią, że droga do niego jest usiana grobami - dodał Lister i pociągnął Duncana do drabinki wiodącej niżej.

Duncan jednak przystanął, kiedy dotarli do drzwi.

- Czy ludzie wciąż pracują przy pompach? - zapytał.  
- Przestali. Jest tylko stopa wody pod... - Lister urwał i cicho zaklął, zrozumiałwszy, dlaczego Duncan o to pyta.

- Musisz pójść do mojej celi - rzekł Duncan. - Zamknij za sobą drzwi. Jeśli ktoś przyjdzie, udawaj nieprzytomnego. To musi wyglądać tak, jakbym cię ogłuszył.

Zdjął latarnię z kołka, na którym ją zostawili.

- Będiesz martwy pięć minut po tym, jak znajdzie cię kapitan.

- Muszę znaleźć odpowiedzi na kilka pytań.

- Nie rób tego - prosił Lister. - Innym zajmie to mniej czasu niż kapitanowi.

- Jak sam powiedziałeś, wódz klanu umiera na swoich warunkach. - odparł Duncan. - *Redeat*.

Wszedł z powrotem w mrok, powoli idąc wzdłuż rzędu cel do niewielkiego luku na końcu korytarza. Niecałą minutę później ostrożnie uniósł pokrywę, wypuszczając obrzydliwy odór zęży. Zaciśnął zęby, walcząc ze wzbierającą falą mdłości, po czym ześlizgnął się przez luk i nisko pochyłony, zaczął przesuwać się wzdłuż kilu, trzymając przed sobą przyciemnioną latarnię.

Kapitan *Anny Rose* chciał, by więźniowie Kompanii pozostawali zamknięci w ładowni i wychodzili z niej tylko na posiłki oraz krótki codzienny spacer. Jednak pod koniec pierwszego miesiąca rejsu odkryli obluzowaną deskę na końcu więziennego pokładu od strony dziobu. W ciągu tygodnia poluzowali dwie następne, robiąc przejście do cuchnącej kryjówki. Chociaż więźniowie raczej nie bili się o przyjemność przesiadywania w tej cuchnącej norze, niektórzy regularnie chodzili tam w środku nocy, żeby na osobności przeklinać króla.

Brodząc w sięgającym kostek mule i wysoko trzymając latarnię, Duncan dotarł do sterty cegieł leżących jako balast wzdłuż kilu. Coś pierzchnęło przed nim w ciemności. Szczury pożywiały się na wyższych pokładach, ale gnieździły tutaj.

Minął stertę cegieł i przeszedł jeszcze kilka kroków, gdy nagle silne ramię chwyciło go za gardło i ktoś wyrwał mu z ręki latarnię. Nie stawiał oporu i pozwolił się na pół prowadzić, a na pół wlec przez zęzę, aż stanął w pełnym świetle swojej i jeszcze jednej latarni. Ośmiu mężczyzn spoglądało na niego z gniewem. Trzymający go napastnik przytknął do jego szyi długi i ostry ćwiek.

- Miło was widzieć, wasza wysokość - prychnął. - Zostawiliśmy dla ciebie trochę kompanijnej herbatki.

- Szczury nie będą musiały polować tej nocy - zadrwił drugi.

- Ja tylko... - zaczął Duncan i urwał, gdy napastnik mocniej przycisnął gwóźdź do jego szyi.

Duncan napotkał spojrzenia brudnych, nieogolonych mężczyzn, najtwardszych z Kompanii. Wszyscy trzymali w rękach kamienie balastu, wystarczająco ciężkie, by mogły posłużyć jako śmiertelna broń. Za nimi ktoś jęczał w ciemności.

Rudobrody mężczyzna w podartych resztkach czegoś, co było kiedyś kamizelką stangreta, wyłonił się z ciemności i przysunął twarz do twarzy Duncana.

- Kto dał ci prawo posyłać jednego z nas na śmierć? - warknął.

- Panie McGregor, ja nie...

- Napójcie go herbatką - warknął McGregor.

Szarpnięciem pochyłili Duncana, zanurzając jego głowę w cuchnącej mieszance morskiej wody, moczu, pleśni, zdechłych szczurów i smoły. Z początku nie stawiał oporu, sądząc, że chcą go tylko nastraszyć. Jednak przytrzymali go w tej pozycji, aż poczuł żar w płucach i poderwał się, z trudem łapiąc oddech, plując i prychnając przez moment, zanim znów zanurzyli mu głowę w cuchnącej cieczy, która wdzierала mu się do nosa i ust. Powtórzyli to po raz trzeci, aż w końcu podnieśli go, sapiącego i krztuszącego się.

- Na tym statku nie było żadnego morderstwa, dopóki ty tak nie powiedziałeś - rzekł brodaty. - Teraz jedynym morderstwem, jakie nas niepokoi, jest to, które ty zamierzasz popełnić na jednym z nas.

Na palcach McGregora Duncan dostrzegł krople krwi. Nabrał tchu i wypluł paskudną ciecz.

- Dopóki prawdziwy morderca znów kogoś nie zabije - odpalił, wyrwijąc się z uścisku.

- Wskażesz jednego z nas, McCallum, a któryś z nas cię załatwi. Z początku mieliśmy cię za pięknego chłopca, angielskiego pieska wychowanego za granicą. Nie za Szkota. Teraz widzimy, że jesteś kimś jeszcze gorszym, robakiem, który ma stoczyć nas od wewnątrz. Biedny Eving wy-czuł, kim naprawdę jesteś, więc musiałeś go uciszyć. - McGregor nachylił się jeszcze bliżej, aż jego krzywe i pożółkłe zęby znalazły się tuż przed nosem Duncana. - Ułatwiłeś nam sprawę, chłopcze, składając nam wizytę.

Nawet nie będziemy musieli cię zabijać. Po prostu cię ogłuszymy i zrobimy kilka nacięć na kończynach. Zanim się ockniesz, szczury zeżrą połowę twojego ciała.

Ręka napastnika znów złapała go za szyję.

Duncan nie pamiętał wszystkich przekleństw rybaków z Hebrydów, które poznał jako chłopiec, ale przypomniał sobie wystarczająco dużo, żeby posłać McGregorowi wiązanekę w szorstkiej gealickiej mowie. Były w niej *glaistig*, *uruig* i jednooki *direach*, paskudne stwory, z jakimi porównał starego Szkota, który gapił się na niego oczami pełnymi zdumienia i zgrozy, zanim zatkał mu dłonią usta i wyrwał z rąk napastnika.

Duncan odepchnął jego dłoń.

- Anglicy nie pokonają nas, zabijając wszystkich. Wystarczy, jeśli będą wykorzystywać nasze obawy i uprzedzenia, przez które sami Szkoci zabijali się od wieków - rzekł gniewnie. Sięgnął do kieszeni i wyjął wyrwany z gazety artykuł, który Lister znalazł w kabinie Everinga. - Nie przybyłem tu z koszar - powiedział, wręczając skrawek McGregorowi.

Stary Szkot wyszczerzył zęby jak rozdrażniony pies, ale wziął kawałek papieru i obejrzał przy świetle latarni.

- Cokolwiek o mnie myślicie - powiedział Duncan - wiecie, że Adam był jednym z was. Powiedział coś Everingowi i ten przez to zginął. Przez jakąś tajemnicę związaną z Kompanią. Może Adam też przez to umarł.

- Śmierć szpiegom! - rzucił słaby, chłopięcy głos w ciemności.

Ignorując te słowa, McGregor pogłodził rudą brodę.

- Co chcesz powiedzieć, McCallum?

Duncan znów wypluł maż z ust i usiadł na stosie cegieł balastu.

- Ilu z was zostało razem zabranych z sądu?

McGregor wyciągnął rękę, trzymając gwóźdź znów skierowany w szyję Duncana.

- Ja przybyłem sam, jako jedyny zabrany z mojego miasta - rzekł.

- Sądzę, że tak było z każdym z was - powiedział Duncan. Nikt nie zaprzeczył. - Szukali tylko niektórych ludzi. Nie tylko dostatecznie silnych, by wytrzymali siedem lat ciężkich robót.

- W jakim celu?

- Tylko Adam to pojął. Nie zmierzamy tam jedynie po to, żeby budować miasto jakiemuś bogaczowi. Skąd was zabrano? - zapytał Duncan. - Gdzie każdy z was został wcielony do Kompanii?

- Dunkeld - mruknął McGregor i szturchnął stojącego obok niego mężczyznę.

- Oban - powiedział ten, a pozostali szybko poszli w jego ślady.

Fort William, Girvan, Kilmarnock, Ballantrae, Fairlie, Culross.

- Każdy wcielony w innym miejscu, tak żebyśmy się nie znali. W ten sposób łatwiej nas ujarzmić, a nam trudniej ustalić, co nas łączy. Czego nie dostrzegamy? - nalegał Duncan. - Połowa z was była już w Ameryce. Co z resztą? Jeśli tego nie zrozumiemy, będziemy musieli ponieść konsekwencje.

McGregor, porzucając swe dotychczasowe plany wobec Duncana, nie tracąc czasu, zaczął wypytywać mężczyzn obecnych w zęzie. Połowa z nich służyła w wojsku lub w marynarce. Po kolei oświetlił latarnią twarze pozostałych czterech.

- McPhee? - warknął.

- Dwukrotnie dałem zarobić grabarzom - mruknął zapytany.

- Ustrzeliłem kilka jeleni na wzgórzach mojego pana - wyznał z uśmiechem drugi.

- Przez dziesięć lat żywiłem moją rodzinę z zasobów lorda Dundee, zanim mnie dopadli - oświadczył następny.

- Dostarczałem pomoce naukowe anatomom ze szpitala świętego Łukasza - wyznał ostatni, chudy McSween.

McGregor z zakłopotaniem spojrzął na Duncana i wymamrotał pod nosem:

- Wspaniale. Albo żołnierze, albo kłusownicy i złodzieje zwłok.

Z ciemności znów dobiegł jęk i Duncan zauważył smugę krwi na powierzchni brudnej wody w zęzie za więźniami.

- Co zrobiliście? - zapytał.

- Próbował nas zabić. Dzień za dniem drążył dziurę poniżej linii wody.

Duncan przepchnął się przez nich. Frasier, młody dozorca, leżał bezwładnie oparty o burtę. Wargi miał spuchnięte i rozbite, a jedną ręką ścisnął drugą dłoń, której wskazujący palec był zakrwawiony i wygięty pod nienaturalnym kątem. Duncan wyjął ze spodni połą koszuli i zaczął oddzielać pas materiału.

- Gwóźdź - warknął. - Dajcie mi ten gwóźdź.

Mężczyzna, który uprzednio go trzymał, tylko prychnął.

- Złamaliście mu palec! Trzeba go nastawić i wziąć w łubki.

McGregor wyrwał mężczyźnie gwóźdź i podał Duncanowi. Więźniowie w milczeniu patrzyli, jak Duncan nastawia złamany palec, a potem drwiąco burczeli, gdy Frasier odzyskał przytomność i spróbował go uderzyć.

- Zdrajca! Szpieg! - syknął młodzieniec.

Uderzył zranioną ręką w udo Duncana i jęknął z bólu. Niepewnie spojrział na stojących przed nim ludzi, zapewne bardziej od Duncana zdziwiony ich milczeniem. Łzy popłynęły mu po policzkach.

- Dziwny sposób wykorzystania szpiega - powiedział Duncan - zamknąć go samego w celi, szczerom na uciechę. - Pochylił się i wyciągnął Frasiera z zęzy na niską stertę kamieni balastu. - Gdybym był tym, za kogo mnie uważasz, zgłosiłbym, że chcesz zrobić dziurę w kadłubie.

- Nie wiedziałeś...

- Gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, kto to zrobił. Wybił ją ktoś leworęczny, ponieważ wręga nie pozwalała zamachnąć się praworęcznemu. Zrobienie otworu zabrało wiele godzin. Żaden z więźniów na tak długi czas nie wymknąłby się z celi. Kapitan jest tyranem, ale może polegać na swoich ludziach. Tak więc zostają tylko dozorecy. A z nich tylko ty jesteś *corrach* - wyjaśnił Duncan, używając starego określenia leworęcznej osoby. Popatrzył na surowe twarze stojących przed nim ludzi. McGregor i jego towarzysze nie mogli wiedzieć o sabotażu na pokładzie ładunkowym. Było tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Tylko dlaczego Woolford powiedział o tym McGregorowi, a potem opuścił statek?

Frasier jakby się skurczył.

- Mój kuzyn to rozumiał - rzekł w zadumie. - Wykorzystując ich przewagę liczebną - mówił - pokonamy Anglików. Kiedy wcielili go do marynarki, powiedział, że pewnej nocy odurzy wartowników i wejdzie do prochowni z zapaloną świeczką. Trzy miesiące później jego statek eksplodował. Dwustu Anglików, jeden Szkot.

Nawet najbardziej nieokrzesanym z bandy McGregora zabrakło słów, gdy usłyszeli to szokujące wyznanie.

- Wielu z nas mogłoby w gniewie wybić kilka cali tej dziury - orzekł Duncan, gdy niektórzy pochylili się nad Frasierem, żądni zemsty. - Liczy się tylko ostatni cal. On nigdy nie dokończyłby swego dzieła. Natomiast splądrował kufer z towarami Ramseya.

Tamtych opuściła żądza zemsty. Jednak obserwujący ich Duncan nagle zgiął się z bólu, gdy kamień z głuchym odgłosem uderzył go w łydkę.

- Kłamca! Wiem, jak zabijać Anglików!

Gdy Frasier podniósł drugi kamień, żeby w niego rzucić, Duncan pochylił się i złapał go za rękę.

- Jestem skazańcem jak wy wszyscy - spokojnie powiedział.

- Spójrzcie na niego! - zawołał Frasier. - Nosi na szyi wojskowe tajemnice!

Koszula Duncana rozpięła się pod szyją, odsłaniając to, co było tam ukryte.

Duncan pozwolił McGregorowi wyjąć medalion wraz z wysuszonym ostem wetkniętym w rzemyk i owiniętym długim paskiem papieru.

- Na Boga, McCallum - prychnął - to przecież robota informatora. Czy je to nazwiska?

- Członków mego klanu - odpalił Duncan, znów po gaelicku. - Panów mego klanu. Teraz ja jestem najstarszy z mego rodu, bo wszystkich innych zamordował król. Chcesz, żebym ci opowiedział, co robili z ciałami mojej matki i siostr oraz sześciolatniego brata? Albo ile tygodni było trzeba, aby kości mego ojca spadły z szubienicy po Culloden?

Nagle w jego głosie pojawiła się inna nuta - chrapliwy i ostry ton, poprzedzający walkę rywalizujących klanów.

McGregor zamilkł. W ciszy spoglądał na listę nazwisk i Duncan widział, jak starego Szkota opuszcza gniew, zastąpiony przez znużenie i smutek. Oddał Duncanowi papier, a potem obejrzał najpierw jedną, a potem drugą jego dłoń, patrząc na liczne ślady ukąszeń.

- Dlaczego ci to zrobili?

- A dlaczego robią to nam wszystkim? Jeśli się nie dowiemy, równie dobrze możemy dokończyć wybijać tę dziurę w kadłubie.

- On wciąż jest niebezpieczny - rzekł McGregor, wskazując na Frasiera. - Są tacy, którzy mówią, że był z Everingiem tej nocy, kiedy uczoney umarł. Jako ostatni widział go żywego. Jeśli się przyzna, uwolni nas od podejrzeń.

- Mówiłem im, że tamtej nocy nic się nie stało - powiedział cicho młody dozorca.

Łzy wciąż spływały mu po policzkach.

- Chcę wiedzieć, Frasier - rzekł Duncan - dlaczego Adam cię zachęcił, żebyś splądrował kufer Woolforda.

- Ja nie... - zaczął młody dozorca, ale dostrzegł w oczach Duncana coś, co kazało mu przestać się wypierać. Właśnie dlatego więźniowie nie bali się



napaść na dozorcę. Wszyscy wiedzieli, co Frasier zrobił z kufrem Woolforda, i wystarczyłoby jedno ich słowo, żeby stracił swoje stanowisko. - Powiedział, że w kufrze takiego dżentelmena na pewno są słodycze, a także fanty do postawienia w zakładach, którymi mógłbym kupić milczenie Camerona. On chciał dostać tylko jedno.

- Brandy - podsunął ktoś drwiąco.

- Tytoń - rzekł Frasier. - Chciał tytoniu. I nie dla siebie. Miałem dać liście profesorowi Everingowi.

- Przecież Evering nie palił - przypomniał Duncan.

Frasier spochmurniał.

- Czasem myślę, że może to jednak ja zabiłem profesora. Bo tak jakbym to zrobił. - Duncan wyczuł, że stojący za nim poruszyli się, znów się spieci, więc przesunął się tak, by zasłonić młodego dozorcę. - Tamtej nocy przed sztormem dwukrotnie widziałem Everinga - ciągnął głuchym głosem Frasier. - Najpierw na pokładzie, jak mówił o niebie, oraz kiedy po północy przechodziłem obok jego kajuty, chociaż on mnie nie widział. Wymachiwał kawałkiem tłącego się tytoniowego liścia, tak że cały korytarz wypełnił się wonią tytoniu, a potem wszedł z nim do izby chorych. Robił z tym coś okropnego i ja mu to umożliwiłem. Adam na pewno tego nie chciał.

- Co robił, chłopcze? - zapytał McGregor.

- Nie rozumiecie? Evering ożywił *beanshith*, upióra. Ja dałem mu tytoń i medalion, tak jak kazał mi Adam, a on tego użył, żeby ożywić banshee. Nie wiedział, że upiór go zabije.

Duncan spojrział na skazańców. Ci zapomnieli już o żądzy zemsty, którą zastąpił niepokój, a nawet przesądny strach.

- Dlaczego spytałeś Woolforda, czy był na wszystkich naszych procesach? - zapytał młodego dozorcę Duncan.

- Jeżeli Kompania ma być wykorzystana przez wojsko, powinniśmy o tym wiedzieć.

- Tylko dlaczego spytałeś o to akurat teraz?

Wola walki opuściła Frasiera. Ukrył twarz w dłoniach.

- Adam umarł.

- Nie rozumiem.

- Adam śpiewał nocami.

- Mówisz bez sensu.

To dziwne, lecz kiedy Frasier spojrział na Duncana, w jego oczach nie było bólu, lecz zmieszanie.

- Raz go poprosiłem - wyznał młody Szkot. - Tak bardzo tęskniłem za domem. Matka zwykła śpiewać taką piosenkę o słońku zachodzącym nad jeziorem, kiedy kwitną kwiaty. Poprosiłem, żeby mi ją zaśpiewał, a on robił to każdej nocy, kiedy byłem w pobliżu.

- Dlaczego? - nalegał Duncan. - Jeśli byłeś zły z powodu Adama, dlaczego wypytywałeś Woolforda o wojsko?

- Z powodu kłamstw, jakie opowiadali, i sposobu, w jaki go traktowali. Ponieważ nie pozwolę, żeby o tym zapomniano. Umieścili Adama z więźniami dwa dni przed wypłynięciem, jakby był jeszcze jednym więźniem sprowadzonym z jakiegoś wiejskiego sądu. Tymczasem on był tu pierwszym więźniem, trzymanym przez Woolforda w celi, zanim sprowadzono dozorców i morderców.

Duncan nachylił się nad nim.

- Skąd wiesz, że to Adam był w celi?

- Ponieważ żona kapitana nosiła mu jedzenie, kiedy Woolford był w sądach. Pewnego wieczoru źle się czuła i kazała mi to zrobić. Wtedy po raz pierwszy słyszałem, jak Adam śpiewa. Wciąż go słyszę - szeptem dodał Frasier. - Nigdy nie widziałem go w celi i gdyby nie to, może dałbym się zwieść jak wszyscy inni.

- Gdyby nie jego śpiew - podsumował Duncan. - Słyszałeś go później w więziennej ładowni.

Usiłował dopasować słowa Frasiera do słów Woolforda, według którego Adam dobrowolnie został więźniem.

- Czasem jedyną zbrodnią człowieka jest to, że zna kogoś lub coś wie - rzekł.

- Czy Adam mógł znać jakieś tajemnice, które czyniły go tak niebezpiecznym, że musiano go zamknąć w celi? - spytał ze smutkiem Frasier.

- Wiedział coś o kimś zwanym zaklinaczem ryb oraz o jakiejś gospodzie w Ameryce. A także - z przekonaniem dodał Duncan - dlaczego Kompania potrzebuje tylu kłusowników i złodziei zwłok.

Jak również, o mało nie dodał, wiedział o Duncanie coś, o czym on sam nie ma pojęcia.

Kiedy wrócił do celi, Lister czekał tam na niego z wiadrem morskiej wody i Duncan chętnie dał mu się nią oblać. Jednak złe przecucia nie znikły równie łatwo jak odór. Gdy Lister zamknął drzwi celi, Duncan oparł się o ścianę, czując dziwną słabość. Niepewność wydawała się szerzyć na statku

niczym zaraza. Adam dobrowolnie pozwolił się zamknąć, jakby ktoś rzucił na niego zły czar. Skrzynia Woolforda okazała się istną puszką Pandory i jej demony grasowały teraz na statku. Powoli uświadomił sobie, że Woolford powiedział McGregorowi o dziurze w kadłubie, usiłując odwlec chwilę, gdy statek zawinie do Nowego Jorku, tak jakby i on, tak samo jak Adam, obawiał się tego. Kolana ugięły się pod Duncanem i osunął się na podłogę, spoglądając w mrok. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że trzyma na podolku czarny kamień, mocno ściskając go w jednej dłoni, drugą gładząc go, jakby pocieszając. Przycisnęła ciepły kamień do policzka, potem do piersi, a później owinął go wieloma warstwami czystego bandaża. Wepchnął zawiniątko na samo dno swojego marynarskiego worka, a potem usiadł w kącie celi, zaciskając dłonie na zagadkowym amulecie Adama.

Obudziły go krzyki na górze, radosne okrzyki dochodzące z głównego pokładu. Godzinę później drzwi jego celi się otworzyły i do środka wrzuciono jakiś czarny węzełek. Liberię sługi. Duncan wyjrzał na korytarz i zobaczył sylwetkę odchodzącego Camerona.

- To Nowy Jork - rzekł Duncan do Flory, kiedy się ubrał, niezgrabnie włożył na głowę biret gubernera i zarzucił worek na ramię.

W jej celi było cicho jak w grobowcu. Coś się tam jednak poruszyło. Może zrozpaczona kobieta. A może szczur.

- Życzę ci szczęścia, Floro - szepnął przez okienko w zamkniętych drzwiach jej celi i zamilkł, wiedząc, że szczęście dawno opuściło tę kobietę. W innym czasie, w innym życiu, spróbowaliby jej pomóc. Teraz był bezsilny. Wsunął rękę w otwór, wyciągając palce, ale nie zareagowała. - Obyś zaznała spokoju - rzekł łamiącym się głosem i odszedł.

Ostrożnie wspiął się po drabince, przystając, gdy wystawił głowę z luku - nie wiedząc, dlaczego nie ma eskorty, niemal spodziewając się, że zaraz zostanie schwytany i znów skuty - a potem powoli podszedł do relingu. Ze statku, przycumowanego do szerokiego pomostu z bali, pospiesznie wyładowywano ładunek - towary i ludzi. Cameron stał jak wartownik na końcu trapu, czterdzieści stóp od eleganckiego powozu pilnowanego przez barczystego mężczyznę o czekoladowej skórze, w takich samych spodniach i kamizelce, jakie miał na sobie Duncan. Za powozem stały ciężkie wozy z ławkami wzdłuż boków, pilnowane przez dozorców i kilku krępych mężczyzn

uzbrojonych w pałki i szpontony - rodzaj halabard czasem używanych przez wojsko - obserwujących więźniów, którzy gęsiego schodzili ze statku, wsiadali na wozy i rozglądali się z zaciekawieniem.

- Łaskawa Opatrzność wciąż nad tobą czuwa - rzekł surowy głos obok Duncana. Wielebny Arnold znów miał na sobie kupiecki strój, a w rękę cienką skórzaną walizeczkę, jedną z tych, w jakich często przechowywano wojskowe dokumenty. - Teraz krótki raport i sprawa zakończona. Będzie z tego piękne kazanie o niebezpieczeństwach przebaczenia.

Duncanowi zaschło w ustach. Rozejrzał się, szukając na pokładzie jakiegoś wytłumaczenia tych słów, a potem znów spojrzął na wozy Kompanii. W pierwszym za woźnicą siedzieli dwaj mężczyźni z pałkami, a między nimi ktoś leżał.

- Coście zrobili? - zapytał Duncan.

- Zeszłej nocy kręcił się w pobliżu kajuty Everinga, wbrew naszym wyraźnym zakazom. Jako dozorca miał dostęp do każdej części statku tamtej nocy, kiedy zginął Evering. Zdradziło go jego podejrzane postępowanie. Kiedy go schwytaliśmy, wyjął zza koszuli skrawek papieru i wepchnął sobie do ust, najwyraźniej niszcząc jakiś obciążający go dowód. Kapitan ponownie chwycił kota o dziewięciu ogonach, żeby rozwiązać język złoczyńcy. Ten obrzucił go szkockimi przekleństwami, wzywając swego jakobickiego księcia. Od początku nas okłamywał i jako dozorca zawiódł nasze zaufanie.

Duncan nie pamiętał, kiedy zbiegł po trapie na brzeg, stawiając pierwsze kroki w Nowym Świecie. Nagle znalazł się przy wozie i o mało nie zwymiotował na widok tego, co zobaczył.

Okryty zakrwawionymi łachmanami człowiek oddychał, ale ledwie. Duncan wskoczył na wóz, palącym spojrzeniem powstrzymując uniesioną do ciosu pałkę. Koszula starego marynarza była w strzępach odsłaniających rany po uderzeniach bata, częściowo zagojone i na nowo otwarte. Jego skute dłonie były zakrwawione i spuchnięte, a twarz posiniaczona nie do poznania. Lister był przytomny, ale zdawał się nie poznawać Duncana.

- Stawiał opór, stary głupiec - rzekł Cameron zza pleców Duncana. - To robota marynarzy zachęcanych przez kapitana. Dla niektórych ukrywanie szkockiego pochodzenia jest równoznaczne z morderstwem.

- Proszę go zdjąć z wozu, panie Cameron. Potrzebuje opieki.
- Nie mogę - rzekł nadzorca, zerknąwszy na statek.

Duncan powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył kapitana stojącego teraz obok Arnolda. Na moment zrobiło mu się ciemno przed oczami i Cameron nie zdążył go zatrzymać, gdy pomknął po trapie na pokład.

- Jemu jest potrzebny lekarz! - zawołał. - Nie masz prawa!

Kapitan zdawał się czerpać ogromną przyjemność z jego protestów. Dał znak swoim ludziom i natychmiast podbiegli do nich dwaj marynarze. Jeden znacząco uderzał w otwartą dłoń kołkiem do obkładania lin.

- Jeszcze jedna zniewaga, a zabiorę cię Kompanii - warknął kapitan. Teraz nie ma na pokładzie dozorców, którzy by cię ochronili!

- On nic nie zrobił...

Marynarze złapali Duncana za ręce i przycisnęli do relingu, wyczekująco patrząc na kapitana, który z zimnym uśmiechem podszedł i spoliczkował go dłonią twardą jak dębowa deska.

- Wielebny Arnoldzie, wycofuję moje żądanie odszkodowania - powiedział z satysfakcją. - Wezmę tego kundla i...

Zakończył to przeciągłym jękiem. Długa pierzasta strzała z głośnym sykiem wyrosła z jego przedramienia.

Arnold z okrzykiem przestraszenia upadł na pokład. Kapitan stał jak sparaliżowany, patrząc na krew spływającą mu po rękawie, a jego rumiana twarz nagle poszarzała. Napastnicy puścili Duncana i powlekli kapitana w kierunku kajut, przy wtórce donośnych uderzeń okrętowego dzwonu. Duncan powoli się odwrócił, nie pojmując, dopóki nie pojawiła się następna strzała, dygocząca w drewnianym relingu na wysokości jego serca.

Na pokładzie i przystani wybuchło zamieszanie. Ludzie uciekali, psy szczekały, marynarze i sztauerzy krzyczeli. Żeglarze chwyтали za broń, łapiąc, co który miał pod ręką, a kapitan, zaciskając dłonią ranę, wydawał rozkazy, jakby szykował się do odparcia abordażu. Jednak kolejne strzały się nie posypały i wróg nie zaatakował statku. Na przystani nie było widać napastników ani samotnego łucznika. Wydawało się, że przestraszeni nie udzielił się tylko grupce chłopców siedzących na belach siana i staruszkowi powoli kuszącemu o lasce. Strzały mogły nadlecieć z kilkunastu różnych miejsc, na przykład z cienia między magazynami na końcu przystani lub zza któregoś z wielu stosów towarów na samym nabrzeżu.

Gdy Duncan schodził po trapie, trzasnęły bicze i wozy Kompanii powoli ruszyły, gdy przestraszeni woźnice popędzili konie. Stał na końcu trapu, bezradnie obserwując, jak znikają mu z oczu. Lister, który obiecał zatańczyć giga i zerwać kwiat, zaczął nowe życie w Ameryce.

Po chwili ktoś pociągnął Duncana za rękaw. Młodzieniec odwrócił się i zobaczył rosnącego Afrykanina, który chwycił jego worek. Kiedy Duncan nie chciał mu go oddać, mężczyzna wzruszył ramionami i odsunął się, pozwalając Duncanowi wsiąść do powozu.

- Jestem Crispin - oznajmił głębokim barytonem wielkolud. – Mam ci pomóc zadomowić się w domu Ramseyów. To niedaleko stąd.

Rzucił zaniepokojone spojrzenie w kierunku cienia za magazynami, po czym skinął na Duncana, żeby wsiadł.

- Przecież Kompania jedzie na pogranicze - zaprotestował Duncan.

- Guwerner musi być przy dzieciach - pospiesznie wyjaśnił Arnold, nerwowo oglądając się przez ramię. Strzegli go dwaj marynarze. - Dzieci przebywają tutaj, w mieście, które opuszczają tylko w letnie miesiące. Za dwa tygodnie dołączymy do Kompanii.

Duncan już miał się spierać, lecz uświadomił sobie, że wedle słów wielkoluda zmierzali do domu, do którego wysłano dziennik Everinga.

Gdy Crispin ponownie wskazał Duncanowi miejsce w powozie, Arnold niespokojnie rozejrzał się po przystani, po czym wskoczył do drugiego, bardziej eleganckiego powozu, który czekał za stertą bel tytoniu. Crispin wspiął się do powozu Duncana i przysiadł naprzeciw niego na drewnianej skrzynce, gdy woźnica krzyknął na zaprzęg kasztanowatych koni i pojazd ruszył. Patrząc na *Anne Rose*, gdzie nad relingiem jeżyły się teraz lufy muszkietów, Duncan walczył z przygnębiającym wrażeniem, że na pokładzie pozostały przeoczone przez niego rozwiązania tajemnic zagrażających Kompanii. Zaraz jednak zrozumiał, że tutaj, w Ameryce, gdzie mieli się znaleźć członkowie Kompanii, na scenę wyjdą inni, jeszcze nieznanymi aktorzy tego dramatu.

Z portu wyrastał las masztów zacumowanych jednostek, od wielkich statków handlowych takich jak ten, z którego dopiero co zeszli, po smukłe słupy i kutry, płaskodenne łodzie żaglowe, szerokie szalupy pływające po rzece, dwie fregaty, a nawet zakotwiczony w porcie okręt wojenny. Krzepy ludzie wyładowywali z jednego statku szklwione cegły, z innego worki herbaty. Na przylegających do portu ulicach roiło się od marynarzy, handlarzy ryb, kotów, uliczników, druciarzy i ciężkich wozów wyładowanych drewnem.

Tuzin żołnierzy w szkarłatnych mundurach, miarowo łomocząc buciorami o bruk, maszerował w kierunku przystani. Jakaś dziewczyna w podartej sukience podzwaniała cynowym kubkiem, głośno wykrzykując cenę świeżych gęsich piór. Roześmiani chłopcy o umorusanych twarzach drażnili się z kundlami. Zażywna kobieta handlowała nakrapianymi kurami w wiklinowych klatkach. Poranna bryza mieszała się z odorem zepsutych ryb, końskiego łajna, herbaty, gnijących wodorostów, trocin, tytoniu i smoły.

- Nigdy nie sądziłem, że Indianie zaatakują port - powiedział Duncan.

Mocno trzymał się siedzenia, patrząc w mrok.

- Nikt tak nie sądził. - Crispin przez moment bacznie przyglądał się Duncanowi. - Tylko że oni nie atakowali portu - zauważył.

Duncan jeszcze głębiej wcisnął się w siedzenie.

W milczeniu spoglądali na boki, aż Crispin jakby wyczuł pytanie, które Duncan miał na końcu języka.

- Jestem służącym Ramseyów - wyjaśnił. - Wysłali mnie po nowy porcelanowy serwis - dodał, stukając w skrzynkę. - Z herbem rodziny namalowanym przez rzemieślnika mającego pozwolenie od samego króla.

W głosie mężczyzny Duncan usłyszał dziwne nutki. Czyżby sarkazmu?

Spojrzał w kierunku, gdzie zniknęły wozy Kompanii, a potem na siedzącego przed nim służącego. Lekko przyciasny strój Crispina nadawał mu wygląd groźnej, niedawno oswojonej bestii.

Duncan drgnął, uświadomiwszy sobie, że Crispin odwzajemnił mu się równie badawczym spojrzeniem.

- Ludzie zadają mi to pytanie na wiele rozmaitych sposobów - powiedział, wymawiając te słowa z powolną precyzją wykształconego człowieka.

- Właśnie się zastanawiałem, ilu ludzi rozłożyłeś lewą pięścią - rzekł Duncan, wskazując na pokrytą szramami dłoń Crispina. - Miałem zostać lekarzem. W ramach praktyki moi profesorowie wysyłali mnie czasem na sobotnie pokazy, na których opatrywałem pięściarzy. W Anglii widziałem wiele takich dłoni.

- Tam, gdzie walczyłem, nigdy nie nazywali mnie pięściarzem. - Crispin wyzywająco spojrzał Duncanowi w oczy.

- Jednak znasz to określenie.

Crispin przechylił głowę i uniósł brwi.

- Zatem ty tak pytasz - rzekł z cieniem uśmiechu. - Wyrósłem, pracując na polach Georgii, lecz moja matka była opiekunką do dzieci. Słuchała wszystkiego, czego uczyli je nauczyciele. W nocy uczyła mnie wszystkiego tego, czego dzieci w wielkim domu uczyły się w dzień. Te lekcje wyzwoliły mój umysł. A nagrody za wygrane walki wyzwoliły moje ciało.

- Kiedy byłem bardzo młody, moim jedynym nauczycielem był dziadek - powiedział Duncan. - Gdy nie chciałem się uczyć, okładał mnie laską.

Uświadomił sobie, że zdjął z głowy idiotyczny biret i obraca go w dłoniach.

- W Ameryce też nie brakuje brutalni.

- Nie był brutalnym. Bardzo go kochałem. Nocami chodziliśmy nad morze i rozmawialiśmy o życiu w dawnych czasach, o gwiazdach, o naszych przodkach. Gdy księżyc stał w pełni nad oceanem, dziadek trzymał mnie do północy nad wodą, recytując poematy o dawnych bohaterach i czarach, mimo protestów mojej matki. Chętnie obrywałbym dwa razy dziennie, żeby chodzić z nim na te nocne spacerki.

Wepchnął biret za pas.

Crispin zmierzył Duncana badawczym spojrzeniem, po czym poważnie skinął głową. Po chwili zaczął objaśniać wszystko, co widzieli po drodze.

Miasto Nowy Jork było mniejsze, niż Duncan oczekiwał, chociaż wydawało się znacznie ruchliwsze niż zamieszkane przez dwukrotnie liczniejszą społeczność. Crispin wyjaśnił, że krwawa wojna z Francuzami i ich indiańskimi sprzymierzeńcami toczy się głównie nad potężną rzeką Hudson i jej dopływami, tak więc ta stara holenderska osada u ujścia rzeki stała się ważnym punktem dostaw dla wojska. Ulice były zapełnione wozami z okolicznych wsi, przewożącymi żywność i paszę sprzedawane wojsku, a następnie wysyłane w górę rzeki, do garnizonów w Albany i dalej. Słychać było stukot młotków na budowie nowego budynku dla oficjeli zajmujących się wojennym rzemiosłem. Kobiety w pięknych sukniach chodziły po ułożonych w błocie deskach wokół placów budów, podczas gdy obdarci mężczyźni brodzili w błocie po kostki, znosząc kamienie.

- Zabierają kolejne domy na szpitala - powiedział Crispin, co było jego jedynym komentarzem odnośnie do kolei wojny.



Ruchem głowy wskazał duży budynek z cegły, gdzie na szerokim ganku siedzieli żołnierze z obandażowanymi rękami lub głowami, patrząc przed siebie pustym, nieobecny wzrokiem.

Dwupiętrowy budynek, przed którym zatrzymał się powóz, był duży, lecz o wiele skromniej zaprojektowany niż wielkie rezydencje w Anglii. Deski ścian pomalowane na jasnożółty kolor oraz cztery lukarny wystające z krytego gontem dachu przypominały Duncanowi liczne rezydencje, które widział w Holandii. Prowadząc go ku ceglanej ścianie, trzymając na biodrze skrzynkę z porcelaną, wielkolud przystanął i nachylił się do Duncana.

- Dzieci muszą się przede wszystkim nauczyć, że na tym świecie jest coś więcej poza smutkiem i nienawiścią - oznajmił z dziwnym naciskiem, po czym wyprostował się, dostrzegłszy kręłą kobietę w czarnej sukni, stojącą z założonymi rękami w drzwiach.

Zaczęła głośno go karcić za nieostrożność w przenoszeniu porcelany.

Oddawszy skrzynkę kobiecie, Crispin zaprowadził Duncana do małej, skromnie umeblowanej izby na drugim piętrze, pod spadzistym dachem, wyjaśniając, że on ma podobny pokój w głębi korytarza.

- Miano tu dostarczyć skrzynię dla profesora Everinga – zaryzykował Duncan, kładąc swój worek na wąskim łóżku.

Crispin skinął głową.

- Zaniesiono ją do pokoju nauk. Wielebny mówił o tragicznej śmierci profesora. Niektórzy ludzie nie znoszą trudów podróży.

- Nie wiem, co powiedział wam wielebny Arnold. Profesor Evering został zamordowany.

W oczach Crispina pojawił się niepokój.

- Z pewnością nie był... - zaczął wielkolud. - To nie mogło mieć nic wspólnego z... - spróbował ponownie, po czym zamilkł i spojrział przez okno, marszcząc brwi w zadumie.

Weszła pomywaczka, niosąc wiadro z gorącą wodą, którą przelała do miednicy na nocnym stoliku, po czym pospiesznie wyszła, nie zaszczycawszy Duncana spojrzeniem.

- Co się stało z poprzednim nauczycielem? - zapytał Duncan.

Crispin odpowiedział dopiero po chwili.

- Przedtem byli to po prostu dżentelmeni z Filadelfii lub Bostonu, którzy przebywali tutaj parę miesięcy. Teraz po raz pierwszy wszystkie dzieci są razem. Dwoje najmłodszych za kilka lat zostanie wysłanych na naukę do

Europy. A do tego czasu pan Ramsey chce, żeby miały nauczyciela z kraju.

Duncan przyglądał mu się przez moment. Crispin był pracownikiem jednej z najbogatszych rodzin w Nowym Świecie, lecz zamiast chlępić się jej bogactwem, wspominał o smutku i nienawiści, a zamiast używać tytułu Ramseya, mówił o nim jak o zwyczajnym człowieku.

- Ja nie zostałem wynajęty, Crispinie - wyznał Duncan. - Byłem więźniem Kompanii. Jestem więźniem - poprawił się. - Skazańcem z podpisaną umową, którą w każdej chwili mogą zerwać.

Służący zeszytywniał, posyłając mu kolejne niespokojne spojrzenie i masując sobie potylicę, jakby nagle rozboleła go głowa. Wydawało się, że zarzuci Duncana pytaniami, ale tylko skinął głową.

- Ja też byłem kiedyś niewolnikiem - rzekł, wzruszając ramionami.

- Wspomniałeś o dwojgu małych dzieciach. A trzecie?

Crispin zrobił zboląłą, zdziwioną minę, jakby na to proste pytanie nie było odpowiedzi.

- Co powiedział ci wielebny?

- Tylko, że mam uczyć troje dzieci. Co z tym trzecim?

Crispin ruszył do drzwi, krzywiąc się niechętnie, jakby Duncan wyrzucał go z pokoju.

- Ona najbardziej potrzebuje... - Westchnął. - Nie mam na to słów - rzekł z nagłym smutkiem.

Gdy Crispin odchodził korytarzem, Duncan odprowadzał go wzrokiem, usiłując zgłębić tę nagłą zmianę nastroju. Potem przez kilka minut patrzył przez okno na małe, lecz ruchliwe miasteczko, walcząc z poczuciem winy wywołanym tym, że znalazł się w tej eleganckiej rezydencji, podczas gdy Kompania jedzie w głąb dziczy, z każdą chwilą zmniejszając jego szanse na dogonienie jej i odnalezienie Listera, zanim ktoś zdoła go powstrzymać. Oderwał się od okna, szybko rozpakował worek i umył się, po czym obszedł dom, napotyając kilka osób ze służby, które przemknęły obok niego z pospiesznymi słowami powitania i spuszczoneymi głowami. Przeszedłszy przez elegancki pokój stołowy z namalowanym na jednej ścianie obrazem portu, obok mahoniowego stołu ozdobionego trzema mosiężnymi kandelabrami, znalazł się w pomieszczeniu zastawionym regałami z książkami. Duncan przeszedł się wzdłuż nich, pełen podziwu. Na kilku półkach lewy gazety i periodyki, takie jak „The Spectator”, „The Gentelmans Magazine”, „Rambler”

doktora Johnsona oraz jakiś zatytułowany „The Pennsylvania Gazette”. Było tam jednak również co najmniej czterysta książek, prawdziwy skarb, kolekcja godna największych uczonych Anglii. Były tam wszystkie dzieła Hume'a, Woltera, Swifta, Rousseau, Pope'a, Dantego, Hobbesa i Defoe. Na jednej półce stały same dzieła greckich filozofów.

Po obu stronach dużego kominka wisiały cztery olejne portrety w ozdobnych złożonych ramach. Po prawej wizerunek króla i starego króla Jakuba II, byłego regenta, który jako książę Yorku przejął w minionym wieku kolonię z rąk Holendrów. Po drugiej stronie znajdowały się dwa inne portrety, pięknej kobiety o pełnej życia twarzy zaprzeczającej surowości jej czarnej sukni i koronkowego czepka, o oczach jasnych jak złoto, z rubinowym krzyżykiem wiszącym na szyi. Na stoliczku pod tym obrazem stał wazon ze zwiędłymi wiosennymi kwiatkami.

Mężczyzna na sąsiednim portrecie miał zniecierpliwioną minę i perukę za małą na jego wydatną czaszkę. Tylko ten jeden z czterech portretów ukazywał całą postać, siedzącą na podobnym do tronu fotelu. W blisko osadzonych szarych oczach palił się błysk inteligencji, dumy i ambicji. W jednej ręce trzymał ozdobny kompas. U stóp miał psy myśliwskie, a za plecami mroczny krajobraz z pędzącymi końmi na jednym i stadem jeleni na drugim końcu. Spojrzenie Duncana wróciło do dłoni mężczyzny, na którego palcach widniały grube pierścienie. Ten człowiek przybrał pozę monarchy, odkrywcy, zdobywcy nowych ziem. Duncan zauważył jeszcze coś na drugim planie, za stadem jeleni, na skraju gęstego lasu. Podeszedłszy bliżej, zobaczył chatę z bali i siedzącą na ziemi kobietę, która trzymała na kolanach głowę leżącego i najwyraźniej umierającego mężczyzny. Duncan przez długi czas spoglądał na ten mroczny, niepokojący obraz, zmrożony wspomnieniem ataku na port i po raz pierwszy przyznając w duchu, że znalazł się w ogniu wojny z dzikusami, zanim jeszcze postawił stopę na nowej ziemi.

W końcu wzrok Duncana spoczął na rzeźbionej i malowanej tarczy osadzonej w górnej części ramy. Na niebieskim polu ze złotymi gwiazdami wznosiła się kamienna wieża pod skrzyżowanymi mieczami. Łukowaty napis nad nimi, złożony z trzech słów, głosił: *Audentes fortuna juvat*. Szczęście sprzyja odważnym.

W dolnej części tarczy po prawej był czarny ogier stojący dęba, na środku czerwona róża, a po lewej dłoń ściskająca kulę. Duncan spojrzął na kulę,

po czym wyjął z kieszeni guzik wydobyty z zakrwawionego serca i obejrzał go w słonecznym świetle wpadającym przez okno. Kula na guziku była identyczna jak ta na herbowej tarczy i równie kunsztownie wykonana jak rzeźbiona rama. Przyjrzał się spodniej części guzika i dostrzegł liczne zagięcia metalu, które mogły skryć dłoń i przegub, a równie dobrze mógł to być guzik, jak i wisiołek. Jakąkolwiek pełnił funkcję, nie było wątpliwości, że pozostawiony w zakrwawionym sercu przedmiot nosił herb rodu Ramseyów.

Duncan powoli przeszedł wzdłuż rzędów książek, próbując rozwiązać tę nową zagadkę, i dopiero teraz zauważył wąskie drzwi w kącie pokoju, obok okna. Kiedy do nich podszedł, usłyszał stłumiony odgłos przesuwanego po podłodze krzesła. Drzwi otworzyły się gwałtownie i wybiegł z nich wyrostek w ciemnej liberii sługi, niosąc na ramieniu skórzaną teczkę na pasku - tę, którą Arnold zabrał ze statku. Młodziak był już na środku pokoju, gdy dostrzegł Duncana i przystanął z okrzykiem zdziwienia.

- Co jest? - zawołał szorstki głos z pokoiku i w drzwiach stanął wielebny Arnold. Przez moment gniewnie patrzył na Duncana, a potem gestem odprawił chłopca i złągodniał. - Powinienem być oprowadzić cię po posiadłości, panie McCallum.

Wielebny pospiesznie wyprowadził go z biblioteki i zwolnił, kiedy doszli do pokoju stołowego. Duncan zobaczył przez okno, jak młodziak oddaje torbę chudemu, niechlujnie wyglądającemu mężczyźnie w brudnej skórzanym bluzie i obszarpanej futrzanej czapce, który zawiesił sobie torbę na szyi. Ogorzałą i nieogoloną twarz mężczyzny znaczyło kilka głębokich blizn. Zwinnie jak ryś podszedł do konia, uwiązanego przy bramie. Przypominał Duncanowi groźnych, nieokrzesanych ludzi, którzy zamieszkiwali najodleglejsze zakątki szkockich wyżyn.

- Te strzały - powiedział Duncan. - Odkryliście, kto je wypuścił?

- To niewątpliwie głupi żart. Amerykańskie dzieci są niezmiennie niesforne - pospiesznie odparł duchowny, lecz niepewny ton jego głosu przypominał Duncanowi paniczną reakcję Arnolda na widok pierwszej strzały. - Oczekuję wstępnej wersji twojego raportu - dodał nagle duchowny. - Lord Ramsey będzie chciał otrzymać pełny raport. Ucieszy go twoje naukowe podejście. Już do niego napisałem, podsumowując, jak odkryłeś ślady wskazujące na Listera, lecz niewątpliwie zechcesz skorzystać z okazji, żeby ołśnić go swoją sztuką dedukcji.

- Nic nie mówiłem o Listerze.

- Dowiodłeś, że Evering zginął w nocy, zanim odkryto jego ciało, w czasie gdy Lister był jednym z tych, którzy gdzieś zniknęli. Udowodniłeś, że Evering został uderzony w głowę jakimś twardym przedmiotem. Ja odkryłem, że Lister zgłosił chęć naprawienia rozbitego kufra Woolforda, najwyraźniej chcąc mieć pretekst, by dostać się do magazynku cieśli. Pokazałeś nam szkło, które Evering miał w kolanie. Lister pospiesznie opuszczał kajutę Everinga nad ranem, usiłując usunąć dowód. Wcześniej dowiodłeś, że ten, kto dokończył rytuał w kabinie nawigacyjnej, musiał mieć szkockie korzenie. Czyżbyś zapomniał, że Lister stał w ładowni, kiedy badałeś ciało Everinga? Wszystko słyszał.

- Usuwał dowód? Jaki dowód?

- Szkło z kolana Everinga. Kiedy go zatrzymano, Lister miał przy sobie zawiniątko z takimi samymi odłamkami. Okruchy szkła dowodzą, że Evering zginął w swojej kajucie. Kto prócz mordercy wiedziałby o tych odłamkach? No i kiedy schwymano Listera, połknął jakiś papier - a to nie jest postępkiem niewinnego człowieka.

Duncan na moment zamknął oczy. Lister wrócił tam, żeby zebrać okruchy, ponieważ on go o to poprosił. A tym kawałkiem papieru była notatka Everinga o planowanym spotkaniu z Duncanem. Lister ją zjadł, żeby go chronić.

- Ufam, że po namyśle zrozumiesz sytuację. Spotkajmy się wieczorem. Może w bibliotece, kiedy dzieci pójdą spać? Przyniosę Stary Testament. - Duchowny podszedł do końca długiego stołu. - Tam - głośno rzekł, wskazując w kierunku kuchni. - Obok jest pokój, w którym szkoli się służbę. Jest dobrze oświetlony i ogrzany ciepłem kuchennych palenisk. Stojące tam duże biurko jest do twojej dyspozycji, razem z przyborami do pisania i papierem. Lord Ramsey był uprzejmy zostawić tam atlas i inne książki. Materiały sprowadzone przez Everinga również będą do twojej dyspozycji. Nie wolno ci opuszczać posiadłości, ale masz swobodny dostęp do kuchni, a w niedziele...

Głośny śmiech przerwał wielebnemu. Mniej więcej ośmioletni chłopiec i o dwa lata starsza dziewczynka, oboje o kręconych ciemnobłond włosach, wpadli do pokoju razem z małym spanielem, wesoło płaczącym się im pod nogami. Zobaczyli Arnolda dopiero w połowie drogi przez pokój. Stanęli jak wryci, natychmiast poważniejąc i nerwowo spoglądając na wysoką, surową postać w czerni. Arnold otworzył usta, jakby chciał skarcić dzieci,

ale porzucił ten zamiar, gdy schowały się za spódnicę młodej kobiety, która zjawiała się z wazonem kwiatów.

Przyglądając się jej, Duncan ocenił, że nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat, lecz w jej wdzięcznych rysach było coś, co świadczyło o smutku i rozsądku znacznie przekraczającym ten wiek. Rozpuszczone, długie brązowe włosy ze złocistymi pasemkami opadały na ramiona prostej zielonej sukni. Oczy, chociaż spokojne i zdradzające inteligencję, miały zwężone źrenice, jakby w wyniku długotrwałego braku snu. Nie nosiła żadnej biżuterii poza złotym krzyżykiem, widocznym w dekolcie sukni. Jej niemalowana twarz zarumieniła się, gdy kobieta spojrzała w oczy Duncanowi, który nie mógł się oprzeć wrażeniu, że już gdzieś ją widział. Była trzecim dzieckiem Ramseya i to o niej Crispin bał się mówić.

- Zamierzałem przedstawić was sobie przy herbacie - z westchnieniem powiedział Arnold, po czym stanął pomiędzy Duncanem a nowo przybyłymi i skinął na dziewczynkę oraz chłopca, żeby podeszli bliżej. - Pan Jonathan Ramsey, panna Virginia Ramsey - rzekł, kolejno wskazując dzieci. - I nasza Sarah - zakończył dziwnie głuchym tonem. - Przywitajcie waszego nowego gubernera, pana McCalluma.

Sarah zdawała się czekać na reakcję młodszego rodzeństwa, jakby nie wiedziała, co powiedzieć, po czym wymamrotała to, co powiedzieli Jonathan i Virginia.

- Dzień dobry, panie McCallum. Witamy w naszym domu.

Jonathan skłonił się sztywno, a Virginia dygnęła. Sarah, znów zaczerwieniona, zrobiła niezgrabny gest, będący czymś pośrednim między ukłonem a dygnięciem, wciąż trzymając wazon. Wydawała się unikać spojrzenia Duncana. W milczeniu wycofała się za stół, przeszła wzdłuż niego i sama weszła do biblioteki, żeby postawić wazon pod portretem kobiety, usunąwszy zwiędłe kwiaty. Obserwujący ją z daleka Duncan zauważył lekkie drżenie jej lewej dłoni, które pospiesznie ukryła, nakrywając ją prawą ręką.

W oczach pastora pojawił się błysk nagłego niepokoju. Arnold przeniósł spojrzenie na dwójkę młodszych dzieci, które nie ruszyły się z miejsca. Duchowny podszedł do Jonathana i wyjął mu coś z ręki. Duncan zobaczył długie i wąskie ostrze noża do otwierania listów, trzymanego jak sztylet. Arnold schował nóż do kieszeni i groźnie spojrzął na chłopca. Duncan ze zdziwieniem zobaczył, jak chłopiec dzielnie odpiera stalowe spojrzenie kapłana, po czym wbija wzrok w podłogę.

- Wieczorem musimy odmówić nowe modlitwy - śmiało powiedział chłopiec.

Ta uwaga wyraźnie zaniepokoiła Arnolda.

- Do kogo, mój synu?

- Do tego o roześmianych oczach, który wyrzeźbił mi bobra z kija - stanowczo odparł Jonathan. - Poszedł zobaczyć się ze Starą Krzywą Twarzą przy pochyłym drzewie.

Arnoldowi jakby na moment zapało dech. Kiedy go złapał, powiedział ochryplym głosem:

- Oczywiście, pomodlimy się. - Duncan zauważył niespokojne spojrzenie, jakie posłał Sarah. - A tymczasem może zaprowadzilibyście waszego nowego gubernera do jego klasy?

Jonathan z dziwnie triumfującą miną wziął Duncana za rękę i poprowadził go. Gdy weszli do kuchni, Duncan obejrzał się i zobaczył pospiesznie odchodzącego Arnolda, z czapką i płaszczem w rękę.

Chłopiec uciekł, zaprowadziwszy Duncana do opisanej przez Arnolda izby: przyjemnego i jasnego pokoiku z dużym orzechowym biurkiem i stojącymi przed nim trzema stoliczkami, na których oprócz tabliczki leżały także stosy kosztownego papieru, cynowe kałamarze, ołówki i gęsie pióra. Duncan machinalnie przekartkował leżący na biurku drogi atlas, patrząc na rozległe białe płamy zachodniego wybrzeża Ameryki, po czym zauważył stojącą w kącie skrzynię, której zawartość częściowo wypakowano na ławę pod ścianą.

Pospiesznie przejrzał jej zawartość, coraz rozpaczliwiej pragnąc znaleźć jakiś trop mordercy Everinga. Tuzin cienkich książeczek do nauki czytania. Litery alfabetu wciśnięte w drewnianą ramę pod przezroczystą warstwę rogu - abecadło. Zapieczętowane woskiem słoiczki z farbami. Pięć identycznych drewnianych pudełek z licznymi przegródkami zawierającymi minerały, suszone liście, soczewki, muszle i puste ptasie jajka. Duże zwoje map związanych sznurkiem. Duncan błędził wzrokiem po pokoju, pojmując, że ta skrzynia została zapakowana, zanim Evering opuścił Anglię. W końcu jego spojrzenie spoczęło na krześle pod oknem, na którym stał zniszczony kuferek.

W środku były kolejne książki, grubsze i z pozaginanymi rogami. Kontrowersyjne *Badania dotyczące zasad moralności* Hume'a. Podniszczony egzemplarz *Podróży Guliwera*, eseje Berkeleya, wielkiego filozofa, który część życia spędził w Nowym Świecie. Dwa zbiory poezji, w tym jeden po

francusku. Opis fauny i flory obu Ameryk, który Duncan przeglądał przez kilka minut. Pod książkami znajdowały się następne drewniane pudełka, w których Evering przechowywał swoje zbiory. Pierwsze było pełne suszonych kwiatów, w niewielkich przegródkach zrobionych z cienkich deszczulek. W jednej z przegródek, oznaczonej słowem „oset”, brakowało okazu. Drugie pudełko było prawie puste, a jego wnętrze zawierało tylko kości jakiegoś małego ssaka. Jednak przegródka następnego też była wolna, natomiast pozostałe wypełniono soczewkami i szlifowanymi szkiełkami. Duncan podniósł ostatnie pudełko i przeszedł go dreszcz odkrywcy. Na samym dnie leżał dziennik Everinga.

Z mocno bijącym sercem Duncan otworzył oprawiony w skórę zeszyt. Na pierwszej stronie widniała data sprzed niemal dwóch lat, a wszystkie początkowe zapisy stanowiły długie, suche opisy codziennego życia w Londynie. Potem jednak w następnym roku zamiast notatek pojawiły się wiersze, albo próby poetyckie, gdyż wiele wersów przekreślono. Te, które zdołał odczytać, były niezgrabne i ciężkie, dziwnie naukowe - rozważania inteligentnego, lecz nie uczuciowego człowieka, empirysty, który z jakiegoś powodu zaczął pisać wierszem. Po dwudziestu stronach przestał i kilka kolejnych kartek wypełniały zapiski pełne emocji, w większości wykreślone. Duncan przypomniał sobie, że żona Everinga zmarła nagle na gorączkę. Następne strony były gęsto zapisane wierszem i pokryte plamami - zapewne wina. Niektóre wiersze opisywały życie na pokładzie statku, z jego pajęczyną olinowania i marynarzami o palcach jak kleszcze i twarzami barwy perłopławów. Jeszcze inne traktowały o morskich ptakach. Na kilku ostatnich stronach znajdowały się wiersze o kobietach, lecz nie tak romantyczne, współczujące i uduchowione jak poprzednie. Duncan nie domyśliłby się, że napisał je ten sam człowiek, gdyby nie widział, że najwyraźniej były napisane tym samym charakterem pisma.

Bóbr. Nagle podniósł głowę i spojrzął na drzwi, w których znikł Jonathan. Chłopiec chciał się modlić za uśmiechniętego człowieka, który wyrzeźbił mu bobra. Duncan znał pewnego wesołego człowieka, który wrył podobiznę bobra w drewnie masztu. Przyjaciel Jonathana również potrzebował modlitwy. Ponieważ poszedł zobaczyć się z jakimś garbusem... Nie, przypomniał sobie Duncan, nie z garbusem, lecz z jakąś Starą Krzywą Twarzą. Chłopiec nie mógł znać Adama, a już na pewno nie mógł tak szybko dowiedzieć się o jego śmierci.



Evering, a raczej kwintesencja jego osobowości leżała przed nim na biurku. Duncan przeczytał jego notatki z uwagą, jakiej nauczył się, wykonując sekcje, zatrzymując się nad każdym słowem jak nad symptomem, stopniowo uświadamiając sobie, że ostatnie wiersze nie mówiły o kobietach, lecz o jednej kobiecie. Z początku sądził, że Evering wspominał swoją zmarłą żonę, gdyż w niezręcznych rymach brzmiała tragiczna nuta. Jednak dwa niezwiązane ze sobą wersy opisywały tę osobę:

*Czy to bogini, czy Bóg sobie kpi,  
Patrzę i płacze, tak bardzo mnie wzrusza,  
Gdy ta, co na jawie otwiera nam drzwi,  
Pozostaje tak smutna w ramionach Morfeusza.*

Oraz

*Twarz tak krucha w owalu loków lśniących,  
Że jej miejsce w krainie księżniczek śpiących.*

Widocznie Evering przyglądał się jej, kiedy spała. Duncan czytał dalej. Evering pisał o młodości i podeszłym wieku, o materialnych i duchowych bogactwach, które uważał za nieprzystające do siebie. A wszystko to było przepojone melancholią. Ostatnie dwa wersy, na których Duncan zatrzymał wzrok, stanowiły kolejny dwuwiersz:

*Twierdzisz, iż wsze piękno i dobra nietrwale,  
Acz cichy smutek twym orężem całem.*

Duncan zapatrzył się w okno, wspominając chorą pasażerkę, tę bezimienną kobietę, którą ocalił, a którą Lister także nazywał księżniczką. Tak chora, że przez większość czasu śpi, powiedział mu Woolford, zwykle pilnowana przez Arnolda, Woolforda, Everinga oraz żonę kapitana. Jednak zbudziła się w czasie burzy, sama, i wyrwana z niepokojących snów, stworzyła nowy koszmar. Przypomnił sobie dwie wstążki nad koją Everinga. Gdyby uczony był młodszy, Duncan podejrzewałby tragiczną kłótnię kochanków. Jednak wiersze Everinga świadczyły nie o namiętności, lecz podziwie dla kobiety o długich włosach. Ona mogła się przywiązać do człowieka, w którym widziała ojca. Czyżby dowiedziała się o jego śmierci

i pogrążona w żalu zapragnęła umrzeć? A może, jak twierdził Frasier, była wiedźmą, która - ożywiona przez Everinga - nagrodziła go uderzeniem młotka w skroń?

U dołu przedostatniej strony znajdowały się notatki do następnych utworów, utrzymany w podobnym tonie. Drobnym maczkiem, niewątpliwie oszczędzając cenny papier, Evering zapisał szereg niezwiązanych ze sobą i nieoddzielonych przecinkami słów. Zgubiony - przeczytał Duncan - serce, Kamienisty Szlak, dąb, kości. Zatrzymał się na słowie, którego nie mógł odczytać, choć powtarzało się trzy razy. *Tastgua* lub *tashgua*. A może było to *tesqua*, co po łacinie oznacza pustkowie - rodzaj słowa, jakiego Evering użyłby w swoich wierszach. Na końcu tej dziwnej listy widniały dwa słowa, napisane wyraźnie, lecz równie zaskakujące: Król Hendrick.

Duncan podniósł głowę i ze zdziwieniem zobaczył, że bezwiednie wyjął z kieszeni czarny kamień i położył na stole. Uniósłszy dziennik, obejrzał szybie. Kartka po ostatniej notatce została wyrwana, tak jak około dwudziestu ostatnich stron. Papier wyglądał identycznie jak ten, na którym profesor pisał więźniom listy. Evering poświęcił swój cenny papier, żeby więźniowie mogli wysłać wieści do domu. Jednak wyrwano tylko jedną zapisaną kartkę. Duncan obejrzał następną, czystą, zauważając niewielkie wgłębienia od ołówka, którym pisano na usuniętej stronie. Wziął z biurka pióro i poszedł do pustej kuchni, gdzie zanurzył je w gęstej sadzy na ścianie ogromnego kominka.

Wróciwszy za biurko, zaczął delikatnie wodzić piórem po pustej kartce, zmieniając wgłębienia w słowa lub ich fragmenty, białe na czarnym tle. Były to kolejne notatki, niepowiązane ze sobą słowa, które profesor zapewne zapamiętał, a potem zniszczył kartki. „Kruk” - głosił ledwie widoczny początek zdania - „zachowa cię przy życiu”. Duncan dotknął schowanego pod koszulą medalionu. Adam dał Everingowi kruka, którego Duncan zabrał z zakrwawionego kompasu. „Pokaż zaklinacza ryb” - mówił następny napis, zakończony nieczytelnymi bazgrołami. - „Trzymaj McCalluma z dala od wojska” - przeczytał z dreszczem niepokoju. Fragmenty notatek nie układały się w żadną sensowną całość. - „Zaklinacz duchów przy oślim kole” - przeczytał, a poniżej: „ma język w sercu”.

Duncan studiował te zapiski jeszcze przez kwadrans, a potem wydarł z dziennika cztery ostatnie kartki, złożył je i schował do kieszeni razem z kamieniem. Rzuciwszy na biurko swój biret, wrócił do kuchni, znalazł gliniany

garnceczek, do połowy napełnił go wodą z wiadra przy drzwiach i wrócił za biurko. Wrzucił do naczynia zawartość zawiniątka, które dał mu Cameron - okruchy szkła z kajuty Everinga.

Ponownie przeszedł przez cichy dom do pokoju stołowego, zamierzając przeczytać amerykańskie gazety, które widział na półkach. Przystanął w drzwiach biblioteki na widok Sarah, która wciąż stała przed portretem kobiety. Łzy spływały jej po policzkach i jedną ręką znów ścisnęła drugą drżącą dłoń. Duncan skrył się w cieniu i obserwował ją, zaczerwieniony ze wstydu, nie mogąc jednak oderwać oczu. Rozpuszczone włosy w nieładzie spadały jej na ramiona i podkreślały rozgorączkowany wygląd. Powoli podniosła ręce, wyciągając je na boki, jakby zamierzała objąć kobietę z portretu. Pasma rudawych włosów opadło jej przy tym na policzek.

Zimny dreszcz przeszedł Duncanowi po krzyżu. Istotnie, widział już wcześniej Sarah, widział ją z wyciągniętymi rękami i zmierzwionymi włosami, jak powoli szła po bomie we wzmagającym się wietrze, żeby skoczyć we wzburzone fale. Oto jego udręczony anioł. To Sarah ocalił tamtego strasznego dnia, to ona była tą chorą, śpiącą pasażerką. Załoga nazywała ją upiorem, rzucając przekleństwa i ciężkie przedmioty. Tymczasem Duncan odkrył, że profesor Evering pisał o niej wiersze. Była jego smutną, kruchą księżniczką. Najstarszym dzieckiem jednej z najpotężniejszych rodzin Nowego Świata. Frasier nazywał ją wiedźmą i morderczynią Everinga. Niewątpliwie do niej należał wisior z herbem Ramseyów, który tkwił w świątym sercu.

Nagle Duncan uświadomił sobie, że bezwiednie sapnął ze zdziwienia. Sarah powoli odwróciła ku niemu głowę, a potem opuściła ręce, otarła łzy z policzków i podniosła wazon ze zwiędłymi kwiatami, gdy młodzieniec do niej podchodził.

- Stawiają jej kwiaty - szepnęła z wymuszonym uśmiechem. Wydawała się tak wrażliwa, tak krucha. - Świeże kwiaty, w każdy wiosenny i letni dzień.

Oni. Mówiła tak, jakby nie należała do tego domu ani rodziny.

- Może w zimie mogłabyś codziennie rysować jakiś kwiat i zostawiać tutaj - podsunął również szeptem Duncan. Dziewczyna była jak sarna, gotowa czmychnąć przy najlżejszej zmianie wiatru. - Mam farby. Moglibyśmy dodać barwy, malować całe bukiety.

Ta myśl zdawała się cieszyć Sarah, wrywając ją na moment ze zwykłej

dla niej melancholii. Posłała Duncanowi następny przelotny uśmiech, machinalnie odgarnęła kosmyk z twarzy i zerknęła na towarzysza zielonymi oczami, po czym pospiesznie odwróciła wzrok.

- W pokoiku obok są trzy stoliki, panno Ramsey - zauważył Duncan. - Z pewnością nie będziesz musiała siedzieć na tych samych lekcjach co twój brat i siostra.

- Ależ tak - powiedziała Sarah, mówiąc do zwiędłych kwiatów w wazonie. - Nie znam arytmetyki. Ledwie umiem pisać. - Posłała mu następne spłoszone spojrzenie. - Proszę - dodała głosikiem małej dziewczynki. - Chcę jak najwięcej czasu spędzać w klasie.

Zabrzmiało to tak, jakby chciała uciec z tego domu.

Jakaż to tajemnicza choroba przykuła ją do łóżka na czas całego rejsu przez Atlantyk, zadawał sobie pytanie Duncan. Co powstrzymało Everinga, uczonego i filozofa, który wydawał się mieć obsesję na jej punkcie, od opisania tej choroby w swoim dzienniku? Czy naprawdę chorowała tak długo, że straciła dziesięć lat nauki, cały okres dorastania? Usiłował nadać nazwę jej chorobie, połączyć drżenie rąk i podkrążone oczy z jakąś znaną mu dolegliwością.

Spojrzała na niego wilgotnymi, niespokojnymi oczami dziecka. Nigdy nie znał takiego stworzenia. W jednej chwili zdawała się dźwigać na barkach cały świat, w drugiej wyglądała na naiwną i nieświadomą; raz światowa, raz nieokrzesana.

- Żałuję, że nie mogliśmy się poznać na pokładzie statku - rzekł.

- Poznałam niewielu współpasażerów - odparła Sarah. Znów z trudem znajdowała słowa. - Byłam zmęczona, nieustannie zmęczona. Profesor czytał mi, niech go Bóg błogosławi. - Spojrzała na rubinowy krzyżyk na kaftanie matki. - Mówią, że to byłeś ty. Nie podziękowałam ci za wyciągnięcie mnie z morza - dodała szeptem. - Straszny wypadek. Miałam szczęście, że tam byłeś.

Jednak jej poczynania w trakcie burzy nie można było uznać za przypadkowe. Celowo i z niesamowitą zręcznością wspięła się na bom i skoczyła do morza. Czy powodem tego była jej choroba, która skłoniła ją do tego skoku? Duncan z dreszczem zgrozy przypomniał sobie, jak jego współwięźniowie zostali zmuszeni do samobójstwa.

- Straszny wypadek - powtórzył Duncan, powoli skinąwszy głową. - Tamtego dnia sztorm wpłynął na poczynania wielu ludzi - dodał. - Moja babka na czas burzy zamykała okiennice, ryglowała drzwi i siadała przy

nich na straży z toporem. Mówiła, że to walczą duchy ziemi i nie pozwoli im wejść w takim gniewie.

Powiedział to z uśmiechem, lecz gdy Sarah odwróciła się do niego, jej oczy były poważne i pełne namysłu.

- Czy profesor czytał ci poprzedniej nocy? - spytał w nadziei, że łagodny ton głosu uspokoi dziewczynę.

Jednak ona otworzyła jeszcze szerzej oczy i mocno przycisnęła wazon do piersi. Zrobiła krok w kierunku drzwi, z nagłym przestraszeniem zerknęła na Duncana i czmychnęła z gracją młodej łani.

Po jej zniknięciu przez długą chwilę obserwował drzwi, a potem, przypomniawszy sobie o swoim eksperymencie, wrócił do klasy. Woda w misce z okruciami szkła przybrała brązowy kolor i kiedy ją zamieszał, poczuł słaby zapach. Dotknął palcem języka i zmartwiało. Nawet rozcieńczony płyn miał charakterystyczny kwaskowaty smak. W dozowniku było laudanum. Nalewka opiumowa. Odpowiednia dawka może powodować głęboki sen, a u osoby przyzwyczajonej do jej zażywania przerwanie podawania może wywołać wiele niepokojących symptomów, między innymi drżenie rąk i sińce pod oczami. Przypomniał sobie gorzki posmak herbaty w kubku, który w tajemniczy sposób znalazł się w jego celi. Silna dawka laudanum w herbacie mogła na kilka godzin pozbawić przytomności mężczyznę postury Duncana, chociaż wciąż nie miał on pojęcia, dlaczego ktoś chciał go uspić w jego celi. Bezradnie spoglądał na płyn w misce, ponownie próbując powiązać zagadkowe przesłania pozostawione przez Adama i Everinga. Musiał jakoś odkryć prawdę, żeby uratować Listera.

Znalazł Crispina w warzywniaku, pielącego grządkę fasoli.

- Jak umarła jej matka? - zapytał, klękając i pomagając mu. - Ich matka.

Ciemnoskóry mężczyzna odpowiedział dopiero po chwili.

- To ona mnie zatrudniła, gdy inne domy w mieście zamknęły drzwi przed wyzwolonym czarnym. Lady Ramsey była jedyną osobą potrafiącą ułagodzić pana Ramseya, jedyną poza Sarah, która też umiała trafić do jego serca. Dwa lata temu płynęła na pokładzie statku pocztowego, aby odwiedzić rodzinę i pokazać jej swojego nowo narodzonego syna. Francuska fregata zaatakowała ich, kiedy wpłynęli do kanału La Manche. Nikt nie przeżył.

Przez kilka następnych minut pracowali w milczeniu, zanim Crispin znów przemówił:

- Pan Ramsey już przedtem nie lubił Francuzów, lecz od kiedy zabili mu żonę i syna, nienawiść pali go jak ogień. Żyje tylko po to, żeby niszczyć Francuzów, zabijając ich żołnierzy i tych, którzy im pomagają.

Przedpołudniowe słońce grzało ich w plecy, gdy pracowali w miarowym rytmie. Pomywaczka przyszła i zaczęła za nimi pielęgnować ziemniaki.

- Dobrze go znała? - nagle spytał Duncan. - Adama Munroe.

- Był tutaj tylko raz - odparł Crispin i zaraz spojrzął na towarzysza z niepokojem.

- Powiedział mi już o tym Jonathan - uspokoił go Duncan. Z miny Crispina wywnioskował, że Adam nie tylko odwiedził Sarah, ale że ta wizyta odbyła się w tajemnicy. - Uważałem go za przyjaciela. Kiedy się z nią widział?

- Siedem miesięcy temu - szeptem odparł Crispin, zerkając na pomywaczkę.

- Czyli tuż przed ucieczką Sarah.

Sarah pojechała do Szkocji z tajemniczym Grekiem, Sokratesem Moonem. Jednak tuż przed tym Adam musiał pojechać do Szkocji, do swego rodzinnego Argyll. To musiało oznaczać, że Sarah podążyła za nim po tym, jak w tajemnicy zjawił się w domu Ramseyów, żeby zostawić jej wskazówki.

Crispin westchnął i nachylił się do Duncana.

- Będziesz musiał mi pomóc, McCallum. Jeden człowiek nie jest w stanie chronić tej dziewczyny.

Duncan przypomniał sobie małego Jonathana stojącego obok siostry z nożykiem do otwierania listów w ręku.

- Chronić Sarah? Przed czym?

Pytanie Duncana utonęło w nagłym warkocie werbla.

Z radosnym okrzykiem Jonathan wybiegł z domu, wołając Crispina i pokazując mu coś na ulicy. Kiedy wyszli zza narożnika domu, z frontowych drzwi wyłoniła się Virginia, prowadząc za rękę Sarah.

- Żołnierze! - wykrzyknął Jonathan. - Nasze czerwone kubraki!

- Patrol - wyjaśnił Crispin. - Czasem generał wysyła patrole, żeby ludzie czuli się bezpiecznie. Z pogranicza przychodzą okropne wieści.

- Czterdziesty drugi regiment? - zapytał Duncan, nagle zainteresowany się zwartymi szeregami czerwonych mundurów, które wyłoniły się zza rogu: pięć czwórek żołnierzy z muszkietami na ramionach, za nimi podążali dobosz i oficer na koniu. Po drugiej stronie ulicy ludzie przystawali i unosili kapelusze, pozdrawiając oddziałek.

- Pospiesz się! - zawołał Jonathan, ciągnąc Sarah na ulicę. Dziewczyna niechętnie szła za nim. - Przegapimy ich!

Jednak patrol zatrzymał się przed domem Ramseya. Sierżant w pierwszym szeregu zerknął na oficera, który skinął głową. Duncan ze zdziwieniem rozpoznał jeźdźca. Jednak porucznik Woolford, sztywno wyprostowany w szkarłatnej kurtce, udał, że go nie poznaje.

Radość dzieci zmieniła się w przestach, gdy werbel ucichł i czterech żołnierze wykonali zwrot, po czym przemaszerowali przez bramę, żeby zatrzymać się przed Crispinem i Duncanem. Dzieci cofnęły się, znów próbując pociągnąć za sobą Sarah, która teraz najwidoczniej chciała zostać, a nawet powiedzieć coś żołnierzom. Sierżant ponownie spojrzał na Woolforda, a potem skinął na swoich żołnierzy. Dwaj z nich odpięli od pasów kajdany. Widząc gniew w oczach Sarah, Duncan przysunął się do niej w obawie, że dziewczyna może zrobić coś nierozsądnego. Jednak w tejże chwili silne dłonie chwyciły go za ramiona. Zanim zdążył coś powiedzieć, miał kajdany na rękach i nogach. Sprężył się, zamierzając uderzyć łokciami, lecz zobaczył strach w oczach dzieci i zrezygnował.

- Crispinie! - zawołała Sarah. - Powstrzymaj ich! Nie mają prawa!

Złapała Duncana za rękę i nie puściła, gdy żołnierze zaczęli prowadzić go szutrową ścieżką. Trzymała go tak mocno, że pociągnięta za nimi, przeszorowała butami po ścieżce.

- Patricku! Nie rób tego! - krzyknęła.

Duncan dopiero po chwili pojął, że ta prośba była skierowana do Woolforda, który patrzył w przestrzeń.

Nagle Crispin wyrósł przy dziewczynie i oderwał ją od Duncana, obejmując muskularnymi ramionami. Miała lzy w oczach.

Gdy żołnierze wyprowadzali go na ulicę, Duncan obejrzał się, by ostatni raz spojrzeć na Sarah. Jonathan stał teraz przed nią, mocno obejmując ją rękami, jakby powstrzymywał ją od rzucenia się na żołnierzy.

Oszołomiony Duncan przypomniał sobie obietnicę, jaką złożył Listerowi. Dał temu Nowemu Światu szansę i przetrwał w nim zaledwie cztery godziny.

## Rozdział 5

Największą korzyścią z prowadzenia wojny, panie McCallum - oznajmił wysoki, dobrze odżywiony mężczyzna w szkarłatnej kurtce - jest to, że nasz umiłowany król Jerzy daje nam wolną rękę w kwestii zmniejszania liczby naszych wrogów.

Oficer, nazywany majorem Pikiem przez kilku nerwowych podwładnych, przerwał, by machinalnie pociągnąć za luźną nitkę brokatowego mankietu, po czym spojrzał na Duncana nad ozdobnym stołem służącym mu za biurko.

- Nie ma większej przyjemności niż ta, jaką się ma, dowodząc baterią i wiedząc, że król pragnie, byś poczęstował niegodziwców dobrym angielskim ołowiem. - Sięgnął po czajnik i nalał sobie filiżankę herbaty. - Często się - zadrwił, wskazując na tacę z czajnikiem i talerzem bułeczek.

Duncan siedział sześć stóp przed stołem, przykuty do krzesła. Znajdowali się w długim baraku zaadaptowanym na wojskowe potrzeby, najwyraźniej będącym główną kwaterą wojskową w mieście.

- Nic nie zrobiłem - po raz czwarty powtórzył Duncan, daremnie usiłując obrócić głowę i zobaczyć twarze ludzi, którzy czasem przystawali w cieniu za otwartymi drzwiami pomieszczenia, żeby się na niego gapić.

Przykuto go do krzesła i zostawiono samego na co najmniej pół godziny. Chociaż minął już kwadrans od chwili, gdy zjawił się tu Pike, oficer nie wysunął żadnych oskarżeń ani nie wyjawiał, dlaczego przywleczono tutaj Duncana. Zdawał się czekać, aż Duncan sam mu coś wyzna.

- Wierzę, McCallum, że niektórzy ludzie spełniają wolę Boga - rzekł major, patrząc oczami koloru brudnego lodu. - Wierzę, że wszyscy ludzie są skłonni spiskować, kłamać i oszukiwać. Wierzę, że choć owcę można ostrzyc, zawsze odrośnie jej taka sama wełna.



- A ja wierzę, że powinieneś mówić jaśniej - spokojnie odparł Duncan, odpowiadając oficerowi takim samym spojrzeniem.

Pike wstał, odstawił filiżankę i powoli poszedł w kąt pokoju, skąd wziął wysłużony pejcz. Wygiął go w dłoniach, jakby sprawdzając, a potem podszedł do Duncana, stukając końcem pejcza o dłoń.

- Jestem oficerem armii Jego Królewskiej Mości - oznajmił z satysfakcją. - Znieważając mnie, znieważasz króla.

Kiedy Duncan nie odpowiedział, Pike wyjął z kieszeni kopertę i rzucił ją na stół, po czym podszedł do okna i zapatrzył się na odległą o sto jardów rzekę Hudson. Duncan oderwał wzrok od pejcza, który oficer wciąż ścisnął w dłoni. Spojrzał na kopertę i zaschło mu w ustach. Był to jego list do brata, ten, który zostawił w swoim hamaku podczas sztormu i ostatni raz widział w ręku Camerona.

- Kocham tę wspaniałą, nową ziemię, McCallum - rzekł Pike, nie odwracając się od okna. - Nie pozwolę jej zepsuć takim jak ty.

- Mówisz zagadkami, panie - odparł Duncan.

Gniew zaczął w nim brać górę nad obawami. Oto stało przed nim uosobienie tych wszystkich ludzi, którzy powiesili jego ojca i zabili matkę, siostry oraz młodszego brata.

Pike odwrócił się do niego z oczami zwężonymi w szparki i ustami wykrzywionymi w wilczym grymasie. Duncan nawet nie zauważył, kiedy tamten doskoczył do niego i zamachnął się. Pejcz ze świstem przeciął powietrze i jak rozżarzone ostrze spadł na „policzek Duncana. Ten odchylił się do tyłu, a Pike drapieżnie wyszczerzył zęby i ponownie uniósł rękę do ciosu. Nagle przeniósł wzrok na coś za Duncanem i zastygł. Wyprostował się, opuścił rękę z pejczem i cofnął się o krok.

- Rozumiem, że został przydzielony lordowi Ramseyowi – stwierdził suchy głos obojętnym, niemal lekceważącym tonem.

Duncan wykręcił głowę, aby zobaczyć, kto to powiedział. Mężczyzna stał tuż za jego krzesłem.

- To z pewnością nie może być żadnym usprawiedliwieniem, sir - wymamrotał Pike.

Spojrzał na pejcz w swojej dłoni i rzucił go w kąt.

- Czy był pan świadom, majorze - ciągnął dobrze modulowany głos - że lord Ramsey nigdy nie bywa w Londynie, a mimo to jada obiady z królem? Mówią, że w ich żyłach płynie ta sama krew.- Mówiący to człowiek przeszedł obok Duncana i stanął tam, gdzie poprzednio stał Pike, twarzą do okna.

Był znacznie starszy od majora, choć trudno było mieć co do tego pewność ze względu na upudrowaną perukę i fakt, że nie było widać jego twarzy. Niski i krępy, stał sztywno wyprostowany jak zawodowy żołnierz. - Nie chcemy nieporozumień - rzekł, wciąż patrząc w okno. - Oświeć naszego gościa.

- Generale, to z pewnością nie jest konieczne. To oczywiste... - zaczął Pike, lecz jedna z dłoni, którą generał trzymał za plecami, zacisnęła się w pięść. Pike gniewnie spojrzał na Duncana, podszedł do stołu i wziął jakąś kartkę z leżącej tam sterty papierów.

Duncan przyglądał się człowiekowi przy oknie, nie zwracając uwagi na to, że coś ciepłego spływa mu po policzku. Generał zdawał się dźwigać na barkach ogromny ciężar. Spoglądał przez okno, patrząc w górę rzeki, jakby spodziewał się czegoś z północy, gdzie toczyła się zaciepka wojna z Francuzami.

Nagle Pike znów pochylił się nad Duncanem, rozkładając arkusz papieru i rzucając mu go na kolana. Był to list gończy. Oficera poszukiwano za dezercję i bunt. Sto funtów szterlingów oferowano za doprowadzenie go lub dostarczenie dowodu jego śmierci - ogromna suma, za którą można było kupić dużą farmę.

Gdy Duncan przeczytał nazwisko, mgła zasnęła mu oczy. Nagle poczuł się mały i bezsilny.

- O czterdziestym drugim regimencie mówi się z szacunkiem w naszej armii. - Głos Pike'a zdawał się dochodzić z daleka do Duncana, który wciąż spoglądał na plakat. - Nazywają go Czarną Strażą, a dla Francuzów jest czarną twarzą śmierci. Nie ma takiego zadania, którego nie można by powierzyć mu w bitwie. Jeśli w ogniu najkrwawszej bitwy powstaje luka w szeregach, wypełnia ją Czarna Straż. Oni nie potrzebują rozkazu. Domagają się tego przywileju. - W słowach majora słychać było dziką dumę. - Są granitową opoką naszej armii.

Jego słowa dopiero po chwili dotarły do Duncana, który nie mógł oderwać oczu od nazwiska wydrukowanego dwukrotnie większą czcionką niż reszta plakatu. Kapitan James McCallum. Wojsko szukało jego brata Jamiego, żeby go powiesić.

- W lipcu ubiegłego roku - ciągnął Pike - nic nie powstrzymywało naszego marszu na Quebec poza czterema tysiącami francuskich żołnierzy w fortecy, którą nazywamy Ticonderoga. Mieliśmy czterokrotną przewagę liczebną. Posłaliśmy harcowników i oddziały piechoty. Wielkie działa

Francuzów rozprawiły się z nimi szybko. Wtedy posłaliśmy czterdziesty drugi. Ci dzielni chłopcy mocno obrywali, lecz wciąż parli naprzód po ciablach swych zabitych kolegów. Zdobylibyśmy okopy i zmusili generała Malcolm'a do ucieczki do króla Ludwisia, gdyby oficer Czarnej Straży z rozmysłem nie zlekceważył rozkazów. Zanim dowiedzieliśmy się o zdradzie kapitana McCalluma, było już za późno. Ten drań sprawił, że przegraliśmy bitwę, a potem uciekł jak tchórz. Teraz uważamy, że pomagał nieprzyjaciolom i zapewne robił to również tamtego dnia.

Duncan nie wiedział, jak długo spoglądał na plakat. Kiedy w końcu podniósł głowę, Pike krążył wokół jego krzesła.

- Kiedy miałeś się z nim spotkać? - zapytał oficer, trzymając w garści jego list. - Gdzie jest ten zdrajca?

- Nic o tym nie wiedziałem - odparł głuchym głosem Duncan.

Oczy Pike a znów rozbłysły gniewem. Spojrzał w ką, do którego cisnął pejcz, a potem rzucił się na Duncana, podnosząc dłoń do ciosu. Zatrzymał się trzy stopy przed nim, patrząc na coś ze zdziwieniem i urazą.

- Sądziłem, że ustaliliśmy, że on należy do Kompanii Ramsey'a - powiedział nowy głos.

Duncan uświadomił sobie, że ktoś pochyła się nad jego kajdanami, a potem rozpoznał głos. Woolford.

- Zatem niech diabli porwą Kompanię Ramsey'a - odparł Pike. - On jest źródłem naszych problemów, a więc przyczyną naszej klęski.

- Jak już wyjaśniłem, majorze, ten McCallum przybył do kolonii zaledwie kilka godzin temu - rzekł zjadliwie Woolford.

Wciąż stojący pod oknem generał lekko przechylił głowę, ale nic nie powiedział.

- Najwidoczniej, Woolford, nie jesteś w stanie w pełni ocenić wagi tego listu - oznajmił Pike. - Świadczy o tym, że były poprzednie. Możemy założyć, że równie buntownicze. Ten człowiek niewątpliwie jest tym, który zwrócił kapitana McCalluma przeciwko królowi.

Ciął słowami jak batem.

- To niemożliwe! - zaprotestował Duncan.

Słowa z trudem przeszły mu przez ściśnięte gardło. Istotnie namawiał Jamiego, by pamiętał o swoim klanie, lecz kiedy się dowiedział, że brat został oficerem, nie pisał do niego przez rok, tak oburzyło go to, że Jamie zaciągnął się do tego samego wojska, które zniszczyło ich życie na szkockich wyżynach.

Duncan usłyszał brzęk kluczy za plecami. Pike skrzywił wargi w drwiącym grymasie.

- Kompania Ramseya jest zgubiona, zanim jeszcze postawi stopę w puszczy - warknął i rzucił następne czujne spojrzenie w kierunku okna. - Za trzy miesiące nie będzie nawet kogo chować.

Woolford nic nie powiedział, tylko zdjął Duncanowi kajdany i wyprostował się. Pike nie patrzył na Woolforda, lecz na mężczyznę pod oknem. Kiedy ten nie zareagował, Pike jakby oklapł. Zanim Duncan chwiejnie wstał, rozcierając przeguby, Woolford wyszedł przez jedno z bocznych drzwi.

- Nieważne - oznajmił lodowatym szeptem Pike, nachylając się do Duncana. - Kiwnij palcem, by pomóc bratu, a zawiśniesz u jego boku, kiedy go znajdziemy. Nie myśl sobie, McCallum, że go nie znajdziemy. Mamy zwyczaj wieszać zdrajców i zostawiać ich na szubienicy parę miesięcy, jako przestrozę. W Szkocji znają ten zwyczaj, prawda? – dodał szorstko. - Słyszałem, że w czterdziestym szóstym sroki nie mogły latać z przeżarcia.

Major obrócił się do mężczyzny stojącego pod oknem, który nadal spoglądał na rzekę. Kiedy Pike znów odwrócił się do więźnia, miał dziwnie zgnębioną minę.

Generał przeszedł się wzdłuż okna, a potem spojrzął na Duncana.

- Co powiesz o zamordowaniu uczonego w służbie lorda Ramseya?

Miał uczciwą twarz i kurze łapki w kącikach oczu.

Duncan zerknął na najbliższe drzwi.

- Śmierć uczonego człowieka jest stratą dla całego świata.

Oficer posłał mu smutny uśmiech i z głębokim zaciekawieniem spojrzął nań ciemnymi, inteligentnymi oczami.

- Dla naszego świata, owszem - rzekł, jakby do śmierci Everinga przyczynił się tamten świat.

Pike wycofał się w cień, a potem wyszedł bocznymi drzwiami. Jakby przestraszył go ten nowy kierunek rozmowy.

- To ty jesteś tym, który prowadzi Kompanię Ramseya do bolesnej prawdy - zauważył oficer. - Kim cię to czyni, panie McCallum? Szeryfem Kompanii?

- To czyni mnie psem, którego każdy chce kopnąć. Aby ocalić jednego z nich, muszę walczyć z moimi rodakami.

Generał wyglądał na rozbawionego tą odpowiedzią.

- Morderstwo na otwartym morzu. Śledczy, który sam jest właściwie skazańcem. To może rodzić poważne komplikacje prawne. Kompanię Ramseya pozwolono stworzyć, ponieważ toczymy wojnę.

- Uważasz Everinga za ofiarę wojny? Nie wyobrażam sobie mniej odpowiedniego określenia.

Oficer przeszył Duncana uważnym spojrzeniem, a potem odpowiedział, wyjmując coś z cienia i rzucając na stół. Była to strzała z brązowo-białą brzechwą i drzewcem w brązowe pasy.

- Ktoś toczący tę wojnę usiłował zabić dziś gubernera Ramseyów.

Duncan gwałtownie wciągnął powietrze.

- Miałem wrażenie, że dżicy walczą w puszczy - rzekł. - Nie spodziewałem się, że armia pozwoli na atak w mieście.

Generał z uśmiechem przyjął tę kpiącą uwagę.

- Dlaczego jakiś Indianin miałby pragnąć twojej śmierci?

Duncan opadł na krzesło.

- Dwie strzały, tak dokładnie wycelowane - ciągnął generał. - Napastnikowi nie wystarczyło to, że kapitan zamierzał cię uwięzić. Chciał mieć pewność, że nie żyjesz. Pierwsza strzała powstrzymała kapitana, druga była wymierzona prosto w twoje serce. Gdyby nie reling, byłbyś martwy, zanim upadłbyś na pokład.

- Niemożliwe. Przecież nikt mnie tu nie zna...

Protest zamarł mu na ustach. Kapitan. Nikt go tutaj nie znał, ale kapitan głośno nazwał go gubernierem Ramseya.

Generał stanął przed stołem i oparł się o niego, patrząc na Duncana.

- W jaki sposób Evering był powiązany z dzikusami?

- Evering? On nigdy nie był w Ameryce.

Zanim jednak skończył to mówić, Duncan przypomniał sobie rysunek strzały w kabinie Everinga. Z nowym zainteresowaniem spojrzął na tę leżącą na stole. Była identyczna. Starannie wymalowane pasy wykluczały zbieg okoliczności. Ktoś narysował Everingowi taką strzałę na morzu i taką samą ktoś wymierzył w serce Duncana. Tak jakby ktoś igrał sobie z gubernierem, ostrzegając go, jaki los go czeka, kiedy wyląduje w Ameryce.

- Byłbyś zdziwiony, jaki zasięg mają takie strzały - głośno myślał generał. - Szukamy łucznika. Bardzo nas interesuje człowiek, który próbował zabić drugiego guberniera Ramseyów. - Podszedł bliżej, przyglądając się

Duncanowi, jakby czekał na odpowiedź. - Teraz, kiedy przybyłeś do jego kraju, na pewno nie zrezygnuje.

- Dlaczego? - spytał ochryplym szeptem Duncan.
- Ty mi to powiedz. Kompania zdaje się mieć wiele sekretów.
- Wartych tego, aby za nie zginąć?
- Wartych tego, żeby za nie zabić.

Duncan wstał, podszedł do stołu i drżącą dłonią podniósł strzałę. Powiodł palcem po gładkim drzewcu aż po smukły krzemienisty grot, a potem nagle spojrzął przez okno, ku rzece.

- Jeśli sądzili, że Evering zna jakąś ważną dla nich tajemnicę - rzekł, wstrząśnięty myślą nagłą jak wybuch armatniej kuli - to na wieść o jego śmierci założyli, że posiadał ją jego zabójca.

Generał nie odpowiedział, tylko posłał mu następny chłodny uśmiech.

Lister. Staremu żeglarzowi, uznanemu za mordercę Everinga, groziło takie samo niebezpieczeństwo jak Duncanowi, a wieziono go na pogranicze, gdzie roilo się od dzikusów. Przed budynkiem były uwiązane konie, rumaki dragonów. Gdyby ukradł jednego z nich, czy zdołałby ująć pogoni?

- Guwerner należy do Kompanii Ramseya - powiedział stanowczo generał. - Jeśli musi zginąć, to z powodu Kompanii. Czegoś, co Kompania zrobiła lub zamierza zrobić.

- Nie dopuszczono mnie do tajemnic Kompanii, generale.
- Za słabo się starasz, McCallum.

Duncan obejrzał się na drzwi, za którymi znikł Pike. Ten chciał dopaść jego brata. Generał chciał od niego czegoś innego.

- Próbuje pan powstrzymać Kompanię?  
- Kompania ma zezwolenie od samego króla - odparł generał. - Z pewnością nie mógłbym jej powstrzymać.

Obaj czujnie spojrzeli na siebie.

- Kim był Adam Munroe? - nagle spytał Duncan.

Generał z niechętnym respektem skinął głową.

- Oficerem milicji. Byłem więźniem, którego strach wygonił za Atlantyk, kiedy został uwolniony.

- Więźniem Francuzów?

Generał westchnął.

- Jestem pewien, że możemy to załatwić jak dżentelmeni.

Proponował jakiś rodzaj umowy, a Duncan nawet nie miał pojęcia, co negocjują.

- Sugeruje pan, że armia nie chce, by wskazano zabójcę Everinga?
- Na wojnie zwycięzcą jest ten, który zawsze ma oko na płomień.

Ten człowiek mówił jakimś nieznanym mu szyfrem. Duncan podszedł do okna. W oddali widział prostokątne transeje baterii ustawionych wzdłuż rzeki.

- Jeśli uważacie, że ta śmierć ma jakiś związek z wojną - zapytał - to dlaczego nie przeprowadzicie własnego śledztwa?

- Nie mogę tknąć tajnej broni lorda Ramseya.

Duncan z trudem opanował drżenie głosu.

- Bierzesz mnie za kogoś innego, panie. Jestem tylko niewolnym sługą.  
- Z pewnością człowiek o twoich zdolnościach nie da się zwieść zbiegiem okoliczności.

Szukając odpowiedzi, Duncan spojrzał nie na generała, lecz na list gończy leżący na stole. Lord Ramsey wiedział o jego bracie. Wielebny Arnold i Woolford również wiedzieli, kiedy przepłynęli pół świata aż do Szkocji, żeby zabrać Duncana - i tylko jego - z więzienia w Edynburgu. Duncan cofnął się o krok, gdy generał obserwował go z nikłym uśmiechem.

- Nie wzgardzimy wyrazami twojej wdzięczności - rzekł generał - kiedy przemyślisz, co dziś zrobiliśmy dla ciebie.

Nie próbował go zatrzymać, gdy Duncan ruszył do drzwi, tylko podniósł rękę i pokazał mu inne wyjście, dziesięć stóp dalej.

Duncan zawahał się, a potem spełnił nieme polecenie. Na korytarzu na przeciw drzwi była przybita do ściany ręcznie narysowana mapa, oznaczona na górze dwoma słowami, które powstrzymały jego pospieszny odwrót. Kamienisty Szlak.

Wrzesień 1758, głosił napis poniżej. Mały, nieregularny kształt niemal na środku najwyraźniej przedstawiał fortyfikację nad rzeką. Po jej bokach widniały dwa rzędy niezdarnie narysowanych drzew. Na południowym wschodzie nad meandrującą rzeką rozciągała się otwarta przestrzeń opisana jako Niemiecka Równina. Pod mapą napisano: Banda Króla Hendricka. Seneka. Mohawkowie. Onondaga. Z boku widniała tabela zatytułowana „zabici zwiadowcy” zawierająca kilka nazwisk i na końcu napis „trzej zaklinacze duchów”. Zaklinacze duchów. Duncan dwukrotnie przeczytał te słowa, rozpaczliwie usiłując zrozumieć ich sens, po czym obejrzał się za siebie.

Generał wyszedł na korytarz i stał sześć stóp za nim, obserwując go z niebezpiecznym uśmiechem.

Nikt nie zatrzymał Duncana, gdy szedł korytarzem, szukając wyjścia na ulicę. Nie zwracał uwagi na otoczenie, gdy żołnierze przywlekli go tu i zaciągnęli do środka. Mijając pokój, w którym trzej oficerowie oglądali rozłożoną na stole mapę, przystanął, patrząc na mężczyznę po lewej. Nosił czerwoną oficerską kurtkę i kilt. Odwrócił się i obrzucił Duncana wzgardliwym wzrokiem. Miał szkocki kilt, lecz pełną wyższości minę angielskiego oficera.

Duncan ruszył w kierunku plamy światła na podłodze świadczącej o tym, że w pobliżu znajdują się otwarte drzwi, i prawie biegiem minąwszy zakręt korytarza, wpadł na jakąś półnągą postać. Natychmiast zapomniał o swym gniewie na Pike'a i wzburzeniu wieściami o Jamiem. Z bijącym sercem zatoczył się w tył i zasłonił dłonią usta, tłumiąc okrzyk przestachu.

Gładka, miedziana skóra mężczyzny lśniła jak naoliwiona. Powyżej pasa nie miał na sobie nic prócz zwiniętego brązowego koca przerzuconego przez ramię i przywiązanego w talii plecionym rzemiennym paskiem. Na wygolonej głowie pozostał tylko wąski pas czarnych włosów na czubku, z którego opadało kilka wąskich, długich na stopę warkoczyków, z czerwonymi i niebieskimi szklanymi paciorkami nanizanymi na końce. Z przekłutych uszu zwisały srebrne kolczyki, a na szyi miał naszyjnik z muszli i kości. Z koca zwisał rożek z prochem w skórzanej pochewce, do której były przymocowane dwa małe noże. Skórzane spodnie mężczyzny były obszyte na szwach frędzlami, tak jak mokasyny z miękkiej skóry, które miał na nogach. Z włosów na czubku głowy na groźną twarz czerwonoskórego spływały równomiernie rozmieszczone strumyki krwi. Po chwili Duncan zrozumiał, że to nie krew, lecz rdzawa farba nałożona tak, by wojownik wyglądał, jakby właśnie stoczył bitwę.

Duncan otworzył i zamknął usta, patrząc na dzikusa, który nie poruszył się i nie zmienił swojej dumnej, wzgardliwej miny, przyglądając mu się jak zwierzęciu, które zaraz zarżnie i skonsumuje. Duncan już miał zawołać żołnierzy, ale w porę przypomniał sobie, że nie tylko Francuzi mają w tej wojnie tubylczych sprzymierzeńców.

Gdy ruszył w kierunku drzwi, w czarnych i nieruchomych oczach Indianina pojawił się błysk rozpoznania. Powiedział coś cicho w swoim języku i natychmiast coś się poruszyło w głębi ciemnego korytarza. Pojawił się drugi



dzikus, odziany podobnie jak pierwszy. Z głębokim zaciekawieniem obejrzał Duncana i wskazał palcem strużkę krwi ciekącej mu po policzku. Zdumiewająco szybkim ruchem dotknął jej, ocierając krew palcem, i wskazał w głąb korytarza, skąd przyszedł Duncan. W oczach miał dziwny błysk, na pół rozbawiony, na pół pożądlivy. Wymamrotał coś do pierwszego Indianina, a potem krwią Duncana nakreślił linie na swoim policzku.

Duncan chciał zaprotestować, krzyknąć, ale zapomniał języka w gębie. Gdy Indianin przyłożył palec do policzka towarzysza i także nakreślił krwawą linię, Duncan zebrał siły i cofnął się o kilka kroków, a potem wybiegł przez frontowe drzwi.

Już znalazł się na zewnątrz, gdy czyjaś dłoń zacisnęła mu się na ramieniu. Duncan kilkakrotnie uderzył napastnika w nadgarstek, zanim zauważył brązowe, pokryte bliznami palce.

- Crispin! - zawołał.

Wielkolud nie zwrócił uwagi na ciosy i okrzyk Duncana, tylko w milczeniu poprowadził go naprzód, po schodach, obok poważnych wartowników i na brukowaną ulicę. Podeszli do ciężkiego otwartego wozu ciągniętego przez dwa duże gniadosze. Crispin pospiesznie wskazał Duncanowi miejsce na koźle. Służący zamienił swój elegancki strój na powszedniejszy, z brązowym płaszczem. Sprawdził uprząż i przystanął, cicho mówiąc do obu koni, zanim dołączył do siedzącego na koźle Duncana i popędził je lekkim szarpnięciem wodzy.

Duncan odwrócił się, patrząc na znikającą w oddali główną kwaterę, czując rosnącą w brzuchu pustkę. Nie nienawidził majora Pike'a za jego wrodzone okrucieństwo, za to, że zakuł go w kajdany, ani nawet za to, że go uderzył. Nienawidził Pike'a za to, że zgasił iskrę nadziei, która tliła się w nim od czasu tamtej rozmowy z Listerem na bocianim gnieździe. Zaczął myśleć, że może znieść lata niewoli, ponieważ potem razem z Jamiem i Listerem czeka ich wspólna przyszłość, zbudują farmę, odtworzą klan. Teraz jednak stracił brata na zawsze. Zarówno Jamie, jak i Lister czy wszyscy ci, których Duncan powinien chronić jako związanych z nim więzami krwi, mieli zawisnąć na szubienicy na długo przedtem, zanim skończy się jego okres niewoli, jeśli Lister nie zginie wcześniej przesyty strzałą.

Między kolejnymi falami nienawiści i bezsilności do Duncana echem powracały słowa generała. Były ważne nie tylko ze względu na to, co jego

rozmówca ujawniał - przyczynę, dla której Duncan był wart podróży Arnol-  
da i Woolforda do Edynburga - ale i z powodu tego, czego nie powiedział.  
Generała nie interesował Jamie, ale Kompania. Duncan przypomniał sobie  
obawy Arnoldda, że wojsko rozpocznie własne śledztwo. Kompania w jakiś  
dziwny sposób rywalizowała z generałem. A Duncan był tajną bronią Ram-  
seya.

- Czego od ciebie chcieli? - zapytał Crispin.

- Nie wiem - odparł po chwili namysłu Duncan. - Jestem przynętą i nie  
wiem, kto trzyma wędkę. Jednak muszę dotrzeć do Edentown - dodał po-  
spiesznie. - Potrzebny mi koń. Koń i mapa.

Zamiast odpowiedzi Crispin dał mu szmatę.

- Krew - powiedział.

Nagle Duncan zobaczył plamy na gorsie koszuli. Krew kapłała mu z po-  
liczka.

- Na noc obłożymy ją miodem - rzekł Crispin. - Złagodzi ból, zasklepi  
ranę.

CMoknął, popędzając konie i wyprzedzając załadowany wóz zaprzężony  
w muły.

- Nie mogę wrócić do domu Ramseyów - nalegał Duncan.

Przyłapał się na tym, że obserwuje drzewa i skały. Z lekkim zawsty-  
dzeniem pojął, że wypatruje dzikusów.

Crispin wyciągnął rękę, wskazując jasne pola dojrzewającej pszenicy,  
które znalazły się w ich polu widzenia. Duncan już miał ponowić prośbę o  
konia, ale zawahał się i spojrział na tył wozu. Chociaż jego zawartość była  
zakryta płócienną plandeką, rozpoznał zarysy kufrów. Zobaczył także, że  
powoli dogania ich powóz kierowany przez tego samego mężczyznę, który  
przywiózł ich z portu.

- Jeśli dopisze nam szczęście, zdążymy się przeprawić i dotrzeć przed  
zmrokiem do zajazdu na drugim brzegu - powiedział Crispin.

- A potem?

- Panienska Sarah zdecydowała, że nie może się doczekać ponownego  
spotkania z ojcem.

Serce Duncana zabiło mocniej na tę wieść.

- Edentown? W tym powozie jest Sarah?

- Z panienską Virginia i paniczem Jonathanem - rzekł dziwnie obron-  
nym tonem Crispin, po czym znów popędził konie i zapatrzył się przed  
siebie.

Duncan ponownie spojrzął na ładunek wozu i powóz. Był w rękach wojska najwyżej dwie godziny, lecz w tym czasie Sarah Ramsey, nadal niezdrowa, postanowiła opuścić wygodny dom Ramseyów.

- Nie zabraliście wielebnego Arnolda - zauważył - a te kufry nie oznaczają krótkiej wizyty. Ona zamierza tam zostać.

Jego towarzysz skwitował tę uwagę wzruszeniem ramion.

- Byłeś już tam, Crispinie? Na pograniczu?

- Tak, byłem i przysięgłem sobie, że nigdy tam nie wrócę.

Służący zacisnął zęby i spojrzął na odległy brzeg rzeki Hudson, wzdłuż którego ciągnęły się klifowe urwiska zwieńczone ścianą nieprzebytego lasu.

Crispin wskazał kciukiem za siebie, mówiąc, że na wozie jest sterta zwiniętych sienników i Duncan może się na nich położyć. Młodzieniec chętnie skorzystał z propozycji i wyciągnął się na miękkim stosie. Zanim zamknął oczy, wyjął kartki, które wyrwał z dziennika Everinga, i spojrzął na zapisane maczkiem słowa na dole ostatniej strony, będące ostatnią notatką profesora. Brak znaków interpunkcyjnych sprawił, że Duncan uprzednio źle je odczytał. Uznał, że Evering zamierzał ułożyć następny wiersz, o sercu jak kamienisty potok lub o kimś mającym kamienne serce. Tymczasem w swych pospiesznie robionych notatkach Evering, który nigdy nie był w Nowym Świecie, wspominał o Kamienistym Szlaku, gdzie przed rokiem stoczono bitwę. Jedynym wyjaśnieniem było to, że Evering dowiedział się o tym od Adama, który był w Ameryce i walczył w oddziałach milicji. Na wojskowej mapie widniały również inne słowa. Zaklinacze duchów. Dlaczego wojsko wspomniało o starożytnym mędrцу Senece, Duncan zadał sobie pytanie, mając coraz cięższe powieki i chowając złożone kartki za koszulę. I dlaczego, zastanawiał się, zapadając znużony w sen, ze swoją znajomością historii nic nie wiedział o królu Hendricku?

Zbudził się dwie godziny później, jechali przez zielone wzgórza, gdzie pasły się liczne stada krów, poprzedzielane rozległymi polami, na których krzypcy mężczyźni i kobiety z maczetami w dłoniach pochylali się nad rzędami kukurydzy. Jonathan siedział obok woźnicy jadącego z tyłu powozu i wesoło pomachał ręką Duncanowi. Virginia wychylała się z okna powozu, pokazując ptaki i motyle.

- Znasz porucznika Woolforda? - zapytał Duncan, siadając obok Crispina.

- Każdy w kolonii zna porucznika Woolforda, jeśli nie osobiście, to z doniesień w gazetach.

- Chcesz powiedzieć, że jest sławny?

Crispin zawahał się.

- Co wiesz o tej wojnie?

- Anglicy zabijają Francuzów. Francuzi zabijają Anglików. Trwa od wieków.

- Pan Ramsey mówi, że ta wojna różni się od wszystkich innych. Mówi, że po raz pierwszy wojna toczy się na całym świecie. W Ameryce Północnej, Europie i Indiach. Na wybrzeżach Afryki i Ameryki Południowej. - Wielko-  
lud znów zamilkł. Ta rozmowa zdawała się sprawiać mu przykrość. - Moja matka nauczyła mnie czegoś o wojnie - dodał po chwili. - Armie powinny  
stawać naprzeciw siebie i strzelać z łuków, muszkietów albo kusz.

- Gdyby wojny zawsze były takie ładne - rzekł Duncan, bezwiednie dotykając długiej opuchlizny na policzku - nadal miałbym rodzinę.

- Tutaj - ciągnął Crispin - wojna toczy się głównie w puszczy, w nieopisanej na mapach dzicy. Żołnierze wchodzą w las i nigdy nie wracają. Osadnicy znikają całymi rodzinami. Czasem za sprawą francuskich oddziałów, lecz przeważnie odpowiadają za to czerwone dzikusy atakujące z północy, Huroni i Abenakowie, sprzymierzeńcy Francuzów. Szczęśliwcy zostają zabici. O tym, co Indianie robią z jeńcami, możesz sobie poczytać, a jeszcze więcej usłyszeć na jarmarkach. Mężczyzn wieszają nad ogniskami i pieką żywcem, zarzynają ojców na oczach ich dzieci. Odcinają skalpy. Niektórzy mówią, że jeśli człowiek traci skalp, jego dusza wypływa z ciała, które wysycha - dodał głuchym głosem.

- Co to ma wspólnego z Woolfordem?

- Jedyne sposoby, by pokonać Indian, to walczyć z nimi na ich warunkach w puszczy. To właśnie robią zwiadowcy.

- Zwiadowcy?

- Puszczańscy wojownicy. Głównie mieszkańcy pogranicza, traperzy i farmerzy, którym spalono farmy, próbujący wyrównać rachunki lub po prostu trzymać dzikich z dala od swych siedlisk. Wielu z nich to też dzicy. Dowodzą nimi angielscy oficerowie. Najbardziej znany to kapitan Rogers z Nowej Anglii. Jednak porucznik Woolford robi to samo na zachód stąd, w koloniach Nowy Jork i Pensylwania. Większość zwycięstw w tej wojnie zawdzięczamy zwiadowcom.

- Woolford walczy z Indianami? - zadając to pytanie, Duncan miał wrażenie, że czuje gorzki smak na języku.

Z dreszczem zgrozy przypomniał sobie dwóch dzikich w głównej kwaterze. Pomalowali się jego krwią. Trudno mu było połączyć tego wygadanego oficera, którego poznał na statku, z takimi stworzeniami.

- Robi to tak długo, że mówią, iż sam stał się pół-Indianinem. On też znika w puszczy, ale zawsze wraca.

Duncana znów przeszedł dreszcz. Dzicy, których spotkał, wydali mu się nie tyle ludźmi, ile zwierzętami w ludzkiej postaci.

- Jesteś służącym w wielkim domu, Crispinie - zauważył, wyczuwając strach towarzysza przed Indianami. - Z pewnością nie będziesz musiał iść do puszczy.

- Ktoś musi powozić... - rzekł Crispin. - Jednak nie wjadę do puszczy. Ani razu. Po drodze są liczne farmy i kilka wiosek. To surowa okolica, pewnie, ale Edentown jest na krańcu świata. To najdalej położone miejsce, gdzie jeszcze jest się bezpiecznym.

To Sarah była powodem tej podróży. Crispin jechał wbrew swoim obawom i zdrowemu rozsądkowi, żeby chronić dziewczynę.

- Była odurzona, Crispinie - rzekł po chwili Duncan. - W ciągu całego rejsu przez Atlantyk była nieprzytomna, ponieważ podawano jej laudanum.

W oczach Crispina pojawiły się łzy i odwrócił głowę. Kiedy w końcu przemówił, spoglądał w dal.

- Kołysałem ją na kolanie, a ona się śmiała, ach, jak się śmiała. Wszyscy obecni w pokoju przyłączali się do niej. Ona i jej matka niosły radość niczym ptaki na wiosnę. Nie słyszałem jej śmiechu już od wielu lat - dodał z przygnębieniem. - Może tylko tego chcę, znów usłyszeć jej śmiech. - Zerknął na Duncana. - Wpada w trans i wydaje się nie widzieć nikogo. Wielebny mówi, że to choroba duszy.

Choroba duszy. Jednak Sarah nie tylko uciekła z miasta, ale także wielebnemu Arnoldowi, jej duchowemu dozorczy. Próbowała odgrodzić się oceanem od Arnolda.

- Kiedy zeszła ze statku, znalazła jedną ze swoich starych porcelanowych lalek i nosiła ją godzinami, mówiąc do niej. A potem, zeszłej nocy, widziałem, jak zakopała ją w ogrodzie.

Te słowa na długą chwilę zawisły w powietrzu, zdając się podążać za wozem niczym zimna mgła.

Nagle Duncan przypomniał sobie, że Woolford wcześniej opuścił statek w towarzystwie jakiejś zakapturzonej postaci. Sarah.

Słońce miało jeszcze dwie godziny drogi za horyzont, gdy Crispin zatrzymał wóz na brzegu szerokiej rzeki, na pochylni z błota i gliny, wzmocnionej matami z suszonych trzcin. Chudy jak patyk mężczyzna z postrzępioną brodą spał pod wielką wierzbą, przy rozsypującej się tratwie z bali unoszącej się na wodzie.

Duncan uważnie przyjrzał się odległemu o milę przeciwnemu brzegowi.

- Kiedy ma przyplłynąć prom? - spytał.

Woźnica powozu, który już zszedł z kozła i stał obok, zaśmiał się. Crispin też się uśmiechnął, po czym zeskoczył z wozu i poszedł do powozu, przystając po drodze, żeby rzucić kamyczkiem w śpiącego. Ten zerwał się, chwytając leżący obok stary muszkiet, który wyglądał tak, jakby spoczywał w trawie od wielu lat. Brodacz przetarł oczy i ziewnął. Opodał w trawie poruszyła się kaczka, wyginając szyję, żeby na niego spojrzeć. Była uwiązana na sznurku do białego w ziemię kołka.

- Skończyłem na dziś - ostrzegł brodaty, zaczynając dłużyć w zębach gałązkę. - Przeprowadziłem już tyle wozów, co przez trzy dni pracy. Wróćcie jutro.

- Kompania Ramseya jeszcze nie skończyła dziś swoich interesów - odparł stanowczo Crispin.

Przewoźnik zrobił taką minę, jakby ugryzł coś kwaśnego.

- Kompania Ramseya - westchnął - mnoży się jak króliki.

Wstał, podpierając się muszkietem.

Duncan zauważył świeże, błotniste koleiny pozostawione przez zjeżdżające z brzegu wozy i z nowo rozbudzoną nadzieją popatrzył na drugi brzeg. Jechali tym samym szlakiem co wozy z więźniami, chociaż wiele godzin później.

Na ścieżce pojawiła się potężna kobieta, mierząca co najmniej sześć stóp i mająca dwukrotnie większy obwód w pasie niż mężczyzna. Zwróciła się w stronę drzew i gwizdnęła tak donośnie, że sploszyły się konie, po czym uniosła skraj ubłoconej sukni i wykonała niezgrabny ruch, który Duncan uznał za imitację dygnięcia.

- Na wodzie będzie pikny wieczór, waszmoście - oznajmiła z uśmiechem.

Jej nieliczne zęby były poślizkłe i krzywe.

Duncan z niedowierzaniem patrzył, jak dwaj umorusani chłopcy zaczynają układać z desek pomost między pochylnią a rozpadającą się tratwą, położwszy na niej długie wiosła.

- Chyba nie zamierzasz nas przeprowadzić na tej stercie patyków? - zapytał, schodząc z wozu.

- Służyła nam wiernie przez dwadzieścia lat, a przedtem pływała u brzegów Holandii - z urazą odparł mężczyzna. - Korzystali z niej generałowie i wielcy lordowie.

Wyprostował się i nerwowo przyglądał ubranie, gdy z powozu wysiadły młodsze dzieci Ramseya.

Teraz Duncan dostrzegł, że tratwa z bali była zamocowana na solidnym, zapewne zbudowanym w ubiegłym wieku, szerokim kadłubie, z którego odcięto relingi i nadbudówki.

Zza drzewa wyłonili się dwaj kolejni chłopcy i zaczęli wkładać długie wiosła w dulki po bokach promu.

- Tylko jeden pojazd naraz, wasza miłość - oznajmił przewoźnik. - Wprowadź swój zaprzęg...

Słowa zamarły mu na wargach i z rozdziawionymi ustami spojrzął z przestachem przez ramię Duncana.

- Jezu Chryste! - jęknął i pociągnął żonę za rękę. Jej twarz pociemniała.

- Kiedy to się stało? - usłyszał jej głos Duncan, gdy chwyciła stary muszkiet.

Odwrócił się, zaniepokojony. Nic się nie zmieniło, tylko Sarah wyszła z wozu. Miała wysoko podniesioną głowę, lecz oczy zmrużone z bólu. Bez słowa podeszła do żony przewoźnika i położyła rękę na lufie muszkietu. Kobieta zbladła jak ściana. Na oczach wszystkich patrzących, dziwnie skamieniałych, Sarah wyjęła ciężki muszkiet z rąk kobiety i oparła o drzewo, a potem pochyliła się i położyła dłoń na łbie kaczki, która skuliła się, wystraszona obecnością tyłu ludzi. Sarah rozwiązała sznurek i popchnęła ptaka w kierunku wody. Kaczka natychmiast uniosła się w powietrze i z łopotem skrzydeł znikła w dole rzeki. Dopiero wtedy czar prysł.

- Nie miała prawa - mruknęła kobieta, jakby Sarah nie stała sześć stóp przed nią.

Jedynym z obecnych, którego nie zauroczyło dziwne zachowanie Sarah, był najwyższy z wioślarzy, chudy wyrostek. Podszedł do niej z gniewem w

oczach, podnosząc rękę, jakby chciał ją uderzyć. Jego marsz powstrzymała rozwścieczona postać, która nagle pojawiła się na jego plecach, tłukąc pięścią po ramieniu i ściskając cienką rączką szyję. W mgnieniu oka Duncan i Crispin doskoczyli do nich. Duncan próbował odciągnąć chłopca, a Crispin powstrzymał wyrostka, który już zamierzał uderzyć go pięścią.

- Jonathanie Ramsey! - Głos Sarah był jak trzask bata i natychmiast uspokoił brata oraz młodego wioślarza, który nagle zrobił przestraszoną minę.

- Ja nie chciałem... - wykrztusił. - Dobry Jezu, nie myślałem... - Twarz mu się wydłużyła. - Tylko że mieliśmy tę kaczkę na niedzielny obiad.

Woźnica podszedł do przewoźnika i wsunął mu do ręki monetę, co natychmiast poprawiło mu humor na tyle, że odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy swej załodze. Po chwili prom był gotowy i przewoźnik dał znak woźnicy. Czterej chłopcy chwycili za wiosła.

- Moja żona z przyjemnością zrobi herbatę czekającym - dodał, niepewnie zerkając na Sarah.

Crispin nachylił się do ucha Duncana.

- Będziesz musiał sam przeprowadzić wóz.

Duncan już miał zaprotestować, gdy zauważył zaniepokojone spojrzenie, jakie wielkolud posłał Sarah.

- Oczywiście - odparł, po czym podszedł do zaprzęgu i wprowadził pojazd na prom.

- Przeprowadziłeś trzy wozy pełne ludzi? - zapytał, gdy odbijali od brzegu.

- Tak - odrzekł przewoźnik. - A każdy z tych biedaków wyglądał na bardziej przestraszonego od poprzednika. To kaprys lorda Ramseya, który nazywają jego Kompanią.

- A później jeźdźca - zaryzykował Duncan. - Chudego mężczyznę z torbą?

- Hawkinsa. - Mężczyzna wymówił to nazwisko, jakby to była obelga. - Piekielnie mu się spieszyło, a ściskał tę torbę, jakby była ze złota. Dosiadł konia i zeskoczył z promu, zanim dobiliśmy do brzegu. Ci Ramseyowie - prychnął z przygnębieniem przewoźnik, gdy wypływali na rzekę. - Dzień był dostatecznie pełen Ramseyów i ich stad. Istna karna ekspedycja, no nie?

Przez moment wpatrywał się w płytką wodę, po czym wydał rozkaz.



Dwaj chłopcy zaczęli wpychać w otwór w pokładzie wiosło, do którego był przywiązany mały i mocno pocerowany żagiel.

- Jestem zatrudniony od niedawna - odparł Duncan, nie chcąc przyznać, że przebywa w Nowym Świecie od niecałych dwunastu godzin. - Zdaje się, że to wymagająca praca.

- Muszkiet! - nagle wrzasnął przewoźnik i zaczął gorączkowo wołać do żony, żeby rzuciła mu broń. Kiedy odmówiła, zerknąwszy na Sarah, odwrócił się, załamany, i z niepokojem popatrzył na zachodni brzeg.

- Czego się boisz? - spytał Duncan.

- Dzikusów, chłopcze. Oni chcą cię zabić.

Nie po raz pierwszy tego dnia Duncan poczuł suchość w ustach.

- Mnie?

- Ciebie. Mnie. Nas wszystkich. Nasz sąsiad spakował się i wziął darmową ziemię na zachodzie. Indianom się to nie podobało. Spalili jego chatę. Oddali go swoim kobietom. Te zabijały go trzy dni, zaostrzonymi kijami i tym podobnymi rzeczami.

- Przecież na zachodnim brzegu są osady. Jest Edentown.

- Nie znasz tych plemion. Pojawiają się szybciej, niż spluniesz, i znikają równie szybko. Choćby dziś rano był atak w samym mieście. Strzała trafiła gościa w serce, krew była wszędzie, a dzicy rzucili czar i nikt ich nie widział.

Duncan otworzył usta, żeby to sprostować, ale zabrakło mu słów. Gdyby nie kilka cali drewna, słowa tego człowieka byłyby prawdą.

Przewoźnik przez kilka minut zajmował się żaglem, a potem wrócił do stojącego przy zaprzęgu Duncana, marszcząc brwi, spojrzął w niebo i poprawił żagiel.

- Miałem tu pomocnika, który czytał wiatr jak słowa księgi. - Im dalej odpływali od brzegu, tym bardziej przewoźnik się uspokajał. - Twój Ramseyowie kosztowali mnie mojego najlepszego żeglarza. Pracował dla mnie przez dwadzieścia lat. Jeden błąd i znalazł się we władzy tyrana.

- Lord Ramsey zabrał któregoś z twoich ludzi? - zapytał Duncan, gładząc pysk jednego z wielkich gniadoszy.

- Nazywaliśmy go Jacob Ryba. Nigdy wiele nie mówił, ale odziewaliśmy go i karmiliśmy, a on odwzajemniał się uczciwą pracą. Potrafił łowić ryby, przywołując je piskami i chrząknięciami - co było cholernie dziwne.

Duncan zamarł i odwrócił głowę. „Stary zaklinacz ryb będzie wiedział” - zanotował Eving. - „Pokaż mu medalion”.

- Ilość takimi promami można się przeprawić do Edentown? - zapytał.

- Tylko tym jednym, jeżeli szukasz najkrótszej drogi.

To były słowa Adama, a on wiedział na pewno, że Evering w końcu spotka człowieka zwanego zaklinaczem ryb.

- Gdzie on jest, ten Jacob? - zapytał Duncan, usiłując ukryć podniecenie.

- Tak jak mówiłem. Lord Ramsey był tu miesiąc temu i aresztował go jako wroga Anglii. Kiedy powiedziałem, że nie jest niczym wrogiem, Ramsey zapytał, czy mnie też ma aresztować za udzielanie schronienia wrogowi. Zapytałem, z czyjego upoważnienia, a on podniósł rękę, żeby mnie uderzyć, ale tylko powiedział, że mam go uważać za królewskiego urzędnika. Kiedy go przeprawiliśmy, dał mi monetę i natychmiast ją zabrał, mówiąc, że to grzywna. Przez ostatnie pięć lat Ramsey musiał przeprawiać się tędy ze dwadzieścia razy. Za każdym razem widział starego Jacoba i nigdy nic nie mówił.

Duncan zacisnął zęby, usiłując ukryć rozczarowanie. Dotknął schowanego pod koszulą medalionu.

- Zatem z pewnością tamtego dnia coś było inaczej - podsunął, nagle czując, że nie ma niczego ważniejszego niż odnalezienie tego całego Jacoba i pokazanie mu amuletu Adama.

- Myślałem o tym, wiele nocy. Przeprawiało się wtedy małżeństwo farmerów z dziećmi. Z Ramseyem był ten traper Hawkins.

- Jacob musiał czymś ich urazić.

- Skądże. Wiedział, że od Ramseya lepiej trzymać się z daleka. Tylko pokazywał dzieciom, co potrafi robić z rybami, tak jak wszystkim dzieciakom, które się przeprawiają, mówił im, że powinny nauczyć się dostrzegać ukryte piękno świata. Nigdy nie był gadatliwy, ale czasem mówił o otaczającym nas świecie jak pastor. - Przewoźnik podrapał się po brodzie. - Tamtego dnia prawie wpadł do wody. Za bardzo się wychylił, chcąc pokazać dzieciom wielkiego szczupaka. Złapałem go, ale i tak zanurzył się w wodzie po pas. Kiedy go wyciągnąłem, prychnął i śmiał się. Dzieci też się śmiały, wszyscy poza Ramseyem i Hawkinsem. Jacob zdjął koszulę i wykręcił ją. - Przewoźnik wzruszył ramionami. - Kiedy przybiliśmy do brzegu, Ramsey kazał miejscowej milicji go aresztować.

Obaj zamilkli, gdy wiatr wypełnił żaglek i prom ruszył. Gdy Duncan spoglądał na skalisty brzeg, wszystkie dotychczasowe obawy i złe przecucia

zaczęły powoli ustępować miejsca niespodziewanemu poczuciu wolności. Uświadomił sobie, że rozgląda się za uwolnioną kaczką. Ciepły wietrzyk niósł zapach świeżo skoszonej trawy. Ryby wyskakiwały z wody. Klucz gęsi przeleciał nad szeroką, dziką rzeką.

- Oto prawdziwa krążąca ziemia.

Te słowa same wyszły z jego z ust, dziwne słowa Flory, tkwiące gdzieś na krawędzi jego świadomości. Zmieszany, spojrzął na towarzysza, który wyglądał na dziwnie poruszonego wypowiedzią Duncana.

Przewoźnik popatrzył na Duncana, potem skinął głową, potarł zarośniętą szczękę i zapatrzył się w wodę.

- Z wiatrem chodzi - powiedział poważnie.

- Słucham? - zdziwił się Duncan.

- Z wiatrem chodzi, by odzyskać piękno - dodał tamten i odwrócił się, gdy jeden z młodzików zawołał go do rudla. Kiedy Duncan odprowadzał go zdziwionym spojrzeniem, samotna kaczka przeleciała nad promem, tak nisko, że słyszał świst jej skrzydeł.

Gospoda na drugim brzegu rzeki okazała się czystym i przestronnym domostwem holenderskiej farmy, z astrami kwitnącymi wzdłuż długiego i szerokiego ganku i zawieszonym nad drzwiami szyldem. Pod namalowanym na nim, sprężonym do skoku jeleniem czarne litery na białym tle głosiły: „Gospoda pod Jelenim Łbem”. Obok gospody wznosiło się kilka mniejszych budynków z kamienia i białych desek, a rozłożysty dąb ocieniał dziedziniec. Na jednej z jego gałęzi wisiała świeżo ubita świnia, a mniejsza i żywa ryła pod drzewem w poszukiwaniu żółędzi. Duncan najpierw spojrzął na prom wracający na drugi brzeg, a potem znów na szyld. Evering nigdy tu nie był, lecz w tajemnicy zanotował nazwę gospody. Duncan znajdował się na szlaku, którym miał podążyć zamordowany gubernator Ramseyów, tropił go nieznany zabójca, i tylko trzymając się tej drogi i wywabiając mordercę z ukrycia, mógł uratować Listera.

Karczmarz, krzepki i rumiany Holender żonaty z Niemką, pomógł Duncanowi zaprowadzić konie do koryta wykutego w kamieniu, o krawędziach wytartych od długiego używania. Duncan zaczął sobie uświadamiać, że ten Nowy Świat nie jest tak nowy, jak to sobie wyobrażał. Poszukał w pamięci i przypomniało mu się, że Holendrzy zasiedlili dół rzeki Hudson już ponad sto lat temu.

Karczmarz przyniósł Duncanowi cynowy kubek mocnej brandy z jabłek, a potem wskazał stajnię, gdzie mógł oporządzić i nakarmić konie.

- Co się stało ze starym człowiekiem imieniem Jacob, którego aresztowano tu w zeszłym miesiącu? - zapytał Duncan, gdy szli do stajni. - Siedzi w więzieniu? Chciałbym zamienić z nim kilka słów.

Holender tylko zmarszczył brwi, a potem dotknął rękojeści tkwiącego za pasem noża i zerknął w kierunku lasu.

- Obawiasz się napadu? - zapytał Duncan.

Karczmarz spoglądał w ciemność.

- Nie mów o takich rzeczach - powiedział - to szkodzi interesom. Większość z nas trzyma pochowane łódki z zapasami żywności. W razie alarmu uciekniemy. Nie ma sensu walczyć. - Zdjął uprząż z jednego wielkiego gnadosza, a potem zmierzył Duncana posepnym spojrzeniem. - Musiałem spać tych strażników Kompanii, żeby nie kłapali ozorami dziś po południu. Cała ta ich gadanina o Indianach w nowojorskim porcie śmiertelnie przstraszyła dziewczyny w kuchni.

- Przecież wojna toczy się na północy.

Holender wzruszył ramionami.

- Francuzi poruszają się szybciej niż nasze wojska, ukradkiem jak Indianie. Ich małe oddziały krążą po ziemiach na zachód od rzeki Hudson, aż do Pensylwanii. Co tydzień paru mieszkańców zostaje oskałpowanych, a zabójcy znikają jak duchy. Jeśli Francuzi pokonają naszą armię, każdy dom na północ od miasta zostanie spalony. A jeśli dojdą do rzeki, zajmą cały kontynent. Jedyne, co trzyma Francuzów z dala od mojego domu, to fakt, że nie mają poparcia Irokezów, przez których ziemie musieliby przejść. W tej wojnie najważniejsi są Irokezi. Największym błędem Francuzów było zwerbowanie najpierw Huronów i Abenaków, nie zważając na to, że są odwiecznymi wrogami Irokezów. Gdyby mieli tyle rozsądku, żeby przeciągnąć Irokezów na swoją stronę, wszyscy już bylibyśmy martwi. A i tak większość Irokezów nie bierze udziału w wojnie, poza Mohawkami i nielicznymi Senekami.

Ręka, którą Duncan podnosił kubek do ust, zatrzymała się w połowie drogi.

- Seneka?

- Jedno z sześciu plemion ligi irokeskiej. Z terenów najdalej wysuniętych na zachód. Trzeba z nimi uważać. Zbyt wielu pożenionych z Francuzkami.

Jeszcze jedna rzecz, której Duncan nie zrozumiał z zagadkowych notatek Everinga, ponieważ nie znał Nowego Świata. Evering wcale nie pisał

o rzymskim filozofie, lecz o jednym z indiańskich plemion, tak jak równie nieoczekiwanie opisał dawną bitwę stoczoną w Ameryce, w której nigdy nie stanęła jego stopa.

- Przewoźnik dziwił się, dlaczego aresztowano starego Jacoba - zauważył Duncan.

Holender obejrzał się przez ramię, jakby sprawdzał, czy ktoś nie słucha.

- Stary Jacob to zwyczajny pustelnik. Prawie wszyscy jego krewni pomarli. Po całych dniach do nikogo się nie odzywa. Jednak zawsze się uśmiecha. Rzeźbił drewniane figurki dla dzieci. Ilekroć ocielila się nam krowa, przychodził i odmawiał nad nią modły. Wielki pan zostawił go w rękach tutejszej milicji. Jej kapitan pozbył się starego Jacoba.

- Zabił go? - przeraził się Duncan.

- Posłał go w góry, gdzie do końca swoich dni może sobie polować i łowić ryby. Lord Ramsey nie wiedział, że Jacob Ryba kiedyś uratował córkę kapitana, jak się topiła, ani o tym, że wszyscy tutaj uważają go za wujka swoich dzieci. - Karczmarz z błyskiem uciechy w oczach spojrział na Dunca-na. - To nie tak jak w starym kraju. Wielcy panowie mogą się uważać za bogów w Starym Świecie. Tutaj wiemy, że nimi nie są.

Duncan powiedział sobie w duchu, że te słowa w Starym Świecie zo-stałyby uznane za zdradę.

Holender pomachał mężczyźnie i kilkorgu dzieciom w zaprzężonym w muły wozie, który pojawił się na drodze biegnącej wzdłuż zachodniego brzegu rzeki. Gdy karczmarz podbiegł do wozu, siedzący na koźle mężczyzna powitał go jednym słowem: „Kapitanie”.

Duncan usadowił się na stercie siana pod ścianą stajni i opróżnił kubek, obserwując prom będący teraz plamką po drugiej stronie Hudsonu. Patrząc na wieczorne niebo, wrócił myślami do Jamiego. Były takie miejsca jak Holandia, gdzie gromadzili się szkoccy zbiegowie, pomagając sobie wzajemnie. Jednak Duncan wiedział, że dokądkolwiek Jamie by uciekł, Pike i tak w końcu go odnajdzie. A wtedy Duncan zapewne znów dowie się o śmierci kolejnego członka rodziny, tym razem ostatniego, czytając o tym w gazecie. Niech szlag trafi wojsko i wścibskiego Woolforda. Przynajmniej nie będzie musiał więcej go oglądać.

Duncan ziewnął, zakrył ręką oczy i zapadł w głęboki sen, przerwany koszmarem, w którym wiedźma trzymała jego dziadka nad morskim urwi-skiem.

- Wietrze czarnego węża! - zachichotała ku morzu, jakby przyzywając sztorm.

Zerwał się, gdy padł na niego jakiś cień. Ujrzał szeroką twarz Crispina. Słońce zaszło i jego ostatnie promienie przedzierały się przez pnie gęstego lasu za gospodą. Na ganku siedziała grupka ludzi trzymających w dłoniach kubki, które napełniał karczmarz.

- Szybko się przeprawiliście - zauważył Duncan, wstając i pomagając Crispinowi wyprząc konie z powozu.

- Przyjechali dwaj jeźdźcy. Wszyscy pomagaliśmy przy wiosłach - odparł Crispin lekko strapionym głosem. - Panna Sarah wpadła znowu w trans. Jonathan siedział z nią na wozie, śpiewając jej. Teraz czuje się lepiej, a dzieci są w środku i jedzą kolację.

- Jutro będziemy w Edentown?

- Dopiero za trzy lub cztery dni. Zależy od szlaków. I od poziomu rzek. Zależy od wojny.

Crispin narysował na ziemi mapę, wyjaśniając, że ominą największe z gór Catskill, zmierzając do leżącej za nimi krainy, w której biorą początek dopływy wielkich rzek zwanych Delaware i Susquehanna, od nazw dwóch miejscowych plemion.

Zanim oporzędzili zwierzęta, pierwsze gwiazdy już mrugały na ciemnoniebieskim niebie i ludzie z ganku przeszli do największej izby domu, pełniącej rolę głównej sali i oświetlonej świecami ustawionymi na żelaznym kole zawieszonym na belce sufitu. Karczmarz stał za długim drewnianym kontuarem, napełniając kubki i często zaglądając do sąsiedniej izby, gdzie jego żona wydawała po niemiecku polecenia kilku dziewczętom przygotowującym gorące posiłki.

Duncan i Crispin postali kilka minut w otwartych drzwiach, ciesząc się pięknym wiosennym wieczorem. Potem, gdy większość obecnych w sali ruszyła do stołów, Crispin przeprosił i dołączył do Sarah i dzieci w jadalni. Okropnie spragniony Duncan podszedł do karczmarza. O bar opierali się dwaj ostatni goście, którzy tam pozostali - krępy mężczyzna o kręconych siwych włosach oraz jego znacznie wyższy i młodszy towarzysz. Obaj mieli identyczne długie zielone kubraki i ciemnobrązowe spodnie wepchnięte w wysokie brązowe buty. Ten strój wyglądał jak mundur, chociaż Duncan nigdy takiego nie widział. Każdy z nich miał skórzany pas, a przy nim kordelas i ładownicę.

Chociaż obaj mężczyźni stali odwróceny do niego plecami, słysząc głos

wyższego z nich, Duncan zamarł. W następnej chwili doskoczył do niego, obrócił szarpnięciem i rąbnął w szczękę.

Porucznik Woolford poleciał w tył i runął jak długi przy kominku. Duncan nie czekał, aż oficer wstanie, lecz zamachnął się, żeby uderzyć go jeszcze raz. Jednak zanim zdążył to zrobić, zimne ostrze dotknęło jego szyi, a silne palce złapały go za włosy.

- Wybacz mi złe maniere - rzekł spokojnie Woolford, nie podnosząc się z podłogi. - Nie przedstawiłem ci sierżanta Fitcha. Jego starczy wygląd zmylił wielu ludzi, którzy już nie oddychają. Jest najlepszy.

Gdy Fitch go puścił, Duncan odwrócił się i napotkał spojrzenie żyłastego towarzysza Woolforda. Ogorzałą i zarośniętą twarz rozpromienił złośliwy uśmiech.

Woolford, wstając, pomasaował szczękę, a potem rozejrzał się po sali. Karczmarz usilnie starał się ich nie dostrzegać.

- Gdybyś to zrobił w sali pełnej świadków, McCallum, musiałbym cię aresztować.

- Znowu - odpalił Duncan.

Woolford zmarszczył brwi, a potem wzruszył ramionami, jakby przyznawał mu rację, i znów pomasaował szczękę.

- Może zasłużyłem na ten jeden cios. Ale tylko jeden.

Fitch prychnął z rozbawieniem i wepchnął kordelas do pochwy.

- Ukradłeś mój prywatny list do brata - warknął Duncan. - Kazałeś mnie wlec w łańcuchach ulicami.

- Jeśli przeszukasz swoją kiepską pamięć, McCallum, odkryjesz, że sam jesteś sobie winien. Może pamiętasz, jak ogłosiłeś całemu światu swoje pokrewieństwo z osławionym kapitanem McCallumem z czterdziestego drugiego regimentu. Nie pozostawiłeś mi wyboru - musiałem o tym zameldować. Nic nie wiem o twoim liście. A co do aresztowania, rozkaz wydał major Pike. Gdybym nie przyjechał do ciebie, byłiby tam tylko jego oprawcy. Zdaniem wielu w naszej armii twój brat jest gorszy od Francuzów.

Z Duncana powoli uchodził gniew.

- Nic nie wiedziałem o Jamiem - powiedział głuchym głosem.

- Nie - przyznał Woolford. - Dla mnie było to jasne już na statku, a generał Calder pojął to, kiedy zobaczył, jak zareagowałeś na list gończy. Pike się mylił. - Popatrzył na ranę na policzku Duncana, która znów się otworzyła i zaczęła krwawić. - Ja... hmm... przepraszam za to rzekł, wyglądając na

zdziwionego własnymi słowami. - Stawiam następną kolejkę tej doskonałej brandy - dorzucił nieco weselej. - Suszy mnie po podróży.

Karczmarz ustawił i napełnił trzy ciężkie kubki. Zanim Duncan zdążył podnieść jeden, Fitch już opróżnił swój i zniknął w ciemnościach za drzwiami. Duncan pił powoli, w milczeniu, pozwalając cydrowi rozcieńczyć gniew i zastanawiając się nad słowami Woolforda oraz nad tym, czemu Adam Munroe przechowywał wyrwany z gazety artykuł o procesie Dunca-  
na.

- Brat takiego sławnego zbiega mógł naprowadzić na jego trop - domyślił się w końcu. - Adam wykorzystał tę informację, żeby wkupić się do Kompanii.

Woolford zmarszczył brwi.

- Tylko skąd Adam mógł wiedzieć, że jestem bratem Jamiego?

- Można powiedzieć, że to była prywatna informacja.

Duncan myślał gorączkowo.

- Chcesz powiedzieć, że Adam znał Jamiego?

- Ich ścieżki się przecięły. Nie byłem pewien, jaką rolę odegrałeś w tym wszystkim, dopóki nie zobaczyłem twojej miny.

Duncan spojrział na zwiadowcę.

- Chcesz powiedzieć, że ty też znałeś mojego brata.

Woolford opróżnił kubek, zanim odpowiedział:

- Kilka tygodni służyliśmy razem.

Duncan przez moment rozważał tę odpowiedź.

- Tak więc zawarłeś umowę z Adamem Munroe i o nic mnie nie pytając, na zawsze zmieniłeś moje życie.

- O ile pamiętam, gniłeś w jakiejś zagrzybionej celi - odpalił Woolford.

- Ponadto to była umowa z Arnoldem, nie ze mną.

Teraz Duncan opróżnił swój kubek.

- Kiedy sięgam do swej pamięci, jak sugerowałeś - zauważył po chwili - to nie rozgłaszałem całemu światu, że Jamie to mój brat. Powiedziałem o tym tobie, kiedy Cameron stał dziesięć stóp od nas.

- Nawet największe ptaki czasem śpiewają.

- Ten list. Ostatnio widziałem go w rękach Camerona.

- Z papierów Camerona wynika, że zaczynał jako kupiec. Może dla niego wszystko jest kwestią ceny.

Duncan spojrział na frontowe drzwi, za którymi znikł Fitch.



- Zamierzałeś przewieźć mnie do Ameryki i nic nie powiedzieć generałowi ani Pike'owi? Dlaczego? - zapytał. - Twoim obowiązkiem jest służyć Calderowi.

- Moim obowiązkiem - poprawił go Woolford - jest zaprowadzić pokój na tej ziemi.

Zmierzył Duncana groźnym spojrzeniem, a potem znów podniósł kubek.

Duncan usiłował rozszyfrować te zagadkowe słowa.

- Mój brat nie był tchórzem.

- Śmiem twierdzić, że dla swoich ludzi był bohaterem - rzekł Woolford do Duncana. - Pike nie powiedział ci wszystkiego. Kapitan McCallum nie uciekł. Rozkazał swoim ludziom wycofać się i przegrupować. Do tego czasu ten zakuty łeb, który... - Woolford urwał. - Do tego czasu - kontynuował nieco spokojniej - wspaniały dowódca naszych wojsk, generał Abercromby, już posłał kilka kompanii wprost na francuskie działa. Przypuścił frontalny atak na armaty i moździerz, chociaż wszyscy oficerowie mu to odradzali. Mogliśmy wroga okrążyć i wziąć głodem. Mogliśmy w kilka dni ściągnąć naszą artylerię. Jednak Abercromby był żądny chwały i rozpaczliwie potrzebował szybkiego zwycięstwa. Popełnił błędy w każdej fazie bitwy. Po tym, jak padło sześciuset naszych dzielnych chłopców, twój brat powiedział, że jego ludzi nie zabijają już ci dranie przed nim, ale ci z tyłu. Wycofał swoich żołnierzy i powiedział, że nie będzie posyłał kolejnych Szkotów na bezsensowną śmierć. Pike może nazywać to tchórzostwem. Większość zwie to zwyczajnym buntem. Gdyby twój brat na tym poprzestał, generał nie odważyłby się postawić mu zarzutów.

- Szkotów? - ze zdziwieniem powtórzył Duncan, po czym przypomniał sobie oficera w kilcie, którego widział w Nowym Jorku.

- Czterdziesty drugi regiment - rzekł Woolford. - Czarna Straż. To szkocki oddział, złożony głównie z górali. Król pozwala im nosić kilty. W nagrodę za odwagę mają nawet paru kobziarzy, chociaż w kraju prawo tego zabrania.

Duncan zapatrzył się w ogień, walcząc z poczuciem winy wywołanym tym, że źle ocenił brata. Aż do tego ranka w głównej kwaterze, chociaż nie zapomniał o tym, że wojsko zezwoliło na sformowanie kilku szkockich oddziałów, zawsze zakładał, że są to mieszkańcy nizin, którzy przyjęli angielski sposób życia. Duncan nigdy nie przypuszczał, że jego brat znalazł sposób, by powrócić do szkockich zwyczajów.

- Pike powiedział, że Jamie zdezerterował - rzekł, mierząc zwiadowcę podejrzliwym spojrzeniem.

- O mało nie powiedział, że to twój brat spowodował klęskę pod Ticonderogą, co byłoby bardzo naciąganym stwierdzeniem. Twój brat zerwał z płaszczą dystynkcje i odrzucił pałasz, wiedząc, że zostanie złamany, po czym powiedział, że pomoże pozierać rannych. Dając rozkaz do odwrotu, ocalił co najmniej stu żołnierzy, a potem razem z kilkoma najwierniejszymi mu ludźmi uratował kilkunastu innych, którzy leżeli ranni na polu bitwy. Kiedy jednak zniósł ostatniego rannego, widziano, jak wskazywał na pobliskie wzgórza, po czym ze swoimi żołnierzami wbiegł między drzewa. Kolejna salwa z francuskich armat udaremniła pościg.

- Zatem mógł zginąć.

- Widziano go tydzień później w lesie, razem z garstką górali, których uważano za zaginionych. Patrol, który za nimi posłano, wpadł w zasadzkę. Wszyscy żołnierze zostali ogłuszeni i przywiązani do drzew. Nawet nie widzieli napastników. Jednak żaden nie doznał poważnych obrażeń. A na plecaku każdego z nich leżała mała kość. Niektórzy mówili, że patrol został zaatakowany przez leśne widma.

- Dokąd Jamie mógł się udać?

- Ludzie mówią, że jest w Kanadzie. Może w Nowej Szkocji - rzekł Woolford, mówiąc o kolonii, która przyjęła taką nazwę. - Lub we Francji. Pike rozesłał listy gończe do wszystkich dowódców garnizonów, szczególnie w Europie, i do każdego komandora marynarki. Upiera się, że twój brat nas zdradził i pomaga Francuzom zaplanować następną kampanię.

- Dlaczego Pike tak się na niego zawziął?

- Pike był starszym doradcą generała Abercromby'ego. Zwycięstwo gwarantowałyby mu awans na pułkownika. Zamiast tego przydzielono mu obowiązki na tyłach bez widoków na przyszłość.

- Możesz mi powiedzieć, jakie to obowiązki, poza przykuwaniem ludzi do krzeseł i bicia po twarzy?

- Gromadzenie informacji do planowania - odparł z sardonycznym uśmiechem Woolford. - Nazywają siebie wywiadem wojskowym, żeby powstrzymać innych od nazywania rzeczy po imieniu. Wydaje mu się, że zmieni historię tamtej bitwy, jeśli dowiedzie, że twój brat współpracował z Francuzami.

Usłyszeli szmer i w drzwiach pojawił się sierżant Fitch. Skinął głową

Woolfordowi i pospieszył do baru, gdzie karczmarz już napełniał mu kubek. Gdzie też on był, zadawał sobie pytanie Duncan, pamiętając o przestrożach, jakie usłyszał tego dnia. Dziecy mogli być wszędzie.

- Muszę znaleźć Jacoba Rybę - powiedział Woolford do karczmarza. - Jeszcze dziś.

Duncan powoli odwrócił się do oficera, nie wierząc własnym uszom.

- Został aresztowany, poruczniku - odparł karczmarz.

- Kapitanie, jeśli łaska - wtrącił sierżant Fitch. - Dostał awans.

- Od rana zdążył awansować? - spytał Duncan, nagle znów nabierając podejrzeń.

- Właściwie od trzech miesięcy - odparł Woolford. - Dowiedziałem się jednak dopiero po zejściu na ląd.

Duncan przyglądał się Woolfordowi, gdy oficer wypytywał karczmarza o zaginionego Jacoba. Teraz zdał sobie sprawę, jak niewiele o nim wie. Nie ufał Woolfordowi, ale nie nienawidził go już tak jak kiedyś. Woolford nie był zwyczajnym żłowiącym brandy wymuskany paniczykiem, który kupił sobie patent oficerski i zabijał czas, romansując w garnizonowych miasteczkach. Był żłowiącym brandy paniczykiem, który dobrowolnie zapuszczał się w zielone piekło puszczy i stawiał czoło dzikusom, raz po raz ryzykując okropną śmierć - a jednocześnie, co dziwne, wydawał się bardziej pochłonięty zaprowadzaniem spokoju niż słuchaniem rozkazów przełożonych. Tylko dlaczego w trakcie wojny, która była dla niego tak ważna, popłynął do Anglii? I dlaczego, znalazłszy się tam, postanowił towarzyszyć, a nawet asystować, wielbnemu Arnoldowi i Kompanii Ramseya?

Woolford nachylił się do karczmarza.

- Muszę porozmawiać ze starym Jacobem.

- Odszedł, panie - padła odpowiedź. Duncan usłyszał słowa Holendra: - Zaplanował, że odejdzie, mówił, że do starych przyjaciół. I nie wróci. Śmiał przypuszczać, że jest w górach, wznosząc tam chatę na zimę. Jest nieszkodliwy.

- Niech cię diabli, stary. Wiem, że jest nieszkodliwy. - Woolford zacisnął wargi. Przez długą chwilę spoglądał w mrok za oknem, zanim znów odwrócił się do Holendra. - Zatem muszę wiedzieć, co powiedział, zanim odszedł. Co się wydarzyło tamtego dnia?

- Lord Ramsey - padła ostrożna odpowiedź.

Zaciśnięte na kubku palce Woolforda pobielwały.

- W którą część gór udał się Jacob?

- Nie jestem pewien. Chyba na północny zachód. Nie znajdziecie go, chyba że sam tego zechce.

Woolford na moment zamknął oczy, a potem znacząco spojrzął na Fitcha, który pospiesznie sięgnął po swój kubek, jakby nagle zapragnął napić się mocnego trunku.

Pili w milczeniu, zakąszając plasterkami gorącej kielbasy, przyniesionej przez karczmarza. Duncan usłyszał cichą, lecz przybierającą na sile melodię dobiegającą z jadalni i rozpoznał dźwięki skrzypiec. Gdy goście zaczęli przestawiać krzesła, obracając je w kierunku grającego, Duncan zobaczył Sarah, stojącą pod ścianą ze swoim rodzeństwem. Obok nich przy oknie siedział Crispin, na zmianę obserwując noc i dzieci Ramseya.

- Jaki cytat z Szekspira pan ma, kapitanie, dla gubernera starej rodziny przybyłego do Nowego Świata? - zapytał po chwili Duncan.

A kiedy Woolford nie odpowiedział, Duncan zauważył, jak intensywnie oficer przygląda się Sarah.

- Spędził pan znaczną część rejsu w towarzystwie panny Ramsey - zauważył Duncan.

- Niezupełnie. Przez większość czasu spała głębokim snem. Czasem siedziałem przy niej i czytałem jej na głos, chociaż rzadko było po niej widać, że słucha.

- Sądzę, że jej ojciec wolałby, żeby towarzyszył jej lekarz. Zamiast niego był pan i wielebny.

Woolford spojrzął na niego groźnie, lecz Duncan nie odwrócił oczu.

- Zanim wypłynęliśmy, otrzymaliśmy dokładne instrukcje od znanego londyńskiego lekarza.

- I to on przepisał laudanum?

Woolford zapatrzył się w kubek.

- Nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Uznano, że w jej stanie umysłu podróż jest niewskazana. Nie mieliśmy wyjścia. Lekarz powiedział, że w przeciwnym razie musielibyśmy przywiązać ją do łóżka. Dodawajcie kroplę do herbaty, powiedział, do każdej filiżanki, tak by niebawem nie czuła gorzkiego smaku.

Teraz to Duncan wbił wzrok w kubek, ukrywając błysk w oku. Evering przed śmiercią przygotowywał herbatę dla Sarah i rozbił dozownik.

Duncan zrozumiał, że zanim profesor umarł, ocucił dziewczynę. Widocznie w nocy siedzieli i rozmawiali, tak jak wcześniej Adam z Everingiem. Mylił się, sądząc, że wszystkie nieszczęścia na statku zaczęły się po splądrowaniu kufra Woolforda. Doszło do innego wydarzenia, może równie ważnego. Sarah Ramsey się zbudziła.

Duncan zmierzył oficera poważnym spojrzeniem.

- Okłamałeś Adama Munroe co do celu podróży Kompanii. Nie jest nim plantacja Ramseya na południu. Dokąd jada?

- To było jedyne konieczne kłamstwo. Można by sądzić, że to drobnotka - z westchnieniem rzekł Woolford.

- Wiedziałeś jednak, że tak nie jest. Nie dla Adama. Nie dla ciebie. Ze względu na niego jesteś mi winien odpowiedź. Sądziłem, że kluczem do tajemnicy śmierci Everinga są powiązania Adama z profesorem, może jednak nie były one tak ważne. Skąd Adam Munroe znał Sarah?

- Żyli w innych światach.

- Jedno w łańcuchach, drugie spętane przez opium?

- Chciałem powiedzieć, że nikt się nie spodziewał, że oni się znają. Farmer z Pensylwanii i nosząca jedwabie dziedziczka.

Prawda w rękach takich ludzi jak Woolford niekoniecznie bywa przydatna.

- Rozumiem, że poznali się w Nowym Świecie. Dlaczego oboje znaleźli się na *Annie Rose*?

Duncan właściwie nie potrzebował wyjaśnienia, nie po tym, czego dowiedział się o Adamie. Ten znalazł się na pokładzie z powodu Sarah Ramsey i tak rozpaczliwie chciał pożegłować razem z nią na tym więziennym statku, że groził napaścią na żołnierzy i w końcu wkupił się na pokład wiadomością o Duncanie.

Blizny na szyi Woolforda znów zbieleły, gdy zacisnął szczęki.

- Nikt się nie spodziewał, że Sarah wyjdzie ze swojej kajuty - powiedział powoli.

- Nikt się nie spodziewał, że Evering będzie ich pośrednikiem - odparł Duncan.

- Nikt się nie spodziewał, że *Anna Rose* stanie się statkiem śmierci - rzucił Woolford. Sarah nagle wstała i pociągnęła Jonathana na parkiet, kołysząc jego ręką w takt muzyki skrzypiec. - Przeżyła tylko dzięki tobie - dodał po chwili. - Czekala ją pewna śmierć. W Anglii ludzie powiedzieliby, że na zawsze została twoją dłużniczką.

- A tutaj?

Zwiadowca wzruszył ramionami.

- Znam Indian, którzy by uznali, że w wyniku tego zawsze będziesz za nią odpowiedzialny. Ponieważ pokrzyżowałaś duchom plany, jakie miały wobec niej, teraz żaden duch nad nią nie czuwa.

- Byli kochankami?

- Oczywiście, że nie. Ona jest... - Woolford przez chwilę szukał słów, po czym zrezygnował. - Adam był żonaty.

- Niemożliwe. Powiedziałyby mi.

Duncan gorączkowo rozważał tę wiadomość. Podążanie za Adamem, nawet po jego śmierci, było jak ściganie statku przy zmiennym wietrze. - Wiem z doświadczenia, McCallum, że sekrety serca zawsze najtrudniej ująć w słowa. Poznałem jego oblubienicę. To dzika, lecz łagodna piękność. Nie znalazłbyś dwojga bardziej w sobie zakochanych.

- Co się z nią stało?

- Zostali rozdzieleni - uciął Woolford.

- Jeśli to nie namiętność pognała Sarah do Adama w Argyll, to co? Jej rodzina jest tutaj.

Zwiadowca w odpowiedzi tylko uśmiechnął się ironicznie, jakby Duncan sam odpowiedział sobie na pytanie.

- Wiedziałeś, że Evering pisał o niej w swoim dzienniku?

Woolford zmarszczył brwi.

- Jakim dzienniku? Gdzie on jest? - zapytał.

- W domu Ramseya w Nowym Jorku - rzekł Duncan. - Dlaczego pisał o Kamienistym Szlaku? Co się tam stało? Skąd o tym wiedział?

Woolford lekko się wzdrygnął. Odwrócił się i spojrzał na ciemne okno.

- To miejsce w puszczy, prawie sto mil na północ od Edentown. Od była się tam narada irokeskich plemion pod przywództwem wielkiego kapłana, ich szamana. Kiedy spotkał się z innymi wodzami, coś się stało. Było wielu zabitych. W głównej kwaterze uznali to za bitwę. Ja jednak sądzę, że tam nie było nieprzyjaciela. - Woolford zamilkł. Kiedy znów się odezwał, mówił szeptem: - Sierżant Fitch i ja przybyliśmy tam kilka godzin później. To nie była bitwa. Tylko szereg morderstw, najpierw masakra przyjaźnie nastawionych Indian, a potem moich zwiadowców, którzy ścigali zabójców.

Woolford odwrócił głowę i spoglądał na trzaskający ogień.

- Dobry Boże! - westchnął Duncan, nagle odkrywszy prawdę. - Próbujesz znaleźć morderców.

Zwiadowca nadal spoglądał w płomienie.

- To byli dobrzy ludzie. Każdy z nich był mi jak brat. - Nie skrywał cierpienia w oczach, gdy popatrzył na Duncana. - Evering nie mógł wiedzieć o Kamienistym Szlaku - rzekł. - Nie jest to coś, co wojsko chciałoby rozgłaszać.

- Wiedział o tym - powiedział Duncan - ponieważ rozmawiał z Adamem.

Zwiadowca na moment schował twarz w dłoniach.

- Poczucie winy często rozwiązuje ludziom języki. Smutne sprawy, Munroe i Everinga. Jeśli można umrzeć w wyniku zmieszania, to obaj zginęli z tego samego powodu.

Woolford nalał sobie następny kubek brandy i opróżnił go jednym haustem.

- A gdzie w tej opisywanej przez ciebie tragedii jest miejsce dla Króla Hendricka? - spytał Duncan. - Evering łączył go z Kamienistym Szlakiem.

- To stary wódz Mohawków. Jego plemienne imię to Teyonhehkwen. Odwiedził Anglię prawie pięćdziesiąt lat temu i wtedy nazwali go królem, żeby ułatwić mu pobyt na królewskim dworze. Jeden z naszych najlepszych sprzymierzeńców. W pięćdziesiątym piątym poległ w walce z Francuzami nad Lake George. Miał ponad osiemdziesiąt lat. Wstał i w gradzie kul zawołał: „Kto chciałby żyć wiecznie!” - po czym z maczugą w ręku natarł na szeregi francuskiej piechoty.

- Mówisz o nim jak o przyjacielu.

- Jestem dumny, mogąc go tak nazwać. Gdyby był żołnierzem, służyłby w Czarnej Straży. Gdyby był królem, stanowałby filar rycerstwa.

- Evering pisał o nim, chociaż wódz nie żyje od czterech lat.

- Miał oddział wiernych wojowników, głównie krewniaków, którzy nadal walczą w jego imieniu. To dobrzy i dzielni ludzie, którzy odprawiają pewne rytuały czystości, niczym dawni rycerze. Połowa z nich zginęła na Kamienistym Szlaku, chociaż byli nieuzbrojeni. Tamtego dnia Hendrick przewracał się w grobie.

Kawałki tej łamigłówki nie pasowały do siebie, ale przynajmniej wszystko stawało się bardziej zrozumiałe. Duncan zamilkł, ponownie układając to w pamięci. Uświadomił sobie, że spogląda w ciemność za oknem. Nie

zapomniał słów Adama ostrzegającego go przed armią. Niechęć do Woolforda, zrodzona podczas tygodni spędzonych na morzu, pozostawała niczym gorzki smak w gardle. Nalał sobie kolejnego drinka.

- Aresztowali Listera za morderstwo - powiedział. - Pobili go prawie na śmierć.

Zwiadowca ponuro skinął głową.

- Arnold postarał się, żebym się o tym dowiedział. Śmiem twierdzić, że na razie twój przyjaciel jest bezpieczniejszy niż którykolwiek z członków Kompanii. Strażnicy wiedzą, że muszą go pilnować - ponuro oznajmił Woolford. - Ma być pierwszym przykładem wymierzonej przez Ramseya sprawiedliwości.

Na te słowa Duncanowi ścisnęło się serce. Gdzieś tam, na szlaku, Lister leżał pobity i związany, zapewne przekonany, że Duncan go opuścił.

W końcu młodzieniec uświadomił sobie, że obaj z Woolfordem obserwują Sarah. Zaczęła tańczyć walca z młodszym bratem, którego twarz jaśniała jak świeca.

- Czy masz jakieś zamiary względem panny Ramsey? - zapytał Duncan.

To pytanie sprawiło, że jego towarzysz znów się skrzywił i oderwał wzrok od Sarah.

- Znałem w życiu niewiele kobiet, które potrafiły odebrać mi sen. Przyznaję, że ona jest jedną z nich. Jest inna. To nie uroda Sarah Ramsey pozbawia mnie snu, lecz jej zagadka.

Przez kilka minut patrzyli w milczeniu. Woolford na moment wszedł za bar, znalazł rysik i kawałek papieru, pospiesznie coś napisał, po czym oparł się o kontuar i ponownie spojrzął na salę. Kilku tańczących zaczęło gapić się na Sarah i pokazywać ją sobie. Zaczęli się odsuwać, pozostawiając wokół niej szeroki krąg, jakby roznosiła jakąś zarazę. Ona tańczyła dalej, uśmiechając się z przymusem. Nie mogła nie zauważyć, że inni jej unikają.

Woolford zaklął pod nosem, rzucił kartkę i rysik na bar, po czym wszedł do jadalni, porwał w ramiona małą Virginie i zabrał ją na parkiet obok Sarah. Duncan siedział, słuchając trzasku polan w ogromnym kamiennym kominku i obserwując sierżanta Fitcha, który pojawił się za oknem i usiadł na ganku, wpatrując się w ciemność. Potem spojrzenie Duncana padło na skrawek papieru pozostawiony przez Woolforda. Zwiadowca jednak usłyszał jego prośbę o cytaty z Szekspira. Dla Nowego Świata wybrał cytaty z



Hamleta. „Rybak może wsadzić na wędę robaka. ..” - napisał Woolford - „...i spożyć rybę”(…).

Dźwięki skrzypiec przedarły się przez głosy gości w sali i kilku z nich zaczęło klaskać w rytm nowej, żywszej melodii, podczas gdy inni, zachęceni przez Woolforda, odsuwali stoły i dołączali do tańczących. Duncan podszedł do otwartych drzwi i zapatrzył się na Hudson oświetlony przez księżyc w nowiu. Ta rzeka była swoistą granicą pomiędzy cywilizacją a czymś, co stanowiło jej przeciwieństwo. Dziwne, ale przypomniała mu się scena w rogu portretu lorda Ramseya, chata z bali i umierający mężczyzna w objęciach kobiety. W jego myślach ta scena była głównym motywem obrazu, tak jakby arystokrata tylko tworzył sztafaż.

Duncan zaczął się uspokajać, gdy trzaskający za jego plecami ogień i lśniąca na zewnątrz, oświetlona blaskiem księżycy wody sprawiły, że przeniósł się myślami do czasów młodości. Zmęczony, pogrążony w zadumie, niemal słyszał stare pieśni, które jego wujowie grali na skrzypcach i kobzach.

Nie. Naprawdę słyszał te dźwięki. Odwrócił się do sali jadalnej. Oklaski ucichły i skrzypek zagrał smutną, poruszającą melodię, a potem zaśpiewał bez akompaniamentu. Duncan z niedowierzaniem podszedł do drzwi jadalni. Ta piosenka miała tytuł *Mo Ghile Mear*. Nasz bohater. Jej słowa pasowały do dzielnych pokonanych bohaterów każdego narodu. Jednak na szkockich wyżynach wszyscy wiedzieli, że nie jest to pieśń o jakimś tam bohaterze, lecz o Małym Księżciu Karolu, przywódcy ojca Duncana i innych szkockich buntowników, którzy tak dzielnie stawali pod Culloden. Gdy Duncan wszedł do sali, rudowłosy skrzypek zaczął następną zwrotkę w gaelickim języku. Duncan po chwili dołączył do niego i obaj spojrzeli na siebie z błyskiem w oczach. Duncan czuł, jak mocno bije mu serce. W Szkocji za taki popis zostaliby aresztowani.

Inni obecni na sali gapili się, niektórzy uśmiechnięci, inni z mgłą wzruszenia zasnuwającą oczy, aż nagle Duncan usłyszał ciężkie kroki za plecami i odwróciwszy się, ujrzał stojącego tuż obok Woolforda przeszywającego go pałającym wzrokiem. Muzykant natychmiast przyłożył skrzypce do ramienia i zaczął grać skoczego reela, chodząc między stołami i wzywając kolejnych tancerzy na parkiet.

- Nie masz pojęcia, z jakim niebezpieczeństwem igrasz, McCallum -

ostrzegł go Woolford. - Nie wiem, dokąd zmierzasz, ale nie dotrzesz tam, idąc tyłem.

- To tylko piosenka.

- Nie uważaj mnie za głupca. I nie szafuj tak lekkomyślnie swoim życiem. A może szukasz odpowiedzi na pytanie, któremu z wielkich panów chcesz służyć, Ramseyowi czy Calderowi?

- Nie rozumiem.

Woolford zmrużył oczy.

- Czyżbyś choć przez sekundę myślał, że Calder by cię puścił, gdyby to nie służyło jego interesom?

- Nic nie jestem winien wojsku.

Oficer posłał mu zniecierpliwione spojrzenie i wepchnął do ciemnego, pustego baru.

- Rzymianie opisywali, jak legiony chwyciły w pułapkę wilki żerujące na ich obozach - oznajmił, kiedy usiedli w cieniu. - Przywiązywali koźle na skraj lasu i czekali w zasadzce.

Duncan w zadumie zmarszczył brwi.

- Calder nie może przyjąć, że Pike się myli, uważając, że Jamie i jego Szkoci pomagają Francuzom w nowej kampanii. Musi aresztować Jamiego albo ryzykować następną przegraną kampanię. A ty, McCallum, jesteś jego koźlą.

Te słowa przytłoczyły Duncana bardziej niż łańcuchy, które założyli mu żołnierze. Wydawały się doskonałą konkluzją pierwszego dnia w Ameryce. Ten Nowy Świat jednak był bagnem. Oprawcy i arystokraci ze Starego Świata dotarli tutaj przez Atlantyckie.

- Oczywiście - dodał szorstko Woolford, ruchem głowy wskazując szkockiego barda. - Jeśli wilki poznają się na podstępnie Rzymian, po prostu zabiją koźle, zanim zostanie wykorzystane przeciwko nim.

Duncan odwrócił się, zamierzając wyjść na zewnątrz, odczuwając jeszcze większą potrzebę odnalezienia starego przewoźnika Jacoba, którego wiadomość dla gubernera Ramseyów nadała trochę sensu chaosowi tego dnia. Nagle jednak zastąpił mu drogę sierżant Fitch, który pochylił się do Woolforda. Mówiąc do kapitana, sierżant trzymał dłoń na rękojeści kordelasa i wpatrywał się w noc za otwartymi drzwiami.

- Indianin, panie kapitanie - oznajmił Fitch cicho i stanowczo. - Leży martwy w letniej kuchni.

## Rozdział 6

Woolford wybiegł przez frontowe drzwi. Duncan pobiegł do sąsiedniej izby, gorączkowo szukając dzieci w tłumie tańczących. Znalazł Crispina siedzącego na krześle w kącie i trzymającego na kolanach dzieci, które spały, oparłszy główki o jego szeroką pierś. Sarah nigdzie nie było widać. Crispin opierał głowę o ścianę i rozbudził się dopiero, gdy Duncan przekazał mu wiadomość.

Służący zerwał się, tuląc dzieci do piersi.

- Ona poszła! - jęknął. - Kilka minut temu poszła do kuchni.

Duncan wziął od niego Jonathana i w ślad za Crispinem przedarł się przez tłum do przyległej do sali kuchni. Ta była pusta, nie licząc krzepkiej dziewczuchy zmywającej naczynia w balii. Duncan pojął, że Fitch i Woolford woleli nie wszczynać alarmu, chociaż karczmarz i jego żona też zniknęli.

Bezskutecznie przeszukali inne pomieszczenia na parterze gospody, po czym zanieśli dzieci do sypialni na górze, gdzie czekały ich kufry podróżne. Położyli dzieci na łóżku i przykryli kocem.

- Jeden z nas musi zostać - zauważył Duncan, spoglądając przez okno na oświetlony księżycem teren.

Ktoś szedł z pochodnią wzdłuż skrajów lasu.

Crispin nie odpowiedział, tylko zdjął z kołka składane krzeselko i ustawił je obok okna, skąd mógł widzieć zarówno stajnię, jak i drzwi gospody.

Chwilę później Duncan stał już przy frontowych drzwiach, usiłując opamiętać przesądny lęk, który go ogarnął. Dzieci istotnie byli w pobliżu i Fitch znalazł jednego zabitego. Z sągu drewna przy drzwiach Duncan wziął grube polano i trzymając je jak broń, wszedł w cień, aby w świetle księżyca przyrzeć się budynkom. Wybrał przysadzistą budowlę z szerokim kominem,

trzydzieści stóp od tylnych drzwi gospody i połączonej z nią chodnikiem z wytartych kamiennych płyt. Budynek wyglądał na opuszczony, lecz podszedłszy bliżej, Duncan zobaczył, że w ścianach nie ma okien. Otworzył żelazny rygiel i gdy wszedł do oświetlonego blaskiem świecy wnętrza, zastał tam stojącego pod ścianą Woolforda trzymającego dłoń na rękojeści korde-lasa.

Kapitan skrzywił się, lecz nie próbował powstrzymać Duncana, gdy ten podszedł do stołu zbitego z desek, stojącego przed wielkim zimnym komin-kiem. Karczmarz stał po drugiej stronie stołu, obejmując ramieniem płaczącą żonę. Na stolku siedziała młodsza kobieta, opatulona kocem, którego brzeg skrywał w cieniu jej twarz.

Duncan spodziewał się, że poczuje pewną satysfakcję na widok leżącego bez życia dzikusa, i oczami duszy widział już jedno z takich przerażających stworzeń, jakie napotkał w głównej kwaterze. Tymczasem nie odczuwał żadnej satysfakcji ani ulgi, tylko głębokie zdziwienie.

Zmarszczki na twarzy tego człowieka i plamy na jego dłoniach świadczy-ły, że zmarły był w podeszłym wieku, choć w czarnych i długich do ramion włosach było zaledwie kilka srebrnych nitki. Miał na sobie prosty samo-działowy strój robotnika, znoszone i mocno połatane spodnie, podarte i ubłocone na kolanach. Na szyi miał zawieszony skórzany woreczek, a u pasa podobny, nieco większy. Duncan zauważył, że twarz zmarłego jeszcze niezupełnie straciła kolor. Zatem nie żył najwyżej od godziny.

Gdy Woolford wymienił dogasającą świecę na gzymisie kominka, Dun-can zauważył plamę na lewym policzku Indianina. Przy bliższych oględzi-nach okazało się, że to nie siniak, lecz tatuaż. Na skórze kunsztownie wy-kluto wizerunek cętkowanej ryby. Ten tatuaż nadawał dziwną moc nieru-chomej twarzy zmarłego i Duncan przyglądał mu się, obchodząc stół, aż kątem oka dostrzegł poszarpane ciało na drugiej skroni. Głęboka rana o postrzępionych brzegach zaczynała się na skroni, a kończyła za uchem. Zwiślał z niej płat skóry.

Medyczna edukacja Duncana wzięła górę.

- Ta rana go nie zabiła, a przynajmniej nie od razu - orzekł po po-spiesznych oględzinach. - Zadano ją przed czterema lub pięcioma go-dzinami. Uderzono go w głowę i w żebra. Ma rozszerzone źrenice. Doznał wstrząsu mózgu.

Na prawym boku koszula zmarłego przywarła do ciała i długi mokry

zaciek sięgał aż do spodni. Duncan uniósł poję koszuli i obejrzał odbarwione ciało pod żebrami - paskudną ranę kłutą, która jednak sama w sobie nie była śmiertelna.

- Przeżyłby, gdyby się nie ruszał.

- Przyczołgał się tutaj - wyjaśnił karczmarz. - Znaleźliśmy go na podwórzu, leżącego na plecach, o rzut kamieniem od stajni. Zawsze spał w stajni, kiedy prom zostawał tu na noc.

Duncanowi zabrakło słów, gdy zobaczył smutne miny, z jakimi Ho-lender i jego żona patrzyli na nieżyjącego. Znów spojrział na wytatuowaną na policzku rybę.

- To chyba nie jest... to nie może być...

Zamilkł. Nie musiał już zadawać pytania, które tłukło mu się w mózgu jak ostrzegawczy dzwon. To był Jacob Ryba. Jedyne człowiek na świecie, który mógł wyjaśnić tajemnice otaczające Kompanię. Był Indianinem, a teraz nie żył. I nie on jeden, skarcił się w duchu Duncan. Najpierw Adam, potem Evering. Za każdym razem ten, który w danej chwili najlepiej mógł wyjaśnić zagadki Kompanii Ramseya, ginął.

Kobieta opatulona kocem podniosła głowę i zobaczył zalaną łzami twarz Sarah.

- Mówiłeś, że poszedł w góry. - W głosie Woolforda mówiącego do karczmarza słychać było dziwny smutek. - Powiedziałeś, że jest bezpieczny.

Duncan ze zdziwieniem spojrział na zwiadowcę. Woolford był sławnym zabójcą Indian i jego zadaniem było ich niszczenie. Zaraz jednak Duncan przypomniał sobie, że co najmniej jeden z nich był przyjacielem kapitana - Indianin, którego imię brzmiało jak imię jakiegoś europejskiego władcy.

- Bo poszedł. Powiedziałem mu, żeby nigdy nie wracał, bo straci życie - ponuro odparł karczmarz. - Jednak przez kilka ostatnich lat nie miał żadnej rodziny oprócz nas, rodziny przewoźnika i naszej. Był tutaj, zanim przybył tu ktokolwiek z nas. Chyba ostatni ze swego plemienia. Ponad sześćdziesiąt lat temu pomógł mojemu ojcu wybudować ten dom. Zawsze tu był, jak daleko sięgnąć pamięcią. Należał do tej ziemi, do tej rzeki. Był ich częścią. Pierwotna indiańska nazwa tej rzeki została nadana przez jego plemię.

- A potem przybył tutaj mój ojciec - powiedziała spokojnie Sarah, patrząc na twarz zmarłego. - Kiedy byłem mała, ilekroć się przeprawialiśmy,

brał mnie na barana. Łapał dla nas ryby, wabił je i chwycił rękami, żeby pokazać ich piękne kolory. - Ujęła i uściśnęła dłoń zmarłego. - Uważałam go za czarodzieja, lecz mój ojciec powiedział, że to tylko brudny czerwono-skóry, i kazał mi trzymać się od niego z daleka. Jacob w tajemnicy zrobił dla mnie lalkę z kaczanów kukurydzy.

- Dlaczego teraz? - usłyszał swój głos Duncan. - Dlaczego wrócił, chociaż był bezpieczny w górach?

Nic z tego nie rozumiał, a już na pewno nie pojmował szacunku, z jakim Sarah traktowała tego martwego Indianina. To nie był taki dzikus jak ci, których spotkał w głównej kwaterze armii, ani krwiożercze stworzenia, o których mówił Crispin. Ten był tylko starym człowiekiem o smutnej, mądrej twarzy. Ostatnim ze swego plemienia. Duncan znał innych mądrych starców wędrujących po szkockich wyżynach, ostatnich ze swych plemion.

Woolford wziął mieszek, który miał u pasa zmarły, rozwiązał rzemyk i zajrzał do środka.

- Pusty - oznajmił, a potem odwrócił go nad swoją otwartą dłonią. Z mieszka wypadł jeden czerwony paciorek. Na jego widok oficer zmrzął oczy. Po chwili westchnął i przeszukał kieszenie spodni Jacoba. Zdjął woreczek, który stary miał na szyi, zawiązany paskiem białego futra. Woolford nie rozwiązał go, tylko położył na sercu zabitego.

- Posłałem patrol milicji do lasu - powiedział karczmarz.

- Niczego nie znajdują - rzekł Woolford.

- Czym zadano mu tę okropną ranę? - zapytał Duncan. - To nie jest rana od kuli. Wygląda na zadaną mieczem.

- Wojenna rana - mruknął Woolford.

- Tylko co... - Duncan usiłował zrozumieć to wszystko. Kogo szukała milicja? Indianie byli wrogami, ale ten był szanowanym przyjacielem. Potem znów przypomniał sobie, że Indianie walczą po obu stronach i na tyłach działają małe oddziały wroga. - Jacy Indianie używają mieczy?

- Ktoś próbował pozbawić go włosów - mruknął karczmarz.

Duncan bezradnie spoglądał na obecnych.

- Ktoś okazał wyraźne zainteresowanie jego skalpem. Jacob stawiał opór - ze zniecierpliwieniem wyjaśnił Woolford.

Dreszcz przeszedł Duncanowi po plecach.

- Na pewno się mylisz - szepnął.

- *Mein Gott*. - Niemka, żona karczmarza, spojrziała na niego z urazą. - Jak długo jesteś w koloniach, *Junge*? - spytała ostro.

Duncan i Sarah spojrzeli po sobie.

- Dostatecznie długo, by wiedzieć, że tu skalpuje się Europejczyków - odparł.

- Nic nie wiesz - oznajmiła kobieta i zaczęła zmywać zaschniętą krew z twarzy starego Indianina.

- Umarł śmiercią wojownika - rzekł Woolford i podszedł, aby pomóc karczmarzowi nakryć zwłoki kocem.

Duncan położył dłoń na ramieniu Woolforda, powstrzymując go.

- Muszę się dowiedzieć, co się stało.

Zsunął koc i odchylił połę koszuli starego Jacoba.

- Nie! - zaprotestował zwiadowca, chwytając go za rękę. - Trochę szacunku...

- Kiedy Ramsey przeprowadzał się tu poprzednio, ten człowiek został aresztowany. Tym razem umarł - rzekł w zadumie Duncan.

Woolford powoli puścił jego rękę.

- Kiedy poprzednio przeprowadzał się z lordem Ramseyem - ciągnął Duncan, rozpinając guziki samodziałowej koszuli - miały miejsce dwa dziwne wydarzenia. Pierwszym była obecność dodatkowego podróżnego, trapera, a drugim przypadkowa kąpiel.

Duncan pospiesznie wyjaśnił, co powiedział mu przewoźnik. Woolford cofnął się, gdy Sarah w milczeniu pomogła Duncanowi rozpiąć koszulę Indianina, odsłaniając pierś starca. Na piersi Jacoba znajdował się następny tatuaż, jakiego Duncan jeszcze nigdy nie widział - duży, mistrzowsko oddany obraz rozłożystego drzewa otoczonego przez małe zwierzęta. Na samym dole, na honorowym miejscu znajdował się wilk. Obok niego wieiórka. Zajac. Coś podobnego do jeża i inne stworzenia, których Duncan nie rozpoznał.

Nikt się nie odezwał poza Woolfordem, który głośno westchnął i usiadł na stołku.

- Co to oznacza? - zapytał Duncan.

- Wilk to znak szczepu - odparł kapitan. - Mówiłem ci o Królu Hendricku. Wilk był jego znakiem, symbolem jego szczepu, nadanym mu jako młodemu wojownikowi. Hendrick i Jacob mieli tę samą babkę z plemienia Mohawków i kiedy jego rodzice zostali zabici, Jacob większość chłopięcych lat spędził z rodziną Hendricka. Kiedy Hendrick popłynął do Europy, Jacob

postanowił uhonorować wymierający szczep swych rodziców i przyjął ich mohikańskie tradycje.

Duncan wskazał drzewo na piersi martwego.

- A reszta?

- Wśród ludu Hendricka znak drzewa jest bardzo rzadki. Dziś żyje może pięciu ludzi, którzy mają taki symbol na piersiach. To potężny znak. Gdyby był używany przez Kościół, oznaczałby kardynała mającego ogromną duchową władzę. Te zwierzęta zostały dodane później, kolejno, jako odpowiednik orderów.

- Mój ojciec nie miałby o tym pojęcia - powiedziała Sarah głuchym, zdziwionym głosem.

Holender odpowiedział jej, z odrazą wymawiając nazwisko.

- Hawkins.

Na moment zapadła głucha cisza.

Woolford w ponurym milczeniu zapiął guziki koszuli. Kiedy skończył, umieścił jedną dłoń Indianina pod woreczkiem, a drugą na nim. Potem wyjął z kieszeni rzemień i mocno związał ręce Indianina. Kiedy skończył, spojrzął na Duncana.

- Mówisz, że został zaatakowany cztery lub pięć godzin temu? - A kiedy Duncan kiwnął głową, oficer zwrócił się do karczmarza. - Kiedy odjechała stąd Kompania?

- Sześć, może siedem godzin temu.

Otworzyły się drzwi i weszli dwaj synowie karczmarza. Obaj nieśli naręcza cedrowych gałęzi, które ich rodzice zaczęli układać wokół ciała. Sarah, otarłszy łzy z policzków, wyszła na zewnątrz i poszła w kierunku domu. Chwilę później w drzwiach pojawił się Fitch i Woolford dołączył do niego, po czym obaj znikli w ciemnościach. Chłopcy zostali, odsunawszy się od zwłok. Jeden z nich odszedł i za moment wrócił z Biblią w skórzanych okładkach. Ich matka przysunęła do stołu taboret i zapaliwszy dwie świece, zaczęła cicho czytać po niemiecku. Duncan też się wycofał, lecz nie na zewnątrz, ale w ciemny kąt za drzwiami, gdzie oparł się o zimną kamienną ścianę. Był bardzo zmęczony, ale dziwnie poruszony tą sceną. Stary Mohikanin miał jakiś ważny powód, aby wrócić do gospody - tak ważny, że warto było zań zginąć. Gdy tak stał, spoglądając na zabitego, przyszła mu do głowy inna, nieproszona myśl. Jacob z pewnością miał ponad osiemdziesiąt lat - urodził się w latach siedemdziesiątych poprzedniego stulecia. Tak więc był mniej więcej w tym samym wieku co dziadek Duncana. A jego dziadek



też kiedyś przywołał rybę, żeby przejechać się na jej grzbiecie.

Duncan z zamętem w głowie patrzył na ciało. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że gładzi schowaną w kieszeni figurkę kamiennego niedźwiedzia.

Już miał odejść, gdy ktoś wszedł i zbliżył się do martwego Indianina. Duncan przycisnął się do ściany. Woolford wrócił. Duncan zobaczył, jak zwiadowca dał coś kobiecie, a potem wyjął z kieszeni duże pióro, w dwóch miejscach pomalowane w cynobrowe pasy i wsunął je pod rękę starego Jacoba, obok skórzanego woreczka.

Kobieta wzięła to, co dał jej Woolford, przez moment pottrzymała nad płomieniem świecy i wrzuciła do miseczki.

- Widziałem już to pióro - rzekł Duncan, wychodząc z kąta.

Woolford zmarszczył brwi i zerknął na kobietę, która znów zaczęła się modlić po niemiecku.

- Mówiłeś, że wyrzuciłeś wszystko, co było w kabinie nawigacyjnej.

Z miski uniosła się smuga dymu. Zapachniało tytoniem. Woolford dał kobiecie kilka swoich cennych wirginijskich liści.

- Wszystko prócz tego - odparł oficer. - To nie należało do morza.

- Co to oznacza?

- Wojownika, kogoś, kto toczył krwi wrogowi - odparł niemal szeptem zwiadowca, patrząc na zmarłego. Sięgnął do mieszka przy pasie, wyjął igłę z nitką, po czym pochylił się nad starcem, przebił igłą płat zwisającej skóry i zaczął zszywać ranę po skalpowaniu. - Ludzie nie rozumieją wojny. I dobrze. Sądzą, że zostanie wygrana w pałacach Europy. Mylą się. Będzie wygrana lub przegrana przy indiańskich ogniskach w Nowym Jorku i Pensylwanii. Ponieważ tak wiele naszych oddziałów musi walczyć w Europie, nasz los spoczywa w rękach garstki wodzów. Gdyby wiedziano, jak chwiejny jest tu stan równowagi, w portach zaroiliby się od ludzi uciekających do Europy. Jeśli wodzowie rozgniewają się na nas, wojna będzie przegrana. Stracimy ten kontynent.

Duncan podszedł do oficera i wyciągnął rękę. Woolford zawahał się, po czym oddał mu igłę.

- Zapomniałem, że jesteś lekarzem zmarłych.

- Sarah oplakiwała go jak starego przyjaciela - zauważył Duncan. Gdy zsztywniał skórę, zobaczył następny tatuaż, trzy czwarte kręgu, którego środkiem

było ucho, z wychodzącymi z niego cienkimi czerwonymi liniami.

Woolford przez długą chwilę zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Słyszałeś, co powiedziała. Przed laty był dla niej dobry.

Godzinę wcześniej Woolford nazwał ją zagadką. I nie tylko Sarah była zagadkowa, lecz także każda dotycząca jej rozmowa.

- Jest jak dziecko - rzekł Duncan. - Dlaczego tak wielu się jej boi? Co im zrobiła?

Minęła chwila, zanim Duncan uświadomił sobie, że modły ustały.

- To, czego nie możemy pojąć, próbujemy przyjąć na wiarę - szepnęła Niemka. - Kiedy jednak nie staje nam wiary, zaczynamy się bać.

Duncan zerknął na Woolforda, który skinął głową, zaciskając zęby. Tylko takiej odpowiedzi mógł oczekiwać. Skończył zszywać skórę, łącząc rozrywany tatuaż za uchem.

- Słońce - orzekł.

- Znak łowców świtu - wyjaśnił Woolford. - Stary rytuał, niemal zapomniany. Trzeba biec od jednego świtu do następnego, zatrzymując się tylko w pewnych świętych miejscach.

- Zatem to znak pielgrzyma - podsunął Duncan, chociaż nadal nie potrafił połączyć opisanych przez Woolforda praktyk z dzikusami, których widział w głównej kwaterze, ani z przerażającymi opowieściami o tych poganach, jakie wszędzie słyszał.

Woolford usiadł na jednym z krzeseł, odwracając się plecami do Dunca-  
na, a kobieta znów zaczęła się modlić. Duncan przez kilka minut obserwo-  
wał to w milczeniu, po czym wziął jedną ze świec i wyszedł na zewnątrz.  
Powoli obszedł stajnię, zaglądając w ciemne kąty między słupkami i belka-  
mi. Znalazł przybudówkę wzniesioną pod jedną ze ścian i pełną porąbane-  
go drewna, a potem drugą, podobną, z drzwiami na skórzanych zawiasach.  
Tę przestrzeń dwukrotnie większą od jego celi na statku zajmowały płyty  
kory i skóry zwierząt oraz legowisko z worków i mechu. Uklęknął, podnosząc  
świecę, i po chwili znalazł krople krwi na polepie. Jacob jednak wrócił do  
swojego domu.

Skąpo umeblowana izba niewiele mówiła o jej lokatorze, jednak w korze  
tkwiło kilka cętkowanych piórek, na długim kołku wisiało parę ptasich  
czaszek, a z krokwi zwisała para znoszonych mokasyń. Gdy Duncan

jeszcze wyżej uniósł świecę, za jego plecami pojawiła się milcząca postać.

Duncan wskazał krople krwi na ziemi.

- Dlaczego wrócił tu i nie został na posłaniu, tylko wyszedł na zewnątrz? - spytał Woolforda.

Zwiadowca przyklęknął i obejrzał czerwone krople, zanim odpowiedział:

- Chciał umrzeć pod gołym niebem.

- Po co te czaszki?

- Żywe czy martwe, leśne ptaki są uważane przez Indian za posłańców.

- Posłańców?

- Do bogów. Szepczą im do uszu i donoszą, co widziały.

Duncan zadawał sobie pytanie, co powiedziałyby te czaszki, które znaleźli przy zakrwawionym kompasie. Uklęknął przy posłaniu i odwrócił leżący obok płat kory. Pod nim, wryte w podłoże, widniały dwie zakrzywione linie, złączone na końcach, lecz pomiędzy nimi biegnące równolegle. Widział już ten znak wyżłobiony w maszcie przez Adama. Duncan odchylił płat kory na ścianie przy wezgielciu posłania i zobaczył prawie czterdzieści takich zagiętych linii narysowanych węglem. Tak jakby Jacob rysował te symbole, zanim położył się spać.

- Posłańcy mogą zaniść wieści na tamten świat, ale wąż jest święty, jako zsyłający sny i prowadzący do innego świata - wyjaśnił szeptem Woolford. Posłał Duncanowi zamyślane spojrzenie. - Chcę powiedzieć, że oni w to wierzą. Wąż mieszka na granicy tego i tamtego świata. Tamten świat, w którym zamieszkują duchy, odwiedzasz we snach. Sny to dla Indian poważna sprawa. Potrafią zmienić całe swoje życie z powodu jednego snu. U wielu plemion wodzowie prowadzący wojowników do bitwy mają ogromną władzę. Jednak największą mają ci, którzy potrafią objaśniać sny.

- Jego buty - powiedział Duncan, wskazując na czerwony ślad prowadzący do wiszących butów.

- Mokasyny - odrzekł Woolford i podszedł do belki, do której wiódł czerwony ślad.

- Dlaczego wrócił tutaj, żeby zmienić buty - zapytał Duncan. Oddał świecę Woolfordowi, a potem zdjął je z kołka i obmacał palcami. - Nie żeby je zmienić - poprawił się. - Aby coś w nich zostawić.

Wyjął z butów dwa kawałki papieru.

- Umiał czytać?

- Dość dobrze, chociaż nigdy nie nauczył się pisać. Na każdego z nas, który zadał sobie trud nauczenia się ich języka, przypada dziesięciu Irokezów mówiących językiem europejskim.

Woolford wyciągnął świecę w kierunku skrawka papieru na dłoni Duncana i sapnął ze zdziwienia, gdy zobaczyli słowa. „Anna Rose” - głosiły pierwsze. „Pierwsze żółędzie, kwiecie astrów” - mówiły następne. Duncan przypomniał sobie żółędzie na dziedzińcu i kwiaty rosnące pod ścianami domu, które zaczęły kwitnąć kilka dni wcześniej. W ten sposób ustalał datę ktoś posługujący się tylko naturalnym kalendarzem, przekazując wiadomość o przybyciu ich statku.

Na drugim skrawku papieru znajdowało się tylko jedno słowo napisane niewprawną ręką. *Tshqa*. To słowo i schematycznie narysowane obok zwierzę - w którym Duncan domyślił się niedźwiedzia - otaczał krąg postaci z toporkami i łukami. Na samym spodzie były dwa rzędy czegoś, co wyglądało na szlaczek - szereg kół, pełnych lub pustych.

Woolfordowi zaparło dech. Nagle przygnębiona mina sprawiła, że wyglądał na mniejszego i starszego.

- O co chodzi? - zapytał Duncan.

Woolford nie odpowiedział, tylko spoglądał na posłanie, jakby próbując zobaczyć człowieka, który tu spał i śnił.

- Nie miał inkaustu - zauważył Duncan.

- Co chcesz powiedzieć?

Duncan pochylił się, podniósł z posłania ptasie pióro i przysunął je do świecy, spoglądając na zabarwioną dutkę, a potem obejrzał papier.

- Napisał to swoją krwią.

Woolford na moment zamknął oczy, a potem powiedział to, czego Duncan nie chciał rzec.

- Dlatego umarł. Ponieważ przyniósł wiadomość.

Duncan patrzył na polepę. Następny człowiek umarł na drodze gubernera Ramseyów.

- Adam mówił o Tashgui - rzekł po długiej chwili.

- Niemożliwe - odparł zwiadowca. - Dlaczego miałby z tobą rozmawiać o takich sprawach?

- Nie ze mną. Z Everingiem, który zapisał tę nazwę w swoim dzienniku. W biurze generała Caldera na wojskowej mapie Kamienistego Szlaku widnieje taka sama nazwa.

Woolford przechadzał się wzdłuż ściany przybudówki.

- Tashgua to stary kapłan - wyjaśnił niechętnie. - Szaman. Jeden z pięćdziesięciu wodzów Irokezów, choć niepodobny do innych. Mówią, że pochodzi z rodu szamanów sięgającego wielu wieków wstecz. I że władza językami, jakich nie rozumie żaden żywy człowiek. Powiadają, że to on łączy ich z tym, co było, zanim przybyli tu Europejczycy, ze starymi duchami, które zawsze chroniły plemiona. Mędrzec. Czarownik. Prorok. Wybieraj sobie. Znienawidzony przez jednych, uwielbiany przez innych. Ochronia go niewielki oddział wojowników, w tym pozostali przy życiu ludzie Hendricka. Nazywają go strażnikiem bogów. Tashgua narzeka, że jego lud odrywa się od swych starodawnych korzeni i kiedy stanie się narzędziem jednej ze stron europejskiej wojny, będzie zgubiony. Jednak większość członków jego plemienia bardziej interesuje się muszkietami i mosiężnymi dzbankami.

Teraz zwiadowca bacznie spojrzał na Duncana, jakby dostrzegł w nim coś nowego.

- Tashgua był tam, prawda? - zapytał Duncan. - Przy Kamienistym Szlaku. To on był powodem tej masakry.

Woolford podszedł do drzwi, przystanął i obejrzał się na Duncana.

- W Anglii udawanie, że wie się więcej niż w rzeczywistości, to narodowa rozrywka. Tutaj można przez to zginąć.

- Ilu musi umrzeć, zanim mi powiesz, dlaczego Kompanii Ramseya grozi niebezpieczeństwo? - odpalił Duncan.

- Kompanii Ramseya? - zjadliwie spytał Woolford. - Spójrz na siebie, Duncanie.

- Nie rozumiem.

- Powiedziałeś, że Jacob został zaatakowany cztery lub pięć godzin temu. Fitch znalazł w pobliżu jego ślady i krople krwi.

- Nadal nie...

- Sprawcą był ktoś z Kompanii, ktoś, komu powiedziałaś o starym Jacobie.

- Nie! - zaprotestował Duncan, a potem z okropnym poczuciem winy zrozumiał słowa Woolforda.

Guwerner Ramseyów miał się spotkać z Mohikaninem, który wszystko by mu wyjaśnił. Duncan mówił o zaklinaczu ryb, będąc w zębie z McGregorem i jego ludźmi, którzy mogli powtórzyć to innym członkom Kompanii. Jacob wrócił ze swego bezpiecznego wygnania, aby spotkać się z guwernerem Ramseyów, i zginął.

- Niech cię szlag, McCallum, dowiem się, co powiedział ci Evering! - warknął gniewnie Woolford.

- Nie rozumiesz, kapitanie? - spytał z udręką w głosie Duncan. - Evering został zabity, żeby nikomu nie wyjawiał swych sekretów.

Duncan klęczał przy posłaniu, jakby się modlił, prosząc starego Indianina o przebaczenie. Jacob zmarł z tego samego powodu.

Kiedy podniósł głowę, Woolford już odszedł.

Duncan przez chwilę siedział nieruchomo, pogrążony w żalu, zaczynając godzić się z prawdą. Być może Jacob wiedział, że podąży ścieżką, na której czyha śmierć, lecz to Duncan przypieczętował jego los. Wyjął z kieszeni kamień i porównał go ze zwierzęciem narysowanym przez Jacoba. Gdy nachylił się do światła, niedźwiedź wypadł mu z dłoni i potoczył się po ziemi, by zatrzymać się przed innym dużym kawałkiem kory opartym o ścianę. „Niech pradawna bierze cię tam, dokąd musi iść”. Duncan ostrożnie czubkiem palca odwrócił korę, po czym odskoczył przestraszony. Na gładkiej spodniej powierzchni narysowano mnóstwo węży, co najmniej setkę. Jacob mógł należeć do tej ziemi, jednak należał też do świata duchów.

Rozpaczliwie usiłując zrozumieć jej sens, Duncan ponownie obejrzał nakreśloną krwią wiadomość, zanim wsunął oba kawałki papieru do kieszeni. Czy Jacob naprawdę zginął z powodu wiadomości, której oczekiwał Evering? Duncan doszedł do wniosku, że kółka na dole nie były ozdobnym szlaczkiem, lecz częścią tej informacji. Sześć kresek poprzedzało pierwszy z dwóch rzędów kół - dwa pełne, potem jedno puste i znów dwa pełne i jedno puste. W drugim rzędzie znajdowały się cztery kreski, a po nich osiem kółek - dwa pełne, dwa puste, a potem wzór się powtarzał. Duncan znów spojrział na rysunek niedźwiedzia - zwierzęcia i człowieka otoczonych przez ludzi, którzy wydawali się pragnąć ich śmierci. Mógł przedstawiać Duncana i jego posążek.

O świcie zbudziły Duncana gniewne okrzyki w stajni. Wychyliwszy się przez otwarte okno, ujrzał kapitana Woolforda krzyczącego na właściciela, podczas gdy Fitch wyprowadzał ze stajni osiodłanego konia. Duncan pośpiesznie się ubrał i znalazł stojącego na ganku Crispina, z przygnębieniem spoglądającego na rzekę. Przyplął prom, niosąc tylko jednego konia i jeźdźca.

- Odjechała - oznajmił przybity.

Serce podeszło Duncanowi do gardła.

- Sarah?

- Karczmarz widział, jak przed świtem siodłała konia - wyjaśnił Woolford, gdy Duncan podszedł do niego. - Obiecała mu, że Crispin zapłaci mu dwukrotną wartość siodła, i pogalopowała drogą.

- Sama? - jęknął Duncan i spojrzął na o cieniony drzewami trakt wiodący na zachód.

Woolford sprawdził, popręg i przez chwilę konferował z Fitchem, wskazując na prom. Fitch wbiegł do budynku i wrócił z kawałkiem papieru, na którym Woolford pośpiesznie coś napisał, po czym dał notatkę Crispinowi i wskoczył na konia.

- Musisz zabrać dzieci do ich ojca - rzekł. - Sierżant zostanie z wami, dopóki nie dotrzecie do Edentown.

- Dokąd ona jedzie? - zapytał Duncan, gdy Woolford wziął od Fitcha karabin, spiął piętami wierzchowca i pomknął galopem po wąskiej drodze.

- Dlaczego pojechała sama?

- Ciało zniknęło - oznajmił karczmarz, jakby w odpowiedzi.

- Dziewczeta z kuchni - wtrąciła jego żona - powiedziały jej o Indianach w porcie. Pewnie oszalała ze strachu.

- To prom - mruknął Fitch.

Crispin mruknął coś niezrozumiale.

- Zjedzmy porządne śniadanie - zaproponował, zerknąwszy na rzekę. - Czekają nas męczące chwile.

Duncan ponownie spojrzął na prom i w końcu rozpoznał wysoką i chudą postać w czerni.

Wielebny Arnold z zagniewaną i ponurą miną wszedł do karczmy. W milczeniu rozejrzał się po sali i wyraźnie się odprężył na widok stojących przy drzwiach, gdzie pozostawił je Crispin, kufrów Sarah i jej rodzeństwa. Zawołał karczmarza, żeby oddać mu kubrak do oczyszczenia z kurzu, a potem dołączył do dwóch mężczyzn siedzących przy stole.

- Sługom domu Ramseyów nie wolno tak po prostu załadować rodziny na wozy i przewieźć w inne miejsce - oznajmił gniewnie. - Nie miałeś pozwolenia na opuszczanie Nowego Jorku.

Crispin przybrał pokorny, przeproszający wyraz twarzy.

- Panna Ramsey wyjaśniła mi, że ukończyła osiemnaście lat, co czyni ją dostatecznie dorosłą, aby pod nieobecność ojca podejmować decyzje w takich sprawach - wyjaśnił beznamiętnie, jakby czytał z kartki. - Powiedziała,

że ma pilne wiadomości dla ojca, i kazała mi, żebym zawiózł do niego ją i dzieci. Powiedziała też, że wielebny jest na spotkaniu w głównej kwaterze i nie wolno mu przeszkadzać. - Zerknął na Duncana. - Oznajmiła, że nie chce okazać braku szacunku tobie i swojemu ojcu, pozostawiając nowego gubernera. Ta odpowiedź zbiła z tropu wielebnego.

- Omówię to z lordem Ramseyem - rzekł po namyśle, lecz w jego głosie było teraz więcej niechęci niż gniewu.

Westchnął, znów spojrzął na kufry i przysunął sobie krzesło, gdy żona karczmarza postawiła na stole trzecią filiżankę i spodek. Crispin zaczął wstawać, lecz Arnold powstrzymał go znużonym machnięciem ręki. Duchowny sięgnął po dzbanek z herbatą i wypił kilka łyków, zanim zwrócił się do Duncana:

- Energicznie zaprotestowałem przeciwko temu, jak potraktował cię major Pike. Nie mieli prawa aresztować gubernera Ramseyów.

Duncan podziękował mu skinieniem głowy, wiedząc, że Arnold tego oczekuje, po czym szybko zjadł i wyszedł tylnymi drzwiami do letniej kuchni. Ta istotnie była pusta - po zwłokach nie było śladu oprócz kilku cedrowych igieł oraz ogarków świec pozostałych po czuwaniu. Karczmarza znalazł na podwórzu, rozmawiającego z sierżantem Fitchem, który wycierał wierzchowca wielebnego Arnolda.

- Zwłoki Jacoba - powiedział Duncan. - Musiałeś widzieć, co się z nimi stało.

- O północy padłem na posłanie i zasnąłem - odparł Holender. - Może Fitch coś widział. On i kapitan nie spali w swoich łózkach.

Na ganku pojawił się Arnold, wołając karczmarza, który mruknął coś pod nosem i potruczał do duchownego, gdy Duncan schował się głębiej w cień. Po chwili Arnold wszedł za karczmarzem do budynku, skrzecząc ze złości. Duchowny szalał na wieść o tym, że Sarah zaginęła. Kucharki czmychnęły tylnymi drzwiami, a karczmarzowa frontowymi. W końcu na ganku pojawił się Crispin z Arnoldem wskazującym na stajnię. Gdy wołanie księdza o konia odbiło się echem na dziedzińcu, pojawił się Fitch i spokojnie wyjaśnił, że klacz musi zostać teraz zaprzęgnięta do wozu, ponieważ Sarah zabrała jednego konia z zaprzęgu.

- A który z pojazdów Ramseya mamy tu zostawić? - zapytał sierżant, gdy Arnold zaprotestował. - Powóz czy wóz z osobistymi rzeczami dzieci?



Arnold odpowiedział groźnym grymasem i wziął od Fitcha pozostawioną przez Woolforda notatkę, przeczytał ją, marszcząc brwi, po czym wepchnął do kieszeni.

Kiedy pozostali zaprzęgali konia, Duncanowi wystarczyło kilka minut, by niepostrzeżenie odejść i przez pustą kuchnię dostać się do cichej sali. Na półce pod barem szybko znalazł księgę karczmarza i przesunął wzrokiem po kolumnie nazwisk oraz wpływów z ostatnich dziesięciu dni. Trzy noce wcześniej, zanim *Anna Rose* przybiła do brzegu, w tej karczmie był Sokrates Moon. Tajemniczy Grek, który towarzyszył Sarah w podróży do Anglii - i w sekrecie korespondował z Adamem - znów się pojawił. Duncan przyjrzał się kaligraficznemu pismu, w dziwny sposób nakładającym się literom podwójnego „o”, i z dreszczem ekscytacji porównał je z pierwszą notatką na mokasynie Jacoba. Podwójne „o” były identyczne. Sokrates Moon zostawił notatkę dla starego Mohikanina.

Na zewnątrz zarżał koń. Duncan pospiesznie przejrzał resztę rejestru. Dwie noce wcześniej i dzień po wizycie Moona w karczmie zatrzymał się inny człowiek, jakby podążający za nim - człowiek, o którym Duncan wiedział, że pojawił się później w nowojorskim domu Ramseya, żeby odebrać torbę od Arnolda. W rejestrze podpisał się jedynie nazwiskiem, nie podając imienia. Hawkins.

Dochodziło południe piątego dnia podróży, gdy dotarli do pierwszych równych i schludnych pól otaczających Edentown, posiadłość Ramseya. Duncan przez większość czasu siedł obok wozu z sierżantem i Crispinem, czerpiąc od nich wiedzę na temat krainy, którą przemierzali, oraz całego Nowego Świata. Podawali nazwy takich nieznanych Duncanowi drzew, jak klon cukrowy, sasafRAS, wiązowiec, orzech olejny, tulipanowiec i hikora, a siedząc przy obozowych ogniskach, rysowali patykami na ziemi szkice tych terenów. Ich mała karawana przechodziła przez wioski na skrzyżowaniach szlaków, gdzie często budowano młyny, mijała stare domy z kamienia i nowsze z bali, gdzie obdarte dzieciaki nieśmiało przyglądały się przejeżdżającym pojazdom. Crispin pokazywał Duncanowi ptaki, których ten nie znał, i opowiadał o miejscowych zwierzętach, takich jak jeżozwierz. Jego elastyczne kolce pokrywały medalion, który służący zauważył na szyi Dunca-na.

Kiedy nie słyszały tego dzieci, Fitch opowiadał Duncanowi o tubylcach i wyjaśnił mu znaczenie takich słów, jak tomahawk, kanu i succotash, opisując, jak - podobnie jak europejskie narody - poszczególne plemiona rosły w siłę lub podupadały, jak najpierw Mohikanie, a potem Lenni Lenape, zwani przez Europejczyków Delawarami, byli potężnymi władcami wschodnich ziem, aby z czasem znaleźć się w cieniu Irokezów. Sierżant twierdził, że sami Irokezi, których często nazywał Szóstką od sześciu plemion tworzących tę konfederację, byli skazani na nieuchronną klęskę, ponieważ postępowali równie głupio jak starożytni Grecy, pozwalając głośować każdemu wojownikowi, a nawet pozwalając kobietom wybierać wodzów.

- To brzmi tak, jakby byli cywilizowani - zauważył Duncan.

Siwowłosy zwiadowca parsknął z rozbawieniem.

- Kiedy ostatnio traciłem czas, rozważając, kto na tym świecie jest cywilizowany, a kto nie, ledwie sypał mi się wąs - rzekł Fitch i splunął strużką tytoniowego soku.

Czwartego dnia, gdy jedli lunch na skraju wysokiego, rozległego płaskowyżu, Duncan stanął na jego krawędzi, spoglądając na zasnute mgłą granie ciągnące się na zachód.

- Ona już tam jest - powiedział nagle Fitch, który przyklęknął obok, patrząc na górskie łańcuchy.

- Chcesz powiedzieć, że jest bezpieczna?

- Mówię, że jest w mieście ojca.

Sierżant wyjął z pochewki krzemienne krzesiwo muszkietu i zaczął je odświeżać, pocierając o kamień. Ten zwyczaj zaczął niepokoić Duncana, gdyż świadczył o tym, że Fitch jest gotowy w każdej chwili użyć broni. Tak jak Duncan poznał rośliny i zwierzęta nowej ziemi, tak też dowiedział się wielu nowych rzeczy o Sarah. Nieraz, kiedy zatrzymywali się w jakiejś farmie czy osadzie, słyszał, jak mieszkańcy pytali Jonathana i Virginie, czy ich siostra podróżuje z nimi, i widział na ich twarzach ulgę wywołaną przeczącą odpowiedzią. Poprzedniej nocy, przy wielkim ustawionym na kozłach stole, przy którym siedziała dwunastoosobowa rodzina, mała dziewczynka do błogosławieństwa Arnolda dodała własną modlitwę: „I trzymaj tę wiedzę z dala od naszych drzwi”. Jonathan w odpowiedzi wstał i zjadł posiłek na zewnątrz, a potem spał w powozie.

- Gdzie byłeś tamtej nocy, którą spędziliśmy w karczmie? - zapytał

Duncan żołnierza, który traktował go coraz przyjaźniej, od kiedy Duncan kilkakrotnie uchronił go przed ewangelicznym zapalem wielebnego Arnolda. - Widziałeś, co się stało z ciałem starego Jacoba?

Fitch przystanął i potarł siwą szczecinę na szczęce.

- Sam dbał o swoją skórę i przez tyle lat nosił ją całą. Bardzo niewielu może się tym chwalić, czerwonych czy białych.

Dreszcz przeszedł Duncanowi po plecach. Słyszał już podobne słowa, na statku, wypowiedziane przez morderczynię Florę. „Weź skórę, którą jesteś” - mówiła.

- Swoją skórę?

- Tak mówią Indianie. Robił tylko prawe rzeczy. Po swojemu. - Fitch wzruszył ramionami. - Nie mam na to słów, McCallum. Jestem tylko starym żołnierzem. On był sobą, wiedział, kim jest, i nikomu nie pozwolił tego zmienić, nawet gdy cały jego szczep wyginął. Wiedział o tej ziemi rzeczy, których ty i ja nawet się nie domyślamy.

Duncan spoglądał na niego, nie pojmując, gdzie Flora mogła usłyszeć te słowa, i jeszcze rozpaczliwiej usiłując je zrozumieć.

- Co to są prawe rzeczy, sierzancie?

Fitch długo zastanawiał się nad odpowiedzią, pracując nad krzesiwem.

- Myślę, że gdybyś mógł o nich mówić, nie byłyby prawe – rzekł w końcu. - To tak jak Jacob wołał pstrąga, a ten wynurzał się i cmokał go w rękę, bez obawy. Nie ma słów, którymi można by opisać ten widok i sposób, w jaki Jacob i ryba spoglądali sobie w oczy, doskonale się rozumiejąc.

Duncan spojrział na góry.

- Chcesz powiedzieć, że ty i kapitan pochowaliście starego Jacoba?

- Zrobiliśmy, co trzeba - rzekł Fitch.

Podniósł głowę, badawczo popatrzył na Duncana, po czym sięgnął do mieszka przy pasie.

- Zamierzasz... - zaczął Duncan, ale słowa uwięzły mu w gardle, gdy zobaczył, co leży na otwartej dłoni Fitcha.

Był to kawałek materiału, szkocki tartan - ciemnozielona i czerwona krata na brązowym tle.

- Dziwna rzecz, chłopcze - powiedział Fitch, patrząc na niego znacząco.

- Wyjęliśmy to zza pasa zabitego na Kamienistym Szlaku.

Duncan przykucnął i wziął od sierżanta tartan, po czym rozciągnął go w

palcach. Była to szarfa pełniąca rolę pasa z rodzaju tych, jakim przepasałby się *Gaidheil*, szkocki góról.

- W tej bitwie Szkoci walczyli po stronie Indian?

- Nie nazwałbym tego bitwą. Raczej morderstwem na wielką skalę. W krzakach leżało pół tuzina zabitych Irokezów, włącznie z posiadaczem tej szarfy. Szesnastu innych ustawiono w szeregu i zastrzelono. Major Pike i kapitan przybyli wkrótce potem, z różnych stron, i zamienili kilka ostrych słów. Pike chciał zakopać ciała i odejść. Kapitan rozstawił zwiadowców wokół zabitych, żeby nie dopuścić do nich Pike'a, a potem wysłał mnie do miast po ludzi, którzy by ich zabrali.

- Do miast?

- Irokezi mają swoje sadyby, tak samo jak biali ludzie. A także swój sposób chowania zmarłych. Myją ich, ubierają i odmawiają przy nich modły.

- I okładają cedrowymi gałęziami - odpowiedział Duncan.

Fitch skinął głową.

- Niektóre stare plemiona, takie jak Mohikanie, umieszczają ich na podwyższeniu w jakimś charakterystycznym miejscu, na wzgórzu lub tam, gdzie łączą się dwie rzeki. Na wysokości siedmiu lub ośmiu stóp, z pożywieniem i ekwipunkiem podróżnym. Indianie mówią, że duch potrzebuje roku, żeby znaleźć drogę do nieba.

Duncan pojął, że sierżant Fitch w końcu mu powiedział, co zrobili z ciałem Jacoba Ryby. Znów spojrzął na pas tartanu, który trzymał w dłoni.

- Czy wśród zabitych byli jacyś jasnawłosi?

- Nie, ale gdyby ktoś ogolił sobie głowę, jak to robią niektórzy wojownicy, i zabarwił sobie skórę sokiem orzecha, trudno byłoby go odróżnić od innych.

- Znałeś mojego brata?

- Przez jakiś czas biegał z nami.

- Biegał?

- Po lasach. Właśnie to robią zwiadowcy. Musisz być jak jelen. Cichy. Rączy. Zawsze czujny. Zapomnij o tym na minutę, a czyś jelen, czy żołnierz - zginięsz. Przysyłają do nas oficerów regularnej armii, czasem za karę, czasem, żeby zrozumieli nieprzyjaciela. Większość się nie sprawdza. Giną. Wysiadają im nerwy. Jeden postrzelił się w stopę, żeby odesłali go do domu. Niektórzy jednak rozumieją.

- Masz na myśli, że niektórzy się zmieniają - rzucił pytająco Duncan.

Kiedy Fitch popatrzył na niego, miał w oczach błysk zdziwienia.

- Ponieważ - ciągnął Duncan, nie wiedząc, skąd przychodzą do niego te słowa - oni dostrzegają prawdziwe rzeczy.

Fitch nic nie powiedział, tylko wstał i powiódł wzrokiem za spojrzeniem Duncana - po falujących, leśnych pagórkach.

- Zatem dlaczego mój brat nie dołączył do ciebie i kapitana Woolforda?

- Czterdziesty drugi na to nie pozwolił. Był dla nich zbyt wartościowy. - Fitch znów zmierzył wzrokiem Duncana. - Miał szybką rękę i dobre serce, ten twój brat, ale nie znosił tępotnych oficerów.

Duncan z wdzięcznością skinął głową. Wstydził się za swego brata, gdy ten wstąpił do wojska, lecz teraz, kiedy Jamie stał się obiektem powszechnego potępienia, był z niego dumny.

- Czy Adam Munroe też biegał z wami? - zapytał.

Fitch potrzebował długiej chwili, żeby znaleźć odpowiedź.

- Munroe był z Pensylwanii - powiedział wreszcie. - My działamy na te-  
rytorium Nowego Jorku.

- Jednak go znalazłeś. I Adam znał starego Jacoba, który zginął niedługo po nim.

Ta uwaga wyraźnie zaniepokoiła Fitcha. Znów zajął się swoim krzesiwem.

- Nie każdy, kto przemierza lasy, jest zwiadowcą - powiedział nieco nerwowo, przyciszonym głosem.

Duncan spoglądał na wzgórze, obserwując jednego wielkiego biało-  
głowego orła, który szybował w powietrznych prądach nad granią. Po chwili młodzieniec przykucnął obok siwowłosego żołnierza.

- Czy Jacob rozmawiał z niedźwiedziami tak jak z rybami?

Zaskoczony Fitch uderzył kamieniem w grzbiet ręki. Przez moment patrzył na płynącą krew, a potem schował krzemień z powrotem do pochewki. Wyprostował się i ze zdumieniem spojrzął na Duncana.

- Kilka lat temu był tu pewien farmer, który upolował niedźwiedzia. Chełpił się tym, opowiadając, jak to zrobi sobie pled z niedźwiedziej skóry i rękawice z łap. Jednak skóra znikła z jego stodoły, razem z czaszką, łapami i pazurami. Tamtego roku nie obrodziła mu kukurydza. Od tamtej pory słyszałem o trzech lub czterech niedźwiedziach zastrzelonych w tych stro-  
nach. Za każdym razem skóra znikła. Ludzie mówią, że te skóry same szły do jakiegoś niedźwiedziego raję w głębi lasu.

- Wierzysz w to, sierzancie? - zapytał Duncan, niemal czując w pustej dłoni chłodny kamień posążka.

- Starzy Siuksowie nie mówią głośno o niedźwiedziach, gdyż te są najświętszymi ze stworzeń, jak bogowie kroczący po ziemi, duchami łączącymi ludzi z tym światem. Jest pewien wielki szaman, który potrafi przybierać postać niedźwiedzia, kiedy zechce.

- Wierzysz w to? - ponownie spytał Duncan.

- Wierzę w to, że nie będę strzelał do niedźwiedzi - odparł żołnierz i wrócił do powozu.

Pola Edentown otaczały kręgiem skupisko około dwudziestu budynków, włącznie z dużym, piętrowym domem z kamienia oraz wielką stajnią w angielskim stylu, czterokrotnie większą od domu. Stodoła była z kamienia i ociosanych bali, kryta gontami, i wznosiła się na wschodnim brzegu szerokiej i płytkiej rzeki. Na polach zaprzęgi mułów ciągnęły pługi, orząc ziemię pod oziminy. Na jednym z pastwisk, otoczonym zygzakowatym płotem, tuzin mlecznych krów skubało wysoką koniczynę; na drugim pasły się dwa tuziny owiec. Na łące mężczyźni machali kosami. Inni rąbali drzewa na skraju wysokiego i gęstego lasu otaczającego posiadłość od północy i od południa za rzeką. Masywne konie ciągnęły kłody na nowe chaty i palisadę wznoszoną od północy.

- Chwała Bogu - westchnął Crispin.

Duncan powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzał samotną postać w zielonej sukni, czekającą na schodach domu. Sarah Ramsey istotnie odnalazła miasteczko ojca.

Gdy zatrzymali się przed stodołą, Jonathan i Virginia z okrzykiem radości zeskoczyli z powozu i podbiegli do starszej siostry, która złapała ich w objęcia. Na schodach za plecami Sarah pojawiła się poważna postać w peruce, w stroju ziemianina. Mężczyzna zaczekał, aż Jonathan się skłoni, a Virginia dygnie, po czym uściskał ich oboje. Lord Ramsey schudł od czasu, gdy namalowano jego portret wiszący w nowojorskim domu, ale Duncan natychmiast poznał te blisko osadzone, stalowoszare oczy, które spojrzały na niego, gdy Crispin wprowadził dzieci do domu.

- Panie McCallum, oczekiwaliśmy twojego przybycia - powitał go lord Ramsey.

Po starannie dobranych, oszczędnych słowach Duncan rozpoznał wychowanka elitarnych angielskich szkół.

Duncan zastygł w połowie niepewnego ukłonu, napotkawszy spojrzenie

starszej córki Ramseya. Sarah wyglądała jak krucha porcelanowa lalka, lecz jej twarz nie zdradzała objawów działania opium. Chociaż wciąż miała melancholijną minę, w jej oczach palił się ogień, jakiego przedtem nie dostrzegł. Jej ojciec, zauważywszy wahanie Duncana, stanął przed Sarah, gdy ta posłała mu nieśmiały uśmiech.

- Pan McCallum dotarł na skraj lasu - oznajmiła.

Te nieoczekiwane słowa najwyraźniej znaczyły dla jej ojca więcej niż dla Duncana. Z gniewnym błyskiem w oku lord odwrócił się do córki, posyłając jej karcące spojrzenie. Sarah wycofała się do drzwi.

- Profesor Evering był gotowy poruszyć niebo i ziemię, aby ukształtować charaktery dziedziców Ramseya - powiedział lord, ponownie zwracając się do Duncana. - Pokładamy równie wielkie nadzieje w tobie - dodał, po czym skinął na barczystego mężczyznę w brązowym surducie czekającego przy narożniku budynku i pomaszerował z powrotem do domu.

- Uważaj się za szczęściarza - rzekł człowiek w brązowym kubraku, podchodząc. - My po przybyciu musieliśmy znieść godzinną przemowę.

Był to Cameron, ale jakże odmieniony: wyszorowany, ostrzyżony i dobrze odziany.

- Mam cię zaprowadzić do twojej kwatery - powiedział, wskazując na zgrabny budynek z bali po drugiej stronie pasa wysychającego błota, który był główną ulicą miasteczka. Duncan wziął z wozu swój worek i poszedł za dozorcą, który wyjaśnił, że Kompania została podzielona na grupy karczowników, budowniczych i farmerów, dołączając do tuzina rzemieślników już zatrudnionych w miasteczku. Gdy szli, Cameron objaśniał funkcję każdego budynku. Letnia kuchnia, wędzarnia i rzeźnia, chłodnia, warsztat cieśli, obora, kuźnia, warsztat bednarza czasowo pełniący rolę kaplicy, tkalnia, psiarnia ze stadem ogarów i w końcu kilka niedawno zbudowanych chat z bali, w których mieszkali członkowie Kompanii.

- Przyślę po ciebie, kiedy zaparzę herbatę - oznajmił Cameron, otwierając drzwi szkoły.

Duncan przystanął na progu, oglądając się na dom i zadając sobie pytanie, dlaczego Ramsey uważa, że jego dzieciom trzeba ukształtować charaktery, a potem wszedł do przestronnej izby z dużym kominkiem, jednym oknem i stołem ustawionym przed wiszącą na ścianie tablicą i trzema mniejszymi stolikami. Przez wąskie drzwi z boku dojrzał łóżko i komodę w bocznej, mniejszej izbie.

- Co się stało po tym, jak przeprawiliście się przez rzekę? - zapytał niespodziewanie Duncan. - Został zamordowany następny człowiek. Starzec z rybą wytatuowaną na policzku.

- Mówisz o Indianinie. Za pozwoleniem, panie. Myślałem, że Indianie po prostu umierają. Nie słyszałem, że można jakiegoś zamordować. Równie dobrze można by zwać mordercą farmera, który przerabia świnie na bekon.

Duncan opanował emocje i naciskał dalej:

- Widziałeś go?

- Poganie mają własne, dziwne obyczaje.

Duncan podszedł do okna i popatrzył.

- W kuźni jest klatka na węgiel - rzekł za jego plecami Cameron. - Kowal założył zamek w drzwiach.

- A kto ma klucze do tego lochu?

- Jest w głównym budynku. - Kiedy Duncan nadal nie odwracał się do niego, nadzorca się skrzywił. - Lord Ramsey mówi, że jeśli ktoś złamie prawo, on jest władny go ukarać. Mówi, że ci, którzy przeżyją całe siedem lat, otrzymają pięćdziesiąt akrów dobrej i żyznej ziemi.

- Ci, którzy przeżyją?

- Jest wojna, o czym jego wysokość przypomniał nam pierwszego dnia - ciągnął nadęty Cameron - a sposobem na jej wygranie jest ścinać drzewa, budować chaty i słuchać jego rozkazów.

- Miałeś mój list, Cameron - rzekł Duncan, gdy nadzorca chciał odejść.

- Komu go dałeś?

- Już go nie potrzebowałem. Tajemnica morderstwa została wyjaśniona. Wiemy, kto zawiśnie.

- Mieliśmy umowę - naciskał Duncan. - Ty zatrzymasz list, ja odwrócę od ciebie podejrzenia.

Twarz dozorca pociemniała.

- Jak powiedziałem, zagadka morderstwa jest rozwiązana.

- Nie, dopóki nie było procesu.

- Jest jeszcze jeden papier, moje oświadczenie, że miałeś się spotkać z Everingiem. Trzymam go w bezpiecznym miejscu, McCallum.

- Wspaniale. Rozumiesz, o co mi chodzi. Nadal jesteśmy sobie potrzebni. Czy jego celi pilnuje strażnik?

- Ty nie jesteś mi potrzebny.

- Nie zrozumiałeś. Wiem, że dałeś ten list wojsku. Kapitan Woolford



też o tym wie. Jak myślisz, jaka byłaby reakcja wielbego Arnolda i lorda Ramseya, gdyby się dowiedzieli, że masz kontakty z wojskiem?

Cameron wyszczerzył zęby jak uderzony pies.

- Czy jego celi pilnuje strażnik?
- Przeważnie - prychnął Cameron.
- Zatem odwołaj go teraz.

Duncan patrzył, jak Cameron wychodzi z budynku, krzyczy na ludzi noszących kamienie z pól, bierze swoją pałkę opartą o ścianę stodoły i poszturchuje nią jednego za opieszałość.

Pięć minut później Duncan poszedł za stodołę, za którą był niewidoczny z głównego budynku, i szybko odnalazł okopconą kuźnię za udojnią. Pałeczka była wygaszona, nikt nie poruszał miechem. Za kowadłem znajdowała się okopcona klatka z grubych krawędziaków, do połowy wypełniona węglem, z drzwiami zamkniętymi na łańcuch i kłódkę.

- Lister, żyjesz? Mogę ci coś przynieść? - pytał Duncan, przyciskając twarz do kraty.

Zobaczył kawałek szmaty, który pojawił się między prętami. Była pokryta zaschniętą krwią.

- Tuż przed świtem słyhać ptasi chór. - Głos dobiegający z ciemności był suchy jak trzeszczenie chrustu. - Nigdy nie słyszałeś takiego śpiewu. To jak przedsmak nieba.

- Proszę, żebyś jeszcze nie myślał o niebie.
- Przez ostatnie trzydzieści lat słyszałem tylko mewy. Miło się budzić przy takim chórze.

Duncan spostrzegł na ziemi kawał kory zwiniętej w stożek i spiętej drewnianymi szpilkami. Napełnił go wodą z wiadra i podał więźniowi.

- Tego dnia, kiedy przeprawiliście się przez rzekę, został zabity człowiek - powiedział Duncan, gdy Lister opróżnił i zwrócił naczynie. - Widziałeś coś?

Lister odgarnął węgiel, robiąc wgłębienie, w którym usiadł tak blisko Duncana, że ten widział zarys jego twarzy.

- Nic nie wiem o jego śmierci. Jednak ktoś się czał w pobliżu. Nie zbliżał się do Kompanii, tylko przyglądał się jej, podążając za nią jak cień, chytrze jak lis. To było godzinę po tym, jak opuściliśmy gospodę Holendra. Młody Frasier opatrzył mi rany i zostawił kubek wody. Większość ludzi zeszła z wozów i szła obok, pilnowana przez dozorców i strażników. Ja

leżałem sobie na wozie, nie mając nic do roboty poza radowaniem się dniem. Wtedy też zaśpiewał ptak. Z początku nie zwracałem na to uwagi, ale śpiewał natarczywie, krótko i pytająco, jakby żądał odpowiedzi, która nie nadeszła. Ptak wciąż śpiewał i nagle zauważyłem jakiś ciemny kształt o rzut kamienia za nami. Najpierw myślałem, że to pień, ale potem się poruszył i ptasi śpiew też się przemieścił. Ten cień zniknął i pojawiał się wzdłuż drogi, którą jechaliśmy. Tak było przez kilka mil - przesuwały się cień i ptasi śpiew, coraz bardziej samotny.

- A potem?

- Dogonił nas jadący galopem jeździec. Mężczyzna odziany w skóry, z twarzą jak kawał krzemienia. Zamienił kilka słów z dozorcami. Z Frasierem i Cameronem. Pokazał im jakiś papier, który wyjął z kieszeni. Nie zsiadając z konia, napił się wody z beczki przywiązanej do boku wozu, przyglądając mi się oczami jak dwa czarne kamyki. Potem on też usłyszał ptaka. Zamarł i spojrzął na las, trzymając dłoń na rękojeści wielkiego myśliwskiego noża. Uśmiechnął się, odgryzł kawał tytoniu i odjechał galopem.

- A ten cień w lesie?

- Już go nie widziałem. I nie słyszałem tego ptaka.

- Wydarzyło się coś jeszcze?

- Droga była kręta, ponieważ omijała liczne skały, tak więc trudno było obserwować ostatni wóz oraz idących za nim ludzi. Przez prawie godzinę nie widziałem Camerona ani Frasiera. Jednak po kolejnej godzinie zobaczyliśmy to coś na drzewie.

Duncan ponownie napełnił róg wodą i dał się napić Listerowi. Ten podjął przerwana opowieść, mówiąc cicho i ostrożnie:

- Z początku myślałem, że to dziecko zawinięte w koc, i zrobiło mi się niedobrze. Jednak to był niedźwiedź, mały niedźwiadek, niedawno powieszony nad drogą. Krew ciekła mu z pyska. Łapy miał zaplątane w sznur, jakby usiłował uciec przed śmiercią. Nie spodobało mi się to. Nikomu się nie spodobało. Przestraszyło konie, a nawet strażników. Wieczorem rozpaliliśmy wokół obozu krąg ognisk i podsycaliśmy ogień do rana. A później już nie zatrzymywaliśmy się na noc, tylko jechaliśmy cały czas, śpiąc na wozach.

- Co ci powiedzieli? - spytał Duncan. - O tym, co tu się stanie.

- Będzie proces. Powieszą winnego.

Duncan z trudem opanował drżenie głosu.

- Potrzebujesz czegoś? Koc?  
- Na noc zakopuję się w węglu. Cameron żartuje, że się przyzwyczajam, bo pójdę tam, gdzie są tylko płonące węgle.

- Jedzenie?

- Najbardziej potrzebna mi kąpiel - wychrypiał Lister, uśmiechając się z przymusem. - Niech mi dadzą się wykapać i napić, a potem mogą robić ze mną, co chcą.

- Wiem, że nie zabiłeś Everinga - rzekł Duncan.

Lister odpowiedział dopiero po chwili.

- Gdybym ci powiedział, że go zabiłem, obaj okrylibyśmy się niesławą i nie byłoby twego nowego amerykańskiego klanu. Jeśli zaprzeczę, spróbujesz zrobić coś głupiego.

- Historia mojego życia to lista głupich postępków - powoli odparł Duncan.

- A najgłupszym z nich byłoby odrzucenie szansy na nowe życie dla worka starych kości.

- Zdaje się, że pamiętam pewien dzień na bocianim gnieździe - odparł Duncan. - Chyba pamiętam uścisk rąk. Złożoną obietnicę. Ona wiąże obie strony, wiesz. Przywróciłeś mnie do życia. Obaj musimy znosić konsekwencje tej umowy.

W milczeniu, które zapadło, Duncan słyszał świszczący oddech Listera. Gdzieś zabeczalo jagnię. Zaryczała krowa.

- Dziewczyna Ramseya przybyła kilka godzin po nas - rzekł w końcu Lister. - Widzę stąd boczną ścianę domu. Stoi w oknie na piętrze i tylko patrzy na las. Płacze godzinami, taka jest przestraszona. Frasier czasem pracuje w kuchni, pomagając szykować posiłki dla ludzi.

- Ten człowiek w skórach... - zaczął Duncan - ...był tutaj, kiedy przyjechaliście?

- Tak, chyba nazywa się Hawkins. A kilka godzin później z lasu wyszło jeszcze pięciu odzianych tak jak on i uzbrojonych w muszkiety. Z toporkami i kordelasami przy pasach. Mieli puste spojrzenia. Hawkins wyniósł z domu antałek rumu. Spili się w stodole i w nocy hałasowali, a potem pewnie spali na sianie w pustych końskich boksach. Cameron oznajmił, że Hawkins jest nowym dozorcą. Dziś rano odszedł, a z nim sześciu mężczyzn z Kompanii, wszyscy z nową bronią przy pasach. McGregor, McPhee, McSween, Ross.

Gdy Lister wymieniał nazwiska, Duncan miał wrażenie, że zimna dłoń

przesuwa mu się po krzyżu. Złodzieje zwłok. Hawkins zabrał wszystkich złodziei zwłok.

- Czy lord Ramsey z nimi rozmawiał?

Lister westchnął, ale nie odpowiedział na to pytanie.

- Z pewnością wiesz, dlaczego my, Szkoci, przetrwaliśmy tyle wieków zmagania z Anglikami? - zapytał. - Wiemy, kiedy się wycofać. Jesteśmy mistrzami odwrotu.

- Jeśli wiecznie się cofasz, w końcu nie będziesz miał gdzie.

Lister zaklął pod nosem i znów zamilkł. W szparze między prętami pojawił się usmarowany węglem palec wskazujący na drugi brzeg rzeki.

- Zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteśmy?

- Na pograniczu.

- Widziałeś stare mapy ostrzegające, że statki mogą runąć w otchłań za krawędzią świata, jeśli poześlą za daleko? Dobrze to wymyślili, tylko pomylili ląd z morzem. Po drugiej stronie tej rzeki jest koniec świata.

- Niektórzy ludzie chodzą tam i wracają.

- Lecz po powrocie są inni, odmienieni przez ciemność. Na sam widok tej puszczy czują się jak zastrachany chłopiec. Ta ciemność nie przypomina niczego, co znam. Jest gorsza od najczarniejszego morza w najciemniejszą burzę. Możesz rozumieć morze, ale nie tę ciemność. Ona nie ma dna, nie ma końca. - W głosie starego żeglarza słychać było lęk. - Rozciąga się na setki mil. Na tysiące. Żaden żywy człowiek nie przebył jej od końca do końca, jeśli takowy istnieje. Wejść tam - ostrzegł Duncana stary - a nasz klan zginie.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytał Duncan. - Dlaczego sądzisz, że mógłbym być taki głupi, żeby przepłynąć się za rzekę?

Lister odpowiedział, wskazując długim kościstym palcem porośniętą lasem wysepkę na rzece.

- Znajdź Frasiera. Idź na spotkanie z profesorem Everingiem. Bo tam nawet martwi nie są bezpieczni.

Duncan spojrział przez ramię, pewien, że się przesłyszał.

- Z kim?

- Z prawdziwym profesorem Everingiem. Wczoraj wyszedł z lasu.

## Rozdział 7

W Szkocji są staruszki, które wiedziałyby, jak odesłać to z powrotem - rzekł młody dozorca, wskazując Duncanowi wyspę. Kiedy Duncan podszedł do niego w warzywniaku przy domu, Frasier spojrział na niego z nienawiścią, lecz najwyraźniej coś kazało mu podzielić się swoim odkryciem. - Powinniśmy pochować go na morzu. To był błąd pozwolić mu zostać i zmusić do dwukrotnego przepłynięcia przez morze bez schodzenia na ląd.

Wstał, zostawiając skopaną grządkę, wciąż patrząc ponuro i niechętnie. Skinął na Duncana, żeby poszedł za nim na brzeg rzeki.

Zatrzymawszy się naprzeciw wyspy, Frasier wszedł po kolana do wody. Nic nie mówił, choć jego wargi poruszały się jakby w bezgłośnej modlitwie. Strach w jego oczach powiedział Duncanowi, że dozorca nie pójdzie dalej. Chociaż znajdował się ponad stp jardów od wyspy, trzęsła mu się ręka, gdy wskazał na wysoką choinę na jej południowym krańcu.

Duncan skarcił się w duchu za to, że nie wziął szpadla, siekiery ani czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Podniósł z ziemi grubą gałąź i wszedł do wody. Brodził, aż sięgnęła mu do połowy ud, pamiętając o przestrachu Listera i jego ostrzeżeniu, żeby nie przeprowiał się na drugi brzeg rzeki, gdzie zaczynał się ciemny las. Wyspa była gęsto porośnięta niskimi olchami i Duncan szedł po niej z podniesioną do ciosu maczugą. Drgnął, gdy z trzciny wyskoczył jakiś długodzioby ptak, a potem ostrożnie ruszył w kierunku niewielkiej kotliny. W końcu dotarł do polany wokół wysokiej choiny i zamarł. Pod drzewem stał demon, spoglądając na niego.

Lewa połowa jego odrażającej głowy była stosunkowo nietknięta, lecz prawa była wykręcona i wgnieciona tak, że uśmiech zmienił się w groteskowy grymas odsłaniający białe zęby pod zdeformowanym nosem.

Duncan mocniej ścisnął pałkę i podszedł bliżej. Demon miał czarną kamizelkę bez rękawów, z której wystawały ręce zrobione z gałęzi. Z rozwidlenia jednej zwisał złoty zegarek z łańcuszkiem przewleczonym przez dziurkę od guzika i znajomą złotą dewizką w kształcie książeczki. W rozwidleniu drugiej dłoni tkwiła czaszka jakiegoś ptaszka ze zwiłkiem papieru wetkniętym w oczodoły. Na ramionach kukła miała skórę węża.

- Jedna z podkuchennych powiedziała, że znajduję tu jagody - powiedział piskliwy i wystraszony głos za plecami Duncana. - Przyszedłem tu z koszykiem i prawie wpadłem na tę kukłę, zanim ją zauważyłem. To Evering. Jego zegarek z dewizką, jego kamizelka.

Duncan usiłował powstrzymać drżenie głosu.

- Obaj wiemy, Frasier, że jego ciało odesłano do Anglii.

- To jest to, czym się stał Evering za karę za sprofanowanie czegoś, co mieszka w tym lesie. - Beznamiętny głos Frasiera był równie niepokojący jak ta okropna kukła. - To coś zabrało jego ducha ze statku, zaczarowało i przysłało tutaj, żeby patrzył.

Według Frasiera taki los spotkał Everinga za to, że wybrał drogę, którą teraz kroczył Duncan.

- Na co ma patrzeć? - spytał Duncan, robiąc krok w kierunku kukły.

- Na nas. Na miasteczko... Na Boga! - zawołał Frasier, gdy Duncan podszedł do drzewa. - Nie dotykaj tego!

Zamiast dotknąć kukły, Duncan stanął obok niej i dobrze się jej przyjrzał. Zobaczył, że głowa była maską, zręcznie wyrzeźbioną w drewnie i ufarbowaną na ciemnoczerwony kolor, z kępką końskiego włosia przymocowaną na czubku. Zęby w rozdziawionych ustach zrobiono z kawałków muszli. Kukła wisiała na rzemieniu przymocowanym do konarów drzewa, a jej ramiona i korpus były zrobione ze związanych pnączami gałęzi.

Gałązką Duncan odchylił kieszenie, ale nic w nich nie znalazł. To była ta lepsza kamizelka Everinga, skradziona wraz z zegarkiem z jego kajuty. Tuż pod kukłą zobaczył kopczyk popiołu. Przyklęknął i rozgarnął go. Spalono tu tytoń.

- Komu o tym powiedziałaś? - spytał.

- Nikomu. Listerowi, ponieważ on nikomu nie powtórzy. Lister się zna na takich sprawach. Wszyscy tak skończymy.

Duncan odwrócił się do towarzysza, przez moment przestraszony tak samo jak on.

- Powinniśmy się domyślić po tym, co się stało z tym niedźwiedziem - dodał Frasier.

Jednak choć Duncan niewiele wiedział o Nowym Świecie, jednego był pewny. Ktokolwiek zrobił tę kukłę, nie zabijał niedźwiedzi. Duncan spojrzął na zdeformowaną twarz. To, co się tu zdarzyło, przypominało rytuał, jaki odprawiono w kabinie nawigacyjnej statku - częściowo europejski, a częściowo nie. Zapewne indiański, musiał przyznać Duncan. Gdy patrzył na wykrzywione usta kukły, uświadomił sobie coś jeszcze. Oto spoglądał na Starą Krzywą Twarz. Adam poszedł do Starej Krzywej Twarzy i Evering najwidoczniej też. Drżącymi palcami sięgnął po zwitek papieru tkwiący w ptasiej czaszce i już miał zacząć czytać, gdy przerwały mu krzyki - przerażonego dziecka.

Wpadł z krzaków na skraju wyspy i zobaczył Virginie stojącą na brzegu pięćdziesiąt jardów w górę strumienia. Zanim do niej dotarł, przestała krzyczeć, niemo otwierając buzię, z pobladałą ze strachu twarzą i oszalałymi oczami. Między rzecznyymi kamieniami utkwily ciała, okaleczone, które najwyraźniej znajdowały się w wodzie od kilku dni. Nagle pojawił się Crispin, złapał dziewczynkę w ramiona i pobiegł z nią do domu, podczas gdy Cameron skierował swoich ludzi nad rzekę.

- Osadnicy. Prąd przyniósł ich z północy - rzekł dozorca, gdy wyciągnięto na brzeg pierwsze ciało - mężczyznę bez rąk, oczu i skalpu.

Duncan uświadomił sobie, że wciąż ścisną papier wyjęty z ptasiej czaszki. Była to kartka wyrwana z Biblii takiego samego formatu, jaką miał Evering. Z Księgi Objawienia. „Idźcie” - przeczytał Duncan - „i wylejcie siedem czasz gniewu Boga na ziemię”.

Peruki. One były dla Ramseya liną ratunkową na wzburzonym morzu.

Kiedy Duncan znalazł Crispina na tyłach letniej kuchni, zastał służącego w towarzystwie, które na pierwszy rzut oka wydawało się grupką wygodnie usadowionych dżentelmenów. Na rozstawionym na kozłach stole z desek było pół tuzina peruk spoczywających na specjalnie dla nich zrobionych drewnianych popiersiach. Z wbudowanego w ścianę pieca Crispin wyjmował zestaw klamer i wałków z wypalanej gliny, za pomocą których zręcznie i cierpliwie mógł przywrócić opadającym lokom poprzednią świetność.

Dżentelmen o skromnych dochodach musiał się zadowolić tylko jedną

peruką, która - zależnie od tego, czy zrobiona z ludzkich włosów czy też koziego, końskiego lub cielęcego włosa - mogła być dość kosztowną inwestycją. Jednak nestor rodu Ramseyów był wymagający i wprost nieprzyzwoicie bogaty. Na stole stała zarówno staromodna peruka z białego włosa, siwa, podróżna i w stylu Ramillies - ta dziwnie wyglądająca, zaczesana do tyłu, rozpropagowana przez dr Johnsona - jak również jedna z tych noszonych przy mniej uroczystych okazjach, a wszystkie świadczyły o związkach Ramseya z odzianymi w brokaty, pachnącymi lawendą dworzaczkami z jego otoczenia za oceanem.

Duncan obserwował z cienia swego nowego przyjaciela, z obsypanymi pudrem dłońmi i w wykrochmalonej białej koszuli ze zbyt ciasnym kołnierzykiem pod brązową kamizelką. Jeszcze nie widział Crispina wykonującego swoje domowe obowiązki i na ten widok poczuł się tak nieswojo, że już miał się wycofać, gdy Crispin do niego przemówił:

- Te peruki nas uratowały - zameldował, zerknąwszy na Duncana. - Wielebny Arnold skarżył się na nasz nagły wyjazd z miasta, lecz pan Ramsey uciszył go, mówiąc, że i tak miał po mnie posłać, ponieważ jego peruki wymagają czesania.

Pojawiła się podkuchenna, wycierając ręce z sadzy. Gdy zaczęła układać kłamry przed pierwszą peruką, zadzwonił dzwonek przy kuchennych drzwiach. Na twarzy Crispina pojawiła się ulga. Wyprostował się i wskazał Duncanowi drzwi.

- Herbata - rzekł krótko.

- Dotarła tu zdrowa i cała - zauważył Duncan, gdy szli w stronę domu.

- Przez cały pierwszy dzień kapitan pędził co koń wyskoczy - odparł Crispin. - Ona wciąż go wyprzedzała, tak że nawet jej nie zobaczył. Jechał na zachód, w kierunku Edentown, myśląc, że ona jest przed nim. Nagle jednak pojawiła się za nim, niedaleko stąd, na zupełnie opadłym z sił koniu. Nie pisnęła słowa o tym, gdzie była.

Nadal nie znali odpowiedzi na dręczące ich pytania, nie zadane, lecz istotne, które zrodziły się podczas ich podróży. Czy Sarah odjechała przerażona śmiercią starego Indianina czy doniesieniami o ataku w porcie? A może w śmierci starego Jacoba dostrzegła jeszcze coś, czego Duncan nie potrafił dojrzeć?

Crispin zaprowadził Duncana do biblioteki w północno- wschodnim narożu wielkiego kamiennego domu, gdzie okna wychodziły na zachód i na północ. Lord Ramsey, siedzący na stylowym krześle z wysokim oparciem



i tacą wbudowaną w prawą poręcz, powitał ich skinieniem głowy, nie odrywając się od lektury leżącej na tacy książki. Za jego plecami stały regały z co najmniej kilkoma tuzinami książek i licznymi periodykami. Pod ścianą po prawej stał ciężki sekretarzyk z wiśniowego drewna, z zamkniętym blatem. Nad kominkiem wisiał elegancki, grawerowany flower. Na północnej ścianie przy oknie wisiał duży, ręcznie rysowany plan miasta z przepływającą obok rzeką, szczegółowo ukazujący wszystkie budynki, starannie opisane kaligraficznym pismem. Na sąsiedniej ścianie wisiała inna mapa, nowojorskiej kolonii, z adnotacjami sporządzonymi różnymi charakterami pisma. W jednym kącie stało kilka muszkietów obok stojaka z tuzinem ciężkich mieczy i dwoma staromodnymi napierśnikami. Pomieszczenie wyglądało jak gabinet generała.

Spoglądając na widok za oknem, Duncan porównał go z mapą. Chociaż opisana jako „pomieszczenie gospodarcze”, stodoła stała tam, gdzie pokazywała mapa, tak samo jak letnia kuchnia, kuźnia, tkalnia i wszystkie inne budynki, choć na mapie było ich trzykrotnie więcej niż w rzeczywistości, włącznie z kościołem, sądem i więzieniem. Jednak dom wyglądał inaczej. Ten, w którym się teraz znajdowali, był o wiele mniejszy od wielkiej rezydencji na planie.

Gdy Duncan się odwrócił, przy oknie stał wielebny Arnold, spoglądając w kierunku pasa ziemi za stodołą, gdzie wbite w ziemię paliki tworzyły szeroki prostokąt. Duncan ponownie spojrzął na mapę. W tym miejscu miał zostać zbudowany kościół.

- Arnold poinformował mnie o tym, jak dobrze służyłeś mi na statku. Uratowałeś życie mojej córce. - Ramsey najwyraźniej starał się ukryć emocje w głosie i Duncan zrozumiał, dlaczego lord nie chciał zaczynać tej rozmowy na oczach wszystkich, zaraz po jego przybyciu. - Ona jest tak podobna do matki. Niesamowicie podobna. Nie zapomnę, jak dobrze się spisałeś tamtego dnia. Zostaniesz nagrodzony.

Podszedł do srebrnej tacy stojącej na stoliczku pod oknem i napełniwszy filiżankę herbatą z delikatnego porcelanowego dzbanka malowanego w fiołki, podał Duncanowi.

Najwidoczniej Ramsey sądził, że Duncan uratował Sarah dla niego, że skacząc we wzburzone fale, spełniał swój obowiązek wobec pana.

- Pannie Ramsey i mnie nie było przeznaczone zginąć tamtego dnia w morzu - powiedział.

- Istotnie, Bóg ją wybrał - rzekł Ramsey, opanowawszy drżenie głosu.

- Pierwsza dama Edentown będzie miała wiele obowiązków. Trzeba zorganizować chór kościelny, zaprojektować i uszyć flagę. Nadawać imiona dzieciom. Zająć się kuchnią. Piwnicą. Ogrodem. Urządzać festyny. Wszystkie rodziny oczekują od niej przykładu. Są rzeczy, które tylko kobieta z rodu Ramseyów może zrobić.

Duncan zrozumiał, że Ramseyowi się wydaje, że jest panem nie tego miasteczka, które znajdowało się wokół, lecz tego z obrazu. Duncan znów spojrzał na plan miasta. Teraz zobaczył, że nie było błędu w rysunku domu, lecz narysowano go takim, jaki miał być w przyszłości. Boczne skrzydła dopiero miały zostać dobudowane. Jedyne, czego nie było na tym planie, to palisada stawiana wzdłuż skraju lasu na północy.

- Panna Ramsey zdawała się niecierpliwie oczekiwać powrotu na łono rodziny - zauważył Duncan.

Spojrzał przez okno na wysepkę na rzece. Chociaż stąd jej nie widział, wiedział, że kukła Everinga patrzy na dom. Zanim wrócił, obszedł wokół choinę i znalazł kępki futra oraz dziwną konstrukcję z jelenich rogów połączonych pnączami w krąg. Teraz, kiedy przestał się bać, zrozumiał, że mogły to być dary, bo być może w świecie tych, którzy ją zrobili, kukła nie miała przerażać, lecz była obiektem kultu.

- Bardzo nam jej brakowało. Ona ma tu zbudować imperium.

Duncan pił herbatę, powtarzając sobie w myślach te słowa. Tak samo jak Ramsey mówił o tym Edentown, które istniało w jego głowie, a nie w błotnistej rzeczywistości za oknem, tak teraz zdawał się mówić o jakiejś innej Sarah.

- Czy nie powinna najpierw wyzdrowieć, zanim zacznie zmieniać świat?

- Na szczęście - wtrącił Arnold - jest teraz w lepszym stanie niż przez miniony rok. Przeznaczenie nie czeka na nikogo.

Ramsey podszedł do okna i rozejrzał się po swoim pączkującym imperium.

- Najpierw musimy usunąć wszystkie ciemne plamy.

Duncana ścisnęło w dołku, gdy Ramsey zmierzył go znaczącym spojrzeniem.

- Lord Ramsey życzy sobie zobaczyć twój raport - wyjaśnił wielebny Arnold. - Trzeba uzupełnić akta. Pierwszy wyrok wydany w Edentown musi być intelektualnym i moralnym filarem, wzorcowym przykładem zastosowania logiki i nauki.

– Z pewnością rozumiesz, że nie miałem możliwości przeprowadzenia dochodzenia.

- A czy potrzeba tu dalszego dochodzenia? - spytał wielebny. - Zebrano wszystkie dowody, schwytano zabójcę. Musisz tylko uporządkować swoje przemyślenia i starannie je opisać.

- Logika i nauka nie wskazały na Listera jako sprawcę - rzekł Duncan, przełknąwszy ślinę. - A, jak mówisz, akta muszą być kompletne. Mam kilka pytań, które chciałbym zadać wojsku - ciągnął Duncan, starając się zachować obojętną minę i czekając na reakcję Ramseya. - Pewien generał pytał o śmierć Everinga. Zdawał się uważać, że ma to jakieś znaczenie dla wojska.

Ramsey na moment się zamyślił, po czym zażył tabaki ze stojącej na stoliczku srebrnej tabakiery i zaczął się przechadzać pod wychodzącym na rzekę oknem.

- Powiedziałeś generałowi Calderowi, że to nie jego sprawa - rzekł, nie przystając. Duncan myślał, że to zachęta do zabrania głosu, lecz Ramsey mówił dalej swym wyniosłym tonem: - Powiedziałeś mu, że Kompania to przedsięwzięcie Edentown. I przypomniałeś mu o tym, że Edentown należy do mnie, na mocy królewskiego glejtu. Ślubowałeś, że Kompania wyjdzie z tego zwycięsko.

Duncan patrzył na zaprzęg mułów orzący pole za stodołą. W tym momencie odczuwał nieodpartą chęć, aby być jednym z więźniów uprawiających ziemię, dźwigających głazy lub czyszczących oborę z gnoju -robić cokolwiek, byle nie być marionetką w rękach takiego człowieka.

- Zabójca wciąż jest na wolności i wśród nas - odparł. - Uważam, że to on lub jego wspólnik zabił starego Indianina w karczmie przy przeprawie.

- Niemożliwe - orzekł Ramsey. - Jak powiedziałem kapitanowi Woolfordowi, kiedy o tym wspomniał, Indianie wciąż giną. To znak naszego zwycięskiego Boga. Nie daj się odwieść od swych obowiązków.

- Generał Calder - rzekł Duncan - uważał, że powinna mnie zainteresować bitwa, w której zginęło wielu naszych indiańskich sprzymierzeńców. Przy Kamienistym Szlaku.

W spojrzeniach, jakie wymienili Ramsey i Arnold, Duncan dostrzegł nie tyle niepokój, ile raczej ostrożną niechęć, jakby Calder zdobył punkt przewagi w jakiejś rozgrywce z nimi. I jakby to zrobił, wykorzystując Duncana.

- Indianin, który zginął w karczmie, znał nazwę naszego statku - ciągnął Duncan. - Próbował przekazać jakąś sekretną wiadomość komuś z Kompanii. Albo komuś, kogo spodziewał się znaleźć wśród członków Kompanii. Człowiek, który zabił Everinga z powodu jakiejś tajemnicy, nie wzdragał się przed zabiciem starego Indianina. Nie mógł to być pan Lister, gdyż on był w łańcuchach. - Ramsey i Arnold zamilkli. Wielebny spoglądał przez okno, a Ramsey na swoją mapę. - Mówiłeś, że odplacisz mi się za uratowanie twej córki, panie. Proszę, żebyś uwolnił Listera na parol.

- Niemożliwe.

- Zatem za moim poręczeniem. To stary człowiek, który daleko nie odejdzie.

- A jaką proponujesz rekompensatę, jeśli znów zabije? - zapytał Arnold.

- Stawiam moją umowę. Jeśli stwierdzicie, że się myliłem, przez siedem lat będę w łańcuchach czyścił stajnie z gnoju.

Ramsey w odpowiedzi zmarszczył brwi, po czym podszedł do swojej mapy.

- W Anglii - rzekł, wskazując na plan - miasta i ich mieszkańcy stali się uosobieniem przypadkowości i nieładu. Tutaj mamy sposobność naprawić wszystkie błędy. - Zmierzył Duncana poważnym spojrzeniem. - Nasz wiek jest kulminacyjnym punktem cywilizacji. My zaś jesteśmy jej ambasadorami.

Duncan doszedł do wniosku, że biblioteka lorda jest najniebezpieczniejszym miejscem, jakie odwiedził w Nowym Świecie. W narożu każdego budynku na planie dostrzegł numerki. Dom nosił numer 3. Przyjrzawszy się wszystkim budynkom na rysunku oraz zaplanowanym budowlom, znalazł kolejność.

- Ostatnim budynkiem, jaki ma zostać zbudowany w tej utopii, jest gmach sądu - zauważył.

Wielebny Arnold zdawał się czekać na tę uwagę.

- Następnym będzie dom Boży. Po cóż człowiekowi sądy i prawa, jeśli ma Kościół i dekalog? - zapytał, powołując się na dziesięć przykazań.

- Piszę komentarz o Platonie - oznajmił Ramsey, zmieniając nagle temat. - Gdzież jak nie w Nowym Świecie mamy okazję ukształtować zupełnie nowe społeczeństwo wedle wyznawanych przez niego zasad? - Lord znów zmierzył Duncana spokojnym spojrzeniem. - Wszyscy rodzimy się, aby

wypełniać swoje obowiązki. Ten starożytny mędrzec uczy, że największą nagrodą jest właśnie spełnienie obowiązku.

Ramsey jednak nie zmienił tematu.

Duncan przez chwilę spoglądał mu w oczy, a potem spuścił wzrok. Lister miał rację. Będzie musiał się nauczyć sztuki odwrotu.

- Będę niestrudzenie dążył do sprawiedliwej nagrody - rzekł napiętym głosem.

Postawił filiżankę na tacy i skinąwszy głową, ruszył do drzwi.

Ramsey uniósł swoją filiżankę, jakby go pozdrawiał.

Duncan krążył po posiadłości, podziwiając wielką stodołę, bardziej angielską niż sam dom - jej krokwie złączone na czopy jak wręgi statku, trzydzieści przegród dla zwierząt i spichlerzyki na środku, warsztat na przestronnym poddaszu - ale niebawem wrócił do szkółki i zapatrzył się w pustą tablicę na ścianie. Sprawdziwszy, że drzwi są zamknięte, wyjął z kieszeni postrzępione skrawki papieru i rozłożył je na stole. Swoją listę wodzów klanu McCallumów. Wiersze Everinga. Dwie wiadomości z przybudówki Jacoba. Znalazł kartkę i zaczął pisać, krótko opisując poszczególne elementy zagadki, a potem podarł ten spis na szereg pasków papieru i ułożył je w kolumnę. Evering rozbija fiolkę laudanum. Rytuał przy kompasie. Evering zamordowany. Przebudzenie Sarah. Przyglądał im się przez kilka minut, po czym przeniósł ostatni skrawek na początek. Przebudzenie Sarah, Rytuał przy kompasie, Evering zamordowany. Po chwili napisał kolejne notatki i podarł nowe paski.- Frasier i Cameron plądrują kufer Woolforda. Adam targuje z McGregorem kamiennego niedźwiedzia z kufra Woolforda. Woolford opuszcza statek z Sarah, żeby być w porcie dzień wcześniej niż inni. Adam popełnia samobójstwo. Jacob Ryba otrzymuje wiadomość o statku od Sokratesa Moona. Stary Jacob zostaje zamordowany. Atak na Duncana w nowojorskim porcie. Woolford w tajemnicy pisze do Moona. Moon zostawia wiadomość dla Jacoba. Ułożył te notatki w półokrąg, tak jak kiedyś robił to z nazwami kości, kiedy uczył się budowy ludzkiego szkieletu. Gdy patrzył na paski papieru, przekonany, że dostrzeże prawdę, jeśli tylko zdoła je ułożyć w prawidłowej kolejności, miał wrażenie, że ramiona przygniata mu jakiś straszliwy ciężar. Ten „szkielet” przed nim był monstrum odpowiedzialnym za akty przemocy i tajemnicę kryjącą się pod fasadą Kompanii Ramseya. I tutaj, w swoich rękach, Duncan miał życie Listera. Zapisał ostatni skrawek i umieścił go przed wszystkimi innymi. Masakra na Kamienistym Szlaku.

Wrócił do swojej listy wodzów i głośno wymówił imię każdego z nich, po czym wyjął i rozwinął z opakowania kamiennego niedźwiedzia, umieszczając go na stole przed paskami papieru, jakby posązek mógł mu pomóc zrozumieć wydarzenia i rozmowę w bibliotece lorda. To nie słowa Ramseya o Listerze sprawiły, że Duncana przeszedł dreszcz. Chodziło o coś innego. Kiedy wspomniał o śmierci starego Jacoba, Ramsey powiedział, że Indianie wciąż giną. „To znak naszego zwycięskiego Boga”. Za młodu Duncan musiał słuchać tych słów padających z angielskich ambon, a dotyczących zagłady szkockich górali. Znów popatrzył na imiona wodzów, a potem odsunął skrawki papieru, rozwinął wiadomość napisaną krwią przez Jacoba i spojrział na nią. Była przeznaczona dla człowieka, który rozumiał więcej niż Duncan, dla kogoś lepiej obeznanego z pełną przemocy rzeczywistością Nowego Świata. Schował twarz w dłoniach.

Flora jest samotna i nie ma kto trzymać jej za rękę. Ta myśl przyszła mu do głowy nie wiadomo skąd. Nie mógł się pozbyć poczucia winy z powodu tego, że zostawił tę szaloną, bezimienną morderczynię na statku. Odpłynęła, skazana na powolną śmierć w tropikach, a on do końca życia będzie czuł tę niemoc, ból wywołany tym, że nie mógł jej pomóc, i dręczącą wątpliwość, czy nie została tak samo niesprawiedliwie skazana jak on. Był wodzem klanu i powinien pomagać Szkotom w potrzebie. Jednak zawiódł ją. Jej dziwne słowa, łagodny i rozpaczliwy dotyk jej dłoni podczas długich godzin w ciemności, poruszyły go bardziej, niż chciał przyznać. Teraz wiedział, że Flora również została dotknięta przez Nowy Świat, gdyż jej słowa odbijały się echem nad rzeką i pogranicznym szlakiem, będąc zarzewiem tej dziwnej, niepokonanej świadomości, która się w nim budziła. W nocy, na krawędzi snu, czasem czuł ciepło jej palców, jakby wciąż tu była. Stała się niewidzialnym członkiem jego klanu, w pewien sposób bardziej rzeczywista niż Sarah, która okazała się oszustką. Poprzedniej nocy śnił, że pozostał z Florą, popłynął na Jamajkę i uciekł z nią w małym zwinnym słupie na ciepłe, ciemne morze.

Uświadomił sobie, że okrągła twarzyczka patrzy na niego przez okno. Pospieszył do drzwi.

- Potrzebny mi przewodnik, paniczu Jonathanie - oznajmił. - Pokażesz mi twoje miasteczko?

Przeszli po obrzeżu tej małej społeczności, za psiarnią i zagrodą, w której

tłuste maciory karmiły prosięta. Kilku robotników nienależących do Kompanii głośno pozdrowiło chłopca, który odpowiedział, niezgrabnie machając ręką. Inni, znajomi z *Anny Rose*, nerwowo spoglądali na Duncana i bez słowa odwracali głowy.

Duncan mimo woli podziwiał sposób, w jaki zaplanowano budowę siedziby Ramseya. Miasteczko, które tworzył, mogło pomieścić znacznie liczniejszą społeczność. Minęli tartak, w którym cięto kłody na deski, i warsztat kamieniarski, gdzie przyciągnięte przez muły na saniach wielkie głazy ociosywano na progi i parapety. Przyjrzał się poganiaczom mułów, pamiętając zagadkowe słowa na kartce wyrwanej z dziennika Everinga. „Zaklinacz duchów przy oślim kole” - przeczytał - „ma język w sercu”. Jednak Duncan nie widział tu żadnych mułów zaprzęgniętych do wózka czy kieratu.

Jonathan pokazał mu wapiennik zbudowany w dolince obok leżącego najdalej na północ pastwiska, a nawet szopę garncarza, gdzie rdzawej barwy misy stały na ławie i schły w słońcu. Pola były starannie podzielone na prostokąty murkami z kamieni zebranych przy karczowaniu, tylko od południa wdzierał się między nie jęzor gęstych zarośli i krzewów, zakłócając porządek.

- Gdzie są inne dzieci? - spytał Duncan, gdy patrzyli, jak trzej mężczyźni przycinają belki na krokwie, a inni okorowują pnie kasztanowców.

- Virginia jest w rzeźni z wielebnym Arnoldem, który poszedł tam zaplanować posiłki na ten tydzień. Nie ma innych dzieci.

Duncan przyglądał się dwóm robotnikom spoza Kompanii karczującym pole. Nosili na szyjach żelazne obroże.

- Jaki grzech popełnili ci ludzie? - spytał zirytowany.

Jonathan powiódł wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem.

- Uciekli. Ojciec czasem jeździ do Filadelfii i przywozi tu niewolników, którzy przybyli na statkach. Podpisują papiery, że zostaną. Kiedy uciekają, pan Hawkins przyprowadza ich z powrotem. Tropi ich z psami ojca - oznajmił chłopiec, ruchem głowy wskazując psiarnię. - Ojciec mówi, że zawsze muszą być głodne, na wypadek gdyby miały kogoś tropić. Takim ludziom trzeba przypominać o ich grzechach - dodał beznamiętnie. - Bóg tak chce.

Duncan nie pytał o pochodzenie tego szczególnego wniosku. Zacisnął zęby i poszedł dalej. Ramsey nie budował tu greckiej utopii, ale rzymski cyrk.

- Niektórzy z tych ludzi na pewno mają rodziny - rzekł.

Spróbował skierować się ku zaroślom wchodzącym między pola, lecz Jonathan pociągnął go w przeciwnym kierunku, z rozmysłem nie patrząc na gęstwinię.

- Nie tutaj - odparł chłopiec. - Jeszcze nie. Ojciec im powie, kiedy będą mogli sprowadzić swoje rodziny.

- Kiedy zaczęli wznosić tę palisadę? - zapytał Duncan, przeszedłszy w milczeniu kilka kroków.

Zauważył następną grupkę robotników, tuzin mężczyzn idących w dwuszeremu za Cameronem i trzymających na ramionach klepki niczym muszkiety.

- Zeszłej jesieni. Kiedy skończą, będzie chronić całe miasto.

Duncan przypomniał sobie, że zeszłej jesieni to znaczy po bitwie na Kamienistym Szlaku i po ucieczce Sarah.

Przystanęli przy kamiennej cembrowinie studni i usiedli na niej, aby się napić z wiszącego nad nią drewnianego cebrzyka, rozmawiając o przelatujących po niebie gęsiach. Duncan pokazał chłopcu, jak ze źdźbła trawy i kciuków zrobić gwizdek, i ku radości Jonathana z lasu odpowiedziała mu sójka.

- Jonathanie, dlaczego twoja siostra udała się do Anglii? - niespodziewanie zapytał Duncan.

Chłopiec wbił wzrok w ziemię, wyraźnie spięty.

- Ojciec mówi, że była chora. Potrzebowała tamtejszych lekarzy,

- A gdzie przebywała przedtem?

Jonathan splótł dłonie i zaczął wykręcać sobie palce.

- Gdyby mama nie odeszła, byłoby inaczej. Przez te wszystkie lata modliliśmy się za udręczoną duszę Sarah. Mama mówiła, że kiedy spotkamy Sarah, będziemy w niebie. Jednak to ona poszła do nieba. A Sarah... Kiedy w końcu mogła nas zobaczyć, nie wolno nam było z nią rozmawiać. Ani jej dotykać.

Łzy stanęły mu w oczach. Kiedy Duncan położył dłoń na jego ramieniu, chłopiec odskoczył jak uderzony i zerwał się na równe nogi. Duncan był pewien, że pobiegnie do domu, lecz chłopiec tylko odszedł kilka kroków i odwrócił się, czekając. Duncan wstał i podążył za nim z powrotem na brzeg rzeki, gdzie przystanął przy kępie olch rosnących zaledwie sto jardów za domem.

Pod stopami Jonathana leżały kamyki, tuziny kamyków ułożonych w



kształt znany Duncanowi z dzieciństwa. Był to szkocki krzyż -o równych ramionach długości stopy, nałożony na krąg. Ten symbol był w niełasce współczesnego Kościoła, gdyż jego kształt kojarzył się ze świętymi kręgami malowanych na niebiesko Piktów i druidów. Tacy ludzie jak Arnold nie chcieli przyznać, jak wiele chrześcijaństwo zapożyczyło od pogan. W odległej krainie dzieciństwa Duncana ten symbol często służył jako amulet, potężne narzędzie do odstraszenia demonów.

Dwa cale od dołu i od góry na krzyżu znajdowały się opaski z żelaza, zapewne najcenniejszego kruszcu w miasteczku. Dolna wyglądała na odłamaną rączkę długiej chochli. Opaska na górze była z cienkiej metalowej taśmy. Duncan dotknął obu. Wielu szkockich górali uważało żelazo za lepszy niż krzyż amulet przeciwko demonom.

Przyjrzał się pozycji, w jakiej znajdował się krzyż.

- Są jeszcze inne? - spytał chłopca.

Jonathan wyglądał na zakłopotanego.

- I rozbijają skorupy jajek - wypalił.

- Skorupy jajek?

- Codziennie rano na stercie kuchennych odpadów są równo poukładane skorupki jajek, każda z wyciętym na dole otworem.

- Pokaż mi inne krzyże.

Jonathan poprowadził go brzegiem do dwóch kolejnych krzyży zrobionych z kamieni i żelaza, tak samo jak ten pierwszy, tylko z kawałków czerpaka chochli. Jednak gdy chłopiec przystanął przy trzecim, nie wskazał na ziemię. Duncan powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem, ku stodole, polom na drugim brzegu, po czym pojął, że chłopiec patrzy wszędzie, tylko nie na to, czego nie chce widzieć.

Duncan najpierw zauważył mrówki, ich długą kolumnę znikającą w cieniu olch. Podszedł bliżej i zamarł. Mrówki pożerały śniętą rybę leżącą obok następnego krzyża. Ryba znajdowała się na środku pionowego rzędu różnych przedmiotów i symboli. Pierwszym była ptasia czaszka i linie nakreślone z obu jej stron na ziemi. Ktoś nadepnął na nią ciężkim butem, miażdżąc czaszkę i prawie zacierając linie. Poniżej widniały zestawy wygiętych linii, potem ryba, żółte pióro, a później dwie sylwetki, na widok których Duncanowi zaparło dech - bobra i węża. Poniżej leżało następne pióro i czaszka, ta z kolei z kawałkiem żelaza tkwiącym w oczodole i przyszpilającym ją do ziemi. I w końcu woreczek, długi najwyżej na dwa cale i związany sznurkiem. Za tymi znakami, tworząc łuk, w miękkiej ziemi były odcisnięte

ślady dwóch różnych dłoni. A wokół tego wszystkiego biegle ślady butów, wszystkie w tym samym kierunku, wokół krzyża i przedmiotów. Ktoś trzy razy okrążył to miejsce, *deiseal*, czyli zgodnie z ruchem słońca, żeby przepędzić demony.

Duncan znów spojrzął na rybę. W jej pysk wetknięto gałązkę. Ta ryba mówiła, a teraz była martwa.

Chłopiec, który nadal nie patrzył na te przedmioty, lekko się trząśł. Duncan położył dłoń na jego ramieniu.

- Kiedy to odkryłeś?

- Dziś rano - odparł drżącym głosem Jonathan, odważywszy się zerknąć pod nogi. - Zbierałem kamienie. Pomyślałem, że może powinienem zakopać to wszystko. Czy mam o tym powiedzieć wielebnemu Arnoldowi? Nie wiem, co on by zrobił. - Chłopiec odskoczył i nagle zbladł. - To żyje! - jęknął.

Duncan za jego przykładem spojrzął na woreczek. Ten się poruszył.

- Myślę - rzekł Duncan, usilnie starając się ukryć złe przecucia - że powinniśmy to wszystko zostawić tak, jak jest.

- Ponieważ to zakłęcie trzymające je po tamtej stronie?

Duncan rozważył słowa chłopca, oceniając położenie przedmiotów na niewielkim mokradle, opodal domu. Krzyż nie był skierowany w stronę lasu na zachodzie ani ku wyspie.

- Ponieważ to zakłęcie - powtórzył.

Wiedział jednak, że znaki obok krzyża nie były zaklęciem ani rytuałem. Stanowiły szyfr. Najpierw powstał krzyż, zrobiony przez jakiegoś Szkota. Potem dodano pierwszą czaszkę ptasiego posłańca i linie wiadomości. Ktoś odpowiedział na to, kreśląc krzywe linie, cztery z prawej i tyleż z lewej, jakby stawiał nawiasy. Mogły symbolizować pazury przednich łap wilka. Później dodano pióro, ludzika z patyków, niedźwiedzia i węża, rybę, znaki Adama i Jacoba, i znowu pióro, jakby na potwierdzenie. W końcu czaszkę i ten mały, poruszający się woreczek. Duncan podniósł go i otworzył. Duża pszczoła wypełzła mu na kciuk, popatrzyła na niego i uleciała w niebo. Przez długą chwilę spoglądał za nią. Ptaki mogły być posłańcami duchów w świecie Irokezów. Jednak na szkockich wyżynach to pszczoły zносиły wiadomości zmarłym.

Cofnął się, ogarniając wzrokiem całą tę scenę. Była to rozmowa między dwiema osobami, które nie chciały lub nie mogły się spotkać twarzą w twarz. Wziął w niej także udział ktoś trzeci, kto wracał tu, zostawiając odcisk

buta, żelazny ćwiek w oczodole ptasiej czaszki oraz ślady biegnące zgodnie z ruchem słońca. Duncan znalazł tożsamość przynajmniej jednej z tych osób. Spojrzał na chłopca, który w milczeniu i z lękiem spoglądał na rzekę, a potem swym ołowianym ołówkiem dodał jeszcze jeden symbol na płaskim białym kamieniu, w miejscu gdzie była pszczoła. Narysował niedźwiedzicę Adama.

- Kiedy to odkryłem, nie mogłem pana znaleźć. Poszedłem powiedzieć sierżantowi Fitchowi - wyjaśnił Jonathan. - Jednak zmieniłem zdanie.

Duncan pociągnął chłopca na słońce, na skraju ogrodu.

- Dlaczego?

- Widziałem, jak pan Frasier prowadzi sierżanta do kuchni, i poszedłem za nimi. Byłem w sieni i nie widzieli mnie. Już miałem wejść, gdy usłyszałem, jak pan Frasier mówi sierżantowi Fitchowi, że zajmie czymś Camerona, kiedy on zejdzie na dół, do piwnicy. Nikomu nie wolno tam chodzić. Ojciec kazałby ich obu wychłostać, gdyby wiedział. Wczoraj pan Frasier został wyrzucony z domu i zwolniony ze swoich obowiązków za wchodzenie na piętro, czego nie wolno robić nikomu z Kompanii. Powiniennem powiedzieć ojcu, ale... - Jonathan na moment przygryzł wargi. - Sierżant Fitch wyrzeźbił mi konika. Lubię, jak się śmieje. I nauczył mnie głosów kilku ptaków.

Chłopiec przyglądał się twarzy Duncana. Gdy ten nie odpowiedział, Jonathan uciekł, nie do domu, lecz do wytyczonego białymi palikami prostokąta za stodołą, gdzie wielebny Arnold widział swój kościół.

Duncan pozostał przy krzyżu. Niechętnie obszedł go i ponownie przykucnął, kładąc dłoń na jednym z rysunków, jakby upewniając się, że został narysowany ludzką ręką. W końcu poszedł przed dom, przyglądając się pobliskim drzewom oraz marnym, zaniedbanym rabatom przy podmurówce. Znalazł to, czego się spodziewał. Oparł się o drzewo, patrząc na miasteczko, a potem z ponurą determinacją wszedł w cień na skraju pól i dotarł aż do pasa zarośli wdzierających się między pola. Ze ściśniętym sercem spojrzał na nie, po czym przedarł się przez krzaki kalmii na środek, gdzie na usianym gładzi podłożu rosły młode dęby i kasztany. Szedł ostrożnie, lecz skrzeczenie wiewiórki wystraszyło go tak, że potknął się o skryty w trawie pniak i upadł. Podnosząc się, zauważył, że nie był to zwalony pień, lecz ociosany bal, zwęglony i zbutwiały. Potem dostrzegł następny bal i jeszcze jeden, oparty o kolejny, i z zapartym tchem odkrył, dlaczego Ramsey

nie wykarczował tego kawałka lasu.

Kamienie były topornie ociosanymi nagrobkami i znajdował się ich tu tuzin - ośmiu mężczyzn i kobiet oraz czworga dzieci. Wszyscy umarli w tym samym roku - 1746. Duncan położył dłoń na największym nagrobku, na którym wyrzeźbiono skrzydlatego cherubina.

1740-1746, głosił napis pod aniołkiem. Nagle ścisnęło mu się serce i osunął się na kolana. Na nagrobku było wykute nazwisko i imię. Sarah Ramsey.

Nie wiedział, jak długo walczył z rozpaczą, która go ogarnęła. Patrzył, jak jego palce same przesuwały się po kamieniu, drżąc, odrywając mech porastający litery. Skrobał kamień czubkami palców, a potem opadł nań, kryjąc głowę w dłoniach i dziwiąc się swemu cierpieniu. Zastanawiał się, czy powodem było tylko to okropne przecucie czy data? Był to ten sam rok, 1746, w którym stracił oboje rodziców - rok bitwy pod Culloden.

Godzinę później znowu siedział przy szkolnym stole, oglądając swoje skrawki papieru i walcząc z ogarniającą go rozpaczą, raz po raz przekładając paski, za każdym razem przez kilka minut patrząc na leżące przed nim pióro i niezapisane kartki, aby później spojrzeć przez okno w kierunku domu, widząc, tak jak Lister, kobietę o imieniu Sarah spoglądającą na las z okna na piętrze. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że poproszono go o skrzeseanie ognia w prochowni.

W końcu zdał sobie sprawę z czyjejs obecności i podniósłszy głowę, ujrzał Crispina z talerzem zimnej wołowiny i ziemniaków.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha - rzekł wielkolud, podsuwając mu talerz.

- Zobaczyłem. Zapuściłem się w te krzaki, które wchodzą między pola.

Crispinowi wydłużyła się mina.

- Tam nikt nie chodzi. To przeklęte miejsce.

- To byli pierwsi osadnicy, prawda?

Crispin tęsknie spojrział w kierunku drzwi, jakby zamierzał uciec, ale przysunął sobie stół i usiadł naprzeciw Duncana, lecz twarz zwrócił do okna.

- Kiedy pan Ramsey kupił tę ziemię, była tu mała osada, kilka od dawna opuszczonych chat. Zatrudnił sześć rodzin do wykarczowania lasu pod

pierwsze pola i przyjechał tu jesienią na miesiąc, głównie by polować. Było ciepło. Nazywają to indiańskim latem, ponieważ dla plemion to ulubiony czas napadów, aby zdobyć łupy, którymi cieszą się zimą przy obozowych ogniskach. Lord udał się na polowanie na jelenie w dół rzeki, do Pensylwanii, i zabrał ze sobą połowę mężczyzn. Kiedy wrócili, wszystkie chaty były spalone, a mieszkańcy porąbani na kawałki. Ludzie mówią, że zrobili to Irokezi, którzy wtedy jeszcze nie byli naszymi sprzymierzeńcami.

- Chcesz powiedzieć, że zostawił tu swoją córkę, kiedy wyruszył na łowy? - spytał Duncan.

Sposób, w jaki Crispin spuścił głowę i zapatrzył się na splecione dłonie, stanowił wystarczającą odpowiedź.

- Nie zbliż się do tego miejsca. Lord Ramsey kazał zasadzić wokół kolczaste krzewy. Gdyby cię tam zobaczył...

- Jest tam grób Sarah Ramsey.

Sługa na moment schował twarz w dłoniach.

- Niedobrze rozgrzebywać stare groby. Gdy zabrakło pani Ramsey, nie ma nikogo innego - dodał głuchym głosem.

- Dlaczego nikt nie powie o niej słowa prawdy? - zapytał Duncan.

Wiedział, że Crispin nie próbuje go podpuścić ani zwieść. On po prostu usiłował chronić tę dziwną kobietę, którą Duncan wyciągnął z atlantyckich fal.

- Trzymaj się z daleka od lasu - rzekł nagle i błagalnie Crispin. - To nikomu nie przyniesie nic dobrego.

- Oni chcą skazać Listera na śmierć przez powieszenie, Crispinie - przypomniał mu Duncan. - A ja uważam, że wyjaśnienie tego morderstwa jest związane z tą kobietą używającą imienia zmarłej dziewczyny. Jeśli nie rozwiążę tej zagadki, mogę tylko wskazywać różne możliwości i wyjaśnienia, które mogą być błędne. Już zginęli niewinni ludzie. Kolejny zawisnie, jeśli będę znajdował tylko cienie.

- Ależ ten twój przyjaciel... - zaczął z niepewnym uśmiechem Crispin. - Uwolnili go, tylko umieścili wśród robotników. Kąpie się w rzece, radosny jak ptaszek.

Duncan bez słowa pomknął do drzwi i po chwili przystanął przy rosnącym na brzegu dębie. Pół tuzina robotników przyglądało się kościstemu starcowi w rzece, jedni z uśmiechem, inni z zaniepokojonymi, zatroskanyminami. Lister rozebrał się do pasa i siedział na płaskim kamieniu,

śpiewając nieco nieprzyzwoitą piosenkę o hiszpańskich damach, szorując ramiona piaskiem i sitowiem. Trzydzieści stóp w górę rzeki stał Frasier z jeszcze jednym dozorcą, uzbrojeni w pałki.

- Serce tego starego durnia jest lekkie jak listek - powiedział ktoś za plecami Duncana. Ten odwrócił się i zobaczył stojącego nieopodal Camerona, który z niepokojem spoglądał na Listera. - Moje też by takie było, gdybym wypił tyle brandy.

- Co się stało?

Cameron wzruszył ramionami.

- Przyszedł rozkaz jego lordowskiej mości, razem z flaszką jego najlepszego francuskiego trunku. Wypuścić Listera, umieścić wśród innych więźniów Kompanii i dobrze pilnować.

Gdy Lister obrócił się na głazie, wziął płaski kamyk i puścił nim kaczki na wodzie, kilku widzów zbladło i odwróciło głowy. Plecy starego były poprzecinane siatką blizn z nakładającymi się na nie świeżymi strupami po ostatniej chłości.

Czyżby Ramsey wziął Duncana za słowo i naprawdę uznał, że ma wobec niego dług? Jednak po chwili Cameron wręczył Duncanowi jakieś zawiniątko.

- Pozdrowienia od pana - oznajmił i odszedł.

W środku było kilka kartek dobrego białego papieru i cztery świeżo naostrzone pióra. Spojrzał na dom. Arnold stał na ganku, patrząc na niego wyczekująco. Wcale nie spłacali długu. Nadal zmuszali go do wywiązania się z umowy, podwyższając stawkę. Duncan musiał skończyć swoje sprawozdanie. Nie zamierzali uwalniać Listera na długo. Trzymali Duncana na niewidzialnej smyczy.

O północy Duncan podszedł do drzwi wielkiego domu ze sprawozdaniem zawiniętym w rulon czystego papieru z wypisanym na nim nazwiskiem lorda Ramseya. Przystanął i dotknął żelaznego rygla. Drzwi nie były zamknięte. Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem podwórze, aby się upewnić, że nikt nie patrzy, wszedł do środka i położył sprawozdanie na stoliczku, pod migoczącą świecą w cynowym świeczniku. Dom był pusty i cichy. Podniósł świecznik i przeszedł po podłodze z desek do kuchni, szukając czegoś, czym mógłby zaspokoić rosnący głód. Z zadowoleniem oraz poczuciem winy znalazł i skonsumował piętękę chleba, zanurzając ją w

rynieniec z masłem pozostawionej na parapecie, po czym zauważył drzwiczki pod schodami. Powoli i bezszelestnie podniósł rygiel, po czym uniósł wyżej świecę i zszedł po schodach do zakazanej piwnicy Ramseya.

Rozległe pomieszczenie z klepiskiem było zastawione rzędami drewnianych skrzyń i beczek. Przeszedł wzdłuż najbliższej ściany, odczytując nalepki przy świetle świecy. Madera, porto, brandy. Cukier, sól, piwo i tuzin innych produktów. Na kamiennych płytach pod przeciwległą ścianą stały skrzynie i kufry noszące nazwisko Ramseya namalowane czarną farbą, tak jak te, które Duncan widział na statku. Po kilku chwilach zorientował się, że to te same, które z Woolfordem widzieli w ładowni. Jedna wciąż pachniała smołą, choć zniszczone nią płaszcze zniknęły. Dalej, pod przykryciem z grubego płótna, stały baryłki rumu, które mógł szybko policzyć. Podniósł świecę i w odległym kącie odkrył klatkę z grubych belek i desek. Jej wąskie drzwi ani drgnęły, gdy sprawdzał zamek.

Takie sejfy były używane w jego kolegium medycznym do przechowywania uzależniających lekarstw, jeśli lekarzy było tak wielu, że byłoby niepraktyczne dawać im wszystkim klucze. Przysunął świecę do drzwi i przez szparę dostrzegł drewnianą antabę blokującą je na górze. Zaczął szukać, naciskając poszczególne deski, wpychając w szczeliny palce rąk i nóg. Pierwsza deska za narożnikiem zaskrzypiała, gdy pchnął ją nogą, odchylając się na skrytym na jej środku trzpieniu. Przytwierdzona do górnej części deski antaba odsunęła się, otwierając drzwi, i Duncan wszedł do środka.

Wzdłuż przedniej ściany komory były ustawione baryłki rumu. W jednym rogu stała niska ława ze stojakiem mieszczącym cztery ciężkie pistolety z nowymi krzesiwami, wyczyszczone, nabite i gotowe do użytku. Obok leżało kilka zapasowych krzesiw oraz gałgany do czyszczenia broni. Na stoliczku pod ścianą leżała oprawiona w skórę księga rachunkowa z listą zakupów na początku. Jednak na końcu księgi znajdowała się inna lista - kilkumiesięczny rejestr wypłat dla około dwóch tuzinów ludzi. Większość nazwisk się powtarzała, a najczęściej nazwisko Hawkinsa. Przy każdym widniał rząd podwójnych krzyżyków. Mogły to być futra albo zwierzyna upolowana do kuchni. Najnowsze wpisy, dla Hawkinsa i pięciu innych ludzi, pochodziły sprzed trzech dni i zostały napisane innym charakterem pisma.

Obok księgi leżała ręcznie narysowana mapa okolicy na północ od Edentown, wzdłuż rzeki meandrującej przez schematycznie nakreślone góry. W połowie drogi w górę rzeki naszkicowano grupkę skał w postaci wysokich kamiennych kolumn opisanych jako „Kominy”. Pozostałe szczegóły zaznaczono dalej na północ i nieco na zachód. Były to dwa miejsca oddalone o pół cala, opisane maczkiem i podkreślone. Niemiecka Równina i Kamienisty Szlak. Poniżej, na samym dole mapy, widniało tylko jedno słowo: Okewa.

Duncan już miał wyjść, gdy jego spojrzenie padło na dwa worki po macce, oba zawierały jakieś miękkie przedmioty. Wysypawszy na stół zawartość pierwszego, odkrył ładną wojskową czapkę z czerwonym czubem i dużym numerem 49 wyhaftowanym złotą nicią. Obejrzał ją w słabym świetle i wsunął rękę do środka, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ktoś tak ją schował. Przysunął czapkę bliżej światła. Z boku znajdowały się cztery dziurki, dostatecznie duże, żeby wsunąć w nie ołówek, ułożone w dwie pary oddalone od siebie o cztery cale. Były za małe na dziury po kulach i zbyt regularne, żeby zrobiły je mole. Na dnie worka był mosiężny cylinder, długi na około pięciu cali, dziurkowany i zasklepiony u podstawy, a od góry zamknięty stożkową pokrywą na zawiasie.

Duncan w zadumie otworzył drugi worek i wysypał jego zawartość na stół, po czym cofnął się z jękiem. W środku znajdowały się czaszki, około dwudziestu czaszek ptaków - posłańców bogów. Drżącymi rękami wysypał je z powrotem do worka, a cylinder wsunął do kieszeni. Podniósł czapkę, żeby z powrotem umieścić ją w worku, ale rozmyślił się i pospiesznie wepchnął ją za pas, schował do kieszeni mapę, a pusty worek napchał szmatami do czyszczenia broni.

Minutę później opuścił dom i uspokoił się, głęboko wdychając chłodne nocne powietrze, idąc w świetle księżyca przez zaorane pola. Usiadł pod wielkim pniakiem, za dużym, by muły zdołały go wyrwać. Próbował się zagubić w bezkresie nocnego nieba.

Obracał w rękę czerwoną czapkę, nie wiedząc, dlaczego ją zabrał i czemu była taka ważna dla Ramseya. Z niewiadomego powodu wydawało mu się, że zrobił dobry początek, maleńki krok, aby zostać wodzem klanu, czego oczekiwał od niego Lister. Patrząc w gwiazdy, zaczął cicho śpiewać po gaelicku starą balladę o szkockim wojowniku, który walczył z bogami, aby uratować swój klan.



## Rozdział 8

Lord Ramsey wezwał go do siebie przed południem następnego dnia.

- Przeczytałem twoje sprawozdanie - oznajmił z fotela za biurkiem. Pod jego jedną upierścienioną dłonią leżał raport Duncana. - Zdziwiasz mnie, McCallum. Czego nie zrozumiałeś w powierzonym ci zadaniu? Z doświadczenia wiem, że wielebny Arnold wyraża się jak najbardziej zrozumiale.

Arnold stał za Ramseyem, założywszy ręce na kamizelce. Duncan odwzajemnił palące spojrzenie księdza, zanim odpowiedział Ramseyowi.

- Dałem ci dokładnie to, czego potrzebujesz, panie. Rozwiązanie i sposób na uniknięcie skandalu, a zarazem szkody, jaką przyniosłoby Kompanii skazanie niewinnego człowieka.

Ramsey zmarszczył brwi i pomachał kartkami.

- Twierdzisz, iż jest jakaś prawidłowość, że te same siły stoją za śmiercią Everinga i jakiegoś starego dzikusa oraz że ma to związek z bitwą na Kamienistym Szlaku. Podajesz szczegółowe naukowe wyniki oględzin zwłok Everinga, ale nie chcesz przyjąć punktu widzenia wielebnego Arnolda na zagadkę kabiny nawigacyjnej. Nie widzę, jak to miałoby przywrócić ład w Kompanii.

Spojrzenie lorda powędrowało ku oknu i wzniesionemu ostatnio płóciennemu namiotowi. Ramsey znów zmarszczył brwi.

Wczesnym rankiem przybyli nowi podróżni, niemile powitani przez Ramseya. Wysoki siwobrody mężczyzna zagadnął Duncana, pytając o wielebnego Arnolda. Po pięciu minutach rozmowy przedstawił się jako wielebny Zettlemeier, misjonarz z Moraw, który przyprowadził osadników z tuzina sadyb spalonych przez nieprzyjaciół. Ramsey zaproponował im schronienie w namiocie, który kazał rozstawić na drugim końcu pól. Wraz z

niedobitkami osadników przybyło pół tuzina czerwonych kurtek, prosto z Nowego Jorku, jeszcze mniej mile przyjętych przez Ramseya.

- Rytuał przy kompasie można zinterpretować na wiele sposobów - wyjaśnił Duncan. - Wielebny widzi w tym dzieło londyńskiego profesora, lecz on sam jest produktem właściwej angielskiej edukacji, tak samo jak Evering. Podaje - ciągnął Duncan, starannie dobierając słowa, doskonale zdając sobie sprawę, że jeśli posunie się za daleko, odbiorą mu głos i przyjmą własne rozwiązanie - interpretację właściwą dla wykształconego i uduchowionego człowieka. - Arnold przez moment miał niepewną minę, ale skinął głową. - Tylko co, jeśli zabójca nie odebrał równie starannego wykształcenia?

Duncan zaczął sobie uświadamiać, że ten rytuał bardziej przytłaczał Arnolda i Ramseya niż morderstwo popełnione na Everingu.

- Sugerujesz, że zabójca najpierw zabił Everinga, a potem odprawił ten upiorny rytuał?

- Sugeruję, że kości mogły uosabiać poległych na Kamienistym Szlaku, a sól solankę znajdującą się w pobliżu miejsca, gdzie stoczono bitwę. Szpon i oko mogły oznaczać, że coś wciąż obserwuje, wciąż działa, zmierzając do jakiegoś celu. Klamra mogła symbolizować poległych żołnierzy. Pióro oznacza wojownika, a więc zabitych Indian. Ktoś chciał w ten sposób powiedzieć, że bitwa na Kamienistym Szlaku jeszcze się nie skończyła. Ktoś pragnie zemsty. Ktoś - podsunął Duncan - kto był tam, na Kamienistym Szlaku.

To dziwne, lecz lord Ramsey na moment zamknął oczy i ścisnął poręczę fotela.

- Tego nie możesz wiedzieć. I nie wiesz. To pióro nie mogło należeć do Indianina. Statek płynął z Anglii, nie z Ameryki. Ponadto nie wspomniałeś o zakrwawionym sercu.

- Uznałem, że lepiej się nad tym nie rozwodzić. To był inny znak, wymierzony przeciwko Kompanii Ramseya.

- To śmieszne! - warknął Arnold.

Duncan sięgnął do kieszeni i rzucił zgnieciony wisiołek na papiery leżące przed Ramseyem.

- To było wepchnięte w arterię.

Arnold chciał zaprotestować, lecz Ramsey podniósł kawałek zdeformowanego srebrnego wisiora i położył sobie na dłoni, patrząc nań z przygnębieniem.

- Kapitan Woolford to potwierdzi - dodał Duncan - jak również moje słowa dotyczące pióra.

To stwierdzenie wyrwało Ramseya z nagłej melancholii.

- Chyba nie powiedziałeś o tym wszystkim Woolfordowi?

- Jeszcze nie. Jednak wieloebny Arnold chciał, abym złożył sprawozdanie jemu i kapitanowi.

- To było wtedy, kiedy byliśmy na statku - pospiesznie wyjaśnił Arnold.

- Kłopoty zaczęły się wraz ze śmiercią Everinga - zauważył. - A przecież on nie mógł być w jakikolwiek sposób powiązany z wydarzeniami na Kamienistym Szlaku.

- Mylisz się. Wiedział o nich, znał ich tajemnicę.

- Niemożliwe.

Przechadzający się teraz po pokoju Ramsey przystanął przy wychodzącym na północ oknie i niechętnie spojrzął na żołnierzy w czerwonych kurtkach idących ulicą, jakby na patrolu.

- Pisał o tym - wyjaśnił Duncan. - Prowadził dziennik.

Arnold zeszytywniał jak jego wykrochmalony kołnierzyk i podszedł do Duncana, przysuwając się tak blisko, że młodzieniec poczuł jego oddech.

- Jaki dziennik?

- Notował w nim nie tylko naukowe obserwacje.

- Muszę go mieć! - zażądał Arnold.

- Został w mieście - rzekł Duncan. - Jednak dołączę stosowne oświadczenie. Zznam pod przysięgą, że profesor Evering miał informatora. Jakiś członek Kompanii wyjawiał mu tajemnicę związaną z bitwą na Kamienistym Szlaku i niedługo potem profesor został zamordowany. Popelnilibyśmy błąd, zapominając, że połowa ludzi Kompanii służyła w wojsku.

- Będziemy potrzebowali prawdziwego raportu - wtrącił Arnold. - Nie możemy zapuszczać się na ten niebezpieczny grunt na podstawie tak niepewnych stwierdzeń. Ponadto zapomniałeś wspomnieć o buntowniczych wypowiedziach szkockich więźniów.

- Jednak taki raport najlepiej służy Kompanii - nalegał Duncan - i taki należy przedstawić wojsku. Stwierdza, że te morderstwa są związane z jakąś wojskową intrygą i nie dotyczą Kompanii. To pozwala Kompanii uniknąć skandalu. Armia nie wyjaśniła, co tamtego dnia wydarzyło się na Kamienistym Szlaku. Stoczono bitwę, ale nie wykazano żadnych śladów wroga.

Można by podejrzewać, że wojsko ukrywa prawdę. Kompania jest ofiarą w takim samym stopniu jak ci, którzy zginęli. Ktoś szuka zemsty za to, co tam się stało, lub próbuje naprawić wyrządzone tam zło, ktoś znający tajemnicę tego, co się wtedy wydarzyło. Ktoś - dodał Duncan - kto ma powód, by szukać szamana Tashgui. W ciszy, która nagle zapadła w pokoju, Duncan usłyszał ryk osła w oddali. Ramsey podszedł do okna, przez moment spoglądał na las, a potem odwrócił się i wyczekująco popatrzył na Duncana.

- Prześlemy ten raport gubernatorowi - ciągnął Duncan. - Gdybyś przekazał go bezpośrednio generałowi, nabrałby podejrzeń. Gubernator w tajemnicy pokaże go Calderowi, żeby zaskarbić sobie jego wdzięczność za przysługę, a także zobaczyć jego reakcję. Obaj muszą wiedzieć, że zagadka bitwy na Kamienistym Szlaku pozostaje nierozwiązana. Stwierdzimy, że morderca nie zakończył swego dzieła, że intryga rozpoczęta na Kamienistym Szlaku jeszcze się nie skończyła, że ktoś najwidoczniej usiłuje powstrzymać dzieło Kompanii Ramseya na pograniczu, a jedynym powodem może być to, że nie chce, by Anglicy wygrali tę wojnę. Gubernator będzie musiał podziękować ci za zwrócenie mu uwagi na tę sprawę. Generał będzie musiał powiedzieć, że wojsko się tym zajmie. Armia ma własne sądy. Ciężar ukarania winnego zostanie zdjęty z Kompanii.

- A co, jeśli Lister jednak jest zabójcą? - ostrożnie spytał Ramsey. - Odwróciłeś od niego podejrzenia. Jednak nie dowiodłeś, że jest niewinny.

- Zadaniem sądu nie jest udowadnianie niewinności każdego człowieka, lecz winy jednego. Przeciwko panu Listerowi nie ma żadnych dowodów poza jego niewyjaśnioną obecnością w kabinie Evinga. Dołączone do raportu oświadczenie wyjaśnia, że był tam na czyjąś prośbę.

- Twoje oświadczenie. Na twoją prośbę - przypomniał Arnold.

- Oświadczenie waszego uczonego rzeczoznawcy, stwierdzające, że pomagał w ten sposób ustalić przyczynę śmierci Evinga. Nie możecie akceptować jednych moich oświadczeń, a negocjować drugich. Poręczyłem jego niewinność własnym życiem.

- A przynajmniej wolnością - dorzucił zjadliwie Arnold. Zwrócił się do Ramseya: - To zbyt drażliwa sprawa, mój panie. Niepotrzebne mieszanie do niej armii nic nie da.

Ramsey jednak znów patrzył na żołnierzy w czerwonych kubrakach, kręcących się koło jego stodoły.

- Dlaczego wojsko miałoby tańczyć, jak mu zagrasz? - zapytał.

Jego oczy nagle się ożywiły, spoglądał to na Duncana, to na Arnolda.

- Ten plan się powiedzie - odparł Duncan, dziękując w duchu lordowi, który dostarczył mu długo oczekiwanej okazji - tylko jeśli generał istotnie wie, że ukryto jakąś mroczną prawdę o Kamienistym Szlaku. W takim przypadku zdaje sobie sprawę, że dalsze jej ukrywanie źle wpłynie na jego polityczne aspiracje. Calder sądził, że pognębi Kompanię Ramseya, sugerując, żebym przyjrzał się wydarzeniom na Kamienistym Szlaku, jakbyśmy i my mieli coś do ukrycia. Jednak my nie obawiamy się prawdy, tak jak powinien się bać on. Nie będzie się spodziewał, że Kompania okaże się tak odważna i przejmie inicjatywę. Jak pokazali nam starożytni Grecy - oświadczył Duncan, bacznie przyglądając się Ramseyowi - na wojnie zaskoczenie jest wszystkim. To mądre i zuchwałe posunięcie oznajmi wszystkim, którzy się liczą w kolonii, że Kompania Ramseya nie będzie narzędziem ani marionetką armii.

Ramsey usiadł, odchylił się w fotelu i nieobecny wzrokiem spozjrzał przez okno na ciemny las za rzeką. Arnold podszedł do tacy z herbatą i pospiesznie nalał sobie filiżankę.

- Jeśli się nie mylę, masz powody do niechęci do wojska - ostrożnie zauważył Ramsey.

Wstał i powoli przeszedł wzdłuż regału z książkami.

- Chętnie przysporzę im kłopotów.

- Jednak to, co proponujesz, można uznać za spiskowanie przeciwko armii - rzekł z krzywym uśmiechem Ramsey. - Gubernator może się zastanawiać nad naszymi motywami.

- Udowodnimy, że armia powinna się tym zainteresować, gdyż losy wojny zależą od lojalności Irokezów, tak więc należy wyjaśnić śmierć tylu sojuszników na Kamienistym Szlaku. Oczywista konkluzja jest taka, że było to dzieło francuskich agentów. Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że to robota zdrajcy. To wystarczający powód, aby wojskowi kłamali, utrzymując swoje działania w sekrecie, a także by zginęli następni ludzie. Dowiedziesz, panie, swojej lojalności - ciągnął Duncan - przysięgając, że nie podasz do publicznej wiadomości tego wstydliwego dla rządu Jego Królewskiej Mości faktu, i zapewniając, że nigdy nie sugerowałbyś, że ktoś na stanowisku Caldera jest zdolny do ukrywania zdrajców. Ważni ludzie mają ważne tajemnice.

Ramsey przystanął i znów odwrócił się do Duncana: Miał błysk w oczach.

- Gdybym był na miejscu Caldera i dowiedział się o tym raporcie, co bym zrobił?

- Przestałbym się interesować Kompanią Ramseya - odparł Duncan. - Ponieważ każde działanie przeciwko interesom Kompanii tylko wzmocniłoby nasze zarzuty. Podjąłbym odpowiednie kroki, aby dowieść gubernatorowi, że jedynym celem moich wysiłków jest eliminacja nieprzyjaciół króla, inaczej ktoś mógłby podejrzewać, że w grę wchodzi osobiste ambicje.

Ramsey machinalnie przesunął palcami po grzbietach książek.

- Obowiązek nauczania moich dzieci - powiedział w zadumie - jest najtrudniejszą próbą twojej lojalności.

- Panie?

Atmosfera w pokoju się zmieniła. W słowach Ramseya kryła się zachęta. Lord stanął przed Duncanem.

- Budujemy tu imperium. My stanowimy tutaj imperium. Dokonają się wielkie rzeczy, które zostaną sownie nagrodzone. Świat, jaki dam moim dzieciom, będzie zupełnie inny od tego, jaki tu widzisz. Będzie to Anglia taka, jaka powinna być, pozbawiona jej wad i niedogodności. Podzielę się z tobą tajemnicą, jaką niewiele rozumie. Nazwisko Ramsey wkrótce będzie powtarzane na całej tej ziemi. Ramseyowie i ci, którzy przy nich stoją, będą honorowani przez historyków wielu przyszłych pokoleń.

Duncan zerknął na Arnolda, niemal spodziewając się, że ten powie „amen”.

- Dostarczymy odpowiedzi na wiele pytań odnośnie do ludzkiej natury - rzekł zamiast tego Arnold.

- Dzikusów należy wygnać z tej ziemi, nieprawdaż? - zapytał Ramsey.

Pytanie zawisło w powietrzu, a Duncan usiłował zrozumieć sens tej naglej zmiany tematu.

- Tak, panie - odparł w końcu.

- Należy zaprowadzić na tej ziemi naukę i ład - rzekł Ramsey.

- Tak, panie - powtórzył napiętym głosem Duncan.

- Oraz Boga i Jego prawa.

- Tak, panie - zawtórował mu Duncan, pojawiając swoją rolę w tej liturgii.

- Prosiłem wielbnego Arnolda, by wyjaśnił mi każdy szczegół tamtego dnia w czasie burzy. Byłeś bliski śmierci, gdy skoczyłeś do morza. A jednak

wynurzyłeś się, z najstarszym z moich dzieci w ramionach. Co widziałeś, co czułeś w czarnej toni? Czy nie czułeś unoszących cię dłoni Boga? - spytał Ramsey z dziwną nadzieją w głosie.

- Wszystko, co pamiętam - odparł Duncan - to jak ocknąłem się w więziennej celi, zziębnięty i drżący.

Ramsey zdawał się cieszyć z tej odpowiedzi.

- Hiob też musiał wiele wycierpieć, aby docenić rolę, jaką przeznaczył mu Wszechmogący. W końcu przypomnisz sobie, co ci się przydarzyło w wodzie, kiedy dotknęła cię dłoń przeznaczenia, a wtedy musisz zapisać to dla Kompanii.

Duncan uświadomił sobie, że spogląda przez okno na ludzi pracujących na błotnistych polach. Tam nie czułby się tak brudny jak teraz, stojąc w bibliotece lorda Ramseya. Oprócz osadników do miasteczka przybyły jeszcze dwie osoby, gdyż rano pojawił się McGregor, eskortując jednego z tych ludzi Kompanii, którzy wyruszyli do lasu z Hawkinsem - młodego człowieka o oszalałym, pustym spojrzeniu. Ten stał się bezużyteczny w lesie, wpadłszy w szok. Duncan zacisnął zęby i spokojnie patrzył na lorda. Może nie znał swojej roli w dramacie, który tu odgrywano, ale z pewnością wiedział, co Ramsey chce usłyszeć, a wieszanie psów na wojsku nie sprawiało mu przykrości.

- Nie pozwolimy generałom odegrać decydującej roli w tych wydarzeniach - oznajmił.

Ramsey zmrużył oczy. Arnold, zrozumiałwszy nieme polecenie, podszedł i zamknął drzwi biblioteki.

- Przekazując raport gubernatorowi, dowiedziesz, panie, że jedna kompania ludzi Ramseya jest skuteczniejsza niż dziesięć kompanii żołnierzy - zakończył Duncan, przelykając wstyd.

Ramsey podszedł do stołu i dał znak Duncanowi, żeby się odwrócił. Potem podniósł umocowany na zawiasach blat. Duncan usłyszał szmer kilku otwieranych szuflad. Wiedział, że lord otwiera schowek, jeden z tych sejfów, jakie często wbudowywano w takie stoły i otwierano, wysuwając szuflady w odpowiednim porządku i kolejności. Po chwili Ramsey dyskretnie zakaszał i Duncan, odwróciwszy się, zobaczył, że lord trzyma w dłoni rulon pergaminu. Z triumfalną miną skinął na Duncana i rozłożył dokument na stole, gdy młodzieniec podszedł. Kaligraficzne pismo oraz skomplikowane i kolorowe ozdobniki na marginesach nadawały dokumentowi wygląd iluminowanego manuskryptu.

Jednak spojrzenie Duncana szybko przykuła duża lakowa pieczęć obok daty sprzed zaledwie trzech miesięcy.

- Od samego króla - oznajmił z konspiracyjną miną Ramsey, podnosząc mapę ze stołu i opierając o poręcz fotela. Szeroki pas ziemi był zakreślony na czerwono. - Dziesięć tysięcy mil kwadratowych. Większa część kolonii na zachodzie, aż po wielkie śródłądowe morze, które zasila Rzekę Świętego Wawrzyńca. Król chce, żeby ta ziemia była nasza.

Serce zamarło Duncanowi w piersi, gdy widział uśmiezek na cienkich wargach Ramseya.

- Jestem pod wrażeniem sposobu, w jaki potrafisz wykorzystać śmierć - oznajmił angielski pan, po czym wrócił do tacy i napełnił następną filiżankę. - Chce pan cukru do herbaty, profesorze McCallum?

- Karolina. - To było pierwsze słowo, jakie wymówił Lister, kiedy Duncan znalazł go pracującego przy stawianiu jednej z nowych chat. - To nasza odpowiedź - rzekł stary marynarz, odciągając Duncana na bok, żeby jego kompani nie mogli go usłyszeć. - W tych górach są całe setki Szkotów. Słyszałem, że są nawet całe miasta, w których mówi się tylko w dawnym języku. Kowal czasem opowiada o tym przy pracy. W zeszłym roku kilku Szkotów uciekło z niewoli Ramseya na południe i zdołało ująć jego psom. Tam Szkoci mogą być wolni, poza zasięgiem prawa. Cameron zbiera kanu na rzece za miastem. Możemy wziąć jedno, wypłynąć na Delaware i dotrzeć nią do Filadelfii, a tam zaciągnąć się na statek i dopłynąć do Charlestonu.

- Chcesz, żebyśmy uciekli?

- Chcę, żebyśmy przeżyli. Wczoraj pod warsztat bednarza zajechał wóz. Widziałem, jak wyładowali z niego pięćdziesiąt muszkietów. Sztaby ołowiu, rogi z prochem, formy na kule, wszystko złożono i zamknięto w tej szopie. Lord Ramsey zamierza poprowadzić nas na wojnę.

Duncan spojrział na wielki dom. W oknie na górze coś się poruszyło. Kobieta używająca nazwiska Sarah Ramsey znów patrzyła na las. Zaczął czuć się jej ofiarą. Ocalił oszustkę.

- Plecak Woolforda jest na ławie w stodole - rzekł. Zwiadowca znikł dwa dni wcześniej. - Muszę z nim porozmawiać.

- Jadł z Fitchem posiłek przy południowej studni, a potem wszedł w las, o tam.



Duncan poszedł skrajem pól za domem, często przystając, by niespokojnie popatrzeć w las. Powtarzał sobie, że to nie jest zachodni brzeg rzeki, lecz rzadszy, ujarzmiony las. Uzbrowiwszy się w znaleziony gruby kij, powoli wszedł między drzewa, często upewniając się, że wciąż ma wielką stodołę w zasięgu wzroku. Minęła prawie godzina tego nerwowego rekonesansu, zanim znalazł polanę oddaloną o trzysta jardów od skraju lasu. Pod konarami kilku wielkich buków ułożono prostokąt z czterech bali, a w jego środku nie było - jak spodziewał się Duncan - dołu na ognisko, lecz wysoka na trzy stopy platforma z długich i płaskich kamieni, ułożonych jeden na drugim. Najwidoczniej zrobiono ją przed wieloma laty. Ławy z kłód zaczęły butwieć, a kamienie ołtarza porastał mech. Wokół kamieni rosły młode drzewka.

Na jednej z kłód siedziała postać odziana w zieleni, ze strzelbą pod ręką, patrząc na stertę kamieni, jakby w oczekiwaniu, aż coś się z nich wyłoni. Wyglądający na wyczerpanego Woolford nie podniósł głowy, dopóki Duncan nie stanął kilka stóp przed nim, a wtedy spojrział na niego, marszcząc brwi, i znów zapatrzył się w stożek z kamieni.

- Mówią, że w minionym wieku plemiona i pierwsi osadnicy budowali takie miejsca jak to przy każdej osadzie - rzekł beznamietnie zwiadowca. - Powiadają, że stary Penn i kwakrzy często je odwiedzali, żeby porozmawiać z wodzami. Niewielu umiało mówić po angielsku i językiem Indian, ale nieczęsto dochodziło do rozlewu krwi. Teraz, kiedy możemy ze sobą rozmawiać, chcemy tylko zabijać się nawzajem.

- Zatem to miejsce spotkań, tak? - zapytał Duncan, siadając obok Woolforda.

- Indianie nazywają je Skrajem Lasu. Stary Jacob i Hendrick opowiadali o takich ceremoniach, w których brali udział jako młodzi wojownicy. To tutaj ci, którzy wyszli z lasu, spotykali tych, którzy nie byli z lasu. Przybyli z daleka opowiadali o trudach podróży, aby wykazać, jak się poświęcili dla wspólnych rozmów, mówiąc głośno, by usłyszeli ich posłańcy w koronach drzew. Każdy wódz nosił wampum, aby podkreślić znaczenie i prawdziwość swoich słów. Plemiona spotykały się tak od dawna, jeszcze zanim przybyli tu Europejczycy. Gospodarz symbolicznie ocierał pot z ramion podróżnych i udawał, że wyjmuje ciernie z ich stóp, po czym wycierał oczy, uszy i usta, aby mieć pewność, że wszystko zostanie dobrze zrozumiane. Czasem złe duchy przychodziły z nimi z głębi puszczy i trzeba było rzucić zaklęcia, żeby je odpędzić.

Duncan znów rozejrzył się po polanie. Kiedy tu przyjechał, Sarah powiedziała, że przybył na skraj puszczy, czym zasłużyła sobie na milczącą naganę ojca.

- Wampum? - powtórzył cicho Duncan, nie wiedząc, dlaczego szepcze.

Spojrzał w górę, na gęsty baldachim listowia podtrzymywany przez grubie szare kolumny bukowych pni. Jakby byli w katedrze.

Woolford w odpowiedzi wstał i podszedł do kamiennego stożka. Oburącz chwycił ciężki kamień na samej górze i Duncan dołączył do niego, żeby pomóc mu zdjąć głaz. Długie i wąskie kamienie pod spodem były ułożone na krzyż, tak że tworzyły wgłębienie na środku. Woolford wyjął stamtąd skórzane zawiniątko, rozwinął je i wyciągnął szeroki na cztery cale pas z paciorków nanizanych tak, że tworzyły skomplikowany wzór. Kiedy rozwinął go na całą długość, Duncan zobaczył, że tło jednej połowy zrobiono z białych paciorków z purpurowymi wzorami, a druga połowa była purpurowa z białym wzorem. Na tle tych dwóch prostokątów umieszczono postacie mężczyzn i kobiet, domów, jeleni i toporów, a na środku drzewo.

- To ich sposób mówienia ważnych rzeczy, przekazywania istotnych wiadomości - wyjaśnił zwiadowca. - Trzymając taki pas, mogą mówić tylko prawdę.

- A co mówi ten?

Duncan przypomniał sobie, że już widział takie paciorki, a przynajmniej jeden, w pustej sakiewce przy pasie starego Jacoba, znajomy był także niepokój, z jakim Woolford spoglądał na ten purpurowy koralik.

- Nie wiem. Nigdy takiego nie widziałem.

Woolford wyglądał na wstrząśniętego i bardziej poruszonego niż kiedykolwiek. W ciszy, która zapadła, Duncan przypomniał sobie, dlaczego go szukał.

- Hawkins wziął ze sobą kilku mężczyzn. Dokąd poszli?

Chociaż raz zwiadowca udzielił jasnej odpowiedzi.

- Szliśmy po ich śladach dziesięć mil w górę rzeki. Dołączyli do innych, na trzech kanu. Nieco dalej na północ jeden z nich wyszedł na drugi brzeg. Fitch chciał za nim pójść, ale wtedy rzeka przyniosła ciała dwóch osadników, martwych od kilku dni. Musieliśmy ich pogrzebać.

Duncan spojrzał w kierunku rzeki. Tak jakby puszcza zwracała martwych.

- Nazywają Hawkinsa traperem.

- Przed laty zaczął zarabiać na życie polowaniem na zwierzęta futerkowe. Gronostaje, wydry, bobry, kuny. Przechwalał się, że wymyślił pułapki, które nie zabijają od razu, tylko unieruchamiają zwierzynę, czasem na kilka dni, dopóki nie przyjedzie, żeby poderżnąć jej gardło. Teraz sprzedaje swoje dobrze wyćwiczone umiejętności temu, kto najwięcej zapłaci.

- Na przykład wojsku?

- Temu, kto najwięcej zapłaci - powtórzył Woolford.

- Zmierza na Kamienisty Szlak?

Woolford nie odpowiedział.

- Jeśli szukasz morderców z Kamienistego Szlaku, kapitanie, to powiedz mi, dlaczego wciąż wracasz do Edentown?

- Ten pas - melancholijnie odparł Woolford - być może jest jedyną odpowiedzią, jaką znajduję. Indianie są bardzo ostrożni w doborze słów i tych, do których się zwracają. Wierzą w czyny, nie w słowa - dodał, znów oglądając pas.

- Zeszłej nocy w szkole wypisałem na tablicy dwie listy - wyznał Duncan po długiej chwili milczenia. - Po jednej stronie widniały: sól, złe oko, pszczoła, żelazo, szkocki krzyż i *deiseal*.

- *Deiseal*?

Duncan wyjaśnił mu znaczenie poszczególnych symboli w szkockiej tradycji.

- Obok sporządziłem drugą listę: ptasie czaszki, strzała klanu wilka, bóbr, krzywa twarz, krzywe drzewo, malowane pióro, niedźwiedź. Mógłbym dodać paciorki z wampumu.

Opowiedział, co Jonathan pokazał mu tego ranka. Woolford zaniemówił.

- Od kiedy umarł Evering, trwał dialog prowadzony za pomocą mistycznych symboli Szkotów i Irokezów. Kluczem do wszystkiego jest nie tyle sens tych zabójstw, ile sens tego dialogu.

Woolford zamknął oczy.

- Niedźwiedź - rzucił. - Dlaczego wymieniał niedźwiedzia?

Duncan nie był gotowy mówić o kamiennym niedźwiedziu, którego Adam zabrał z kufra Woolforda, ani o koszmarnej śnie z poprzedniej nocy o Adamie podrzucającym tę figurkę w zakrwawionych rękach.

- Tego dnia, kiedy zginął Jacob, na drodze za karczmą powieszono niedźwiadka - powiedział zamiast tego.

Woolford drgnął, jakby go uderzono.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- A niby czemu miałem wpaść na to, że musisz o tym wiedzieć? - zdziwił się Duncan. - Co takiego jest w niedźwiedziu, że przeraża tych, którzy walczą w lasach?

Z niepokojem zobaczył, że zwiadowca zaciska pięść, kładzie ją na sercu, a potem wystawia dwa palce i spiralnym ruchem unosi ku niebu.

- O tym, co w nim jest, nie wolno głośno mówić - wyszeptał Woolford.

Duncan wyjął mosiężny cylinder, który wziął ze schowka Ramsey'a, i pokazał Woolfordowi.

- Zatem powiedz mi coś o tym.

- To zapalniczka - odparł machinalnie zwiadowca, znów patrząc na wampum. - Noszona przez grenadierów, zazwyczaj na piersi. Tutaj rzadko używa się granatów, ale grenadierzy nadal je noszą. To część ich tradycji, a także element umundurowania. - W końcu dotarł do niego sens pytania Duncana i podniósł głowę. - Gdzie ją znalazłeś?

- W lesie - skłamał Duncan. - Pewnie zgubił ją jeden z żołnierzy.

Woolford zmarszczył brwi, po czym wziął metalową tuleję i przyjrzał się jej.

- To piechota przysłana z Nowego Jorku, a nie grenadierzy - rzekł ze zdziwioną miną, po czym schował zapalniczkę do kieszeni. Wstał i zaniósł pas z powrotem do stożka kamieni, zawahał się i odłożył go na miejsce.

- Czy to wezwanie do wojny? - zapytał Duncan.

- Wojnę głoszą wampumy, które nazywają czarnymi. Naprawdę są całe purpurowe. - Zwiadowca zastanowił się. - Nie wiem. Fitch mówi, że obozowiska Irokezów są systematycznie niszczone, a niewielkie grupki Indian zabijane w tajemnicy. Napastnicy używają kanu, więc nie możemy ich wytropić. Może plemiona zwołują radę wojenną w tajemnicy przed wojskiem. Jednak ten pas głosi różne wieści. Mówi o wojnie, śmierci, kobietach, więźniach, uroczystości. Fitch spotkał kilku wojowników na północ stąd. Byli wzburzeni. Używali słów, jakich jeszcze nigdy nie słyszał. Twierdzi, że mówili o cudach, o znakach od dawno uspiomych duchów. O cudzie wody, ziemi i nieba. Wszystko to nie ma sensu.

Duncan pokazał drzewo na środku pasa.

- To wygląda tak, jakby na czubku siedział człowiek.

- Człowiek na drzewie. - Napięcie w głosie zwiadowcy świadczyło o tym,

że ten znak najbardziej go niepokoił. - Niektórzy Siuksowie w ten sposób ukazują proroka. Człowiek na drzewie. Korona z rogów.

- Z rogów?

- Poroża jeleni powiązane w krąg pnączami. Hołd składany prorokom.

Duncan przyglądał się wampumowi i zaniepokojonemu Woolfordowi.

- Ten pas mógł tu leżeć od wielu lat.

- Nie - rzekł oficer. - Zawsze sprawdzam tę skrytkę, kiedy tu przychodzę. Sam nie wiem dlaczego. - Kiedy zwrócił się do Duncana, na jego twarzy malował się niepokój. - Ten schowek trzy dni temu był pusty. - Umieścił pas w skrytce i zakrył ją kamieniem. - Wracaj do miasta, McCallum. Nigdy tego nie zrozumiesz.

- Widziałem taką koronę z rogów - wyznał Duncan do pleców Woolforda, gdy ten zarzucił strzelbę na ramię i chciał odejść.

Oficer odwrócił się, a Duncan opowiedział mu o martwym proroku Everingu.

Duncan przez godzinę wpatrywał się w pustą tablicę w klasie, wiedząc, że powinien zaplanować lekcje dla dzieci Ramseya, lecz nie mogąc myśleć o niczym innym, tylko o tej dziwnej rozmowie z Woolfordem. W końcu poddał się i wyszedł. Znalazł Frasiera siedzącego na koziołku do obróbki drewna w cieniu stodoły i strugającego składanym nożem drewniane ćwieki, podczas gdy jego ludzie przygotowywali wieczerzę. Posępny młody dozorca nie zwrócił uwagi na Duncana, kończąc wyrzynanie ćwieka z klinowatego kawałka jesionu, i nie podziękował mu, gdy młodzieniec podał mu następny kawałek do obrobienia.

- Trudno zdobyć żelazo w Edentown - spokojnie zauważył Duncan. - Zużywasz je w takich ilościach, że niedługo zaczniesz wrywać gwoździe z podłóg wielkiego domu.

Frasier źle wymierzył kolejne cięcie i odłupał ćwierć klina, psując ćwiek. Nic nie powiedział, odrzucając go i przyjmując następny od Duncana.

- Kiedy byłem chłopcem, układałem z babką krzyże z kamyków - podsunął Duncan. - Ona zawsze robiła otwory w skorupkach jajek.

- Wszystko to kłamstwo - nagle oznajmił młodzian. - Powiedzieli nam, że zostawimy za sobą całe zło starego kraju. Tymczasem to tutaj rodzą się demony całego świata.

- Kto ci to powiedział?  
- Ktoś, kto wie. Ktoś, kto widział ludzi pieczonych żywcem i zjadanych.  
- Hawkins? Kiedy z nim rozmawiałeś? - zapytał Duncan.  
- Powinienem był dokończyć ten otwór w burcie - oznajmił Frasier mrozącym krew w żyłach tonem. - Tutaj tylko czekamy na śmierć z rąk Anglików lub demonów.

- Gdzie jest Hawkins?  
- Walczy z demonami. Cameron mówi, że przynajmniej on rozumie zadanie, jakie nas czeka.

- Cameron?  
- Tak. Pan Cameron kupował rum dla Hawkinsa i jego ludzi. Porozmawiali sobie.

- O czym?

- O odpowiedzialności chrześcijan, którzy napotykają pogan.

Duncanowi dreszcz przeszedł po plecach. Nigdy nie pytał Camerona, co nadzorca robił po tym, jak wymordowano mu rodzinę. Taki człowiek jak Cameron na pewno nie nadstawił drugiego policzka.

- Kiedy następnym razem spotkasz Hawkinsa, zadaj mu kilka pytań - podsunął Duncan. - Spytaj, kiedy ostatnio płaciło mu wojsko. I co robił z naszymi złodziejami zwłok. Zapytaj, czy niedźwiedzie chodzą za nim w lesie.

Frasier spochmurniał, ale nic nie powiedział, tylko nadal strugał. Siedział w milczeniu. Duncan podawał młodemu nadzorcy kawałki drewna, które ten obrabiał.

- Widziałeś, kto zostawił inne znaki koło domu? - zapytał w końcu Duncan. - Obok twojego krzyża.

Frasier zacisnął zęby jak imadło i pracował dalej.

- Połamana na kawałki chochla. Tylko jeden członek Kompanii pracuje w kuchni. Tylko on wie, dlaczego robi się dziury w skorupkach jaj.

Był to bardzo stary zwyczaj, niemal zapomniany już wtedy, kiedy babka Duncana była dziewczynką, lecz niektórzy wciąż wierzyli, że czarownice mogą wyczarować ze skorupki jaj statki, które przeniosą je przez powietrze i wodę.

- Nie dbam o to, czy pozbawią mnie mojego stanowiska - oznajmił Frasier.

Duncan zrozumiał dopiero po chwili.

- Nie mam powodu, by mówić o tym lordowi Ramseyowi. Chcę tylko, żebyś był pewien, z czym chcesz walczyć, zanim zrobisz coś przeciwko tym demonom. Chłopiec znalazł krzyże. Myśli, że mają odpędzić dzikusów. Ja jednak rozejrzałem się wokół domu. Jest żelazo w dwóch drzewach i w kopczyku ziemi przy ganku. Nie umieściłeś go tam, żeby odstraszyć Indian. Próbowałeś powstrzymać coś, co jest w środku.

- Moja ciotka wyjaśniała to mnie i moim kuzynom, w pokoiku zabezpieczonym kręgiem z soli. Mówiła, że tacy jak my są obdarzeni darem widzenia rzeczy niewidzialnych dla innych. Kiedy widzimy zło, musimy z nim walczyć, pokonując jednego demona po drugim. - Frasier nadal strugał, ale zerknął w kierunku wielkiego domu. Nie bał się, że Duncan doniesie na niego Ramseyowi, ale czy rozmieszczone przez niego żelazo pozostanie na swoich miejscach. - Mówią, że odpowiadasz za uwolnienie Listera - rzekł urażonym tonem młodzieniec.

- On nie zabił profesora,

Duncan przypomniał sobie, że Frasier zawsze miał na ten temat własną teorię. A teraz umieścił swego upiora w wielkim domu.

- Kiedy zakradłeś się na piętro, co tam widziałeś?

- Czarownice zawdzięczają swoją moc amuletom. Ciotka mówiła mi o jednej, która miała niebieską kość, oraz o innej, której źródłem mocy była czarna kura. Zniszcz je, a wiedźma rozsypie się w proch.

- To tylko dziewczyna, Frasier.

- Chroniłbyś ją? Nie widziałeś jej prawdziwego koloru, kiedy wyciągnął ją z morza. Teraz jednak...

- Nie wiem - wyznał Duncan. Chociaż zaczął go irytować sposób, w jaki wypaczano obraz Sarah, nie mógł zapomnieć przestraszonej i przygnębionej miny, z jaką spoglądała na las. Pamiętał również słowa wypowiedziane przez Woolforda w karczmie. Ponieważ uratował jej życie, był za nią odpowiedzialny. - Nie powiedziałeś mi, co zobaczyłeś w domu.

Kiedy Frasier nie odpowiedział, Duncan nachylił się do jego ucha.

- Podkowy. W ostatniej przegrodzie na północnym końcu stajni. Wszystkie muły są tutaj podkute. W przegrodzie stoi skrzynia ze starymi podkowami. Z dobrego żelaza. Nikt nie zauważy ich braku. Tylko nie podnoś ręki na dziewczynę - ostrzegł.

Frasier przez chwilę bacznie na niego patrzył, zanim się odezwał:

- Camerona. Zobaczyłem Camerona przetrząsającego rzeczy w prywatnym pokoju wielebnego Arnolda.

- Jakie rzeczy?  
- Nocną szafkę. Oglądał jego szczotkę do włosów. Przeszukiwał kieszenie.

- Po co?

- Przecież wiesz, co robią czarownice. Na pewno zmusiła go do tego jakimś zaklęciem. Pomagał jej. Zbierał włosy i nitki.

Duncan na moment zamknął oczy. Czarownice używały włosów oraz nitki z ubrania, żeby rzucić urok na ich właściciela.

- Myślisz, że Cameron działa przeciwko Kompanii?

Frasier opuścił składany nóż.

- Cameron ma swoje sekrety. Mówi wszystkim, że służył w milicji. Nie wspomina o tym, że potem zaciągnął się do regularnej armii. Ale sierżant Fitch go pamięta i mówi, że walczył pod Ticonderogą.

- Jednak wrócił do Szkocji i zaczął nowe życie.

- Wczoraj przechodził tędy druciarz. Cameron pytał go o statki płynące do Anglii, czy więcej ich jest w Filadelfii czy w Nowym Jorku.

Młody Szkot znów zaczął wodzić nożem po drewnianym.

- Profesor miał mi pokazać w lecie swoją kometę, pod Wielką Niedźwiedzicą - rzekł ze smutkiem, zrobiwszy dwa kolejne ćwieki. - Adam miał mi pokazać, jak się garbuje jelenie skóry. Mówił, że buciki z miękkiej skóry byłyby wspaniałym prezentem dla mojej ciotki.

Frasier z przygnębieniem spojrzał na Duncana.

- Ja też za nimi tęsknię - rzekł Duncan.

- Tamtej nocy, kiedy umarł, pozwoliłem mu postać przy relingu i patrzeć na zachód słońca - wyjaśnił młody dozorca. - Spoglądał na zachodzące słońce, jakby nigdy przedtem go nie widział. Kiedy zapadł zmrok, dotknąłem jego ramienia, dając mu znak, że czas zejść pod pokład. Nie poruszył się, tylko rzucił kilka słów, patrząc na fale. „Widziałem rzeczy, jakich żaden człowiek nie powinien oglądać” - rzekł, a potem spojrzał na mnie. - „Złożono obietnice” - powiedział mi - „których niedotrzymanie oznaczałoby kres wszystkich dobrych rzeczy. Taki obowiązek to niezwykle rzadki zaszczyt i gdybym miał po temu okazję, nie uchylałbym się od niego.

Frasier był nie tylko najmłodszym z dozorców, ale także ze wszystkich więźniów, i nigdy przedtem nie przypominał tak bardzo zagubionego chłopca. Znów się odezwał drżącym głosem:

- Ja też złożyłem obietnicę tamtej nocy po śmierci Adama. Obiecałem



gwiazdom, że go pomszczę. Ponieważ uratował mi życie swoim śpiewem. - Frasier unikał wzroku Duncana. - Anglicy chcą śmierci nas wszystkich. Teraz jednak wiem, jak zatopić statek Ramseya. I tym razem nic mnie nie powstrzyma.

Dreszcz przeszedł Duncanowi po plecach.

Zaczął bić dzwon, wzywając na wieczerzę. Nie mówiąc nic więcej, Frasier wstał i odszedł.

Następnego ranka przed świtem, po niespokojnej i nieprzespanej nocy, Duncan znalazł przyszpiloną do drzwi swego pokoju wiadomość, na złożonej kartce z woskową pieczęcią. *Dzieci będą tu sześć tygodni. Chcę otrzymać plan zajęć. Z geografii. Matematyki. Historii klasycznej. Sporo filozofii i - oczywiście - nauka Biblii. Arystoteles. Tomasz z Akwinu. Nic ateisty Hume'a ani tego zdrajcy Swifta. Przygotuj przegląd na jutro, przy herbacie. R.* Do liściku dołączono mocno wysłużony tomik *Republiki Platona*, w której ulubiony filozof Ramseya opisywał idealne państwo jako rządzone przez wykształconą elitę, wspomaganą przez zawodowych urzędników.

Duncan zmiął kartkę w dłoni, ścisnął ją w kulkę i rzucił do wygasłego kominka.

Dostarczył Ramseyowi starannie opracowaną wersję śmierci Everinga i starego Jacoba, którą lord mógł wykorzystać, żeby uzyskać przewagę nad wojskiem. Jednak Duncan nie był ani trochę bliżej rozwiązania zagadki tych dwóch śmierci, jedynie jeszcze bardziej przekonany, że niebezpieczeństwo wciąż istnieje. Ramsey mógł zmienić życie ich wszystkich w piekło i nawet jeśli Duncan zdoła zapobiec powieszeniu Listera, nigdy nie będzie w stanie służyć komuś takiemu jak lord przez siedem długich lat. Spojrzał przez okno na kuźnię i pustą klatkę Listera. Uwolnił starego Szkota, tak jak zrobiłby to dziadek. A teraz Lister wymyślił sposób, w jaki obaj mogliby odzyskać wolność. Karolina. Słaba nutka nadziei w głosie Listera, gdy o tym wspominał, sprawiła, że Duncanowi ścisnęło się serce. Lister miał rację. Musieli uciekać. Jeśli w ogóle ma powstać nowy klan, muszą uciec i wymknąć się Hawkinsowi oraz jego psom.

Wzrok Duncana znów powędrował ku zmiętej wiadomości. Dlaczego Ramsey napisał, że dzieci pozostaną tu przez sześć tygodni? Crispin mówił, że zostaną całe lato, co najmniej dwanaście tygodni. Kartkował Platona,

walcząc z kipiącymi w nim emocjami. Okowy nie mogłyby być bardziej realne, nawet gdyby naprawdę miał kajdany na nogach. Z trzaskiem zamknął książkę, pustym wzrokiem popatrzył na kominiek, po czym wstał i wyszedł z budynku, oddalając się od miasta ku polom. Na kilka minut usiadł na pniaku, obserwując figlujące owce, po czym w zadumie przeszedł obok zagród dla zwierząt, przystając na moment, by spojrzeć na prosięta, przetrawiając w myślach słowa Frasiera. „Anglicy chcą śmierci nas wszystkich”. Może ratując Listera, postąpił jak wódz klanu, ale Szkotom Kompanii nadal groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli nie zdoła rozwikłać jej tajemnic.

- Ludzie mówią, że jesteś jak lekarz albo ktoś taki.

Te słowa były jak dotknięcie zimnego ostrza. Spojrzał na kanciastą, groźną twarz nad brudną bluzą z koźlej skóry.

Duncan nie poruszył się, gdy Hawkins podszedł i stanął obok niego, przed zagrodą świń. Trzymał w ręku młodego królika, tak małego, że zmieściłby mu się w dłoni. Duncan przypomniał sobie, że widział ich gniazdo pod kłodą na skraju pola pszenicy.

- Uczyłem się... - zaczął, ale zdał sobie sprawę, że trapera to nie interesuje.

Duncan odsunął się o krok, wychodząc z zasięgu żylastych rąk tego człowieka.

- To naprawdę zdumiewające, co się wylewa z wypatroszonego człowieka - rzekł spokojnie i obojętnie Hawkins, mierząc go oczami jak otwory dwóch luf. - Niektóre szczepy kolekcjonują różne części ciała, na przykład robią sobie naszyjniki z uszu. Musi to mieć też jakiś medyczny sens. Kiedyś widziałem naszyjnik z męskich genitaliów. - Hawkins podniósł przerażonego królika i spojrział mu w śleпка. - Do diabła - powiedział z zimnym uśmiechem - raz widziałem, jak dzikus rozpruł jeńcowi brzuch, wyjął z niego śniadanie i nakarmił nim swojego psa na oczach konającego.

Pogładził palcem kark królika. Zwierzątko uspokoiło się i znieruchomiało na jego dłoni.

- A co ty zbierasz, panie Hawkins? - zapytał wstrząśnięty Duncan.

- Modlitwy - szeptem odparł Hawkins, uśmiechając się. - Ostatnie słowa umierających.

Królik wydał przeraźliwy pisk, przzerwany trzaskiem kości. Duncan spojrział w dół i zobaczył, że królik bezwładnie zwisa w dłoni trapera, który skręcił

mu kark. Hawkins rzucił zwierzę do zagrody. Natychmiast trzy świnie zaczęły szarpać jeszcze ciepłe ciało, rozrywając je na kawałki i pożerając. Duncan patrzył tępym wzrokiem na plamę krwi na ziemi. Kiedy podniósł głowę, Hawkins już odszedł.

Wstrząśnięty Duncan wrócił do szkoły, odtwarzając w myślach wydarzenia minionych dni. Nie zrobił niczego, co mogłoby sprowokować Hawkinsa. Jedynie podsunął Frasierowi kilka pytań.

Otworzył książkę, którą zostawił na stole, i zaczął czytać. Nagle poczuł mrowienie w karku i gwałtownie podniósł głowę. Kapitan Woolford pojawił się dziesięć stóp przed nim.

- Masz pojęcie, jakie wyrządziłeś szkody? - zapytał.

Duncan poczuł zapach brandy, zanim zwiadowca podszedł i nachylił się do niego, jakby chciał go uderzyć. Duncan jeszcze nie widział go w takim stanie.

- Przedtem major Pike uważał cię jedynie za kłopotliwego więźnia, który może doprowadzić nas do swojego brata. Teraz będzie cię nienawdził tak samo jak jego. Calder nie będzie miał innego wyjścia, jak wysłać więcej ludzi na zachód. Zmusiłeś go, aby posłał regularne oddziały, żeby uspokoić gubernatora.

- Nie spodziewałem się tak szybkiej reakcji. Skąd wiesz, co napisałem?

- Raport został wysłany wczoraj, przez gońca na szybkim koniu. Przedtem sporządzono kopie.

Duncan widział kogoś siedzącego przy stole w jadalni, z piórem i papierem. Crispin.

- Przedtem istniało prawdopodobieństwo znalezienia odpowiedzi. Teraz wypuściłeś stado wściekłych psów, przekreślając wszelkie szanse zwiadowców na spokojną rozmowę z jakimkolwiek Indianinem w promieniu dwustu mil. I nie minie wiele czasu, zanim sobie uświadomią, że jeśli to wojsko jest odpowiedzialne za śmierć Everinga, to na pokładzie statku był tylko jeden żołnierz. Jeśli Calder postanowi szukać szybkiego rozwiązania, wręczy gubernatorowi moją głowę.

- Miło mi, że w końcu zwróciłem twoją uwagę, kapitanie. Może w końcu przyznasz, że jedziemy na tym samym wozie? Zamordowanie Everinga i Jacoba, śmierć Adama Munroe, to wszystko jest skutkiem tego, co zdarzyło się na Kamienistym Szlaku. Próbujesz znaleźć winnych tej masakry. Moja i twoja zagadka mają to samo rozwiązanie. A teraz znalezienie go jest dla ciebie równie pilną sprawą jak dla mnie.

Woolford, nagle straciwszy równowagę, osunął się na jeden z uczniowskich stołków.

- Nigdy tego nie zrozumiesz. Nie możesz zrozumieć...

- Rozumiem więcej niż kilka dni temu. Rozumiem, że nie należy drażnić niedźwiedzia i węża. Wiem, że wojsko i Kompania Ramseya rywalizują ze sobą o coś. Wiem, że kobieta udająca nieżyjącą dziewczynę pojawia się w oku huraganu. Wiem, jak to jest, gdy najeźdźcy zabijają ci całą rodzinę.

Woolford oparł łokcie o stolik i skrył twarz w dłoniach.

- Kiedy armia przysłała mnie do Ameryki osiem lat temu, nikt nie odważyłby się wejść do lasu. Wszyscy słyszeli opowieści o dzikusach, którzy wyrwą ci wątrobę i zjedzą, zanim umrzesz. Kazano mi dołączyć zimą do oddziału zwiadowczego milicji. Nasz dowódca utonął z połową oddziału, kiedy nasze kanu rozbiło się na katarakcie. Byliśmy zagubieni i głodni, a w dodatku zaczął sypać śnieg. Jeden z nas zamarł. Rodzina Mohikanów znalazła nas bliskich śmierci. Dwaj ich wojownicy stracili palce u nóg na skutek odmrożeń, kiedy nieśli nas do wioski. Do wioski Króla Hendricka. Spadło więcej śniegu, osiem lub dziewięć stóp. Spędziliśmy wśród nich dwa miesiące. Nauczyli mnie swojego języka i jak radzić sobie w lesie. Widziałem, jak modlili się do swoich duchów. Bawiłem się z ich dziećmi, pomagałem chować zmarłych. Kiedy wróciłem do osady, zostałem zwiadowcą.

- Co naprawdę zdarzyło się na Kamienistym Szlaku?

Woolford odpowiedział dopiero po długiej chwili. Kiedy w końcu zaczął mówić, spoglądał na kominek.

- Wodzowie plemion widzą napierającą przyszłość zmuszającą ich do wyboru nowych dróg i nie wiedzą, którą z nich pójść. Tashgua twierdził, że Irokezi nie powinni dalej brać udziału w wojnie, a plemiona winny powrócić do dawnych zwyczajów, zanim pojawiły się muszkiety, srebrne monety i whisky. Dziesięciu najważniejszych wodzów zgodziło się z nim spotkać i wziąć udział w ceremonii, aby porozmawiać z duchami. Tam, dokąd się udali, nikomu nie wolno zabierać broni.

Woolford zamilkł i stanął twarzą do okna, zanim podjął przerwana opowieść:

- Znalazłem ich ciała, wszystkich wodzów poza Tashguą, oraz wielu tych, którzy towarzyszyli mu jako straż.

- Był tam Pike?

- Przyszedł za mną, kilka godzin później.
- Fitch pokazał mi kawałek tartanu.
- Przynajmniej trzech zabici byli dezserterami.
- Z Czarnej Straży?

Woolford skinął głową.

- Zaczęli nowe życie jako członkowie oddziału Tashgui. Dopilnowałem, żeby zabrano ich ciała razem z ciałami innych wojowników.

- Nie mówiąc o tym Pike'owi - rzekł Duncan.

- On powiesiłby ich jako żer dla wron. Potem wysłałem oddział żołnierzy na rekonesans. Nie wrócili. Dwa dni później znalazłem ich martwych, co do jednego. Raport generała Caldera stwierdza, że zostali zabici przez indiańskich sprzymierzeńców Francuzów - Huronów lub Abenaki. Jednak żaden z nich nie zdążył sięgnąć po broń. Moi ludzie nie daliby się zabić bez jednego wystrzału.

- Tylko dlaczego, skoro próbowałeś znaleźć zabójców, nagle popłynąłeś do Anglii?

Woolford spojrzał na niego z urazą.

- Wzięłem urlop, ponieważ ocalał jeden świadek.

Duncan znieruchomiał, pojąwszy prawdę.

- Adam Munroe - powiedział ochryplym szeptem. „Widziałem rzeczy, jakich żaden człowiek nie powinien oglądać” - wyznał Adam Frasierowi. Duncan zapatrzył się w wygasły kominek. Słowa Frasiera odbijały się echem w jego głowie. Musi znaleźć młodego dozorcę i nakłonić go, żeby wyjawiał, co wie o tym, co może zniszczyć Kompanię, uzmysłwić mu niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, jeśli powie komukolwiek innemu o Adamie. Przyszedł mu na myśl jeszcze tuzin pytań, jakie powinien zadać zwiadowcy.

Kiedy jednak podniósł głowę, Woolforda już nie było. Kątem oka zauważył jakiś ruch za oknem. Cameron szedł wzdłuż stajni, niosąc worek na ramieniu. Duncan zerwał się na równe nogi, gdy dostrzegł, że to nie worek, lecz bezwładny człowiek.

Znalazł wielkiego Szkota w kuźni, zamykającego klatkę. Przód koszuli miał poplamiony krwią.

- Tym razem nie będzie żadnych wątpliwości - warknął Cameron na widok Duncana. - Każdy członek Kompanii zechce zobaczyć, jak Lister zawiśnie.

Duncan przecisnął się obok nadzorcy, usiłując zajrzeć do prowizorycznej celi.

- Kto... - zaczął i zamilkł na widok siatki blizn na odsłoniętym ramieniu więźnia.

- Lister. Drań zabił młodego Frasiera.

## Rozdział 9

Twarz Frasiera zastygła w krzywym uśmiechu, jakby melancholijny młody Szkot myślał, że napastnik żartuje. Jednak nie było żartem ciężkie, tępe narzędzie, które tak mocno uderzyło w jego skroń, że wbiło małżowinę uszną w czaszkę i wybiło kilka zębów ze złamanej szczęki.

- Komandor - powiedział spięty głos za plecami Duncana. - Tak nazywają te wielkie młoty.

Odwrócił się i zobaczył Camerona trzymającego jeden z drewnianych młotów o długich trzonkach, używanych do dobijania bali w ścianach stawianych chat. Główką był kawał drewna o średnicy dziesięciu cali.

- Spójrz na niego - prychnął Cameron. - Ten młody dureń traktował Listera jak wujka. Niczego nie podejrzewał, nawet gdy ten zamachnął się na niego młotem.

- Nie wiesz, czy to Lister.

- Nie tylko ja to widziałem. Znaleźliśmy go we czterech, siedzącego przy chłopcu, mamroczącego coś w dawnej mowie, drżącymi rękami usiłującego wetknąć zęby chłopca na miejsce.

- To akt miłosierdzia, nie postępowanie zabójcy. „Teraz jednak wiem, jak zatopić statek Ramseya” - powiedział ten młodzik kilka godzin wcześniej.

- Obok niego leżał ten wielki młot, z krwawymi śladami jego rąk na rękojeści. A przy nim rzeczy wyjęte z kieszeni chłopaka. Teraz, kiedy nie ma pana Everinga, to ty powinienesz napisać list do jego rodziny, McCallum.

Duncan przez chwilę nie odrywał wzroku od ciężkiego narzędzia. Po raz drugi dokonano morderstwa za pomocą młota.

- Jakie rzeczy? - zapytał.

Wokół zebrał się tłumek rozgniewanych mężczyzn, mamroczących

przekleństwa, spluwających w kierunku kuźni, spoglądających na zabitego dozorcę i żegnających się znakiem krzyża.

Cameron wskazał na znajdujący się sześć stóp dalej płaski kamień, na którym leżało kilka monet, gwoździ oraz cztery podkowy.

- Wy przenieśliście ciało?

- Lister nie chciał puścić chłopca, kiedy przyszliśmy. Doszło do szarpaniny.

Duncan dopiero teraz zauważył kałużę krwi na ziemi. Frasier nie miał żadnej otwartej rany, tylko strużki krwi powoli wyciekały mu z ust i nosa.

- Dlaczego Lister opuścił w nocy kwaterę? Przecież był pilnowany.

- Robotnicy wrócili późno, przy świetle pochodni. Wszyscy myli się w miednicach koło drzwi i brali jedzenie po drodze do łóżek. Kiedy sprawdzałem, Lister leżał na swojej pryczy. A przynajmniej tak myślałem. Pod kocem ułożył wypchane worki.

Duncan spojrział na przestraszonych ludzi, a potem zmierzył Camerona spokojnym spojrzeniem.

- Przynieś mi do kuźni bandaże - powiedział.

- Ani myślę - prychnął Cameron. - To było morderstwo i na tym koniec.

- Jeszcze nie wyjaśniłem wielebnemu Arnoldowi, kto splądrował kufer Woolforda na statku, ale wysłucha tego bardzo uważnie. Wiedzą, że co najmniej jeszcze jedna z ich skrzyń została opróżniona. Niewątpliwie lorda Ramseya też to zainteresuje. On bardzo chce pokazać, że umie wypełniać obowiązki magistrata. I jest jeszcze kwestia twoich kontaktów z wojskiem.

Cameron wyjął z kieszeni prymkę tytoniu, odciął kawałek i wepchnął sobie do ust, przez cały czas mierząc Duncana zimnym, taksującym wzrokiem. Bez słowa odwrócił się i poszedł do wielkiego domu.

Lister z zamkniętymi oczami leżał na plecach w pojemniku na węgiel. Po szybkim i nieregularnym oddechu Duncan poznał, że stary nie śpi.

- Gdzie jesteś ranny? - zapytał spokojnie.

Ochryply śmiech, jaki dobiegł z klatki, sprawił, że Duncana przeszedł dreszcz.

- Pofiglowaliśmy sobie trochę z Cameronem. Nie spodobało mu się, kiedy rzuciłem nim o ziemię, więc uderzył mnie komandorem w kostkę. Kilka dni kusztykania i minie.



- Lister, dlaczego opuściłeś w nocy kwaterę Kompanii? - zapytał Duncan.

- Ptaki. Mówiłem ci już, codziennie, od kiedy tu jestem, ptaki śpiewają o wschodzie słońca, gdy otwierają się kwiaty. Przez wszystkie te dni obserwowałem je stąd. O tej porze słońce sięga najgłębiej w ścianę lasu na zachodzie. Wczoraj ptaki przestały śpiewać.

- Złamałeś rozkaz Ramseya, żeby posłuchać ptaków?

- Nie mówię o poezji, Klanie McCallum. Słonko wstało, kwiaty się otworzyły. Nie zaśpiewał żaden ptak.

Duncanowi nagle zaschło w ustach.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś był w lesie i obserwował miasteczko - wyszeptał.

- Rzekłbym, że więcej niż jeden. Pełno tu indiańskich oddziałów dowodzonych przez Francuzów, które każdego dnia skalpują osadników. Jeśli otworzysz drzwi stryżku stajni, w blasku księżyca widzisz wszystkie pola aż do rzeki. Ci, którzy dowodzą Kompanią, są ślepi. W nocy trzymają muszkiety zamknięte, a nad rzeką nie wystawiają żadnych straży. Gdyby zaczęły się kłopoty, mógłbym zsunąć się po linie ze stryżku stajni.

- I co byś zrobił?

- Zjazd po linie i bieg do szkoły zajęłyby mi tylko moment. Gdybyśmy się pospieszyli, wymknęlibyśmy się w zamieszaniu do rzeki Delaware i nią do Filadelfii. A gdyby dopisało nam szczęście, uznaliby nas za zaginionych w bitwie.

- Czy to ktoś zza rzeki zabił Frasiera?

Duncan popatrzył tam, gdzie leżało ciało, otoczone teraz wianuszkami gapiów. To miejsce znajdowało się o rzut kamieniem od rzeki.

- Na rzece była mgła, która wychodziła na brzegi. Jakiś cień poruszał się na jej skraju, ale nie wyszedł spośród jesionów.

- Znaleźli cię kłęczącego przy chłopaku.

- Jak już mówiłem, byłem na stryżku. W szarówce przed świtem usłyszałem ludzkie głosy, a potem dźwięk, jakby ktoś uderzył cegłą melon, i czyjś śmiech.

- Śmiech?

- Właściwie nie śmiech. Raczej pełne satysfakcji stęknienie. Kiedy tam dotarłem, młodzik leżał w trawie i już wydał ostatnie tchnienie.

- Czego szukałeś w jego kieszeniach?

Lister odpowiedział na to pytanie dopiero po chwili:

- Mówiłem ci, że poproszono mnie, żebym przygotował ciało zabitego Everinga do pochówku. Nie robiłem tego sam. Był ze mną Frasier.

- Frasier zabrał coś Everingowi?

- Obaj to zrobiliśmy. Evering miał pudełko z zasuszonymi kwiatami.

- Widziałem je. Byłem wdzięczny za oset, który z niego wyjąłeś.

A Frasier?

- Pewną błyskotkę. Myślę, że chciał ją wysłać swojej ciotce. – Lister przekreślił się na bok, sięgnął do kieszeni, po czym przez pręty klatki dał Duncanowi prostokątny przedmiot trzycalowej szerokości. – Chłopak nie zrobił nic złego. Kiedy marynarz umiera na statku, ci, którzy szykują go do pochówku, mogą sobie wziąć jakieś drobiazgi z jego rzeczy. Jednak Kompania Ramseya nie jest tak hojna. Nie chciałem, żeby po śmierci nazywano Frasiera złodziejem. Chłopak miał powody, by się bać, za wcześniej rzucono go w odmęty brutalnego świata.

Przedmiot był pokryty żółto-czerwonymi suszonymi kolcami jeżozwierza tworzącymi prosty wzór, podobnie jak medalion Duncana, i tworzył pochewkę na niewielki nóż, lecz pod poszewką z jeleniej skóry tkwił jakiś sztywny metalowy obiekt. Duncan popatrzył na Listera, zastanawiając się, czy stary żeglarz rozumie.

- Został zabrany z kufra Woolforda - wyjaśnił.

- Tak przypuszczałem. Jednak był w kabinie Everinga, za jedną z belek sufitu. Myślę, że to Adam dał ją profesorowi.

Spod rzemiennego ściegu przezierał mosiądz. Duncan wziął z kuźni dłutko i przez chwilę pracował nad rzemykami, zanim kawałek metalu wypadł mu na dłoń. Spojrzał nań w zdumionym milczeniu. Była to mosiężna sprzączka z wytłoczonymi cyframi 4 i 2. Czterdziesty drugi regiment piechoty. Regiment Jamiego.

- Z kim widział się wczoraj Frasier?

- Można by rzec, że wpadł w trans. Zawsze był taki smutny, taki wystraszony. Wczoraj, kiedy zrobiliśmy sobie przerwę przy palisadzie, powiedział, że wielbny Arnold miał rację, że Indianie to diabelski pomiot, a Kompania prowadzi tu krucjatę, że należy wysłać do miejsca zwanego Kamienistym Szlakiem wielbnego Arnolda oraz tylu innych duchownych, ilu uda się znaleźć, ze sztabami żelaza.

Duncan gwałtownie podniósł głowę, usiłując dojrzeć twarz Listera.

- Dlaczego akurat na Kamienisty Szlak?

- Przez Hawkinsa. Frasier rozmawiał z nim, kiedy traper tu był, i tamtego wieczoru upił się z nim w stajni. Hawkins powiedział mu, że na kamiennym Szlaku czeka sam szatan. Frasier rzekł, że Woolford jest zwiadowcą, co oznacza, że ma przyjaciół wśród Indian. Powiedział, że Woolford wcześniej opuścił statek, żeby spotkać się z jednym z nich i namówić go, żeby zastrzelił z łuku Arnolda i ciebie. Powiedział, że gdyby poganie wymordowali wszystkich przeklętych żołnierzy i Anglików oprócz sierżanta Fitcha, świat byłby o wiele lepszy. Często rozmawiał z Fitchem i twierdził, że to jedyny rozsądny człowiek w wojsku. Mówił, że takiego człowieka jak Ramsey można zniszczyć, tylko niszcząc to, na czym najbardziej mu zależy. Potem, zeszłego wieczoru po zmroku, wziął piłę ze stolarni.

- Piłę? I co z nią zrobił?

- Z tego co wiem, ukrył w stajni. Wyszedł stamtąd bez niej, potem wypatrzył Hawkinsa przy szopie bednarza i zaczęli się spierać. Co go tak poruszyło?

Jednak Duncan nie znał odpowiedzi.

Cameron przyszedł i otworzył wąskie drzwiczki klatki. Duncan kazał mu zostać i obserwować, jak sam pracuje, po czym zdjął zakrwawiony but z nogi Listera. Skóra nad kostką była otarta i zakrwawiona. Kości strzaskane. Lister już zawsze będzie utykał.

- Potrzebne mi klepki z szopy bednarza - rzekł. Cameron, wyczuwając jego zimną furię, nie protestował. - I kubek rumu.

Crispin próbował zatrzymać Duncana, gdy ten godzinę później zmierzał do biblioteki, ale chyba dostrzegł coś w jego oczach, bo zrezygnował.

- Nie ma potrzeby go więzić - rzekł Duncan do pleców Ramseya, który pisał coś przy swoim sekretarzyku z wiśniowego drewna. Otwarty blat ukazywał przegródki zapchane papierami.

- Platon. Sporo nad tym rozmyślałem - rzekł Ramsey, podnosząc głowę, lecz nie odwracając się. - Musimy dużo im mówić o tym ojcu wszystkich filozofów. O człowieku, który rozumiał praktyczne aspekty władzy.

- Człowiek kłęczący przy zwłokach nie musi być zabójcą. Krwawe ślady jego rąk na młotku o niczym nie świadczą. To była krew Listera, zranionego przez Camerona. Nie możecie skazać Listera za poprzednie morderstwa, więc aby oszczędzić sobie kłopotu, chcecie zarzucić mu to jedno.

- To niegodna sugestia - wtrącił piskliwy głos. Arnold siedział przy oknie w fotelu z wysokim oparciem, czytając gazetę. - Twoje obowiązki śledczego zakończyły się wczoraj. Czas, żebyś się skupił na edukowaniu dzieci.

- Powiedziałeś kiedyś, że nie chcesz, by nad Kompanią unosiła się chmura podejrzeń - przypomniał mu Duncan.

- Nie słabniemy w spełnianiu naszych obowiązków wobec sprawiedliwości - rzekł z roztargnieniem Ramsey i napisał coś na papierze, jakby notując tę myśl. - Nasz szlachetny filozof przypomina nam, iż szczególną umiejętnością rządzących jest nieustanne, acz nierzucające się w oczy utrzymywanie równowagi społecznej.

- Platon nie miał do czynienia z kompanią szkockich więźniów ani z puszcą pełną dzikusów - zauważył Duncan.

Ramsey zmarszczył brwi.

- W zeszłym tygodniu stały przed nami dwa wyzwania: utrzymać wojsko z dala od naszych spraw i utrwalić naszą władzę nad Kompanią. Ty dałeś nam doskonały scenariusz pierwszego zadania. Teraz śmierć młodego Frasiera daje nam doskonałą sposobność wykonania drugiego. - Ramsey wstał i zaczął się przechadzać pod oknem. - Nadal musimy brać pod uwagę, że Lister skłamał w kwestii swojej tożsamości. Nikt nie uciekałby się do takiego oszustwa bez przestępczych motywów. Czy chciał zaszkodzić naszej sprawie jako jakobicki buntownik czy najemnik opłacany przez Francuzów, to dla nas bez różnicy. Rozprawiając się z naszymi wrogami, nie musimy szukać dalej niż w Starym Testamencie.

- Wiesz, że Evering wysyłał listy także dla Listera, chociaż nigdy ich nie sprawdzaliśmy - wtrącił Arnold.

- Ponieważ nie wiedzieliście, że jest Szkotem.

- Właśnie - rzekł Arnold, jakby Duncan uznał jego rację.

- To tylko stary marynarz - powiedział bezradnie Duncan.

- Czy wiesz, za jakie przestępstwo został skazany w Anglii? - W głosie Arnolda zabrzmiały nutki zniecierpliwienia. - Napadł na oficera usiłującego uśmierzyć bójkę w gospodzie. Uciekł, zostawiając go nieprzytomnego. Jednak jego poprzedni kapitan zaręczył za niego, co umożliwiło mu otrzymanie stanowiska w Kompanii. Dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że była to część szerszego planu. Zdradza wyraźnie wrogie nastawienie do angielskiej władzy.

- Przesłaliśmy twój wspaniały raport - rzekł Ramsey. - Gubernator

usłyszysz o profesorze McCallumie. Bez ciebie to znaczące zwycięstwo nie byłoby możliwe. Teraz, jak sugeruje wielbny Arnold, powinieneś zająć się większym wyzwaniem, jakim będzie edukacja dziedziców Ramseya.

Te słowa poruszyły Duncana. Zesztywniał.

- Co się stanie z Listerem? - spytał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Będzie miał proces. Najpierw musimy zbudować budynek sądu i areszt dla więźniów. Posyłam po cieśli i stolarzy z Filadelfii. Niestety, nie możemy postawić szubienicy bez zezwolenia gubernatora - z żalem powiedział Ramsey. - Mogą minąć dwa lub trzy miesiące, zanim otworzy się kłapa zapadni.

Duncan zdrętwiał.

- Jednak będzie proces?

- Wspaniały proces, wielkie wydarzenie - odparł z entuzjazmem Ramsey. - Przy udziale całej Kompanii i wszystkich osadników. Wydam szczegółowe uzasadnienie wyroku, które zostanie opublikowane w Nowym Jorku i Filadelfii. Wielbny zaproponował, żeby rozpocząć proces w niedzielę po mszy, aby stworzyć odpowiedni nastrój. W przemówieniu wstępnym zacytuje Greków, że wszyscy obywatele muszą wypełniać przeznaczone im obowiązki. Generał nie będzie mógł się wtrącać dzięki twojemu wnikliwemu sprawozdaniu, McCallum. Doceniam cię. Gdyby nie ty, nie byłoby to możliwe.

Duncan nie pamiętał, kiedy opuścił bibliotekę, i nie wiedział, dlaczego wrócił do swego pokoju po kamiennego niedźwiedzia. Był tak wytrącony z równowagi, zawstydzony i wściekły, że nie zważał, dokąd nogi go niosą, dopóki nie przeszedł przez krzaki otaczające ukryty cmentarz.

To dziwne, lecz z jakiegoś niezrozumiałego powodu nad tym miejscem zaczęła się unosić aura sanktuarium. Stał przed nagrobkiem z imieniem Sarah, czując niewytłumaczalną potrzebę powiedzenia czegoś. Tu spoczywała prawdziwa Sarah. Tu znajdował się punkt wyjścia rozwiązania tajemnic otaczających Kompanię Ramseya. Jej członkowie znaleźli się na drodze huraganu, którego furia narastała od wielu lat. Duncan przyklęknął i zaczął wrywać chwasty wokół podstawy nagrobka. Kiedy go oczyścił, zauważył kwitnące w pobliżu białe kwiatki. Kijem wykopał kilka i posadził na mogile. Uklęknął na świeżo poruszonej ziemi i spojrzął na daty oraz aniołka nad nimi. Dotknął ich, ścierając nagromadzony we wgłębieniach kurz. Tu przynajmniej było coś, co rozumiał. Dziecko zabite przez okrutnych dzikusów. On miał braciszka, zaledwie sześciolatniego, którego zamordowano podczas

krwawej łaźni, jaka nastąpiła po bitwie pod Culloden. Czuł, że powinien się pomodlić, ale nie wiedział o co. W końcu, opanowawszy nagle drżenie rąk, zakopał kamiennego niedźwiedzia pod nagrobkiem, wstał i odszedł.

Wracając do miasteczka, przez cały czas spoglądał na kuźnię, aż sto jardów od niej ujrzał wielebnego Arnolda stojącego przy wejściu do szopy bednarza, będącej jego prowizoryczną kaplicą. Zobaczył, jak Arnold zrobił krok naprzód, wchodząc do środka, lecz natychmiast się cofnął. Powtórzył te czynności kilkakrotnie, z niepewną i udręczoną miną.

Kiedy Duncan próbował wejść do kaplicy, duchowny zastąpił mu drogę.

- Lord Ramsey czeka na twój plan zajęć - powiedział.

- Z pewnością zrozumie potrzebę boskiej inspiracji - odpalił Duncan i przemknął obok niego.

Mała i ciemna izba, w której Duncan dotychczas był tylko raz, ledwie mogła pomieścić trzydzieści osób, upchniętych na ławkach ustawionych pod ścianami. Jedynym źródłem światła były dwie świece palące się na wąskim, grubo ciosanym stole służącym jako ołtarz, na którym leżał stosik modlitewników. Znikł tylko mosiężny krzyż, który stał tam przedtem.

- To jakiś dowcip - oznajmił Arnold niepewnym, zaniepokojonym głosem. - Żart jakiegoś szkockiego papisty.

W miejscu krzyża znajdowały się dwie długie kości związane cienkim rzemykiem, leżące nie bezpośrednio na stole, lecz na gęstym zwierzęcym futrze.

- Nie przypominam sobie, żeby katolicy kładli na swoich ołtarzach krzyże z kości czy bobrowe futra - zauważył Duncan, podchodząc do stołu.

- Widzieliśmy już takie pogańskie rytuały przy pierwszym morderstwie, które splamiło Kompanię - rzekł Arnold nieco pewniejszym głosem.

- Przedtem zgodziłeś się, że to nie Lister.

Arnold zwrócił do Duncana bladą, zawziętą twarz.

- Przedtem zgodziłem się, że dla Kompanii Ramseya lepiej będzie winić wojsko.

Duncan pamiętał, że Arnold powiedział kiedyś, że mają znaleźć odpowiedzi na pytania dotyczące ludzkiej natury. Tylko nigdy nie powiedział, jakie to pytania.

- Ostatnim razem ktoś zdawał się wzywać diabła. Tym razem wzywa Boga.

- Oni drwią z naszego Boga - rzekł Arnold. Nie ruszył się z progu. - Tam była Biblia. Kto kradłby Biblię?

Duncan ostrożnie podniósł krzyż, zaskoczony myślą, że jest w nim jakieś proste, naturalne piękno.

- Powiedziałbym, że chcieli raczej zaznajomić ze sobą dwóch bogów - zauważył suchy, ochryply głos.

Duncan odwrócił się. W ciemnym kącie za drzwiami siedział sierżant Fitch. Siwowłosego zwiadowca wyglądał na wykończonego, lecz w jego oczach palił się błysk podniecenia.

- Kto mógł to zrobić? - zapytał Duncan, gdy Fitch wstał i podszedł do ołtarza.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego - odparł zwiadowca. - Jakby dwa duchy z dwóch różnych światów przyszły tu na spotkanie - dodał w zadumie. - Zapewne ma to być ich Skraj Lasu. Czasem wymieniają tam jeńców. Może proponują wymianę bogów.

Te słowa oszołomiły Arnolda tak samo jak Duncana. Z twarzą bladą jak prześcieradło duchowny wycofał się z kaplicy.

Zamyślony Fitch zdawał się nie słyszeć, gdy Duncan zapytał go, czy widział jakichś Indian przy stajni. Zostawił sierżanta patrzącego na ołtarz i wrócił do kuźni.

*Chodźcie do mnie, z wachty na głównym pokładzie, żeglarze,  
Posłuchać prawdziwej opowieści, która wam przekaże...*

Ledwie widoczna w mroku postać w klatce na węgiel śpiewała, aż Duncan zastukał w słupek.

- Edentown to istotnie raj - rzekł stary Szkot, z brzękiem łańcuchów obracając się do Duncana. - Przez cały dzień leżę sobie na słońku.

- Mówiłeś, że Frasier i Hawkins się kłócili. Słyszałeś o co?

- Chłopak mówił ściszym głosem, za cicho, żebym mógł coś usłyszeć. Był podekscytowany, jakby chciał przekazać Hawkinsowi jakąś ważną wiadomość. Jednak Hawkins go przeklął i powiedział, że chłopak powinien napić się rumu. Frasier znów zaczął mówić coś o zdradzie. Hawkins zdzielił go jak niesfornego dzieciaka i zostawił leżącego na ziemi. Później, kiedy

nikogo nie było w pobliżu, chłopak trzykrotnie obszedł stajnię, zgodnie z ruchem słońca.

*Deiseal.* Frasier wszędzie widział demony. Jednak Hawkins faktycznie był demonem, któremu lepiej nie wchodzić w drogę.

- Powiem ci coś, Klanie McCallum - szepnął po chwili Lister. - Posłano mnie do Kompanii za bójkę z oficerem. Jednak dziesięć lat temu byłem na łodzi i w domu, odwiedzając tych, którzy zostali z mojej rodziny, gdy przybył porucznik królewskiej marynarki, żeby wcielić ostatnich moich kuzynów do służby. Kiedy się spieraliśmy, sięgnął po szablę i ciał jednego z chłopców w ramię, mówiąc, że nie wolno nam odmawiać królowi. Wytrąciłem mu z ręki szablę, ale głupiec sięgnął po pistolet. Rzuciłem się na niego, broń wypaliła i kula przeszła mu serce. Rzuciliśmy jego ciało do morza. Zawisłbym na pewno, lecz łódź, którą przypląnął, w powrotnej drodze wywróciła się i cała załoga utonęła. Wszyscy założyli, że on też utonął. Tak więc od dawna uchodziłem przed stryczkiem. Mój czas minął.

- Nie zabiłeś Everinga ani Frasiera. Nikogo nie zamordowałeś.

- We snach widzę ich twarze, mojego ojca i tych, którzy polegli na wrzosowisku Culloden. Nigdy nie powinienem podawać fałszywego nazwiska i odwracać się plecami do mojej przeszłości - rzekł głuchym głosem Lister. - Kiedyś miewałem takie sny raz na miesiąc, a teraz co noc. Miałem zginąć z rąk Anglików pod Culloden. Oszukałem ich, podając fałszywe nazwisko i uciekając na morze, a teraz mogę się z tego wyplątać.

Duncan uświadomił sobie, że dotarli do sedna sprawy. To dlatego Lister tak ochoczo wyjawiał mu sekret swego szkockiego pochodzenia i był gotowy pójść na szubienicę, nie za zabójstwo angielskiego oficera przed laty, lecz za porzucenie swego klanu i szkockich tradycji.

Siedzieli w milczeniu. Gołębie gruchały w stajni obok.

- Na skraju pól kwitną jesienne kwiaty - powiedział Duncan. - Widziałem osty. - Przez szpary klatki ujrzał smutny uśmiech na ustach Listera. - Pewnego dnia zbudujemy chatę na zboczu góry w Karolinie, ty i ja, i każdy Szkot, który zechce do nas dołączyć. Zasadzimy osty i po całych dniach będziemy mówili w dawnej mowie, a wieczorami tańczyli giga.

I znów Lister odpowiedział dopiero po długiej chwili:



- To Nowy Świat, chłopcze - rzekł beznamyślnie stary żeglarz. - Znajdź sobie jakieś inne marzenie.

- Ja już je mam - odparł Duncan. - Ty mi je dałeś. A teraz zakorzeniło się zbyt mocno, żeby je porzucić. Przysięgam, że nie zawiśniesz, Lister. Tamtego dnia na maszcie przywróciłeś mnie do życia. Byłbym smętnym nędznikiem, gdybym ci się nie zrewanżował.

Co Adam powiedział Frasierowi? „Złożono obietnice, których złamanie położyłoby kres wszystkim dobrym rzeczom”.

Z cienia po drugiej stronie szkoły dobiegł śmiech młodej dziewczyny. Duncan wstał.

- Co się z nimi stało, z twoimi dwoma młodymi kuzynami? - zapytał, zanim odszedł.

- Dobrzy chłopcy, obaj. Jedyna radość dla serca ich udręczonej matki. Inna gruba werbowników zgarnęła ich miesiąc później. Obaj zginęli, gdy ich fregata została zatopiona przez Francuzów w pobliżu Brestu.

Duncan znalazł Virginię siedzącą na pieńku za szkołą i patrzącą, jak jej brat rzuca kamieniami w potłuczone porcelanowe naczynia ustawione rzędem na ławce. Jonathan rzucał z poważną miną, a jego siostra wesoło się śmiała, ilekroć trafił w cel. Duncan usiadł obok dziewczyny, obserwując jej brata. Na twarzy chłopca malowała się nie tylko powaga. Także niepokój, a nawet strach. Celnych rzutów nie witał z radością, lecz z uczuciem, które można by nazwać nienawiścią.

Po kilku minutach Duncan zaprosił ich, by zwiedzili nową klasę. Poprosił, żeby wybrali sobie stoliki. Usiedli przy bocznych, zostawiając środkowy wolny i zerkając nań nerwowo.

- Gdzie jest dziś Sarah? - zapytał Duncan.

- Ojciec i pastor tak bardzo się o nią martwią. Wielebny Arnold codziennie przez godzinę czyta jej Biblię - odparła z powagą Virginia.

Gdy to mówiła, jedna z pokojówek pojawiła się na ganku i zaczęła wołać dzieci.

- Ojciec daje nam lekcje muzyki - rażno oznajmiła dziewczynka, po czym zebrała spódnice i uciekła, a Jonathan odmaszerował za nią.

Duncan pospiesznie wepchnął za koszulę kartkę papieru i ołowiany pisak, wśliznął się do stajni, by wziąć jedno z opartych o ścianę stylisk siekier, po czym udał się na miejsce uroczystych spotkań zwane Skrajem Lasu. Usiadł na długiej kłodzie, z mocno bijącym sercem, ściskając stylisko. Nigdy w życiu nie bał się tak jak teraz.

Usłyszał trzask gałązki i powstrzymał chęć ucieczki z powrotem na pola, a potem zobaczył, że to jedno z tych małych, jasnobrązowych, pasiastych stworzeń, które Crispin nazywał wiewiórkami ziemnymi. Spoglądał na baldachim listowia, uspokajając się, po czym podszedł do kamieni na środku polany. Indianie byli dzikusami, a jednak przynajmniej niektórzy odprawiali takie ceremonie jak ta w kościele, i zdawali się mieć szacunek dla prawdy. Mieli w sobie coś, co poruszało nawet takiego zahartowanego weterana jak sierżant Fitch.

Duncan obszedł kamienny stożek a potem, czując się jak intruz w świątyni, odsunął kamień leżący na samej górze. Zajrzał do skrytki, a potem z mocno bijącym sercem popatrzył na las. Wampum był tam, a obok niego ktoś umieścił kilka piór i skrawków futra związanych sznurkiem paciorków. Serce podeszło Duncanowi do gardła, gdy rozglądał się po otaczającym go lesie. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin był tutaj jakiś Indianin, pół mili od jego łóżka, a teraz on wtykał nos w indiańskie sekrety.

Wyjawszy kartkę papieru, Duncan zaczął odrysowywać kształt i wzór pasa, który oglądał z Woolfordem. Prostokąty po obu stronach, postacie ludzi z toporami, w środku duże drzewo z siedzącym na nim człowiekiem, kilka małych „x” połączonych na górze z sąsiednimi i rozdzielających postacie zwierząt. Te symbole nic mu nie mówiły. Jednak oznaczały coś dla kogoś z osady. Kiedy skończył, wyjął z kieszeni kamizelki stronicę wyrwaną z dziennika Everinga i ponownie przeczytał każdą notatkę, próbując odcyfrować nawet te, które zostały starannie wykreślone. Kartki zawierały głównie nieporadne wiersze, jedne opisujące śpiącą Sarah, inne wyrażające wyraźnie nasilający się niepokój Everinga wywołany rychłym zejściem na ląd w Ameryce. Duncan wciąż wracał do tych kilku linijek wyglądających na szkice wierszy, które nie powstały. „Gdyby sny przenosiły cię do innego świata i śniłbyś dwa miesiące, nie budząc się, czy nie próbowałbyś na zawaze pozostać po tamtej stronie?” - pytał profesor. Potem, pod serią krzyżyków mających zamazywać słowa, odczytał mrozącą krew w żyłach wersję starej dziecinnej rymowanki. „Był sobie krzywy człek, na krzywe drzewo wszedł. Znalazł tam krzywe słowa i krzywe fale pocałował”.

Te słowa Everinga sprawiły, że Duncan spojrział ku rzece. Odłożył pas do skrytki, po czym poszedł w kierunku brzegu. Wciąż dowiadywał się czegoś od Everinga, długo po jego śmierci, jakby uczony mówił do niego z tamtego

świata. Dotarł do brzegu, opanował lęk i wszedł do wody.

Wykrzywiona twarz kukły zdawała się patrzeć prosto na niego, gdy przybył pod choinę na wysepce. Od jego poprzedniej wizyty prawie nic się tam nie zmieniło, tylko wieniec z poroży leżał teraz przed Everingiem i kilka piór opierało się o rogi. W jednej z patykowatych dłoni profesora tkwił kijek czterocalowej długości z przywiązaniem doń sznurkiem paciorków. Na kijku było kilka nacięć. Z rosnącym lękiem Duncan uniósł kijek i sznur paciorków. Z dreszczem zgrozy odkrył, co go tak przestraszyło podczas tej, już drugiej, wizyty. Zegarek Everinga tykał.

Cofnął się kilka kroków i obejrzał paciorki. Były białe i purpurowe, ułożone we wzór, w którym dwa purpurowe oddzielał jeden biały - taki sam jak w tym, którym związano zawiniątko w stożku z kamieni. Nagle Duncan uświadomił sobie, że taki sam wzór tworzyła jedna z linii nakreślonych przez umierającego Jacoba Rybę. Stary Mohikanin chciał przekazać wiadomość zawartą w wampumie, tylko bez paciorków.

Godzinę później Duncan siedział na schodkach szkoły, robiąc notatki w popołudniowym słońcu, gdy nagle zza szopy bednarza wyskoczył ktoś, zatonął się, lecz został przytrzymany przez idącego za nim i popychającego go, starszego odeń mężczyznę. Obaj przeszli wzdłuż ściany budynku i znikli za rogiem. Kiedy znów się pojawili, Duncan odłożył papiery, wstał i stanął w cieniu, żeby lepiej się im przyjrzeć.

Był to McGregor i więzień Kompanii, którego przyprowadzono z powrotem, wciąż mający ten bezmyślny, otępiały wyraz twarzy, z jakim wyłonił się z lasu. Kiedy pojawili się po raz trzeci, Duncan pojął, że ci dwaj obchodzą zgodnie z ruchem słońca prowizoryczną kaplicę Arnolda.

- Jaki popełnił grzech? - zapytał Duncan jednego z członków Kompanii, który z obawą obserwował ten rytuał.

- Zabił siekierą węża - odparł zagadnięty. - Stary Fitch się wściekł. Odłamał stylisko i rzucił siekierę do kuźni, na przetopienie. McGregor powiedział, że zna sposób, żeby odczytać zły czar.

Duncan zaczął, aż McGregor i jego towarzysz skończą krąg, po czym podszedł do starego Szkota, gdy ci dwaj stały przy wodopoju.

- Co się tam stało, kiedy byliście z Hawkinsem? - zapytał.

Stary Szkot z wysiłkiem przełknął ślinę, zanim odpowiedział:

- Przybyliśmy na farmę, gdzie wszyscy zostali zabici kilka dni wcześniej. Wszędzie krew, ciała porąbane i podziobane przez kruki. Na noc

zatrzymaliśmy się u pewnego Walijszczyka, który sprzedał nam rum, opowiadał różne historie o poganach i rzekł, że jeśli pójdziemy dalej w górę rzeki, to Huroni zabiorą nas do swego obozu i zjedzą żywcem, odcinając po kawałku na polewkę.

- A tam właśnie zabierał was Hawkins? W górę rzeki?

- Nie wiem. Chyba tak. Oni nie wrócą. Tam, w puszczy, jest tak, jakbyś został rzucony do oceanu, nie umiejąc pływać. Ten - powiedział, wskazując na swego młodego kompana - nie spał przez cztery dni. To nie w porządku, McCallum, nie w porządku, żeby tacy jak my... - Szkot zamilkł, widząc, że młodzian powłókł się do prowizorycznej kaplicy. - Hawkins zostawił tego chłopaka na szlaku, płaczącego jak dziecko, tak słabego, że nie mógł iść dalej. Powiedziałem Hawkinsowi, że chłopak jest własnością Ramseya i nie można go tak zostawić, bo trzeba będzie odpowiedzieć za to przed lordem. - McGregor pokręcił głową. - Teraz zakrada się do kaplicy, kiedy tylko może. Będę musiał go stamtąd wyciągnąć, zanim wielebny Arnold go usłyszy.

- Co usłyszy?

- Jego modlitwę, zawsze tę samą. „Obym wkrótce umarł, obym umarł szybko”.

McGregor westchnął i poszedł ku kaplicy.

Duncan wrócił na schody szkoły, przyglądając się ludziom przechodzącym po błotnistych ścieżkach osady, aż wypatrzył krępą i żylastą postać w zielonym odzieniu. Fitch wszedł do stajni i zaczął ostrzyć toporek na szlifierce. Duncan podszedł i bez słowa zastąpił go przy korbie. Sierżant kiwnął głową i z ponurą determinacją dalej ostrzył toporek. Jakiś robotnik przyszedł naostrzyć szpadel, ale wycofał się na widok Fitcha. Ci ludzie traktowali sierżanta jak dzikie zwierzę, które czasem grasuje w osadzie.

- Indianie używają paciorków jako szyfru - rzekł po chwili Duncan. Wolną ręką wyjął patyk ze sznurem koralików. - Jacob też go używał.

Fitch odruchowo sprawdził twarde kciukiem ostrze, spoglądając na paciorki.

- To była ich ziemia. Nawet gdyby Ramsey chciał im za nią zapłacić, czego nie zrobił, nie zrozumieliby tego. Ich umysły nie potrafią pojąć, że człowiek może być właścicielem ziemi.

- Kto używa takiego szyfru?

- Szóstka - odparł sierżant, ruchem głowy wskazując w kierunku drzew,

po czym odwrócił się do Duncana. - Każde z Sześciu Plemion ma swój wzór koralików, za pomocą którego rozpoznaje się wiadomości. Cztery pasma - dwa purpurowe i jeden biały - to Onondagowie. Oni są najliczniejsi, strażnicy tradycji, którym powierzono pieczę nad świętymi rzeczami. Oni mają najpotężniejszego szamana.

- Mówisz o Tashgui.

- Pochodzi z plemienia Onodaga. Jednak odszedł od nich i już od wielu lat żyje ze swoimi ludźmi z dala od obozowisk Irokezów. Są niczym wędrowni kapłani- wojownicy strzegący tradycji.

- Przecież są tu żołnierze. Wrogowie z pewnością nie podejną tutaj, gdy wojsko jest tak blisko.

- Odeszli z ostatnimi osadnikami, mając dość gościny Ramseya. Był tu farmer, niejaki William Wells, którego gospodarstwo znajduje się niedaleko stąd, na północy. Został zabity i oskalpowany dwa dni temu, lecz zabudowania farmy ocalały, więc osadnicy się tam przenieśli. Ci żołnierze to był tylko mały patrol, który wkrótce będzie musiał wrócić do fortu.

Duncan ponownie obejrzał kijek.

- Jest na nim dziesięć nacięć. Co to oznacza?

- To kij narady. Religijnej. Indiani szaman chce przemówić. Dziesięć nacięć oznacza za dziesięć dni.

- Twierdzisz, że to zaproszenie?

- Gdyby otrzymał to Indianin, to tak.

- Gdzie? Gdzie odbędzie się ta narada?

- Jeśli musisz o to pytać, to sądzę, że zaproszenie nie było dla ciebie - odparł Fitch. Wstał i wetknął tomahawk za pas. - Zważywszy na niedawne wydarzenia, to ostatnie miejsce, gdzie zdrowy na umyśle chrześcijanin chciałby być.

Duncan położył dłoń na jego ramieniu, gdy sierżant chciał odejść.

- Adam Munroe miał być w Kompanii. On potrafiłby odczytać ten szyfr.

Fitch odwrócił wzrok.

- Tak - potwierdził niechętnie.

- Ponieważ był zaklinaczem duchów - dociekał Duncan. - Ponieważ był jeńcem Indian - dodał pytająco.

Fitch zmarszczył brwi.

- Zaklinacz duchów to po prostu jeden z tych nieszczęśników, który

wrócił, nie Indianin, ale już nie Europejczyk. Większość z nich błąka się bez celu, zagubiwszy sens.

- Jak długo był jeńcem?

- Ekspedycja pensylwańskiej milicji wyruszyła trzy lata temu. On był jednym z tych, którzy nie wrócili - dodał Fitch i pospiesznie odszedł.

Adam powierzył Duncanowi kamiennego niedźwiedzia, gdyż uważał, że Duncan zostanie zaklinaczem duchów. Przez jedną okropną chwilę Duncan myślał, że Adam przewidywał jego pojmanie przez dzikich, ale zaraz zrozumiał sens tych słów. On też znajdował się między dwoma światami i umiał dostrzec pewne rzeczy, ponieważ stracił wszystkich swoich bliskich. Spojrzał na kijek z nacięciami. „Zaproszenie nie było dla ciebie” - powiedział Fitch. A może jednak. Poprzedni gubernator Ramseyów przekazał je nowemu.

Zmierzchało, gdy Duncan wrócił do szkoły. Rzuciwszy kartkę z odrysowanym wampumem na stół obok innych papierów, przyglądał się im, oparłszy łokcie o blat, aż głowa opadła mu na ręce i zasnął.

Gdy się zbudził, świecił księżyc w pełni. Duncan odryglował drzwi i usiadł na kamiennym schodku, patrząc w niebo, nieustannie wracając myślami do starego Szkota zamkniętego w prowizorycznej celi. W końcu wstał i poszedł do swojej sypialni. Rozwiązał marynarski worek zabrany ze statku, wyjął z niego odzież i sięgnąwszy na sam spód, wyciągnął postrzępiony i poplamiony muślinowy woreczek zawierający najcenniejszy drobiazg z jego skromnego dobytku. Przyciskając woreczek do piersi, wyszedł na zewnątrz. Przez moment spoglądał na kuźnię, a potem poszedł w przeciwną stronę, powoli przedzierając się przez gąszcz, aż dotarł do zarośniętego cmentarza. Gdy sięgnął do woreczka, nagle ścisnęło mu się serce i stanął nieruchomo, walcząc z burzą uczuć. Te pięknie wykonane piszczałki były w posiadaniu jego rodziny od co najmniej dwustu lat, troskliwie przechowywane i pozostawione mu przez starego wuja, który szukał u niego schronienia, a następnie w tajemnicy przechowane dla niego przez jednego ze szkockich profesorów, który odwiedzał go w więzieniu, a potem pojawił się na sali sądowej, kiedy skazano go na deportację.

Powoli, metodycznie, siedząc na resztkach jednej ze ścian chaty, Duncan przygotował instrument, wspominając, jak dziadek grał i uczył go grać

na tym samym instrumencie. W końcu, gdy napełnił pęcherz powietrzem, przedmuchał i ustawił stroiki oraz najlepiej jak umiał nastroił basy, włożył ustnik w zęby i ścisnął piszczałkę. Wyszedł z wprawy, ale palce same odnalazły rytm. Dziadek nauczył go wielu tęsknych ballad mieszkańców szkockich wyżyn i wysp. Duncan grał wszystkie, które pamiętał, z każdą wyzbywając się części poczucia winy i beznadziei, jakie odczuwał w posiadłości Ramseya. Przed oczami stawały mu na wpół zapomniane obrazy matki tańczącej z nim w kuchni i przygrywającego im ojca, dziadka z powagą udzielającego każdej wiosny *pibroch*, błogosławieństwa dla rybaków wypływających na zdradliwe wody Hebrydów. Serce rosło mu w piersi i grał coraz śmielej. Wiosłował po spokojnym morzu z dziadkiem, który przygrywał wielorybom i fokom. Był na jednym z tych radosnych góralskich wesel, na których mężczyźni pachnący wrzosami i torfem przez całą noc grali na kobzach przy ognisku, a dziewczęta tańczyły, przeskakując nad mieczami.

Duncan nie wiedział, jak długo grał, na jak długo przeniósł się myślami do starego kraju, swojego klanu i młodych lat, lecz kiedy skończył, czuł przedziwny spokój ducha i lekkość serca, jakich nie doświadczał od wielu miesięcy, a może nawet lat. Schował kobzę do worka, a potem starannie umieścił go we wnętrzu spróchniałej kłody obok nagrobka Sarah, zatykając otwór mchem. Raźnie poszedł przez noc pustymi ścieżkami Edentown, pobudzony tym niespodziewanym przeżyciem. Zaczął szerokim łukiem obchodzić stodołę, mając nadzieję wyjść na tyły kuźni, żeby poszeptać z Listerem, gdy nagle powstrzymało go ciche mamrotanie.

Serce podeszło mu do gardła. To niemożliwe, powiedział sobie. Umysł płata ci figle. To brak snu albo długie granie na kobzie tak działa na zmysły. Przycisnął dłoń do skroni, aby odgonić te myśli, będące dziwną mieszaniną wspomnień i poczucia winy. Głos szalonej Flory znów rozbrzmiewał w jego uszach i nie chciał ucichnąć. Dwukrotnie potrząsnął głową i nabrał tchu, zanim zrobił następny krok naprzód. Głos ucichł, ale powrócił - silniejszy i znajomy. Flora mówiła coś do niego w tym obcym, syczącym języku, który tak urzekał go na statku. A przecież Flora była daleko, setki mil stąd, znów na otwartym morzu.

Szedł przez mrok jak we śnie, aż zobaczył palącą się w osłonie świecę, zawieszoną na kołku w środkowej części stajni. To niemożliwe, ale zjawa była tam, siedząc ze skrzyżowanymi nogami w kręgu światła, odwrócona do niego plecami. Konie wystawiały łby nad drzwiczkami przegród, zdając się

uważnie słuchać. To było jak sen. Widocznie śnił. Świadomość ustąpiła przed poczuciem winy. Długie ciemne włosy opadały kobiecie na koc, który narzuciła sobie na ramiona. Sposób, w jaki wymawiała dziwne sylaby, które na statku Duncan słyszał co noc, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Tym widmem była Flora, morderczyni, której dłoń trzymał w ciemnościach.

- *Haudenosaunee! Haudenosaunee!* - zawodziła. - *Ohkwari!*

Zdawała się wołać kogoś, chociaż zwracała się do pustej ściany z dębowych desek. Coraz niżej pochylała głowę, jakby wpadała w trans, a Duncan podchodził coraz bliżej - najpierw na piętnaście, a potem na dziesięć stóp, lecz ona wciąż przemawiała w tym dziwnym języku, zdając się go nie zauważać. W końcu miał ujrzeć twarz Flory ze swych koszmarów.

Kiedy jednak zrobił kolejny krok, czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Odwrócił się i zobaczył stojącego obok Crispina z udreńczoną i przestraszoną miną. Bolesnie ściskając jego ramię, wielkolud bez słowa odciągnął go do tyłu. Śpiew nagle ucichł i kobieta odwróciła się, zerwała z ziemi, zarzuciła sobie koc na głowę i umknęła w mrok. Pomimo to Duncan zdołał dojrzeć jej twarz.

- Sarah! - jęknął.

Na drugim końcu stajni pojawiła się jakaś postać, która pochwyciła dziewczynę i pociągnęła ją w kierunku pół. Duncan, mający kompletny zamęt w głowie, został odciągnięty w przeciwną stronę. Po chwili siedział na stołku w jednym z oddzielonych przepierzeniem z dębowych desek magazynków na narzędzia na końcu stajni, oświetlonym blaskiem świecy, spoglądając na zboląłą minę Crispina.

- Byłem ślepy - jęknął Duncan, chowając twarz w dłoniach. Jego wątle teorie legły w gruzach. Wszystkie wnioski, do których doszedł w związku z morderstwami, wszystko, co zrobił od czasu sztormu, teraz musiał ponownie rozważyć i na nowo dopasować fragmenty układanki. - Jednak to jest jej grób - rzekł. - Lecz ona nie umarła.

- Sądziłem, że zginęła - szepnęła Crispin. - Myśleli tak przez wiele lat i codziennie matka ją oplakiwała, a dzieci modliły się za spokój jej duszy. Ciała zabitych były okaleczone, a niektóre spalone tak, że zostały tylko kości.

- Została uprowadzona.

- Czasem biorą dzieci w niewolę - rzekł łamiącym się głosem Crispin.



Duncan znów poczuł rozpacz, jakiej doświadczył nad jej grobem, tylko jeszcze głębszą. Chciało mu się płakać na myśl o tej pięknej, delikatnej dziewczynce, jaką Sarah musiała być w wieku sześciu lat, i okropnościach, jakie musiała przeżyć wśród dzikusów, wyrwana ze swego świata, pozbawiona miłosierdzia, miłości i nadziei.

- Zaklinaczka duchów - rzekł z dreszczem zgrozy Duncan, czując na języku przykry posmak tego słowa.

Choroba Sarah miała jednak nazwę. Dziewczyna była jedną z tych nieszczęsnych dusz, które wróciły z czyśćca niewoli, utraciwszy kontakt z cywilizowanym światem.

Ciężkie drzwi się otworzyły i wszedł Woolford.

- Jest z nią sierżant - uspokoił Crispina. - Ona płacze.

- Tak już jest - rzekł udręczonym głosem Crispin. - Ma jeden z tych swoich ataków, potem płacze i nieruchomieje jak sparaliżowana, poruszając tylko oczami i wargami, szepcząc te swoje słowa. Zazwyczaj w nocy, nad ranem. Z początku, zeszłej jesieni, zdarzało się jej to co noc. Ojciec bił ją laską, dopóki nie przestała. Krzyczał, że wybije z niej dzikuskę. Dziś czuwałem pod jej drzwiami przez trzy godziny, ale zasnąłem. Nagle usłyszałem dźwięki kobzy. Zanim się ocknąłem i dopadłem drzwi, ona już zbiegła po schodach i znikła w ciemności.

- Mówisz, że wyszła na zewnątrz przeze mnie? - zapytał Duncan. - Dostała tego... ataku - rzekł, z braku lepszego określenia zapożyczając je od Crispina - z powodu dźwięków kobzy?

- Nie potrafię powiedzieć, dlaczego ona robi cokolwiek. Usłyszałem dźwięki kobzy, a ona wymknęła się, żeby wypowiadać te słowa. Tylko dlaczego w stajni? Dlaczego tutaj, skoro wokół są lasy? - zapytał Crispin Woolforda, który tylko pokręcił głową. - Już zbyt wielu nazywa ją czarownicą - dodał Crispin. - Jeśli znajdą ją w takim stanie...

Nie zdołał dokończyć zdania. Duncan spojrział na zwiadowcę.

- Znaleźliście ją na Kamienistym Szlaku - domyślił się.

Woolford westchnął, zerknął na Crispina i skinął głową.

- Była nieprzytomna, gdy ludzie Pike'a znaleźli ją w krzakach, pod opieką dwóch innych białych jeńców, którzy nie chcieli jej opuścić. Kilku starszych oficerów w obozie znało Ramseyów. Ona była ładną podobną do matki, a na szyi nadal miała medalionik z ich herbem, owinięty futrem. Prawie zupełnie zapomniała angielskiego i przez pierwszy miesiąc nie chciała spać w łóżku.

- Powinieneś był mi powiedzieć.

- Nie! - odparł Crispin. - Lord Ramsey zabronił komukolwiek o tym mówić. Z początku myślałem, że nie zniesie wstydu. Jak jedna z najznamienitszych rodzin imperium miała się pogodzić z tym, że ich najstarsza córka przez wiele lat była niewolnicą dzikusów i sama stała się dzikuską? Jak miała zostać dziedziczką i być szanowana przez innych ziemian? Jak miała żyć swoim życiem? Przez wzgląd na nią nie powiedziałbym ci o tym, nawet gdyby lord Ramsey mi nie zabronił. Na wszystko, co święte, i ty też nie powinieneś o tym mówić. Jeden Bóg wie, jakie okropności wyczyniali... To wystarczająco bolesne nawet bez roztrząsania tego. Widziałeś, jak patrzą na nią ludzie w osadzie.

- Co się stało po tym, jak ją odnaleziono?

Zmieszanie Duncana szybko przechodziło we wstyd. Przecież zaczął uważać ją za oszustkę, uczepił się wspomnienia o anonimowej Florze, darząc niechęcią Sarah, choć w rzeczywistości kobieta z więziennego pokładu, której los tak głęboko go poruszył, oraz szalona córka Ramseya były jedną i tą samą osobą.

- Jedni z nas nie mówią o tym z obawy, jak to wpłynęłoby na dziewczynę - wyznał Woolford - a inni ze strachu przed nią.

- Z pewnością nie ma powodu, żeby się jej obawiać - rzekł Duncan.

Crispin wyglądał na zdziwionego jego słowami.

- Kiedy wyprowadzono ją z lasu, miała pałkę, a właściwie maczugę nabijaną niedźwiedzimi pazurami i ozdobioną paskami futra. Kiedy groziła nią ludziom, chorowali. Zaczęli nazywać ją czarownicą.

- Zabrano ją temu, którego boją się nawet Indianie - dodał ściszym głosem Woolford, znacząco spoglądając na Duncana.

Ten zrozumiał dopiero po chwili.

- Tashgua - powiedział z dreszczem zgrozy.

Może Sarah nie była czarownicą, ale niewolnicą czarownika.

- Wojsko zostawiło ją w morawskiej misji na północy - wyjaśnił Crispin. - Nie chciała jej opuścić, więc pojechalśmy tam i nauczyliśmy ją znów być Angielką. Czasem budziła się w nocy i wydawała zwierzęce odgłosy. Zostaliśmy z nią przez kilka tygodni, po czym zabraliśmy do miasta. Nawet potem musiałem siedzieć przy niej i trzymać ją za rękę, czasem godzinami.

Duncan przypomniał sobie, jak Crispin zawsze uspokajał nerwowe konie.

- Adam Munroe był jednym z tych, którzy z nią byli? Był w misji?  
- Odszedł, zanim tam przyjechaliśmy. Był w milicji i został schwytany przez Huronów, którzy przehandlowali go jakimś Indianom z Ohio, a ci sprzedali go szczepowi, który więził Sarah. Wojsko chciało się dowiedzieć od niego różnych rzeczy o Indianach, ale uciekł.

- A ona po miesiącu pobytu w Nowym Jorku uciekła do Argyll, żeby ukryć się z Adamem.

- Myśleliśmy, że udała się na północ - wyjaśnił Crispin - do tego drugiego indiańskiego jeńca, z którym została uratowana, a który został w misji. Lord Ramsey i wielebny Arnold rozprawiali z nim godzinami, rozmawiając o niej, o ich życiu wśród Indian, próbując zrozumieć ją i jej postępowanie, dopóki nie przeszedł załamania nerwowego i przestał mówić. Zostałem w Nowym Jorku, wypytyując, kogo się dało. Pewien przewoźnik przypomniał sobie, że jednej nocy zawiózł jakąś kobietę w płaszczu na statek mający z rannym przyływem odpłynąć do Glasgow. Mówiła, że wraca do domu, odwiedziwszy rodzinę w Albany. Major Pike przyszedł do domu Ramseya, dopytując się, gdzie jest Adam Munroe. Powiedziałem mu, że nie wiem. Jednak powiedziałem wielebnemu Arnoldowi, że Adam mówił kiedyś, że jego dom jest w miejscowości zwanej Argyll.

- Dlatego Arnold popłynął szukać jej w Szkocji - rzekł Duncan do Woolforda. - Gdzie już szukaliście Adama.

Woolford uchylił drzwi.

- To niebezpieczna noc na takie rozmowy - powiedział ostrzegawczym tonem.

- A kiedy dokładnie lord Ramsey postanowił zwerbować gromadę więźniów - spytał Duncan?

- Zeszłej jesieni - odparł Woolford.

- Po ucieczce Sarah - dopowiedział Duncan - po tym, jak Ramsey porozmawiał sobie z innym zaklinaczem duchów o jej pobycie wśród Indian, po tym, jak jego nienawiść do nich rozgorzała równie mocno jak do Francuzów.

- Rozgrzebujesz sprawy, które niektórzy uznaliby za tajemnice państwowe. Niebezpieczny grunt dla niewolnego sługi.

- Jestem gotów podjąć to ryzyko, skoro inni igrają sobie z życiem starego człowieka i niewinnej dziewczyny. Czego Ramsey zamierza dokonać za pomocą kompanii zbrojnych?

- Bronić swojej ziemi - rzekł Woolford.
- Pięćdziesięciu ludzi na dziesięciu tysiącach mil kwadratowych?
- To śmieszne. On ma tylko dziesięć tysięcy akrów.
- Arnold nie przepłynął Atlantyku tylko po Sarah - wyjaśnił Duncan. - Widziałem akt własności, który przywiózł od króla. Obejmuje wszystkie zachodnie ziemie aż po wielkie jeziora.

Woolford ostrożnie zamknął drzwi i podszedł do Duncana.

- Niemożliwe.

Duncan pospiesznie wyjaśnił, co pokazał mu Ramsey. Zwiadowca zareagował tak, jakby koń go kopnął.

- I on, i Calder chcą objąć stanowisko gubernatora - rzekł głuchym głosem. - Jako właściciel tej ziemi, Ramsey miałby znacznie lepszą pozycję. - Woolford spojrział na Duncana. - Jednak on nie może zająć tej ziemi. Ona należy do Indian.

W stajni zapadła martwa cisza. Gdzieś w oddali zawył jakieś zwierzę. Duncan przerwał milczenie.

- Calder ma środki, by zająć te ziemie, budując wszędzie forty. Ramsey próbuje osiągnąć ten sam cel w subtelniejszy sposób. Dzięki umowom i łapówkom.

- Niech Bóg ma nas w opiece - prawie jęknął Woolford. - Ten akt własności jest bezwartościowy, dopóki wciąż są tu Indianie. Król chce, by Ramsey i Calder rywalizowali ze sobą, a zwycięży ten, który rozbuduje kolonie na zachód. - Spochmurniał i w jego oczach znów pojawił się wojowniczy błysk, lecz kiedy ponownie się odezwał, szeptął z niepokojem: - Dziś po południu pojawił się nowy wampum, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Zaniepokoił Fitcha, który twierdzi, że wampum głosi, iż za dziesięć dni na Kamienistym Szlaku nastąpi koniec świata.

Odwrócił się na pięcie i znikł w ciemności.

Duncan chciał zapytać, czyja to przepowiednia, ale wiedział, że nie musi. Obaj słyszeli o pewnym proroku, który przemawiał za pomocą paciorków. Tashgua, dawny dręczyciel Sarah.

Duncan zapatrzył się w mrok, przypominając sobie mapę, którą zabrał ze skrytki Ramsey'a w piwnicy.

- Jaka byłaby cena dziesięciu tysięcy mil dziewiczej ziemi, Crispinie? - zapytał po chwili.

- Na pewno nie życie jego dzieci - odparł ochryplym szeptem służący. - Nie ich życie.

Duncan ze zdumieniem spozjrzał na przyjaciela, zmrożony tym, że taka myśl w ogóle przyszła mu do głowy. Twarz wielkoluda zdradzała miotające nim emocje. Mając łzy w oczach, wyszedł w noc.

Duncan wyszedł chwilę później i samotnie przeszedł w blasku księżycy przez dziedziniec. Oparł się o ogrodzenie, wdychając nocne powietrze i próbując ponownie poukładać kawałki łamigłówki, która rozsypała się tej nocy, głaszcząc przy tym pysk pociągowego konia, który przyszedł go obejrzeć. Bezsprzecznie Ramsey stworzył Kompanię, aby umocnić swoje roszczenia do ziemi, chociaż Duncan nadal nie rozumiał, w jaki sposób ani jaka miała być w tym jego rola, mimo że Calder nazywał go tajną bronią lorda. Widocznie Adam i Sarah odkryli, jakie mieli odgrywać w tym rolę, i rzucili się do morza.

Wprawdzie Duncan sporządził Ramseyowi raport mający odwrócić jego uwagę od Szkotów w Kompanii, ale nie był tak upojony tym sukcesem, by uważać, że są bezpieczni. Zyskał na czasie, lecz wcale się nie zbliżył do odkrycia prawdy o Jamiem i Kamienistym Szlaku. W wyniku tego niepowodzenia zginął Frasier, a Listera czekała szubienica. Wezbrały w nim emocje, nie pozwalając trzeźwo myśleć. Flora była w stajni, już nie zagadkowa, bezradna zjawą, lecz kobieta z krwi i kości, mieszkająca w wielkim domu.

Koń drgnął i gdy Duncan się obrócił, wokół niego wyrosły jakieś postacie. Wyrwał się, uchylił i rzucił do ucieczki. Dotarł prawie do drzwi szkoły, gdy czyjeś ręce, wiele rąk, złapało go za ramiona i coś z trzaskiem uderzyło go w głowę. Nogi ugięły się pod nim i niejasno uświadomił sobie, że przytrzymano go, zanim upadł na ziemię, i uniesiono w powietrze. Kiedy odzyskał przytomność, był w jednej z szop, z rękami przywiązanymi do belki nad głową. Półprzytomny, nie zdawał sobie sprawy z obecności innych ludzi, dopóki nie ocucił go przesywający ból pleców.

- Co wy...

Protest uwiąził mu w gardle, gdy spadł na niego kolejny cios bata, jakby ktoś przypiekl mu skórę rozżarzonym pogrzebaczem. Spadł na niego następny cios, i następny, drąc w strzępy koszulę. Pięć, dziesięć razy.

- Masz szczęście - oznajmił powoli i dobitnie głos w ciemności – że nie możemy pozwolić, by gubernier naszych dzieci został publicznie wychłostany. Rozumiemy też, iż pod wpływem głębokich uczuć człowiek może lekceważyć swoje życie. Dlatego pozwól nam wyjaśnić, co się stanie, jeśli

znów okazesz takie buntownicze skłonności. Wybierzemy najstarszego górala spośród pozostałych więźniów i będziemy go chłostać, aż niemal wyzionie ducha. Nie spodziewam się, byś zaprzestał tego zuchwalstwa z obawy przede mną. Przystaniesz, bojąc się, że skrzywdzisz w ten sposób swoich ukochanych Szkotów. - Sylwetka Ramseya była ledwie widoczna w świetle księżycy sączącym się między belkami. - Bądź pewien, że znajdziemy i spalimy te twoje paskudne piszczałki. Wkrótce pojmiesz, jacy byliśmy miłośnikami, ze względu na dług, jaki wobec ciebie mamy. I czy wspomnieliśmy, że Lister nie dostanie jedzenia przez dwa dni?

Ramsey nie powiedział nic więcej, tylko stał w milczeniu, gdy Duncan otrzymał jeszcze pięć razów. Zacisnął zęby, postanowiwszy nie krzyczeć, pamiętając, jak Lister przegryzł trzy kawałki drewna, otrzymując czterdzieści batów.

W końcu piekące razy ustały i zamglonymi z bólu oczami Duncan zobaczył błysk stali przecinającej jego więzy i usłyszał szuranie nóg odchodzących napastników. Nie wiedział, jak długo leżał na ziemi, zmagając się z bólem, lecz w końcu chwiejnie wyszedł na zewnątrz i dotarł do wodopoju. Zanurzył głowę w wodzie i nabierając ją dłonią, polewał sobie plecy. Dostrzegł, że coś poruszyło się w ciemności, ale nie zważał na to. Jeśli znów przyjdą, to pokaże Ramseyowi, że nie każdy Szkot się poddaje. Ta myśl sprawiła, że przypomniał sobie o kimś. Znalazł stylisko siekiery, chwycił je i pomaszzerował do kuźni.

Podkrał się z uniesioną do ciosu pałą, lecz w kręgu słabego światła świecy nie zastał strażnika. Rzucił stylisko na ziemię i opadł na stołek.

- Cudowną rzecz zrobiłeś tej nocy, chłopcze - powiedział ochryply głos zza prętów. - Wszyscy cię słuchali, możesz być tego pewny. Od lat nic mnie tak nie uradowało. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś usłyszę kobzę.

- Wiedziałeś, że to ja?

- Pakowałem twoje rzeczy na statku. To ja przechowałem ten brązowy worek.

Spazm bólu wstrząsnął ciałem Duncana.

- Najgorsze będą pierwsze godziny, chłopcze. Potrzebny ci okład albo maść. Nie pozwól, by rany zaschły i popękały. - Duncan usłyszał brzęk łańcuchów, gdy Lister przysunął się bliżej. - I posłuchaj mnie, słuchaj uważnie. Mówiłem ci, że są tu Szkoci, na południu, w Karolinie. Zadni górale, żyjący z daleka od Johna Bulla. Blizny na plecach będą twoją przepustką. Musisz

się tam udać, chłopcze. To twoja jedyna szansa. Moja kiepska stopa mnie nie utrzyma, więc spotkamy się tam później. Nie przeżyjesz siedmiu lat u tego...

Duncan drgnął, gdy coś zimnego dotknęło jego pleców. Czyjaś dłoń chwyciła go za ramię.

- Mam maść - rzekł Crispin. - Nie ruszaj się. Modliłem się, żeby pan Ramsey zasnął. Nie słyszał swojej córki, ale usłyszał muzykę. I tak okazał się wobec ciebie powściągliwy.

- Za sześć tygodni możesz być w Charlestonie - ciągnął stary Szkot.

- Lister, nie... - ostrzegł Duncan.

- On podaje mi kromki chleba przez szpary w ścianie z tyłu - przerwał mu Lister. - Zna Karolinę. Czarni niewolnicy idą na północ, żeby być wolni. Szkoci idą na południe.

- Kiedy pierwszy raz znalazłem się w jednej z takich osad, przestraszyłem się - oznajmił Crispin. - Większość mężczyzn miała włosy koloru ognia, nosiła spódniczki i mówiła językiem, od którego bolały uszy. Tęgo pili i często się śmiali. Jadąc na północ, minąłem drugą taką wioskę, w której był festyn. Rzucali kłodami drzewa, jak olbrzymy ze wzgórz.

Duncan napiął i powoli rozluźnił mięśnie, gdy Crispin zaczął smarować mu plecy maścią.

- Będzie mu potrzebny plecak, Crispinie - powiedział łagodny głos z cienia. - I żywność. Tyle żywności, ile zdoła unieść, bo nie może się zatrzymywać, żeby ją zdobyć.

- Panna Ramsey! - jęknął Crispin.

- Bądź cicho, bo obudzisz cały dom - ostrzegła Sarah cichym, łagodnym głosem. Gdy podchodziła do nich, poprzedała ją plama jasnego światła z lampy z uniesioną osłoną, którą trzymała w ręku. W drugiej ręce miała koszulę. - Przyniosłam panu McCallumowi czystą koszulę z pralni. Pana Ramseya, ale przynajmniej tyle jest ci winien.

Mówiła spokojnie i rzeczowo, bez śladu tego dziwnego transu, w jakim Duncan widział ją godzinę wcześniej. Postawiwszy lampę na kowadło, wzięła od Crispina tubkę z maścią i zaczęła ją nakładać na rany.

- A także trochę pieniędzy i tomahawk do rąbania drewna na opał - powiedziała nowym, konspiracyjnym tonem. - Oczywiście jeszcze nie teraz. Twoje plecy muszą się wygoić. I trzeba sporządzić mapę.

- Nie możesz - zaprotestował Duncan.

Sarah zawahała się. Duncan zobaczył kątem oka, że opuściła dłoń z maścią.

- Słyszałam o innej Florze - powiedziała.

Te słowa trafiły w czułe miejsce, zaskakując Duncana, a wywołany przez nie niepokój sprawił, że na moment zapomniał o bólu. Flora McDonald była w Szkocji legendarną postacią. Zaryzykowała życie, pomagając ściganemu przez angielskich prześladowców księciu Charlesowi uciec ze Szkocji na francuskim statku.

Sarah znów zabrała się do roboty.

- Zapominasz, ile ci zawdzięczam.

Duncan ścisnął pręty klatki na węgiel, gdy przeszła go nowa fala bólu. Miał zamęt w głowie. To była niewinna, łagodna córka człowieka, który dopiero co pociął mu batem skórę na plecach. Nie, to była kobieta zmieniona w dzikuskę przez Indian, którzy ją pojmali. Nie, to była Flora, melancholijna więźniarka, która nuciła w sąsiedniej celi i dotykała jego dłoni w ciemności. Teraz jednak wydawała się nie być żadną z nich. Dziewczyna, która smarowała maścią jego pokaleczone plecy, była silną i zdecydowaną istotą, która świadomie sprzeciwiała się swemu ojcu. Zaczął przeczuwać, że nigdy nie zrozumie tajemnic otaczających Kompanię i groźby wiszącej nad Listerem, jeśli nie pojmie, jak i dlaczego Sarah jest wszystkimi tymi osobami jednocześnie.

- Nie zostawię Listera na śmierć - oznajmił.

- Czasem łatwo zapomnieć o skazańcu związanym umową - rzekł Crispin. - Jeśli jednak Lister ucieknie, powiedzą, że to dowodzi jego winy, i będą go ścigać jako zbiegłego mordercę.

- To prawda, Klanie McCallum - rzekł z ciemności stary Szkot.

- Uważasz, że Lister jest winny? - spytał Duncan Sarah, zapomniawszy na moment, jak reagowała na wszelkie pytania.

Przestała smarować go maścią, ale nie uciekła.

- Nie - odpowiedziała wreszcie. - Ale jeśli tu zostaniesz, mój ojciec użyje go przeciwko tobie.

- Dziewczyna mądrze mówi - rzekł Lister. - Zaczekaj kilka dni, a potem zniknij.

- Zgłoszę, że jesteś chory - dodał Crispin - więc nie będą cię szukać przez dzień lub dwa. Na południu nie ma wojny. Szkoci udają się tam, daleko od prawa. Daleko od wojska - dodał z naciskiem. - Będą coś wiedzieli o twoim bracie. Jeśli kapitan McCallum z czterdziestego drugiego regimentu



ma choć połowę rozumu swojego brata, to już tam będzie z odpowiedziami na dręczące cię pytania.

- Nie mogę cię zostawić - upierał się Duncan.
- Zatem jesteś cholernym głupcem - odpalił Lister.
- Co możemy uznać za dowiedzione - rzekł z przygnębieniem Duncan.

Gdyby rzeczywiście znalazł prawdę w Karolinie, wróciłby tu, nawet gdyby to oznaczało siedem lat noszenia żelaznej obroży.

Crispin zaczął opatrywać ostatnie rany na jego plecach. Sarah bez słowa znikła w ciemnościach.

Kiedy wrócił do szkoły, zastał swój pokój splądrowany. Materac leżał pod ścianą, części jego skromnej garderoby były porozrzucane po pokoju i podeptane ubłoconymi buciorami. Wszystkie szuflady komody były wyciągnięte. Duncan położył materac na ramie łóżka i osunął się na niego. Ułożył się na brzuchu i natychmiast zasnął.

Przez połowę następnego dnia miał zaplanowane lekcje, więc wstał o świcie, w milczeniu zjadł w kuchni śniadanie ze służbą, po czym wrócił do klasy, by wypisywać litery alfabetu na tablicy z dużej deski, przerywając co chwilę, by uśmierzyć przeszywający ból pleców przy każdym podniesieniu ręki.

Kiedy o ósmej zadzwonił dzwonkiem, młodsze dzieci Ramseya wypadły z domu. Sarah szła kilka kroków za nimi w zwykłej szarej sukni z koronkowym kołnierzykiem zapiętym pod szyją i włosami związanymi wstążką. Posłała Duncanowi nerwowy uśmiech i dołączyła do rodzeństwa, siadając przy stoliku za Jonathanem i Virginia. Razem wyrecytowali alfabet, a potem Duncan kazał im napisać jakieś słowo zaczynające się na literę „a”, żeby ocenić poziom ich umiejętności.

Jonathan i Virginia zrobili to szybko, lecz Sarah z udręką w oczach spoglądała na alfabet, zanim zaczęła pisać na tabliczce. Po chwili Jonathan podniósł swoją tabliczkę, pokazując starannie napisane słowo „Albany”. Virginia wprawnie napisała „arka”. Kiedy Duncan podszedł do Sarah, ta drżącą dłonią odsunęła od siebie tabliczkę, jakby się jej bała. Napisała na niej „akcja” niezgrabnymi i nierównymi literami, ale obok zręcznie narysowała akację.

- Doskonale - rzekł Duncan, przesuwając tabliczkę tak, żeby rodzeństwo nie mogło zobaczyć, co dziewczyna napisała.

Przez resztę ranka czytał im na głos, uwalniając Sarah od potrzeby dalszego pisania. Kiedy zakończył zajęcia, została w klasie.

- Mój język potrafi znaleźć słowa, lecz palce tego nie potrafią - powiedziała skrepowana, wbijając wzrok w podłogę. - Przedtem uczyła mnie matka. Jednak trudno sobie przypomnieć te rzeczy sprzed tak wielu lat. - Powiodła spojrzeniem ku oknu. Na parapecie przysiadł jakiś szary ptaszek, zaglądając do środka. - Jestem zawstydzona.

- Żaden to wstyd dla owieczki potknąć się przy pierwszym kroku.

Wargi Sarah wygięły się w nikłym uśmiechu i dziewczyna przez moment odważyła się spojrzeć mu w oczy.

- Czy mogłabym nauczyć się piosenek, które twoja matka śpiewała nam, osieroconym owieczkom?

- Były w starogaelskim - rzekł Duncan, nie śmiejąc spytać, dlaczego uważa się za sierotę. - Trzeba mieć do niego ucho, tak jak do kobzy.

- *Ceol Gaidhlig* - powiedziała.

Gaelicka muzyka, w dawnej mowie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Każde pytanie to dla niej jak uderzenie pałką, przypominał sobie. W końcu spędziła kilka miesięcy z Adamem, który był *Gaidheal*, szkockim górale.

- Jest pani niewyczerpanym źródłem niespodzianek, panno Ramsey.

To przypomina mi inne słowo. *Haudenosaunee*.

Sarah wyraźnie się odprężyła.

- To oznacza ludzi z długiego domu. Irokezów. Sierżant nazywa ich Szóstką.

- Z długiego domu?

Wzięła kredę i narysowała długi budynek z wypukłym dachem, wyjaśniając, jak wiązano razem młode drzewka jako krokwie, które pokrywano korą, tworząc dom z kilkoma paleniskami, każde dla jednej rodziny.

- Byłaby to korzystna umowa, gdybyś za każde angielskie słowo, jakiego cię nauczę, nauczyła mnie jednego irokeskiego – zaproponował Duncan.

Nerwowo skinęła głową, a on napisał na tabliczce „kłon”.

- *Haudenosaunee* nie rysują swoich słów - powiedziała - ale mogę ci je mówić. - Narysowała żółwia. - *Anonwara* - wyjaśniła z lekkim podnieceniem w głosie.

Pracowali przez kolejne dwie godziny, bez przerwy na lunch, i stolik Sarah zapelniał się karteczkami z zapisanymi słowami, które kazała mu sylabizować. Dąb, świerk, cedr i tuzin innych drzew. Jeleń, bóbr, orzeł, sowa, wilk

obok rysunków z jego fonetycznie zapisanymi indiańskimi słowami, które mu podawała. *Erhar* - pies. *Anokie* - piżmak. *Kenreks* - puma. *Ohskenton* - jelen. Jako uczennica była szybka jak leśne stworzonko i Duncan po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy coś, co jeśli nawet nie było zadowoleniem, to przynajmniej satysfakcją.

- A niedźwiedź? - zapytał.

Sarah wahała się tylko przez moment.

- *Ohkwari*.

To słowo wykrzykiwała tamtej pierwszej nocy w celi, a potem w stajni. *Haudenosaunee*, wołała, a potem *ohkwari*.

- Ojciec będzie cię oczekiwał na obiedzie, panno Ramsey - przypomniał jej.

Uśmiechnęła się kwaśno.

- Jada samotnie, przy swoim biurku. - Podniosła głowę. - Nie znam zbyt dobrze etykiety, ale nie dzieli nas znaczna różnica wieku. Kiedy jesteśmy razem, czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu? Duncanie.

- Pamiętam, że opowiadałem ci historie z mojego dzieciństwa, Sarah - odparł.

Wstała i już był pewien, że ją wystraszył, ale podeszła do okna. Widok rzeki i lasu zdawał się ją uspokajać.

- Kiedy tamtego dnia skoczyłam z bomu, zdawało mi się, że spadam całą wieczność. Nie pamiętam, że byłam w wodzie. Ocknęłam się w celi i myślałam, że jestem w jednym z tych miejsc, do których odchodzą duchy. Dopiero później w Nowym Jorku kapitan Woolford powiedział mi, że to ty mnie uratowałeś. - Spojrzała mu w oczy, jakby szukała w nich wyjaśnienia. - Oczyszcisz mój grób - dodała głuchym szeptem, jakby w ten sposób również ocalił jej życie. Nachyliła się do okna i czubkami palców dotknęła szyby. - Tak mało pamiętam z tych dni, które spędziłam na statku. Wciąż spałam albo wydawało mi się, że śnię na jawie.

- Podawali ci bardzo silne lekarstwo.

- Podawali mi herbatę, zawsze gorzką. Było mi od niej niedobrze, ale wciąż mi ją podawali. Wielebny Arnold wyjaśnił, że przechodzę kryzys duchowy, a ja wiedziałam, że ma rację, ponieważ miałam te wszystkie okropne wizje. Powiedział, że Opatrzność czuwa nade mną i przeprawa przez ocean w stanie tego półsnu pozwoli mi się odrodzić. Mówili, że kiedy wyciągnęłam mnie z wody, kapitan uparł się, żeby zamknąć mnie w celi. Wielebny bardzo mnie za to przeproszał. Lord Ramsey powiedział, że dobrze

zrobili, zamykając mnie w bezpiecznym miejscu. - Wróciła do stołu i zaczęła odczytywać wszystkie słowa podane przez Duncana. - Bóbr... jeleń... wilk.

Nie wyglądała na poruszoną swoim dziwnym wyznaniem ani wspomnieniem chwil spędzonych w celi. Duncan przypomniał sobie, że przecież była w niewoli przez dwanaście lat. Tuziny pytań cisnęły mu się na usta. Gdy podszedł do niej, zerknęła na niego z nagle obudzoną czujnością. Wyczuł, że napięła mięśnie.

- Żałuję, że nie poznałem profesora lepiej - rzekł. - Był uczonym ogromnie ciekawym świata, szczególnie Nowego Świata.

Sarah przyglądała palcami złotorude włosy, z których nie wiadomo kiedy znikła wstążka. Duncan uświadomił sobie, że w ciągu tych razem spędzonych chwil przybrała wygląd spłoszonego, dzikiego zwierzątka. Zaczęła się wiercić, jakby jej zapięta pod szyją suknia zmieniła się w kaftan bezpieczeństwa.

- Budziłam się w łóżku, a on tam siedział. W kajucie zawsze ktoś ze mną był, ale tylko on stawiał sobie krzesło przy łóżku. Inni zawsze trzymali się z daleka, siadali przy stole i czytali. Tylko on rozumiał, że nad ranem prawie odzyskuję przytomność, i starał się być przy mnie od północy. Zmniejszał dawki leku, tak że się budziłam i rozmawialiśmy szeptem, o czym nie mówił pozostałym. Miał córkę, która umarła przed kilkoma laty. Byłaby w moim wieku. Powiedział, że Bóg uśmiechnął się do niego, dając mu szansę być przy mnie przez kilka następnych lat, zanim dorosnę.

Duncan zaczął wyczuwać kruchą równowagę tej rozmowy i zaczął opowiadać o swoich spotkaniach z profesorem, o swym szacunku dla taktu oraz intelektu uczonego, o fascynacji Everinga nocnym niebem oraz przewidywanym pojawieniem się komety.

- Tamten sztorm był niepodobny do żadnego innego, jaki widziałem - rzekł w końcu. - Byłem na bocianim gnieździe, kiedy się zaczął. Słyszałem głos mojego dziadka, choć on nie żyje od dwudziestu lat.

Sarah odpowiedziała jednym ze swych smutnych, mądrych skinień głowy, jakby wcale nie zaskoczona.

- Poprzedniej nocy przyniósł mi herbatę. Po raz pierwszy prawdziwą herbatę, a nie lekarstwo. Powiedział, że mogę przez całą noc być na nogach, ponieważ tego dnia przypadają urodziny jego córki i chce je uczyć, słuchając sekretów mojego życia.

- Zdecydował, że należy odstawić lek.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mogę mieć im za złe, że odurzali mnie w czasie podróży.
- Myślałem, że robili to, ponieważ przewozili cię wbrew twojej woli.
- Młody jelen, nieprzywykły do ludzi, może tak się przestraszyć, że będzie biegł wiele mil.
- Tylko że ty uciekłaś za ocean. Co cię tak przestraszyło, Sarah?

Naruszył chwiejną równowagę. Podniosła papiery ze stolika i zaczęła się cofać do drzwi, obserwując go jak osaczone zwierzę. Jednak przy drzwiach przystanęła, żeby odpowiedzieć:

- Świat - szepnęła. - Tylu ludzi bez prawdziwych skór.

Przestąpiła przez próg i zatrzymała się tak gwałtownie, jakby ktoś ją uderzył, wpatrując się w coś na dziedzińcu.

Duncan podbiegł do niej. Jonathan znów rzucał kamieniami w stare naczynia, tym razem nie tylko je tłukąc, ale wdeptując potem skorupy w ziemię. Sarah przycisnęła dłoń do piersi i zachwiała się. Cofnęła się, jakby szukając kryjówki, wyczuła obecność Duncana i chwyciła go za rękę, splatając palce z jego palcami tak, jak to robili w swych celach. Nie był to czuły uścisk, lecz reakcja przestraszonej dziewczyny. Gdy po chwili na dziedzińcu znów rozległ się brzęk tłuczonego naczynia, Sarah odwróciła się z oczami pełnymi łez. Bez słowa przytuliła się do Duncana, zarzuciła mu ręce na szyję i zapłakała jak dziecko.

Po nieprzespanej nocy Duncan położył się do łóżka po południu. Opadł na materac i zbudził się dopiero wtedy, kiedy ktoś zaczął nim potrząsać. Słońce już zaszło, a przy łóżku stał Crispin. Sarah nieśmiało stała w drzwiach, trzymając lampę. Splotła włosy w warkocz, opadające z obu jej skroni.

- Przynieśliśmy ci coś - oznajmił Crispin, gdy Duncan usiadł na łóżku. O framugę drzwi był oparty mały plecak z brezentu, ze skórzanymi paskami, taki sam, jakie mieli Woolford i Fitch. - Koc i toporek. Woreczek mąki, suszone mięso i suchary na dwa tygodnie. Bochenek chleba owinięty w płótno. Odręcznie narysowana mapa szkockich osad wokół Charlestonu i druga, drogi stąd do Delaware. Na skraju starego cmentarza jest zwalone drzewo. Położę tam plecak i przykryję korą. „Będzie na ciebie czekał, kiedy przyjdzie czas. Znam ludzi na południu, którzy mieli taki ekwipunek

schowany przez całe miesiące lub lata. Samo posiadanie tego dawało im nadzieję.

- Crispin mówi, że będzie mnie uczył, kiedy odejdziesz - wypaliła Sarah.

Przygryzła dolną wargę i wbiła wzrok w podłogę.

- Nocami - poważnie rzekł Crispin, stając przy drzwiach jak wartownik.  
- Tak jak uczyła mnie moja matka. Dopóki nie przybędzie nowy nauczyciel.

- Wierzę, że chcesz się mnie pozbyć - powiedział Duncan.

Te słowa wyraźnie zraniły Sarah.

- Pragnę, byś był wolny, panie. - Jej głos, choć silny, zdradzał burzę uczuć. Duncan zaczął ją lepiej rozumieć. Zmagania z własnymi uczuciami, ze swym niespokojnym duchem, dodawały jej siły. - Wolny i bezpieczny, w poszukiwaniu prawdy. Crispin i ja dobrze wiemy, jak to jest być niewolnikiem. W naszej mocy jest uchronić cię przed tym. - Podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. - Nie wiem, jak inaczej mogłabym ci się odwdziżyć. Musisz mi na to pozwolić, inaczej nosiłabym to brzemię. Życie za życie. Lister również nalega, żebyś szedł. Omówiliśmy wszystko z Crispinem. Kiedy dotrzesz do Karoliny, musisz napisać list do człowieka, którego nazwisko jest zapisane na mapie. To osadnik mieszkający kilka mil na północ stąd, miły człowiek, który będzie wiedział, co zrobić z tym listem. Wtedy będę już miała dla ciebie wiadomości. Znajdziemy sposób, żeby odroczyć proces. Może lord Ramsey przestanie się nim interesować. Obojętnie, co się wydarzy, musisz obiecać, że odejdziesz.

Duncan podniósł głowę, zaalarmowany.

- A co się ma wydarzyć?

- To skraj puszczy. Miejsce między światami. Już raz tu umarłam.

Beznamiętny sposób, w jaki to powiedziała, zjeżył Duncanowi włosy na głowie.

- Chcesz powiedzieć, że zostałam uprowadzona.

- Moi rodzice mnie pochowali - odparła Sarah, mówiąc bardzo wolno, jakby mówienie po angielsku znowu przychodziło jej z trudem. Popatrzyła na swoje ręce i szepnęła coś do siebie w obcym języku, w miękkiej i syczącej mowie leśnych ludzi. - Istniałam jedynie w ich przeszłości. Umarłam. I tak to ze mną jest. Umarłam i stałam się kimś innym, tak jak na statku. Kiedyś byłam małą dziewczynką. Kiedyś byłam branką. Kiedyś byłam zaklinaczką

duchów. Kiedyś przez dwa miesiące żyłam tylko we snach. Straciłam matki. Straciłam ojców. Ty jesteś *Gaidheal*, więc z pewnością wiesz, jak to jest być odcięty od swoich korzeni.

Złożyła dłonie i powoli podnosiła palce, pokazując, jak coś rośnie, po czym gwałtownie je opuściła i wykonała dłonią ruch imitujący cięcie.

Duncan spojrział na Crispina i na jego twarzy zobaczył takie samo zmieszanie, jakie sam czuł. Wyczuwalny w jej słowach lęk był niepodobny do jakiegokolwiek znanego mu strachu. Gdzieś w głębi duszy poczuł drżenie. Ona znów szła po bomie i tym razem nie wiedział, jak ją uratować.

- Obiecuj mi, Duncanie McCallum. - Załamała się jej głos i przycisnęła pięść do ust, na moment zamykając oczy. Kiedy znów przemówiła, mówiła trzeźwo i stanowczo, zarumieniona. - Nigdy w życiu nikogo o nic nie prosiłam. Wyświadczyć mi ten zaszczyt. Jeżeli cenisz swoje życie, jeśli cenisz moją duszę, zrób to. Czegokolwiek chce od ciebie lord Ramsey, nie możesz mu tego dać. Jeśli zostaniesz lub udasz się do lasu, wykorzysta cię. Wykorzysta cię i zniszczy. - Kiedyś już słyszał te słowa od Adama. - Przysięgnij mi, że uciekniesz na południe.

Kiedy Duncan w końcu odpowiedział, głos łamał mu się ze wzruszenia.

- Obiecuję.

- Poleje się krew - dodała roztargnionym, znużonym głosem. - Chcę, żebyś był wtedy daleko. Dla mnie to nic nowego. Nie chcę, żebyś mnie oplakiwał.

Duncan wytrzeszczył oczy, tak oszołomiony jej rzeczowym stwierdzeniem, że nie opierał się, gdy Sarah ujęła jego dłoń i uściśniła ze smutnym, nieśmiałym uśmiechem.

- Nie strać swej prawdziwej skóry - szepnęła, po czym zebrała fałdy sukni i zniknęła za drzwiami.

- W jej pokoju znalazłem prawie dwadzieścia takich, wetkniętych pod poduszkę i rozsypanych pod łóżkiem - powiedział Crispin cieniem, przestraszonym głosem.

Wręczył Duncanowi kilka znajomo wyglądających skrawków papieru, na których napisał słowa dla Sarah. Ona wykorzystała je ponownie. Na odwrocie każdego narysowała dwie faliste linie połączone na końcach, Sarah znów umykała do swego świata duchów.

- Kiedy tu szliśmy, nagle przystanęła i ścisnęła moje ramię jak przestraszone dziecko. Łza spłynęła jej po policzku, gdy obejrzała się na wielki dom i powiedziała, że zamierzają porąbać jej ojca na kawałki i rozrzucić je w lesie.

Gdy przyszedł sen, był pełen koszmarów, bezładnych obrazów dziadka i Listera, Sarah i napotkanych w głównej kwaterze dzikusów, wyjątych zwierząt i rąk wyciągających się z grobów. Kiedy zaczął się koszmar na jawie, z początku nie wierzył własnym zmysłom. Krzyki dobiegały z oddali, rżenie przerażonych koni przypominało wycie stworzeń z jego snów. Zaraz jednak w ciemnościach nocy ujrzał płomienie palących się za polami chat i usłyszał pierwszy wystrzał z muszkietu.

Gdy otworzył drzwi, z lasów dobiegło mrozące krew w żyłach wycie. Znacznie bliżej zawtórował mu inny okrzyk - jednego z członków Kompanii, kryjącego się za rogiem budynku.

- Indianie! - jęknął mężczyzna, trzęsąc się tak mocno, że siekiera wypadła mu z ręki.



## Rozdział 10

Duncan pospiesznie się odział i wypadł z budynku, biegnąc nie ku pożarom, lecz do wielkiego domu. Wszędzie panowało zamieszanie. Ludzie miotali się na wszystkie strony, jedni krzycząc ze strachu, inni pospiesznie uzbrajając się w grabie i łopaty, jeszcze inni biegnąc z wiadrami, by walczyć z ogniem. Ramsey wyszedł w nocnej koszuli i szlafmycy na ganek, wołając Woolforda i Fitcha, lecz następne wycie dobiegające z lasów sprawiło, że złapał się za serce i przywarł do ściany.

Gdy Duncan dotarł na ganek, Ramsey złapał go i zasłonił się nim, jakby w każdej chwili oczekiwał nadlatującej strzały. Znad rzeki dobiegły kolejne wrzaski, a po nich triumfalne okrzyki oznajmiające, że zabito jednego, dwóch, trzech napastników. W drzwiach warsztatu cieśli Duncan ujrzał Camerona rozdającego muszkiety i rogi z prochem. Ramsey pozwolił otworzyć swój tajny arsenał.

Jedni mężczyźni nieporadnie wymachiwali ciężkim orężem, inni szybko zbili się w grupę i zaczęli słać salwy w las, a gdy Cameron wskazał jakiś niewyraźny kształt za ich plecami, odwrócili się i wystrzelili w kierunku otwartych pól za stajnią. Iskry uniosły się ku niebu. Przerażone zwierzęta kwiczały w swoich przegrodach. Ramsey zniknął w głębi domu. Gdy Duncan chwiejnie zeskoczył z ganku, ktoś wetknął mu do ręki wiadro. Ciężkim kłusem pobiegł w kierunku pożaru.

Jedna z nowo zbudowanych chat stała w płomieniach, które już lizały ścianę niedokończonej palisady. Dwadzieścia osób z miotłami i mokrymi kocami tłukło płomień sięgające drugiej chaty. Duncan przebiegł pięćdziesiąt jardów i napełnił wiadro w rzece, wrócił i chlusnął w płomień, po czym podniósł dymiącą miotłę i zaczął tłuc jezor ognia, który pelzł w kierunku stogu siana. Noc zmieniła się w wir opętańczej walki z iskrami i płomieniami oraz zdyszanej bieganiny do rzeki, przerywanej na krótkie,

lecz przerażające chwile, gdy razem z towarzyszami przypadał do ziemi, a kule ze świstem przelatywały im nad głowami.

W końcu na wschodzie pojawiła się zapowiedź świtu i krzyki przycichły, a potem zupełnie ustały. Duncan słyszał tylko znużone nawoływania gruppek wylewających wiadra wody na dymiące fundamenty chat. Wracając, wyczerpany fizycznie i psychicznie, dziwił się, nie znajdując na ziemi rannych ani zabitych leżących wszędzie wokół. Jednak mijając szopę bednarza, z jękiem rozpaczy odkrył odzianą w zieleń postać, leżącą twarzą do ziemi w kałuży krwi. Gdy odwrócił leżącego na plecy, ten wyciągnął rękę, jakby chciał go udusić. Jednak palce, które zacisnęły się na szyi Duncana, nie miały już siły. Ujrzał posępne oczy sierżanta Fitcha. Krew ciekła mu z szerokiej rany w piersi i z ust. Fitch poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko zakaszłał, krztusząc się krwią, która popłynęła teraz strumieniem. Krzepki weteran walk z Indianami otrzymał uderzenie tomahawkiem w pierś i obaj wiedzieli, że niebawem wyda ostatnie tchnienie. Z oczami zasnutymi mgłą, podniósł drżące ręce i wykonał nimi szereg ruchów. Z najwyższym trudem przesunął otwartą dłońią po swojej skroni, aż do ramienia. Gdy na jego ustach pojawiły się banieczki krwi, zacisnął pięść i wyprostował ku niej dwa palce drugiej ręki, poruszając nią tam i z powrotem, z początku szybko, potem coraz wolniej, tracąc siły.

Ze ściśniętym sercem Duncan zobaczył, jak stary zwiadowca powoli zamknął oczy, ale nagle otworzył je jeszcze, ciężko dysząc i brocząc krwią. Jedną ręką, niemal bezwładną, chwycił Duncana, a drugą sięgnął po coś, co miał zawieszane na rzemyku na szyi. Na moment przed tym, zanim światło życia zgasło w jego oczach, wyjął to coś spod koszuli i zacisnął w dłoni. Gdy Duncan spuścił głowę, oplakując dzielnego sierżanta, pięść zmarłego bezwładnie zsunęła się z jego piersi. Fitch trzymał w niej małą metalową odznakę zwiadowców Woolforda, wokół której ktoś umocował tuzin żółtych piórek.

Nagle Duncan uświadomił sobie, że za plecami słyszy czyjś płacz. Odwrócił się i zobaczył Crispina w podartym i osmalonym odzieniu, trzymającego na rękę Jonathana. Chłopczyk szlochał na piersi wielkoluda.

- Zabrali ją - oznajmił Crispin udręczonym, łamiącym się głosem. - Znów zabrali naszą małą dziewczynkę.

Smutek, w którym pogrążył się Duncan, zmienił się w coś mrocznego, gniewnego i strasznego.

- Sarah? - usłyszał swój głos zdający się dobiegać z oddali. – Dokąd poszli?

Crispin spojrział na ciemny las za szarą, oświetloną brzaskiem rzeką.

- Odeszli - odparł z taką rozpaczą, że Duncan pomyślał, że i on zaraz się rozplacze.

Powstrzymał się i nie skoczył w las, żeby szukać dziewczyny, tylko popatrzył na kuźnię i na swoje dłonie, wciąż zbroczone krwią Fitcha.

- Każ im znosić rannych do szkoły - polecił i podszedł do najbliższego koryta, żeby umyć ręce.

Kwadrans później, nakrywszy stoliki lnianymi prześcieradłami, żeby kłaść na nich rannych, Duncan zszywał ciasny opatrunek na kostce mężczyzny, który skręcił sobie nogę, biegnąc w ciemnościach po polu. Wcześniej nastawił złamaną rękę człowiekowi przygniecionemu przez spadającą belkę.

Wszedł Crispin.

- Nie ma więcej rannych - oznajmił zdziwiony wielkolud - poza kilkoma potrzebującymi maści na oparzenia. Indianie nikogo nie ranili. Tylko Fitch został zabity. - Ze znużeniem spojrział na dom. - Muszę zająć się dziećmi.

Co najmniej dziesięciu uzbrojonych w muszkiety mężczyzn strzegło domu, gdy kilka minut później wszedł do niego Duncan. Nikt nie zatrzymał go w drzwiach ani przed wejściem do biblioteki. Ramsey z twarzą w dłoniach i na wpół opróżnioną szklaneczką dżinu siedział na skraju biurka.

- Żołnierze już raz ją znaleźli - rzekł Duncan. - Mogą zrobić to ponownie.

- Nie spodziewaliśmy się takiego zuchwalstwa - wykrztusił Ramsey. Opróżnił szklaneczkę i cisnął ją do kominka, aż odłamki szkła rozprysły się po palenisku. - Wystawimy uzbrojone strażę, dzień i noc.

- Zniszczyli nas - powiedział Arnold ponurym i głuchym głosem.

Duncan już miał im przypomnieć, że dzieci są bezpieczne, a główne zabudowania nietknięte.

- Dom wydawał się zupełnie bezpieczny - rzekł Arnold. - Atak nastąpił od północy, na chaty. Rozstawiliśmy strażę wzdłuż południowej ściany domu, która znajduje się najbliżej lasu, po czym poszedłem pomóc gasić pożary. Lord Ramsey schronił się w piwnicy. Weszli od strony rzeki, prosto do sypialni. W korytarzu na piętrze są mokre ślady stóp. Zabrali peruki -

dodał stropionym szeptem. - Połowę peruk jego lordowskiej mości.

- Peruki?

Ta wiadomość była tak dziwna, że Duncan o mało nie poprosił, żeby Arnold ją powtórzył. Zaraz jednak powiódł wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem, w kąt pokoju. Sekretarzyk był rozbity. Pokrywa wyważona, drewno wokół zamka strzaskane, a szuflady powyciągane i rzucone na podłogę - częściowo rozdeptane. Drzwiczki w środku - za którymi, jak Duncan wiedział, znajdował się sejf na dokumenty - zostały rozbite i kawałki drewna leżały na blacie.

- Ukradli królewski statut? - spytał Duncan, nie próbując ukryć zdumienia.

Po raz pierwszy, od kiedy Duncan go znał, Arnoldowi zabrakło słów. Bezradnie spojrzął na Duncana.

- Nasz akt własności - jęknął.

- Tych dzikusów musiała być setka - rzekł Ramsey. - Byli wszędzie. Zmasakrowaliby nas, gdybyśmy się tak dzielnie nie bronili.

- Było ich najwyżej dziesięciu - wtrącił gromki, donośny głos.

Do pokoju wszedł Woolford. Twarz miał umazaną sadzą, odzienie ubłoczone błotem, a w rękę trzymał pomalowaną na czerwono pałkę zakończoną dużą gałką ze sterzącym żelaznym kolcem. - I gdyby chcieli nas pozabijać, niewielu pozostałoby przy życiu.

Ramsey pospiesznie zamknął biurko, po czym wstał i oparł się o nie.

- To była zacięta walka - zaprotestował. - Słyszałeś strzały. Niewątpliwie mieli wsparcie francuskiego wojska. Moi dzielni chłopcy ich powstrzymali.

- Wszystkie strzały, jakie słyszałem, padły z angielskich muszkietów. Tylko my strzelaliśmy - powiedział zwiadowca. - A jeśli chcesz zobaczyć osiągnięcia twoich dzielnych chłopców, to spójrz na swoje pastwisko. Leżą tam dwie piękne mleczne krowy ustrzelone przez strzelców wyborowych twojej Kompanii. I pień kasztana nafaszerowany taką ilością ołowiu, która zatopiłaby statek. - Napotkał spojrzenie Duncana i westchnął. - Zabrali ją za rzekę. Ślady prowadzą na północny zachód.

- Moja mała Sarah - jęknął Ramsey i łyzy pocięły mu po policzkach. - Dobry Boże, moja Sarah. Znów w niewoli... Bogu dzięki, że jej matka tego nie widzi.

- Co stąd zabrali? - zapytał Woolford.

Duncan obserwował Ramseya, który wymienił zakłopotane spojrzenia z Arnoldem, nie przestając płakać.

- Zabili twojego sierżanta - oznajmił duchowny. - Zniszczyli nasze nowe baraki dla ludzi Kompanii. - Ruszył na Woolforda, jakby chciał go zmusić do odwrotu. - Pozbieramy ciała tych, których zabililiśmy. Przynajmniej możemy powiedzieć światu, że drogo zapłacili za tę zbrodnię. Jeśli dopisało nam szczęście, może zabililiśmy paru francuskich oficerów.

- Nie znajdziecie żadnych ciał - odpalił Woolford. - Nawet jeśli kule Kompanii trafiły któregoś z nich, w co wątpię, to pozbierali swoich zabitych. I na pewno nie znajdziecie żadnych śladów obecności Francuzów. - Zwiadowca przez chwilę przyglądał się Ramseyowi i Arnoldowi, po czym zaklął pod nosem. - Czy to możliwe, żebyście niczego nie pojmowali, tkwiąc w samym środku tego zamieszania?

- Nie potrzebujemy, żeby wojsko nam wyjaśniało, dlaczego cierpimy - odparł lodowatym tonem Ramsey i odwrócił się plecami do zwiadowcy.

Z gniewnym błyskiem w oczach Woolford zamachnął się śmiercionośną maczugą. Duncan rzucił się ku niemu, przez moment sądząc, że zwiadowca zamierza uderzyć Ramseya. Jednak Woolford rąbnął pałąk w porcelanowy czajnik, z taką siłą, że żelazny kolec wbił się w polerowany mahoniowy stół. Ramsey odwrócił się z przekleństwem na ustach, lecz widząc pobielającą z wściekłości twarz kapitana, tylko się skulił i wbił wzrok w leżące na dywanie kawałki porcelany.

Gdy Woolford znów przemówił, jego głos ociekał jadem.

- To nie byli Huroni ani Abenaki, ani inni francuscy Indianie! - syknął.  
- To byli nasi przyjaciele, Irokezi!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Duncan znalazł Jonathana na brzegu rzeki, zbierającego kamienie i układającego z nich kopczyk, pilnowanego przez stojącego pięćdziesiąt jardów dalej strażnika. Chłopczyk miał ślady łez na policzkach, a oczy zapadnięte i puste. Duncan przez chwilę obserwował go w milczeniu, po czym zebrał garść kamyków i dołożył do tych usypanych przez chłopca.

- Gdybym miał dość kamieni, powstrzymałbym ich - rzekł Jonathan. Mówił, zacinając się, jakby w każdej chwili znów miał wybuchnąć płaczem.  
- Następnym razem pozabijam ich wszystkich. Umieję zabijać żaby i wieiórki - oznajmił z udawaną pewnością siebie.

- Widziałeś ich, Jonathanie?

- Próbowałem nie zasnąć, ale... Gdybym nie zasnął, mógłbym podnieść alarm i rzucać kamieniami, żeby Sarah zdążyła się schować. - Chłopiec znów zaczął płakać i skulił się na ziemi, opierając głowę na podciągniętych kolanach. - Kiedy się zbudziłem, myślałem, że niesie mnie Crispin. Był taki duży i silny i klepał mnie po plecach jak Crispin.

Wydawało się, że od poprzedniego dnia chłopiec postarzał się o kilka lat. Potarł policzki i z lękiem spojrzął na drugi brzeg.

Przed nimi przesunął się jakiś cień. To Woolford pochylił się i dorzucił kilka kamyków do stosu ułożonego przez Jonathana. Chłopiec zacisnął zęby i sztywno skinął głową, jak młody rekrut w obecności oficera.

- Kiedy podszedł do okna, w świetle księżyca zobaczyłem jego włosy - ciągnął, unosząc ręce i kładąc je na głowie, tak że tylko pas włosów na środku pozostał nieosłonięty.

- To się nazywa czub - wyjaśnił Woolford, klękając z drugiej strony chłopca.

- Miał twarz pomalowaną w pasy i wielkie czarne kręgi wokół oczu. To na pewno był czarownik. Na jednym policzku miał namalowanego kruka. Musiał rzucić na mnie urok, bo kiedy próbowałem krzyknąć, nie mogłem. Uderzyłem go pięścią. Wtedy to zrobił.

- Co zrobił? - spytał zaniepokojony Duncan. - Zrobił coś Sarah?

Jonathan powoli pokręcił głową.

- Roześmiał się. - Te słowa zawisły w nieruchomym powietrzu popołudnia. - Przecież dzicy się nie śmieją, prawda? Oni zabijają. Wrzeszczą. Sprowadzają straszliwe duchy, żeby zamieszkały w ich ciałach. Na pewno właśnie to robił - orzekł chłopiec, znów spoglądając na okno sypialni. - W ten sposób wzywał diabła.

- Gdzie wtedy była Sarah? - zapytał Duncan. - Czy jej także odebrało mowę?

- Myślę, że zbudziła się dopiero wtedy, kiedy Indianin zaczął się śmiać. Wskoczyła z łóżka, wołając mnie, lecz nagle ktoś inny w pokoju powiedział coś w leśnym języku i Sarah zamilkła. Nie widziałem jej i nic więcej nie słyszałem. On posadził mnie na parapecie i wskazał na księżyc. Jestem pewien, że zamierzał mnie zabić, jeśli nie popatrzę na księżyc.

- Widziałeś, jak opuściła pokój?

- Myślę, że ją ogłuszyli i wynieśli zawiniętą w koc. Kiedy zobaczyłem, jak palą się chaty, odwróciłem się, a ich już nie było.

- Wszystko się skończyło, zanim się zaczęło - stwierdził Woolford. - Ona była już w lesie, kiedy podpalili chaty. Porywacze chcieli odwrócić naszą uwagę, ściągnąć wszystkich do pożaru i uciec.

- Obmyśliśmy z Crispinem ciało Fitcha - oznajmił Woolford, gdy chłopiec poszedł nabierać więcej kamieni. - Kiedy je podnieśliśmy, coś pod nim leżało. Klucz do kłódki od klatki Listera.

- Chcesz powiedzieć, że on zamierzał uwolnić Listera?

Woolford wyjął nóż i zaczął go ostrzyć o płaski kamień. Duncan wielokrotnie widział, jak robił to Fitch.

- Może myślał, że wszystkie zabudowania się spalą.

- Zabity przez Indian przy domu po tylu latach walk z nimi w puszczy - zauważył Duncan. - Mówiłeś, że to najlepszy żołnierz, jakiego znasz.

- A myślałem, że obejrzałeś jego ciało. - W głosie Woolforda zabrzmiał niemal pogardliwy ton.

- Obejrzałem.

- Zatem patrzyłeś i nie widziałeś.

Gdy zwiadowca ostrzył nóż, Duncan odtwarzał w myślach tamtą scenę.

- Jego pas - powiedział przyciszonym głosem. - Nadal miał przy nim nóż i tomahawk. A napastnik ranił go w pierś.

- Nie na las powinniśmy uważać.

- Wielkie nieba! - jęknął Duncan. - To nie Indianin go zabił.

- Prędzej zabiłaby go stara księżna Kentu niż jeden z tych Irokezów. Zmierz ranę, McCallum. Ma co najmniej pięć cali. Nie zadano jej tomahawkiem. - Burza uczuć miotala oficerem. - Fitch - szepnęła, spuszczać głowę. - Przemierzyłem z nim dziesięć tysięcy mil, we wszelkich rodzajach burz, jakie potrafi wzniecić natura i człowiek. Mówił tuzinem tubylczych dialektów, był mile widziany przy każdym ognisku, u Indian i białych na południe od Rzeki Świętego Wawrzyńca. Co powiem jego rodzinie? Mam powiedzieć, że zginął w pozorowanym ataku na żalorny świat iluzji Ramsey'a?

- Byłem przy nim w ostatnich chwilach jego życia. Nie mogłem mówić, ale poruszał rękami - wyznał Duncan i pokazał, jakie gesty Fitch usiłował wykonać resztkami sił.

Woolford skrzywił się i powtórzył znak, przesuwając palcami od czubka głowy po ramię.

- Plemiona czasem używają mowy znaków do porozumiewania się, jeśli nie mają wspólnego języka. Ten znak oznacza kobietę.

Ze zdumieniem popatrzył na Duncana, gdy ten pokazał znak pięścią i dwoma palcami. Westchnął i odwrócił głowę.

Duncan powtórzył gest. Pięść. Coś twardego. Głaz, kamień. Poruszające się pod spodem palce. Ruchomy kamień. Spadająca skała.

- Kamienisty Szlak! - orzekł. - Fitch chciał powiedzieć, że zabierają Sarah na Kamienisty Szlak. Skąd wiedział?

Woolford zignorował to pytanie, które jednak najwyraźniej o czymś mu przypomniało. Posłał zaniepokojone spojrzenie w kierunku puszczy, ku Skrajowi Lasu.

- Ktoś nie mógł dopuścić do tego, żeby się o tym dowiedziano.

- Nie chciał, by ją uratowano? Niemożliwe. Nikt nie mógłby...

Zamilkł, nie wiedząc, jak dokończyć tę myśl.

- Znajdujemy się w krainie, w której wszystko jest możliwe – odparł z goryczą Woolford.

W milczeniu patrzyli, jak chłopiec zbiera kamienie.

- To było jak operacja wojskowa - rzekł z niechętnym szacunkiem Duncan. - Dokładnie zaplanowany atak. Pożar miał odwrócić uwagę.

- Co zabrali z biurka Ramsey'a?

- Najcenniejszą rzecz w Edentown. Jedyłą, której nie można zastąpić.

- Duncan wiedział, że w sądach toczą się długie spory o charakter takich nadań. Sędziowie twierdzą, że taki statut sam w sobie jest prawem, a bez niego to prawo nie istnieje. Król niejedną raz zmieniał zdanie w kwestii różnych nadań, lecz nie był w stanie ich cofnąć, dopóki obdarowani sami mu ich nie zwrócili. - Zapewne szukali kosztowności i wzięli ten dokument przypadkiem. Ładnie pomalowana kartka papieru podpisana przez króla Anglii.

- Statut? - z niedowierzaniem zapytał Woolford. - Pozostawili szable, sztucery, lusterka, srebra, szkło i koce? A zamiast tego rozbili zamknięte biurko i zabrali ukryty w nim dokument? Byłem w bibliotece, McCallum. Nie tknęli niczego poza biurkiem.

- Kim jest dla nich król? - spytał Duncan po długiej chwili niespokojnych rozmyślań.

Zwiadowca nachylił się do niego i w jego oczach zapalił się błysk zaciekawienia, gdy rozważał pytanie.

- Portretem w domu gubernatora - odparł. - Sylwetką na medalach i monetach.

- Dla Irokezów kto jest dawcą ziemi? - zapytał Duncan.



- Irokezi nie rozumieją takich spraw. W ich tradycji nie ma czegoś takiego jak posiadanie ziemi na własność.

- Wcześniej powiedziałeś, że wielu z nich uważa, że dawni bogowie ich opuszczają. Gdyby próbowali się przystosować - naciskał Duncan - kto byłby dawcą?

Woolford przełknął ślinę. Po chwili odpowiedział głuchym głosem.

- Bóg.

Obaj otworzyli usta, chcąc coś powiedzieć, ale obaj zaniemówili. W milczeniu patrzyli, jak Jonathan przynosi kolejną garść kamieni i wraca na brzeg, by szukać następnych.

Duncan wyjął z kieszeni kijek ze sznurkiem paciorków i pokazał zwiadowcy. W oczach Woolforda błysnęło zaciekawienie, lecz gdy chciał wziąć patyk, Duncan zacisnął go w palcach.

- Czy napadli na nas ludzie Tashgui?

- Możliwe - odparł wzburzony Woolford. - Muszę obejrzeć ten patyk.

- Czy przy Tashgui są jacyś Szkoci?

- Byli, kilka miesięcy temu. Ci, którzy przeżyli, zapewne są teraz bezpieczni w Karolinie.

W oczach zwiadowcy powoli zapalał się zimny gniew.

- Czy na Kamienistym Szlaku znaleźliście ciało mojego brata?

- Nie.

Woolford spoglądał na dłoń Duncana, jakby chciał mu wyrwać patyk.

- Czy Tashgua był pod Ticonderogą?

- Nie mogę przysiąc, ale podejrzewam, że był i przyglądał się bitwie ze wzgórze - syknął Woolford.

- Tam, gdzie zniknął mój brat. - Duncan opuścił kijek na dłoń zwiadowcy. - Gdzie Onondagowie odbyliby naradę?

- Nie wszyscy Onondagowie, ale ich prorok, wielki czarownik Irokezów. - Woolford, mówiąc, pochylił się nad kijkiem, licząc nacięcia. - A to - rzekł, podnosząc patyk na otwartej dłoni - gwarantuje, że będzie tam każdy wódz i szaman, który uważa, że należy zachować dawny sposób życia.

- Fitch widział inny wampum z wiadomością - przypomniał sobie Duncan i zaparło mu dech. - Wiedział, gdzie odbędzie się ta narada, prawda?

Woolford nie odpowiedział, tylko pobiegł do stajni, gdzie zostawił swój plecak i karabin. Tę wiadomość Fitch poznał kilka godzin przed śmiercią. Rada miała się odbyć na Kamienistym Szlaku, w dniu końca świata.

Po chwili na Duncana padł czyjś cień. Odwrócił się, wstał i zobaczył Crispina. Wielkolud miał smętną minę i jakby się skurczył. Nic nie powiedział, tylko dał Duncanowi znak, żeby poszedł z nim do stajni.

- Lord Ramsey ma plan - oznajmił zaniepokojonym tonem, gdy doszedł z Duncanem do wrót. - Zwołał wszystkich mieszkańców miasteczka na spotkanie, które ma się odbyć za godzinę.

Służący i garstka ludzi Kompanii spoglądali na rząd brudnych śladów sześć stóp od drabiny wiodącej na stryżek. Były to odciski usmarowanych sadzą dłoni, prowadzące w górę, bez towarzyszących im śladów stóp i rozmieszczone tak, że wyglądały na pozostawione przez jakiegoś ogromnego pająka. Duncan przecisnął się przez tłum i wszedł na drabinę.

Ktoś odgarnął siano spod północnej ściany wielkiego strychu, tworząc półkole o promieniu dziesięciu stóp, nad którym z krokwi zwisała odrażająca czerwona twarz z jednym kącikiem czarnych warg uniesionym w okropnym uśmiechu, a drugim opuszczonym w złowrogim grymasie. Była to maska z wyspy na rzece, za pomocą której przedstawiono profesora Everinga, z wiszącym poniżej kubrakiem, lecz teraz na szyi kukły ktoś zawiesił naszyjnik z tuzina wielkich pazurów.

- Wczoraj tu tego nie było - powiedział Crispin za plecami Duncana.

- Jednak podczas napadu nikt nie widział w mieście ani jednego Indianina. A nasi ludzie byli wszędzie, niektórzy uzbrojeni w muszkiety.

- Nikt nie widział ich w domu - przypomniał mu posępnie Crispin - oprócz chłopca. Ci, którzy oddają cześć ciemnym mocom, są stworzeniami nocy.

- To tylko kawałek drewna, Crispinie.

- Przyniosą broń - rzekł Crispin. - Zamierzają ją zestrzelić.

Na drugiej drabinie pojawiła się inna postać. Woolford w milczeniu spojrzął na maskę, a potem czujnie podszedł do niej i przeszedł się przed nią, nie odrywając od niej oczu. Potem przystanął, wyciągnął rękę i powiódł dłonią po policzku maski, jakby witał starą znajomą.

- Ściągnijcie tę przekłątą kukłę! - huknął ktoś gniewnie.

Duncan odwrócił się i zobaczył Camerona z kosą w ręku.

- Możesz ją ściągnąć, panie Cameron - spokojnie odparł zwiadowca. - Możesz ją spalić. Albo posiekać. Możesz nafaszerować ją kulami. Tylko co będzie, jeśli jutro rano znowu się pojawi? I wejdzie po murze, pozostawiając na nim nowe ślady dłoni? - poważnie spytał Woolford. Ludzie znieruchomieli. - Indianie uważają, że te maski są żywe i mieszkają w nich demony. A ta ma ogromną moc. Kiedy nie jest używana, należy jej składać żywność w ofierze, żeby ją przebłagać.

Rosły nadzorca zaklął, ale wycofał się na koniec stajni, nie odrywając oczu od kukły. Jeden z ludzi Kompanii, obserwujący to w milczeniu, sięgnął do kieszeni, powoli podszedł do drewnianej kukły i rzucił kawałek kiełbasy na podłogę pod nią.

- Dlaczego tutaj? - zapytał Crispin zwiadowcę. - Dlaczego w stajni?

Duncan przypomniał sobie, że już dwukrotnie słyszał wcześniej to pytanie, kiedy nucila tu Sarah i kiedy Frasier schował w tym budynku piłę.

Woolford zmarszczył brwi, a potem przecząco pokręcił głową. Nie znał odpowiedzi.

- Pan Fitch zawsze lubił obozować w pobliżu wody - powiedział po chwili zwiadowca. - Byłbym zobowiązany, gdybyście pochowali go nad rzeką.

Crispin ponuro skinął głową.

- Miał na imię Ezekiel. Urodził się w tysiąc siedemset siódmym. W jego plecaku znajdziecie kawałek jedwabiu należący do jego żony, która przed laty zmarła na cholere. Połóżcie ten materiał na jego sercu.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Duncan.

Woolford najwyraźniej miał złe przeczucia.

- Krzywy człek przybywa z krzywego drzewa - odparł, po czym odwrócił się i zszedł po drabinie.

Kiedy w końcu zaczęło się spotkanie Kompanii, Ramsey nie miał nastroju do wygłaszania jednego ze swych długich przemówień. Mówił krótko, a determinacja w jego lodowatych oczach zdawała się denerwować wielu słuchaczy.

- Chcę sześciu ludzi, nie więcej - oznajmił ze swej grzędę, drewnianej skrzynki ustawionej na dziedzińcu stajni. - Oni bawią się w starą grę. Od tysięcy

lat wrogowie starali się wykraść księżniczki, żeby wykorzystać je przeciwko królowi. Takich łotrów należy pokonać sprytem i podstępem.

U jego boku pojawił się Cameron, niosąc jeden z wielkich muszkietów.

- Nie jest w mojej mocy zmienić długość waszych wyroków, gdyż zostały wydane przez sądy w Anglii. Jednak ci, którzy wrócą z moją córką - ciągnął Ramsey - oraz dokumentem skradzionym z mojego gabinetu, po zakończeniu kary dostaną dodatkowe sto akrów ziemi uprawnej.

Cameron obszedł Ramseya i stanął przed nim. Pozostali cofnęli się o krok, niespokojnie spoglądając na rosłego nadzorcę.

- Jako pierwsi członkowie milicji Edentown, wszyscy dostaniecie muszkiety, noże i tomahawki - dodał Ramsey. - Oraz tyle amunicji i ekwipunku, ile zdołacie unieść.

Dwaj mężczyźni wystąpili naprzód - rudobrody McGregor i jeden z tych opryszków, którzy napadli na Duncana w zębie *Anny Rose*.

- Poprowadzi was mój zastępca, którego mianowałem dowódcą naszego wspaniałego oddziału.

Zaskoczony Duncan wyciągnął szyję i zdumiał się, widząc, jak zza Ramseya wychodzi wielbny Arnold. Jak zwykle miał na sobie białą koszulę, lecz rozpięty myśliwski płaszcz z wieloma kieszeniami odsłaniał jeden ze starych metalowych napierśników, które Duncan widział w bibliotece. W rękę trzymał grawerowany flower Ramseya. Na głowie miał nowy trójgraniasty kapelus, a na nogach wysokie buty do konnej jazdy.

- Pokonamy pogan siłą Boga w naszych sercach i naszym orężem - oznajmił Arnold donośnym, lecz drżącym głosem.

Nie zdołał ukryć lęku, który wzywał mu z oczu. Czyżby Ramsey zmusił duchownego do wyprawy w głąb lasu?

- To robota dla żołnierzy! - zawołał jakiś człowiek skryty w tłumie. - Kapitan poszedł po pomoc!

- To zadanie dla Kompanii! - warknął Ramsey. - Z każdą mijającą godziną rośnie zagrożenie dla naszej Sarah! Jeszcze trzech ludzi, tylko o tyle proszę. Dzięki modłom majora Arnolda i sile pana Camerona będziecie niewyciężeni! Zatem dwieście akrów!

W tłumie rozległy się podniecone szepty. Minutę później oddział został skompletowany.

Duncan dał Ramseyowi dziesięć minut, po czym wszedł za nim do budynku.

Ramsey stał przy swojej kolekcji broni, z ponurą determinacją tnąc długą szablą powietrze.

- Dołączę do grupy poszukiwaczy - oznajmił Duncan.

Ramsey wetknął szablę na miejsce w stojaku i wyjął następną do wypróbowania.

- Co wiesz o majorze Pike'u? - zapytał z roztargnieniem.

- Tyle, ile mi trzeba.

- Kiedyś stacjonował w Irlandii. Miejscowy rekrut zdezerterował i Pike pojechał do jego wioski, do jego krytej strzechą chaty. Jakoś tak się stało, że siostra zbiega, młoda panna, umarła. Pike zaczął się i aresztował dezertera na pogrzebie. Zbieg jeszcze przed zachodem słońca został powieszony i pochowany obok swojej siostry. - Wyczuwając, że Duncan uważnie go słucha, Ramsey dodał: - Pike dotychczas tylko cię nienawdził. Dopilnowałem, żeby wiedział, iż przyłożyłeś rękę do raportu, który otrzymał gubernator. Rusz się z Edentown, a jego agenci szybko się o tym dowiedzą. W tej chwili chyba niczego bardziej nie pragnie, jak wbić ci ostrze w pierś. Potem postara się to rozgłosić w całej kolonii, żeby twój brat dowiedział się o tym, za nim zostaniesz pochowany.

Chociaż Crispin i Woolford powiedzieli, że Jamie uciekł do Karoliny, Ramsey i Pike zdawali się sądzić, że nadal przebywa w Nowym Jorku.

- Wiem, że Kompania wybrała mnie ze względu na mojego brata. Nie mogę tylko pojąć dlaczego.

- Z pewnością widzisz, że jesteśmy bardziej wyrafinowani i humanitarni niż wojsko.

- To ma oznaczać, że nie zabijecie mnie pierwszy?

- Nie rozumiesz, McCallum. My tylko wprowadzamy w życie nasz plan. Oddział, który wyruszy dzisiaj, to tylko szpica milicji Ramseya, nagonka mająca wypłoszyć zwierzynę. Ty i ja wymaszerujemy za dwa dni z pozostałymi ludźmi, żeby przejąć łup.

- Łup? Tym jest dla ciebie Sarah?

- Jesteś młody i niecierpliwy. Pozwól, że nauczę cię prawdy o tym świecie. Kocham moją córkę bardziej, niż ona przypuszcza. Gdy jest w tym domu, to jakby wróciła moja ukochana żona. Jednak tu chodzi o stworzenie imperium. Ona musi walczyć o to jak każdy z nas, a potem zajmujemy się jej dolegliwościami. Na razie choroba nie jest groźna. A kiedy ją odzyskamy, załatwię jej nowych lekarzy, najlepszych w Ameryce.

- Jeśli chcesz, żebym ci towarzyszył, uwolnij Listera.

- Musisz częściej czytać Platona - odrzekł Ramsey, biorąc następną szablę i mierząc Duncana zimnym spojrzeniem. - Istnieje garstka tych, których przeznaczeniem jest rządzenie. Wszyscy pozostali mają służyć.

- Widziano, jak Hawkins sprzeczał się z Frasierem i uderzył go w ten wieczór, zanim dozorca został zamordowany. Następnego dnia zniknął.

- Hawkins jest dla ciebie nieosiągalny. To najważniejszy element naszej strategii. To jego ręka zada decydujący cios. A nasze zwycięstwo będzie o wiele słodsze, ponieważ odbierzemy ten zaszczyt generałowi Calderowi. I wy to umożliwicie, ty i Hawkins.

Duncan na moment odwrócił się do okna, z sercem w gardle.

- Wykorzystacie mnie, żeby zwabić tu mojego brata i Hawkins go zabije - rzekł ochryplym głosem.

Jednak mimo wszystko w Ramseyu nie było niczego zagadkowego. Wszystko, co robił, wiązało się z jego rywalizacją z generałem Calderem o fotel gubernatora.

- Życie twojego brata i tak wisi na włosku.

Duncan starał się opanować emocje.

- I w jaki sposób pomoże nam to odzyskać Sarah?

Ramsey zobaczył udręczoną minę Duncana i uśmiechnął się.

- Dobry guwerner rozumie podstawowe prawa astronomii. Raz na kilka lat są takie dni, gdy wszystkie planety ustawiają się w rzędzie.

Duncan opadł na fotel i skrył twarz w dłoniach. Przed oczami migały mu kolejne obrazy. Lister zamknięty w celi. Sarah płacząca na jego ramieniu. Adam przeproszającym gestem wciskający mu do ręki kamiennego niedźwiedzia. Jamie, teraz zawsze obecny w jego myślach, Jamie, którego Duncan kochał, przeklinał i zapewne zdradził swymi płomiennymi listami, który zapewne nawet nie wiedział, że Duncan jest w Ameryce, teraz miał przez niego zginąć. Wstał i jak w transie poszedł do kredensu przy jadalni, wybrał jeden z pięknych lnianych obrusów i gniewnym spojrzeniem zgasił protest na ustach pokojówki. Edentown mogło sobie pozwolić na najlepsze całuny dla swych poległych bohaterów.

Gdy przednia straż milicji Ramseya, prowadzona przez Camerona i Arnolda, godzinę później przeszła przez rzekę, Crispin i Duncan z łopatomy na ramionach udali się na jej brzeg koło domu.

- Tu będzie dobrze - rzekł Duncan, gdy przeszli ćwierć mili, i wbił szpadel w piaszczystą ziemię.

Znajdowali się na niewielkiej polance otoczonej wysokimi choinami i okolonej paprociami. W trawie rosły białe kwiaty o płożących się sercowatych liściach. Na kamieniach szemrał strumyk, który sto jardów dalej wpadał do rzeki.

Crispin w odpowiedzi tylko wbił szpadel w miękką ziemię.

- To odpowiedni dzień - oznajmił służący, gdy kończyli kopać długi, prostokątny dół. - Noc będzie księżycowa. Kiedy Ramsey będzie pił herbatę, wymknij się do lasu na skraju pól. Trzymaj się w cieniu. Ci, którzy stoją na straży, będą spoglądali na rzekę. Dotrzyj do drogi i idź nią całą noc. Do świtu możesz być dwadzieścia mil stąd.

- Nie mógłbym. Nie teraz.

- Tylko teraz. Przysięgłeś jej. - Crispin oparł się na łopacie i otarł pot z czoła. - Jedyne, co wiem na pewno o tych dzikusach, to że słusznie się ich obawiamy. Myślę jednak, że Sarah nie grozi niebezpieczeństwo. Po co mieliby zadawać sobie tyle trudu, żeby ją porwać, gdyby chcieli ją skrzywdzić? Dla nich jest zbiegłą niewolnicą. A niewolnicy - rzekł zbolalym tonem Crispin - są własnością, o którą należy dbać. Tylko jedno możesz teraz dla niej zrobić. Obiecałeś jej to. Widziałem ulgę w jej oczach, kiedy to przysięgłeś. Przez chwilę była taka zadowolona, jakiej nie widziałem jej, od kiedy do nas wróciła. Znajdą ją, za miesiąc, za rok. I gdy tylko mnie zobaczy, natychmiast zapyta o ciebie. Nie zmuszaj mnie, żebym ją rozczarował. Nie chcę, żebyś zawiódł jej nadzieje. Jej nadzieja jest moją nadzieją. Nie zawieź nas.

Duncan nie miał na to odpowiedzi. Dobrze wiedział, co to nadzieja i zawód. Chyba dziesiąty raz w ciągu tyluż ostatnich minut spojrzął za rzekę i znów zaczął kopać.

Zaledwie dziesięć osób przyszło złożyć do grobu starego żołnierza, owiniętego w obrus Ramseya. Crispin podał Duncanowi Biblię, przypominając mu, że nie ma wielebnego Arnolda. Duncan powoli i niewprawnie odmówił modlitwę, po czym odszedł i usiadł na głazie, a mężczyźni zaczęli zasypywać grób. Spoglądał na kopczyk, tak pogrążony w myślach, że nie zauważył, kiedy wszyscy odeszli i pozostał tylko Crispin, układający kamyczki wokół świeżej mogiły.

Kiedy służący skończył i ruszył z powrotem w kierunku miasteczka, Duncan wstał, zawahał się, po czym pochylił nad grobem. Patykiem narysował na nim dwie faliste linie, połączone na końcach.

Robotnicy Kompanii ciężko pracowali, usuwając zniszczenia spowodowane nocnym atakiem, gdy Duncan podszedł od tyłu do klatki na węgiel, w której Lister nucił jedną ze swych szant. Zawołał go szeptem i stary Szkot na czworakach podszedł do niego.

- Czy pan Fitch rozmawiał z tobą zeszłej nocy? - zapytał Duncan.

- Zahuczła sowa, a potem druga - niedaleko. Zobaczyłem, jak Fitch biegnie do szopy, w której są przechowywane karabiny, i usłyszałem, jak zaklął, kiedy zobaczył, że drzwi są zamknięte. Potem zapłonęły chaty i już go nie widziałem. Był dobrym człowiekiem. Niech Bóg się ulituje nad jego żołnierską duszą. Pomódl się za niego w Karolinie, Klanie McCallum - dodał Lister.

- On będzie ostatni - obiecał Duncan z zaskakującą stanowczością. - Już nikt więcej nie zostanie zabity. Czy to za pomocą młotka, topora czy sznura.

- Pomogliśmy sobie wzajemnie, ty i ja. Dzięki tobie znów mogę być sobą, po tylu latach udawania. Nie ma czego żałować. - Lister chwycił łańcuchy i odczołgał się w drugi kąt klatki. - Teraz chcę, żebyś udał się do Karoliny i zaczął budować naszą chatę. Zanim dojdzie do procesu, dołączę tam do ciebie. Przeprowadzę perszerona, dużego konia pociągowego, takiego jakiego miał mój ojciec. Kupię go w Charlestonie i przyjadę na nim do ciebie jak jakiś książe.

- Będzie nam potrzebna krowa - Duncan usłyszał swój suchy, ochrypły głos.

- Taak, i kilka owiec. Tylko to ty będziesz je doił o świcie.

Duncan wepchnął dłoń między pręty, daremnie usiłując dosięgnąć staro. Nie czuł się tak okropnie od tamtego dnia podczas sztormu, kiedy wspiał się na bocianie gniazdo i postanowił się zabić. „Pomogliśmy sobie wzajemnie, ty i ja”. Od kiedy Lister złożył przysięgę Duncanowi, został wychłostany, aresztowany, pobity, uwolniony i znów aresztowany, a teraz pomimo tej gadaniny obaj wiedzieli, że go powieszą.

Lister zaczął cicho śpiewać smętną marynarską pieśń. Duncan siedział bez ruchu, nie wiedząc, czy znajdzie dość sił, aby odejść.

- Ładny księżyc tej nocy - zauważył Lister, skończywszy śpiewać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Rozmawiałem z Crispinem. Kiedy lord uda się do biblioteki na herbatkę, Crispin wyjdzie na kuchenne schody i zostawi tam miotłę opartą o drzwi.



- Miotłę?

- To będzie sygnał dla mnie. Pięć minut później zacznę krzyżeć, że widziałem dzikusów na drugim brzegu rzeki. Wtedy uciekniesz. Przejdziesz kilka mil na wschód i będziesz wolny jak ptak. Niech Bóg cię ma w opiece.

Duncan jak w transie poszedł do szkoły i zwinął swoje papiery w zapaśową koszulę. Kilka minut później był na cmentarzyku i zabrał stamtąd plecak oraz kobzę. Odszedł dziesięć kroków, po czym przystanął i wrócił do grobu Sarah. Tylko moment zabrało mu odnalezienie i oczyszczenie kamiennego niedźwiedzia. Schował go do plecaka, obok kobzy. Zarzucił plecak na ramiona i wszedł w cień drzew. Po dziesięciu minutach dotarł do Skraju Lasów, gdzie usiadł, ponuro spoglądając na kamienny stożek, tak jak kilka dni wcześniej robił to Woolford.

Znów kłębiły mu się w głowie obrazy, dziwne sny zrodzone z rozpacz. Uda się do Karoliny i pośle po Sarah. Widział ją śmiejącą się i tańczącą z Crispinem na wieść, że Duncan dotarł w góry na południu. Budował z Jamiem chatę, a Lister orał pole pługiem ciągniętym przez wielką siwą kłacz. Podczas szkockiego festynu Lister snuł opowieści z dawnych czasów piegowatym chłopcom w kiltach. Jednak po chwili rzeczywistość powróciła zimną falą i Duncan znalazł słowa, które rozdzierały mu serce. Sarah znów była w niewoli, zapewne pobita i zakrwawiona leżała teraz w jakimś nędznym obozowisku. Mógł ją ocalić, jedynie łamiąc solenną obietnicę, jaką jej złożył. A Listera mógł uratować, tylko chroniąc Hawkinsa, który zamierzał zabić jego brata.

Spojrzał na mapę, którą mu dała dziewczyna, i nazwisko farmera mającego pełnić rolę posłańca. William Wells. Nikt nie powiedział Sarah, że ten osadnik został zabity tydzień temu. Dzieci podchodzili blisko. Byli wszędzie. Jednak powoli Duncan uświadomił sobie, że jest inny sposób, by uratować Listera, równie ryzykowny jak wykorzystanie Hawkinsa. Był świadek zamordowania Frasiera, który czaił się ukryty w gąszczu olch, by pozostawić kolejną wiadomość na brzegu rzeki. Gdzieś w tej bezkresnej dzicy był dzikus, który widział, jak zabito Frasiera.

Kiedy w końcu Duncan wstał, podniósł pokrywę omszałego kopca i przewiesił sobie przez rękę wampum, jako znak, w obliczu którego można mówić tylko prawdę. Wyjął listę wodzów swojego klanu i trzymając ją w dłoni, wymienił wszystkich po kolei, nie patrząc na kartkę. Tym razem

dodał nowe imię, stanowczym i spokojnym głosem, mówiąc do cienia zalegającego pod drzewami. Duncan McCallum. Skończył i zacisnął w dłoni wysuszoną gałązkę ostu, którą nosił przy sobie, od kiedy Lister przyniósł mu ją do celi na statku. Uniósł rękę nad głowę. Potem odłożył wampum do schowka, owinał gałązkę ostu spisem wodzów swego klanu i położył ją na wierzchu, zanim umieścił kamienną pokrywę na swoim miejscu. Gdy to zrobił, usłyszał okrzyki przestraszonego dochodzące z miasteczka i zobaczył postacie biegnące w kierunku stajni i wielkiego domu. Drżącą ręką podał mapę szlaku do Karoliny, po czym poszedł w kierunku rzeki i ciemnej puszczy na zachodzie. Nie zamierzał oddać życia jako marionetka Ramsey'a. Był natomiast gotów umrzeć jako ostatni wódz klanu McCallumów.

## Rozdział 11

Duncan jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny i bezradny. Nisko pochylony wybiegł z wody na brzeg rzeki i gnał przed siebie, aż zaczęło kłuć go w płucach. Potknął się o jakiś korzeń i upadł, spazmatycznie łapiąc powietrze. Instynktownie wczuł się między dwa głazy i oparł o jeden z nich, z mocno bijącym sercem.

Za drzewami dostrzegł niskie wzgórze, ze skalną półką na grani. Po kilku chwilach znalazł się na polance na samym jego szczycie, spoglądając z góry na bezkresną puszcę. Na płaskim głazie rozłożył swój skromny dobytek. Kozę, zapasową koszulę, koc, tomahawk, krzesiwo i hubkę, pożywienie dostarczone przez Crispina. Papiery, które zabrał ze stołu w szkole. I w końcu, niespodziewanie, muślinowy woreczek zawierający prawie ćwierć funta czarnego pieprzu, istny skarb niewątpliwie skradziony przez Crispina z kuchni Ramsey'a, chociaż Duncan nie pojmował w jakim celu.

Usłyszał trzask gałęzi w pobliżu. Drgnął, przestraszony, po czym spojrział w parę wilgotnych czarnych ślepi. Dwadzieścia stóp dalej stał duży jeleni i patrzył na niego. Kiedy Duncan odwzajemnił jego spojrzenie, wielkie zwierzę powoli ruszyło naprzód, przekrzywiając łeb. Duncan zdał sobie sprawę, że tak samo spoglądali na niego Indianie w głównej kwaterze: z uwagą i beznamietną ciekawością, sprawiając wrażenie niezdolnych do odczuwania lęku. Duncan stał nieruchomo, gdy jeleni podszedł do niego, obwąchując rozłożone na kamieniu przedmioty i znów przechylając łeb, jakby czekał na jakieś wyjaśnienie z jego strony. Duncan powoli rozchylił palce, pokazując jeleniowi to, co trzymał w dłoni - ostatni przedmiot wyjęty z plecaka. Jeleni spojrział na kamiennego niedźwiedzia, jakby go rozpoznawał, po czym wycofał się, przystając na moment, by obejrzeć jakiś krwistoczerwony grzyb, zanim wślizgnął się z powrotem w półmrok pod drzewami,

podążając skalną półką na północny zachód.

Duncan przez długą chwilę spoglądał w ślad za nim, a potem na kamiennego niedźwiedzia, którego trzymał w dłoni. Kiedyś, całe wieki temu, Adam Munroe napisał, że ten niedźwiedź zaprowadzi Duncana tam, dokąd zechce. Duncan schował swój skromny dobytek do plecaka, zrobił krok w kierunku, w którym ruszył jeleni, po czym zamarł. W oddali usłyszał nowy, szybko zbliżający się dźwięk. Szczekanie stada psów. Mimo wszystko już zauważono jego nieobecność. Ogary głodzono, żeby zawsze były gotowe do pościgu.

Nie zdoła przed nimi uciec. Nagle przypomniał sobie coś, sięgnął do plecaka i wyjął pieprz. Crispin przewidział to niebezpieczeństwo. Duncan szybko posypał głaz pieprzem, odbiegł od niego na dziesięć stóp w trzech różnych kierunkach, rozsypując za sobą kolejne porcje pieprzu, a potem pobiegł po głazach skalnej półki, nie pozostawiając żadnych śladów i niewiele zapachu, który - jak przewidział Crispin - nie zainteresuje psów o węchu przytępionym przez zapach pieprzu.

Kiedy Duncan znów przystanął, godzinę później, szczekanie psów przycichło, a potem zupełnie ustało. Zaczął dostrzegać charakter tej leśnej głuszy. Chociaż nie było w niej dróg, miała własne szlaki. Wąskie zwierzęce ścieżki, czasem bardzo uczęszczane, wiodące do wodopojów przy strumykach spływających ze wzgórz na północny zachód. Nad jego głową śpiewały nieznanne mu ptaki i widział trzepot ich czerwonych, żółtych i rdzawych skrzydeł, gdy polatywały między drzewami. Tu i ówdzie w powietrzu migwały złote liście - zwiastuny jesieni. Nadrzewne i ziemne wiewiórki stawały na tylnych łapkach, jedne patrząc wyzywająco, inne pierzchając, jakby chciały komuś zameldować o jego obecności.

Nagle tuż przed sobą, na ścieżce między dwoma wywróconymi drzewami, ujrzał skrawek zielonego materiału. Przystanął, pospiesznie się rozglądając. Ptaki przestały śpiewać. Ten materiał był podobny do tego, z jakiego uszyto jedną z sukni Sarah. Gdy przykłęknął, żeby go podnieść, coś uderzyło go w głowę. Upadł i przetoczył się po ziemi, sięgając po toporek. Usłyszał pomruk rozbawienia i poczuł odór zjełczalego tłuszczu. Wyrwał toporek z pasa i zadał błyskawiczny cios jednej z szybkich i rozmazanych postaci, które go otoczyły. Usłyszał jęk bólu i wolną ręką spróbował otrzeć krew zalewającą mu oczy. Powietrze rozdarł przeciągły okrzyk, taki jak te,

które słyszał podczas napadu na Edentown. Duncan obrócił się na pięcie, żeby odeprzeć następny atak, lecz zobaczył tylko rozmazaną smugę. Ktoś skoczył mu na plecy, obalając na ziemię, tak że poczuł w ustach smak poszycia. Szarpnęła się, kątem oka widząc błysk ostrza, gdy ktoś usiadł mu na plecach. Ktoś inny wydał dźwięk przypominający przekleństwo i znów coś twardego uderzyło Duncana w głowę. Jego ostatnim wspomnieniem było ciche pobrząkiwanie dzwoneczka.

Unosił się w jakimś strasznym, ciemnym miejscu, w którym echem odbijały się okrzyki Indian i strzępy opowieści Crispina o zadawanych przez nich torturach. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak okropnego i przesywającego bólu, jaki teraz ścisnął mu czaszkę. Odzyskał przytomność i wyciągnął rękę, by przeskukać otaczającą go ciemność. Nic prócz gałązek i suchych liści. Jednak słyszał poranny śpiew ptaków i czuł łagodny ciepły wietrzyk, jaki wieje o świcie. Z jego ust wyrwał się przeciągły, żalony jęk. Był ślepy.

Z sercem tłukącym się w piersi, ciężko dysząc, macał wokół, aż w końcu uniósł rękę i odkrył bandaż, ciasno zawiązany wokół głowy i zasłaniający oczy.

- Zostawiłbym go jeszcze na godzinę - odezwał się głęboki, powolny głos kilka stóp od niego. - Niech zioła wyciągną brud. Ci dżentelmeni rzadko czyszczą swoje ostrza.

Duncan opuścił rękę i obrócił głowę w kierunku, z którego dochodził głos. Poczul dym i słabe ciepło ogniska.

- Trzeba było założyć kilka szwów - zauważył nieznajomy. Miał spokojny i kojący głos, jak starzy kapłani, których Duncan znał jako chłopiec. - Zużyłem resztę mojej porządnej jedwabnej nici.

Duncan znieruchomiał, gdy dotarł do niego sens tych słów.

- Chcesz powiedzieć, że zamierzali pozbawić mnie włosów?

- Mówię, że prawie im się to udało. W każdym razie wiele zrobili w tym kierunku. Znałem kiedyś człowieka, który przeżył ten zabieg - niedbale rzucił nieznajomy. - Stracił całą skórę z głowy. Miał siedem wełnianych czapek w różnych kolorach, po jednej na każdy dzień tygodnia.

Duncan poczuł, że tamten pochylił się nad nim i wsunął dłoń pod jego barki, pomagając mu się podnieść, po czym przycisnęła mu do warg gorący

blaszany kubek. Zawartość była gorzka i słodka zarazem. Lekko pachniała anyżkiem i różą. Duncan usiadł, walcząc z łupaniem w głowie, i łapczywie wypił napar.

- Jak taki dżentelmen jak ty znalazł się w głębi lasu? - zapytał Duncan, gdy opróżnił kubek, zastanawiając się, kim może być jego wybawca, i szybko tworząc w myślach obraz wykształconego Anglika w płaszczu, zapewne z drogim flowerem i torbą myśliwską. Pamiętał, że w Nowym Świecie są uczeni badający tutejszą florę i faunę, którzy z pewnością umieliby sporządzić leczniczy napar z miejscowych ziół. - Zatem zajmujesz się naukami przyrodniczymi?

Wydawało mu się, że usłyszał cichy dźwięk mogący oznaczać śmiech, a potem znów wyczuł ruch za plecami. Ten człowiek zdawał się poruszać, nie dotykając stopami leśnego poszycia.

- Połóż się - poradził mu towarzysz. - Zrobiłem ci poduszkę z mchu.

Duncan odkrył, że po naparze szybko ogarnia go senność.

- Ja też studiowałem - zaczął, lecz słowa te zwały się w niezrozumiałe mamrotanie, gdy spoczął na chłodnym i miękkim posłaniu z mchu.

Gdy się ocknął, ból w głowie przeszedł w tępy ucisk. Las wydawał się pełen odgłosów, jakich Duncan jeszcze nigdy nie słyszał. Zamiast uprzednich sporadycznych pogwizdywań teraz z koron drzew płynęło pół tuzina różnych ptasich śpiewów, którym wtórował szelest liści i wiewiórcze popiskiwanie. Duncan powoli zsunął bandaż z oczu, żeby zerknąć na swego dobroczyńcę.

Minęła chwila, zanim jego oczy oswoiły się z blaskiem popołudniowego słońca. Osłoniwszy oczy dłonią, powoli skupił wzrok na postaci grzebiącej w plecaku. Mężczyzna miał na sobie spodnie z jeleniej skóry i postrzępioną muslinową koszulę, a długie czarne włosy związał z tyłu skórzanym paskiem, za który wetknął długie cętkowane pióro.

Duncan zebrał wszystkie siły, złapał leżącą obok gałąź i rzucił się na złodzieja.

- Morderco! Co z nim zrobiłeś? - krzyknął, uderzając kijem w plecy poganina i obalając go na ziemię.

Ten Indianin zabił zaciełego Anglika, który uratował Duncana! W Szkocie wezbrał cały gniew i frustracja ostatnich tygodni, dodając mu sił. W końcu znalazł wroga, z którym może się rozprawić.

Dzikus jęknął, uderzony raz i drugi przez Duncana, który powtarzał swoje

gniewne pytanie, lecz zaraz osłabł i zachwiał się, gdy zakręciło mu się w głowie. Indianin odtoczył się na bok i oparł o omszały głaz, zwężonymi z bólu oczami patrząc, jak Duncan osuwa się na kolana i przyciska dłoń do skroni. Pulsujący ból powrócił, teraz jako cichy grom przetaczający się pod czaszką.

- Jeśli będziesz się upierał przy tych gwałtownych poczynaniach - oznajmił Indianin swoim głębokim głosem, który Duncan słyszał wcześniej - to obawiam się, że twoja rana znów się otworzy.

Duncan wytrzeszczył oczy i z rozdziawionymi ustami popatrzył na polankę, potem na las i znów na nieznanego. Ten miał twarz pobrużdżoną jak nadrzeczny kamień, a jego bystre, inteligentne oczy mierzyły Duncana spokojnym, lecz smutnym spojrzeniem. Na szyi nosił naszyjnik ze szklanych paciorków, z którego zwisał owinięty futrem amulet. Na drugim naszyjniku ze splecionych rzemyków, który wysunął mu się spod koszuli podczas ataku Duncana, wisiały dwie małe srebrne szyszki, które pobrzękiwały cichutko przy każdym jego ruchu. Jak dzwoneczki.

- Ja nie... nie sądziłem... - Duncanowi zabrakło słów.

Wciąż klęcząc, podparty kijem, w milczeniu gapił się na tamtego.

Kiedy nieznamy podniósł rękę, Duncan pomyślał, że zamierza mu grozić. Zamiast tego Indianin najpierw powoli przyłożył palec do ust, a potem wskazał zarośla na skraju polany. Duncan powiódł wzrokiem w ślad za wskazującym palcem towarzysza i zobaczył ptaka o szkarłatnym tułowi i czarnych skrzydłach, który zagwizdał melodyjnie, przyglądając się obu mężczyznom. Przez ponad minutę słuchali go, nie ruszając się, aż ptak odleciał.

- W mowie mojego dzieciństwa nazywaliśmy go łapaczem ognia. Nigdy nie słyszałem jego angielskiej nazwy. Wy, Anglicy, macie tak niewiele nazw dla ważnych rzeczy.

Duncan obrzucił go równie zaciekawionym spojrzeniem jak przed chwilą ptak.

- Nazywam się Duncan McCallum. W mowie mojego dzieciństwa nazywałbym się niewdzięcznikiem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Jeśli chcesz, możesz nazywać mnie Conawago.

- Szkot. Jestem Szkotem, nie Anglikiem.

Duncan znów nerwowo zerknął na las. Conawago ruchem głowy wskazał duże drzewo rosnące w pobliżu ich obozowiska.

- Oni odeszli. - Wokół pnia leżały rozbite w drzazgi kolby i trzy długie lufy, resztki muszkietów. - Bez swoich strzelb tacy jak oni są niczym przestraszone dzieci.

- Kto jeszcze? - zapytał Duncan, znowu spoglądając na las. - Czy twoi towarzysze są w pobliżu?

- Starzejąc się, odkryłem, że sam jestem dla siebie najlepszym towarzyszem podróży. - Conawago odwzajemnił spojrzenie Duncana takim samym badawczym i lekko rozbawionym wzrokiem, jakim mierzył szkarłatnego ptaka, po czym krzywiąc się z bólu, wstał i wrócił do pakowania plecaka.

Gdy to robił, Duncan zauważył czerwone smugi na jego koszuli.

- Zraniłem cię - rzekł z poczuciem winy. Conawago był zapewne trzy razy starszy od niego. Duncan nie tylko napadł na starca, ale pobił człowieka, który uratował mu życie.

- To nic - mruknął Indianin, nie podnosząc głowy.

- Uczyłem się na lekarza. Pozwól mi się tym zająć.

Conawago nadal się pakował.

- Prędej oddałbym się w ręce jednego ze starych czarowników w obozie Irokezów niż europejskiego lekarza. Oni zawsze mówią, że trzeba puścić krew. Podać opium. Spróbować jakiejś peruwiańskiej kory. Połknąć środek na przeczyszczenie. Leczyć ranę, nacinając ją.

- Umiem choć tyle, żeby przemyć ci rany.

Conawago zawiązał troki worka i wstał, ignorując Duncana. Spojrzał w niebo i wykonał dłonią spiralny ruch w górę.

- Uderzyłem cię. To było... - Duncan szukał właściwych słów. - Skrzywdziłem cię. Pozwól mi się odwdzięczyć. Uratowałeś mi życie.

Twarz Conawago nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jeszcze się okaże, czy można to uznać za przysługę.

- Zatem przynajmniej oszczędziłeś mi konieczności noszenia czapki przez resztę życia.

Po twarzy starego Indianina przemknął przelotny uśmiech.

- Dwie mile na północ stąd jest strumień i jezioro, w którym mogę oczyścić moje rany. I tak miałem tam pójść. Żegnaj. Jeśli naprawdę znasz się na leczeniu, to wiesz, że straciłbyś przytomność dużo wcześniej, niż zdołałbyś tam dotrzeć, więc nie próbuj iść za mną.

Zarzucił sobie plecak na ramiona, wziął laskę i ruszył wąską ścieżką wiodącą w kierunku wysokich grani. Dopiero teraz Duncan zauważył za



jego pasem długą i wygiętą pałkę z gałką w kształcie ptasiego łba, ze śmiercionośnym żelaznym kolcem zamiast dzioba.

Duncan wstał, zrobił kilka chwiejnych kroków i upadł. Zanim doszedł do siebie, Conawago już znikł. Siedząc tam i zbierając siły, Duncan uświadomił sobie, że jego medalion, ten, który należał do Adama, zniknął.

Uklęknął, chwiejąc się i walcząc już nie z zawrotami głowy, lecz z przesywającym bólem czaszki i żeber, po czym zdołał wstać. Toporkiem wyciął sobie laskę, a potem czterocalowej długości patyk, który wetknął sobie w zęby, zanim zaczął iść. Przystawał co dwieście lub trzysta kroków, ocierając krew spływającą mu z czoła i zalewającą oczy, chwytając się za głowę i wycinając nowy kawałek drewna, kiedy przegryził poprzedni. Szlak się rozgałęział i nigdzie nie było widać śladów starego Indianina. Duncan przystanął, usiłując zrozumieć znaki, które - jak wiedział - leśni ludzie czytają instynktownie. Conawago powiedział, że tam jest jezioro. Do takiego miejsca na pewno podąży zwierzyna. Wybrał szerszą oraz bardziej uczęszczaną ścieżkę i poszedł dalej.

Gdy w końcu dotarł do ocienionego, szerokiego na czterdzieści stóp jeziorka, rozebrany do pasa i odwrócony tyłem do niego Conawago stał pod cienkim strumieniem wody spadającej ze skalnej półki kilka stóp nad jego głową. Duncan ze wstydem ujrzał siniaki i skaleczenia, jakie pozostawił jego pochopny atak.

Conawago mamrotał coś pod nosem, łapiąc dłonią wodę, która ominęła jego głowę, i polewając sobie pierś, spoglądając przy tym w górę, jakby zwracał się do wysokiego kasztana, którego korzenie zwisały ze skalnej półki. Duncan osunął się na brzeg jeziorka, zrzucił plecak i pochylił się nad chłodną wodą, najpierw pijąc z dłoni, a potem polewając sobie głowę.

- Mam zapasową koszulę - rzekł Duncan do odwróconego tyłem Indianina. - Mogę z niej zrobić bandaże.

Conawago w odpowiedzi tylko uniósł dłoń, uciszając go. Stary Indianin mówił dalej, czasem jakby do wody, ale głównie do skalnej półki nad swoją uniesioną głową. Wcześniej powiedział, że i tak się tutaj wybierał, Duncan pojął, że stary przyszedł, żeby się modlić do wielkiego drzewa.

Chłopak był dziwnie zmieszany i chciał się odwrócić, ale nie mógł odebrać oczu od starca. Jego dziadek czasem modlił się w taki sposób, stojąc w

blasku księżyca podczas odpływu, i nie chciał wrócić mimo prośb matki, śmiejąc się, gdy ich ksiądz wyklinał go jako poganina.

Po kilku minutach Conawago przestał mamrotać i cofnął się spod małego wodospadu. Znów nabrał wody w dłoń i spojrzał na błyszczące krople.

- Nie spodziewałem się ciebie - rzekł nabożnym tonem. - Skoro jednak już tu jesteś, ty też musisz odmówić modlitwę.

- Nie znam twojego języka - odparł niezręcznie Duncan. - I nie zapamiętałem słów, jakie wypowiadałeś.

- Przepraszałem za przelaną krew i ludzką głupotę. Przemoc nigdy nie rodzi niczego dobrego. Zawsze trzeba się po niej oczyścić. - Dopiero teraz spojrzał na Duncana i podszedł bliżej, zatrzymując się osiem stóp od niego, po kolana w wodzie. - Ty musisz użyć innych słów. Powiedz tak - polecił Conawago i zaczął recytować słowa w języku, którym posługiwała się Sarah.

Powoli i niewprawnie Duncan powtórzył.

Conawago skinął głową i mówił dalej, po kilka sylab naraz. Duncan powtarzał niezrozumiałe zdania, rozpoznając tylko jedno słowo. *Ohskenonton*. Jeleń.

- Co to było? - spytał, kiedy skończyli.

- Modlitwa do duchów lasu. Trudno ją przetłumaczyć. Najpierw poprosiłeś o wybaczenie, że w swej niewiedzy wszedłeś do puszczy, nie próbując jej poznać i nie szanując. Powiedziałeś, że wiesz, że wkrótce umrzesz, ale potrzebujesz jeszcze kilku dni, żeby oddać cześć duchom i spróbować odnaleźć twoją prawdziwą skórę. Powiedziałeś, że nie jesteś lepszy od kupki spleśniałego jeleniego łajna, ale czasem będziesz pamiętać o tym, żeby dotknąć drzewa i podziękować. To modlitwa, której uczą się dzieci na wypadek, gdyby zabłądziły w lesie. - Conawago nie mówił tego z rozbawieniem czy drwiną. - A teraz weź coś, co jest ci potrzebne, i daj to puszczy.

Ostra odpowiedź cisnęła się Duncanowi na usta, ale powstrzymał się, aby pod surowym i przenikliwym spojrzeniem Conawago przyklęknąć i otworzyć plecak. Wyjął twardy bochenek, który zapakował mu Crispin, po czym rzucił chleb do płynącego po drugiej stronie jeziora strumienia i patrzył, jak odpływa, powoli tonąc.

Kiedy się odwrócił, Conawago stał pod wodospadem, trzymając duży rzeczny kamień i szepcząc coś do niego. Po chwili stary Indianin odwrócił się,

wykrzyknął kilka słów w swoim języku i tak wysoko rzucił kamień, że ten znikł w koronie rosnącego nad jeziorem kasztana.

Duncan nachylił się, żeby podnieść swój plecak, widząc, że krzepki stary Indianin naprawdę nie potrzebuje jego pomocy.

- Dziękuję ci za wszystko i nie będę ci już sprawiał...

Słowa uwięzły mu w gardle, gdy Conawago odwrócił się do niego i dopiero teraz pokazał Duncanowi swoją pierś. Worek wypadł Duncanowi z rąk i młodzieniec bezwiednie wszedł do wody, stając naprzeciw Indianina i gapiąc się na kunsztowny tatuaż na jego piersi.

- Mohikanin z plemienia wilka - wykrztusił, po czym wskazał na słoneczne promienie rozchodzące się na lewym ramieniu Indianina. - Znak łowców świtu.

Dłoń Conawago spoczęła na rękojeści maczugi, którą miał za pasem.

- Skąd wykradłeś takie sekrety? - zapytał nagle ostrym głosem.

- Ostatnio widziałem takiego wilka na piersi pewnego człowieka. Swój znak słońca miał za uchem.

Indianin zmierzył go wzrokiem, jakby dopiero teraz go zobaczył.

- Jesteś przyjacielem Jacoba Ryby?

Duncan przecząco pokręcił głową.

- Pomagałem jego przyjaciołom przygotować go do pogrzebu.

Conawago pochylił się, uważnie patrząc Duncanowi w oczy, jakby chciał wyczytać z nich prawdę, po czym jakby oklapł. Puścił rękojeść pałki, podszedł do płaskiego głazu nad jeziorkiem i usiadł.

- Gdy wieje wiatr czarnego węża, trzeba go słuchać - rzekł ze smutkiem.

- Został napadnięty w pobliżu karczmy Holendra, po tym jak Kompania Ramseya przepłynęła się przez Hudson. Próbowano go oskalpować.

- Tak jak ciebie - mruknął Conawago.

Teraz Duncan opadł na głaz. Conawago miał rację. Przytrafiło mu się to samo co Jacobowi. Kropelka krwi kapnęła mu z pochylonego czoła na rękę. Spoglądał na nią przez moment, a potem zaczął wyjaśniać, co wie o śmierci Jacoba.

Kiedy skończył, stary Indianin długo milczał, pogrążony w rozmyślaniach.

- Ten wilk - odważył się wreszcie Duncan. - Należeliście do jednego plemienia?

- Niezupelnie - odparł z roztargnieniem Conawago i spojrzal na Dun-  
cana. - On byl Mohikaninem. Ja jestem Nipmukiem. On nie znal zadnego  
innego zywego czlonka swojego plemienia. Ja rowniez. Zawsze jednak wie-  
rzyliśmy, ze jakiegoś znajdziemy. On sądzil, ze jeśli pozostanie na ziemi  
swoich przodków, oni pewnego dnia powrócą. Ziemia mojego plemienia w  
krainie, którą nazywacie Massachusetts, została nam zabrana tak dawno  
temu, ze szukałem moich gdzie indziej. Kiedy ostatnio widziałem Jacoba,  
powiedział, ze miał sen, w którym odkryliśmy, ze nasze ludy mieszkają  
razem na wyspie na jeziorze, którą przeoczyłem. Uważał, ze to bardzo za-  
bawne. Jednak - westchnął stary Indianin - sądzil, ze jest w tym odrobina  
prawdy, jak we wszystkich jego snach. Kazał mi obiecać, ze znajdę tę wy-  
spę, a potem przyjdę po niego, żebyśmy mogli zamieszkać tam razem.

Conawago znów zamilkł i spojrzal na stare drzewo.

- Powinieneś wracać - oznajmił. - Ty również umrzesz z ran, jeśli nie  
będziesz się oszczędzał.

Duncan zerknął przez ramię na wschód.

- Nie mogę wrócić. Jestem zbiegłym więźniem z Kompanii Ramseya.  
Muszę iść dalej. Szukam miejsca zwanego Kamienistym Szlakiem, gdzieś  
na północy.

Conawago skrzywił się, rzucił kamień do wody i patrzył na rozchodzące  
się kręgi, dopóki nie zniknęły.

- Gdybyś wiedział, co jest na północy, prosiłbyś mnie, żebym dokończył  
to, co zaczęli ci głupcy. - Stary Indianin wstał i włożył koszulę. - Nie zdołasz  
tam dotrzeć. Wróć do osad i zostań tam. Albo idź na północ i zgiń, jeśli  
chcesz. Pierwszy rabuś Huronów złamie cię jak gałązkę.

- Uratowałeś mnie. Myślałem, że Indianie wierzą, że jeśli uratują ko-  
muś życie, to potem są za niego odpowiedzialni.

- Nie wiem, kogo masz na myśli, kiedy mówisz „Indianie” - odparł znu-  
żonym tonem Conawago, przekładając przez ramię pasek plecaka. - Są  
Lenni Lenape, Mohawkowie, Seneka, Susquehannock, Nanticoke, Oneida,  
Onondagowie, Tuscarora, Cayuga, Huroni, Abenaki, garstka ocalałych  
Wappingerów oraz pięćdziesiąt innych plemion, które znam osobiście i  
które mieszkają tutaj przed Europejczykami. Tak jak za morzem są ple-  
miona zwane Anglikami, Szkotami, Irlandczykami, Francuzami, Holen-  
drami, Niemcami, Katalończykami, Duńczykami, Walijszycami, Włochami  
i - jeśli wierzyć barowym opowieściom - Węgrami. - Stary zerknął na

Duncana i uspokoił się. - Za młodu uczyli mnie jezuici - oznajmił ze wzruszeniem ramion. - Wyleczyli mnie z wielu młodzieńczych złudzeń.

- Nie wydaje mi się, żeby jezuici składali ofiary strumieniom.
- Jezuici - z westchnieniem odparł Conawago - nie wiedzą wszystkiego.

Duncan spojrział na ciemniejący las. Nie pamiętał, żeby kiedyś czuł się tak znużony, tak zagubiony. Potrzebował towarzystwa Conawago, choćby na tę noc.

- W Edentown więżą niewinnego człowieka, zarzucając mu morderstwo. Na Kamienistym Szlaku znajdę odpowiedzi, które go ocalą.

Conawago znów zmarszczył brwi i podniósł następny kamyk, niewiele większy od ziarnka piasku. Rzucił go do wody, po której rozeszły się ledwie widoczne kręgi.

- Tyle mnie obchodzi wina lub niewinność Europejczyków na wykarczowanej ziemi.

- Jacob Ryba był niewinny.

- Piorun uderza i zabija. Jeśli tak zechcą duchy, wdepniesz w gniazdo szerszeni. Nie ma to nic wspólnego z niewinnością.

- Niektórzy z nas walczą z duchami, jeśli trzeba. Jacob Ryba tak robił. Nie umarł tylko dlatego, że chcieli zdjąć mu skalp. Zginął, ponieważ postanowił dostarczyć wiadomość.

Staremu Indianinowi drżały palce, gdy wyciągnął rękę po kartkę papieru, którą podał mu Duncan. Po chwili jego oczy przybrały dziwny wyraz, jakby spoglądał przez ten papier na coś znajdującego się w oddali.

- Rozpalę ognisko i zaparzę ci herbatę - rzekł. - Potem opowiesz mi o wszystkim.

Conawago nie odzywał się prawie przez godzinę, napomknął tylko, że będzie im potrzebne schronienie przed burzą, chociaż Duncan nie widział żadnej chmurki na niebie. Szybko, oszczędnymi ruchami, które zadziwiły Duncana, Conawago zbudował szałas z drągów opartych o duży płaski głaz, nakrywając je zielonymi gałęziami i kawałkiem postrzępionego żaglowego płótna, które wyjął ze swojego plecaka. Potem rzucił Duncanowi krzemień i kawałek stali do skrzesania ognia, a sam poszedł nabierać mchu na posłanie, na którym ułożył plecak młodzieńca i zapas drewna opałowego na kilka godzin.

- Byłem w Kompanii Ramseya - zaczął Duncan, gdy padły na nich ostatnie promyki słońca, a drewno zaczęło trzaskać w ognisku.

- To nic, tylko coś, co zrobili ci inni - rzekł Conawago. - Pytam o ciebie. Gdzie była twoja matka w dniu, gdy się urodziłeś, blisko wody czy góry? Z jakimi zwierzętami się bawiłeś jako dziecko? Czy z początku bałeś się oceanu, czy może twoi rodzice zanurzyli cię w nim, zanim jeszcze zaczęłaś chodzić?

- Skąd wiesz, że mieszkałem nad morzem? - zapytał Duncan.

- Nie dowiesz się prawdy od człowieka, nie znając prawdy o jego życiu - tylko tyle powiedział mu Conawago. Podniósł z ziemi płaski kamień, dwukrotnie większy od jego dłoni, położył obok Duncana, a potem dwoma pałkami wyjął z ogniska węgielek i umieścił na środku kamienia. Wyjął ze swego worka brązowy liść i położył na węglu. Gdy tytoniowy dym uniósł się cienką spiralną smużką, machnięciem ręki rozproszył go nad głową Duncana. Sięgnął głębiej do worka i wyciągnął złożoną jelenią skórę, którą z szacunkiem rozłożył, odsłaniając biały wampum. - Teraz duchy słuchają - oznajmił poważnie, kładąc pas na przegubie Duncana i kiwając głową. - Teraz dowiemy się prawdy o tobie.

I tak zaczęła się najniezwyklejsza rozmowa, jaką Duncan odbył w swoim życiu. Stary Indianin nie kazał mu mówić o Jacobie, Ramseyu czy jakichkolwiek wydarzeniach minionego roku, lecz przez godzinę wypytywał go o wyżyny Szkocji, gaelickie słowa oznaczające tęczę i dąb, próbując się dowiedzieć, jak wychowywano Duncana. Bardzo zainteresowało go to, że szkockie krowy przypominają niedźwiedzie i swobodnie chodzą po górach, niczym strażnicy starych klanów.

- Co robią te stworzenia, gdy spadnie pierwszy śnieg? - dociekał Conawago, gotując w miedzianym garnczku zupę z korzeni i pączków liści.

Zdawał się powątpiewać, czy takie zwierzęta można nazywać bydłem, i pytał, czy Duncan przylapał kiedyś któreś z nich na podsłuchiwanie pod oknem lub drzwiami, jak to robią amerykańskie niedźwiedzie.

- Czy kiedy jako chłopiec złapałeś w dłoń motyla, zauważyłeś, jak potem wiatr zmienił kierunek? A mieszkając nad morzem, czy widziałeś kiedyś, jak olbrzymia ryba zatacza krąg i robi jeden z tych ogromnych wirów, które wciągają gwiazdy do wody?

- Znałem pewną starsuszkę, która mówiła, że widziała, jak dzieci zmieniają się w foki - powiedział Duncan.

Jego towarzysz przyjął tę wiadomość twierdzącym skinieniem głowy.

Wydawało się, że minęły godziny, zanim Duncan doszedł do rejsu na *Annie Rose* i jej więźniów, długo po tym jak spożył pachnący wywar ugotowany przez Indianina i pozwolił, by stary pomógł mu ułożyć się na mchu pod głazem, który wchłaniał ciepło z ogniska.

Czy wielkie lewiatany podążały za ich statkiem, spytał Indianin, a po tym jak wychłostano na morzu człowieka, czy następnej nocy Duncan widział, jak jarzy się woda wokół statku, bo Conawago był świadkiem takiego zjawiska. Na północy przetoczył się grom, a błyskawica na horyzoncie odbiła się od chmur na niebie.

Gdy Szkot doszedł do tajemniczych zgonów na pokładzie, Conawago zaczął go wypytywać o szczegóły, których Duncan dotychczas nie brał pod uwagę, jakby Indianin w zupełnie inny sposób podchodził do śmierci tych ludzi. Kiedy mówili o Everingu, Conawago pobieżnie wysłuchał relacji o okolicznościach jego śmierci, natomiast chciał wiedzieć, czy w oczach martwego profesora były kolorowe plamki, czy śpiewał w ostatni dzień swego życia i jak zachowywał się w nocy na pokładzie, gdy świeciły gwiazdy. Był bardzo zainteresowany, gdy Duncan powiedział mu, że Evering przepowiedział pojawienie się komety.

- Umarł, pomagając kobiecie zwanej Sarah Ramsey - podsunął Duncan, opowiedziawszy, jak najważniejsza pasażerka na statku próbowała popełnić samobójstwo - i pielęgnując swoją miłość do zmarłej żony.

Sam nie rozumiał, dlaczego tak swobodnie mówi o tych sprawach obcemu człowiekowi.

- Dobra śmierć - pochwalił Conawago, powoli kiwając głową.

Duncan zamilkł na chwilę, uświadamiając sobie, że nigdy nie przyszło mu to do głowy.

- Zatem tamtego dnia ta kobieta i ty zostaliście wezwani przez te same duchy - podsumował Conawago, jakby Duncan skoczył do oceanu, żeby pogawędzić z jakąś boską istotą.

- Po prostu skoczyłem do wody, żeby uratować Sarah - odparł.

Stary Nipmuk posłał mu wyrozumiały uśmiech.

- Czy pamiętasz cokolwiek z tego, co wydarzyło się w wodzie?

- Nie - przyznał Duncan.

Conawago skinął głową, wciąż z uśmiechem, jakby dowiódł swej racji.

Duncan mówił dalej, o przybyciu do Nowego Jorku i przeprawie przez Hudson, o uwolnionej przez Sarah kaczce, o gospodzie Pod Jelenim Łbem i życiu w Edentown. Uświadomił sobie, że pada deszcz, chociaż nie zauważył, kiedy zaczęło kropić.

Po jednej z chwil ciszy, przerywających ich rozmowę, Conawago spojrzął na Duncana, przechylił głowę i zapytał zupełnie rozsądnie:

- Powiedz mi, Duncanie McCallum, ilu zostało z twojego plemienia?

Nie wiedzieć czemu wydawało się to najmądrzejszym i najtrudniejszym pytaniem, jakie Indianin mógł zadać. Duncan odpowiedział dopiero po chwili, ze ściśniętym sercem.

- Moje plemię, tak jak twoje, niemal wyginęło. Jest tylko jeden człowiek, w którego żyłach płynie ta sama krew.

Conawago nie wyglądał na zdziwionego i łagodnie pytał dalej, o kolor błyskawic w Szkocji i książki w bibliotece Ramseya.

W końcu staremu Indianinowi chyba zabrakło pytań i zapatrzył się w żar dogasającego ogniska.

- Czy ja też mogę zadać ci kilka pytań? - spytał Duncan, z szacunkiem zdejmując wampum z ręki.

Conawago spojrzął na niego czujnie, ale nie sprzeciwiał się, gdy Duncan położył pas na jego przegubie. Młodzieniec wziął patyk i narysował na ziemi przysadziste skrzydlate stworzenie o owalnym i płaskim ogonie. Nie zapomniał o znakach, które Adam wrył w drewnie masztu.

Conawago spojrzął na rysunek, a potem stał go powolnym, ostrożnym ruchem.

- Nie mówimy ludzkimi słowami o świętych totemach. To sprawa między człowiekiem a jego totemem, opiekuńczym duchem.

- Dlaczego ma skrzydła?

- To pozdrowienie od kogoś, kto sam ma się stać duchem.

Conawago rzucił na węgle drugi liść tytoniu i machnięciem dłoni skierował dym na Duncana, jakby ten potrzebował szczególnej boskiej uwagi.

- Czy znasz człowieka zwanego Hawkinsem? - spytał nagle Duncan.

Conawago znów przyjrzał się jego ranie, odymiając ją, zanim odpowiedział.

- W puszczy na północ stąd znam wielu takich jak on. Niekoniecznie nazywam ich ludźmi. Prędeż wilkami na dwóch nogach.



- *Okewa* - spróbował Duncan. - Co oznacza to słowo?

Stary Indianin zapatrzył się w żar ogniska, zanim odpowiedział.

- To taniec - odparł nagle ochrypłym głosem. - Rytuał. Zaczyna się o zmroku i trwa do rana. Kobiety śpiewają przez całą noc.

- Jaki rytuał?

- To taniec umarłych, wykonywany przez rodzinę rok po śmierci zmarłego. Pozwala duszy w końcu przejść na tamten świat. - Conawago zmierzył Duncana badawczym spojrzeniem. - Gdzie słyszałeś to słowo?

- Było zapisane na tajnej mapie w domu lorda Ramseya.

Twarz Conawago stężała jak pośmiertna maska. Stary Indianin znów spojrzał w ogień i położył nowy liść tytoniu na płaskim kamieniu. Duncan patrzył, jak jego towarzysz w milczeniu zaparza mu następny kubek herbaty, a potem kładzie dłoń na jego zranionej głowie i szeptem odmawia modlitwę. Duncan wyciągnął się na posłaniu, nie mogąc pojąć ani reakcji starego Indianina na większość tego, co mu powiedział, ani niespodziewanego spokoju, jaki poczuł podczas tej rozmowy.

Rano zbudził się powoli, oszołomiony, z niejasnym wspomnieniem dziwnego snu o pływaniu z fokami. Chciał przetrzeć oczy, ale nie czuł rąk. Kilkakrotnie potrząsnął głową, ale wciąż miał kłopoty z orientacją. Ostatni kubek naparu Conawago nie tylko go uspokoił.

Leżał w strumieniu. Jego nogi, niemal całkiem zanurzone w wodzie, były przyciśnięte ciężką kłodą, której nie mógł zepchnąć, choćby nie wiem jak mocno próbował. Ręce miał związane z tyłu, za pnem drzewa. Ich obóz, znajdujący się pięćdziesiąt stóp dalej, był opuszczony i nigdzie nie było widać śladu Conawago. Plecak Duncana, starannie zawiązany, leżał na kamieniu obok, z przytwierdzonym do niego szczapką drewna kawałkiem białej kory, na którym widniały słowa napisane kaligraficznym pismem.

*Nocna burza na północy oznacza, że do południa woda w strumieniu się podniesie i zabierze kłodę, która cię więzi. Kiedy to nastąpi, wstań. Twój toporek jest wbity w pień na wysokości twojego pasa i przetniesz o niego więzy na rękach. Potem pędź na południe i podziękuj Ramseyowi za to, że uratował ci życie, pozwalając ci być jego sługą. Jeśli przeżyjesz i zmądrzejesz, zrozumiesz, że nie ma żadnej tajemnicy związanej z Jacobem, Adamem i ze mną, tylko prosta prawda. Nie ma lepszej śmierci, w*

*każdym wieku, niż stawianie czoła mającemu przewagę wrogowi, aby bronić koki swych przodków i swoich bogów. Będzie inna Okewa, za dwanaście miesięcy. Pozostają przy życiu i zaśpiewaj wtedy dla czerwonego księżycy i mężczyzn w spódniczkach.*

Duncan patrzył na notatkę, czytając ją raz po raz, oparty o drzewo, słuchając odgłosów lasu, czując ciepłe i delikatne pulsowanie drzewa. Przeczytał wiadomość jeszcze raz, usiłując ogarnąć tę wojnę w wojnie, o której zdawał się pisać Conawago. Jego gniew wkrótce się wypalił, zastąpiony przez ból w sercu i pytanie kołające się na skraju świadomości.

Zrozumienie przyszło powoli, dopiero kiedy kilkakrotnie przeczytał list i przypomniał sobie wszystko, co wydarzyło się między nim a starym Indianinem, każde słowo wypowiedziane w nocy. Mógł nie rozpoznać w nim opisanego przez Listera ciemnoskórego wykształconego dżentelmena podróżującego z Sarah i nie zwrócić uwagi, jak ostrożnie stary zadawał pytania, pomijając jej osobę. Jednak charakter pisma, to wyjątkowe połączenie podwójnego „o”, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Duncan znalazł Sokratesa Moona. Znalazł i zgubił jedynego człowieka, którego ścieżki w tajemniczy sposób splatały się z losami Sarah, Jacoba i Adama, a jedynym sposobem, aby ponownie go znaleźć, było dotarcie do Kamienistego Szlaku, gdzie - jak zdawał się ostrzegać Moon - za siedem dni wszyscy umrą.

## Rozdział 12

*Okewa.* Pełne znaczenie tej ceremonii dotarło do Duncana dopiero wtedy, gdy oddalił się o godzinę drogi od jeziora. Instrukcje Conawago okazały się dokładne i gdy poziom wody w strumieniu się podniósł, Duncan szybko się oswobodził, wepchnął notatkę Indianina do plecaka i ruszył na północ. Teraz, gdy ponownie czytał list, odpoczywając, zrozumiał niepokój Conawago na wieść o tym, że to słowo widniało na mapie w schowku Ramseya. Lord mógł nie wiedzieć o naradzie starych wodzów mającej się odbyć na Kamienistym Szlaku, ale powiedziano mu, zapewne kilka miesięcy wcześniej, że Indianie, którzy porwali jego córkę - i kontrolowali znaczną część ziem na zachodzie - powrócą na Kamienisty Szlak w rocznicę masakry.

Z nową determinacją Duncan poprawił bandaż na głowie i wstał z pnia, na którym siedział. Zrobił dwa kroki i nagle serce przestało mu bić.

Ogromne czarne stworzenie, które spoglądało na niego z odległości pięćdziesięciu jardów, wydawało się wielkości konia. Przechyliwszy łeb, obserwowało Duncana. Ten cofnął się o krok. Niedźwiedź zrobił krok naprzód, dochodząc do rozwidlenia szlaku. Po chwili spojrzął w kierunku ścieżki wiodącej na północ, którą miał podążać Duncan. Otworzył pysk, obnażając długie, żółte zębiska. Ludzie z Kompanii mówili, że to największe ze zwierząt może jednym machnięciem łapy urwać człowiekowi głowę. Pod Duncanem ugięły się kolana. Jedno spojrzenie na niedźwiedzie kły wystarczyło, by stracił całą pewność siebie, jaką próbował w sobie obudzić, od kiedy ruszył znad jeziora.

Dźwięk, który wydobył się z pyska zwierzęcia, nie był złowrogim rykiem, jakiego oczekiwał Duncan. Był to raczej przeciągły, znużony jęk. Jednak kiedy ucichł, zwierzę nadal szczyrzył kły na Duncana jak cierpliwy drapieżca

pewny swego łupu. Wyczuł krew jego rany. Nie pozwoli mu przejść.

Duncan stracił poczucie czasu, stojąc nieruchomo, odtwarzając w myślach ostatnie pół mili wędrówki, rozważając i odrzucając kolejne drzewa i pagórki jako ewentualne schronienia. W końcu - po piętnastu, a może pięćdziesięciu minutach - zrobił krok w kierunku rozwidlenia szlaku i niedźwiedzia. Potem następny. Zwierz się nie poruszył, ale nie odrywał oczu od Duncana. Ten spróbował chwycić rękojeść tkwiącego za pasem tomahawka, lecz odkrył, że już coś trzyma w palcach. Bezwiednie wyjął i ścisnął w dłoni kamienną figurkę Adama. Nie wiedząc, dlaczego to robi, uniósł kamienny posążek i zaczął wykrzykiwać imiona wodzów swego klanu. Niedźwiedź przechylił potężny łeb.

Niezwykłe wolno, robiąc krok za krokiem i po każdym przystając, na uginających się kolanach Duncan dotarł do rozwidlenia ścieżki i uczęszczonego północnego szlaku, przechodząc dwadzieścia jardów od straszliwego zwierza, dostatecznie blisko, by poczuć woń jego wilgotnego futra. Niedźwiedź odprowadził go tylko wzrokiem, który zdawał się teraz zdradzać chłodne zniecierpliwienie. Pięćdziesiąt pierwszych kroków Duncan przeszedł po szlaku tyłem, a dopiero potem się odwrócił. Gdy po kolejnych pięćdziesięciu przystanął i obejrzał się za siebie, niedźwiedź nadal tam stał, obserwując go.

Kilka godzin później, z potwornym bólem głowy, Duncan dotarł do rzeki. Wyjął mapę Ramseya, wiedząc, że nie jest w stanie stwierdzić, czy to naprawdę ta rzeka, która widnieje na mapie i łączy Edentown z Kamiennym Szlakiem, ale po drodze żadnej innej nie napotkał i nie miał sił iść dalej. Znalazł skalną półkę i zaszył się w stercie suchych liści. Kiedy zbudził się o świcie, nie miał już zawrotów głowy i nie pojękiwał z bólu. Umył się, szybko zjadł zimny posiłek i podążył wzdłuż brzegu na północ.

Dochodziło południe, gdy dostrzegł trzy skalne turnie przy zakolu rzeki. Ruszył truchcikiem, wyciągając z kieszeni mapę Ramseya, z ulgą rozglądając się za jakąś chatą lub farmą, w której mógłby odpocząć. Mimo wszystko znalazł drogę do Kominów będących pierwszym punktem orientacyjnym na drodze do Kamiennego Szlaku. Poślizgnął się na jakimś korzeniu, upadł i wstał, znów z bolącą głową. Pokuszył między kępami uschniętych drzewek, których suche gałęzie trzaskały mu pod stopami. Po chwili już dotykał sterczących skał, jakby upewniając się, że istnieją naprawdę,

że nie postradał rozumu i rzeczywiście ma szansę odnaleźć drogę w tej dżicy. Nagle zmarł.

To nie były uschnięte drzewka, lecz pale, rozstawione po cztery i podtrzymujące platformy z gałęzi znajdujące się wysoko nad ziemią. Z niektórych pali i platform zwisały jakieś przedmioty. Pióra. Strzępy futra. Naszyjniki z muszli i paciorków. Ludzkie ręce i nogi. Duncan nie deptał po suchych gałęziach, lecz po wyschniętych kościach. Otaczały go szczątki niezliczonych zmarłych.

Stały tu co najmniej trzy tuziny takich konstrukcji, niektóre tak stare, że porośnięte pnączami. Usłyszał echo słów Fitcha, opisującego, co razem z Woolfordem zrobili z ciałem starego Jacoba. Strach, z którym zmagał się Duncan, w końcu wyrwał się z uścisku i obezwładnił go. Duncan przywarł plecami do jednej ze skał. Nagle tracąc siły, osunął się na miękkie mech.

Usiłował przygotować się na następne spotkanie z dziwnymi tubylcami mieszkającymi w puszczy, ale martwi Indianie byli jeszcze gorsi. To było jak koszmar sen, gdyż teraz zauważył, że mieszkańcy tych platform, porozumiewający się z ptakami i przebywający w świetle węży, przemieszczały się na cmentarzysku. Na ziemi leżały bielejące kości, jakby szkielety rozsypanywały się z nadejściem świtu. W przypiływie obezwładniającego lęku Duncan ujrzał siebie, unieruchomionego tutaj trzy godziny po zmroku, otoczonego przez płaszące przy blasku księżyca kościotrupy, wymachujące wężami.

Nagle śpiew samotnego drozda wyrwał go z transu i otrzeźwił. Duncan znieruchomiał, tak jak robili to Fitch lub Woolford, obserwując otoczenie chłodnym okiem, spoglądając na las, platformy i kikuty niedawno zrąbanych pali. Nigdzie nie widział kompletnego szkieletu. Zakłócono spokój zmarłym, pozrzucono ich kości z platform. Dziesięć stóp dalej zobaczył czaszkę, zapewne oderwaną i rozbitą kopniakiem. Pale wielu platform nie zbutwiały, lecz zostały ścięte siekierami.

Uświadomił sobie, że wstał i odszedł krok od turni w kierunku długiej, świeżej bruzdy w omszałej ziemi, wzdłuż której leżały resztki kilku naszyjników, stare wystrzępione pióra oraz kości palców rąk i nóg. Ten ślad kończył się na brzegu rzeki. Zmarłych pościągano z platform i wrzucono do wody. Zrobił następny krok, odrętwiały z oburzenia, podniósł z ziemi nieknięty sznur paciorków i zapatrzył się w czysty, rwący nurt. Strzęp kozłej skóry zwisał z nisko wiszącej gałęzi pięćdziesiąt stóp w dół rzeki. Znacznie

bliżej i pod powierzchnią wody na zatopionej gałęzi zaczepiła się czaszka ze strzępami skóry. Zdawała się patrzeć na niego, pytając dlaczego.

Do śpiewu drozda dołączył inny odgłos, cichy pomruk, który Duncan wzięłby za szum wiatru, gdyby nie był tak monotony. Powoli poszedł w kierunku źródła tego dźwięku, ostrożnie stawiając stopy, by nie narobić hałasu. Za drugą skałą znalazł kolejne zniszczone platformy na płaskim brzegu. Zimna dłoń lęku zacisnęła się na jego sercu, gdy coś, co w pierwszej chwili uznał za kolejne zwłoki pokryte warstwą brudu i błota, nagle ożyło.

Z przygnębieniem rozpoznał swego niedawnego wybawcę, leżącego na kamieniach. Conawago miał na sobie tylko przepaskę biodrową i całe ciało umazane błotem, oprócz tych miejsc, gdzie znajdowały się tatuaże. Zakołysał się jak dziecko, wydając ciche, modlitewne dźwięki, i robiąc nożem rządnacie na swym przedramieniu. Jedną nogę miał już zbroczoną krwią płynącą z tuzina równoległych naciec na udzie. Łzy spływały mu po policzkach.

Kiedy Duncan wyrwał mu z dłoni nóż, stary Indianin wciąż wykonywał ręką takie ruchy, jakby ciał swoje ciało. Duncan ścisnął dłonią jego zakrwawione palce. Minęła długa chwila, zanim Conawago zdał sobie sprawę z jego obecności.

W końcu stary Indianin otarł oczy wierzchem dłoni i spojrzał na niego.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - zapytał z rozpaczą. - Kto po raz drugi zabił naszych zmarłych?

Przez prawie godzinę Duncan zajmował się Conawago. Gdy Indianin wstał, poruszał się jak wiekowy starzec. Pozwolił Duncanowi poprowadzić się do wody, robiąc niepewne kroczki i co chwilę przystając, żeby wesprzeć się na jego ramieniu. Był w równie oplakany stan jak ten cmentarz.

W końcu usiedli na skalnej półce na brzegu rzeki. Obmyte rany Conawago wciąż krwawiły. Zaczął mówić coś w swoim języku, nie do Duncana, lecz ku niebu, a potem do wody, przemawiając cicho i niespokojnie. W końcu spuścił oczy. Zmieszany Duncan odwrócił głowę, gdy Conawago rozpoczął długi monolog. Kiedy Szkot znów spojrzał na swego towarzysza, przeszedł go dreszcz. Stary Indianin mówił do znajdującej się pod wodą czaszki.

Duncan spojrział w dół i zobaczył krople krwi kapiące z czubków palców Conawago do kałuży wody przy brzegu.

- Kiedy byłem mały - zaczął, gdy Indianin w końcu umilkł - angielscy żołnierze przyszedli na wybrzeże, szukając wrogów ich króla. Moja rodzina na miesiąc odpłynęła na odległe wyspy. Kiedy wróciliśmy, odkryliśmy, że Anglicy zabili wszystkie nasze zwierzęta. Mój dziadek się tym nie przejął. Powiedział, że w górach zawsze znajdują się inne cielęta i jagnięta. Jednak następnego dnia znalazłem go oniemiałego i płaczącego na przybrzeżnej skale. Nasz rodzinny cmentarz znajdował się w górskiej dolince za naszym domostwem. Anglicy poprzewracali nagrobki i porozbijali na kawałki. Otworzyli kilka grobów. Najświeższy był grób wuja pochowanego przed trzema miesiącami, którego powiesili na drzewie z przypiętą do piersi kartką, że został osądzony i uznany za winnego zdrady. Szczątki innych zmarłych, przeważnie same kości, były rozrzucone po całym wzgórzu.

Conawago nic nie powiedział. Teraz i on patrzył z przygnębieniem, jak jego krew miesza się z wodą w rzece.

- Ponownie pochowaliśmy wuja. Matka chciała spróbować ustalić, które kości włożyć do którego grobu. Ojciec powiedział, że to nie ma znaczenia, jeśli tylko okażemy im należny szacunek. Tak więc po prostu włożyliśmy po kilka kości do każdego grobu i zasypaliśmy je. Już prawie skończyliśmy, gdy ojciec spojrział mi ponad ramieniem i jęknął. Matka ścięła swoje piękne rude włosy, ostrzygła je jak owcę na wiosnę, i wrzucała do każdego grobu kosmyk owinięty wokół gałązki wrzosu. Dziadek znikł po zachodzie słońca i znaleźliśmy go grającego *pibroch* na cmentarzu, w blasku księżyca. Przez miesiąc robił to co noc i każdej nocy coraz więcej naszych ludzi przychodziło posłuchać, a na koniec miesiąca odbyło się wielkie zgromadzenie przy ognisku i klany złożyły przysięgę krwi, że będą sobie pomagać. Dziadek oświadczył, że to wystarczy, aby zmarli w grobach znów zaznali spokoju.

Conawago, wciąż zapatrzony w powoli płynącą z prądem smużkę krwi, niczym się nie zdradził, że słyszał te słowa. Duncan opanował nieoczekiwaną burzę uczuć na wspomnienie tamtego, dawno minionego dnia, gdy jego rodzina znalazła kości przodków rozrzucone na wzgórzu.

- *Pibroch?*- nagle zapytał stary Indianin.

- To oznacza Wielką Muzykę, starodawną... - zaczął Duncan. - Nie wiem, jak to...

Wstał, znów powoli powiódł wzrokiem po cmentarzu i podszedł do swojego worka. Conawago nie patrzył na niego, kiedy Duncan wyjmował swoją ukochaną kobzę, napełniał pęcherz i zaczął grać, siedząc pod ścianą najwyższej turni. Jednak kiedy zagrał, jego towarzysz powoli podniósł głowę i poważnie zapatrzył się w niebo. Po kilku minutach wstał i zaczął niespiesznie zbierać szczątki z ziemi, żeby ułożyć je na platformach. Duncan grał prawie przez godzinę, po czym odłożył kobzę, by pomóc Conawago. Pracowali do zmroku, po czym Duncan odszedł kawałek od cmentarza, rozpalili ognisko i przygotował posiłek z mchu dla swego towarzysza.

- Hawkins - powiedział, przerywając milczenie. - Pytałeś, kto mógł zrobić coś takiego. To Hawkins. W zeszłym tygodniu opuścił Edentown z kilkoma ludźmi Ramseya skazanymi za kradzież zwłok.

- Tylko po co?

Na to Duncan nie miał odpowiedzi.

- Zeszłej nocy miałem sen - powiedział Conawago po kolejnej chwili milczenia. - Byłem na Kamienistym Szlaku. Ludzie latali w powietrzu jak ptaki. Gdy rozmawiałem z jakąś starą kobietą, z nieba zaczęły spadać kamienie. Rozległ się głośny lament, chociaż *okewa* jeszcze się nie zaczęła.

- Ja również miałem sen - powiedział Duncan z mocno bijącym sercem. - Byłem z Sarah Ramsey. Siedziała w cieniu wielkiego niedźwiedzia, a Hawkins skradał się do niej z nożem w zębach.

Conawago powoli pokiwał głową.

- Tak to już z nią jest - rzekł znużonym głosem. - Zostają z niej same kości i zaczyna od nowa.

- Nie rozumiem.

- Ona umarła. Sądzę, że po raz ostatni.

Conawago poprowadził go za najdalszą z trzech wysokich skał wznoszących się nad zakolem rzeki. Duncan zobaczył tam nową platformę, jedyłą, która pozostała nietknięta. Leżała na niej kobieta w znajomej zielonej sukni, a kruki siedziały na jej głowie.

Z jękiem rozpaczy Duncan skoczył tam i w mgnieniu oka wspiął się na rusztowanie, ochryple krzycząc na ptaszyska i odganiając je. Potem lepiej przyjrzał się nieboszczce. Był pewien, że to suknia Sarah i jej złoty łańcuszek na szyi. Jednak suknia okrywała stare kości, długie włosy oblepiały czaszkę poźółkłą ze starości, tak samo jak ręce i splecione dłonie. Cofnął się



i zeskoczył z rusztowania, ze zgrozą patrząc na zwłoki. Chciało mu się płakać.

Po długiej chwili opanował się na tyle, żeby dokładnie obejrzeć ciało na platformie. Wokół rusztowania były świeże odciski mokasynów, na które nakładały się liczne ślady butów. Indianie byli tu po zniszczeniu starego cementarza i wzniesli to rusztowanie. A ludzie, którzy przyszli tu później, zapewne Arnold i jego podkomendni, bali się tego dotknąć.

W sercu Duncana wezbrała rozpacz. Spoglądał na ludzkie szczątki. Było mu słabo i nie śmiał poprosić Indianina o wyjaśnienie.

Conawago odciągnął go z powrotem do ogniska.

- Wciąż zamierzasz udać się na północ?

Duncan odpowiedział dopiero po długiej chwili:

- Zacząłem rozumieć prawdę ukrytą w snach. Chcą powiesić niewinnego człowieka. Prawda o morderstwie, o które jest oskarżony, znajduje się na północy. Nie mogę iść nigdzie indziej.

Conawago spojrział na zbezczeszczone szczątki.

- Oto, co zrobią z tobą Hawkins i jego ludzie - rzekł spokojnie i beznamiętnie.

Duncan patrzył w ogień, usiłując odegnąć obraz Sarah i Listera ściąganych przez szkielety. Zaczynał powoli rozumieć, dlaczego Woolford ostrzegł go, żeby nie rozmawiał z Indianami o snach.

- Zaparzę herbatę - zaproponował w końcu.

- Nie chcę herbaty - rzekł suchym, łamiącym się głosem Indianin. - Piszczalki. Nie wiedziałem o tym, ale twój dziadek to rozumiał. Zmarli słyszą ich granie. - Wskazał na zrujnowany cementarz. - Wezwij ich do domu, tak jak przedtem.

Nagie drzewa.

- Szukaj nagich drzew - powiedział mu Conawago, gdy Duncan opuszczał go o świcie. - Podążaj szlakiem nagich drzew aż do Korowej Dziury przy misji na Niemieckiej Równinie.

Kiedy Duncan powiedział mu o swoim śnie, stary Indianin już nie namawiał go do ucieczki na południe, lecz teraz nie wykazywał chęci do wędrówki na północ.

- Jestem potrzebny tutaj - oznajmił, jakby leżał na łożu śmierci. - Powinienem tam przejść, powinienem wyjaśnić i przeprosić.

Z dreszczem zgrozy Duncan pojął, że stary mówi o umieraniu.

Duncan czuł się tak, jakby żegnał jednego ze starych wujów, którego miał już nigdy nie zobaczyć. Znów rozпалиł ognisko dla Conawago i zostawił go zapatrzonego w płomienie.

- Trzeba opłakać zmarłych - rzekł Duncan, wstając, żeby odejść. - Jednak żałoba nie zastąpi walki z wrogiem.

Conawago nie zareagował.

Dziesięć mil od Kominów Duncan natrafił na pierwsze z nagich drzew, olbrzymią choinę o pniu ponadpięciostopowej średnicy, odartą z kory na wysokość dziesięciu stóp od ziemi. Wkrótce znalazł inne, same dęby i choiny, wszystkie wielkie, tak samo okorowane. Było ich coraz więcej, w miarę jak zbliżał się do loskotu dochodzącego zza niewysokiego wzgórza. Duncan przystanął tuż przed szczytem i spojrzął na tuziny okorowanych drzew, które minął. Wszystkie miały uschnąć.

Conawago utrafił w sedno, nazywając tę osadę Korową Dziurą. Poza chatką z bali na drugim jej końcu, cała dolina była zawalona stertami kory. Na jej środku gruba belka była zamocowana w obrotowym uchwycie na pionowym palu. W dwóch trzecich jej długości na belce był osadzony wielki okrągły kamień, jak młyńskie koło z głębokimi nacięciami na krawędzi. Do końca belki był zaprzężony krzepki muł, który obracał kierat z kamiennym kołem kruszącym korę. Muła poganiał chłopiec, na oko dwunastoletni. Duncan usiadł na kamieniu i patrzył z nagle rozbudzonym zainteresowaniem. Rozwiązał kolejną zagadkę. Evering napisał, że trzeci zaklinacz duchów zostanie znaleziony przy kieracie.

Gdy Duncan zaczął schodzić ze wzgórza, wciąż skryty w cieniu drzew, chłopczyk gwałtownie podniósł głowę i spojrzął, nie na niego, lecz na las, jakby wyczuwając, że coś się tam zmieniło. Muł zwolnił i obrócił ciężki łeb w kierunku chaty. Duncan przystanął i przykucnął w cieniu, przyglądając się chacie. Była toporna i brzydka. Na ławach obok niej leżeli dwaj mężczyźni, a między nimi stały dzbany. Chudy koń przywiązany do drzewa tęsknie spoglądał na przepływający obok strumień. Na pniu drzewa leżało jakieś pokryte futrem zwierzątko, a wrona wydziobywała mu ślepka. Za chatą nędzny wóz stał na początku drogi, zaczynającej się przy chacie i znikającej za wzgórzem. Na nim leżały trzy bele pokruszonej kory przeznaczonej do garbarni, w której po namoczeniu w wodzie uzyskuje się kwas taninowy.

Spojrzenie Duncana wróciło do chłopca, który stał teraz obok muła,

głaszcząc jego pysk. Miał coś przymocowane do paska, na plecach. Kiedy chłopiec odwrócił się i znów zaczął prowadzić muła, Duncan zobaczył, że to sznur. Muł był uwiązany do kieratu. A chłopiec do muła.

Duncan wrócił za grzbiet wzgórza, okrążył dolinkę i poszedł drogą w kierunku chaty. Dwaj mężczyźni na ławach, cuchnący rumem, nie ruszyli się, gdy odwiązał konia i zaprowadził go do strumienia, po czym uklęknął i obmył sobie twarz z kurzu.

Po chwili poczuł lekkie mrowienie karku. Obejrzał się i zobaczył lufę muszkietu sterzącą z jednego z okien i wycelowaną prosto w niego.

- Chciałem go tylko napić - zawołał.

- Wchodź albo giń - odpowiedział mu piskliwy, zdenerwowany głos. - Zaprowadź go na miejsce.

Pojawiły się dwie kolejne lufy, wystające z prostokątnych otworów niedawno wyrąbanych w ścianie z bali.

Duncan powoli wstał, uwiązał konia do drzewka, po czym ruszył w kierunku budynku, trzymając ręce z daleka od ciała.

- Przywiązałem go tam, żeby mieć czysty strzał, kiedy po niego przyjdą - wyjaśnił chudy mężczyzna, gdy tylko Duncan wszedł do cuchnącej pleśnią chaty.

Mówił z jakimś akcentem, którego Duncan nie potrafił rozpoznać.

- Wilki? - zapytał.

Mężczyzna wskazał na głowę Duncana.

- Człowiek z taką raną nie powinien pytać.

Walijski akcent. Ten człowiek był Walijczykiem.

- Indianie chcą ci ukraść konia?

- I wszystko prócz powietrza, którym oddychasz. To paskudny czas. Wszystkie farmy na pięćdziesiąt mil wzdłuż rzeki poszły z dymem.

Wodząc wzrokiem po mrocznej izbie, Duncan zobaczył w jednym kącie rzucone bezładnie narzędzia, a w drugim kilka takich samych dzbanków jak te przy ławach na zewnątrz. Jedna ze strzelb tkwiących w strzelnicach była zardzewiała i miała pękniętą kolbę. Ta, którą trzymał chudzielec, choć chyba dla niego za ciężka, była znacznie lepszej jakości. Na jej kolbie widniało wypalone znajome „R”.

- Masz broń Ramseya.

- Śmiem twierdzić, że przeszła przez wiele rąk. Wielki lord nie będzie narzekał, jeśli zabiję z niej kilku czerwonoskórych.

- Przyszedłem porozmawiać z chłopcem - rzekł Duncan.

To stwierdzenie najwidoczniej zaniepokoiło Walińczyka.

- Nie sądzę - odparł, trzymając strzelbę w ramionach, bokiem do Duncana - bo wszyscy wiedzą, że to niemowa. Kim jesteś, do diabła?

- Jak on się nazywa? Gdzie śpi?

- Śpi z mułem, jeśli o to ci chodzi. Ty też jesteś od Ramseya - stwierdził z rozczarowaniem w głosie Walińczyk.

- On tu nie sypia.

Duncan wiedział, że muł był najcenniejszy w tej wytwórni. Po dniu pracy z pewnością nie zostawiano go, by paść się na skraju lasu.

- Na Równinie - wyjaśnił przestraszony mężczyzna. - Z nadejściem nocy każdy rozsądny chrześcijanin jest na Równinie, w misji. Mówimy na niego Alex, po prostu Alex. Był za mały, żeby pamiętać swoje nazwisko i skąd go zabrano, choć prawdopodobnie cała jego rodzina zginęła przed laty, w dniu, kiedy został porwany.

Przez moment Duncan miał wrażenie, że dzicy otaczają ich ze wszystkich stron i powinien wziąć stary muszkiet, żeby stanąć na straży razem z tym zaniepokojonym człowiekiem. Jego strach był zaraźliwy.

- Co to za ludzie na zewnątrz?

- Pomocnicy z pobliskich farm. W zeszłym tygodniu przywieźli dwa wozy kory, a wróciwszy do rodzin, dla których pracowali, znaleźli wszystkich zabitych i oskalpowanych.

- Sarah Ramsey. Widziałeś ją?

- Oczywiście, że nie. A grupka wielebnego sporo cię wyprzedza, jeśli chcesz dostać nagrodę za odnalezienie dziewczyny.

- Wielebny Arnold jest w misji?

Chudzielec spojrział na niego z kwaśną miną.

- Ruszył na północ. Powiedziałem mu, że powinien zacząć sobie liczyć za każdy pogrzeb, to do zimy byłby bogaty. Tak to już jest z interesami Ramseya. Potrzeba do nich wiele modlitw i rumu - dodał z krzywym uśmiechem.

Znów wystawił lufę strzelby przez okno, podejmując wartę.

Duncan przechadzał się po chatce. Stos zbutwiałych sosnowych igieł w kącie mógł być resztkami posłania. Żelazny czajnik wiszący na kołku wyglądał na używany od wielu lat bez czyszczenia. Sterta nędznych łąchów zapewne była zapasową odzieżą. Przystanął przy dzbanach. Wszystkie oprócz czterech były puste i przewrócone. Za tymi czterema dostrzegł błysk metalu. Pochylił się i wyciągnął to na światło dzienne.

Był to ozdobny napierśnik, który Arnold miał na sobie, kiedy wyruszał do puszczy. Tylko że teraz widniały w nim dwie duże dziury po kulach z ciemnymi zaciekami wokół poszarpanych brzegów.

Zaniósł napierśnik do Walijczyka, który zerknął nań i skrzywił się.

- Jak powiedziałem, przy tych dowódcach Ramseya trzeba się żarliwie modlić.

Duncan rozważył te słowa.

- Chcesz powiedzieć, że to nie wielbny Arnold go nosił.

- Spędzili tu noc, ci ludzie Ramseya. Jeden z nich był tak przerażony, że tylko siedział na rogu stołu, drżąc i ściskając w garści żelazny ćwiek. Potem Hawkins przyszedł z drugą grupą, mówiąc, co Indianie zrobią z każdym, kto spróbuje uciec, kiedy ruszą na północ. Ten biedak wciąż dygotał i nie wyszedł z chaty nawet na mszę, którą odprawił Arnold. Był do niczego. Rano Arnold powiedział, że potrzebuje kogoś, kto doręczy wiadomość lordowi Ramseyowi. Ten nieszczęśnik był do niczego, więc wielbny powiedział mu, że może nałożyć jego napierśnik. Ten człowiek wziął wiadomość, nałożył napierśnik, chwycił broń i odjechał. Po kilku godzinach ci dwaj przyszedli, niosąc napierśnik i muszkiet, pytając, czy nie wymienią ich za dzban rumu. Znaleźli jego ciało niecałe dwie mile stąd. Głupiec nie wiedział, że napierśnik może zatrzymać strzały, nie kule.

Walijczyk mocniej ścisnął broń.

- A wiadomość?

- To sprawa dowódców Ramseya.

Duncan wyszedł na zewnątrz i rozglądając się po dolince, poczuł słaby zapach dymu, sądząc po kierunku wiatru, płynący zza następnego wzgórza. Poklepał konia po szyi, po czym podszedł do hałasującego kieratu.

Pozdrowił chłopca i zaproponował, że przyniesie mu wody, a nawet pochwalił krzepę muła. Chłopiec nie zwracał na niego uwagi. Muł spoglądał na Duncana wielkimi czarnymi ślepiami.

Duncan zastąpił chłopcu drogę.

- Alex - powiedział, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu.

- Mnie też nazywali zaklinaczem duchów - wyznał. - Jestem przyjacielem Sarah Ramsey - dodał, ale nie doczekał się reakcji.

Idąc koleinami wyboistego szlaku, który wychodził z dolinki, Duncan często przystawał i oglądał się za siebie, zaniepokojony zachowaniem Walijczyka, który w każdej chwili spodziewał się ataku. Patrząc na północ, na

odległy horyzont, Duncan miał złe przeczucia. Nagle potknął się w świeżej bruździe. Znalazł się na skraju karczowiska. Na drugim końcu pola konie ciągnęły pień, wzbijając chmurę kurzu.

Barczysty mężczyzna o długich blond włosach, niewiele starszy od Duncana, stał plecami do niego, przemawiając z niskiego pagórka sto stóp dalej. Nogawki czarnych spodni miał rozpięte pod kolanami, a szerokoskrzydły kapelusz leżał obok na pieńku. Duncan pospieszył ku niemu, chcąc jak najszybciej porozmawiać z którymś z jego słuchaczy, lecz dotarłszy na szczyt pagórka, stanął jak wryty. Nie było żadnych słuchaczy. Ten człowiek energicznie przemawiał po niemiecku do pieńków. Duncan stał, nie wiedząc, jak się wycofać. Po chwili zdjął worek z pleców i usiadł na najbliższym pieńku, a mówca powitał go machnięciem ręki i mówił dalej.

Słuchał, skrepowany, rozglądając się i upewniając, że jest tu jedynym żywym słuchaczem, i zdołał zrozumieć kilka słów: „Bóg” - powtórzył kilkakrotnie mężczyzna - oraz „żebrak” i „chleb”. Kiedy kurz opadł, Duncan dostrzegł zabudowania znajdujące się za polem. Obok kilku nędznych jabłoni leżała sterta czegoś czarnego, co uznał za węgiel drzewny, a za nią sterczał dach budynku wkopanego w zbocze pagórka, z wysokim kamiennym kominem, z którego unosiła się spirala dymu. Dziewczyna w czarnej sukni doiła krowę. Dzieci stawiały płot ze splecionych gałęzi i konarów, otaczający warzywniak. Psy bawiły się na brzegu meandrującej rzeki.

Duncan uświadomił sobie, że w zadumie drapie się po karku. Jeśli wielebny Arnold albo Hawkins są w misji, jeszcze przed zmierzchem zakują go w kajdany.

Ktoś coś do niego mówił.

- I jak? - pytał nieznajomy w białej koszuli, przechodząc z niemieckiego na angielski. - Sądzisz, że jest za długie?

- Nie widzę w nim żadnych wad - powiedział Duncan,

Niemiec wypchnął językiem policzek, rozważając słowa Duncana.

- Za miesiąc pojedę do Saksonii werbować nowych osadników, którzy do nas dołączą. Mój ojciec, wielebny Zettlemeier, mówi, że będą oczekiwali ode mnie kazania o wierze w Nowym Świecie. Jeśli mamy zapłacić za tę podróż, musimy mieć pewność, że są oddani naszej misji.

- To jest misja wielebnego Zettlemeyera? Morawska misja?

Niemiec potwierdził skinieniem głowy.

- Przyszedłem w sprawie chłopca.
- Mamy tu czterech chłopców.
- Tego z mułem.
- Aha. On nie jest... - Wydawało się, że Niemiec zaraz powie, że Alex nie jest chłopcem. Odgarnął z czoła długie blond włosy i włożył kapelusz na głowę. - Nie jest zdrow na umyśle. Obawiam się, że jedyne, co możesz zrobić, to na niego popatrzeć.
- Żył wśród Irokezów.
- I coś tam w nim umarło. Jego dusza. Moja matka mówi, że stary Indianin zwany Tashguą pożarł jego duszę.
- Jeśli nie mogę z nim porozmawiać, zadowolę się mówieniem do niego.
- Próbowaliśmy różnych rzeczy, całymi miesiącami. Mamy różne sekretne sposoby, ze starego kraju - ciągnął jasnowłose młodzieniec. - W zeszłym miesiącu moja matka przeczytała mu Księgę Hioba wspak - dodał znacząco. Potem Zettlemeier spojrział na swoje audytorium pieńków, drwiąco się im skłonił i wskazał na budynki. - Moja siostra piecze dziś chleb - powiedział i wyciągnął rękę. - Mam na imię Martin.

Duncan, zarzuciwszy wór na plecy, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń tamtego, podając tylko swoje imię. Przyglądał się małej osadzie, ku której szli.

- Widocznie dobrze się wam powodzi, skoro możecie zapłacić za przewóz nowych osadników - zauważył.

Morawianie byli znani ze swego misjonarskiego zapału, nie bogactwa.

Martin cicho się zaśmiał.

- Na ma żadnego zysku z naszych niezbyt żyznych pól ani nawet z pieca. Ojciec ma umowy - rzekł, po czym pomachał ręką i pozdrowił dójkę.

Dziesięć minut później Duncan siedział w cieniu obory, pijąc z cebrzyka świeże mleko, a obok rumieniała się jedna z młodszych sióstr Zettlemeyera, piegowata nastoletnia dziewczyna, która wydoiła krowę. Osada, składająca się z dziesięciu budynków, nie licząc pieca, w porównaniu z kruszalnią kory była jak inny świat. Wszyscy jej mieszkańcy, których Duncan napotkał po drodze - umazany sadzą mężczyzna na zboczu nad piecem, wysypujący węgiel do komina, dwie kobiety robiące pranie w balii, dzieci w ogrodzie - wydawali się spokojni, a nawet zadowoleni. Jednak na cmentarzu przy

małej kaplicy były trzy tuziny grobów, z czego jedna trzecia wyglądała na wykopane w ostatnich tygodniach.

Przeszedł między grobami, z których większość oznaczono krzyżami z heblowanych desek, wybielonych i opisanych kaligraficznym pismem, przeważnie tylko po niemiecku. Gdy wyprostował przekrzywiony krzyż, mocując go kamieniem, zauważył pół tuzina innych, znajdujących się z dala od pozostałych, nie świeżych, lecz zapewne sprzed kilku miesięcy. Szeregowiec Albert Simpson, przeczytał, kapral Robert Griffin oraz chorąży Bernard Atwood. Żołnierze. Pod jednym z sześciu identycznych krzyży leżały stare buty, a pod innym wyblakła zielona czapka. Zatem nie żołnierze. Znalazł groby zwiadowców zamordowanych w zeszłym roku. Przechodząc między grobami, nadepnął na długi twardy przedmiot skryty w kępie polnych kwiatów. Wąski pręt z cennego żelaza. Sprawdził pozostałe groby i znalazł jeszcze cztery takie pręty, wbite w ziemię. Ktoś, jakiś Szkot z wyżyn, zabezpieczył groby tymi żelaznymi drągami, prosto z pieca.

Oczyścił groby ludzi Woolforda, po czym usiadł w cieniu starego klonu obok obory, wypatrując muła i chłopaka na szlaku wiodącym do kruszalni.

- Do jutra rana mają mieć pełny wóz - powiedział nagle ktoś, wyrwyjąc Duncana z półsnu. - Więc będą pracować do zmroku. Chodź i zjedz z nami. Nie wspomniałeś, że znasz mojego ojca z Edentown.

Martin Zettlemeier pomógł mu wstać i Duncan niechętnie poszedł za nim na obiad, podany na stołach z desek ułożonych na beczkach, pod wysokim tulipanowcem. Nie wspomniał o tym z rozmysłem w nadziei, że uniknie spotkania ze starszym misjonarzem, jedyną osobą w tej osadzie mogącą połączyć jego twarz z nazwiskiem i rozpoznać w nim zbiega.

Morawianie prowadzili uprzejmą rozmowę przy sutym posiłku złożonym z parówek, gotowanych ziemniaków, puddingu i świeżego chleba, unikając osobistych pytań. Najwyraźniej jednak zostali poinformowani, w jakim celu Duncan przybył do misji.

- Stracił wszystkie społeczne umiejętności, ten młodzik - oświadczył poważny, siwobrody Zettlemeier senior. - Solidnie wypełnia swoje obowiązki i bierze udział we wszystkich nabożeństwach. To musi wystarczyć i zapewne tak już pozostanie. Kiedy Herr Weiser przybędzie tu w przyszłym miesiącu, odeślemy z nim chłopaka.

- Pan Weiser? - spytał Duncan.



- Conrad Weiser z okręgu Berks w pensylwańskiej kolonii. Przybywa tu w rządowej misji, aby rozmawiać z plemionami. Conrad będzie wiedział, gdzie jest jakaś bezpieczna farma, na której potrzebują solidnego pomocnika. Chłopiec nie sprawia żadnych kłopotów.

- Jest jak juczne zwierzę - powiedział Duncan.

- W oczach Wszchemogącego - oznajmił wielebny Zettlemeier - wszyscy jesteście jucznymi zwierzętami. To błogosławieństwo, jeśli zdołamy znaleźć brzemię, które jest nam przeznaczone dźwigać.

- Inaczej mówiąc, znaleźć swoją prawdziwą skórę.

Po słowach Duncana wszystkie rozmowy przy stole ucichły jak nożem uciął. Zebrani patrzyli na starego kaznodzieję, który wypychał językiem policzek, tak jak wcześniej robił to jego syn. Wielebny posłał Duncanowi dziwnie zbolale spojrzenie, a potem - zbyt głośno - poprosił o ziemniaki.

Duncan uparł się pomóc posprzątać po posiłku, nosząc brudne talerze, a córki Zettlemeyera zmywały je wiechciami z sitowia i gorącą wodą, śpiewając nabożną pieśń po niemiecku. Muł jeszcze nie wrócił do stajni. Gdy Duncan szedł po ostatnią partię talerzy do mycia, jedna z kobiet pojawiła się z kolejnym wiadrem gorącej wody. Kiedy jednak wrócił z naczyniami, nie było jej - a balia była pusta. Nie znalazł kobiety również za budynkiem, ale odkrył tam szopę i suszące się na sznurze bandaże zrobione z podartych prześcieradeł.

Stojąc w cieniu z nowo rozbudzonym zainteresowaniem, Duncan przyjrzał się zabudowaniom, drapiąc za uchem miejscowego psa, który za nim przyszedł. Piec i szopa z węglem drzewnym. Ładne domki mieszkańców osady. Obora, wozownia i letnia kuchnia. Duża chłodnia z uchylonymi drzwiami. Dlaczego kobieta miałaby nosić gorącą wodę do budynku pełniącego rolę chłodni?

Duncan odłamał kawałek kielbaski, która została mu po obiedzie, owinał ją w liść, zachęcił psa, żeby za nim poszedł, i rzucił kąsek do środka. Wślizgnął się tam za psem, przyciskając się do ściany. Za kotarą z zawieszzonego na sznurku koca kobieta łagodnie skarciła psa, nie przerywając tego, co robiła. Gdy pies rozchylił koc, w szparze pojawiła się krzepka dłoń i poklepała go po łbie. Kobieta nadal nie oderwała oczu od swego pacjenta.

Leżący na posłaniu mężczyzna był kilka lat starszy od Duncana. Jego długie rude włosy były związane z tyłu. Miał obrzmiałą twarz i zaciskał z

bólu zęby, gdy kobieta zdjęła mu opatrunek i zaczęła przemywać brzydką, ropiejącą ranę na lewej łydce. Na ścianie nad posłaniem wisiała czarna skórzana ładownica i nóż w pochwie z jeleniej skóry.

Gdy mężczyzna wił się i prężył z bólu, Duncan dostrzegł brzydkiego koloru jego nogi. Nie zastanawiając się, wszedł za kotarę.

- Gangrena. - To straszne słowo samo padło z jego ust, jakby nagle znów znalazł się w uczelnianej pracowni w Edynburgu. - Wkrótce zacnie gnić.

Kobieta jęknęła. Mężczyzna sięgnął po nóż, ale bez sił opadł na posłanie i tylko zaklął, gdy Duncan uklęknął przy nim, żeby najpierw zbadać, a potem powąchać ranę. Była to stara rana postrzałowa, źle wygojona, która się otworzyła i ropiała.

- Kiedy zostałeś postrzelony? - zapytał.

Powąchał okład i z aprobatą skinął głową. Płatki owsiane i siemię lniane.

- Prawie rok temu - mruknął mężczyzna i znów zacisnął z bólu zęby. - Kula utkwiła w kości. Do tej pory nie było z nią kłopotu.

- Wyszła i teraz się przemieszcza, powodując ropienie. Jeśli jej nie wytniemy, wda się gangrena - orzekł Duncan.

- Wytniemy? - powtórzyła oszołomiona kobieta.

- Uczyłem się u chirurgów. Potrzeba mi więcej gorącej wody, prawie wrzątku. I wasz najostrzejszy nóż, świeżo naostrzony. I rum. Mnóstwo rumu. Macie igły do szycia?

Kobieta nerwowo kiwnęła głową.

- Jednak wuj nie pozwala tu trzymać alkoholu. Najbliższe miejsce, gdzie go mają, to kruszalnia kory.

- Zatem trzeba go położyć na stole, przytrzymać i wetknąć knebel do ust. I zasłonić oczy. Nie może widzieć noża.

Mężczyzna zrobił wielkie oczy.

- Do diabła, nie dam się pociąć!

Tych kilka słów wystarczyło, żeby Duncan rozpoznał szkocki akcent.

- Zatem umrzesz - oznajmił Duncan, zaskoczony stanowczym tonem swego głosu. - To pewne jak nadejście nowego dnia, że umrzesz okropną i powolną śmiercią, jeśli nie wyjmiesz kuli i nie oczyścimy rany. Za tydzień o tej porze będziesz już w ziemi.

Słyszac to, mężczyzna na posłaniu przestał się opierać.

W ciągu kwadransa wszystko było gotowe, a po następnych piętnastu minutach Duncan kończył pracę, zaszywając nacięcie najcieńszą nitką, jaką mieli w misji. W końcu podniósł głowę i zobaczył osiem przyglądających mu się osób.

- A teraz możemy się tylko modlić - rzekł, gwałtownie tracąc pewność siebie.

- To jest coś, co robimy najlepiej - poważnie odrzekł Martin Zettlemeier.

Patrząc, jak niosą mężczyznę z powrotem do szopy, Duncan poczuł bezgraniczne zmęczenie. Spojrzał na swoje ręce i zobaczył, że zaczynają się trząść. Po raz pierwszy ciał ciał żywego człowieka.

Gdy usiadł na ławie przy stole, przyszła dojarka z dzbanem zimnego mleka i nerwowo zerknąwszy na dom, wyjęła spod fartucha kromkę chleba posypaną cennym cukrem. Kiedy Duncan wyciągnął rękę, dziewczyna powstrzymała go i otarła krew z jego dłoni.

- Mówisz po angielsku? - zapytał, gdy skończył jeść.

- Och, tak. Tatusь mówi, że jeśli jego Indianie mówią kilkoma językami, to my powinniśmy znać przynajmniej dwa.

Duncan w zadumie toczył po stole okrągłą kulę, którą wyjął z rany.

- Jego Indianie?

- Po to tu jesteśmy, żeby nawracać Indian. - Obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem. - Jednak nie myśl, że pochwalamy... - Skrzywiła się, zmieszana. - Jesteś od Ramseya - dodała, jakby to było przyczyną jej nagłego zaniepokojenia.

- Także mam przyjaciela Indianina - zapewnił ją Duncan.

I dopiero kiedy to powiedział, zdał sobie sprawę, jak dziwnie to zabrzmiało, choć tego dnia już ze sto razy pomyślał o Conawago, pozostawionym z umarłymi przy Kominach, szykującym się, by zostać jednym z nich.

- Zastanawiałem się nad żelazem pozostawionym przy grobach - rzekł Duncan. - To mi przypomina moją ojczyznę. On to zrobił? - zapytał, ruchem głowy wskazując w kierunku chłodni.

- Przychodzą inni - powiedziała dziewczyna, teraz patrząc na cmentarz. - Zazwyczaj zjawiają się o świcie, wypalają kilka fajek z moim ojcem i odchodzą.

Gawędzili sobie. Duncan wskazał na szybującego nad polem jastrzębia.

- Byłaś tu w zeszłym roku, kiedy przybyli zaklinacze duchów?

Dziewczyna zadrżała i bez słowa skinęła głową.

- To było na drugi dzień po tym zabijaniu. Żołnierze w czerwonych kurtkach przyprowadzili ich jak jeńców.

- Major Pike?

- Och tak - odparła z rozmarzeniem. - Na swoim pięknym koniu. Dopilnował, żeby panna Ramsey dostała łóżko i prawdziwą suknię. Jedną z moich. Chętnie ją oddałam.

- I Adam Munroe?

Dziewczyna znów skinęła głową.

- Kiedy tu przybył, miał włosy splecione w warkoczyki i namalowane na skórze zwierzęta. Myślałam, że się bawił, tak jak czasem moi bracia i ja na karczowisku. Jedni z nas udają Indian, a inni dzielnych żołnierzy w czerwonych kurtkach.

- Czy słyszałaś, żeby chłopak kiedyś coś powiedział?

- Dwa razy.

- Tylko dwa?

- Jego usta były otwarte, potem się zamknęły i otworzyły jeszcze raz, zanim zamknęły się na zawsze. Z początku, po przybyciu tutaj, chciał opowiadać wszystkim o plemionach. Potem, kiedy panna Ramsey porozmawiała z nim po tym, jak pobito pana Munroe, zamilkł.

Duncan spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Biedny pan Munroe, modlimy się za jego duszę. Tamtej pierwszej nocy pan Munroe i Alex uciekli. Jednak strażę ich złapały, ponieważ chłopiec upadł i skręcił sobie nogę. Żołnierze przywlekli ich obu i pobili pana Munroe kijami, obcięli mu warkocze i zmyli malowidła. Panna Ramsey mówiła coś do chłopca po indiańsku, jak matka karcąca syna. Jednak kilka tygodni później, kiedy przybył wielki lord, Alex dużo mówił. Dali mu słodycze i zapłacili mojej matce, żeby uszyła dla niego nowe ubranie. On mówił i mówił, a oni notowali. Potem, pewnego dnia, kiedy jeszcze tu byli, przyszedł stary zwiadowca, pytając o tych, którzy zginęli, oraz o kupców, którzy przyszli z północy, i Alex znowu przestał mówić. Od tego czasu się nie odzywa. Mój brat mówi, że kiedy Alex będzie starszy, będzie można zaprząć go do pługa jak muła, a on nic nie powie, myśląc tylko o gęsiach i jastrzębiach.

- Ten stary zwiadowca zwał się Fitch?

Dziewczyna kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

- Miły człowiek. Wyrzeźbił dla mnie ptaka.

Z największej chaty wyszedł wielebny Zettlemeier, trzymając w dłoni Biblię. Gdy Duncan wstał, aby pójść za nim do chłodni, schował do kieszeni kulę z muszkietu i odwrócił się do piegowatej dziewczyny.

- Kiedy bawicie się na karczowisku, kto wygrywa? - spytał.

- No, żołnierze, oczywiście. Zawsze żołnierze.

Po raz drugi w tym miesiącu wszedł do pomieszczenia pełnego cichych kobiecych modlitw szeptanych po niemiecku. Jednak tym razem leżący tam mężczyzna, chociaż nieprzytomny, był żywy. Duncan przeszedł obok czytającej grubą Biblię żony pastora i dopiero teraz zauważył wiszący na ścianie długi łuk oraz kołczan z pierzastymi strzałami. Odsunął wiszącą na kołku ładownicę i zamarł. W pochwie nie było noża, którego zimne ostrze dotykało teraz jego uda w miejscu, gdzie znajduje się tętnica.

- Nie pamiętam, żebym obiecywał zapłacić mojemu rzeźnikowi - powiedział suchy, ochryply głos.

Szkot był przytomny i zaskakująco sprawny.

Duncan nie puścił skórzanej ładownicy, tylko powoli przesunął palcem po zdobiących ją dwóch zaśnieżonych mosiężnych cyfrach.

- Czterdziesty drugi przeżył ciężkie chwile pod Ticonderogą.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale nie próbował użyć noża, gdy Duncan przesunął się i uklękł, żeby sprawdzić szwy.

- Musisz pić dwa razy więcej niż zwykle. Połowę wody, połowę mleka. I robić okłady na ranę. - Przerwał, patrząc przez okno na dojarzkę. Powinien zadać jej inne pytanie. Skąd wiedziała, że Adam Munroe nie żyje? Odwrócił się do swojego pacjenta. - Przez tydzień nie próbuj chodzić, a potem używaj kuli. Jeśli rana się otworzy, może zacząć gnicić.

- Racja - mruknął mężczyzna. - A wtedy tu wrócisz i oznajmisz, że i tak czas uciąć nogę. Znam ja lekarzy. Odejdę stąd jutro rano i potnę każdego, kto spróbuje mnie zatrzymać.

- Pani Zettlemeier - spokojnie powiedział Duncan, odwróciwszy się do kobiety. Oderwała oczy od Biblii. - Kiedy skóra na jego nodze żółknie, gdy za wcześnie zacznie chodzić, trzeba będzie zanieść go do drewni, gdzie jeden z pani chłopców odrąbie mu nogę. - Duncan pochylił się nad stojącym pod ścianą chłodni kamiennym korytem z zimną wodą, zanurzył palce,

po czym dotknął nimi ziemi. - W tym miejscu - rzekł, kreśląc linię na nodze pacjenta, tuż nad kolanem.

Mężczyzna zbladł i spróbował odsunąć się poza zasięg jego rąk. Kobieta ścisnęła dłonią jego zdrową nogę i przestał się szarpać.

- Jeśli sądzisz, że to było bolesne - rzekł Duncan - to zaczekaj, aż od-rąbią ci nogę. Zanim to zrobią, będziesz wrzeszczał z bólu, ilekroć ktoś jej dotknie. Potem przez kilka godzin będziesz czuł potworny ból, a jeszcze później zapewne i tak umrzesz. - Odwrócił się do krępej Niemki. - Pocho-wajcie go obok jego przyjaciół zwiadowców.

Szkot nie ruszał się, tylko jak urzeczony spoglądał na linie nakreślone na nodze.

- Byłeś pod Ticonderogą? - zapytał Duncan.

Mężczyzna wziął kubek z wodą od pani Zettlemeyer.

- Cały regiment był pod Ticonderogą - odparł ponuro. - Byłem sier-zantem. To sierżanci dowodzą bitwą.

- Kto był na wzgórzu?

- Onondagowie. Potem zobaczyliśmy Huronów na skalnej półce nad nimi, skąd w pięć minut mogli ogniem z muszkietów załatwić starego i innych Irokezów.

- Tashguę? Byli tam jego ludzie?

Szkot skinął głową.

- Chcesz powiedzieć, że Huroni szykowali się do ataku na oddział Tashgui?

- Tak sądziliśmy, że po to tam weszli. Jednak oni nie atakowali, tylko czekali.

- Jeśli Tashgua nie przybył tam walczyć, to po co?

Szkot wykrzywił cienkie wargi.

- Nie rozumiałbyś tego. Nikt z nas nie rozumiał przez wiele miesięcy.

- Spróbujmy.

- Nowe twarze bogów.

- Nie mów zagadkami o takich ważnych sprawach. Muszę to wiedzieć!

Odpowiedział mu wielebny Zettlemeyer z ciemnego kąta, w którym sie-dział.

- Tak właśnie robi Tashgua - rzekł strapiionym głosem. - Stoi między swym ludem a ich bogami i wyjaśnia ziomkom, czego chcą duchy. Jeśli

zawiedzie, duchy ich opuszczą i jego lud zginie. On jednak wie, że duchy mogą się zmieniać, tak jak ludzie.

Duncan powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

- Nadal nie rozumiem.

- Wszyscy mówią, że bitwę wygrali Francuzi - rzekł z goryczą dezerterski - ponieważ prawie dwa tysiące Brytyjczyków zostało zabitych lub rannych, a po stronie generała Montcalma nie więcej niż jedna dziesiąta tego. Jednak nie dla starego Tashgui i nie dla irokeskich wodzów, którzy z nim przyszli. Dla nich na tym polu bitwy walczyli brytyjscy i francuscy bogowie, a oni nigdy nie widzieli czegoś takiego, co robili bogowie Brytyjczyków. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że tysiące ludzi dobrowolnie szło pod armatni ogień? Tashgua nigdy nie sądził, że może istnieć tak potężny bóg. Był tak wstrząśnięty, że córka musiała go stamtąd odprowadzić.

- I wtedy zaczął wątpić w siebie - rzekł Duncan.

- Wtedy... Jezu Chryste! - jęknął mężczyzna, znów chwytając za nóż. - Spójrz na siebie!

Duncan spojrział, stropiony. Nic się nie zmieniło poza tym, że stał bliżej okna, przez które wpadał słoneczny blask. Kiedy wyniesiono go z chłodni, mężczyzna miał zasłonięte oczy. Teraz po raz pierwszy zobaczył twarz Duncana w dziennym świetle.

- Podejdz do światła! - zażądał. - Zrób to albo przysięgam, że wyrwę twoje szwy z nogi!

Duncan z wahaniem zrobił krok naprzód, stając przy oknie.

- Mówił, że ma brata - oznajmił Szkot nagle znów gniewnym głosem. - Angielskiego lekarza, który sprzedał swój klan, zdradził starego wuja, żeby przypodobać się swoim odzianym w koronki lordom.

Duncanowi zaschło w ustach.

- Gdzie on jest? Gdzie jest Jamie?

Mężczyzna jakby zapomniał o swym cierpieniu. Z zimnym uśmiechem przyglądał się Duncanowi.

- Przez wiele nocy siedziałem i słuchałem, jak mówił, co należy robić ze zdrajcami. Ostatnio powiedział, że jego brat lekarz na pewno ma torbę z chirurgicznymi narzędziami. Poprzysiągł, że wypróbuje je wszystkie na tobie, zanim wydasz ostatnie technienie.

Duncan już czuł się tak, jakby ktoś wbił mu skalpel w serce

- To nie tak. Szli tropem mojego wuja i dotarli do mnie. Ja nigdy nie...

Mężczyzna poderwał się i machnął ręką, uderzając Duncana w pierś, zanim znów z jękiem opadł na posłanie.

Mimo bólu Duncan spostrzegł, że tamten zerwał mu zawieszony pod koszulą zwitek tartanu.

- Nie będziesz tym zwodził i oszukiwał prawdziwych Szkotów.

- Jestem najstarszym z McCallumów i...

- Nie ma tu Anglików, którym mógłbyś lizać buty. Zachowaj tę śpiewkę na czas, kiedy przywiąże cię do pala. Nauczył się paru rzeczy od tubylców, wie, jak sprawić, żeby ktoś zaczął śpiewać. - Dezerter wepchnął tartan za pazuchę i rozpromienił się. - Moja pielęgniarka powiedziała mi dziś po południu, że jesteś niewolnikiem Ramseya. Wody w rzece jest tyle, że jego kanu mogą tu przyplłynąć za dzień lub dwa, a tuż za nimi major Pike. Nie masz dokąd uciec, tylko w objęcia twojego brata.

Mimo bólu, jaki najwyraźniej mu to sprawiało, mężczyzna wybuchnął ochryplym, rżącym śmiechem.

Nagle ktoś położył dłoń na ramieniu Duncana. Stanął przy nim wielbny Zettlemeier. Duncan pozwolił się wyprowadzić z chłodni, idąc jak żywy trup.



## Rozdział 13

Koźlę przywiązane do drzewa. Słowa wypowiedziane przez Woolforda tamtej nocy nad rzeką Hudson odbijały się echem w głowie Duncana, gdy siedział na ławie, do której zaprowadził go Zettlemeier. Sądził, że zdoła ująć przed swoim losem, a przy tym jeszcze uratować Listera i Sarah. Teraz jednak jego brat nie przyjdzie do niego dlatego, że wojsko użyło Duncana na przynętę. Przyjdzie, ponieważ nienawidzi Duncana równie gorąco, jak Duncan nienawidzi angielskich arystokratów. Tak czy inaczej, jego brat umrze, a on nie zdoła ocalić swoich przyjaciół. Dezerter w chłodni miał rację. Duncan nie zasługiwał na ten kawałek tartanu. Był aroganckim głupcem, udając wodza klanu. Ramseyom i Pike om tego świata jest i będzie przeznaczony zawsze wygrywać. Latami będzie nosił żelazną obrożę na szyi i ilekroć jej dotknie, będzie myślał o Listerze i swoim bracie, gnijących w grobach przez niego.

Cichy, gardłowy ryk zakłócił wieczorną ciszę. Ryk rozgniewanego muła. Duncan zerwał się na równe nogi, zanim jeszcze usłyszał drugi dźwięk, świst kija przecinającego powietrze. Błyskawicznie dobiegł do szopy i bez namysłu rzucił się na Walińczyka, łapiąc go za podniesioną rękę, zanim ten zdążył ponownie uderzyć chłopca. Kopnął chudzielca w kolano, tak że poleciał do tyłu, uderzając o słupek. Szybko odwróciwszy się, by zbadać obrażenia Aleksa, podniósł mu podartą koszulę i zamarł. Muł napiął postronek, rozdał nozdrza i wybałuszył ślepiec. Wystarczyłoby silne szarpnięcie, żeby potężne zwierzę zerwało się z uwięzi i zaczęło szaleć, niszcząc wszystko na swej drodze.

Jednak Alex, nawet nie spojrzawszy na Duncana, doskoczył do muła i zaczął gładzić jego szyję. Zwierzę natychmiast się uspokoiło i przestało dyszeć. Teraz słyhać było tylko sapanie ogłuszonego Walińczyka.

Duncan odważył się zrobić krok naprzód. Chłopiec rozłożył ręce i muł

schował w nie swój wielki łeb. Gdy Duncan przystanął, nie chcąc im przeszkadzać, otrzymał bolesne uderzenie kijem, niecelne, gdyż cios ześlizgnął mu się po ramieniu. Drugi cios powalił go na ziemię i Walińczyk doskoczył do chłopca. Dwukrotnie uderzył Aleksa, zanim muł odrzucił go na bok, bodąc łbem, a wtedy Duncan dopadł go, złapał za rękę, wykręcił ją do tyłu i wygiął, aż mężczyzna krzyknął z bólu. Opatrując obrażenia pięściarzy w Yorkshire, nauczył się także paru ich sztuczek.

- Czujesz? - syknął Duncan, wykręcając mu rękę. - Jak nasila się ból, kiedy ją wykręcam? Jeszcze trochę - mężczyzna jęknął, gdy Duncan mu to zademonstrował - a przez cały dzień nie będziesz mógł nią ruszyć.

- Dał mułowi podwójną rację - jęknął Walińczyk. - Nie miał prawa.

- Praca do zmroku to podwójna dniówka - orzekł Duncan.

- Tobie o tym gadać! Zbiegłemu McCallumowi, który tak rozwścieczył lorda! Dają pięćdziesiąt funtów za twoją głowę!

Duncan jeszcze bardziej wykręcił mu rękę.

- Jeszcze trochę i nie ruszysz nią przez tydzień. A wtedy jak wycelujesz z muszkietu, kiedy przyjdą po ciebie dzicy?

- Możemy się umówić - jęczał Walińczyk. - Wydam cię Ramseyowi, kiedy tu przybędzie. Potem podzielę się z tobą nagrodą i cię uwolnię. Będziemy bogaci!

Duncan nacisnął mocniej i Walińczyk pozwolił wyjąć sobie kij z ręki. Duncan puścił go i złamał kij na kolanie. Gdy się odwrócił, by cisnąć kawałki w ciemność, ujrzał brodatą twarz mężczyzny obserwującego go z cienia. Wielebny Zettlemyer, niemal niewidoczny w mroku w swym czarnym odzieniu, spojrzał na niego poważnie i melancholijnie, ale nie odezwał się słowem. Walińczyk powiódł wzrokiem w ślad za spojrzeniem Duncana i westchnął z rezygnacją. Zanim jednak znikł w ciemności, odwrócił się z mściwym błyskiem w oczach.

- Nie tylko ludzie Ramseya cię szukają, chłopcze. Wyznaczono cenę za twój skalp. Dla Huronów jesteś więcej wart martwy i oskalpowany niż oddany w ręce wielkiego lorda. Za kilka dni będziesz błagał, żeby cię wydali Ramseyowi.

Duncan z mocno bijącym sercem spoglądał w mrok. Ramsey i francuscy Indianie rywalizowali o jego głowę. To niemożliwe. Dlaczego Francuzi mieliby chcieć go zabić?

Duncan odwrócił się do chłopca, który przyjął ostatnie ciosy Walińczyka,

niczym stary marynarz, nie wypuszczając z objęć muła. Zdołał odrobine unieść podartą koszulę Aleksa, zanim ten wyrwał mu się i schował za zwierzęciem. Jednak jeden rzut oka wystarczył, by Duncan dostrzegł ślady wielu poprzednich takich uderzeń.

Kiedy Szkot próbował do niego podejść, chłopiec spojrzął na niego rozszereżonymi ze strachu oczami. Duncan cofnął się i zaczął wycierać drugi bok muła szmatą zdjętą z kołka. Po chwili chłopiec zabrał mu szmatę i sam zaczął to robić.

Duncan próbował go zagadywać, przeproszać, ofiarowywać dodatkową porcję jedzenia, lecz były indiański niewolnik nawet na niego nie spojrzął. Co powiedział wielebny Zettlemeier? Chłopiec stracił wszystkie społeczne umiejętności.

Gdy Duncan w końcu zaprzestał wysiłków i wyszedł z szopy, wielebny Zettlemeier wciąż tam stał, patrząc z tą samą melancholijną miną.

- Jeśli Morawianie tak traktują sieroty - prychnął Duncan - to Nowy Świat może się obejść bez takich osadników.

Zettlemeier najwidoczniej przyjął te słowa jak zasłużony policzek.

- Budzę się w nocy i myślę o Aleksie - rzekł. - Czasem bezwiednie przerywam modlitwę, myśląc o tym chłopcu i o dziewczynie Ramseya. Nie wiem, jak do nich dotrzeć.

Duncan gwałtownie poderwał głowę.

- Sarah? Widziałeś ją?

- Dziesięć dni temu. Jednak od czasu jej pierwszej wizyty tutaj, przed rokiem, wciąż jest w moich myślach, a czasem w koszmarach.

Duncan podszedł do misjonarza.

- Sarah była tutaj dziesięć dni temu?

- Tylko przez noc. Odjechała o świcie w kierunku Edentown, tam gdzie jest najniebezpieczniej. Widać strzegą jej potężni aniołowie.

- Widziała się z Alekssem?

Zettlemeier skinął głową.

- Jakby chciała się upewnić, że on jeszcze żyje.

Duncan odwrócił się i spojrzął na ciemne niebo. Z zamętem w myślach ruszył w kierunku pól. Niemiec mówił dalej:

- Moja żona twierdzi, że uratowałeś życie naszemu gościowi w chłodni.

- Duncan nie zatrzymał się. - Jeszcze słowo, McCallum.

Duncan nie zareagował.

- Sarah Ramsey rozmawiała nie tylko z Alekssem, McCallum. Mówiła ze mną o zmarłym Everingu.

Duncan przystanął i powoli się odwrócił. Stary Niemiec wskazał na oświetlone światłem księżycy pole na zboczu nad wioską i poszedł tam. Usiadł na pieńku tuż pod szczytem, a Duncan zaraz go dogonił. Gdy wielebny znów przemówił, w jego głosie nie było pewności siebie starego kaznodziei.

- Kazała mi chronić chłopca i trzymać go w bezpiecznym miejscu, z dala od gości. Jednak chłopak nie słucha. Kiedy odjechała, zabrałem go na noc do domu, a on uciekł przez okno.

- A co z Everingiem? - spytał Duncan.

- Powiedziała, że niejaki Evering miał ważną wiadomość od Adama Munroe, który wiedział, że umrze. Powiedziała, że Evering miał mnie ostrzec.

- Ostrzec przed czym?

- To było źródłem jej największej udręki. Adam Munroe zdecydował, że nie powinna tego wiedzieć i przekazanie ostrzeżenia to zadanie gubernera Ramseyów. Siedziała przy mnie i płakała, patrząc, jak Alex kładzie się w stajni. Zadawała mi dziwne pytania. Spytała, czy spotkałem kiedyś angielskiego króla. Gdyby nie jej poważna mina, wziąłbym to za żart. Pytała, czy po zeszłorocznej masakrze miewam złe sny. Dała mi coś w skórzanym woreczku, co mam przekazać jako wiadomość.

- Komu?

- Kazała mi obiecać, że tego nie wyjawię.

- Zatem co to za wiadomość?

- Nie wiem, co oznacza. To nie jest list. - Zettlemeier na moment schował twarz w dłoniach. - Skórzany woreczek. W środku niedźwiedzi pazur z przywiązanymi do niego czerwonymi piórami. Na dnie kilka purpurowych koralików. - Podniósł głowę, szukając odpowiedzi w twarzy Szkota. - Ty jesteś gubernierem Ramseyów. Wyjaśnij mi nadchodzące nieszczęście.

- Huroni. Lord Ramsey. Major Pike - powiedział Duncan. - Nie brak nieszczęść, które nam grożą. - Znów poczuł na sobie badawczy wzrok Morawianina. - Nie wiem. Evering został zamordowany, zanim zdążył ze mną porozmawiać.

Siedzieli i milczeli, spoglądając w gwiazdy.

- Mój syn wkrótce wyrusza, by sprowadzić nowych osadników - rzekł

wreszcie Zettlemeyer. - Przygotowuje piękną przemowę o szansach i ziemi na własność. Powiedziałem mu, że nie popłynę ze względu na stan zdrowia, lecz prawdę mówiąc, nie mogę, ponieważ nie wiem, co powiedzieć o tym miejscu, o tym, jak dobry chrześcijanin ma ujarzmić dzicz.

- Boisz się dziczy?

- Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy się nie bali. Niemal co noc któreś z dzieci budzi się z krzykiem z koszmarnego snu o atakujących Indianach. Jednak to nie wszystko. - Misjonarz znów zamilkł. - Myślisz, że jako osadnik przynosisz ze sobą swoją dawną tożsamość - zaczął po chwili. - Twoją kulturę, wartości, twoją wiedzę o tym, co to oznacza być człowiekiem. Kiedy jednak osiedlasz się na nowej ziemi, wkrótce przekonujesz się, że to wszystko znikło. Jesteś nagi. Nie możesz polegać na niczym, co znasz ze Starego Świata. Jest tylko to, co tutaj... - Zettlemeyer postukał się palcem w pierś - i co jest tam. - Wskazał na las. - Kiedy tu przybyłem, poznałem starego Indianina imieniem Conawago. Powiedziałem mu: „To raj”. A on odpowiedział: „Tak, tylko że to osiemnasty wiek”. - Niemiec znów zamilkł.

- To wielki eksperyment Boga na ziemi - dodał po chwili. - Tutaj sprowadza wszystkich do wspólnego mianownika, aby zobaczyć, jak sobie poradzą. W tym lesie są inni, którzy znacznie dłużej od nas wiodą uduchowiony żywot.

Zakończył nieoczekiwanym gestem, spiralnym ruchem unosząc dwa palce ku niebu. Duncan widział już ten gest.

- Czy ten znak, wielebny, ma coś wspólnego z niebem?

- Różnie go nazywają. Wielki Duch. Strażnik Lasu. Starsi ludzie poważnie zwą go Wielką Tajemnicą.

Spoglądali na gwiazdy, a Duncan zastanawiał się nad słowami Morawianina.

- Chcesz powiedzieć, wielebny, że straciłeś ochotę do nawracania Indian?

Zettlemeyer zdawał się z wysiłkiem szukać odpowiedzi.

- Ja tylko pytam. A jeśli nasze duchy są oślepięte tym, co przywieźliśmy zza oceanu?

Duncana przeszedł dreszcz.

- Dlaczego mówisz mi takie rzeczy?

Jakieś stworzonko w lesie zaczęło piszczeć z przerażenia, coraz ciszej, aż skonało.

- Ponieważ to ja zdradziłem zaklinaczy duchów - wypalił wyraźnie zdernerwowany Zettlemeyer. - A cena za to okazała się znacznie wyższa, niż się spodziewałem.

- Przecież zostali schwytani przez żołnierzy.

- Ci troje prosili mnie, żebym ich wypuścił. Odmówiłem dla dobra ich dusz. Zatrzymałem tu Sarah Ramsey zamkniętą w pokoju, dopóki nie zabrano jej do Nowego Jorku.

Duncan wyczuł, że kryło się w tym coś jeszcze. Misjonarz nie wyznał tego, co najbardziej ciążyło mu na sercu.

- W zeszłym tygodniu odwiedziłeś Edentown - powiedział Szkot.

Zettlemeyer ciężko westchnął.

- Nie mieliśmy nic, ledwie mogliśmy się wyżywić, nie mając nadziei na zakup czegoś tak kosztownego jak piec hutniczy.

Duncan wreszcie poskładał wszystkie kawałki układanki.

- Lord Ramsey wypłacił wam nagrodę - stwierdził.

Morawianin skinął głową.

- Wóz żywności na początku zimy. To było prawdziwe błogosławieństwo. Dziękowaliśmy Ramseyowi w naszych modlitwach. Jednak okazało się, że go nie rozumiałem.

- Taki człowiek jak on - podsunął Duncan - nie wypłaca nagród. On płaci swoim dzierżawcom.

- Skrzynie Biblii. Narzędzia do budowy pieca. Kolejne skrzynie z Bibliami, a nawet dziełami greckich filozofów.

- Pieniądze na przetransportowanie nowych osadników - rzekł Duncan.

- Teraz nawet nasz biskup modli się za Ramsey'a. A ja otrzymuję z Edentown listy z pytaniami o różne sprawy.

- Jakie sprawy?

- Ilu ochrzcziliśmy Indian. Ile indiańskich dzieci uczęszcza do naszej szkoły. Gdzie ostatnio widziano szamana Tashguę. Czy możemy przysłać mapę z lokalizacją wszystkich farm, o których wiemy. Wydaje się, że to niewiele, prawda? Ramsey przysłał mi cytat ze Starego Testamentu, mówiący o tym, że obrońcy prawdziwej wiary muszą zniszczyć świątynie bałwochwalców. Będąc tu dwa dni temu, wielbny Arnold oznajmił, że dłoń Boga wkrótce zaciśnie się w pięść.

Te słowa pozostawiły w powietrzu zapach podobny do tego, jaki wyczuwa się po uderzeniu pioruna.

- Co kilka dni na skraju pól przy północnym szlaku widuję niedźwiedzia - rzekł cichym i znużonym głosem Zettlemeier. - Czasem przynosi ze sobą jakąś zdobycz. Pożera ją, a potem siedzi i obserwuje nas. Nie byłem w stanie powiedzieć Sarah o moich snach, kiedy mnie zapytała. Często złany zimnym potem, z mocno bijącym sercem budzę się ze snu, w którym niedźwiedź siedzi w fotelu przy kominku, czytając naszą Biblię.

Duncan nic nie powiedział, obawiając się, że głos go zawiedzie. Stary Morawianin zaczął odmawiać modlitwę po niemiecku. Duncan spoglądał na tysiące gwiazd na niebie. Kiedy oderwał od nich wzrok, Zettlemeier już odszedł.

Duncan zabrał swój plecak leżący w cieniu obok pieca i poszedł do obo-ry, gdzie znalazł chłopca przytulonego do drzemiącego muła. Ułożył się obok Aleksa na ziemi pokrytej słomą, po czym nakrył nią siebie i jego. Przez długą chwilę słuchał dziwnie harmonijnych oddechów obu tych stworzeń.

- Alex - szepnął wreszcie. - Nie wiem, jak do ciebie dotrzeć na jawie. Jednak mój dziad nauczył mnie, że część nas słucha, nawet kiedy śpimy.

Muł zaczął oddychać głośniej, unosząc wielki włochaty bok.

- Nazywam się Duncan McCallum - zaczął Szkot. - I żyję między światami, tak jak ty.

Po tych pierwszych trudnych słowach następne popłynęły zaskakująco łatwo. Opowiedział, jak został aresztowany i przewieziony tutaj, jak poznał Adama Munroe i jak ten umarł. Potem Duncan mówił o wielebnym Arnoldzie, Ramseyu, Pike' u i Woolfordzie. Cicho opowiedział o porwaniu Sarah, o Conawago i zniszczonym indiańskim cmentarzu, na którym go zostawił.

- Martwi pozostawili pytania, Alex, na które nikt nie znajdzie odpowiedzi, jeśli my w tym nie pomożemy.

Gdy w końcu umilkł, muł obrócił ku niemu swój wielki łeb, jakby słuchał i wiedział, że Duncan coś przemilczał. Po chwili Szkot wyznał drżącym szeptem:

- Miałem tyle marzeń związanych z odnalezieniem brata, a on przez cały ten czas pragnął mej śmierci.

Kiedy znów wyciągnął się na słomie, zdał sobie sprawę, że zacisnął dłoń na kamiennym niedźwiedziu, głaszcząc posążek po łbie. W ciągu minionego

tygodnia zdarzało mu się to tak często, że robił to zupełnie odruchowo.

Wstał przed świtem, kiedy jeszcze mógł ustalić położenie Gwiazdy Polarnej. Po cichu wymknął się z obory, przykrywszy chłopca dodatkową porcją słomy i przystanąwszy, aby pogłaskać muła po łbie. Ponownie zniechęcony i uśmiechnął się z wdzięcznością, gdy znalazł paczkę z żywnością leżącą na swoim plecaku. Pięć minut później, dotarłszy na drugą stronę pól, znowu przystanął. Ktoś rozpałił małe ognisko u wylotu szlaku wiodącego na północ. Wypatrując Morawian, ostrożnie ruszył tam i dotarł do ogniska. Spojrzał na nie i zastygł. Na płonących węglach ktoś starannie ułożył kopczyk tytoniowych liści. Duncan podskoczył, gdy ktoś położył dłoń na jego ramieniu. Przybysz nie odezwał się słowem i już wtykał maczugę za pas, gdy Duncan odwrócił się do niego.

- Conawago! - wykrzyknął.

Stary Indianin powitał go skinieniem głowy, po czym z powagą wskazał szlak i truchcikiem ruszył na północ. Zanim poszedł w jego ślady, Duncan na moment przykucnął przy ognisku, łapiąc dłonią dym i - tak jak z pewnością robił to Conawago - kierując go ku swojej twarzy.

Podczas kilku krótkich odpoczynków stary Indianin się nie odzywał, ale Duncan nie spodziewał się niczego innego. Stary wciąż oplakiwał zmarłych, których ponownie zabili ludzie Ramsey'a. Jednak nie miał nowych nacięć na ciele i Duncan z ulgą zauważył, że stare dobrze się goiły, aczkolwiek Conawago wyglądał z nimi jak jakiś starożytny, straszliwy wojownik.

Gdy siedzieli na wysokim i kamienistym grzbiecie wzgórza, w milczeniu dzieląc się kawałkiem chleba z misji, Duncan dostrzegł zmęczenie w oczach Conawago. Kiedy parli na północ, z niepokojem patrzył, jak stary Indianin kilkakrotnie klęka, by obejrzeć ślady, a czasem przykładła ucho do ziemi. W pewnej chwili dał Duncanowi znak, każąc zejść z uczęszczanego szlaku, po czym poprowadził go równoległą zwierzęcą ścieżką na grzbiet wzgórza, gdzie przystanął pod wielkim dębem, oglądając się i ściskając w dłoni maczugę.

Wszystko wyjaśniło się pół godziny później, gdy mijali szereg sterczących skał. Musieli zwolnić. Duncan szedł pierwszy i właśnie minął stos głazów, gdy dostrzegł samotną postać podążającą rażnym krokiem po szlaku,



sto jardów przed nimi. Był to Indianin wyglądający podobnie do tych, których Duncan widział w głównej kwaterze, z muszkietem przytroczonym do pleców, lufą do ziemi. Gdy Duncan się odwrócił, żeby pokazać go Conawago, nigdzie nie dostrzegł swego przyjaciela.

- Tam jest... - zaczął, gdy nagle jakaś wyrosła jak spod ziemi postać rzuciła się na niego i obaliła na ziemię, zatykając mu dłonią usta. Duncan próbował się wyrwać, ale natychmiast się zorientował, że napastnik nie chce zrobić mu krzywdy, lecz wolną ręką usiłuje zakryć ich obu suchymi liśćmi. Duncan zobaczył twarz chłopca, który nie patrzył na niego, lecz na pobliski szlak. To był Alex.

Po chwili pojawiły się następne postacie. Alex spiął się, wstrzymując oddech. Duncan naliczył dwudziestu czterech wojowników, wyglądających podobnie jak pierwszy, z wyjątkiem dwóch w środku, którzy nosili białe bluzy z frędzlami, zielone wełniane czapki i spodnie. Wszyscy truchtali w miarowym rytmie, szybko i cicho jak jelenie.

Jeszcze pięć minut po tym, jak oddziałek wojowników przeszedł, Alex się nie ruszał, tylko wodził wokół oczami. Nadal zakrywał dłonią usta Duncana. Nie próbował odgarnąć liści, którymi ich obsypał.

W końcu usłyszeli cichy, melodyjny gwizd i chłopiec wstał, otrzepując sobie ubranie.

- Oni nie zrobią ci krzywdy, Alex - rzekł do chłopca Duncan. - Wiem, że muszą cię przerażać po tym wszystkim, co ci...

Chłopiec nie zwrócił na niego uwagi, tylko doskoczył do Conawago. Uścisnęli sobie ręce, zaciskając dłonie tuż przy łokciach w milczącym, radosnym powitaniu. Teraz chłopiec wyglądał inaczej niż przedtem w kruszalni i na terenie misji. Wypruł nitki i oderwał rękawy koszuli, odsłaniając ręce. W pasie był przewiązany sznurem, z którego zwisał skórzany woreczek. Na szyi nosił naszyjnik spleciony ze znajomo wyglądającego, jasnobrązowego włosia. Splótł go z włosów swojego muła.

- Sądziłem, że zaczęłaś bardziej troszczyć się o swój skalp - skarcił Duncana Conawago.

- Przecież oni wyglądali tak samo jak...

Nagle Duncanowi zrobiło się słabo. Usiadł na kamieniu. Chociaż tak wyglądali, ci Indianie najwyraźniej nie byli tacy jak Conawago czy wojskowi zwiadowcy.

- Huroni. I kilku Abenaki, o ile się nie mylę. Dwaj francuscy żołnierze, przynajmniej jeden z nich to oficer. Gdyby nas zauważyli, nie pożylibyśmy

długo. Tutaj, na terytorium wroga, nie okazują litości i nie biorą jeńców.

Duncana przeszedł dreszcz.

- Francuscy Indianie? Dlaczego tutaj? Przecież farmy są nad rzeką.

- Napadów na farmy zazwyczaj dokonuje garstka Huronów - odparł Conawago. - Co oznacza, że należałoby zapytać, dlaczego tak duży oddział w ogóle się tu znalazł. Tak liczny oddział zwykle pełni rolę grupy wypadowej działającej na ziemi niczyjej. Jednak obie armie są daleko na północ stąd, tam gdzie generał Wolfe ruszył na Quebec. Nie powinno ich tu być.

Nie powinno ich tu być, powtórzył w myślach Duncan. I nie powinni wiedzieć, kim on jest. A jednak byli tutaj i Francuzi opłacili Huronów, żeby go zabili.

Pięć godzin później Duncan padał ze zmęczenia, gdy Conawago nagle przerwał szybki marsz, przyklękając przy przewróconym drzewie. Duncan wiedział, że Indianin znów dostrzegł lub wyczuł coś, czego on nie zauważył. Zapadał zmrok. Wspięli się na szereg skalnych półek wznoszących się niczym schody po stromym zboczu, posilając się w marszu suszonym mięsem. W wieczornej ciszy usłyszeli nawoływanie jakiegoś ptaka - cichy, dwutonowy świst, na dźwięk którego Alex z szerokim uśmiechem podniósł głowę. Conawago odpowiedział takim samym gwizdem i zza skał sto stóp przed nimi wyłoniła się jakaś postać w zielonym odzieniu.

Kapitan Woolford wyglądał na zmęczonego. Na lewym policzku miał wielki siniak i jedną dłoń owiniętą zakrwawioną szmatą. Ze znużeniem skinął im głową, po czym zaprowadził do swego obozu między skałami, nad rwącym strumieniem. Duncan uświadomił sobie, że była to swego rodzaju baza wypadowa, gdyż w cieniu skalnej półki zauważył kilka skórzanych sakw, dzbanek i pół tuzina zrolowanych koców.

Powitawszy chłopca bez słów, długim uściskiem, i zamieniwszy przyciszonym głosem kilka słów z Conawago, zwiadowca zwrócił się do Duncana:

- Masz pojęcie, co z tobą zrobi Ramsey, kiedy cię złapie? - warknął. - Pożałujesz, że nie zostałeś na statku płynącym na Jamajkę. A przy wyznaczonej za twoją głowę nagrodzie pięćdziesięciu funtów będzie dobrze, jeśli to Ramsey cię schwyta. Wprawdzie płaci za dostarczenie cię żywcem, ale wystarczysz mu półżywy.

- Muszę zacząć podróżować z sekretarzem - odparł ospałym ze znużenia głosem Duncan - żeby zapisywał tych wszystkich, którzy źle mi życzą.  
- Postanowił powiedzieć zwiadowcy o nagrodzie, jaką wyznaczili za niego Francuzi, co niezmiernie zdumiało oficera. - A teraz pokaż mi tę rękę - zakończył Duncan.

Zwiadowca nie opierał się, gdy Duncan odwijął prowizoryczny opatrunek. Ciężka rana na grzbiecie dłoni wyglądała paskudnie, ale dobrze się goiła. Duncan szybko policzył w myślach.

- Zadano ją niedługo po tym, jak opuściłeś Edentown.

Woolford wskazał na ranę na lewej skroni Duncana.

- Być może zadano ją tym samym nożem. Zaatakowali mnie nad strumieniem. Oni mieli więcej noży, a ja sił w nogach. I nie umieli ładować w biegu. - Dostrzegł pytające spojrzenie Duncana. - Zwiadowcy są szkoleni, jak ładować w biegu, tak by oddawać przynajmniej jeden strzał na minutę, włączając w to czas na celowanie. - Popatrzył na Aleksa, który pomagał Conawago rozpalic ognisko. - Co z nim?

- Dziś rano zostawiłem go w misji, sądząc, że jest stracony dla świata. Trzy godziny później pojawił się jak spod ziemi. Uratował mi życie. A dokładniej mówiąc, nie pozwolił, by moja głupota zabiła nas wszystkich.

- Huronów nie powinno tu być. Moja kwatera główna twierdzi, że wszyscy francuscy Indianie zostali odwołani na północ, by nękać armię Wolfe'a maszerującą na Quebec. Kiedy przesłałem im raport, że się mylą i wszystkie farmy tutaj od Edentown po Niemiecką Równinę zostały splądrowane, w odpowiedzi otrzymałem tylko rozkaz, żebym i ja podążył na północ. - Woolford wyjaśnił, że już wysłał na północ większość swoich ludzi, po czym zatroskanym spojrzeniem obrzucił las. - Jeden z moich ludzi śledził ten oddział. Kierowali się na północ, ale trzy dni temu zawrócili i przyszli tutaj.

- Dlaczego?

Woolford bezradnie pokręcił głową.

- To jak wojna w wojnie.

- Chyba jesteśmy blisko Kamienistego Szlaku - zauważył Duncan.

- Nie dalej jak dziesięć mil.

Przez chwilę obaj milczeli.

- Gdyby żył, Adam znalazłby jakiś sposób, żeby tam teraz być, z powodu swojej żony - rzekł pytająco Duncan.

- Z powodu swojej żony - potwierdził Woolford. - Gdyby sprawy miały się inaczej.

Była to jedna z wielu tajemnic otaczających Adama Munroe. Duncan w końcu pojął, że Adam musiał zachować w sekrecie istnienie swojej żony, gdyż była ona częścią zagadki jego pobytu w indiańskiej niewoli, w której ją poślubił.

- Czy ona tam będzie? - zapytał Duncan.

Z ust Conawago wyrwało się ciche westchnienie.

- Motyle - powiedział cichy i niepewny głos. - Jest tam dolina pełna motyli, w której ona teraz mieszka. - Alex odzyskał mowę. - Często ją odwiedzała i opowiadała mi o niej. - Chłopiec mówił bardzo wolno, z trudem znajdując słowa. - Przygotowuje posiłki w magicznym móździerzu, do którego nigdy nie musi dodawać kukurydzy. I są tam...

Bezradnie wykrzywił usta, po czym pokazał rękami coś dużego i okrągłego, odwrócił się i przemówił po indiańsku do Conawago.

- Dynie - przetłumaczył Indianin. - Pole pełne dyń.

- Dynie - potwierdził Alex. - Ona lubi dynie.

Duncan nie odezwał się, żeby nie przestraszyć chłopca. W zapadającym mroku widać było tylko jego wymizerowaną twarz, oświetloną żarem ogniska.

- Kiedy zaprowadzili nas do niemieckiej misji, Adam powiedział, że nie byliśmy jeńcami - ciągnął Alex - ale oni traktowali nas tak, jakbyśmy byli.

- Gdy przyszła go odwiedzić, odprawił ją - dodał Woolford cichym i zdławionym głosem.

Obrócił się do nich bokiem, tak by nadal obserwować las.

- Nie od razu - wyjaśnił Alex. - Najpierw rozmawiali, Adam, Sarah i ona. Nie wiedzieli, że ja patrzę. Adam dał jej coś i powiedział, że powinna uciec jak najdalej stąd. Nie sądzę, żeby mnie widzieli, kiedy poszedłem za nią, uciekwszy przez okno z chaty wielebnego. Myślałem, że nikt mnie nie widział. Dogoniłem ją przy piecu hutniczym. Razem weszliśmy w las za szopą z węglem i pobiegliśmy. Jednak jeden z Niemców znał leśne ścieżki i poprowadził żołnierzy na grzbiet wzgórza, zanim zdążyliśmy tam dotrzeć - ja ze skrzywą nogą, a ona brzemienna, w czwartym lub piątym miesiącu. Nagle opadli nas, z krzykiem zbiegając ze wzgórza. Ona była przerażona i poganiała mnie, w obu rękach trzymając świętą rzecz, tę, którą Adam uratował dla starego wodza z masakry, a potem uciekł, skacząc z nią do

wodospadu, i oddał żonie na przechowanie. Nie rozumiałem tych ludzi w czerwieni. Szedłem przed nią, gdy osunęła się na kolana, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem to, co wyrosło z jej piersi. Patrzyła na to, dotykając tego jedną ręką, nie rozumiejąc. Próbowwała wstać, ale metal pozbawił ją sił. Nie ma nocy, żebym nie widział jej, jak ściska jedną ręką ten metal wyrastający z jej ciała, zboczony krwią. Byłem równie zaskoczony jak ona, bo nigdy przedtem nie widziałem jednej z tych rzeczy.

- Jakich rzeczy? - spytał ze ściśniętym gardłem Duncan.

- Muszkietowej szabli.

Woolford znów się wtrącił, przygnębnym szeptem:

- Bagnet. Pchnięto ją bagnetem w plecy.

Ta opowieść otworzyła lodowatą komnatę pamięci Duncana. Znów był we Flandrii i dowiedział się, co angielscy żołnierze zrobili z jego rodziną.

- Czasem znajduję w lesie węza i proszę o odwiedziny u niej - rzekł Alex. - Mieszkają w dolinie motyli, tak jak obiecał jej Adam. Nad rzeką, ze względu na Adama.

- Oni? - zapytał Duncan. - Kto jeszcze tam z nią jest?

- Adam. Przybył parę tygodni temu.

I znów zimny dreszcz przeszedł Duncanowi po krzyżu, gdy Szkot wymienił niespokojne spojrzenia z Woolfordem.

- Dlaczego są nad rzeką ze względu na Adama?

Alex spojrział na niego niepewnie, a potem zapatrzył się w ogień.

- Duch totemu jest tajemnicą, nie ludziom o nim mówić.

Jednak Duncanowi nie trzeba już było wyjaśniać. Bóbr. Świętym znakiem Adama był bóbr, taki, jakiego wrył na maszcie, zanim umarł. Bóbr nurkujący głęboko.

- Ona nie chciała wtedy zostawiać go w misji. Adam rzekł, że ona musi uratować tę starożytną rzecz, inaczej żołnierze znajdą sposób, żeby wykorzystać ją przeciwko jej ludowi. Obiecał jej, że będzie bezpieczna, że nie ma się czym niepokoić. Mówił, że wie, że ona nigdy nie pozwoli, by to wpadło w ręce wroga, że to ją obroni i gdyby coś się jej stało, on będzie wiedział. Przysiągł na duszę ich dziecka, że gdyby odeszła do świętej krainy przed nim, on się o tym dowie i dołączy do niej. - Alex przegarnął kijem węgle. - Czasem kiedy ich widzę, w cieniu za nimi jest jakaś mała postać. Myślę, że to on. Ich syn.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, tylko w oddali słychać było nawaływanie samotnej sowy.

- Zabiłem ich - powiedział Alex cichym i pełnym bólu głosem.
- Skądże - zaprzeczył Duncan.

- Zrozumiałem to dopiero później, kiedy usłyszałem narzekania żołnierzy. Powiedziano im, że otrzymają dużą nagrodę za Sarah. Myśleli, że ja też mam rodzinę, która zapłaci. Dlatego nas ścigali, z mojego powodu. To, co przy niej znaleźli, wystarczyło zaledwie na kilka kubków rumu.

Gdy Duncan w końcu się poruszył, Alex już spał z głową opartą na nodze Conawago. Szkot wstał i przeszedł na drugą stronę ogniska.

- Wiedziałeś o tym, co ona próbowała uchronić, o tym starożytnym przedmiocie - rzekł do odwróconego plecami Woolforda. - Odzyskałeś go.

- Tak jak powiedział chłopiec, zrozumiałem dopiero po pewnym czasie. A wtedy zabrałem go tym, którzy go ukradli. Jednak tej samej nocy Adam postanowił uciec jak najdalej się da.

- Dlaczego nie uciekł do puszczy? - zapytał Duncan.

- Ponieważ wiedział, że są ludzie, którzy wykorzystaliby go przeciwko Indianom. Ponieważ wiedział, że nazajutrz przyjedzie major Pike, żeby go przesłuchać, i gdyby Adam szukał schronienia u Irokezów, Pike wymyśliłby sposób, żeby go znaleźć.

- Odzyskałeś ten przedmiot, a potem skradziono ci go na statku.

Teraz Duncan wiedział, że niedźwiedź był w zbroczonym krwią worczku z jeleniej skóry, który znalazł się w więziennej ładowni. Zerknął na swój plecak, w którym niedźwiedź drzemał obok ją kobzy.

- Próbowałem go chronić. Nie spodziewałem się, że Adam zabierze go ze sobą. Widocznie uznał, że to jedyny sposób, by nie użyto tego przeciwko ludowi jego żony.

- A może nie mógł znieść tego, że ten przedmiot znajdował się w twoim posiadaniu. Byłeś żołnierzem takim jak ci, którzy ją zabili.

Duncan natychmiast pożałował tych słów. Przez moment twardy zwiadowca wydawał się bliski łez.

- To była pomyłka, McCallum. Ci żołnierze nic nie rozumieli. Niektórzy może chcieli dostać nagrodę. Jednak wszyscy sądzili, że ona prowadzi Aleksa z powrotem w niewolę.

Duncan usiadł przy ognisku. Minęła długa chwila, zanim zasnął. Kiedy zbudził się dwie godziny przed świtem, zobaczył, że Conawago zastąpił

Woolforda na warcie. Wstał i dał znak staremu Indianinowi, żeby położył się przy ognisku, po czym przejął wartę.

Nad strumieniem grały świerszcze. W oddali pohukiwała sowa. Duncan wyciągnął się na głazie i patrzył w gwiazdy.

Nie zbudziły go promienie słońca ani poranny śpiew ptaków, lecz zimna stal wojskowej szabli przyłożonej do szyi.

- Drgnij, a będziesz trupem, McCallum.

Duncan wahał się tylko przez moment. Gdy obrócił głowę, poczuł ból i ciepłą strużkę spływającą po karku. Zamarł i spojrział w zimne szare oczy, które po raz pierwszy widział w głównej kwaterze wojska w Nowym Jorku. Major Pike nie miał peruki, ale miał za pasem pistolet i sztylet ze srebrną rękojeścią.

- To nierozważnie z twojej strony oddalać się tak bez opieki – syknął oficer. - Nie ma tu żadnego królewskiego kuzyna. Ani generała o miękkim sercu.

Kątem oka Duncan zobaczył, że ktoś postawił na ziemi plecak i coś z niego wyjął. Usłyszał metaliczny brzęk. Za plecami Pike'a pojawił się żołnierz w czerwonej kurtce, trzymający kajdany. Gdy Pike się obejrzał, Duncan przekręcił się, usiłując zobaczyć resztę obozu. Ten był pusty. Co Pike zrobił z jego towarzyszami? Duncan ich zawiódł, zasnął na warcie. Sięgnął za pas. Jego tomahawk i nóż zniknęły.

- Gdzie on jest? - zapytał Pike.

Oparł nogę o brzuch Duncana i przycisnął szablę do jego piersi. Jak myśliwy zamierzający dobić ranioną zwierzynę. Żołnierz, krzepki mężczyzna o kamiennej twarzy, pochylił się nad Duncanem i skuł mu nogi w kostkach.

- Lord Ramsey? - rzekł Duncan, starając się nie okazywać wzburzenia. - Znacznie bliżej niż myślisz.

W oczach Pike'a pojawiła się zimna satysfakcja.

- Moi żołnierze meldują mi, że Indianie mają pewien czarujący zwyczaj - oznajmił oficer. - Robią sobie naszyjniki z części ciała swych ofiar. - Wyjął zza pasa sztylet i podał go żołnierzowi od kajdan. - Człowiek z medycznym wykształceniem może żałować utraty kilku palców. Sierzancie, najpierw prawa ręka.

Sierzant z zimnym uśmiechem ponownie pochylił się nad Duncanem, tak nisko, że ten poczuł kwaśny odór nikotyny w jego oddechu, tak nisko,

że młodzieniec zobaczył dzioby po ospie na jego twarzy, w dziwny sposób rozmieszczone dwoma parami oddalonymi od siebie o cztery cale.

- Okaleczenie jednego ze zwiadowców jego królewskiej mości - wtrącił chłodny głos - może wywołać godne pożałowania reperkusje, kiedy usłyszysz o tym generał Calder.

Szabla Pike'a przestała naciskać pierś Duncana, który okręcił się i zobaczył siedzącego przy ognisku Woolforda, spokojnie dorzucającego dREW do ognia.

- To nie twoja sprawa, kapitanie - warknął Pike. - Nie waz się mieszać w to, co leży w mojej kompetencji.

- Ależ to jest moja sprawa. On jest jednym z moich ludzi.

- To śmieszne.

- W lewej kieszeni jego kurtki.

Pike gniewnie skinął na sierżanta, który wepchnął rękę do lewej kieszeni Duncana, zaklął pod nosem i wyjął duży okrągły medalion - identyfikator zwiadowcy. Duncan był pewien, że jeszcze wieczorem go nie miał.

Woolford wyjął z kieszeni sfatygowaną, oprawioną w skórę książeczkę i pomachał nią Pike'owi.

- Duncan McCallum został wczoraj wciągnięty na moją listę.

Pike poczerwieniał jak burak.

- Nie masz prawa...

- Oficer dowodzący w strefie działań wojennych ma wszelkie prawa - odparował obojętnie Woolford, po czym wzruszył ramionami. - Możesz podważać moją decyzję, majorze. Jednak będziesz musiał to zrobić w Albany albo w Nowym Jorku.

- Śmiałe słowa jak na samotnego oficera w głuszy.

Woolford mierzył Pike'a nieruchomym spojrzeniem.

- Wielu popełniło błąd, nie doceniając możliwości zwiadowcy.

- I wielu popełniło błąd, myśląc, że można ze mnie drwić - warknął Pike.

Woolford wstał, nagle poważniejąc.

- Jeśli szukasz satysfakcji, Pike, jestem do twojej dyspozycji.

- Łatwo ci mówić, wiedząc, że królewskim oficerom nie wolno się pojedynkować. - Twarz Pike'a powoli przybierała nowy wyraz. - Zwiadowcom kazano ruszyć do Kanady, kapitanie. Nie wykonales rozkazu.



- Mamy tu silny oddział Huronów, majorze. Moi ludzie starli się z nimi kilkakrotnie. Tak liczny oddział może stanowić zagrożenie dla dostaw za linią frontu. Generał poprze moją decyzję pozostawienia tu kilku ludzi do czasu, aż poznamy zamiary Indian.

- Mylisz się, kapitanie. Opuść ten las. Twoja nieobecność na zachodzie to niedopełnienie obowiązków. Generał oczekuje mojej oceny sytuacji tutaj. Zamelduję, że nie wykonuję rozkazów, niweczysz nasze wysiłki.

- Raport jest tak dobry jak oficer, który go sporządza.

Oczy Pike'a znów rozbłysły gniewem. Ścisnąc w dłoni szablę, zrobił krok w kierunku zwiadowcy. To dziwne, ale nie patrzył na Woolforda, lecz na swoich żołnierzy, jakby sprawdzając ich reakcję. Duncan powoli usiadł i oparł się o skałę. Krępy sierżant postawił stopę na jego nodze.

Głos drozda był tak melodyjny i czysty, że dopiero kiedy zabrzmiał ponownie, Duncan uświadomił sobie, że ten dźwięk wydobył się z ust Woolforda. W następnej chwili odpowiedział mu taki sam świst spomiędzy skał. Ludzie Pike'a natychmiast chwycili za broń, a niektórzy poszukali osłony za głazami. Woolford zagwizdał ponownie i szybko otrzymał odpowiedź, tym razem z miejsca odległego o około pięćdziesięciu stóp od źródła pierwszego dźwięku, a potem jeszcze jedną, ze skał nad obozem.

Szyderczy uśmiech Pike'a znikł.

Duncan wyjął nogę spod stopy sierżanta, który z lękiem spoglądał na las. Szkot wstał i pospiesznie przeszedł na drugą stronę ogniska, szukając jakiegos kamienia lub kija, żeby się bronić. Znów zaśpiewał drozd, gdzieś za ich plecami. Duncan zobaczył swój tomahawk i nóż leżące pod nogami sierżanta. Zastanawiał się, czy zdąży je chwycić, zanim żołnierz otrząśnie się z zaskoczenia.

- Wszyscy jesteśmy dobrymi żołnierzami króla - rzekł Pike. - Zawołaj ich. Zjemy śniadanie.

- Nie. Zwiadowcy jedzą zimne śniadanie o świcie albo wcale. A wy strasznie śmierdzicie. Wodą toaletową, mydłem, brandy, talkiem, pastą do butów. Moi ludzie tygodniami starają się przybrać zapach lasu. Wasz odór może zagrozić ich życiu.

- Mówisz do oficera starszego rangą, Woolford. - W głosie Pike'a znów słychać było zimną wściekłość.

- Pański smród jest nie do zniesienia, majorze.

Przez moment wydawało się, że Pike eksploduje. Potem z niepokojem popatrzył na las i rzucił rozkazy swoim ludziom. W niecałą minutę zarzucili plecaki na ramiona i odeszli.

Duncan spoglądał ze zdumieniem, jak Woolford kuca przy ognisku, przegarnia węgle, a potem wstaje, by spakować swój ekwipunek. Pięć minut później zza pobliskich skał wyłonili się Conawago i Alex. Widząc, że Woolford czujnie spogląda w ślad za czerwonymi kurtkami, stary Indianin pokazał mu, że tamci odeszli na północny zachód.

Gdy Woolford nakazał Duncanowi, żeby spakował swój worek, Szkot dopiero wtedy zrozumiał, co się stało.

- Tam nie było nikogo innego - rzekł.

Przypomniał sobie, skąd dochodziły ptasie głosy. Zapewne Indianin i chłopiec szybko i cicho zmieniali pozycje, chociaż nigdy nie spodziewałby się tego po kimś w wieku Conawago. Wskazał na wysoką skałę naprzeciwko, skąd dobiegł ostatni gwizd.

- Przecież nie mogliście wspiąć się tam - rzekł do starego Indianina.

- Leśne stworzenia też opowiedziały się po naszej stronie - wyjaśnił Conawago.

Na wargach Duncana pojawił się uśmiech, a Conawago odpowiedział mu takim samym uśmiechem. To prawdziwy drozd przyłączył się do zabawy. Woolford parsknął śmiechem, przerywając ciszę. Po raz pierwszy, od kiedy Duncan go poznał, Conawago też się roześmiał.

Beztroski nastrój szybko ich opuścił, gdy ruszyli na północny zachód. Woolford uparł się iść na przedzie, wybiegając przed nich i co kwadrans czekając, aż do niego dojdą, i raz po raz naradzając się z Conawago. Był późny ranek, gdy nagle zmienili kierunek marszu.

Duncan już miał poprosić o wyjaśnienie, gdy wyczuł zapach płonącego zboża.

Pół godziny później dotarli do jego źródła i przystanęli na skraju rozległej polany nad rzeką. Pole dojrzałego zboża czekającego na zżęcie, ogródek z pogryzionymi przez szkodniki warzywami, niedopalone pnie wykarczowanych drzew i chuda krowa świadczyły o tym, że mała farma nad rzeką miała kłopoty. Teraz jednak wszystkie się skończyły. Z chaty zostały zgliszczka. Pszenica płonęła. Krowa leżała martwa. Woolford zrobił krok naprzód i zastygł. Zza pobliskiego drzewa wystawała stopa w mokasynie. Zwiadowca

pochylił się i wycelował strzelbę, lecz zaraz się rozluźnił i poszedł dalej.

Pod drzewem leżał odziany w strój z kozłej skóry mężczyzna z długimi, zmierzwionymi włosami, pustymi oczami spoglądając na farmę. Już jej nie widział. Strzała przebiła mu pierś, pozostawiając szeroką krwawą smugę na skórzanej tunice. Obok leżał pusty skórzany bukłak. Ten człowiek nie umarł od razu.

Woolford dał znak Conawago i rozdzielili się, obchodząc spaloną chatę. Duncan zauważył minę, z jaką Alex spoglądał na zabitego, i odciągnął chłopca.

Znaleźli Conawago pochylonego nad umazaną sadzą kobietą, która siedziała na ziemi, trzymając na podolku głowę zabitego mężczyzny i gładząc jego twarz. Łzy płynęły jej po policzkach. Jej perkalowa suknia była podarta i poplamiona, a dłonie zakrwawione.

Duncan rzucił worek i pospiesznie pochylił się nad mężczyzną, szukając obrażeń. Zamarł i cofnął się. Temu człowiekowi już nie mógł pomóc. Krew zakrzepła w kilku ranach na brzuchu i piersi. Ktoś zdarł mu czterocalowy pas skóry z czubka głowy.

Podszedł Alex, niosąc wodę w zwęglonym drewnianym wiadrze owiniętym szmatą. Conawago uklękła i zamknęła niewidzące oczy mężczyzny, mrużąc coś do kobiety, która nadal nie reagowała.

Obraz Ramseya. Malowidło stało Duncanowi przed oczami tak żywo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył je w sypialni lorda. Kobieta przy chacie na skraju lasu, trzymająca na kolanach głowę mężczyzny. Tylko że ta kobieta i ten mężczyzna byli Indianami.

- Morawianie - wyjaśnił Woolford, kiedy Duncan podszedł do niego. - Parafianie wielebnego Zettlemeyera.

- A ta chata? Pole? Krowa...

- Idź do jakiegokolwiek większego obozu Irokezów, a zobaczysz pola kukurydzy i dyń. Oni uprawiają ziemię. Tak jest w każdym spokojnym kraju, mówią im Morawianie. Ci dwoje często wyprawiali się w sobotę do misji, żeby wziąć udział w niedzielnej mszy.

Woolford zaczął sprawdzać teren, pochylając się nad śladami butów, przyglądając się otoczeniu, jakby chciał odtworzyć atak. Duncan również patrzył na pole, strumień i odległe wzgórza. Marzył, żeby w takim miejscu zbudować farmę dla swojego klanu. Jednak w świecie, w którym żył, każdy

taki sen kończył się pożogą i rozlewem krwi. Niepewnie obejrzał się na las, gdzie umarł mężczyzna odziany w kozle skóry.

- To była szybka, pospieszna robota - rzekł Woolford, jakby w odpowiedzi na pytające spojrzenie Duncana. - Nie zostali tu długo, nawet nie dokończyli tego, co zaczęli. Jakby się gdzieś spieszyli.

Przykłęknął, oglądając czarną, wilgotną ziemię, a potem wstał i obszedł dom, badając ślady stóp i połamane przez napastników łodygi. W końcu skinął na Duncana i razem podnieśli niedopaloną krokiew, która spadła do zrujnowanej izby. Zdjął nadpalony koc z resztek łóżka i wrócił do kobiety, która nie chciała odejść od martwego męża. Conawago łagodnie nakłonił ją, by wstała, a potem poprowadził do stojącej z boku domu ławki, której nie strawił pożar. Gdy kobieta szła, Duncan zauważył lekkie zaokrąglenie brzucha świadczące o tym, że jest brzemienna.

Woolford rozłożył koc obok zabitego i skinął na Duncana. W milczeniu położyli zwłoki na kocu i zanieśli do strumienia. Gdy skończyli obmywać ciało, Duncan wyjął z kieszeni odznakę zwiadowcy i podał Woolfordowi.

- Zapewne uratowałeś mi dziś życie.

- Są rachunki do wyrównania. Zwiadowca nie wziął od niego odznaki.

- Rachunki?

- Pochowałeś Fitcha.

- Zrobiłby to każdy dobry chrześcijanin. - Duncan spojrzał na spochmurniałego nagle Woolforda. - Powiedz to, co chcesz powiedzieć, kapitanie. Myślisz o Adamie i jego żonie.

Woolford odwrócił głowę.

- Znałem ją. Bardzo podobna do Sarah, tylko szczęśliwa. Zawsze miała roześmiane oczy i była taka mądra. Widziałem, jak tamtego dnia wymknęła się z Aleksem z misji, ale popełniłem błąd i poszedłem za nimi. Żołnierze przeszli przez wzgórze i wyprzedzili mnie. Przybyłem minutę za późno. Już ją... Stałem nad jej ciałem i rozkazałem im odejść.

Woolford po raz trzeci obmył rękę zabitego.

- Już co?

- Jak powiedział Alex. Zrobili swoje.

Duncan w końcu zrozumiał i na chwilę zamknął oczy.

- Oskalpowali ją - szepnął po chwili. - Przecież żołnierzom nie wolno tego robić.

- Byliśmy daleko od głównej kwatery. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zapłaci za skalpy. Traperzy krążą między Nowym Jorkiem a Kanadą. W zeszłym roku złapałem jednego, który miał dwadzieścia pięć skalpów ukrytych między bobrowymi futrami. Teraz zdarza się to częściej niż przedtem. Fitch i ja przysięgliśmy, że jeśli kiedyś dowiemy się, kto za to płaci, wepchniemy mu pieniądze do gardła, aż się nimi udusi. Właśnie tym zajmował się Fitch, kiedy byłem w Europie - próbował wytropić tych, którzy płacą za skalpy i ich wywóz do Kanady. - Woolford spojrzął na dłoń Duncana, wciąż ściskającą odznakę. - Zatrzymaj ją.

- Nie będę służył królowi - upierał się Duncan.

- Ocean jest wielki, a król daleko.

- Król jest tak blisko jak lord Ramsey.

Woolford skrzywił się i spojrzął na twarz zabitego, jakby się z nim naradzał. Zerknął na chatę, sięgnął za pas i wyjął nóż, po czym podał go Duncanowi.

- Jak już mówiłeś, jesteś wspaniałym lekarzem umarłych - rzekł zwiadowca, unosząc skraj koca i zasłaniając zabitego przed wzrokiem Conawago i kobiety.

- Nie rozumiem.

- Rany. Chcę wiedzieć, czym zostały zadane. Zrób to - nalegał, widząc wahanie Duncana. - Potem zawiniemy go w koc i wykopimy dół. Chciałby mieć chrześcijański pochówek. Będziemy musieli zrobić krzyż.

Duncan powoli zacisnął palce na rękojeści noża, po czym uklękł nad strumieniem i ochlapał sobie twarz zimną wodą, zanim zabrał się do roboty. W ciągu dziesięciu minut wyjął dwie okrągłe muszkietowe kule. Inne rany zostały zadane jakimś krótkim ostrzem. Duncan oplukał kule i wręczył Woolfordowi, który obejrzał je pośpiesznie i schował do kieszeni.

Pochowali zabitego w dolince pod wysoką sykomorą. Duncan zaczęła kopać drugi grób, gdy Woolford powstrzymał go, kładąc dłoń na jego ramieniu i pokazując drzewo, pod którym umarł mężczyzna trafiony strzałą. Ciało zniknęło.

Zaalarmowany Duncan podbiegł tam. Siady na ziemi wyraźnie wskazywały na to, że mężczyznę zawłókł do rzeki ktoś w mokasynach, kto nadszedł

od strony chaty. Conawago. To on wrzucił ciało do rzeki, kiedy Duncan i Woolford kopali dół.

O nic nie pytał, kiedy zebrali się nad grobem. Gdy nikt się nie odzywał, przemówił Conawago, najpierw w jakimś miejscowym języku, którego najwyraźniej nawet Woolford nie rozumiał, a potem przeszedł na angielski i poważnie odmówił modlitwę za zmarłych. Duncan spojrział na niego ze zdziwieniem, ale zaraz przypomniał sobie, że dawno temu starego uczyli jezuici. Alex stał obok pogrążonej w żalu kobiety, trzymając ją za rękę i nie okazując żadnych uczuć, gdy Duncan i Woolford zaczęli zasypywać dół. Stał z Indianką, dopóki nie skończyli. Kiedy w końcu odeszła od grobu, powoli ruszyła w kierunku zrujnowanej chaty. Udali się za nią i pomogli jej zerwać kawałek zwęglonej podłogi, spod której wyjęła jakiś długi przedmiot owinięty w skóry. Rozwinęła pakunek i zobaczyli wysłużoną strzelbę myśliwską oraz róg z prochem, ozdobiony wyrzeźbionym jeleniem. Powiedziała coś do Conawago, który pokręcił głową, ale nalegała - sądząc po tonie głosu, choć Duncan nie znał języka, w którym mówiła.

Gdy Conawago w końcu wziął od niej strzelbę, Woolford zwrócił się do Duncana:

- Ona mówi, że świat stanął na głowie. Powiedziała, że nie zniosłaby, gdyby i Conawago został niebawem pochowany.

Alex pomógł kobiecie zapakować jej skromny ocalały dobytek w koc, który zawiesiła na ramieniu, i oboje poszli przez pole. Gdy Duncan chwycił swój worek, Conawago powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Oni podążą inną ścieżką - powiedział.

Stropiony Duncan wodził wzrokiem od starego Indianina do chłopca.

- Przecież Alex... tyle lat był więźniem. Nie możemy pozwolić, żeby myślał, że znów jest w niewoli. Musimy...

- Rany boskie! - warknął Woolford. - Po tym wszystkim nadal nic nie rozumiesz? Jego koszmarów nie wywołały te wszystkie lata spędzone u Indian. On uważa, że został więźniem dopiero wtedy, kiedy schwytali go Europejczycy.

Duncan spoglądał to na zwiadowcę, to na Conawago, którzy patrzyli na niego wzburzeni, a potem, dziwnie zawstydzony, wbił wzrok w ziemię. Był głupcem, sądząc, że zbliża się do prawdy. Jedyne, co znajdował, to kolejne niespodzianki.

- Nie uważasz, że on ma powód, aby przeżywać to bardziej niż my? - spytał nieco życzliwiej Woolford.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
  - Ten czas, jaki spędził w misji z Arnoldem i Ramseyem. Pytałeś mnie, kiedy powstała Kompania. Właśnie wtedy.
  - W misji? Przecież tam Alex opowiedział im wszystko o Irokezach, o ich szlakach handlowych, ich religii, o tym, że szamani są oparciem swego ludu i...
  - Właśnie - przerwał mu Woolford, jakby Duncan nie musiał mówić nic więcej.
- Zwiadowca odwrócił się, wziął swój worek i strzelbę, po czym ruszył ścieżką.

Podążali w milczeniu. Towarzysze Duncana byli teraz tak czujni, że po chwili on sam podniósł z ziemi gruby kij, żeby móc się bronić. Kiedy wspięli się na ostatnie wzgórze przed miejscem, do którego zdążali, Conawago i Woolford zwolnili tempo marszu. Teraz zachowywali się tak, jakby podchodzili zwierzynę, skradając się w idealnej ciszy, na zamianę prowadząc Duncana. Raz usłyszeli jakiś trzask w oddali. Mógł to być odgłos padającego drzewa. Albo strzał ze strzelby.

Woolford dał im znak, by się zatrzymali, i usiadł pod choiną, jakby na coś czekał. Conawago, który chyba też coś wyczuł, przyczał się za głazem dwadzieścia stóp dalej. Po kilku minutach mężczyzna w obszytej frędzlami myśliwskiej kurcie i szarych spodniach wyszedł zza znajdującego się sto stóp dalej drzewa i pobiegł na północ. Woolford zatrzymał go cichym, melodyjnym gwizdnięciem.

Ogorzały mężczyzna posłał szeroki uśmiech Conawago, obrzucił Duncana podejrzliwym spojrzeniem i pospiesznie złożył raport swojemu dowódcy. Woolford sposepniał, czytając doręczoną przez niego wiadomość zapisaną na skrawku papieru. Oddał ją Duncanowi.

- Nie znam drugiego człowieka, który tak szybko zyskuje sobie przyjaciół - rzekł.

Wiadomość była po francusku. Oferowano sporą sumę za skalp Duncana McCalluma.

- Kapral mówi, że kilku ludzi Ramsey'a starło się z tym oddziałem Huronów - powiedział po chwili Woolford. - Natknął się na dwóch z nich uciekających przez las. Huroni tropili ich i byli niedaleko. Jeden z uciekających miał rudo-siwą brodę, a drugi był o połowę od niego młodszy.

Pytająco spojrzął na Duncana. Zwiadowca chciał wiedzieć, czy tych dwóch warto ratować.

- Stary nazywa się McGregor. Oni wszyscy tylko próbują wywiązać się z zawartej umowy.

- Wywiązywali się z umowy przy Kominach? - Woolford zmarszczył brwi, po czym odwrócił się i przez chwilę znów konferował z kapralem.

Żołnierz kilkakrotnie skinął głową, napił się z drewnianej manierki, którą miał zawieszoną na ramieniu, po czym pobiegł w kierunku obozu, który opuścili rano.

Pięć minut później, gdy wspinali się na strome wzgórze, po lesie odbił się echem kolejny trzask, tym razem niewątpliwie huk wystrzału, i znacznie bliższy od pierwszego. Woolford wskazał na szczyt wzgórza i pobiegł. Zaprowadził ich do skał tworzących naturalną fortecę, zwieńczoną płaskowym otoczonym głazami niczym zamkowy mur krenelazem, i z górującą turnią o płaskim wierzchołku, podobną do baszty. Gdy Duncan skrył się za głazami, Woolford i Conawago z bronią w ręku zajęli pozycje. Po chwili Woolford wycelował i strzelił. Usłyszeli zduszony krzyk, a potem tupot. Gdy Duncan zaryzykował i wystawił głowę zza głazu, w polu widzenia pojawił się McGregor, potykając się, biegnąc, przystając, by zawołać skrytego jeszcze w gąszczu towarzysza. Wołanie zaraz przeszło w okrzyk zgrozy, gdy ten drugi upadł i natychmiast został przygnieciony do ziemi przez Indianina, który skoczył mu na plecy. McGregor przystanął tylko na moment, gdyż zza odległego o trzydzieści stóp drzewa wyłonił się następny Huron z tomahawkiem w jednej, a strzelbą w drugiej ręce, szybko doganiając starego Szkota.

Woolford, który sprawnie ponownie naładował broń, przeskoczył przez Duncana, przebiegł kilka kroków po zboczu, przykleknął i wystrzelił. Indianin zatoczył się w tył, osunął się na kolana i upadł twarzą do ziemi. McGregor zebrał resztki sił i dobiegł do Woolforda, który złapał go za ramię i pchnął w kierunku Duncana.

- McCallum! Nigdy nie sądziłem, że cię znajdę... - dyszał stary Szkot. - Na Boga! - jęknął, kamieniejąc ze strachu, gdy Conawago rzucił się ku nim, szykując się do rzutu tomahawkiem. - Jeszcze jeden!

McGregor pochylił się i chwycił kamień, jakby chciał się bronić. Jednak rzucony tomahawk trafił w ramię Indianina, który stał zaledwie dwadzieścia stóp od nich, celując z łuku w McGregora. Indianin wypuścił strzałę, lecz tomahawk trafił go ułamek sekundy wcześniej, obracając i wytrącając



łuk z rąk. Indianin tylko spojrział na Conawago i Woolforda, po czym przeskoczył za głązy i zbiegł po zboczu. Zakrwawiony tomahawk wypadł z rany w złamanym ramieniu.

McGregor wyprostował się, spojrział ze zdumieniem na Conawago, a potem ze skruchą na Duncana.

- Arnold powiedział, że Ramsey ma dostać ten papier, nad rzeką. I kazał nam szukać ciebie dla nagrody - rzekł przepraszająco stary Szkot. - Jednak nie chcieliśmy dłużej tego robić, McCallum. Pomyśleliśmy, że jeśli uda nam się wrócić do misji, to ruszymy na wschód i...

Coś ze świstem przeleciało w powietrzu i McGregor nie dokończył. Gdy spojrział w dół, na jego twarzy nie było grymasu bólu, tylko zdziwienie. Z jego piersi wyrosły trzy brzechwy strzał. Zanim Szkot obrócił głowę do Duncana, krew już ciekła mu z kącika ust. Drżącym palcem McGregor dotknął kieszeni swojej postrzępionej kurtki.

- *Redeat* - wykrztusił i upadł na kolana.

Kiedy osuwał się na ziemię, Woolford i Conawago kolejno oddali strzały. Z głębi lasu odpowiedziały im gwizdy i zwierzęce wycia, jakich Duncan jeszcze nigdy nie słyszał.

- Wycofują się - oznajmił Woolford, po czym skoczył za skały i podbiegł do Indianina, który zginął, atakując McGregora.

Duncan pochylił się nad starym Szkotem, dotykając jego nadgarstka i szyi, wołając po nazwisku.

- On nie żyje, Duncanie - powiedział zza jego pleców Conawago.

Gdy Duncan na próżno szukał tętna, Indianin wyjął strzały, ostrożnie poruszając nimi na boki, starając się ich nie uszkodzić.

Duncan pogłodził starego po głowie, miotany burzą uczuć. Czuł się tak, jakby go zawiódł. Poprawił długie, siwe włosy McGregora i zaczął strzepywać kurz z jego ubrania.

- Nie ma czasu na takie rzeczy, McCallum - przerwał mu Woolford.

Gdy Duncan podniósł głowę, zwiadowca oparł o skałę przy nim strzelbę o długiej lufie i rzucił obok skórzany miasek z kulami oraz rożek z prochem.

- To twoje. Wiesz, którą stroną się celuje?

Duncan dotknął broni, lecz zaraz cofnął rękę.

- Bierz albo giń - obojętnie rzekł Woolford. - Bez porządnej broni nie masz żadnych szans znaleźć tego, czego szukasz. - Zwiadowca podniósł

strzelbę, zważył ją w rękę i z aprobatą spojrzął na pięknie obrobioną kolbę z orzechowego drewna. - Niezła sztuka, niemal równie dobra jak moja. To broń z Pensylwanii, zapewne zrabowana podczas napadów w Wyoming Valley na południe stąd. Duncan z odrazą popatrzył na broń.

- Chcesz powiedzieć, że jej właściciel został zabity przez tego Indianina, który tam leży?

- Najprawdopodobniej.

Woolford odszedł na bok, by naradzić się z Conawago.

Duncan nie mógł się zmusić do dotknięcia strzelby. Miał wrażenie, że gdyby to zrobił, nie tylko okazałby pogardę jej martwemu właścicielowi, ale jeszcze dołączyłby do siepaczy króla, których tak nienawidził. Zostawił broń tam, gdzie była, gdy Woolford i Conawago zaczęli przenosić ich ekwipunek na płaski szczyt turni otoczonej pierścieniem głazów.

- Zostaw go - rzekł Woolford, widząc, że Duncan spogląda na ciało McGregora. - Na nic się nam nie przyda.

Jednak Duncan nie mógł tak zostawić starego Szkota. Zarzucił sobie ciało na ramię, po czym wspiął się na górę. Stamtąd widzieli skaliste zbocza z trzech stron turni. Z czwartej było urwisko opadające do rwącej rzeki, płynącej pięćdziesiąt stóp niżej.

Gdy jego towarzysze obserwowali las na dole, Duncan ułożył zabitego na skalnej półce, najlepiej jak mógł oczyścił mu odzienie, a potem sięgnął do wskazanej przez McGregora kieszeni i wyjął skrawek papieru. Arnold kazał oddać go Ramseyowi. Dopiero po chwili zrozumiał treść, a potem spoglądał na kartkę tępych wzrokiem. Po jednej stronie był tam plan konstrukcji szubienicy wraz ze szczegółowymi wymiarami, a po drugiej lista czynności do wykonania podczas procesu Listera.

- Trzeba wykopać grób - rzekł Duncan.

- Nie w tej skale - odparł Woolford, nie odrywając oczu od lasu.

- Zatem na dole, tam gdzie zginął.

- Nie.

- Nie możemy go tak...

- Zejdz tam z McGregorem, a wilki będą dziś w nocy miały dwa ciała do ogryzienia.

Po raz pierwszy Duncan dostrzegł na twarzy zwiadowcy niepokój.

- Zazwyczaj by odeszli - wyjaśnił Conawago - szczególnie mając przeciwko sobie wyborowego strzelca, jakim jest zwiadowca. Jednak teraz

wyczuli prawdziwy skarb. I wiedzą, że jest nas trzech, a ich zostało chyba ze dwudziestu.

Indianin podniósł broń, obserwując skraj ciemnego lasu.

- Skarb?

- Słyszałeś starego. Zawołał cię po nazwisku. Twój skalp jest wart więcej, niż którykolwiek z nich zarobi przez cały sezon polowań na zwierzyńce. A za skalp oficera zawsze jest nagroda.

- Woolford! - wykrzyknął Duncan.

Nagle zobaczył, że zwiadowca zszedł na dół i gorączkowo uwijał się wzdłuż podstawy ich fortecy, zbierając suche gałęzie i konary, układając je w sterty co dwadzieścia stóp, a w końcu podważając i spuszczać po zboczach głaz, który mógł posłużyć za osłonę napastnikom.

Jednym płynnym ruchem Conawago przyłożył strzelbę do ramienia i nacisnął spust. Przegniły pień dwieście jardów dalej rozleciał się na kawałki. Woolford robił swoje, nie przerywając.

Pięć minut później, gdy Woolford przeskoczył z powrotem za osłonę głazów, Huroni znów ruszyli do ataku. Duncan ładował broń zwiadowcy, który strzelał bez przerwy, na przemian ze swojej strzelby i sztucera zabitego Indianina. Huroni doszli na odległość stu stóp, zanim wycofali się z pola rażenia, zabierając ze sobą trzech trafionych towarzyszy.

Woolford i Conawago z niepokojem popatrzyli po sobie.

- Twój toporek - rzekł zwiadowca i rzucił Duncanowi osełkę, którą wyjął z plecaka. - Naostrz go sobie. - Sięgnął głębiej i wyjął nóż, o wiele większy od tego, który dano Duncanowi w Edentown. - Należał do Fitcha. Posłuż się nim choć w połowie tak zręcznie jak on, to może przeżyjesz.

- A wasze strzelby...

- Mamy dość prochu, ale tylko dziesięć kul. Do świtu zrobi się tu gorąco.

Duncan zacisnął zęby, zwalczając nową falę lęku, po czym zaczął ostrzyć nóż. Conawago robił to samo. Pracowali z ponurą determinacją do zachodu słońca. Duncan nagle przerwał, sięgnął do kieszeni i rzucił Woolfordowi kulę, którą wyjął Szkotowi w misji.

- Trzymaście kul. Ta i jeszcze dwie z farmy.

Woolford bez słowa podniósł strzelbę i przyłożył kulę do wylotu lufy.

- Te trzy są jednakowe, kalibru siedemdziesiąt pięć, do standardowej Brązowej Bess na wyposażeniu armii. Zwiadowcy i Indianie używają długich

strzelb na mniejsze kule, kalibru pięćdziesiąt i mniejszych. Nawet francuscy żołnierze używają broni mniejszego kalibru. Gdybym miał formę, mógłbym je przetopić, ale zostawiłem ją w bazie.

Duncan przez moment patrzył na ciemniejący las.

- Wyjąłem ją dezenterowi z czterdziestego drugiego - wyjaśnił, usiłując rozgryźć tę zagadkę. - Postrzelono go w nogę rok temu. Przeżył masakrę na Kamienistym Szlaku.

Woolford nachylił się i z błyskiem podniecenia w oczach zważył na dłoni trzy kule.

- Mylisz się. Nikt wtedy nie przeżył poza Adamem.

- Byli inni jeńcy Indian, którzy ocalili.

- Sarah i Aleksa tam nie było. Tashgua zwołał naradę na Kamienistym Szlaku. Odprawiał swoje rytuały w pobliżu. Kiedy wrócił ze swoimi ludźmi, było po wszystkim.

- Tego nie możesz być pewien, kapitanie. Dezenter by ci tego nie powiedział.

- Nie - przyznał po chwili Woolford. - Nie powiedziała by.

Duncan pochylił się nad swoim workiem i wyjął czapkę, którą tam schował, zawiniętą w kawałek muszliny. Rzucił ją Woolfordowi.

- Dlaczego Ramsey miałby to przechowywać, schowane jak najcenniejszy skarb?

- Grenadierska - rzekł Woolford, obracając czapkę w dłoniach. - Czterdziesty dziewiąty. Skłamałeś, mówiąc o zapalce?

- Znalazłem ją, ale razem z tą czapką w piwnicy Ramsey'a. Gdzie w zeszłym roku był czterdziesty dziewiąty regiment grenadierów?

- Na północy. Nad Lake George. Nad Lake Champlain. - Woolford spochmurniał, odrzucił czapkę Duncanowi i odwrócił się twarzą do lasu. - Spróbuj, zanim wszędzie księżyc, pod osłoną mroku - zapowiedział.

- Możemy skoczyć do rzeki i odpłynąć w ciemności - podsunął Duncan.

- Pomyśl o tym i będą na nas czekać. Na razie nie wiedzą, że mamy mało kul. Skoczmy do wody, a będą mieli pewność, że nie możemy strzelać, nawet mając broń, bo zamoknie nam proch. Mają dość ludzi, by pilnować rzeki i wystrzelać nas w wodzie jak ryby.

Duncan patrzył, jak Conawago rozpala ogień i zaczyna owiżywać suchą trawą końce strzał, które wyjął z ciała McGregora.

- Ten chrust na dole - zrozumiał Duncan. - Chcecie rozpalić ogniska. Jednak jest tam luka...

- Właśnie - przerwał mu Woolford i podniósł strzelbę. - Tam ich powiatamy.

I było tak, jak zapowiedział zwiadowca. Duncan patrzył ze zdziwieniem, jak Conawago wyjmując cięciwę i nakłada ją w nacięcia na końcach swej palki, zmieniając ją w luk. Stary Indianin zaczekał, aż napastnicy dobiegną do podnóża skał, a wtedy starannie wycelowanymi strzałami zapalił sterty chrustu. Z mocno bijącym sercem Duncan obserwował, jak atakujący przebiegają przez lukę między ogniskami i wspinają się do połowy zbocza, zanim jego towarzysze otworzyli ogień. Drżącymi rękami nabijał broń, rozsypując cenny proch, co rusz spoglądając na naostrzony tomahawk leżący obok na kamieniu. Nagle zrobiło się cicho. W dole ktoś jęczał i słychać było ciche trzaski dopalających się ognisk. Zostały im tylko dwie kule.

Woolford i Conawago położyli przed sobą noże.

- Jeśli będziesz tak ścisła ten toporek, zdrętwieją ci palce i nie będziesz mógł się nim posłużyć - ostrzegł Duncana zwiadowca.

Duncan odłożył broń i wytarł spocone dłonie. Spojrzał na księżyc, który wzeszedł i oblewał wzgórze srebrnym blaskiem. Nagle Szkot zapragnął znaleźć się nad morzem. Wodzowie klanu McCallumów niemal zawsze umierali na morzu lub na jego brzegu.

Pod koniec pierwszej godziny napięcie stało się nie do zniesienia. Duncan zaczął się wiercić jak nerwowe dziecko, po czym zauważył, jak różnie jego towarzysze czekali na ostatni atak. Woolford, doświadczony żołnierz, ze zwodniczym spokojem obserwował linię drzew. Conawago jednak przestał patrzeć na las. Znalazł jakiś biały kwiatek rosnący w szczelinie skały, oświetlony smugą księżycowego światła, i przyglądał mu się z upodobaniem.

Obserwując starego Indianina, Duncan zaczął się uspokajać i powoli podszedł do niego, też patrząc na kwiat i na gwiazdy odbijające się w kałuży obok.

- Rośnie tylko na skałach i podobnych niedostępnych miejscach - powiedział o kwiatku Conawago, gdy Duncan stanął przy nim. - Znalazłem taki, kiedy byłem mały, i zapytałem matkę, dlaczego on kwitnie w nocy. Powiedziała, że to odwieczna tajemnica jego i księżycy.

Duncan na moment odwrócił wzrok, uświadomiwszy sobie, że przygląda

się twarzy Indianina w taki sam sposób, jak stary patrzył na wysrebrzoną księżycem kałużę.

- Przepraszam - rzekł niezręcznie. - Po prostu jesteśmy tu, zostały nam tylko dwie kule i...

- Jesteśmy tu - powtórzył Conawago, gdy Duncan nie dokończył.

- Nawet nie wiem, kim jesteś.

- Ludzi poznaje się tylko po ich czynach.

- Nie wiem, kim są twoi.

Stary Indianin uśmiechnął się smutnie i spojrzał na gwiazdy.

- To tylko jeszcze jedna stara historia o wymierających plemionach.

- Mówiłeś, że nazywano ich Nipmukami z Massachusetts.

- Stare i pokojowo nastawione plemię - rzekł po chwili Conawago. - Nasze kłopoty zaczęły się z nadejściem Holendrów, którzy zachęcili nas do ściągania nad rzekę Hudson, by handlować, a potem stopniowo nas wybili. Były wojny, małe wojny, które mało kto zauważył. Mój lud niemal wyginął, zanim przyszedłem na świat, pozostało tylko kilka rodzinnych grupek wędrujących wzdłuż rzeki, chronionych przez Mohawków i Mohikanów. Kiedy spytałem o nasze plemię, matka powiedziała mi, że pewnego dnia będziemy wszyscy razem, a na razie rodzina jest całym moim plemieniem. Potem przyszli jezuici i zaoferowali mi nowe życie. Byli dobrymi ludźmi. Pokazali mojej matce magię pisanych słów i powiedzieli, że jeśli nauczę się europejskiego stylu życia, będę mógł ochronić resztę mojego ludu. Matka powiedziała, żebym poszedł do nich na pięć lat, a ona i reszta rodziny nie odejdą i będą czekali w obozie nad rzeką, aż wrócę.

Conawago przez chwilę w milczeniu spoglądał na kwiat, zanim podjął swoją opowieść.

- Jednak jezuici zatrzymali mnie na siedem lat, zabrali do Europy. Wróciłem z darami, z książkami, nowymi europejskimi ubraniami i wielkimi planami zbudowania nowej wioski dla mojego ludu. Jednak ich już nie było. Była za to nowa stacja handlowa, nowe farmy. Ledwie poznałem tę ziemię. Pozostał tylko jeden członek mojej rodziny, stary wuj, który się rozpił. Roześmiał się, gdy powiedziałem mu, kim jestem, odparł, że nie żyję. Dowiedziałem się, że matka nie chciała opuścić tej okolicy, mówiąc, że na mnie czeka, aż kupiec przekonał ją, że nie żyję, napisawszy list z taką wiadomością i przeczytawszy go jej. Ona wierzyła w magię pisanych słów, które nigdy nie kłamią. Przez wiele lat próbowałem ich odnaleźć, podążając

tropem każdej grupy Indian zmuszonych do opuszczenia swoich terenów. Pewien stary Lenni Lenape powiedział, że powinienem szukać ich w Ohio. Tam mi powiedziano, że może powinienem rozejrzeć się wokół Niagary. Tam znów radzono mi szukać w Kentucky. W końcu wróciłem do Mohawków i żyłem wśród ludzi Hendricka, czasem Tashgui.

- W nowojorskim porcie widziałem człowieka z łaską, który odchodził zaraz po ataku - rzekł Duncan. - To ty wystrzeliłeś te strzały, a łaska posłużyła ci za łuk.

- To był umówiony przez Adama sygnał dla gubernera Ramseya, że tam jestem. Mieliśmy się spotkać nazajutrz w gospodzie. Czekałem dwa dni, ale nie przyszedłeś.

- Pierwsza strzała nie była sygnałem.

- Widziałem, jak kapitan poturbował starego i kopał go nawet wtedy, kiedy wleki go do wozu. Obawiałem się, że z tobą zrobi to samo.

- Gdyby nie ta strzała, byłbym teraz w drodze na Jamajkę - rzekł Duncan.

- Ale nie straciłbyś życia - odparł Conawago.

Wymienili smętne, melancholijne uśmiechy.

Ciszę przerwał głośny huk strzelby Woolforda. Nad głowami świsnęła im strzała, potem druga. Dwa wystrzały odpowiedziały na strzał zwiadowcy. Conawago z tomahawkiem w ręku stanął u boku Woolforda. Wojenne okrzyki Huronów dobiegały ze wszystkich stron. Duncan chwycił tomahawk. Nagle, równie niespodziewanie jak się zaczęło, wszystko się skończyło. Jego towarzysze usiedli i Woolford załadował broń ostatnią kulą. W lesie zapadła grobowa cisza.

- Chcę się zająć McGregorem - oznajmił Duncan po długiej chwili milczenia.

- Zająć się? - zapytał Woolford.

- Coś w rodzaju pogrzebu. Pożegnać starego Szkota, którego los rzucił tak daleko od domu.

Nawet w ciemności poczuł świdrujące spojrzenie Woolforda. Czekał na odmowę, przekleństwo, a nawet złośliwy śmiech.

- Co powiedziałbyś na marynarski pogrzeb? - zapytał zamiast tego zwiadowca.

Woolford pomógł mu przygotować ciało, a Conawago obserwował cichy las. Pnączami związali nogi zmarłego, a potem ręce, włożywszy mu kilka płaskich kamieni za koszulę. Gdy Woolford zaciągnął ciało na skraj urwiska,

Duncan wyjął z worka kobzę i zaczął grać powolną, smutną melodię. Kiedy skończył, stanęli nad ciałem.

- Umarł, stojąc, w walce - rzekł Duncan.

- „Kto umiera, spłaca wszystkie długi” - dodał Woolford, jak zawsze mając w pogotowiu cytaty z Szekspira.

Potem zrzucili ciało z urwiska. Duncan został tam jeszcze chwilę, spoglądając na srebrzystą wodę, po czym znów wziął kobzę.

- Wystarczy - powiedział zwiadowca. - Stanowisz zbyt dobry cel.

Duncan zignorował ostrzeżenie. Zagrał następną pogrzebową melodię i jeszcze jedną, nie zauważając, kiedy Woolford wrócił do Conawago. Lodowata dłoń ścisnęła mu serce, gdy uświadomił sobie, że gra również dla siebie. O świcie jego zmasakrowane ciało będzie leżało na skałach, a jego skalp zawisnie u pasa jakiegoś Hurona.

Ta myśl sprawiła, że zgubił rytm. Zaraz jednak poczuł orzeźwiający zapach wrzosów i okopconej torfowym dymem wełny. Nie śmiał obrócić głowy, aby nie przerwać czaru, ale wiedział, że dziadek jest przy nim. Pamiętał, że w szkockich oddziałach zawsze byli kobziarze, którzy nie walczyli w ogniu bitwy, tylko grali na kobzach. Zawsze stanowili łatwy cel dla wroga, ale nigdy nie przestawali grać. Jeśli kobziarz otrzymał śmiertelną ranę, opierał się o drzewo i grał dalej, tak by jego ostatnie tchnienie uszło przez ustnik.

Duncan grał jak jeszcze nigdy w życiu, przerywając tylko na moment, aby wsunąć za pas tomahawk i nóż. Po kilku minutach wskoczył na wysoki, płaski głaz, stając jak posąg na tle nieba. A jednak umrze, jak Szkotowi przystało: z ostrzem w jednej, a kobzą w drugiej ręce, a dziadek będzie u jego boku.



## Rozdział 14

Obudziły go pierwsze promienie słońca. Siedział oparty o skałę. Zerwał się z jękiem, trzymając tomahawk w dłoni, zawstydzony, że nie czuł. Conawago i Woolford bacznie obserwowali las, żując paski suszonego mięsa z zapasów Indianina. Zwiadowca nie odwrócił zmęczonej twarzy, gdy Conawago skinął na Duncana i podał mu kawałek mięsa.

- Nie przyszli - stwierdził ze zdziwieniem Duncan.

- W puszczy silniejszy drapieżnik zawsze może odebrać ci łup - odparł stary Indianin.

Zaalarmowany Duncan spojrział na zbocze. Trzy leżące tam wcześniej ciała zniknęły. Las był cichy. Żaden ptak nie witał poranka, żadne zwierzątko nie buszowało pod drzewami. Wzdrygnął się na myśl o tym, co mogło wystraszyć indiańskich wojowników.

Duncan pochylił się, by schować korbę do worka. Zastanawiał się, czy nie powinien obciążyć jej kamieniami i zrzucić z urwiska w ślad za McGregorem, zamiast pozwolić, by została zniszczona w ostatnim ataku. Żuł suszone mięso, spoglądając na wodę, w której spoczął stary Szkot, a później zrobił krok w kierunku Woolforda i pospiesznie skrył się za głazem. Na dole stał indiański wojownik.

Duncan złapał broń, wycelował i już miał nacisnąć spust, gdy Woolford go powstrzymał.

- Do tego dżentelmena nie powinieneś celować z broni, nawet nienabitej - powiedział ze znużeniem.

- *Haudenosaunee* - szepnęła Conawago. - Onondaga - dodał, lecz bez ulgi w głosie.

Duncan nigdy by nie zgadł, że ten człowiek jest ich sprzymierzeńcem. Był odziany w przepaskę biodrową i nogawice, ciało miał pomalowane czerwoną i czarną farbą, a w jednej ręce trzymał toporek. W drugiej miał

pomalowaną włócznię z nabitym na ostrze jakimś zwierzątkiem porośniętym białym futerkiem. Duncan szukał w pamięci wszystkiego, co wiedział o Irokezach. Onondagowie byli najważniejsi i to oni zwoływali narady wszystkich plemion.

Woolford ostrożnie wyszedł zza osłony skał, pokazując otwarte i puste dłonie, po czym pozdrowił tamtego jakimś jednosylabowym słowem.

Wojownik nie odpowiedział.

Conawago wstał, również bez broni, i dał znak Duncanowi, żeby zrobił to samo. Duncan zauważył wahanie w oczach przybysza na widok Conawago i wyraźne, choć chwilowe rozczarowanie, zaraz jednak zakryte nieruchomą jak kamień maską.

Gdy przybysz zrobił kilka kroków naprzód, Conawago cicho zawołał coś do niego w mowie Irokezów pytającym tonem. Wojownik nieco złagodniał, ale nie odpowiedział, tylko sam spytał o coś, wskazując na Duncana.

Conawago znów przemówił, wskazując na Woolforda i na siebie. Indianin spochmurniał, obracając się do zwiadowcy. Zdawał się znać Conawago i nie chciał z nim rozmawiać. Nie trzeba było znać jego języka, żeby wyczuć gniew w jego głosie, gdy odpowiedział.

Gdy Irokez zatrzymał się trzydzieści stóp przed nimi, Conawago westchnął i zwrócił się do Duncana:

- On chce, żebyś z nim poszedł.

Duncan przyjrzał się swoim towarzyszom, nie pojmując ich zaniepokojonych min.

- Kim on jest?

- Jednym z tych, których boją się wszyscy z Sześciu Plemion. Obrońcą świętości. Pieśniarzem śmierci. Wysłannikiem samego ducha niedźwiedzia.

- Tashgui. - To imię wyrwało się z ust Duncana jak jęk. - Dlaczego ja?

- Ponieważ - odparł po chwili wahania Conawago - on twierdzi, że to ty minionej nocy rozmawiałeś z bogami. Nazywa się Łowca Kruków.

- Znasz go?

- To syn Tashgui. Kiedy był młody, spędziłem kilka sezonów w ich obozie. Od zeszłego roku już nie ufa Europejczykom ani tym, którzy wśród nich żyją.

- To coś na włóczni - rzekł Duncan. - Co oznacza?

Tym razem przemówił Woolford, wskazując na włócznię w dłoni Irokeza. Ten odpowiedział cicho i ze zniecierpliwieniem.

- Mówi, że nie przyszedł tu rzucać słów w powietrze - wyjaśnił Woolford. - Chce wiedzieć: idziesz czy nie.

- Jeśli odmówię, przypuszczają atak? A jeśli się zgodzę, zaatakują was?

- Nie wiem - przyznał Woolford. - Są wściekli jak diabli. Jeszcze nie było równie krwawego sezonu.

Duncan szukał odpowiedzi w twarzy Conawago. Stary Indianin wrzucił ramionami.

- Nigdy nie widziałem takich ścieżek, jakie są przed nami.

Duncan pojął, że jeśli zostawi tu przyjaciół, ci nadal będą musieli odeprzeć atak Huronów, mając tylko jedną kulę. Zanim zdążył odpowiedzieć, Onondaga przeszedł jeszcze kilka kroków i uniósł włócznię. Duncan miał jednocześnie ochotę parsknąć śmiechem i wrzasnąć. Była to peruka, jedna z krótkich i pudrowanych peruk Ramseya. Pod nią, na końcu włóczni, była nabita czaszka młodego niedźwiedzia.

- Powiedz mu, że pójdziemy wszyscy trzej albo zaden.

Irokez w odpowiedzi prychnął z niezadowoleniem, odwrócił się i bez słowa zaczął schodzić po zboczu.

- Niechętnie przyjął twoje warunki - wyjaśnił Woolford, pospiesznie zbierając ekwipunek. - Jednak na nikogo nie będzie czekał.

Po chwili wyszli spomiędzy skał, Woolford na przedzie. Duncan przeszedł kilka kroków, po czym się zatrzymał. Długa strzelba z Pensylwanii wciąż stała oparta o głaz. Wahał się moment, szybko zawrócił po broń i róg z prochem, a potem biegiem dołączył do przyjaciół.

Ich grupka znacznie się powiększyła, gdy dotarli do sąsiedniego wzgórza. Kolejni wojownicy wyłaniali się zza drzew i głazów, a nawet z zagłębień w poszyciu lasu, aż cały ich tuzin w milczeniu i niemal biegiem podążył uczęszczanym leśnym traktem. W czuprynie jednego z biegnących przed Duncanem wojowników widać było rudawe pasemka. Inny, jako jedyny z nich noszący długie włosy, miał je splecione i upięte z tyłu głowy na marynarską modłę. Jego włosy miały kolor dojrzałego żyta.

Gdy przystanęli nad strumieniem, by się napić, Duncan podszedł do mężczyzny ze splecionymi włosami, odzianego w przepaskę i nogawkę jak pozostali Irokezi. Do kołczanu ze strzałami miał przywiązany kawałek czarno-zielonego tartanu. Duncan spytał go po gaelicku, czy jest *Gaidheal* -

szkockim górale. Tamten odpowiedział mu po indiańsku, splunął przez ramię, wstając, i ruszył dalej. Duncan rozpoznał tylko jedno słowo. *Haude-nosaunee*. Kiedy spojrział na Woolforda, szukając u niego wyjaśnienia, zobaczył zwiadowcę leżącego na brzuchu i pijącego wodę ze strumienia. Przebiegający Indianin kopnął go w żebra.

Dopiero gdy dochodzili do wioski, Duncan zauważył kryte korą długie chaty w cieniu niskiego, stromego wzgórza. W pierwszej chwili obóz wyglądał na opuszczony. Nie było psów, dzieci ani żadnego śladu ludzkiej aktywności. Kilka siedlisk stało w cieniu dużych drzew, za którymi rozciągało się tylko długie, piaszczyste zakole rzeki. W oddali słychać było cichy szum wodospadu. Piąty dom stał z dala od innych, obok dwóch wysokich skał podobnych do kolumn, między którymi biegła wydeptana ścieżka na szczyt wzgórza. Wejście do tej trzydziestostopowej długości chaty było obwieszone zwierzęcymi czaszkami różnych wielkości i kształtów. Wisząca nad drzwiami była tak wielka, że wydawało się niemożliwe, by mogła kiedyś należeć do stworzenia z krwi i kości. Jej potężne kły zdawały się grozić każdemu intruzowi, który ośmieliłby się wejść do środka. Obok drzwi wisiał długi sznur potężnych niedźwiedziej pazurów. Kiedy Indianie zabierali strzelby jego przyjaciółom, Duncan odruchowo ścisnął trzymaną w kieszeni figurkę niedźwiedzia, powstrzymując pokusę, by oddać im ją i uciec.

Zaprowadzono go na drugą stronę polany, sto stóp od samotnej chaty, gdzie tkwił wkopany w ziemię gruby pal odarty z kory. Pokrywały go malowidła przedstawiające zwierzęta i ludzi. Na ziemi przy jego podstawie widniały złowieszcze plamy. Z niepokojem zauważył, że Woolforda i Conawago zaprowadzono w cień innych chat. Gdy trzej posepni wojownicy podeszli do niego, Duncan cofnął się, aż nagle poczuł, że opiera się plecami o malowany pal. Wykręcono mu ręce do tyłu i zanim się zorientował, związano je za palem. Pojawili się trzej następni Indianie. Nie, nie Indianie. Chociaż mieli ufarbowane włosy, zdradzała ich jasna karnacja.

- Nazywam się Duncan McCallum - powiedział głośno. - Z wyżyn nad Lochlash.

Zobaczył, że każdy z nich trzyma w ręku grubą pałkę, na moment przed tym, zanim stojący najbliżej go uderzył.

Cios w brzuch zgiał go wpół.

- Jestem Duncan z klanu McCallumów - jęknął po gaelicku, prostując się. - Z...

Następny cios trafił go w ramię, tak że uderzył tyłem głowy o pal.

- Z angielskich ścieków, gdzie lęgną się szczury i królewscy szpiedzy - prychnął chudy, muskularny mężczyzna z połową twarzy pomalowaną na czarno.

Razy zaczęły padać szybciej, w nogi i w zębra.

- Kapuś czerwonych kurtek - warknął jeden ze Szkotów.

- Piesek króla - mruknął drugi, uderzając Duncana pałką w udo.

Ten jednak zapomniał o bólu, nie zwracając uwagi na bijących, tylko patrząc w niebieskie oczy pomalowanego na czarno mężczyzny, który zdawał się być przywódcą Szkotów. Jasne włosy miał wysoko podgolone, a pozostałe splecione na karku. Gdy odwzajemnił spojrzenie Duncana, w jego oczach była nienawiść, ale także coś znajomego.

- Jamie! - jęknął Duncan. - Nie rób tego!

Jego brat mruknął coś w języku Irokezów. Jeden z jego ludzi sięgnął po pejcz i smagnął Duncana po ramieniu. Uderzenie zapiekło jak cios kotem o dziewięciu ogonach.

Zza pleców Jamiego dobiegły jakieś słowa, wymówione w mowie Irokezów, cicho, lecz stanowczo. Dwaj Szkoci natychmiast się cofnęli. Głos przemówił ostrzej. Jamie podrzucił pałkę wysoko w powietrze. Spadała, koziółkując. Gdy wszyscy, nawet Duncan, obserwowali ją, Jamie wyrwał pałkę z ręki najbliższej stojącego mężczyzny i znów uderzył Duncana.

- Nigdy więcej nie wymawiaj nazwy mego klanu - ostrzegł zjadliwym szeptem. - Dawno straciłeś do tego prawo.

- Rozetnij mi więzy, a nauczę cię, że nie wolno tak mówić do głowy twego klanu - odpalił po gaelicku Duncan.

Pałka Jamiego, zmierzająca ku głowie Duncana, zwolniła i opadła. Ktoś złapał za jej drugi koniec. Jamie gwałtownie szarpnęła, obalając intruza na ziemię i ponownie uniósł pałkę do ciosu, lecz ktoś chwycił ją i przytrzymał.

Na moment wszyscy zamarli. Gdy Jamie gniewnie się obrócił, wszyscy pozostali Szkoci spoglądali na ziemię pod jego nogami. Oszołomiony uderzeniami Duncan w pierwszej chwili zobaczył tylko stertę piór, a potem - gdy widzowie jęknęli i pospieszyli z pomocą - dostrzegł pod nimi kobiecey kształt. Zobaczył, że to płaszcz z piór okrywający kobietę o rudych włosach.

- Sarah! - krzyknął, szarpiąc więzy, usiłując je zerwać i pospieszyć jej z pomocą.

Jednak nie musiał jej pomagać. Jamie spojrzął pod nogi i oklapł. Wypuścił z ręki pałkę i w milczeniu patrzył, jak tuzin rąk pomaga Sarah stanąć na nogi.

- Coś ty zrobił? - zapytała z urazą.

Duncan dopiero po chwili zrozumiał. Że zwracała się do niego, a nie do jego brata. - Obiecałeś.

Zanim Duncan zdążył odpowiedzieć, pojawiło się więcej Irokezów, odciągając wpatrzoną w niego Sarah. Żyła. I była odmieniona. Nie była już blada ani wystraszona. Eskortujący ją Indianie spoglądali na nią nie ze wzdrganiem, lecz z niepokojem.

Po chwili został przy nim tylko brat. Jamie rozdał nozdrza, a w jego dłoni pojawił się nóż. Przez moment wahał się, jakby rozważając, gdzie go wbić, po czym przeciął więzy na rękach Duncana i odszedł, gdy przed nim pojawiła się nowa postać mierzająca młodzieńca gniewnym wzrokiem.

Był to Indianin, który rano przyprowadził go tutaj ze wzgórza. Starł farbę z twarzy, więc dopiero teraz Duncan mógł mu się przyjrzeć.

- Wrona. - Usłyszał, jak mówi na głos, patrząc na tatuaż na policzku Indianina. - Masz na policzku wytatuowaną wronę.

- Kruka - spokojnie odparł Indianin, po raz pierwszy odzywając się po angielsku. - Kiedy byłem mały, ojciec znalazł mnie w kruczym gnieździe na urwisku, bawiącego się z ptakami. Gdy dorosłem, nadano mi imię Łowcy Kruków, chociaż zawsze sądziłem, że to kruki złapały mnie - dodał.

Duncan ze zdziwieniem ujrzał na ustach rozmówcy przelotny uśmiech.

- Dziś rano na wzgórzu nie... - zaczął Duncan i przerwał. - Dobrze mówisz po angielsku.

- Miałem dobrego nauczyciela, kiedy byłem chłopcem - odparł wojownik, zawahawszy się. - Pewnego starego Nipmuka.

- Zwą mnie Duncan.

Irokez posepnie skinął głową, po czym odwrócił się i dał mu znak, by poszedł za nim. Gdy Duncan to zrobił, z obwieszonej kośćmi chaty wybiegła nastoletnia dziewczynka w sukience z jeleniej skóry. Z nieśmiałym uśmiechem podała Duncanowi skorupę żółwia napełnioną wodą i pokazała, żeby się napił. Opróżnił naczynie, a wtedy wręczyła mu okrągły i żółty placek,

nie większy od jego dłoni. Starł z niego sadzę i ugryzł. Podpłomyk z kukurydzianej mąki smakował wygłodniałemu Duncanowi jak najlepsze z ciast. Dziewczynka znów się uśmiechnęła, gdy szybko spałaszował placek, i czmychnęła z powrotem chaty. W środku zobaczył Sarah, stojącą w cieniu, patrzącą na niego. Ruszył do niej, odwzajemniając jej spojrzenie, z cisnącymi się na usta pytaniami. Nie traktowano jej tu źle. Nie była niewolnicą. Jednak nie mógł zrozumieć jej dziwnego zachowania. Co oznaczał ten płaszcz z piór? Duncan słyszał o zwyczaju tuczenia jeńców w celu złożenia ich później w ofierze.

Zrobił krok ku dziewczynie, lecz Łowca Kruków dotknął jego łokcia i wskazał mu inne chaty. Byli tam Woolford i Conawago, rozebrani do pasa, myjący się w drewnianych misach, skrobiący skórę deszczulkami z wonnego cedrowego drewna. Jakiś chłopiec pomagał im, nalewając czystą wodę do następnej miski. To był Alex, wciąż w koszuli bez rękawów, wyglądający na bardziej rozluźnionego niż kiedykolwiek. Gdy Duncan chciał podejść do swoich przyjaciół, Łowca Kruków powstrzymał go i wskazał na jego pas, a potem na kłodę przy najbliższej chacie. Strzelby jego towarzyszy stały oparte o nią, a obok leżała ich inna broń i plecaki. Duncan pośpiesznie złożył tam swój tomahawk i nóż, po czym zdjął koszulę.

Kiedy się obmyli, Łowca Kruków rozgarnął ognisko, umieścił kilka węgli na płaskim kamieniu, po czym rzucił na nie liście tytoniu. Z kamieniem w rękach podchodził kolejno do wszystkich trzech mężczyzn. Duncan wziął przykład z Conawago i dłonią skierował smużkę dymu na swoją twarz, po czym wtarł go w skórę, zanim znów włożył koszulę.

Kiedy skończyli, nikt się nie odezwał ani nie dał żadnego znaku. Łowca Kruków po prostu postawił płaski kamień na kłodzie, odwrócił się i odszedł stromą ścieżką. Była bardzo stara i wyboista, używana od dziesięcioleci, a może stuleci. Gdy się nią wspinali, po obu jej stronach widzieli rysunki naskalne, różniące się stopniem złożoności i wzorami, a także wiekiem, lecz przedstawiające wyłącznie zwierzęta. Były rozmieszczone tak, że schodzący w dół widzieli tylko węże.

Kiedy szli przez ten skalny labirynt, Conawago zaczął odmawiać cichą modlitwę. Woolford co chwilę niespokojnie oglądał się na Duncana. Nagle wyszli zza skał do szerokiej na pół mili nieckowatej dolinki, przez którą przepływał usiany gładzi strumień. Dolina była niemal idealnie symetryczna, o stromych skalnych ścianach wznoszących się ze wszystkich stron

i z gęstym zagajnikiem białych brzoź na drugim końcu. Na jej środku znajdowała się najniezwyklejsza rzecz, jaką Duncan widział w swoim życiu.

Było to drzewo, chociaż nazwanie potężnego dębu drzewem to jak porównanie Atlantyku do jeziora. Było wysokie jak najwyższa z katedr, które Duncan widział, z koroną rozłożystą niczym rynek, a jego olbrzymie konary przypominały krokwie zamkowej sali. Ogromny pień, co najmniej dwunastostopowej średnicy, rozdzierała poszarpana dziura, szeroka na trzy stopy i wysoka na chłopa, wyglądająca jak wejście do głębokiej jaskini.

Conawago zauważył podziw malujący się na twarzy Duncana i zaczął, aż Szkot powoli podejdzie.

- Kamienisty Szlak to tylko nazwa strumienia wpadającego do rzeki za wodospadem - rzekł stary Indianin. - Tak nazwali to miejsce Europejczycy, ponieważ plemiona nie wymawiają nazwy świętego drzewa.

- Musi być bardzo stare - szepnął Duncan.

- Kiedyś spotkałem w Filadelfii przyrodnika, który twierdził, że można poznać wiek drzewa po liczbie słoików na przekroju pnia. Kiedy burza połamie kilka konarów, zostają uroczyście spalone. Przed laty byłem tutaj, kiedy tak się stało. W jednym konarze naliczyłem dwieście słoików. Szamani Irokezów przybywali tu od niepamiętnych czasów - ciągnął Conawago, gdy szli w kierunku drzewa. - Zanim jeszcze Irokezi stali się jednym ludem. Tashgua mówi, że to najbardziej czyste miejsce na ziemi. Tutaj nie są potrzebne wampuny.

Duncan rozważył jego słowa, spoglądając na grupkę ludzi siedzących wokół pnia.

- Chcesz powiedzieć, że to drzewo skłania ludzi do mówienia prawdy?

- Kiedy byłem młody i przyszedłem tu pierwszy raz z moją matką, w chacie z kości mieszkała ponad stuletnia staruszka. Powiedziała, że gdyby jakiś człowiek próbował tu zdrady, drzewo wyciągnęłoby konary i rozszarpało go na kawałki.

Siedzący pod drzewem Irokez wyglądał, jakby wyrastał z pnia. Usadowił się między dwoma potężnymi, poskręcanymi, omszałymi korzeniami, znikającymi w ziemi u jego stóp. Bruzdy na jego twarzy zdawały się zlewać z tymi w korze drzewa. Siwe włosy nie różniły się od niej kolorem. Był idealnie nieruchomy, jak morze w czasie odpływu. Poruszały się tylko jego oczy,



błyszczące jak obsydian. Duncan nie musiał pytać. Znalazł Tashguę.

Przed szamanem siedział tuzin mężczyzn. Łowca Kruków i jeszcze jeden wojownik siedzieli po bokach szamana, twarzami do innych Irokezów, starych ludzi, lecz zdecydowanie nie tak wiekowych jak ten, który opierał się plecami o drzewo. Otaczali kręgiem dwóch mężczyzn z Edentown. Wielebny Arnold przemawiał spokojnie, jakby wygłaszał kazanie, a Cameron czujnie obserwował Indian. Na ociosanej kłodzie przed Arnoldem leżały zadrukowane strony. Duncan zobaczył, że to kolejne kartki wyrwane z Biblii Everinga. Obok nich stał mosiężny krzyż skradziony z Edentown. Arnold co chwilę przerywał przemowę i jeden z Indian, żyłasty mężczyzna z lisią skórą na głowie, tłumaczył jego słowa innym. Duncan zrozumiał, że słuchają słowa Bożego.

Gdy tak siedzieli, Łowca Kruków zaczął uderzać w prymitywny bęben, zrobiony z wydrążonego pnia szerokości około sześciu cali i długości czterech stóp, ozdobiony rzeźbami leśnych zwierząt. Syn Tashgui wydobywał z niego miękkie i przeciągłe dźwięki, podobne do jęku wiatru w zimową noc.

- Tashgua i drzewo słuchają - szepnął Conawago i usiadł na ziemi, podwijając pod siebie nogi.

Woolford i Duncan w milczeniu poszli za jego przykładem. Chociaż stary szaman niczym nie dał po sobie poznać, że jest świadomy ich obecności, Arnold zamilkł w połowie zdania, poczerwieniał i kościstym palcem wskazał Duncana.

- Ten człowiek złamał prawo - oznajmił głośno, wytrącony z równowagi. - Jest wyklęty przez naszego Boga! Musi stąd odejść! Mój człowiek go zabierze.

Tashgua pochylił się, mrużąc oczy. Nikły uśmiech rozpromienił jego pobrużdżoną twarz, gdy rozpoznał Conawago. Potem przyjrzał się Duncanowi, przechylając głowę i szeroko otwierając oczy, jakby zaskoczony czymś, co wyczytał w jego twarzy. Szaman odwrócił się do Arnolda i wzruszył ramionami. Gdy przemówił, jego głos był jak szelest liści na wietrze.

- Jesteśmy tutaj, majorze - rzekł powolną, kulejącą angielszczyzną - ponieważ zwykłym ludziom nie przystoi mówić o tym, kogo wyklęli bogowie.

- Złamał dane słowo! - nalegał Arnold. - Zerwał umowę! Złamał nasze prawo!

Nagle Tashgua stał przed nimi, chociaż Duncan nie zauważył, kiedy Indianin się podniósł. Ponownie zmierzył Duncana spojrzeniem, które zdawało się przeszywać go na wylot.

- Został tu wezwany, ten jeden, wezwany do obrachunku – oznajmił szaman Arnoldowi.

Na te słowa dreszcz przebiegł Duncanowi po plecach.

Jednak Arnold nie był w stanie opanować gniewu. Wstał, ciągnąc za sobą Camerona, i pchnął go w kierunku Duncana. Nagle w dłoni Tashgui pojawił się jakiś długi przedmiot. W pierwszej chwili Duncan pomyślał, że to pałka. Miała dwie stopy długości i rzeźbioną główkę w kształcie kruczego łba. Górną jedną trzecią jej długości stanowiła skorupa żółwia, a pozostałe dwie trzecie rękojeści zdobiły rzeźby węży. Gdy potrząsnął nią nad głową Arnolda, rozległ się grzechot wielu drobnych przedmiotów zamkniętych w żółwiowej skorupie. Cameron zamarł i powoli usiadł na ziemi. Arnold sypał skry z oczu, lecz zdołał wytrzymać wzrok Tashgui zaledwie moment dłużej, po czym ustąpił i też usiadł. Szaman okrążył ich obu, spokojnie potrząsając grzechotką, spoglądając na nich jednocześnie dziko i łagodnie.

- W środku są kości - szepnął Conawago, nie odrywając oczu od Tashgui. - To bardzo stara grzechotka, która należała do pierwszego ze świętych mężów, którzy siedzieli pod tym drzewem. Powiadają, że są w niej kości najpotężniejszych szamanów wszystkich późniejszych pokoleń. Niektórzy mówią, że to najpotężniejszy przedmiot wszystkich Sześciu Plemion. Jak u jezuitów - dodał.

Duncan nie zdołał zapanować na ciekawością.

- U jezuitów?

- Oni też dbają o kości swoich świętych i przypisują im wielką moc.

Tashgua wrócił na swoje miejsce i kontynuowano dziwny rytuał. Starając się nie patrzeć na Duncana, Arnold podjął przerwana przemowę, lecz Cameron nadal rzucał mu niechętnie spojrzenia. Duncan usiłował zrozumieć, dlaczego Arnold zgodził się na żądania szamana, którego tak nienawidził, ale niebawem zapomniał o tym, zapadając w rodzaj transu, urzeczony głosami i powolnym, cichym dudnieniem bębna. Słowa Arnolda o wszechmocnym i gniewnym Bogu wydawały się zaledwie tłem czegoś o wiele ważniejszego i odwiecznego, co zdawało się łączyć ludzkie dusze z siłami natury. A to, że Duncan nie potrafił nazwać ani ująć w słowa tego, co czuł, wydawało się jedynie zwiększać wagę tego faktu. Co powiedział mu Fitch,

jakby tysiąc lat temu? „Najważniejszych rzeczy nigdy nie można ująć w słowa”.

Arnold, odzyskując swój kaznodziejski styl, zakończył ze swadą słowami o żołnierzach Chrystusa i sądnym dniu. Wydawało się, że chciał wstać, gdy stary wódz w lisiej skórze podniósł się i wszedł do kręgu, po czym pochylił się nad kartkami Biblii.

- Seneka - szepnął Conawago. - Stary przyjaciel Króla Hendricka.

Wódz przemówił w swoim języku. Lisie uszy podnosiły się i opadały, gdy ruchem głowy pokazywał Arnolda i Camerona.

- Wielki człowiek był przy was, gdy płynęliście przez słone wody - przetłumaczył Łowca Kruków.

Wódz Seneków sięgnął za pazuchę i wyjął złożoną kartkę papieru.

- Kompania Ramseya wykonuje wielką pracę - wtrącił Arnold.

Seneka rozłożył papier i rozpostarł go na kłodzie, na kartkach z Biblii.

- Jednak wasz bóg jest gniewny, wasz bóg jest zazdrosny. Nie mógł znieść mówcy gwiazd, który przybywał do nas.

Najwyraźniej cierpliwość Arnolda się kończyła. Czujnie zerknął na Camerona i westchnął.

- Mówcy gwiazd?

Lisia skóra opadła i uniosła się, gdy Seneka podniósł kartkę i pokazał ją Arnoldowi. Widniał na niej gąszcz linii, słów, okręgów i strzałek. Arnoldowi opadła szczeka. Duncan spoglądał na to, nie wierząc własnym oczom. Był to wykres, który zaginął z kabiny Everinga. Cameron drgnął i już miał się zerwać z ziemi, gdy zauważył, że tuż za nim pojawił się jeden z wojowników Tashgui.

Wódz w lisiej skórze znów przemówił:

- Dlaczego ten bóg, którego opisujesz, miałby zabrać swemu ludowi takiego potężnego szamana? Czy ty potrafisz rozmawiać z gwiazdami? Możesz je przekonać, aby powiedziały nam, gdzie będą o wschodzie następnego księżyca?

- Evering - prychnął Arnold. - Evering nie był szamanem. Był... - Urwał i obrzucił Duncana oskarżycielskim spojrzeniem. - Nie mogliście go znać. Nie wiemy, co oznaczają znaki na tym skrawku papieru.

- Ale my wiemy - rzekł Seneka i odwrócił wykres Everinga. - To jest przepowiednia cudów, jakie nastąpią w tym roku. Cud wody, cud ziemi i cud nieba, które potwierdzą, że nasi bogowie wciąż są z nami.

Cameron znów drgnął, jakby chciał mu wyrwać papier z ręki, lecz zmarł, gdy stojący za nim wojownik położył mu dłoń na ramieniu. Twarz Arnolda odzwierciedlała burzę miotających nim emocji.

Na odwrocie wykresu widniało mnóstwo słów, rysunków i irokeskich symboli. Rysunek pióra, nie zwyczajnego, lecz pomalowanego w pasy, jakie zostawiono przy zakrwawionym kompasie. Irokeskie słowa zapisane fonetycznie. Szkice ludzi i zwierząt, jakie Duncan widział na wampumie w Edentown, ale także rysunki węży, chat i ptaków. Niektóre z nich sporządził Eving, lecz teraz Duncan zrozumiał, że część narysowała Sarah Ramsey.

Wódz Seneków znów odwrócił wykres mapą nieba do góry i poważnie spojrzał na Arnolda. We wbitych w mapę oczach Tashgui malowała się dziwna tęsknota.

- Wasz bóg jest gniewny - rzekł Seneka. - Nie mógł znieść tego, że taki prorok chodzi po ziemi.

Duncan ujrzał gniewny błysk w oczach Arnolda. Zaraz jednak duchowny wziął się w karby.

- Ty i ja opuścimy ten świat w wyznaczonym czasie i próżno się temu opierać. Nawet na proroka przychodzi jego godzina - rzekł zduszonym głosem do wodza.

Jedno krótkie słowo Tashgui przerwało milczenie, które potem zapadło. Indianie zaczęli wstawać.

- Otrzymaliśmy błogosławieństwo - oznajmił Conawago i podniósł się, po czym podał rękę Duncanowi.

Jednak Duncan, jak zaczarowany, nie wstał, tylko wpatrywał się w wykres Evinga. Wyciągnął rękę i dotknął pobielalego skraju kartki, a potem polizał palec. Jako członek klanu żyjącego z morza nie mógł się mylić. Ten papier moczył się w słonej wodzie. Nagle Duncan uświadomił sobie, że wszyscy odeszli - oprócz jednej osoby. Został sam z Tashgą i drzewem. Szaman mierzył go spokojnym, znużonym spojrzeniem. Przez moment Duncan miał ochotę nisko mu się pokłonić. Jednak nagle szaman podniósł rękę, zacisnął pięść i uderzył się w pierś, a potem spiralnym ruchem uniósł ku niebu dłoń z dwoma wyprostowanymi palcami. Duncan bez namysłu powtórzył ten gest. Zmarszczki na twarzy szamana zmieniły układ i Duncan pojął, że stary się uśmiecha. Szaman skinął na Duncana, po czym podszedł i usadowił się na ziemi między korzeniami drzewa. Szkot z dreszczem niepokoju zobaczył, jak Tashgua unosi grzechotkę, i o mało nie rzucił się do

ucieczki, gdy szaman potrząsnął nią nad jego głową.

Szaman ponownie się uśmiechnął, mierząc go hipnotyzującym spojrzeniem. Nagle Duncan uświadomił sobie, że Tashgua trzyma go za rękę i wodzi nią po wydrążonym pniu, tak by jego palce dotykały wyrzeźbionych niedźwiedzi, a potem pokazuje, jak łagodnie pocierać i postukiwać drewno, aby wydobyć z kłody przeciągły, niesamowity jęk. Raz, drugi i trzeci Duncan otwierał usta, by wyznać, że ma świętego niedźwiedzia, lecz za każdym razem coś go powstrzymywało, aż w końcu pojął, że słowa są niepotrzebne. Znużone, mądre oczy Tashgui spoglądały na niego z dziwnym zadowoleniem i Duncan uświadomił sobie, że dłonie szamana znów ściskają korzenie dębu, a to on sam wydobywa z bębna cichy pulsujący rytm, jak bicie serca prastarego drzewa.

Powoli uporządkował chaos swoich myśli, pozwalając pomrukowi bębna zapanować nad swym umysłem i ciałem. Gdy w końcu wstał, Tashgua miał zamknięte oczy. Duncan jeszcze raz spojrzął na wykres Everinga, po czym przeszedł tyłem kilka kroków, zanim wrócił na ścieżkę. Niewiele rozumiał z tego, co szaman dokonał tego dnia, lecz w jakiś sposób przy tym drzewie w końcu odkrył prawdę o tym, co się zdarzyło na statku. Na ścieżce przystanął i obejrzał się za siebie. Z daleka Tashgua wyglądał jak część drzewa.

Gdy Duncan minął szczyt wzgórza, zobaczył tuzin cuchnących smołą mężczyzn w niedopasowanych czerwonych kurtkach, prowadzonych do obozu przez grupę Szkotów i Irokezów pod dowództwem Jamiego. Lord Ramsey wyprawił w pole resztę swojej milicji. Duncan zawahał się, powstrzymując chęć ucieczki, gdy nagle zobaczył Sarah.

Ludzie Kompanii, rozbrojeni i przerażeni, zupełnie oniemieli, gdy ich konwojenci zaczęli szydzić z nich po gaelicku.

- W imieniu króla! - zawołał gniewny głos za ich plecami.

Pojawił się lord Ramsey, gwałtownie rozepchnąwszy na boki odzianych w czerwone kurtki ludzi.

- Jak śmiecie nas tak traktować! Czy toczyliśmy wojnę z Irokezami? - zawołał Ramsey. - Czy nasz ukochany król Jerzy nie jest odwiecznym przyjacielem Sześciu Plemion?

Stojący na skraju polany Jamie zawołał coś po irokesku, zapewne tłumacząc jego słowa nieznanym angielskiego Indianom. Irokezi i Szkoci zareagowali podobnie, szepcząc między sobą i marszcząc brwi.

- Oddajcie nam broń!

- To święte miejsce - powiedział do Ramseya Jamie. - Jak sięga ludzka pamięć, nie pozwalano tu nosić broni nikomu prócz strażników.

Ramsey obrzucił go gniewnym wzrokiem.

- Przybywam tu jako pułkownik milicji Edentown paktować z naszymi irokeskimi przyjaciółmi - odparł. - Nie ze szkockimi włóczęgami. - Arnold, który przecisnął się przez tłum, szepnął mu coś do ucha. - I na pewno nie - dodał z triumfalnym błyskiem w oku Ramsey - ze zdrajcą. Panie, uważaj się za aresztowanego. - Przez moment z wściekłością spoglądał na Duncana. - Razem ze swym godnym pogardy bratem - dorzucił. - Wojsko wie, jak postępować ze zdrajcami. Jednak zbiegły niewolnik pozna sprawiedliwość Ramseya - syknął do Duncana.

Na twarzy Jamiego pojawiło się rozbawienie.

- Powinieneś występować na scenie. Publiczność zawsze lubi tych, którzy udają żołnierzy. - Uśmiech znikł z jego warg. - Wielki szaman chce z tobą rozmawiać, dlatego jesteś gościem w naszym obozie. W przeciwnym razie zatrzymalibyśmy ciebie i twoich malowanych żołnierzyków już dziesięć mil w dół strumienia. Jestem tutaj, by dopilnować, żebyś przestrzegał reguł tego świętego miejsca.

Ramsey spojrzał na obóz.

- Nie kpij ze mnie - warknął. - Tu nic nie ma oprócz błota, kości i krzaków.

- To tylko przedpokój. Za wzgórzem znajduje się katedra, co wielebny Arnold niewątpliwie potwierdzi. Każdy, kto chce tam pójść, musi się oczyścić.

- Nie mogę tego zrobić, dopóki nie odzyskam tego, co mi skradziono - warknął Ramsey, trzymając dłoń na kolbie pistoletu. - Nie zamierzam znośić takich ceremonii, dopóki złodzieje mają brudne ręce. Macie dokument Ramseya. Macie dziedziczkę Ramseya.

Przed Jamiem pojawiła się jakaś wysoka postać. Łowca Kruków bez słowa wskazał Ramseyowi wejście do obwieszanej kośćmi chaty. Lord był bliski wybuchu, ale skinął na Arnolda i razem ruszyli za roslym Irokezem, a Duncan, Woolford i Conawago szli kilka kroków za nimi.

Wewnątrz było ciemno, a w powietrzu unosił się aromatyczny dym. Po drugiej stronie, pod jednym z kilku otworów w dachu, przy ognisku siedział wódz w lisiej skórze, obok krępej irokeskiej kobiety w sukni z kozłej skóry ozdobionej barwionymi piórami. Kiedy goście usiedli, kobieta wyciągnęła

zgrabne dłonie, kierując dym w ich stronę. Łowca Kruków wziął z kąta długi cylinder z brzozonej kory zszytej skórzanymi tasiemkami i wyjął z niego zwój pergaminu. Ramsey o mało nie rzucił się na niego.

- To należy do mnie! Oddaj to natychmiast!

Onondaga zignorował lorda.

- Te słowa zostaną wypowiedziane jutro przy drzewie i wtedy zobaczymy. Sługa waszego boga czytał swoją Biblię. Ty przeczytasz ten papier.

- Panie, nie będziesz mi niczego dyktował!

Łowca Kruków nachylił się do Duncana i Woolforda.

- Nasi ludzie są zaniepokojeni. Zastanawiają, się czy stare duchy jeszcze ich słuchają. Słusznie myślą o tym nowym, mającym moc dawania ziemi na własność. - Odwrócił się do Ramseya. - Pójdiesz do drzewa i odczytasz ten dokument, aby sprawdzić, czy mówi prawdę.

Ramsey poczerwieniał.

- Prawdę? To słowa króla!

- Od kiedy rosną drzewa i płynie woda, nikt z naszego ludu nie posiadał ziemi na własność. Pożyczamy ziemię od bogów, pod pole kukurydzy lub zagon dyń, czasem pod obozowisko. Oddajemy ją, kiedy skończymy. Teraz pojawia się nowy bóg i nakłania ludzi, żeby to wszystko zmienili, tak by jedni mieli ziemię, a inni nie. Nie wątpimy, że macie za sobą silnego ducha. Teraz próbujemy zrozumieć, czy stare duchy, które władały tą ziemią od czasów jej stworzenia, życzą sobie, by wasz duch także stał się duchem *Haudenosaunee*. Wówczas w końcu zrozumiemy waszą wojnę.

- Naszą wojnę! - oburzył się Ramsey. - Teraz kpisz z króla! Podpisano traktaty w Albany. Złożono obietnice.

- Dla tych, którzy muszą walczyć i krwawić, wojna to bardzo osobista sprawa - rzekł spokojny głos. Conawago kierował te słowa do siedzących przy ognisku. - Łatwo mówić o dalekich królach i dalekich bitwach. Inaczej jest, gdy przelewa się krew swoich synów i córek.

- Zapłacicie mi za to, co zrobiliście z moją córką - prychnął Ramsey. - Zobaczącie...

Groźba zamarała mu na ustach, gdy jego spojrzenie padło na postać widoczną przez drzwi chaty. Sarah w eleganckiej i ozdobionej piórami sukni znajdowała się na polance przed chatą, razem z Alekssem i starą Indianką chodząc między ludźmi Kompanii, roznosząc wodę i podpłomyki. Ramsey

zerwał się na równe nogi i pobiegł, lecz zatrzymał się po kilku krokach, jakby nie wierząc własnym oczom. Ludzie Kompanii na jego widok odwrócili głowy, ale Sarah nie zwróciła na niego uwagi. Zachowywała się jak pani wioski, podejmująca gości. A Ramsey patrzył na nią tak jak jeden z tych, którzy nazywali dziewczynę czarownicą.

- Twoja córka nie jest jeńcem - powiedział Woolford do pleców Ramseya.

- Zatem uciekła, by odnaleźć tych, którzy ukradli mój dokument - rzekł po chwili Ramsey. - W jej żyłach płynie krew Ramseyów. Dlatego darzą ją szacunkiem.

- Ona nie bierze udziału w twojej kampanii, panie - wtrącił Duncan.

Ramsey znów poczerwieniał z gniewu, odwracając się do niego.

- Gdyby nie to... to święte miejsce, na początek kazałbym cię powiesić za ręce na drzewie. Kiedy będziemy gotowi, McCallum, zawlecemy cię do domu w kajdanach. - Lord znów spojrzał na swoją córkę. - Wielebny Arnold i ja już zdecydowaliśmy, co trzeba z nią zrobić. W Filadelfii jest chirurg leczący choroby mózgu. Zgodził się zrobić trepanację.

- Chcecie otworzyć jej czaszkę? - wykrztusił Duncan.

- Przewiercić. To standardowa procedura. Na podstawie jej zachowania stwierdził, że musi tam być jakaś narośl, którą trzeba wyciąć.

- Słyszałem o żołnierzach, którzy przeszli tę operację - rzekł z przygnębieniem Woolford. - Po niej patrzą, nie widząc, i trzeba ich wszędzie prowadzić. Są niczym puste skorupy.

- Ten lekarz w Filadelfii ma na swoim koncie wielkie sukcesy - odpałił Ramsey i zamilkł na widok podchodzącej córki.

Powitała go w mowie Irokezów, tak jak innych, po czym wsunęła mu do ręki podpłomyk. Przez moment ojciec i córka patrzyli sobie w oczy, po czym Ramsey upuścił podpłomyk na ziemię. Sarah już miała coś powiedzieć, gdy nagle z lasu wypadł zdyszany mężczyzna w uniformie milicji, z zakrwawioną twarzą.

- Huroni! - krzyknął. - Huroni nadchodzą!

Jamie spojrzał na zaskoczonych ludzi i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

O świcie następnego dnia powoli wchodzili po niskim, lecz stromym zboczu - najpierw Tashgua i Irokezi, potem Ramsey, Arnold i Conawago.



Idący na końcu Woolford i Duncan wciąż przystawali, by spojrzeć za siebie. Większość nocy spędzili w lesie z kilkoma ludźmi Kompanii, na próżno szukając Huronów. Na szczycie wzgórza Tashgua zarządził nieoczekiwany postój, posyłając przodem Łowcę Kruków z Irokezami. Zaczekał, aż syn pojawi się na jednym z głazów na dole, i zagwizdał. Przyczyna tej zwłoki stała się oczywista, gdy dotarli na dno dolinki. Na świętej ziemi pojawili się inni goście. Cameron siedział na ziemi, pilnowany przez Irokezów, przed siedmioma odzianymi w szkarłatne kurtki postaciami. Pike i jego ludzie gniewnie spoglądali na strażników, którzy rzucili ich broń na stos na brzegu strumienia.

Duncan i Woolford wymienili zaniepokojone spojrzenia. Do tej dolinki podobno nie można było się dostać inną drogą.

Tymczasem Ramsey nie wyglądał na zaskoczonego przybyciem oddziału Pike'a. Powitał ich skinieniem głowy, a potem wskazał postać nadchodzącą ścieżką za nimi. Pike wstał i też pokazał na Jamiego, jakby upewniając się, że jego żołnierze rozumieją, że tak długo poszukiwany zdrajca w końcu znalazł się wśród nich. Jamie obrzucił Pike'a gniewnym spojrzeniem, po czym spokojnie kazał swoim ludziom zabrać broń żołnierzy. Podszedł do chudego starego wodza, który stał z założonymi na piersi rękami, wyraźnie zziębnięty. Dobrodusznie otulił starego swoim futrem i nałożył mu swoją czapkę, po czym z zaniepokojoną miną poszedł w dół strumienia. Wodospad. Alex wspomniał, że Adam uciekł ścieżką biegnącą koło wodospadu.

Do obozu zaczęli przybywać następni Indianie. Nieco później tego dnia miała się zacząć *oketua*, ceremonia pogrzebowa. Conawago ostrzegwał, że rozmowa Tashgui z Ramseyem może potrwać cały ranek. Trzeba odmówić modły, spalić tytoń, wspólnie wypalić fajkę, a Tashgua nie pozwoli Ramseyowi odczytać dokumentu, dopóki nie zbierze się cała rada.

Gdy nowo przybyli rozmawiali z innymi Irokezami, Duncan i Woolford wymknęli się z obozu i przeszli pod urwiskiem, szukając czegoś, co mógł tu przynieść Pike - skrytki z bronią, dowodu, że to pułapka - a kiedy nic nie znaleźli, ich niepokój jeszcze wzrósł.

- Jeszcze trochę a urazicie naszego gospodarza - powiedział głos spomiędzy głazów, gdy doszli do wodospadu.

Jamie wyszedł zza skał, zastępując im drogę.

- Jesteś strażnikiem tego miejsca - oskarżycielsko rzucił Woolford. - Jak się przedostali?

- Jest nas za mało - odparł Jamie. - Jedni muszą pilnować w obozie Ramseya i jego ludzi. Inni wypatrywać w lesie Huronów.

- To podstęp. To ostrzeżenie przed Huronami miało odwrócić waszą uwagę. Co robi tu Pike i jego oddział? - zapytał brata Duncan.

Jamie wskazał na Woolforda.

- Tu masz jednego z nich. Zapytaj go.

- Wiesz, że to nieprawda - warknął Woolford.

- Czy nie macie z Pikiem jednego płatnika? - chłodnym tonem zapytał Jamie. - Wy wszyscy trzymacie się razem. Nie możecie się doczekać, kiedy w swoich nowojorskich rezydencjach będziecie się chwalić przy kieliszku brandy, ilu zabiliście pogan.

- To cholerne kłamstwo i dobrze o tym wiesz! - prychnął Woolford.

Wyglądało na to, że zaraz rzuci się na Jamiego.

- Jeśli się nie mylę - rzekł do brata Duncan - to ich płatnik przez kilka lat był także twoim. - Spojrzał Jamiemu przez ramię. - Przyszli przez wodospad?

- Tak. Zwykle wystawiamy straż na ścieżce do drzewa. Tashgua powiedział, że to już niepotrzebne. On się nie boi. Nie zna strachu. Duchy już zdecydowały, co ma się stać - tak mi powiedział, gdy próbowałem się sprzeciwić.

- To nie duchów się boję, lecz Pike'a i Ramseya - naciskał Duncan. - Nienawidzą się, ale nagle są w wielkiej przyjaźni. Sprawdziłeś szlak, którym tu przyszli?

- Na brzegu są ślady trzech kanu.

- Kanu? - zapytał Woolford. - Pike nie ma kanu.

- Ramsey- rzekł Jamie. - Milicja Ramseya ma łodzie. Dwie z nich były zakryte plandekami, duże transportowe łodzie z baryłkami rumu i mąki.

- Zatem ktoś musi je odnaleźć i zobaczyć, co przewożą - nalegał Duncan.

- I wpaść w zasadzkę? Nie moi ludzie.

- Zasadzka już została zastawiona - odpalił Duncan.

- Ludzie Pike'a nie mają broni - powiedział jego brat. - Wyjaliśmy krzesiwa z ich muszkietów, zabraliśmy im noże.

Duncan popatrzył na dolinę, czując rosnący strach.

- Musisz uciekać, Jamie. Pike chce twojej krwi bardziej niż czegokolwiek na świecie. Nie oddałby broni, mając ciebie tak blisko, gdyby nie miał jakiegoś planu.

Jamie spojrział w dolinę, gdzie pod drzewem siedzieli trzej starzy wodzowie.

- Nie zostawię Tashgui. On uratował nam życie pod Ticonderogą i ochronił, gdy inni Irokezi mówili, że należy nas przekazać do Albany. Gdy w zeszłym roku większość jego ludzi zginęła, pozostali z nas poprzysięgli go chronić.

Woolford zrobił krok naprzód, w kierunku wodospadu.

- Zejdę tam i poszukam śladów.

Jamie uniósł pałkę.

- Ludzie Woolforda też zginęli w zeszłym roku - przypomniał mu Duncan.

- Tak. A wojsko obwinia nas i o to.

- Może ma powody - zauważył zjadliwie Woolford.

- Do diabła z tobą, Angliku. Ciebie nie interesuje prawda.

- Przepłynął przez Atlantycką, żeby odszukać Adama i dowiedzieć się prawdy - zauważył Duncan.

- Zatem czemu pytacie mnie?

- Ponieważ Adam zmarł - odparił Woolford. - Bo nie chciał rozmawiać z królewskim oficerem.

- Wiele podróżywałeś na próżno. Do Szkocji. I tutaj. W poszukiwaniu Szkotów, którzy nie chcą z tobą rozmawiać.

Woolford z przygnębieniem odwrócił głowę.

- Kiedyś razem chodziliśmy po lesie, Jamie - powiedział po chwili.

- To było w innym życiu.

- Zwiadowcy i twoi ludzie mają wiele wspólnego - podsunął Duncan.

- Nie waz się mówić w imieniu moich ludzi - warknął Jamie.

Uniósł ciężką pałkę, by uderzyć nią w głowę podchodzącego Woolforda.

- W zeszłym roku razem próbowali wytropić morderców z Kamiennego Szlaku.

- Tego nie wiesz.

- To dziwne, że ty i twoi ludzie tak nienawidzicie zwiadowców, a jednak opiekujecie się ich grobami w misji. Jamie, w misji widziałem tego sierżanta, który w zeszłym roku został postrzelony i jako jedyny uszedł z życiem, gdy zastrzelono zwiadowców.

Jamie nic nie powiedział. Duncan wyjął z kieszeni kulę z muszkietu i rzucił bratu.

- Wyjąłem ją z jego nogi, w której tkwiła przez ostatnie dwanaście miesięcy.

Jamie spochmurniał, obracając kulę w palcach.

- Ramsey nienawidzi wojska - ciągnął Duncan. - Dlaczego tak się przyjaźni z Pikiem?

- Ty jesteś człowiekiem Ramseya, ty mi powiedz.

Duncan wyjął zza pasa grenadierską czapkę i przycisnął do piersi.

- Wziąłem ją ze skrytki Ramseya, w której schował ją jak największy skarb.

Jamie nie odrywał oczu od czapki.

- Czterdziesty dziewiąty wysłano na północ. Daleko stąd.

- To niekoniecznie oznacza, że byli tutaj żołnierze z czterdziestego dziewiątego - rzekł Woolford. - Może ktoś miał dostęp do magazynów, gdzie są składowane mundury. Na przykład ktoś z otoczenia generała, kto wziął je w tajemnicy.

- A co, jeśli zabójcy z zeszłego roku nie przybyli tu, by zabić Irokezów? - zapytał Duncan. - A jeśli przybyli, by zabić dezertersów z Czarnej Straży, a Irokezi po prostu weszli im w drogę i stali się świadkami czegoś, co nie powinno wyjść na jaw?

Jamie znieruchomiał.

- Nie mogli wiedzieć. To, co się tu dzieje, jest tajemnicą nawet dla wielu Irokezów. Intruzi w ogóle nie wiedzą, gdzie się znajduje to miejsce.

Woolford sapnął. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- W zeszłym roku Pike zażądał od zwiadowców raportu na temat lokalizacji świętych miejsc Irokezów, aby oddziały wojska mogły je omijać.

- Tego drania nie obchodzi... - zaczął Jamie i umilkł, gdy nagle zrozumiał.

- Co się stało na tym wzgórzu nad Ticonderogą? - zapytał Duncan.

- Był tam jakiś człowiek ubrany po cywilnemu. Rozmawiał z Huronami i mężczyzną w myśliwskim stroju.

- Zdrajca! - prychnął Woolford.

- Nie widzieliśmy jego twarzy. Posłał za nami Huronów, którzy odcięli nam drogę. Zabiliby Tashguę, gdybyśmy z nim nie zostali.

- Pike - szepnął Woolford - zawsze przegrywał duże sumy. Miał ogromne długi. A jednak w zeszłym roku zaczął nosić koronki i złote pierścienie.

Wszyscy trzej oszołomieni spoglądali na dolinę.

- Nie powinno być trudno dowiedzieć się, kiedy spłacił swoje długi - rzekł Duncan.

- Podczas tej bitwy popełniano jeden błąd po drugim - rzekł spięty Woolford. - Barki z moździerzami skierowano do niewłaściwego kanału, tak że dostały się pod ostrzał francuskich dział. Oddziały posyłano do ataku na opuszczone pozycje.

Znów zapadła pełna napięcia cisza. Jamie oparł się o głaz, jakby nie mógł ustać na nogach. Po chwili Woolford przecisnął się obok niego i zniknął, zmierzając w kierunku wodospadu.

- Dzisiaj nie chodzi o Pike'a - powiedział do brata Duncan.

- On nadal chce mnie zabić.

- I zaraz potem mnie, jeśli tylko będzie mógł. A jeśli nie on, to Ramsey.

- Nie boję się takiego krzykacza jak Ramsey - rzekł Jamie, lecz w jego głosie słychać było niepokój.

- Jeśli w zeszłym roku pod Ticonderogą to Pike był u Huronów, z pewnością pracuje dla Francuzów. Wczorajsze ostrzeżenie było podstępem mającym odciągnąć twoich ludzi. Brakuje połowy Kompanii Ramseya i Hawkinsa. - Duncan odwrócił się, żeby spojrzeć na zgromadzonych pod wielkim drzewem. - Ramsey nie zamierza czekać, aż Pike owi się powiedzie. On pragnie twojej śmierci, Jamie. Jego bronią jest Hawkins. Na Boga, weź swoich ludzi i odejź.

Kiedy jednak Duncan się odwrócił, jego brat już zniknął.

Gdy Duncan wrócił pod drzewo, Tashgua skończył mówić o duchowym życiu swego ludu i oddał głos Ramseyowi. Lord najwyraźniej miał kłopoty z panowaniem nad sobą i w jego oczach płonęła nienawiść, gdy wódz wyjął dokument z tulei zrobionej z kory. Przez moment wydawało się, że Ramsey znów zaatakuje starego Indianina. Jednak nagle między nimi pojawiła się smukła postać w sukni z jeleniej skóry. Sarah wzięła pergamin od Tashgui, rozwinęła go i pokazała ojcu. Ramsey niepewnie spojrzął na córkę, odkaszlnął i zaczął głośno czytać królewski dokument. Po każdym zdaniu Sarah opuszczała pergamin i tłumaczyła gromadzie zgromadzonych Irokezów, teraz liczącej ponad trzydzieści osób. Wodzowie słuchali w skupieniu, niektórzy wpatrywali się przy tym w drzewo.

Gdy Ramsey skończył i wyczekująco podniósł głowę, ujrzał przed sobą Lowcę Kruków, podającego mu jedną z jego peruk nadzianą na laskę z niedźwiedzim łbem.

- Teraz stań się tym i przeczytaj to jeszcze raz.

- Bzdura - rzucił Ramsey takim tonem, jakim zwracał się do swych sług.

Lowca Kruków odwrócił się i wskazał na inne peruki ułożone rządkiem na kłodzie.

- Przemówisz jako każdy z tych ludzi, za których się podajesz.

Ramsey zacisnął zęby, zerknął na Arnolda i wziął perukę. Kiedy skończył, wódz w lisiej skórze wstał i przemówił do niego:

- Co zamierzasz zrobić z tą ziemią, jeśli da ci ją twój pan? - zapytał z namysłem.

- Podporządkuję ją ludziom - odparł Ramsey. - Zbuduję wielkie miasta. Zmienię skały w broń, drzewa w domy, strumień w młyn, który wyżywi pięciuset ludzi. Co wy zrobiliście z tą ziemią? - zapytał, wskazując na porośnięte lasem wzgórza. - W waszych rękach to pustkowie. Czy dokonaliście tu czegoś przez te wszystkie wieki?

Lowca Kruków przetłumaczył, po czym obszedł Sarah i Ramseya, gdy jego ojciec obserwował to z głębokim zaciekawieniem.

- Mówisz, że twój sposób życia nakazuje ci robić różne rzeczy, korzystając z ziemi - mówił dalej syn Tashgui. - Czy to jest źródłem twojej magii?

Przez moment Ramsey wyglądał na zaintrygowanego.

- Tak. Przeznaczeniem ludzi jest używać narzędzi, które im dano.

- A kiedy już nie będzie ziemi, w twoim świecie pozostaną tylko rzeczy. Czy one będą żywe?

- Nie. Dzięki nim będzie więcej ludzi, silnych ludzi.

- Zatem traktujesz ziemię jak martwą rzecz. Zabierzesz jej siłę. Jednak bez ziemi, bez niedźwiedzia, wydry, sowy i jelenia, jakie duchy będą żyły w ludziach? Te duchy nigdy nie będą silniejsze, niż są dzisiaj.

Duncan powoli się cofnął. Woolford wyłonił się spomiędzy skał.

- Dwie łodzie towarowe Ramseya są puste - powiedział mu zwiadowca, gdy Duncan do niego podszedł. - Ludzie Pike'a przenieśli ich zawartość tutaj. Poszukam po drugiej stronie - dodał Woolford i pobiegł.

Duncan natychmiast ruszył za drzewo, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Liczne ślady butów przy podstawie pnia wskazywały, że ludzie Pike'a

wielokrotnie przechodzili tam i z powrotem. Nagle padł na niego jakiś cień. Krępy sierżant Pike'a, ten, który niedawno stał z kajdanami nad Duncanem, gapił się na niego z gniewnym błyskiem w oku, otwierając i zaciskając pięści, jakby chciał się na niego rzucić. Duncan przesunął się na bok, a potem nagłym zwodem go ominął, wychodząc na otwartą przestrzeń obok siedzących tam Irokezów.

Teraz przemawiał Arnold, trzymając w dłoni zwinięty rulon pergaminu, mówiąc ze swadą, jakby wygłaszał wielokrotnie przećwiczone kazanie. Kiedy skończył, wepchnął dokument do rękawa płaszcza, położył go na kłodzie, na której siedział, po czym podszedł do żołnierzy, a ci, jakby na umówiony sygnał, podnieśli się z pnia i rozstąpili na boki, ściągając koc, który zakrywał dwie drewniane baryłki. Sierżant podszedł do nich, postawił jedną baryłkę na płaskim głazie i kamieniem zaczął podważać zalany woskiem wiklinowy pierścień przytrzymujący wieczko. Arnold zaczął wyjmować różne przedmioty, odwijając je ze skórzanych zawinątek i podając Indianom. Grzebienie. Krzesiwa. Kubki z rogu. Cynowe łyżki.

Wśród zebranych Irokezów rozległ się szmer ekscytacji. Łowca Kruków spoglądał na to z niesmakiem. Tashgua pozostał niewzruszony. Sierżant podniósł drugą beczkę, postawił ją na dwóch kłodach i wyjął szpunt. Z otworu zaczęła się sączyć gęsta maź. Miód.

Arnold gestem przywołał Indian, po czym poprowadził ich do drzewa i w ciemny otwór dziupli. Duncan z gwałtownie rosnącym niepokojem podążył za nimi. Żołnierze zmienili dziuplę w magazyn. Około czterdziestu beczek ustawiono w wysoki na pięć rzędów stos. Wszystkie miały wypaloną literę R - były to te same beczki, które Duncan widział w piwnicy Ramseya. Gdy Arnold zaczął mówić o tym, że są to dary, jakie należy rozdzielić pomiędzy poszczególne plemiona, Duncan obserwował żołnierzy, którzy dwieście stóp dalej rozpalili ognisko i napełniali Irokezom cynowe kubki.

Pozostał w środku, gdy wodzowie wyszli się napić gorącej herbaty zaparzonej przez żołnierzy. W świetle wpadającym przez dziury i szpary u podstawy pnia pospiesznie szukał ukrytej broni. Nie było żadnej, tylko beczki z darami dla Irokezów, mające być dowodem siły chroniącego Ramseya ducha. Duncan wyszedł z mrocznego wnętrza i ponownie obszedł potężny pień, niczego nie znajdując. Na pniu przed nim leżał płaszcz i kapełusz Arnolda. Obok znajdował się wydrążony pień, którego poprzedniego dnia Tashgua i jego syn używali jako bębna. Arnold był przy ognisku, razem

z Ramseyem, nalewając herbatę z dzbana. Tashgua siedział dziesięć stóp dalej, z zamkniętymi oczami, szepcząc coś śpiewnie. Jednym szybkim ruchem Duncan wyjął dokument z rękawa płaszcza Arnolda i wsunął w wydrążony pień. Oburącz podniósł bęben i niespiesznie zaniósł do dziupli, gdzie przykleknął na środku, w kręgu światła wpadającego przez otwór. Podniósł głowę i zobaczył spoglądającego na niego Arnolda. Skinął duchownemu głową i powoli przesunął dłoń po pniu. Arnold spojrział na niego z urazą i zrobił krok w jego kierunku, lecz powstrzymała go Sarah, która wzięła go pod rękę i poprowadziła w przeciwną stronę. Z powrotem do ogniska.

Nagle Duncan zobaczył Woolforda, który rozpryskując wodę, przekroczył strumień i pędem ruszył w kierunku obozu. Pełen złych przeczuć Duncan patrzył, jak zwiadowca znika za skałami. Nie odważył się iść za nim, zostawiając Ramseya z Indianami.

Irokezi podziwiali dary, ważąc w dłoniach rogi na proch rozdawane przez sierżanta i podchodząc, gdy inni żołnierze Pike'a postawili beczkę z miodem przy pniu drzewa i skinęli na nich, by się zbliżyli i osłodziли sobie herbatę.

- Twoje serce - powiedział cichy głos u boku Duncana. - W swoich snach miała twoje serce.

Duncan obrócił się i zobaczył Tashguę siedzącego w swoim fotelu z korzeni. Pobrużdżona twarz Indianina wydawała się odwieczna, prastara, pełna tajemnic innych wieków, innych światów. Duncan mógłby siedzieć z nim wiele godzin i dni, by dowiedzieć się czegoś o życiu w puszczy sprzed nadejścia Europejczyków, chłonąc wiedzę, której nie da się przekazać słowami. Nagle uświadomił sobie, że w trakcie tej tak długo wyczekiwanej ceremonii stary szaman chciał rozmawiać o Sarah.

- Na morzu była straszna burza - rzekł Duncan.

Jeszcze nigdy nie czuł się przy nikim tak mały i nic nieznaczący.

- Matka wszystkich burz - skinął głową szaman, jakby tam był.

- Miałem umrzeć. Potem ona też miała umrzeć. Burza nas połknęła i wypłuła.

- Wiemy - powiedział szaman. - To był pierwszy cud. Cud wody.

Oddech uwiązał Duncanowi w gardle. Irokezi uznali uratowanie przez niego Sarah za pierwszy z przepowiedzianych cudów.

- Podczas tej burzy umarła część was obojga - powiedział Tashgua, zanim Duncan zdążył odpowiedzieć.



Duncan przełknął ślinę. Spojrzał na potężne drzewo i z przedziwną ulgą zrozumiał, że to prawda. Od kiedy ocalił Sarah, część jego życia istotnie umarła, aby nigdy nie odżyć, tak jak narodziło się coś zupełnie nowego.

- Nie jestem dość silny, aby być we snach Sarah.

Te słowa wyszły z jego ust i Duncan był tym zdziwiony. To dziwne, lecz Tashgua się uśmiechnęła.

- Jej sny są dla nas wszystkich. Nie panujemy nad nimi. Ona nie potrzebuje naszej siły. Potrzebuje naszego zrozumienia. Nie jest łatwo żyć w tym świecie i w tamtym jednocześnie.

Duncan uświadomił sobie, że nie jest pewien, o jakich światach mówi Tashgua. Zaraz jednak spojrzął na Irokezów i zrozumiał, że będą musieli porozmawiać o tym innym razem.

- Musisz im powiedzieć, żeby odeszli - poprosił.

Tashgua odpowiedział kolejnym anielsko łagodnym uśmiechem.

- Wiesz, że wszyscy będziemy tacy sami, na zawsze połączeni tym dniem.

- Żołnierze i lord Ramsey, oni... - Duncanowi zadrżał głos, gdy poczuł emanującą od starego siłę. - Proszę - dodał szeptem, sięgając do kieszeni po kamiennego niedźwiedzia.

Tashgua najwyraźniej wyczuł jego zamiary, gdyż powstrzymał go, unosząc dłón.

- Przyszliśmy tutaj, żeby duchy mogły do nas przemówić. Poza tym nic nie ma znaczenia - rzekł Tashgua i delikatnie położył dłón na piersi Dunca-na. - Czy mam twoje błogosławieństwo? - zapytał nagle szaman.

Duncan spojrzął na niego ze zdumieniem, gdy sztywne palce nagle ści-snęły jego dłón. Delikatnie odwzajemnił uścisk, a wtedy stary prorok wstał i wszedł do środka drzewa. Tam ze zdumieniem spojrzął na leżący w kręgu światła bęben, jakby przeniesiony do dziupli jakąś czarodziejską mocą, po czym usiadł przy nim, wodząc palcami po rzędach rzeźbionych zwierząt i powoli wydobywając z niego cichy, monotony dźwięk.

Duncan powoli wszystko rozumiał, przechodząc między Irokezami ze-branymi pod drzewem, słodzącymi herbatę miodem lub siadającymi na ziemi, gdy odgłos bębna przybierał na sile, wzmocniony przez puste wnętrze pnia. Dopiero teraz zauważył grenadierską zapalniczkę przy pasie jed-nego z żołnierzy. Zobaczył, że wszyscy żołnierze odchodzą, chociaż nie w

tym samym kierunku. Jeden, trzymając w dłoni długi róg z prochem wyjęty z beczki, wszedł w cień za drzewem. W powietrzu unosił się nikły zapach siarki. Pike stał z Ramseyem przy ognisku, daleko od drzewa. Wszystko działo się bardzo szybko. Na skalnym urwisku nad nimi zamigotało coś czerwonego. Żołnierz z zapalniczką szedł do drzewa. Arnold wziął swój płaszcz leżący obok na kłodzie. Conawago, przeszukujący głązy nad strumieniem, zamachał czymś do Duncana. To było narzędzie, długi ręczny świder. Gdy żołnierz zniknął za drzewem, Duncan zobaczył, że odpiął zapalniczkę od pasa i trzymał ją w dłoni.

Jego nogi zareagowały szybciej niż umysł, niosąc go w cień drzewa, gdy z jego ust wydobył się przeciągły jęk przerażenia. Wpadł na żołnierza od tyłu, obalając go na ziemię, lecz padający wprawnie rzucił kawałek tłącego się lontu krępemu towarzyszowi - sierżantowi Pike'a, który wysypywał zawartość rogu do otworu wywierconego w drzewie.

Duncan podniósł się z ziemi i skoczył na sierżanta, który obrócił się i kopnął go, gdy zapalniczka zrobiła swoje, podpalając wąski pasek czarnego prochu znikający we wnętrzu pnia. Gdy żołnierze rzucili się do ucieczki, Duncan chwiejnie wyszedł zza drzewa. Arnold krzyknął coś do niego, trzymając dłoń w pustym rękawie swojego płaszcza. Duchowny nagle zbladł, pojawiwszy, co Duncan zrobił z dokumentem. Upuścił płaszcz i rzucił się do leżącego w środku pnia bębna.

Duncan krzyknął do Indian, żeby uciekali. Większość niepewnie spojrzała na niego, a potem na Tashguę. Pike wściekle wykrzykiwał rozkazy i dwaj żołnierze rzucili się na Duncana. Na skalnej ścianie huknął strzał i stary wódz w wilczurze Jamiego zachwiał się. Towarzysze chwycili go, zanim upadł. Kilku Indian ruszyło się, gdy Conawago powtórzył ostrzeżenie Duncana, a wtedy pojawił się przy nich jeszcze ktoś, rozpaczliwie wołając do nich w ich języku. Duncan odwrócił się, gdy Sarah odepchnęła kilku wodzów i rzuciła w kierunku dziupli, w której znikł Arnold.

Duncan pochylił się i skoczył na nią, łapiąc ją i przerzucając sobie przez ramię, nie zwalniając kroku, gdy tłukła go pięściami po plecach, raz po raz wykrzykując to samo irokeskie słowo. Rzucił ją na ziemię za najbliższym głazem i nakrył własnym ciałem, gdy z potwornym rykiem nastąpił koniec świata.

## Rozdział 15

Duncan jako pierwszy wstał w okropnej ciszy. Zobaczył istne pobojo-wisko. Jeden z żołnierzy, którzy usiłowali go powstrzymać, leżał na ziemi, tępo spoglądając na niego i ściskając koniec grubej szczapy, która na wylot przebiła mu szyję. Drugi żołnierz leżał martwy, z ciałem przesytytm przez co najmniej tuzin drzazg z beczki, w której był proch.

Większość Irokezów też leżała na ziemi, wielu zabitych lub umierających. Duncan powoli się podnosił, zobaczył, że Sarah jest ogłuszona, lecz nietknięta, po czym podbiegł do Irokezów i pochylił się nad wodzem, który nosił czapkę i płaszcz Jamiego. Tył jego głowy był strzaskany. Nie zabiła go eksplozja.

- Przeleciał w powietrzu - rzekł zgnębiony głos za jego plecami, gdy Duncan nachylił się nad starym Seneką w czapce z lisiej skóry. Conawago patrzył na inną postać leżącą na ziemi sto stóp dalej.

- Widziałem jego twarz. Nie było na niej strachu. Ani zdziwienia.

Leżący u jego stóp wódz był martwy. Duncan wstał, powiódł wzrokiem za spojrzaniem Conawago i podbiegł do nieruchomej postaci, gdy kilku ocalałych Irokezów podniosło okropny lament, przy akompaniamencie krzyków dobiegających od ogniska. Tam Ramsey krzyczał na Pike a, wskazując na wzgórze.

Niewiarygodne, lecz ciało Tashgui było całe. Widocznie stał przy wyjściu i siła eksplozji wyrzuciła go na zewnątrz. Miał strzaskany kręgosłup i czaszkę wgniecioną od uderzenia o skałę. Gdy Sarah wstała z okrzykiem rozpaczy, Duncan błyskawicznie sięgnął do kieszeni, po czym wsunął dłoń pod ciało szamana. Wstał, gdy Sarah podbiegła do niego z twarzą zalaną łzami, i cofnął się, gdy osunęła się na ziemię przy zwłokach szamana. Kiedy Duncan odwrócił się do pozostałych Irokezów, na ścieżce nad obozem pojawiły się kolorowe plamki. Zobaczył szereg wlokących się mężczyzn w źle dopasowanych

czerwonych kurtkach. Ramsey przestał wrzeszczeć na Pike'a, gdy rozpoznał postacie na ścieżce. Były to resztki jego milicji razem z Hawkinsem i trapezami. Wszyscy byli związani. Ludzie Jamiego oraz kilku zwiadowców Woolforda sprowadzili ich ze wzgórza.

Jęk bólu sprawił, że Duncan znów skupił uwagę na pobojuwisku. Zobaczył, że Irokezi nie jęczeli z powodu ran, lecz na widok losu, jaki spotkał ich święte drzewo. Wszyscy spoglądali w tym samym kierunku, na dymiący i płonący kikut pnia. Większa część drzewa leżała w kawałkach porozrzucanych na wszystkie strony. Trzydziestostopowa pozostałość poruszała się i chwiała, skrzypiąc. Przeciągły, szarpiący uszy trzask, z jakim oddzieliła się od podstawy, był najstraszniejszym dźwiękiem, jaki Duncan słyszał w swoim życiu - ostatnim tchnieniem wiekowej istoty. Patrzyli oniemiała, jak drzewo runęło, wstrząsając ziemią, tak że kilka głazów oderwało się od skalnej ściany i potoczyło w dół. Ramsey przyniósł *Haudenosaunee* cud swej nauki.

Doszedłszy do siebie, Duncan zaczął szybciej przechodzić od jednego Indianina do drugiego, zaciskając zęby na widok kolejnych ofiar masakry. Tors jednego ze starych Irokezów został niemal rozdarty na pół przez kawał drewna wielkości lemiesza. Wszyscy Indianie, którzy znajdowali się przed dziuplą, zginęli, w tym wiekowa i uśmiechnięta Indianka, która pomagała Sarah w wiosce. Niektórzy nie mieli żadnych obrażeń, poza krwią płynącą z uszu i nosów. Duncan patrzył z sercem w gardle, jak Conawago krząta się przy nich, zamykając im oczy, unosząc martwe ręce i zaciskając palce na skórzanych woreczkach z talizmanami, jakie każdy z nich nosił na szyi. Duncan wziął się w garść, wyjął koszulę ze spodni i zaczął oddzierać z niej pasy na bandaże. Musiał zająć się tymi, którzy jeszcze żyli. Pracował bez wytchnienia przez godzinę, opatrując rany przyniesionym przez Conawago mchem, wyjmując ostre drzazgi z rąk i nóg, machinalnie notując, że Jamie kazał pozostałym przy życiu żołnierzom Pike'a zdjąć koszule i podrzeć je na bandaże. Każdy opatrzony ranny wstawał, nie korzystając z jego pomocy, po czym uparcie kusztykał do martwego szamana.

- Dwudziestu dwóch zabitych - ponuro oznajmił Woolford. - Włącznie z tymi dwoma, którzy byli w drzewie.

Arnold. Duncan przerwał pracę, rozglądając się za duchownym.

- Znaleźliśmy jego dłoń, z pierścieniem na palcu, którą wybuch odrzucił w dolinę. Reszta to głównie proch w środku pniaka.

- Zdążyłeś powstrzymać milicję.
- W ostatniej chwili. Mieli rozkaz otworzyć ogień do pozostałych przy życiu Indian i dezertarów.

Nagle nastrój ocalałych uległ zmianie. W głosach stojących najbliżej ciała szamana zdawała się pobrzmiwać radość. Najstarszy z pozostałych przy życiu wodzów wysoko podniósł rękę, w której trzymał jakiś czarny przedmiot. Dały się słyszeć okrzyki nabożnego podziwu.

Conawago przez chwilę spoglądał na to ze zdumieniem.

- To cud - rzekł, znacząco patrząc na Duncana. - Chyba odkryli ich prastary posążek niedźwiedzia, zaginiony podczas masakry w zeszłym roku. Mówią, że krew Tashgui skłoniła go do wyjścia z ziemi. Uważając, że to słowo prawdy drzewa, jego ostatnie słowo i powód, dla którego Tashgua wezwał ich tutaj. To cud ziemi, na który czekali.

- Przecież to nie... - zaczął zaskoczony Woolford. - Munroe zabrał to ze...

Zwiadowca powoli odwrócił się do Duncana i w jego oczach zapalił się błysk zrozumienia. Usiadł na kamieniu, a na jego twarzy malowało się poczucie winy zmieszane z wdzięcznością.

- Co ona mówiła? - zapytał po chwili Duncan. - Jakie słowo powtarzała Sarah, kiedy zrozumiała, co się stanie?

Conawago odpowiedział mu szeptem:

- Ojciec. To słowo oznacza ojca.

Spalili czerwone kurtki milicji Ramseya w zgliszczach świętego drzewa, po czym wrócili do obozu i zwolnili wszystkich prócz dziesięciu ludzi Kompanii, każąc wstrząśniętym i pokornym jeńcom popłynąć łodziami do Edentown bez Ramseya i nadzorcy. Cameron cicho mówił coś do lorda, który pomimo swego sukcesu wyglądał na rozkojarzonego i rozglądał się wokół, szukając Arnolda. Kiedy lord nie protestował, a nawet nie żądał uwolnienia pozostałych jeńców, związanych i siedzących w cieniu, Cameron zaczął kierować załadunkiem kanu. Gdy nadzorca się poskarżył, że wioślarze nie mają broni, aby odeprzeć atak Huronów, Woolford przydzielił im czterech szeregowców Pike'a i jednego ze swych zwiadowców.

- Moi ludzie przyjmują rozkazy tylko od majora i ode mnie - postawił się sierżant.

Pike, który od wybuchu nie odchodził na krok od Ramseya, patrzył, jak jego ludzie się pakują, po czym zaczął powoli przesuwać się do swojego plecaka.

- Major Pike jest aresztowany - głośno oznajmił Woolford, gdy dwaj jego zwiadowcy pojawili się przy nim, niosąc kajdany wyjęte z ekwipunku oficera.

Ramsey poderwał głowę.

- Przez ciebie? - warknął. Poczynania Woolforda wyrwały go z apatii. - To śmieszne. On jest pod moją ochroną.

Dezerterzy z czterdziestego drugiego regimentu najwyraźniej nabrali szacunku do Woolforda. Oficer zwiadowców niecierpliwie machnął ręką, wskazując im Pike'a, który natychmiast został skuty. Dwaj Szkoci zawlekli go, głośno protestującego i klnącego, do pała przy wejściu do obozu i tam przywiązali. Ramsey jeszcze chwilę słabo protestował, po czym obrócił się do Sarah i zamilkł, gdy zmierzyła go wrogim spojrzeniem. Gdy tego popołudnia przed eksplozją wołała ojca, miała na myśli szamana. To Tashgua wychowywał ją od dziecka. Duncan przypomniał sobie, że zawsze nazywała Ramseya lordem. „Chcę śmierci mojego ojca” - powiedziała. - „Chcę rozrzucić jego szczątki po lesie”. Nie miała na myśli Ramseya. Miała tylko jednego prawdziwego ojca, człowieka, który wszystkiego ją nauczył, a Ramsey właśnie go zabił.

- Dezerterzy! Zdrajcy!

Duncan odwrócił się i zobaczył kłębowisko rąk i nóg na ziemi przy słupie.

- Zostawcie go, niech was zaraza!

Krzepki sierżant Pike'a rzucił się na wiążących majora Szkotów, którzy na jego razy i kopniaki odpowiedzieli tym samym. Jeden z nich upadł na ziemię, zgięty w pół. Sierżanta powalono uderzeniem pałki w plecy. Runął na stos plecaków należących do kilku zwiadowców, którzy przybyli w samą porę, by pomóc powstrzymać milicję Ramseya. Rzucił plecakiem w swoich przeciwników, rozsypując jego zawartość. W tym momencie czterej Szkoci go dopadli i przytrzymali, przyparli do skały, po czym związali mu ręce i nogi, łącząc je krótkim kawałkiem sznura, tak że nie mógł się wyprostować.

- Major Pike jest aresztowany za zdradę - oznajmił ponuro Woolford. - Być może, sierżancie, powinieneś dołączyć do niego przy słupie.

- Niech was zaraza! - warknął Irlandczyk. - Wiemy o zdrajcach w tym obozie! Posłaliśmy gońca. Wojsko wie, gdzie was szukać! Wszyscy zawiśnięcie, nim nadejdzie zima, wy przekłete dziwki pogan!

Duncan jeszcze nie widział, żeby ktoś poruszał się równie szybko jak

zwiadowca. Woolford błyskawicznie doskoczył do sierżanta i otwartą dłoń trzepnął go w szczękę.

- Major Pike jest aresztowany za zdradę - powtórzył, gdy sierżant zatonął się w tył. - I za zamordowanie sześciu moich zwiadowców. Być może na szubienicy znajdzie się miejsce i dla ciebie, sierżancie.

Meżczyzna splunął Woolfordowi pod nogi.

- Zdrada, akurat! Zobaczmy, kto zdradził! Pomaganie dezercerom McCalluma to dla niektórych gorsze od morderstwa.

Gdy ci dwaj gniewnie spoglądali na siebie, Duncan zaczął pomagać młodemu zwiadowcy, który zbierał przedmioty wysypane z plecaka. Krzesiwo, forma do odlewania kul, wełniana czapka... Duncan znieruchomiał, podnosząc dziwny przedmiot. Płaski kawałek żelaza długości czterech cali, z czterema sterzącymi nóżkami na każdym rogu, ostro zakończonymi, i z dwiema pętelkami po bokach. Spoglądał nań, nie rozumiejąc, co usiłuje podpowiedzieć mu podświadomość.

- Nigdy nie wiemy, jak długo będziemy w terenie - wyjaśnił młody zwiadowca, sięgając po kawałek żelaza. - Nie wiemy, czy wrócimy do kwatery przed zimą. - Zobaczył zmieszana minę Duncana. - To raki. Mocuje się je do podeszew butów.

Duncan szybko wyjął czapkę zabraną z piwnicy Ramsey'a. Cztery ostre nóżki idealnie pasowały do otworów.

- Kto je otrzymuje? - pospiesznie zapytał żołnierza.

- Zwiadowcy. Inne oddziały zostają na zimę w kwaterach.

Przekleństwa zamarzyły na ustach Irlandczyka, gdy Duncan podszedł do Woolforda i pokazał mu raki, bez słowa demonstrując, jak nóżki pasują do otworów w czapce.

- I co to oznacza?

Woolford wciąż stał nad sierżantem, jakby znów chciał go uderzyć. Duncan w odpowiedzi podsunął czapkę i raki pod nos sierżanta.

- Zaraza na twoją matkę! - prychnął Irlandczyk.

- Jego lewy policzek - rzekł Duncan. A kiedy sierżant próbował się opierać, przyciskając twarz do skały, dwaj Szkoci Jamiego przytrzymali go i zmusili do odwrócenia głowy. - Trudno coś zobaczyć przez ten brud - mruknął Duncan.

Zanim zdążył coś zrobić, Woolford złapał dzbanek stojący na wygasłym ognisku i chlusnął zawartością w twarz sierżanta. Były na niej blizny, które Duncan widział w obozie zwiadowców - dwie pary, oddalone o cztery cale

od siebie. Przyłożył raki do jego policzka. Ślady na skórze, tak samo jak otwory w czapce, idealnie pasowały do koleców.

- Zrobił ci to zwiadowca - stwierdził Duncan. - Bezbronny zwiadowca, który walczył jedyną bronią, jaką miał.

Sierzant posłał mu gniewne spojrzenie, po czym niepewnie popatrzył na Woolforda.

- Nie zwiadowca. Francuz. To byli szpiedzy. Dywersanci przebrani w mundury. Major otrzymuje o nich informacje.

- Gdzie są inni, którzy byli z tobą tamtego dnia? - zapytał Duncan. - W łodziach płynących do Edentown?

- Innych już nie ma. Przeniesieni gdzie indziej, co do jednego. Do Indii... kilku na Jamajkę.

- Bardzo dogodnie.

- Niech cię szlag! Tamtego dnia przy drzewie zabiliśmy Francuzów. Szukających celów dla Huronów. Major ostrzegł nas, że czasem przebierają się w mundury zwiadowców.

- Nie uznałeś za dziwne tego, że Pike kazał wam przebrać się w mundury czterdziestego dziewiątego regimentu?

- Żeby zmylić wroga co do rozmieszczenia naszych oddziałów, dlatego. To należy do jego obowiązków. To byli Francuzi, mówię wam!

- Sierzancie! - wrzasnął Pike. - Rozkazuję ci zamknąć przekłętą gębę! Nie daj się podpuścić tym obwiesiom!

Jeden z ludzi Jamiego trzasnął go polanem w skroń. Pike zwiotczał i obwiśł w więzach.

- To nie byli Francuzi - powiedział chrapliwy, gniewny głos z cienia. Przyszli dwaj nowi zwiadowcy, niosąc na noszach jasnowłosego Szkota, którego Duncan zostawił w misji. - Zamordowaliście ich z zimną krwią.

Jeden ze zwiadowców niósł kulę, przewieszoną na pasie przez ramię obok strzelby. Zdjął ją i podał rannemu, który odmówił pomocy i sam wstał z noszy.

- Było was dziesięciu, dranie - syknął - a ich sześcioro i wszyscy prócz jednego spali. Pomagałem im po masakrze przy drzewie, podążając po śladach sprawców. Biegłem do nich o świcie, by im powiedzieć, że niedawno znalazłem niedawno opuszczony obóz. Biegłem z tymi wieściami, ale zatrzymałem się, kiedy tam dotarłem, nie pojmując tego, co zobaczyłem. Grenadier podszedł do zwiadowcy rozpalającego poranne ognisko, przyjaźnie



do niego zagadał, a potem nagle przyłożył mu sztylet do gardła, każąc siedzieć cicho. Myślałem, że to mnie szukają za dezercję, więc się ukryłem. Nie pojmowałem, co się dzieje, aż było za późno. Wszystko nie trwało nawet minuty. Oddali salwę z muszkietów, a potem bagnietami dobili rannych. Tylko jeden pożył tak długo, żeby stawić opór, ty draniu, a i to tylko swoimi rakami, ponieważ zabraliście im broń. Zaraz jednak ktoś rozbił mu czaszkę, uderzając go kolbą w tył głowy.

Rozgniewany Duncan cisnął czapkę w twarz sierzantowi.

- Zadał ci cios rakami w policzek. I drugi, w czubek głowy, którym strącił ci tę pożyczoną czapkę. Nie pofatygowaleś się, żeby ją podnieść.

- Bo rzucił się w pogoń za mną - wyjaśnił ranny Szkot.

- Jednak ktoś podniósł ją później. - Duncan zerknął w cień, gdzie patrzyli na nich związani ludzie Ramseya, wszyscy poza Hawkinsem, który spał oparty o pień. - Zapewne Hawkins. Znalazł ją i dał Arnoldowi. Hawkins i Arnold w końcu zrozumieli jej znaczenie. - Duncan spojrział na Woolforda, którego twarz pociemniała z gniewu. - W ten sposób skłonili Pike'a, żeby im pomógł. Pike pokazał im, jak to zrobić, jak znaleźć łatwe i nieuzbrojone cele przy świętym drzewie. A kiedy się dowiedzieli o ceremonii pogrzebowej, Ramsey zrozumiał, że może powtórzyć wszystko rok później, żeby zabić pozostałych starych wodzów. - Duncan pochylił się nad sierzantem. - Wystarczy ukryć się na wzgórzu i wystrzelać ich, kiedy się zbiorą przy świętym drzewie. Czy nie tak zrobiliście w zeszłym roku?

Sierzant złowrogim spojrzeniem obrzucił Szkotów.

- Ci dezercerzy z zeszłego roku i tak mieli zginąć. Nikt nie mówił, że zostali to Irokezi. Major powiedział, że jeśli ze zdrajcami są jacyś Indianie, to na pewno są to Huroni. To tylko Indianie - dodał głuchym głosem.

- Powiedz mi, sierzancie - rzekł Duncan. - Czy i ciebie próbowano przenieść?

Krępy sierzant zdawał się kurczyć w ich oczach. Powoli skinął głową.

- Major dał mi przydział do Indii Wschodnich, ale dzień wcześniej zachorowałem na biegunkę. Kiedy wreszcie mogłem wrócić do służby, potrzebowano każdego zdolnego do noszenia broni, więc transfery odwołano. - Z przygnębieniem wbił wzrok w ziemię. - Rany boskie! - jęknął. - Ja nigdy... nie zrobiłbym... nasi zwiadowcy... - szepnął ze zgrozą i powtórzył: - Nasi zwiadowcy...

- Nic się nie zmieniło - rzekł Woolford, gdy godzinę później usiedli przed jedną ze stojących na uboczu chat, dając tymi słowami wyraz złym przeczuciom, które dręczyły Duncana, od kiedy wrócili do wioski. Szkot zamieszał drewnianą łyżką mamałygę, którą jedli na kolację, i przytaknął skinieniem głowy. W Edentown nadal budowano szubienicę. Ci z oddziału Tashgui, którzy przeżyli, nie mogli pozostać w wiosce, gdyż wojsko wiedziało teraz, gdzie są. Duncanowi ścisnęło się serce za każdym razem, gdy pomyślał o Sarah, którą miano stąd zabrać, żeby otworzyć jej czaszkę. I Duncan wiedział, że Woolford zaczynał pojmować, że nie ma żadnej gwarancji, że po powrocie do ich świata Ramsey czy Pike zapłacą za to, co uczynili.

- Jednak plemiona... - zaczął. - Indianie wiedzą, co zrobił Ramsey.

- I co mu zrobią? - z goryczą wtrącił Woolford. - Wytoczą mu proces?

- Wojnę. To wymusi oficjalne działania dla ochrony sojuszu.

- Nie - westchnął zwiadowca. - Ci, którzy zginęli, chcieli, by Irokezi zerwali sojusz i nie brali udziału w sporach Europejczyków. Teraz plemionom łatwiej będzie posyłać wojowników do Albany. Starzy zapamiętają tylko, że święty niedźwiedź powrócił na znak, że dawny styl życia nie całkiem odszedł w przeszłość. Młodzi zapamiętają, że nie ma już świętego drzewa, które zniszczyło siebie i Tashguę. Przy wielu ogniskach nie będzie już głosów opowiadających się za powrotem do dawnego życia.

- Są inne drzewa - powiedział cichy, smutny głos. Conawago pochylił się i przegarnął węgle w ognisku. - Gdy spali ci się chata, znajdujesz inną.

Duncan przypomniał sobie, jak podczas ich wspólnej wędrówki Conawago czasem zatrzymywał się, by poszukać świętych miejsc, czy były to formy skalne, czy stare drzewa.

- Są ceremonie przenoszące duchy do nowych domów.

- A ci, którzy o tym wiedzą, przyjacielu - zagadnął Woolford. - Ilu ich jest?

Conawago spoglądał w ogień.

- Za każdym razem, gdy wiatr zrywa liść z drzewa, świat się zmienia.

Milczeli przez długą chwilę. Kiedy Conawago znów przemówił, w jego głosie było słyhać twardą nutę.

- Nie znacie Łowcy Kruków. On nie pozwoli Ramseyowi zapomnieć wizyty w świątyni jego ojca.

Woolford i Duncan wymienili niespokojne spojrzenia, gdy Conawago odszedł ścieżką na drugi koniec wioski, gdzie Indianie i Sarah przygotowywali zabitych do pochówku.

- Ramsey też nie zapomni - rzekł Woolford. - Stracił swojego duchownego.

- Nie - zaprzeczył Duncan. - Będzie pamiętał tylko to, że stracił dziesięć tysięcy mil kwadratowych, własne królestwo.

Lord, tak jak wszyscy, był oszołomiony po wybuchu, lecz naprawdę zasmucił się dopiero wtedy, kiedy odkrył brak dokumentu w rękawie płaszcza Arnolda.

- Wiem, co zrobiłeś z nadaniem, McCallum - oznajmił Woolford. - Uważam to za...

Gdy zwiadowca szukał właściwego słowa, Duncanowi przyszło na myśl kilka możliwości. Zdrada. Wyzwanie dla władzy króla. Zwyczajna kradzież.

- Uważam to za kolejny z twoich cudów, McCallum.

Zwiadowca wyciągnął rękę. Po chwili Duncan podał mu dłoń i mocno się uścisnęli.

- W Edentown nadal ma się odbyć proces - przypomniał Duncan.

- Już dawno powinienem być w Quebecu. A ty jesteś na liście moich zwiadowców. Chodź ze mną. Mogę cię ochronić, wpisać na listę pod innym nazwiskiem.

- Nie opuszczę Listera.

- Odwiozą cię tam w łańcuchach.

- I dlatego potrzebuję pomocy. Kogoś, kto może pilnować Sarah, przynajmniej dopóki nie będzie przy niej Crispina. Kogoś, kto zanieśnie wiadomość do misji. Kogoś, komu mogą ufać żołnierze. I nie możesz się wtrącać do tego, co Ramsey zrobi ze mną.

Woolford spojrział w ogień, a potem słuchał z konspiracyjnym błyskiem w oczach, gdy Duncan zaczął mu wyjaśniać, o co mu chodzi.

O zmierzchu pozostali wojownicy Tashgui zeszli rzędem ze wzgórza. Nie przystanęli by się najeść i napić, lecz natychmiast otoczyli lorda Ramseya, który siedział samotnie przy jednym z ognisk, gdy Cameron i pozostali ludzie

Kompanii, pilnowani przez kilku zwiadowców, szykowali łodzie do drogi. Wojownicy byli świeżo pomalowani, jakby ruszali na wojnę. Lord był tak przerażony, że nie mógł wykrztusić słowa, gdy zabierali go Irokezi, i zaczął protestować dopiero, kiedy zaczęli przywiązywać go do pala.

- Woolford!

Jego wołanie bardziej przypominało jęk przerażenia. Ramsey raz po raz wołał zwiadowcę, lecz po chwili krzyki ucichły, gdy zobaczył kapitana na drugim końcu obozu. Woolford usadowił się na ociosanej kłodzie, wyjął fajkę i spokojnie zapalił, obserwując Irokezów. Spojrzenie Ramseya padło na Hawkinsa, już przytomnego i wciąż związanego, obserwującego to z rozbawieniem w pustych oczach. W ostatnich promieniach słońca z chaty szamana wyszli kolejni Irokezi. Gdy ułożyli wokół pala krąg z wiązek suchej trawy, w obwieszonym kośćmi wejściu pojawiła się postać w sukni z białej jeleniej skóry.

- Sarah! Boże na niebie, Sarah! - zaczął rozpaczliwie wołać lord. - Powstrzymaj ich, Sarah! Musisz ich...

Słowa uwięzły mu w gardle, gdy napotkał spojrzenie córki, która zbliżała się do niego powoli i majestatycznie. Sarah Ramsey odpowiedziała na jego przerażone spojrzenie, patrząc chłodno i z politowaniem.

Ramsey jak spoliczkowany przywarł do pala, skomląc jak pies, gdy Sarah zaczęła pomagać Irokezom układać krąg z trawy.

- Nie tak! - zawołał Duncan.

Złapał za tomahawk. Gdy zrobił krok, ktoś zatrzymał go wyciągniętą ręką. Duncan spojrział. Conawago nic nie powiedział, tylko ponuro pokręcił głową.

Indianie, a z nimi większość Szkotów, zaczęli powoli okrążyć pal, cicho powtarzając jakieś słowa. Przyniesiono pochodnie i wetknięto w ziemię wokół kręgu wojowników. Ramsey zaczął krzyczeć drżącym głosem coś o pieniądzach i o królu Anglii, lecz jego słowa utonęły w coraz głośniejszej pieśni. Nagle śpiew zabrzmiał o wiele głośniej i urwał się. Duncan na moment wstrzymał oddech. W kręgu pojawił się duch.

Szkarłatna twarz ducha była pomarszczona, a jego białe oczy okrągłe i puste. Usta dziwnie wydęte. Po obu stronach drewnianej maski wisiały kosmyki wyglądające na zrobione z końskiego włosia. Ręce i nogi przebranego za ducha człowieka były pomalowane na biało. W dłoni trzymał grzechotkę Tashgui.

Tancerz potrząsnął grzechotką nad Ramseyem i krąg znów zaczął się poruszać, śpiewając nową, żywszą pieśń. Tancerz w masce również krążył wokół pala, konwulsyjnie się wijąc. Po każdym okrążeniu potrząsał grzechotką nad głową Ramseya.

Duncan zerknął na swoją strzelbę. Conawago, który nigdy niczego nie przeoczył, ponownie go powstrzymał, pokazując mu, by usiadł obok Woolforda, który przyglądał się widowisku, pykając fajeczkę.

Obserwujący to z cienia za Duncanem Indianie i Szkoci nagle się ożywi-  
li. Cameron i ludzie Kompanii nadeszli ścieżką znad rzeki i próbowali po-  
dejsć do lorda. Wywiązało się krótkie, lecz bezgłośnie zamieszanie, po któ-  
rym wszyscy przybyli, poza Cameronem, zostali przywiązani do drzew, a  
niektórym przyłożono noże do gardeł, żeby przestali się szamotać.

Taneczny krąg poruszał się jeszcze szybciej. Ramsey odzyskał nieco  
animuszu i zaczął przeklinać Indian, wyzywając ich od dzikusów oraz  
brudnych świń i przypominając, że w jego żyłach płynie królewska krew.  
Jednak zaraz znów oklapł, gdy jeden z wojowników rozciął sobie nożem  
dłoń i przytrzymał ją nad głową Ramseya, tak że krew spłynęła po policzku  
Anglika. Lord skamieniał ze strachu. Raz po raz niemo otwierał i zamykał  
usta. Kiedy narzucono mu na ramiona skórę węża, posikał się.

Śpiew szamana stał się wprost nieznośnie donośny. W jego dłoni poja-  
wiła się pochodnia i Ramsey przeraźliwie wrzasnął, gdy człowiek w masce  
podpalił trawę.

Tylko Duncan i Ramsey na to zareagowali. Ramsey wrzasnął jeszcze  
głośniejsze, a Duncan zerwał się na równe nogi. Powstrzymało go spokojne,  
wyczekujące spojrzenie Sarah. Zobaczył, że tancerze wrzucają do ognia  
liście tytoniu. Gasnący już krąg suchej trawy nie zbliżył się do Ramseya  
bardziej niż na dwie stopy. To był oczyszczający ogień, mający oczyścić  
człowieka przywiązanego do pala. Indianie wiedzieli, że nie mogą wy-  
ładować swej wściekłości na angielskim lordzie. Jednak nie chcieli, by  
sprawca ich nieszczęścia pozostał bezkarny.

Znów zabrzmiał śpiew, gdy tytoniowy dym spiralą uniósł się w niebo,  
tancerz w masce znowu potrząsnął kościaną grzechotką, a krąg zawirował  
szybciej. Duncan, urzeczony śpiewem, dymem i rytmiczną muzyką, zatracił  
poczucie czasu. Nagle uświadomił sobie, że tancerz w masce znikł.

Pozostali stopniowo rozszerzali krąg, aż zginęli w mroku. Ku zdziwieniu Duncana to Conawago rozciął lordowi więzy. Stary Nipmuk mówił coś cicho do oszołomionego Anglika, dziwnie znajomymi słowami. Po chwili Duncan zrozumiał, że Conawago odmawia modlitwę, której kiedyś go nauczył, odmawianą przez dzieci, które zabłądziły w lesie. Nagle pojawiła się przy nich inna postać, odpychając Conawago. Cameron narzucił koc na ramiona drżącego Ramseya i poprowadził go do chaty, w której ludzi lorda umieszczono na noc.

Gdy Duncan patrzył, jak Ramsey znika w ciemności, rzucono mu coś pod nogi. Jego plecak.

- Teraz odejść - nalegała Sarah.

Już spakowała i zawiązała jego plecak.

- W więziennej celi siedzi stary Szkot - przypomniał jej.

- Dziś w nocy mogą cię zabić, Duncanie. - W głosie Sarah usłyszał stanowczą nutę, a także lęk. - Jeden z żołnierzy widział, co zrobiłeś z królewskim dokumentem. Powiedział Cameronowi.

Obóz szybko pogrążył się we śnie. Ludzi Ramseya przywiązano do słupów jednej z chat. Duncan odczekał prawie dwie godziny, po czym wstał z posłania i wszedł w cień, niosąc nabitą strzelbę. Przeszedł ścieżką aż do kanu nad rzeką i z powrotem, zapamiętując każdy zakręt, każdą plamę księżycowego blasku, usiłując naśladować bezszelestny sposób poruszania się Indian i zwiadowców. Po powrocie przez kilka minut obserwował uśpiony obóz, upewniając się, że Irokezi nadal są po drugiej stronie wzgórza, przy świetle pochodni szykując zabitych do pochówku, po czym poszedł na tyły chaty, w której umieszczono jeńców. Była stara i w kiepskim stanie. Wcześniej postarał się tam być, kiedy wiązano jeńców, towarzysząc Aleksowi, gdy ten przyszedł z bukłakiem wody. Zapamiętał, gdzie i przy którym słupie przywiązano poszczególnych jeńców. Białym kamieniem oznaczył na zewnątrz jeden ze słupów chaty i teraz, ponownie się upewniwszy, że nikt nie patrzy, wyjął nóż i szybko przeciął rzemienie krępujące jeńca. Potem wstał i wrócił ścieżką nad rzekę.

Ukryty za głazem w miejscu, gdzie ścieżka wychodziła na nadrzeczną równinę, czekał zaledwie dziesięć minut, aż usłyszał tupot. Niemal idealnie wyliczył czas i wyskoczywszy zza głazu, zadał biegnącemu cios w skroń, obalając go na ziemię.

Hawkins próbował się odczołgać, lecz zobaczył wycelowaną w jego pierś strzelbę.

- Zamordowałeś dziś starego Irokeza - warknął Duncan. - Strzeliłeś mu w tył głowy.

- A już myślałem, że nikt nie docenia mojej roboty - prychnął Hawkins. Zerknął na boki. Gdy próbował chwycić leżący obok kamień, Duncan odrzucił go kopniakiem. - I tak chwilę później by zginął.

- Tylko że wtedy nie dostałbyś nagrody - ciągnął lodowatym tonem Duncan. - Gdyby Jamie zginął w wybuchu, nie miałbyś prawa do nagrody. Tylko że zastrzeliłeś niewłaściwego człowieka.

- Zwyczajna pomyłka - warknął Hawkins. - Kto by pomyślał, że odda swój płaszcz jakiemuś staremu capowi?

Duncan odciągnął kurek.

- Zostaw Jamiego w spokoju, Hawkins.

Traper wpatrywał się w oświetloną księżycem twarz Duncana.

- To ty mnie uwolniłeś, tak? Chcesz ubić interes, chłopcze? Moja wolność za życie twojego brata? Ja nie handluję z niewolnikami. A jutro rano Ramsey i tak by mnie uwolnił.

- No to czemu uciekasz, Hawkins? Bo obawiasz się, że jestem bliski odkrycia prawdy o tobie, której inni nie powinni znać? Na przykład jak zginął Frasier? Oto cena. Połknij kulkę albo powiedz mi, co się zdarzyło o świecie tamtego dnia.

Załatwił Duncana prostym zapaśniczym chwytem, zaczepiwszy stopą o jego łydkę, tak że Szkot na moment stracił równowagę, co pozwoliło Hawkinsowi złapać za lufę strzelby. Traper zerwał się jak kot, wyrwał Duncanowi broń i uderzył go. Nagle Duncan znalazł się na ziemi z lufą przyciśniętą do szyi, a Hawkins sięgnął do jego pasa i wyjął długi nóż. Przyłożywszy mu ostrze do gardła i wetknąwszy broń pod pachę, traper zręcznie otworzył panewkę i zdmuchnął z niej proch, rozbijając strzelbę.

- Masz w sobie za mało zabójcy, chłopcze - rzekł z rozbawieniem, odrzucając broń na bok. - Nie dość, by przeżyć w tych stronach.

Duncan spróbował stawiać opór i obrócić się na bok. Ostrze błysnęło, opadając w dół i przecinając mu skórę na ramieniu, po czym znów znalazło się na jego gardle.

- Potrzebuję pieniędzy, chłopcze.

- Ja ich nie mam.

Hawkins westchnął i znów podniósł nóż, tym razem wolniej, bawiąc się

z Duncanem i mierząc ostrzem w drugie ramię. Nagle zamarł, uderzony tomahawkiem, którego żelazny kolec przebił mu przedramię. Z przeciągłym jękiem chwycił nóż drugą ręką, zamierzając rzucić nim w starego Indianina trzymającego topór. I znów znieruchomiał, zupełnie drętwiejąc, jakby skamieniał. Nóż powoli opadł.

Duncan pospiesznie odczołgał się rakiem, po czym powiódł wzrokiem w ślad za spojrzaniem trapera. Hawkins nie patrzył na Conawago, który wciąż trzymał topór wbity w jego rękę, lecz na okrągły błyszczący przedmiot, widoczny w blasku księżyca.

Medalion z sylwetką kruka, czarną na złotym tle. Należący do Adama Munroe i skradziony przez napastników, którzy napadli na Duncana, kiedy opuścił Edentown.

- Rzuć nóż - rzekł spokojnie i groźnie Conawago. - McCallum chce poznać prawdę o morderstwie.

Hawkins puścił nóż, ale nic nie powiedział. Przez moment wyglądał jak jedno z tych nieszczęsnych zwierząt, które miotały się w jego sidłach. Potem jego oczy znów stały się puste i zimne. Z niewiarygodnym spokojem uwolnił nabitą na żelazny kolec rękę. Napiął mięśnie. Wydawało się, że skoczy na stojącą w mroku postać z medalionem. Jednak rzucił się w tył i pomknął po równinie.

Duncan złapał nóż i pobiegł w kierunku łodzi, o krok wyprzedzając Conawago, sądząc, że Hawkins zamierza ukraść jedną z nich. Kiedy jednak dotarli do kanu, żadnego nie brakowało i dostrzegli sylwetkę uciekającego, w srebrzystych rozbryzgach brnącego po pas w wodzie.

Gdy wrócili na ścieżkę, ktoś siedział na oświetlonym księżycowym blaskiem głazie, z przygnębieniem spoglądając na trzymany w dłoni medalion z czarnym ptakiem.

- Sarah mówiła, że znałeś mojego brata - rzekł Łowca Kruków do Duncana.

- Adam Munroe był twoim bratem?

- Mąż mojej siostry jest moim bratem - wyjaśnił syn Tashgui. Zaciśnął medalion w palcach. - Byłeś tam, kiedy umarł?

- Był silny. Umarł z powodu twojej siostry.

- Dałem mu ten medalion w dniu, kiedy zostali mężem i żoną.

- Straciłem go w dniu, w którym opuściłem Edentown.

- A ja go znalazłem na szyi zabitego siedzącego pod drzewem przy spalonej chacie - wyjaśnił Conawago.



Duncan spojrział w ślad za uciekającym Hawkinsem, po czym powoli odwrócił się do Łowcy Kruków.

- Powinieneś go zatrzymać - powiedział.

- Nie. Lepiej, żebyś ty go miał, McCallum - rzekł Irokez. - Adam by tego chciał. Moja druga siostra też - dodał, po czym wcisnął Duncanowi do ręki medalion i znikł w mroku.

Jego druga siostra. Miał na myśli Sarah.

- Nie wracaj do obozu - ostrzegł Conawago. - Wszyscy ludzie Tashgui są przy zgłiszczach drzewa i ciele szamana, a Łowca Kruków i ja też tam teraz idziemy. Ramsey się zbudził i odkrył, że Woolford odszedł, więc rozwiązał swoich ludzi.

Duncan jednak wiedział, że może wrócić do Edentown tylko w łańcuchach.

Kiedy wszedł do obozu, płonęło tam jasne ognisko, przy którym stał Ramsey z nadzorczą. Na twarzy lorda malowała się wściekłość. Doszedł do siebie i rozmawiał z Cameronem.

Gdy tylko zobaczył Duncana, natychmiast do niego podszedł. W jego oczach palił się nienawistny błysk. Z zaskakującą szybkością zamachnął się i mocno spoliczkował Duncana.

- Spisek! - syknął. - Przeklinam dzień, w którym wielebny cię zobaczył!  
- Odwrócił się do Camerona stojącego przed pozostałymi ludźmi Kompanii.  
- Bierzcie go!

Cameron zerknął na wzgórze, po czym rzucił się na Duncana. Przytrzymał go w niedźwiedzim uścisku, a Ramsey spoliczkował go ponownie i jeszcze raz.

- To ty ją do tego zachęciłeś. To ty śmiałeś mi się przeciwstawić, za-  
wieść moje zaufanie. To ty zniszczyłeś moje nadanie!

Duncanowi szumiało w głowie i pociemniało w oczach. Ludzie Kompanii rzucili się na niego. Niejasno zdawał sobie sprawę, że coś zimnego dotknęło jego karku. Zanim zrozumiał i spróbował stawić opór, było za późno. Założono mu na szyję metalowy kołnierz na zawiasach i zamknięto z tyłu zagiętym gwoździem.

- Twoja gorąca szkocka krew zaślepiała cię tak, że nie dostrzegłeś pewnego prostego faktu - syknął Ramsey. - To Kompania Ramseya zażądała, by przetransportowano cię do Ameryki. I Kompania Ramseya może cofnąć to żądanie. Zostaniesz przewieziony w łańcuchach z powrotem do Anglii z listą nowych zbrodni, potwierdzoną moim magistrackim podpisem. Przysięgam,

McCallum, że przez resztę twego nędznego życia będziesz gnął w wilgotnym angielskim lochu.

Jakaś postać wyrosła obok Ramseya i złapała go za rękę, gdy ponownie zamierzył się na Duncana. Ludzie Camerona natychmiast otoczyli Woolforda.

- A ty, kapitanie Woolford, będziesz wynosił gnój ze stajni w Indiach, kiedy z tobą skończę.

Woolford spojrział na rozjątrzone twarze otaczających go ludzi. Zwiadowca miał niewielu towarzyszy, którzy go osłaniali, a kiedy wyjdą z puszczy, świat będzie należał do Ramseya. Duncan zobaczył, że Woolford zerknęła na wylot ścieżki wiodącej do świętej doliny. Obaj wiedzieli, że nie trzeba by zachęcać przebywających tam teraz Szkotów, żeby raz na zawsze rozwiązali problem Ramseya. Gdyby jednak pozwolili go zabić, żaden z nich - ani Duncan, ani Woolford, ani Jamie - nie mogliby spojrzeć w oczy Sarah. Zwiadowca opuścił rękę i odszedł, zabierając ze sobą dziewczynę.

Ramsey patrzył, jak zwiadowca znika w ciemności, po czym odwrócił się i rzucił rozkaz. Duncan kątem oka zobaczył grube polano zataczające łuk w powietrzu. Cios powalił go na kolana. Gdy z trudem łapał oddech, drugie uderzenie w głowę rozciągnęło go na ziemi.

Kiedy odzyskał przytomność, stał ze sznurem uwiązany do żelaznej obroży. Jakby z oddali widział Camerona przerzucającego linę przez gałąź i napinającego ją, tak że Duncan musiał stanąć na palcach. Zostawili go tak na jesiennym chłódzie i wrócili pod koce. Zanim ktoś nad ranem go odwiązał, Duncan był tak obolały, że bezwładnie osunął się na ziemię.

O świcie obudzono go, chlustając zimną wodą w twarz, gdy ludzie Kompanii szykowali się do drogi. Cameron podniósł Duncana z ziemi akurat wtedy, kiedy Ramsey rzucał jego plecak w krzaki. Nadzorca wyprowadził go z opustoszałej już wioski Irokezów i ścieżką nad rzekę, ciągnąc na sznurze jak psa.

Idąc, Duncan patrzył pod nogi, wspominając dawno miniony dzień na bocianim gnieździe. Znów pędziła na niego czarna fala. Ramsey wpychał go w nią i potem nie będzie już dla niego życia.

Nagle Cameron warknął coś ostrzegawczo i podniósł pałkę, po czym uspokoił się, gdy na ścieżkę wyszedł Woolford, a za nim Sarah w zielonej sukni, schludnie uczesana i umyta.

- Zwiadowcy zabierają majora Pike'a w dół rzeki - oznajmiła bezna-  
miętnie. - Przygotowaliśmy więcej kanu. Jeśli odpłyniemy teraz, mając  
więcej ludzi do wiosł, możemy być w Edentown jutro po południu.

- Ten zbieg otrzyma sto batów, kiedy dotrzemy do miasta - rzekł Ram-  
sey, wskazując Duncana. - I postanowiłem, że dwa dni po naszym powrocie  
stary zawiśnie.

- Nie możesz tego zrobić! - zaprotestował Duncan tak głośno, że wszy-  
scy na niego spojrzeli. - Musi to zatwierdzić gubernator.

- Postanowiłem prosić go o wybaczenie - powiedział wyniośle Ramsey -  
a nie o zgodę. Wyjaśnię, że stanęliśmy w obliczu kryzysu prawa i porządku,  
co wymagało szybkiego rozwiązania. Zrozumie, gdy mu powiem, że w na-  
szym mieście jest wielu szkockich skazańców. Zanim jednak go powiesimy,  
McCallum, przywiążemy go do szubienicy i każemy mu patrzeć, jak zdzie-  
ramy ci skórę z pleców.

Sarah i Woolford bez słowa odeszli ścieżką. Woolford na jednym ra-  
mieniu niósł plecak Duncana, a na drugim dodatkową strzelbę. Muszkiet  
Duncana.

Przy pierwszym kanu zwiadowców stali trzech nieznanymi mężczyźni w  
szkockich czapczkach i kiltach, w kurtkach bez rękawów. Nagle Duncan  
uświadomił sobie, że to nie są nieznanymi. Jamie i dwaj jego ludzie, zmyw-  
szy farbę i ubrawszy się w bardziej europejskie stroje, podróżowali razem z  
nimi. Brat udawał, że go nie poznaje, gdy Duncan spojrzął mu w oczy, i  
zdawał się nie widzieć, jak Cameron wepchnął go do wody, tak żeby zamo-  
czył ubranie i później dygotał w chłodzie poranka.

Rzeka płynęła szybciej, niż Duncan się spodziewał. Łodzie mknęły z  
prądem aż do zachodu słońca, po czym podróżni zatrzymali się na nocleg  
na wyspie, gdzie rozpalono dwa ogniska - jedno dla ludzi Ramseya, drugie  
dla Woolforda i pozostałych. Przywiązany do pnia Duncan dostał pasek  
suszonego mięsa do żucia, po czym oprawcy już nie zwracali na niego uwa-  
gi i zasnęli, okutani w koce. Wtedy pojawił się przy nim jakiś cień. Sarah  
nakryła mu nogi kocem, po czym owinęła się drugim, by spać obok niego,  
choć z początku nie mogli zasnąć i tylko siedzieli obok siebie pod drze-  
wem, ona z głową na jego ramieniu. Nic nie mówili, nie tylko dlatego, że  
ktoś mógł ich usłyszeć, ale ponieważ - jak Duncan dobrze wiedział -  
zarówno Irokezi, jak i wychowana przez nich Sarah czyniami, a nie słowami  
okazywali to, co mają w sercu. W tym momencie miał wrażenie, że role się  
odwróciły i to on jest dzikim jeleniem szykującym się do ucieczki.

Przemówił dopiero, kiedy księżyc stał wysoko na niebie i Duncan był pewien, że wszyscy ludzie Kompanii śpią.

- Zamierzali cię wykorzystać, żeby zwabić Tashguę - powiedział. - Wiedziałaś o tym, a ponieważ nie było już Adama i Everinga, nie wiedziałaś, jak temu zapobiec. To dlatego odprawiłaś ten rytuał przy kompasie, a potem weszłaś na bom w czasie burzy.

Poczuł, że skinęła głową, opartą o jego ramię.

- Adam namówił Everinga, żeby pomógł mi uciec - szepnęła Sarah. - Evering miał się spotkać w Nowym Jorku z Conawago, który zabrałby mnie ze sobą.

- Jednak Adam i Evering zginęli - rzekł Duncan, rozważając jej słowa. - Uciekłaś z gospody do misji. Mogłaś uciec do lasu. Dlaczego pojechałaś do Edentown?

- Z powodu ciebie, Duncanie, i tego, co przydarzyło się Listerowi. Kiedy usłyszałam o tym w karczmie, wiedziałam, że lord Ramsey zabije was obu.

- Dlaczego ta stajnia, Sarah? - zapytał, usiłując rozwiązać zagadki ostatnich dziesięciu dni.

Odpowiedź otrzymał dopiero po chwili, ale sprawiła, że przeszedł go dreszcz.

- Ponieważ lord Ramsey i Hawkins mają jedną skórę - odparła załamującym się głosem.

Dotknął jej policzka. Był mokry od łez.

Duncan przez długą chwilę spoglądał na księżyc, w myślach powtarzając listę wodzów klanu McCallumów, po czym poprosił Sarah, żeby odszukała Woolforda. Wróciła ze zwiadowcą i z bogiem. Indianin w drewnianej masce ducha patrzył na niego pustymi oczami, gdy Duncan wyjaśniał im plan czekającej ich bitwy.

## Rozdział 16

Kiedy przybyli do Edentown, szubienica była prawie ukończona, a pręgi z żelaznym ogniwem już osadzone w ziemi obok niej. Ludzie Kompanii nie patrzyli Duncanowi w oczy, gdy potykając się, szedł główną ulicą, wleczony na sznurze przez Camerona. Przystanął obok kuźni i choć szarpnięcie sznura o mało nie obaliło go na ziemię, zdążył dostrzec nieruchomą postać w klatce na węgiel i kościste palce ściskające kratę. Lister, blady jak duch, obserwował, jak stawiają dla niego szubienicę.

W miarę jak zbliżali się do miasta, Ramsey odzyskiwał animusz i kiedy wspiął się na brzeg przy swej ogromnej stajni, już wykrzykiwał rozkazy, każąc ludziom wynosić stoły ze szkółki, ustawiać ławki w klasie, tu wyprostować płot, a tam oczyścić uprząż. Zakończył te popisy, podchodząc do Duncana przywiązanego do słupa przy schodach wiodących do szkoły.

- Wykąpię się i zjem solidny posiłek, a potem odbędzie się proces - oznajmił wyniośle, gdy Crispin zjawił się z filiżanką herbaty. - Lister będzie sądzony za morderstwo, a ty, McCallum, za kradzież. Szybko będzie. .. - Ramsey przerwał, patrząc na grupkę obcych siedzących przed warsztatem bednarza, złożoną z tuzina mężczyzn, kobiet i dzieci, obdartych i umorusanych. - Kim są ci intruzi? - zapytał.

- Kolejni osadnicy - wyjaśnił Crispin. - Spalono im chaty. Niektórzy wymknęli się Huronom, ucieklszy, jak tylko usłyszeli w nocy krzyki.

Ramsey, marszcząc brwi, przyjrzał się przybyszom, po czym jego wzrok przykuło coś na brzegu rzeki. Przyplęnęła Sarah, a Conawago pomagał jej zejść na ląd. Ramsey bez słowa wskazał jej wielki dom i wszedł za nią do środka. Po chwili Crispin wrócił do szkoły z jedzeniem, pićm i miednicą wody do obmycia ran Duncana.

Zanim godzinę później lord wyszedł z budynku, w peruce i wystrojony jak do kościoła, Jamie i dwaj jego ludzie kręcili się między robotnikami Kompanii, którzy okrzykami radości powitali odzianych w kilty ziomków. Ilekroć podeszli do którejś grupki, ta szybko się rozchodziła, znikając za stajnią. Ramsey, zajęty poprawianiem swojej świeżo upudrowanej peruki, zauważył to dopiero wtedy, gdy wszedł na schody szkoły.

- Głupcy! - warknął na dozorców, którzy trzymali Listera, tak osłabionego, że musieli go podtrzymywać z obu stron. - Zawołajcie ludzi z powrotem! Zaczyna się proces!

Jednak dozorczy nie ruszyli się z miejsca. Szeroko otwartymi oczami z lękiem patrzyli na przybyszów, którzy wyrosli jak spod ziemi na brzegu rzeki.

Byli postawni, muskularni i ciemnoskórzy. Niektórzy, wymalowani, mieli na sobie tylko przepaski biodrowe i nogawice, inni buty, obcisłe spodnie i resztki mundurowych kurtek. Trzej nosili kilty, a dwaj mieli u boków szable. Wszyscy byli uzbrojeni w strzelby, toporki lub łuki. Stali sztywno wyprostowani, z poważnymi twarzami. To przybył oddział Tashgui i stał jak gotowy do bitwy.

Na środku, obok syna Tashgui, stał Woolford, świeżo ogolony i w nienaganie uprasowanym mundurze. Po raz pierwszy, od kiedy Duncan go poznał, kapitan przypiął do kołnierza mosiężne dystynkcje.

Zwiadowca wystąpił naprzód.

- Rozpoczyna się proces - powtórzył donośnym głosem.

- Nie drwij ze mnie, Woolford - warknął Ramsey.

- Nie drwij z króla - odpalił kapitan, podchodząc. Przystanął przy korycie z wodą, nabrał chochlę i podał Listerowi, który łapczywie się napił. Zwiadowca zbliżył się do schodów. - To teren działań wojennych. Ja jestem kapitanem jego królewskiej mości. Mam dokumenty dowodzące, że jeden z oskarżonych jest zwiadowcą z mojego oddziału. Ponadto mamy wyjaśnić morderstwo popełnione na moim sierżancie. Dowody wskazują, że zbrodnię popełnił królewski oficer.

Ramsey miał minę wygłodniałego drapieżnika, któremu może umknąć sprzed nosa świeże mięso.

- Nie oddam McCalluma.

- Nie zrozumiałeś mnie, panie. Konieczny jest sąd wojenny, ale respektuję twoją potrzebę skutecznego wymierzenia sprawiedliwości. Tak więc będzie dwóch sędziów.

Ramsey gniewnie spojrział na zwiadowcę.

- Znam wojskowe procedury, kapitanie. Nie masz uprawnień.

- W terenie, i w czasie wojny wszyscy wolimy prosić o wybaczenie niż pozwolenie - zwoźniczo miłym głosem odpowiedział Woolford. Major Pike został pozbawiony dowództwa. Dopóki nie zastąpi mnie wyższy rangą oficer regularnej armii, ja tu reprezentuję wojsko.

- Jestem pułkownikiem milicji Edentown. Jeśli chcesz użyć swojej władzy, to możesz zakuć w kajdany Jamesa McCalluma, kapitanie.

- Oficerowie regularnej armii nie podlegają milicji - spokojnie oznajmił Woolford. - I najpierw osądzimy jednego McCalluma.

Ramsey zamilkł i spojrział na Duncana. Wydawało się, że znów wybuchnie gniewem, gdy nagle ujrzał pięć osób wychodzących z domu. Sarah włożyła ciemnoniebieską suknię obszytą koronką, w której Duncan jeszcze jej nie widział, a upięte z tyłu włosy nadawały jej wygląd dojrzałej kobiety. Obok niej szli Crispin i Conawago, prowadząc za ręce młodsze dzieci Ramseya. Sarah podeszła i dygnęła przed lordem. Gdyby nie skórzany woreczek wiszący na jej szyi obok złotego łańcuszka, wyglądałaby jak dystygowana młoda dama przechadzająca się po londyńskiej promenadzie. Suknia miała francuski styl. Duncan uświadomił sobie, że zapewne pożyczyła ją z matczynej szafy. Na jej widok Ramsey zaniemówił.

- Proces odbędzie się w stajni - oznajmił Woolford i odwrócił się, nie czekając na odpowiedź.

Sarah, Crispin i Conawago podążyli za zwiadowcą do olbrzymiego budynku dominującego nad miasteczkiem, niczym pomnik rządów Ramseya. Lord przez moment spoglądał na to, zbity z tropu, po czym wbiegł do szkoły i wrócił z rzeźbionym drewnianym młotkiem oraz egzemplarzem Platona. Ruszył za nimi, skinąwszy na dozorców, by przyprowadzili więźniów. Duncan zrobił krok w kierunku Listera, który podpierał się kijem, by odciążyć złamaną w kostce nogę, i w każdej chwili mógł upaść. Cameron z satysfakcją szarpnął sznur przywiązany do kołnierza Duncana, po czym popchnął go w kierunku stajni.

Tam ułożono na kozłach dwie szerokie deski, ledwie mieszczące się w przejściu. Za tym prowizorycznym stołem umieszczono dwa stołki dla sędziów, a na końcu stołu trzeci, dla świadków. Ramsey już miał usiąść, marszcząc brwi, gdy nagle zastygł i wskazał coś nad ich głowami.

- Usuniecie stąd to obrzydlistwo!

Starą Krzywą Twarz opuszczono ze stryszku, tak że maska ducha Irokezów wisiała na słupie tuż nad ławą sędziowską, niczym portret króla w angielskiej sali sądowej.

Kiedy Cameron zrobił krok w kierunku drabiny, Jamie był tam pierwszy i zastąpił mu drogę.

- Odbyla się długa debata, wasza wysokość - rzekł do Ramseya, przesadnie podkreślając swój szkocki akcent - czy ktoś z Irokezów powinien zasiąść tu jako sędzia, zważywszy na popełnione przeciwko nim zbrodnie. Zapewne byłaby to jedna ze starych kobiet, gdyż te często są uważane za najmądrzejsze.

- Królewska sprawiedliwość nigdy aż tak się nie nagnie - chłodno odparł Ramsey.

- Jednak moi tubylczy przyjaciele uzgodnili - ciągnął Jamie - że nie potrzebują trzeciego sędziego siedzącego na ławie, jeśli jeden będzie słuchał z góry. Może użyczymy mu peruki? - Dwaj jego ludzie pojawili się na stryszku po obu stronach maski, niczym jej straż. - To wielki bóg, wiesz? Stara Krzywa Twarz. Pracował w niebie, pomagając stworzyć świat, ale zaczął się zabawiać z innymi bogami - chciał się z nimi ścigać - i trochę go poniosło. W podnieceniu wpadł na górę i rozbił sobie twarz. Irokezi go kochają. Myślę, że za jego prawdomówność. Nadal chodzi po świecie i nie kryje swojej brzydoty. Pozwala, by świat wiedział, że czasem nawet wszechmocny może posunąć się za daleko.

W oczach Ramseya znów zapalił się gniewny błysk.

- Chcę, żeby go... Chcę, żeby wrzucono to do paleniska w kuźni - zażądał, zwracając się do Crispina.

Duncan zerknął w kierunku kuźni. Na palenisku płonął ogień. Po zakończeniu procesu kowal miał przewlec rozżarzony sworzeń przez żelazną obrozę Duncana, zespalać ją i przypieczętować jego los.

Gdy Crispin niepewnie zrobił krok, Ramsey niespokojnie spojrzął na zebranych ludzi: robotników Kompanii, Indian i szkockich dezertów, po czym westchnął i powstrzymał służącego. Podniósł się i przestawił swój stołek, tak żeby maska zniknęła z jego pola widzenia. Potem uderzeniem młotka rozpoczął posiedzenie sądu.

Proces, jak kiedyś zapowiedział, miał być wspaniałym widowiskiem, wykładnią biblijnych wskazówek i logiki Platona. Spomiędzy kart książki wyjął złożoną kartkę papieru. Ze swojego miejsca znajdującego się zaledwie pięć stóp dalej Duncan bez trudu rozpoznał pismo Arnolda i zrozumiał, że



duchowny zdążył przepisać notatki, które wysłał przez McGregora i stracił. Ramsey postawił Listerowi zarzut morderstwa, a Duncanowi zarzucił kradzież i naruszenie umowy, po czym rozłożył papier na stole przed sobą i odczytał pierwsze nazwisko z listy Arnolda. Przesłuchiwał świadków, jednego po drugim, wysłuchując ich relacji o śmierci Everinga i Frasiera, korzystając ze wskazówek nieżyjącego Arnolda.

- Mamy tu mnóstwo uwag odnośnie do okoliczności - przerwał mu Woolford po piątym świadku - lecz ani słowa o przestępczych czynach oskarżonych.

- Listera znaleziono pochylonego nad ciałem biednego Frasiera, z krwią chłopca na rękach - warknął Ramsey. - Na noc, kiedy zginął Eving, wszyscy poza Listerem mają alibi. Zabił Everinga, ponieważ nienawidzi wszystkiego, co angielskie, a ponadto Eving niewątpliwie odkrył jego oszustwo. Zabił Frasiera, ponieważ Frasier odkrył dowód jego pierwszej zbrodni.

- Są inne okoliczności, które należy rozważyć - oznajmił Woolford. - Wzywam adwokata Listera, aby to wyjaśnił.

Wskazał na siedzącego w pierwszym rzędzie Duncana.

- McCallum? - wykrztusił Ramsey. - Niemożliwe! Nie możesz wzywać więźnia na...

Woolford zignorował go i skinął na Duncana.

- Są inne motywy, które należy rozważyć - powiedział zwiadowca - oraz inni ludzie, którzy nie mają alibi na te noce, gdy zamordowano Everinga i Frasiera. A o ich śmierci mówią naukowe dowody. Nauka nie kłamie. - Teraz zwrócił się do Ramseya. - Nauka, tak jak sprawiedliwość, jest narzędziem prawdy.

Gniew opuścił Ramseya. Oto w końcu na tym procesie padły słowa, jakie chciałby usłyszeć Platon.

Duncan szybko przedstawił naukowe dowody, wyjaśniając, dlaczego dowodzą, że Eving został zabity w swojej kajucie dwoma, a Frasier jednym uderzeniem młotka w głowę. Zanim został zabity, Eving rozbił dozownik laudanum, co - jak potwierdziła Sarah - pozwoliło jej się ocknąć i porozmawiać z nim o jej udęcie i Kompanii Ramseya. Jacob - inny przyjaciel Sarah - zginął, gdy jego ścieżka przecięła drogę Kompanii.

- Ten przewoźnik? To był poganin - zbył jego słowa Ramsey, tracąc cierpliwość. - Dwa zabójstwa wystarczą, by kogoś powiesić.

- Były cztery morderstwa, włączając śmierć sierżanta Fitcha - przerwał mu Duncan, mówiąc do zebranych. - I wszystkie miały związek z poczynaniami Kompanii Ramseya.

- Nie myśl sobie, że rzucając bezpodstawne oskarżenia, przedłużysz życie tego zabójcy choćby o minutę - zapienił się Ramsey.

- Wzywam mojego pierwszego świadka - rzekł w odpowiedzi Duncan. Ramsey gniewnie uderzył młotkiem w stół.

- Nie będziesz drwił z tego sądu, panie. Nie masz prawa wzywać...

- Ja wzywam mojego pierwszego świadka - głośno przerwał mu Woolford i przyzwalająco skinął głową Duncanowi.

- Wielebny Zettlemeier z misji na Niemieckiej Równinie - oznajmił Duncan.

Woolford powtórzył nazwisko pastora.

Morawianin, ubrany, jakby miał wstąpić na ambonę, przyszedł z końca sali. Duncan niezwłocznie zaczął pytać go o osadników mieszkających między Edentown a misją. Zettlemeier nieproszony wyjął kartkę z narysowaną na niej mapą. Gdy Ramsey zgłosił sprzeciw, Woolford kazał mu robić swoje. Pike, siedzący w pierwszym rzędzie między dwoma żołnierzami, wstał, jakby chciał wyjść, lecz jego irlandzki sierżant zastąpił mu drogę. Major wysyczał rozkaz, lecz sierżant pokazał mu, żeby usiadł na ławie. Duncan podniósł mapę Morawianina, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć, po czym wskazał dwa krzyżyki oznaczające Niemiecką Równinę na północy i Edentown na południu.

- Co to za prostokąci? - zapytał misjonarza.

Na mapie widniały rozrzucone ponad dwa tuziny takich prostokątów.

- Każdy z nich oznacza zabudowania, farmę - odparł Niemiec. - Są tu wszystkie w promieniu czterdziestu mil od misji.

- Kto ma taką mapę?

- To jest kopia dwóch identycznych, które cztery miesiące temu posłałem wielebnemu Arnoldowi.

- Musimy znać naszych sąsiadów - wtrącił Ramsey. - Wielebny chciał wiedzieć, gdzie są wszystkie owieczki z jego stada.

- Czy są tu któreś z tych owieczek? - zapytał misjonarza Duncan.

Zettlemeier przytaknął i skinął na dwoje obecnych, mężczyznę i kobietę, przedstawiając ich jako ocalałych z dwóch różnych gospodarstw. Duncan poprosił ich, żeby pokazali mu swoje farmy na mapie, a potem

wszystkie inne zaatakowane przez Indian. Po chwili pokazał zebrany mapę, teraz z wieloma przekreślonymi prostokątami,

Gdy Duncan wezwał następnego świadka, Pike daremnie próbował protestować. Idąc na miejsce dla świadków, jego sierżant miał spuszczoną głowę. Rosły Irlandczyk szybko potwierdził, że major Pike często oglądał mapę, którą trzymał w skórzanej ładownicy przy pasie. Pike przesunął się na ławce, jakby chciał z niej czmychnąć, lecz zobaczył zimne spojrzenie sierżanta i znieruchomiał. Nic nie mówił, gdy zwiadowca podszedł i odpiął skózaną ładownicę, którą major miał przypiętą do pasa. Duncan wziął ją od niego, otworzył i wyjął następną mapę. Porównał ją z tą Zettlemeyera.

Pokazał zebrany, jak mapa była złożona, zaadresowana na odwrocie i oklejona do wysyłki.

- Po co, majorze Pike, wielebny Arnold wysłał ci jedną ze swych map? - zapytał, wskazując nazwisko adresata. A kiedy Pike nie odpowiedział, Duncan przeszedł przed zebrany. - I dlaczego jest to dokładnie ta sama mapa, z przekreślonymi dokładnie tymi gospodarstwami, które zostały spalone?

W tłumie rozległy się szepty.

Pike znów próbował wstać i został powstrzymany przez jednego ze zwiadowców.

- Mapa przysłana przez Arnolda nie była raportem wywiadowczym - oznajmił Duncan. - To był plan. - Pokazał mapę zgromadzonym. - Arnold i Pike wiedzieli, które gospodarstwa zostaną zniszczone, na trzy miesiące przed napadami.

Oszołomiony tłum ucichł, a Duncan położył obie mapy na stole przed Ramseyem. Lord spojrział na nie z zakłopotaniem, a potem z niepokojem, widząc przerażoną minę Pike'a. Ramsey zaczynał pojmować, że to nie Lister jest tu sądzony. Tak wpatrywał się w mapy, że nie zwrócił uwagi na następnego świadka, dopóki Jonathan nie odpowiedział na pytanie Dunca- na o czas, jaki dzieci Ramseya spędzały z wielebny Arnoldem.

- Godzinę dziennie, proszę pana - ochoczo odpowiedział chłopiec. - Ojciec mówił, że powinniśmy uczyć się religii co najmniej godzinę dziennie.

- Czy wielebny dawał wam lekcje religii oparte na przykładach życia w Edentown?

- Och tak, proszę pana, my...  
- Jak śmiesz! - Zerwał się ze stołka Ramsey, poczerwieniały ze złości. - Crispinie! Natychmiast zabierz stąd dzieci!

Crispin odpowiedział bez wahania:

- Może mógłbym zabrać stąd dzieci, panie, ale nie mogę zabierać sądowi świadka.

- Zdaje się, że opisywałeś, jak pastor pokazywał wam pracę ludzi w miasteczku - ciągnął Duncan.

Jonathan patrzył teraz na starszą siostrę, stojącą pod ścianą i trzymającą rękę na ramionach małej Virginii.

- Tak, proszę pana. Kowala, cieślę, rzeźnika, bednarza.

- Rzeźnika?

- Tak, proszę pana. U rzeźnika byliśmy codziennie. Wielebny Arnold pomagał planować posiłki i mówił, że sklep rzeźnika to bardzo pouczające miejsce. Jako chłopiec spędzał wiele czasu w sklepie rzeźnickim swojego kuzyna i mówił nam, że każde stworzenie na ziemi ma swe przeznaczenie w życiu i śmierci. Powiedział, że tamte lata nauczyły go, iż wszystkie ludzkie uczynki można wyjaśnić przykładami wziętymi z Biblii, i że jego kuzyn prowadził najbardziej chrześcijańską jatkę.

- Co taki młody pomocnik robił w chrześcijańskiej jatce?

- Zamiatał podłogi. Zabijał zwierzęta.

- A jak taki dobry chrześcijanin zabijał zwierzęta, którym Bóg nakazał, aby służyły mu swą śmiercią, Jonathanie?

W tylnym rzędzie podniosła się mała rączka.

- Ja wiem, panie McCallum! Ja wiem!

Virginia Ramsey nie chciała, żeby jej brat skupiał na sobie całą uwagę. Zerwała się z ławki i wypaliła, nie czekając na zachętę swojego nauczyciela.

- Za pozwoleniem, proszę pana, jeśli Bóg chce się posłużyć naszymi rękami, wyprawiając jakieś stworzenia do nieba, powinniśmy dołożyć starań, żeby nie przysporzyć im cierpień. Najpierw mówimy „Bóg tak chce”.

- Virginio! - rzekł Ramsey, podnosząc się ze stołka. - To nie miejsce... Crispinie! Przynajmniej zabierz...

Olbrzymi służący zaczął przeciskać się przez tłum. Jednak córka Ramseya postarała się dokończyć swoją odpowiedź, zanim Crispin do niej dotarł.

- A potem szybki cios młotkiem w czaszkę załatwia sprawę - wypaliła. Na te słowa Crispin zamarł i wszyscy obecni również. Virginia, zadowolona ze swojej odpowiedzi, uśmiechnęła się do Starej Krzywej Twarzy.

Ramsey pierwszy przerwał ciszę.

- To nic nie oznacza - rzekł łamiącym się głosem. - Próbujesz ukryć prawdę. Nie podajesz żadnych logicznych argumentów, tylko odwracasz uwagę.

- To oznacza wszystko - odparował Duncan i wezwał następnego świadka.

Cameron z urażoną miną usiadł na stołku na końcu sędziowskiego stołu.

- Wielebny Arnold był bardzo zajęтым człowiekiem, prawda, panie Cameron, jako pełnomocnik lorda Ramseya i jego kapłan?

Cameron tylko zmarszczył brwi.

- Przynajmniej miał pańską cenną pomoc. Jako były kupiec niewątpliwie pomagał mu pan prowadzić księgi.

Sarah Ramsey podeszła i wręczyła Duncanowi jakiś przedmiot zawinięty w worek po mące. Cameron odprowadził odchodzącą niechętnym spojrzeniem. Kiedy wróciła na miejsce, Duncan wyjął księgę rachunkową i otworzył ją przed nosem dozorecy.

- To twoje pismo, prawda, w ostatnich tygodniach?

- Taak.

- Wykaz zakupów. Widzę znajome pozycje w pierwszej części. Mąka. Bekon. Przyprawy. Ziarno. Płótno. - Duncan pokazał zebrany księgę. - Tylko nie rozumiem drugiej części, tej z tyłu - rzekł, otwierając księgę na stronach, które przeczytał w piwnicy. - Nazwiska ludzi spoza Kompanii. Liczby. Wypłaty. Daty. Za co, panie Cameron?

- To pismo wielebnego. Jego zapytaj.

- Zadano sobie sporo trudu, żeby ukrywać tę księgę w piwnicy.

Cameron spojrział na niego gniewnie.

- Pierwszego dnia po zejściu Kompanii na ląd - kontynuował Duncan - zabiłeś niedźwiadka?

- Nie ja, Hawkins.

- A jak myślisz, dlaczego Hawkins uciekł?

- Jest traperem. Zaczyna się sezon myśliwski.

- Szkoda. - Duncan pokazał palcem pierwszą linijkę tajnego rejestru. - Pan Hawkins figuruje tu jako pierwszy, z ponad tuzinem wpisów. Płacono mu za niedźwiadki, panie Cameron?

Kiedy dozorca nie odpowiadał, Duncan położył rejestr przed Ramseyem i znów odwrócił się do świadka.

- Co pan zabił tamtego pierwszego dnia, panie Cameron?

Dozorca odparł z roziskrzonym wzrokiem:

- Kiedy robak wejdzie ci w drogę, nie zostawiasz go przy życiu, żeby męczył cię nazajutrz.

Duncan odwzajemnił jego zimne spojrzenie.

- Straciłeś rodzinę podczas napadu Indian w Pensylwanii. Czy powiedziałeś o tym wielebnemu Arnoldowi, kiedy cię werbował?

Cameron wykrzywił usta w nikłym, zimnym uśmiechu.

- Powiedział, że Kompania potrzebuje ludzi, którzy nie będą się uchylać od obowiązków aniołów zemsty. Pewnie, zabiłem tego starego Indianina, prawie od razu, sądząc po ilości krwi, którą stracił. I nie znajdziesz w Ameryce sędziego, który by mnie za to skazał.

Duncan przysunął się do niego i zapytał szybko, gdy Cameron patrzył na Ramseya.

- Dokładnie ilu Indian pan zabił, panie Cameron?

- Dotychczas równy tuzin. Po czterech za każdego z mojej...

Cameron ugryzł się w język. Powoli odwrócił się twarzą do zebranych.

Co najmniej tuzin Irokezów przyglądał mu się uważnie.

- To dziwne, że Arnold trzymał dzieło swojego anioła zemsty w takiej tajemnicy. - Duncan wskazał na księgę. - Na samym dole tej listy jest pańskie nazwisko, wpisane jako ostatnie. Po raz pierwszy pojawiło się na niej w dniu, kiedy zginął sierżant Fitch. Czy to była cena za przyjęcie w szeregi zabójców? Zapłacono ci za Fitcha tak jak za Indian?

- O nic mnie nie oskarżysz! - prychnął Cameron. - Fitch zginął od ciosu tomahawkim w pierś. Od indiańskiej broni.

- Nie - odparował Duncan. - Zmierzyłem ranę, kiedy obmywałem ciało. Nie została zadana tomahawkim. Ostrze było znacznie szersze. Zginął od ciosu topora, takiego, jaki stał w stajni obok koła do ostrzenia. Topory rozdano ludziom Kompanii w noc napadu.

- Fitch znalazł tego przekłętęgo Walijczyka w kruszalni kory - mruknął Cameron - i wypytywał go, co mówili ludzie Hawkinsa, kiedy się upili. Gdy po powrocie tutaj Fitch nie zastał swojego kapitana, przyszedł do mnie, by

zapytać, czy ma powiedzieć wielebnemu o tym, czego się dowiedział.

- A czego się dowiedział?

Cameron uśmiechnął się.

- Niewiele. Tylko tego, że kiedy się upili, ćwiczyli indiańskie okrzyki wojenne.

- Czy to wyznanie, panie Cameron?

- Do niczego się nie przyznaję. Jak powiedział Woolford, śmierć żołnierza to sprawa dla wojska. Ni cholery nie możesz nic z tym zrobić, McCallum. To jest proces zabójcy Frasiera i Everinga. Nie możesz...

Słowa znów uwięzły mu w gardle, gdy dostrzegł jakiś ruch na poddaszu. Zebrani spojrzeli w górę. Obok maski pojawiła się wysoka, barczysta postać, uważnie patrząc na Camerona.

- Możesz pozostać na miejscu, panie Cameron, gdy przemówi mój następny świadek - oznajmił Duncan. - To Łowca Kruków z plemienia Onondaga.

Ramsey zaczął tłuc młotkiem w stół tak energicznie, że przekrzywiła mu się peruka.

- Dość tego cyrku, McCallum! - wrzasnął, na moment odwracając się do Camerona. - Kajdany! Chcę natychmiast zobaczyć go w łańcuchach! Zaraz poczujesz bat na...

Jego ręka znieruchomiała w powietrzu, gdy Woolford złapał go za przegub. Gdy lord usiłował przełożyć młotek do drugiej ręki, przytrzymały ją inne mocne dłonie. Sierżant Pike'a nachylił się nad nim i bez słowa wyłuskał mu młotek z dłoni.

- Sierżancie. - Podziękował mu skinieniem głowy Woolford, a potem zwrócił się do Duncana: - Proszę, kontynuuj.

Obok Łowcy Kruków pojawiła się następna postać. Conawago przełożył wampum przez uniesioną rękę Onondagi. Syn Tashgui wszedł w krąg światła wpadającego przez drzwi stryżku. Nikt z obecnych na dole się nie odezwał.

- Przebywałeś tu w pobliżu, w lesie, przez kilka dni, zanim przyszedłeś w nocy po Sarah - zaczął Duncan.

- To prawda - padła odpowiedź z góry.

- Wymienialiście z Sarah wiadomości, używając znaków na brzegu rzeki.

- Zostawiała mi znaki o zmierzchu. Przychodziłem o świcie, żeby odpowiedzieć.

- Jednak młody Frasier zobaczył je i próbował zniszczyć.  
- Nie znałem jego imienia - wyjaśnił Onondaga. - Młodziak o rudych włosach. Bardzo się bał. Dzień przed tym, nim Sarah odeszła ze mną, zobaczyłem go o pierwszym brzasku przy stajni. Chciałem na niego poczekać, żeby wyjaśnić, że nie mam złych zamiarów, i poprosić, aby nie niszczył naszych świętych znaków. Schowałem się za wiązem spowity poranną mgłą.

- On jednak nie dotarł do brzegu.

- Przyszedł drugi człowiek, niosąc coś na ramieniu. Ten, którego zwiesz Frasierem, coś cicho do niego powiedział.

- Widziałeś twarz tego drugiego?

- Nie. Przez cały czas był w cieniu. Dopiero zaczynało świtać. Wszystko stało się bardzo szybko. Kilka słów, potem uderzenie tym czymś, co tamten drugi miał na ramieniu, i odgłos pękających kości.

- Co zrobiłeś?

- Wróciłem za rzekę. To były sprawy mieszkańców miasta, nie moje.

- A te słowa. Słyszałeś je?

Łowca Kruków poważnie skinął głową.

- Bóg tak chce - powiedział tamten człowiek. - Nic więcej. Potem młodziak padł.

Duncan odwrócił się do sędziów.

- Morderstwa na statku nie były dziełem Szkotów - oznajmił. - Ten sam sprawca zabił Frasiera i Everinga - również młotkiem.

Duncan pojął to dopiero wtedy, kiedy przebywał u Tashgui. Tylko jeden człowiek mógł zabrać wykres, zeszytywniały od morskiej soli, z kabiny Everinga. Sarah nie zrobiłaby tego, nie zabrałaby wykresu ze sobą do oceanu - chyba że wiedziała, że Evering już nie żyje. Świadomość tego faktu sprawiła, że chciała dopieć Kompanii rytuałem przy kompasie, a potem popełnić samobójstwo, skacząc z bomu. Tylko Arnold mógł coś stracić w wyniku przebudzenia Sarah. Może Evering nie zostałby zabity, gdyby nie to, że Arnold nie tylko znalazł przy nim fiolkę z usypiającą miksturą, którą miała dostać Sarah, ale na dodatek przeczytał notatki profesora, które później spalił w nocniku. Tylko Arnold mógł zrozumieć ich znaczenie i wiedzieć, że Evering stał się sprzymierzeńcem tych dwojga ludzi, którzy mogli pokrzyżować mu plany.

Ramsey schował twarz w dłoniach. Łowca Kruków i Conawago zniknęli.



Duncan skinął głową Woolfordowi, który wstał i cicho powiedział coś do sierżanta Pike'a. Duncan zapatrzył się na Sarah, która patrzyła w ziemię i łaża spływała jej po policzku. Wyczuł jakieś zamieszanie za plecami i usłyszał zduszony okrzyk protestu. Kiedy wrócił do stołu, Ramsey w końcu podniósł głowę. Pike stał z boku, przytrzymywany przez dwóch zwiadowców, z kneblem w ustach. Conawago podszedł do Duncana. Lister stał, podpierając się prowizoryczną kulą i rozcierając uwolnione z kajdanów nadgarstki.

Duncan skinął na Woolforda i zwiadowca położył przed Ramseyem skórzaną ładownicę majora.

- Otwórz ją - polecił Duncan. - Było w niej coś jeszcze poza mapą.

Ramsey posłał mu gniewnie spojrzenie, po czym wyjął owinięty szmatką przedmiot i niecierpliwym machnięciem odrzucił gałgan.

Na widok błyszczącej zawartości zawiniątka krew odpłynęła z twarzy lorda. Z jego gardła wyrwał się zduszony okrzyk:

- Niemożliwe!

Był to elegancki złoty krzyżyk, wysadzany rubinami. Duncan widział go już, na portrecie lady Ramsey. Lord wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Zabrała go ze sobą - rzekł ochryplym szeptem. - Poszedł na dno razem z nią.

- Nie - sprostował Duncan. - Arnold ukradł go po jej wyjeździe, wiedząc, że pomyślisz, iż lady Ramsey zabrała go w podróż, a potem dał Pike'owi na przypieczerowanie umowy.

- Umowy?

Duncan dał znak sierżantowi, który na moment wyjął knebel z ust majora.

- Ile akrów, majorze? Ile ziemi obiecał ci Arnold?

Pike spojrzał na niego wyzywająco.

- Pięć tysięcy. I nie masz prawa tknąć mnie palcem, McCallum. Zapłacisz za to, wszyscy zapłacicie - rzekł, groźnie zerkając na Woolforda.

- Pięć z ilu obiecanych Arnoldowi, lordzie Ramsey? - zapytał Duncan.

- Pięćdziesięciu - szepnęła Ramsey, wciąż nie odrywając oczu od krzyżyka. - Pięćdziesięciu tysięcy.

- Razem z Arnoldem wykorzystaliście tę grenadierską czapkę przeciwko majorowi - rzekł do Ramsey'a Duncan. - Przechowywałaś ją, ponieważ

dowodziła jego udziału w masakrze. Jednak chciałeś również pozbyć się osadników z twojej nowej ziemi. Ich siedliska były zbyt rozrzucone, co nie odpowiadało twoim planom, a przede wszystkim nie należały do ciebie. Chciałeś usunąć wszystkie zagrożenia dla twojego tytułu własności. To była dla Arnolda szansa wzbogacenia się, posiadania własnych włości. Wszystko zależało od tego, czy uda ci się wypełnić warunki umowy z królem. Musiałeś usunąć z tej ziemi Irokezów i pozbyłbyś się ich, zabijając wodzów. Jednak Arnold wiedział, że będziesz musiał pozbyć się także osadników.

- Tam właśnie wybrał sobie ziemię, wzdłuż rzeki do Edentown do misji  
- wciąż szeptał Ramsey.

- Kiedy Arnold zrozumiał, dlaczego Pike dokonał masakry na Kamienistym Szlaku, bez trudu powiązał go z Francuzami. Oczywiście następnym krokiem było zawarcie umowy z majorem. Pike współpracował z Francuzami dla pieniędzy, a z Arnoldem, żeby zdobyć ziemię. Wzajemnie pomagali sobie osiągnąć swoje cele. Pike zamierzał wykorzystać Huronów, żeby dokończyć to, co zaczął rok wcześniej na Kamienistym Szlaku, i pomóc ci zemścić się na Tashgui za odebranie ci córki, a także przejąć ziemię darowaną przez króla. Jednak Pike potrzebował jakiegoś zabezpieczenia. Dlatego Arnold dał mu ten krzyżyk.

Duncan wziął odebraną Pike'owi mapę i obrócił się do majora.

- Arnold potrzebował pomocy w pozbyciu się osadników. Ty miałeś Huronów na każde swoje skinienie. Arnold miał ludzi na południu, ty miałeś Huronów na północy.

Teraz Duncan wiedział, że napadli go właśnie bandyci pod wodzą Hawkinsa i dlatego Conawago znalazł jego medalion przy zabitym bandycie obok spalonej chaty. Dlatego Hawkins był taki przerażony nagłym pojawieniem się medalionu w dłoni Łowcy Kruków.

Nikt się nie odzywał. Pełna ludzi stajnia była jak beczka prochu. Gniew palący się w oczach osadników i Irokezów w każdej chwili mógł spowodować wybuch.

Ramsey najwidoczniej w końcu dostrzegł ich złowrogie spojrzenia.

- Ja nie... Nie masz dowodu, że ja... Skąd mogłem wiedzieć? - wykrztusił. - To Arnold jest odpowiedzialny za ich śmierć. Bardzo chciał dostać tę ziemię i dlatego...

Duncan podniósł księgę rachunkową i otworzył na ostatnich stronach.

- Jednak te zapisy w księdze, sprzed przybycia Camerona i Arnolda. Wszystkie są pisane twoją ręką.

Na to Ramsey nie miał odpowiedzi. Wiercił się na stołku, jakby nagle się kurcząc, po czym znów spojrzął na krzyżyk.

Duncan poszedł tam, gdzie miesiąc wcześniej siedziała i nuciła Sarah. Otworzył drzwi magazynu, a widzowie wyciągnęli szyje, obserwując go.

- Szyfry i tajemnice, skarby i łapówki. Krew życia Kompanii Ramseya.

- Chodźmy do szkoły - nagle wypalił Ramsey, wstając i wskazując na wielki dom. - Napoje. Powinniśmy się czegoś napić w ogrodzie, zanim będziemy kontynuować. Rum. Rum dla wszystkich!

- Co by pomyślała twoja żona, Ramsey, gdyby wiedziała, ile ofiar złożyłeś na jej krzyżu? - zapytał Woolford.

Te słowa były dla Ramseya niczym pchnięcie nożem. Oklapł i opadł z powrotem na stołek, znów patrząc na krzyżyk, który trzymał w dłoni.

Gdy Duncan zaczął odsuwać beczki stojące pod ścianą, przypomniał sobie pewien dzień na statku, gdy odsunął baryłki, by odkryć pływające w morzu ciało Everinga. Łagodny profesor był mu teraz dziwnie bliski, jakby wreszcie sprowadził go do domu.

Kolejni mężczyźni - Irokezi, ludzie z Kompanii i zwiadowcy - przyłączyli się do niego. Kiedy usunięto wszystkie beczki, Duncan kazał przynieść latarnie i przy ich świetle zaczął oglądać ścianę, każde spojenie, deskę i kołek. Po chwili rozejrzał się po stajni i jego spojrzenie padło na otwartą beczkę, w której trzymano zapasowe styliska łopat i toporów. Przejrzał zawartość beczki, a potem z cienia za nią wyjął krótki kołek spłaszczony na jednym końcu niczym trzystopowe drewniane dłuto. Zaledwie chwilę zajęło mu znalezienie w ścianie deski, pod którą mógł je wepchnąć. Wąska szpara tuż przy podłodze z łatwością mogła ujść uwagi patrzących. Wetknął stylisko pod deskę, podważył ją i trzystopowej szerokości fragment ściany odchylił się na ukrytych zawiasach.

Ze skrytki wydobyl się ohydny odór. Na stoliku przy drzwiach leżało kilka rysików, ogarek w żelaznym świeczniku oraz pudełko ze świecami. Duncan odsunął wieczko pudełka. W środku było nieco biżuterii. Broszki i naszyjniki, przeważnie złote, niektóre wysadzane oszlifowanymi w Holandii diamentami.

- Skarbiec! - zawołał ktoś w tłumie, gdy Duncan podniósł jeden naszyjnik do światła. - Przynieście resztę skarbu!

Duncan wyszedł przez zamaskowane drzwi.

- To rzeczy, które ukradł Arnold. Nie ma tu innych skarbów - rzekł, znów ze ściśniętym z łęku gardłem. - Tylko nasiona imperium Ramseya.

Jednak ludzie, ujrawszy złoto i klejnoty, przestali go słuchać. Duncan nie miał siły ich powstrzymywać, gdy ruszyli, łapiąc latarnie. Ludzka fala pchnęła go na Sarah, która ze spuszczoną głową oparła się o beczkę, ściskając jedną ręką zawieszony na szyi woreczek. Krew odpłynęła jej z twarzy. Delikatnie oparł jej głowę na swoim ramieniu.

Po kilku sekundach ludzie zaczęli wybiegać ze skrytki, bladzi jak duchy, a dwóch gwałtownie zwymiotowało na klepisko stajni. Wkrótce w drzwiach stali tylko Woolford i Jamie, z kamiennymi i szarymi jak głazy twarzami.

Oto ujrzeli kwintesencję Kompanii Ramseya, magazyn ambicji Ramseya i Arnolda. Zwisły z belek powały niczym pęki tytoniowych liści, całe rzędy płatów skóry z długimi czarnymi włosami.

- Ponad setka - oznajmił Woolford. - Nie przebierali. Młodzi i starzy. Mężczyźni i kobiety.

W niektórych włosach wciąż tkwiły pióra, w inne były wplecione koraliki i wstążki. Pod ścianą leżały kolejne trofea - kunsztownie rzeźbione bębny i tomahawki oraz indiańskie stroje, w ilości wystarczającej, by spory oddział mógł się przebrać za Huronów.

- Co robimy? - spytał przygnębiony Crispin.

Duncan skinął na Sarah, która - mając w żyłach krew Ramseyów i indiańskie serce - była niepokieszona.

- To nie zależy od nas.

Zaczekali, aż Sarah zabrakło łez. Wstała, wygładziła suknię i zaczęła cicho wydawać polecenia Crispinowi, Jamiemu i Irokezom. Ci zabrali się do roboty. Zaczęli wyprowadzać inwentarz ze stajni, wytaczać beczki z zapasami, wynosić narzędzia. Niektórzy ludzie Kompanii wrócili, wysłuchali relacji wojowników Jamiego i zaczęli im pomagać. Nikt nie narzekał, nikt nie kwestionował rozkazów Sarah.

Ramsey dopiero po długiej chwili zauważył ich pospieszne wysiłki, lecz nadal nic nie mówił, dopóki Sarah nie pomogła mu wstać. Ludzie zaczęli zbierać wiadra na wodę.

- Nie moja stajnia, córko, nie moja piękna stajnia - rzekł cicho.

Jednak nie powiedział już nic więcej, gdy dziewczyna pomogła mu wyjść na zewnątrz. Wlókł się jak wiekowy starzec.

Tylko Irokezi użyli pochodni, podpalając siano i kawałki drewna, a potem rzucając je na stryszek. Po pięciu minutach płomienie już lizały belki pałacu Ramseya. Po dziesięciu ryk ognia przepłoszył inwentarz na drugi koniec pastwiska. Po piętnastu służba wylewająca wiadra wody na sąsiednie budynki musiała wycofać się przed żarem.

Kiedy ostatnie promienie słońca znikły za lasem na zachodzie, zajął się kryty gontem dach. A gdy zapadła noc, belki się załamały i cały budynek runął. Niedługo po tym - przypadkiem lub podpalona - zaczęła płonąć szubienica Listera.

## Rozdział 17

Luna pożaru oblewała twarze mieszkańców jak aktorów na dobrze oświetlonej scenie. Ramsey siedział na schodach swego wielkiego domu i beznamytnie obserwował dzieło zniszczenia, a służba była zbyt wystraszona, żeby do niego podejść.

Ludzie Kompanii znów zaczęli polewać wodą sąsiednie budynki, często przerywając pracę, żeby popatrzeć na trzaskający ogień. Szerokim łukiem omijali samotną postać stojącą na brzegu rzeki, owiniętą kocem przyniesionym przez Crispina. Na twarzy Sarah malowały się rozmaite uczucia. Duncan dostrzegł nienawiść, strach, poczucie winy i smutek, ale także zapal, zawziętą, a zarazem dociekliwą determinację, jaką widział w oczach jej indiańskiego ojca. Zobaczył, że porusza wargami. Odmawiała modły *Haudenosaunee*.

- Zaprzyj się - powiedział szorstki głos za jego plecami.

Duncan odwrócił się i ujrzał Listera oraz dwóch ludzi Kompanii, z których jeden niósł obcęgi zabrane z kuźni. Zanim pojął, co się dzieje, ci dwaj złapali za jego obrozę, a Lister, balansując na kuli, wziął obcęgi i zaczął odginać gwóźdź łączący żelazną obręcz na karku. Stary Szkot przez moment trzymał obręcz wysoko w powietrzu, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć, po czym cisnął w ogień. Kiedy znikła w rozżarzonych węglach, niektórzy zaczęli wiwatować. Jedni klepali Duncana po plecach, inni ściskali mu rękę, a potem pospiesznie odchodzili, widząc, że spogląda na Sarah. Wciąż się jej bali.

Duncan bardzo pragnął jej pomóc, ale wiedział, że tak jak w wypadku stajni, płonący w dziewczynie ogień musi sam się wypalić. Wrócił do ludzi z wiadrami i pracował razem z nimi do późnej nocy, gasząc warsztat bednarza, gdy stanął w płomieniach. Wszystkie inne budynki pozostały nietknięte, nie licząc paru osmalonych belek.

Było długo po północy, zanim można było spokojnie odpocząć, i wielu mężczyzn siadło na brzegu rzeki, żeby obmyć się z sadzy, patrząc na długą i szeroką pryzmę rozżarzonych węgla i na Sarah, która szła z Crispinem do kuchennych drzwi. Strach wypalił się w ludziach, zastąpiony przez coś, czego Duncan z początku nie potrafił nazwać. Była w nich jakaś nowa powaga i siła, jakby zrozumieli, że tej nocy wydarzyło się coś ważnego, co na zawsze zmieniło Edentown, a ich znów uczyniło wolnymi ludźmi. Pożar angielskiej stodoły Ramseya wyzwolił więźniów. Jakby nie spłonęła stajnia, a most do jego świata.

Obchodząc pogorzelnisko, Duncan napotkał Listera zapatrzonego na oblaną księżycowym blaskiem łąkę. Na jej środku stała grupka ludzi. Nie rozumiał ich mowy, lecz wyczuwał w ich głosach podniecenie.

- To ci dzicy - rzekł zaniepokojony Lister. - Zabrali tam tę maskę.

Duncan przeszedł kilka kroków po łące, po czym odwrócił się i skinął na Listera, żeby do niego dołączył. Irokezi oraz kilku ludzi Jamiego zgromadzili się wokół Łowcy Kruków, który miał na twarzy maskę i spoglądał w górę, wyciągając ręce ku niebu.

Indianie nie zwrócili uwagi na nadchodzących. Wszyscy obserwowali Starą Krzywą Twarz, przyglądającą się niebu na wschodzie. Duncan też popatrzył w tym kierunku, nie rozumiejąc. Wtem zobaczył długą, płonąca smugę na niebie. Z jego ust wyrwał się cichy okrzyk radości.

- Jaki mamy dziś dzień, Lister?

- Nie mam pojęcia, panie. Koniec września, prawie październik.

Irokezi zobaczyli kometę Evinga. A z ich podnieconych głosów wynioskował, że uznali to za trzecie cudowne wydarzenie, cud nieba dowodzący, że stare duchy ich nie opuściły.

Rankiem Ramsey nadal siedział na schodach wielkiego domu, poszarzały i wypalony jak garść popiołu pozostałego po tej nocy. Najwyraźniej podczas tych długich nocnych godzin nikt do niego nie podszedł, nie zaproponował mu pomocy. Duncan, który trzy godziny przed świtem padł na ławę w warsztacie cieśli, przetarł zaspane oczy, podchodząc do lorda. Cicho go powitał. Gdy Ramsey nie odpowiedział, zdając się go nie widzieć, Duncan podniósł go i poprowadził pod rękę do domu.

W środku, na piętrze, trwała gorączkowa krzątanina. Duncan zaprowadził Ramseya do spokojniejszej bawialni na parterze. Jak człowiek, który

postradał zmysły, lord pozwolił, by Duncan położył go na kanapie i nakrył kocem. Po kilku sekundach Ramsey zasnął.

Na zewnątrz Irokezi, ludzie Kompanii i zwiadowcy pracowali razem, uprzążając resztki stajni, układając w jednym miejscu kamienie, które już ostygły, usypując węgle w sterty, wybierając z popiołu zawiasy i ćwieki do przekucia przez kowala. Duncan znalazł łopatę i przyłączył się do nich. Słońce stało niemal w zenicie, kiedy skończyli i Duncan mył się przy jednym z koryt, gdy usłyszał dziwny, nieoczekiwany dźwięk. Dziecięcy śmiech. Spojrzał i wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Jonathan i Virginia stali po kostki w wodzie z wędkami w dłoniach, a siedzący na brzegu Lister z kulą pod ręką uczył ich łowić ryby. Virginia pisnęła z zachwytu, gdy zza gęstej olchy wyłoniła się długa, miedzianoskóra ręka, trzymająca wielkiego, trzepoczącego się pstrąga.

- Przyjdź i zobacz, Klanie McCallum, to pan Moon! - zawołał do Duncana Lister, gdy stary Indianin wyszedł zza krzaka. - Ten, z którym żeglowaliśmy!

Duncan uśmiechnął się i skinął głową. Conawago włożył europejski strój, chociaż miał piórko w splecionych w warkoczyki włosach i bose stopy. Conawago pokazał dzieciom rybę, a Virginia pogłaskała tęczy bok pstrąga, zanim wpuściła go z powrotem do wody.

Duncan położył się na brzegu, ciesząc się słońcem, obserwując ich z nieoczekiwanym zadowoleniem, aż zobaczył, że Jonathan niepewnie spogląda za rzekę. W cieniu drzew spokojnie krzatali się ludzie, spychając kanu na wodę. Oddział Tashgui szykował się do podróży.

- Na zachód - rzekł Conawago, sadowiąc się obok Duncana.

- Nie sądziłem, że odejdziesz tak szybko.

- Nie ja, nie z nimi. Nasze ścieżki niewątpliwie znów się przetną, ale nie podążamy tą samą drogą. Obiecali rozejrzeć się za moim ludem.

- Byliby tu mile widziani, gdyby chcieli odpocząć przez kilka dni.

To niewiarygodne, pomyślał, ale rzeczywiście tak było. Gdy pracowali ramię w ramię tej nocy, płomienie pożaru najwyraźniej wytopiły nowe przymierze pomiędzy ludźmi Kompanii a Irokezami.

- Przyjdą tu żołnierze - przypomniał mu Conawago.

Duncan wstał. Kanu już odpływały w dół rzeki, popychane uderzeniami wiosł krzepkich Szkotów. Szybko przeszedł wpław na drugi brzeg, by uściśnąć kilka dłoni, dodać odpływającym otuchy i przyjąć od jednego z Irokezów pęk piór owiniętych skrawkiem futra. Syn Tashgui był tam, układając



w łodzi skórzane sakwy, w których zapewne znajdowały się ceremonialne maski. Łowca Kruków z powagą zdjął z szyi niedźwiedzi pazur zawieszony na cienkim rzemyku i założył naszyjnik Duncanowi.

- Już nigdy więcej nie będziesz musiał obawiać się niedźwiedzia - powiedział Indianin.

Odwrócił się i wsiadł do kanu.

Nagle przed Duncanem pojawiła się okrągła twarzyczka.

- Możesz zostać tutaj, Aleksie - zaproponował Duncan. - Uczyć się w szkole.

Wiecznie zmęczonemu Aleksowi jakby ubyło lat. Nie był już zaklinaczem duchów. Był zwyczajnym chłopcem. Kiwnął głową.

- Kazała mi obiecać, że wrócę za rok. Sarah mówi, że muszę się nauczyć rysować słowa, żeby móc być mostem między ludźmi.

- I może między mułami - z uśmiechem rzekł Duncan.

Na moment na twarzy chłopca pojawił się smutek.

- Zanim opuściłem misję, przeciąłem mu pęta. Powiedziałem, że dziwny Szkot przyszedł nas ocalić. Poprosiłem, żeby szedł ze mną. Przeszedł za mną kilka kroków, a potem przystanął i patrzył na mnie tymi swoimi wielkimi ślepiami. Później odwrócił się i odszedł drogą do kruszalni.

Stali w milczeniu, daremnie szukając słów. Adam Munroe był tam, obok nich, między nimi.

Ktoś zawołał chłopca po imieniu. Jego nowa mama wołała go do kanu.

Duncan nagle zaczął szukać czegoś w kieszeniach, czegokolwiek. Rozpiął pas, zsunął z niego pochwę z nożem zwiadowcy i wcisnął ją w dłoń chłopca. Alex z powagą przyjął dar, po czym cofnął się kilka kroków, patrząc Duncanowi w oczy, zanim odwrócił się i pobiegł do kanu.

Conawago czekał na niego na drugim brzegu. W milczeniu patrzyli, jak ostatnie kanu zniknęło za zakrętem rzeki, czując rodzącą się w nich pustkę.

- Nie odszedłby w ten sposób - powiedział po długiej chwili stary Indianin.

Duncan spotkał w Ameryce wielu ludzi umiejących wprawnie czytać ślady w lesie, ale tylko jednego, który zawsze potrafił czytać w jego sercu.

- On czeka.
- Gdzie?
- Jest takie miejsce, gdzie ludzie z innych światów znajdują dla siebie słowa.

Duncan pobiegł. Nie myśląc o niczym innym, tylko o tym, że się spóźni, biegł.

Jednak Jamie był tam, siedząc na kłodzie, patrząc na omszały kopiec, z leżącym obok plecakiem i strzelbą. Nie odwrócił się, gdy Duncan stanął za jego plecami.

- W kwaterze, którą wynajmowałem w Edynburgu, była stara spiżarnia - powiedział po dłuższej chwili Duncan. - Zamieszkał tam, za szafą, którą zastawialiśmy drzwi. Nocami rozmawialiśmy o dawnych czasach. Próbowałem znaleźć statek, który zabrałby go do Holandii. Zamierzałem opłacić mu rejs i dać wszystkie pieniądze, jakie miałem. Jednak pewnego ranka powiedział, że to jego urodziny i chce dzban whisky. Nie wiedziałem, co się właściwie wydarzyło tamtego dnia, kiedy został sam. Gdy wróciłem do domu, ktoś załomotał do drzwi. Ludzie z magistratu zaczęli mnie bić pałkami i ogłuszyli. Ocknąłem się w celi. Na procesie moi sąsiedzi zeznali, że usłyszeli, jak ktoś śpiewał w mojej kwaterze szkockie piosenki. To on upił się i zaczął śpiewać. Przeżył tyle bitew, tyle sztormów, a w końcu zabiły go stare piosenki. Zabrali mnie w kajdanach na jego egzekucję. Splunął katowi w oczy. Ten tak się wściekł, że złamał mu rękę. On zaczął wykrzykiwać nazwę naszego klanu. Złamali mu drugą rękę. Śpiewał jedną ze swych piosenek, dopóki nie zabrakło mu tchu. - Duncan miał wrażenie, że na jego sercu zaciska się żelazna obręcz. - Stchórzyłem. Powinienem był śpiewać razem z nim.

- Tobie też połamałoby ręce - rzekł Jamie, wciąż patrząc na stary kurhan.

- Powinienem był śpiewać razem z nim - powtórzył Duncan. Po chwili usiadł na kłodzie obok brata. - Idziesz na zachód. Zamierzasz pójść do wiosek Irokezów.

- Nie. Tashgua zrozumiał to, zanim umarł. Starzy Indianie też zrozumieli.

- Co takiego?
- Wiesz, ilu osadników jest tu w angielskich koloniach?
- Sto tysięcy, może dwieście.
- Setki tysięcy, prawie milion, i z każdym dniem więcej. Irokezów jest

może trzydzieści tysięcy, a Lenni Lenape i innych plemion znacznie mniej. Co roku osadnicy zabierają kolejne dwadzieścia lub trzydzieści mil lasu. Tashgua to zrozumiał. Conawago także. Woolford też to rozumie.

- Co właściwie?

- Przyszłość. Wszystkie plemiona widzą przyszłość jako czas, gdy biali i czerwonoskórzy ludzie będą żyli razem. Jednak biali ludzie zakładają, że w przyszłości nie będzie Indian.

Te słowa sprawiły Duncanowi nieoczekiwany ból. Na moment ukrył twarz w dłoniach.

- Wojsko, Jamie. Możemy wszystko wyjaśnić. Masz przyszłość...

Jamie sięgnął do kieszeni i wyjął pomięty list.

- Woolford znalazł go przy Pike'u. Przestrzega mnie, bym nie ufał królowi i królewskiej armii. Przypomina mi, co wojsko zrobiło ze Szkocją i szkockim sposobem życia. Ten, kto to pisał, twierdzi, że jeśli dowodzenie obejmują ludzie pozbawieni sumienia, nie może z tego wyniknąć nic dobrego.

Duncan wbił wzrok w ziemię. Szedł wiele tygodni i przeszedł przez wiele różnych rąk, lecz list napisany przez Duncana w nocy przed śmiercią Everinga wreszcie dotarł do jego brata.

- Zamierzasz odejść daleko - rzekł w końcu.

Z trudem znajdował słowa. Tyle lat czekał na rozmowę z bratem, a teraz Jamie odchodził.

- Są takie miejsca za Ohio, gdzie jeszcze co najmniej przez dwa lub trzy pokolenia nie będzie osadników. Gdyby w naszej ojczyźnie były takie miejsca, już dawno zrobilibyśmy, co trzeba.

- Zatem teraz zrobisz to dla kilku Szkotów i niektórych Irokezów.

- Zrobimy to dla wszystkich Szkotów i wszystkich Irokezów. - Jamie wstał i Duncan zobaczył, że otwiera plecak i wyjmuje z niego szeroki na cal wampum. Przełożył go przez nadgarstek i w końcu spojrzął bratu w oczy. - Chcemy, żebyś udał się tam z nami. Tam, z dala od świata, jest miejsce dla klanu McCallumów,

Pochylił się i zza kopca wyjął coś, co tam leżało. Plecak Duncana. Teraz Duncan odwrócił wzrok od patrzącego nań brata i spojrzął na las, szukając słów.

- Zapominasz, kim jestem. Skazańcem, za którego wyznaczono nagrodę.

- Ucieknij. Nie będziesz jedynym ściganym wśród nas. Puszcza jest wielka, a król daleko.

- Ta wojna skończy się za rok lub dwa. Wojsko wróci do Europy, do Azji i na Morze Karaibskie. Zapomną o tobie. Jednak Ramsey nigdy nie zapomni o mnie. Wynajmie innych ludzi, takich jak Hawkins, żeby mnie znaleźli. A kiedy im się to uda, odkryją twoją tajemnicę.

Jamie w milczeniu przeszedł za kopczyk, oparł dłoń o najwyższy kamień, po czym sięgnął do swojego plecaka i wyjął postrzępiony kawałek wełnianej tkaniny.

- Kiedyś wyszedłem na przepustkę i powiedziałem, że udaję się do Glasgow. Nie pojechałem tam, ale do naszego starego domu. Leżał w ruinach, a osty i wrzosa wyrastały z gruzów. Jednak w resztkach rozbitej komody znalazłem to. - Rozwinął pas tartanu, szeroki na stopę, a długi na dwie. W brązowo-zieloną kratę, noszoną przez klan McCallumów. Wręczył go Duncanowi. - Wódz klanu powinien to mieć.

Drżącą ręką Duncan sięgnął po tkaninę. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś zobaczy ten tartan.

- W resztkach komody leżały małe pończochy i spodnie - dodał łamiącym się szeptem Jamie. - Matka przechowywała je dla niego, żeby je nosił, gdy podrośnie.

- Angus - rzekł również szeptem Duncan i znów poczuł ból w sercu.

Angus, ich młodszy brat, który nie przeżył krwawej łaźni po Culloden.

Przez długą chwilę obaj milczeli. I nie ruszali się - Jamie stał z wampumem przewieszonym przez rękę, a Duncan, trzymając w dłoni tartan. W końcu Duncan rozpostarł tkaninę.

- Pamiętam, jak go tkano - powiedział z nieoczekiwanym spokojem. - Na wyspach. Kobiety płukały wełnę nad morzem.

- A dziadek czasem przygrywał im na kobzie. A ty i ja baraszkowaliśmy z fokami. On nas pilnował, bo foki czasem zabierały sobie dzieci.

Jednym zdecydowanym ruchem Duncan przedarł materiał na pół. Chwilowe przygnębienie Jamiego zmieniło się w satysfakcję, gdy brat dał mu jeden kawałek. Duncan schował swój do plecaka, zawahał się, spojrzął na brata i wyjął kobzę.

Przypomniał melodie z ich dzieciństwa, wywołując nostalgiczne uśmiechy, po czym zagrał wojenną pieśń ich klanu, spoglądając przy tym na Edentown. Kiedy skończył i znów odwrócił się do kłody, Jamiego i jego plecaka już nie było.

Gdy w końcu Duncan wyszedł z lasu, przed domem stał powóz, którym przyjechały tam dzieci Ramseya, już zaprzężony i z załadowanymi bagażami. Duncan pospiesznie ruszył w kierunku domu, przypomniawszy sobie, że przez cały dzień nie widział Sarah, i z dreszczem zgrozy wspominając zapowiedź lorda, że w Filadelfii podda ją trepanacji czaszki.

Ścisnęło go w gardle, gdy Sarah wyszła z domu, niosąc kilka bagaży. Nie miała jednak na sobie podróżnego stroju i zamiast wrócić do domu, zaczęła rozmawiać z brodatym woźnicą, który raz po raz nerwowo kiwał głową, jakby odbierał polecenia od nowego pracodawcy.

Duncan zostawił plecak na schodach szkoły i wskoczył na ganek wielkiego domu, po czym usiadł w cieniu w jednym z foteli przy drzwiach. Nie sądził, że dziewczyna go zauważyła, dopóki nie wróciła do środka.

- Proszę wynieść panu McCallumowi dzbanek zimnego mleka - usłyszał jej głos przez otwarte drzwi, zanim pospieszyła na górę.

Duncan wypił mleko, po czym wszedł do domu, świadomy, że Ramsey w każdej chwili może wypaść jak burza z biblioteki. Zaraz jednak zauważył jakieś poruszenie w salonie, gdzie okna były jeszcze zasłonięte. Znajdował się tam Crispin z tak przestraszoną miną, jakiej Duncan jeszcze u niego nie widział. Ramsey siedział na kanapie, na której ułożył go Duncan, bezwolnie pozwalając, by służący go odziewał.

Przestrach Crispina udzielił się Duncanowi. Szkot chciał wrócić na ganek, lecz gdy się odwrócił, stanął oko w oko z Sarah. Uśmiechnęła się nieśmiało i wydawało się, że coś powie, lecz nagle spojrzała Duncanowi przez ramię.

- W powozie są koce i poduszki - oznajmiła beznamiętnie.

- Wybierasz się w podróż, córko? - spytał cichy, drżący głos za jego plecami.

Crispin wyprowadzał Ramseya na zewnątrz.

- Kiedy zakończymy nasze sprawy, ty wyjedziesz, panie - wyjaśniła zdecydowanym tonem Sarah, po czym wskazała ustawiony na ganku przy drzwiach stolik, na którym czekał kałamarz, pióro oraz kilka dokumentów przyciśniętych świecznikiem. Miała na szyi wysadzany rubinami krzyżyk swojej matki.

Duncan wycofał się i już miał zejść z ganku, gdy Sarah złapała go za rękaw i wskazała jedno z krzeseł przy stoliku.

- Nie rozumiem.

Chociaż Ramsey przespał kilka godzin, wydawał się równie słaby jak wtedy, gdy Duncan o świcie prowadził go do domu. Pojawił się Crispin, niosąc filiżankę herbaty, którą postawił na stoliku. Herbata najwidoczniej skłoniła Ramseya do zajęcia miejsca w fotelu. Podniósł porcelanową filiżankę, ale zatrzymał ją w powietrzu. Najwyraźniej dostrzegł w swojej córce coś, czego jeszcze nie widział.

- Opuuszczasz Edentown - oznajmiła Sarah. - Jedziesz do Nowego Jorku. Wracasz do Anglii. Udasz się na swoje plantacje na południu. Gdziekolwiek, byle daleko stąd. Ja zostaję tutaj z Jonathanem i Virginią.

Ramsey powoli opuścił filiżankę. W jego ponurych oczach zapalił się błysk.

- Nie możesz tak...

- Jeszcze nie skończyłam. - Sarah najwidoczniej nie interesowało to, co miał do powiedzenia. - Crispin zostaje z nami.

Istotnie była to nowa Sarah, zrodzona w pożarze poprzedniej nocy.

- I podpiszesz te papiery. Pierwszy wycofuje twoje żądanie odesłania pana McCalluma do więzienia w Szkocji. W drugim oświadczasz jako królewski urzędnik, że Lister nie jest winien żadnych zarzutów związanych z morderstwami, do jakich doszło. W trzecim poświadczasz swoim podpisem, że dezertjer James McCallum i wszyscy jego ludzie zginęli, zabici przez Huronów. Czwarty da mi prawo zarządzania wszelkimi sprawami związanymi z posiadłością Ramseyów w Edentown. W następnym oznajmisz, iż postanowiłeś przekształcić Kompanię Ramseya w czysto handlowe przedsięwzięcie. Połowę przekazesz mnie, dla lepszego zarządzania. Druga połowa zostanie rozdzielona pomiędzy wszystkich ludzi Kompanii, po wygaśnięciu podpisanej przez nich umowy.

Z miejsca, gdzie siedział, Duncan daremnie próbował odczytać dokumenty, ale widział, że sporządziły je dwie różne osoby. Crispin i Conawago.

- Posuwasz się za daleko. - Głos Ramseya nadal był słaby, lecz już pozbrymiewała w nim zjadliwa nuta. - Nie będę tolerował...

- Panie McCallum, zechce pan podsumować nowy raport, który przygotowuje pan dla nas z kapitanem Woolfordem, do wysłania gubernatorowi, jeśli lord Ramsey nie spełni tych żądań?

Mówiąc to, Sarah nie patrzyła na Duncana. Teraz widział, że z trudem

panowała nad sobą. Crispin podszedł i stanął przy niej. Na schodach pojawiła się nowa postać. Woolford znów miał na sobie mundur. Duncan zerknął na Ramseya, po czym zaczął mówić, patrząc na stosik dokumentów.

- Trzeba będzie zapisać wiele stron, wyliczając zebrane dowody. Jednak konkluzja będzie oczywista. Osoby zatrudnione przez lorda Ramseya zamordowały czterech ludzi.

- Jesteś nikim, McCallum! - prychnął Ramsey. - Skazańcem, przeklętym szkockim kundlem!

- Lord Ramsey - ciągnął Duncan - popełnił oszustwo, namawiając królewski dwór do utworzenia Kompanii Ramseya.

- Nie odważysz się! - warknął Ramsey.

- Następnie lord Ramsey wyłudził od króla akt nadania ziemi, wiedząc, że nie jest w stanie spełnić złożonych królowi obietnic, nie pełniąc zbrodni przeciwko naszym osadnikom i irokeskim sojusznikom. W czasie wojny lord Ramsey złamał rozkazy gubernatora zabraniające skalpowania. Związał się ze zdrajcą w szeregach armii jego królewskiej mości, który spiskował z Francuzami pod Ticonderogą i zamordował kilku królewskich zwiadowców, aby ukryć swoją zdradę.

- Nic nie wiedziałem o Pike'u i Francuzach! - zaprotestował Ramsey.

- Prawnicy nie będą musieli się wysilać, dowodząc, że lord Ramsey spiskował przeciwko królowi - ciągnął Duncan. Popatrzył na miasteczko, przesuwając spojrzeniem po posępnych mieszkańcach i byłych członkach milicji Ramseya. - Moglibyśmy uzyskać pięćdziesiąt, a nawet sto podpisów poświadczających każde słowo tego raportu.

Ramsey chlusnął herbatą w twarz Duncana. Gdy ten spokojnie się wytarł, lord zaczął podpisywać dokumenty. Gdy skończył, zmierzył Duncana jadawitym wzrokiem.

- Nadal przez siedem lat jesteś niewolnikiem Ramseya - prychnął. - Z wyroku angielskiego sędziego. I nikt nie może nic na to poradzić.

Nie mówiąc nic więcej, nawet nie żegnając się z Jonathanem i Virginią, którzy patrzyli z ganku, Ramsey wsiadł do powozu i rzucił rozkaz woźnicy.

- A Pike - powiedział do Woolforda Duncan. - On i Cameron...

- Czterej wojownicy Tashgui odpłynęli przed świtem dwoma kanu - odparł poważnie Woolford. - Zabrali Pike'a i Camerona, związanych i zakneblowanych. Jego sierżant i ja zameldujemy, że obaj zniknęli podczas

potyczki z Huronami. Zostaną zabrani daleko na zachód i sprzedani jako niewolnicy jakiemuś nieznanemu plemieniu.

Duncan wzdrygnął się. Musiał przyznać, że to sprawiedliwa kara dla takich ludzi, a nie można ich było postawić przed sądem, gdyż wyjawiliby sekrety, które powinny pozostać tajemnicą.

- Hawkins? - zapytał.

- Ani śladu. Jednak w promieniu stu mil nie ma człowieka, Indianina czy Europejczyka, który udzieliłby mu schronienia. Pięciu ocalałych osadników już ruszyło jego tropem i na pewno go znajdą, kiedy niczego się nie spodziewając, będzie siedział gdzieś w lesie przy ognisku. Oni będą wiedzieli, co z nim zrobić. - Zwiadowca wyciągnął rękę. - Ja też odchodzę.

Na skraju lasu Duncan dostrzegł grupkę ludzi - pozostałych zwiadowców Woolforda.

- Jesteś jednym z nas, Duncanie. Będziesz mile widziany.

Duncan uściśnął jego dłoń i obaj poważnie popatrzyli sobie w oczy.

- To dla mnie zaszczyt, kapitanie, i nigdy nie sądziłem, że powiem te słowa brytyjskiemu żołnierzowi.

- Amerykańskiemu - poprawił go Woolford. - I nie żołnierzowi, lecz zwiadowcy.

- Żadnego cytatu z Szekspira na pożegnanie?

Woolford uśmiechnął się i zerknął na Crispina.

- „(...) Nas, garstkę, garstkę szczęśliwą, nas, braci...” - powiedział. Odpiął z kołnierza błyszczące dystynkcje, wsunął je do kieszeni i poszedł do swoich ludzi.

Kurz wzbity kołami powozu ledwie zdążył opaść, gdy Sarah wezwała dozorców i kazała im rozpocząć rozbiórkę palisady, a belki z niej wykorzystać na nowe zagrody dla krów. Oznajmiła, że pod koniec dnia odbędzie się biesiada pod drzewami przy domu. Duncan dołączył do Conawago i Listera pracujących przy palisadzie. Razem wyjmowali belki z ziemi i przycinali je, tak żeby można z nich ułożyć długą zagrodę.

Kiedy umyli się po pracy, a na stoły podano posiłek w parujących miskach i wazach, ludzie Kompanii stali onieśmieleni, spoglądając na stół w kształcie podkowy, rozstawiony w ogrodzie przez Sarah. Nigdy nie jedli razem z członkami rodziny Ramseyów i wiedzieli, że nie mogą się spodziewać, iż kiedykolwiek zasiądą z nimi przy jednym stole. Jednak Sarah



nachyliła się i szepnęła coś bratu oraz siostrze, po czym wszyscy troje weszli w tłum, aby ująwszy mężczyzn za ręce, sadzać ich na ławach. Kiedy Sarah w końcu też usiadła, Jonathan pociągnął za sobą Duncana i ulokował go obok swojej starszej siostry.

Na zakończenie posiłku ludzie wysłuchali wyjaśnień Sarah o zmianach, jakie zajdą w Kompanii. Nie będzie już dozorców, tylko brygadziści, ich szefem zostanie Lister, od tej chwili znany jako pan McAllister, który będzie sypiał w wielkim domu. Zostanie zbudowana nowa stajnia, ale najpierw odbuduje się domy osadników, a potem postawi kilka nowych w Edentown, gdyż Sarah zamierzała posłać do Filadelfii po kobiety szukające uczciwej pracy jako kucharki, praczki i tkaczki. Kiedy opisała ostatnią zmianę w organizacji Kompanii, a mianowicie udziały dla wszystkich, niewielu ją zrozumiało. Wtedy ci, którzy pływali na statkach wielorybnych, opisywali, jak zyski z połowów dzieli się między wszystkich członków załogi. Ludzie otworzyli usta i zrobili wielkie oczy.

- Myślałam, że ucieszą ich te wieści - powiedziała Sarah, gdy odeszli od stołu.

Większość mężczyzn odeszła z poważnymi minami i w zamyśleniu.

- Oczy. Nie widziałeś ich oczu? - spytał Duncan. - Odchodzili stąd jako inni ludzie, smakujący coś, czego nie kosztowali od dawna. Dałaś im nadzieję.

Dobrze wiedział, że tutaj, w obcej nowej ziemi, nadzieja nie musi być trucizną, tak jak na pokładzie statku skazańców.

Wkrótce zapanowała radość. Ludzie zaczęli wracać do oświetlonego latarniami stołu. Niektórzy przynosili instrumenty. Śpiewano, tańczono i po raz pierwszy w Edentown słychać było śmiech dorosłych ludzi.

Sarah przyniosła koc i usiadła z Duncanem pod drzewem, spoglądając na komętę profesora Everinga. W końcu Crispin i dzieci weszli do domu, a mężczyźni wrócili do swoich baraków. Sarah otuliła kocem siebie i Duncana, a potem położyła głowę na jego ramieniu.

Obudził się rankiem, sam pod kocem. Sarah siedziała na kuchennych schodach, trzymając w dłoni kawałek papieru.

- Odszedł - powiedziała ze zdziwieniem. - Zostawił wiadomość.

„Duchy nie umierają” - napisał Conawago - „tylko przybierają inne kształty”. Duncan obrócił karteczkę. Indianin nie napisał nic więcej.

- O świcie przyszedł na ganek i zapytał, czy znajdzie się kawałek papieru - wyjaśniła Sarah. - Pokazałam mu czysty rejestr w bibliotece. Spędził tam godzinę za biurkiem, po czym pojawił się z bagażem i łukiem. Kiedy później sprawdziłam, okazało się, że wyrwał tylko jedną kartkę z samego końca zeszytu.

Duncan znalazł zeszyt wciąż leżący na biurku i przesunął palcem wzdłuż krawędzi wyciętej kartki. Potem podniósł go do światła i dostrzegł słabe wgłębienia na przedostatniej stronie. Podszedł do kominka i zanurzył pióro w sadzy. Lekko przesunął piórem po kartce i wgłębienia szybko przybrały konkretne kształty. Była to kolejna mapa, ukazująca rzeki i góry na północy i zachodzie. Duncan przyglądał im się dziwnie tęsknie, usiłując zapamiętać tuzin punktów, które Conawago starannie nakreślił na mapie, próbując je połączyć z dziwnymi słowami pożegnania. Olśniło go, gdy przyjrzał się najniżej położonemu punktowi, najbliższemu, znajdującemu się między rzeką a górami.

Sarah wciąż była na schodach, kiedy wrócił.

- Mówiłam mu wczoraj, że jest dla niego pokój w tym domu, że ma tu w końcu rodzinę - powiedziała dziwnie drżącym głosem. - Mam nadzieję, że teraz ty zajmiesz ten pokój, Duncanie.

Spojrzał na nią, nic nie mówiąc, po czym popatrzył na las. Przez kilka minut siedzieli, milcząc, po czym dziewczyna wstała i stanęła przed Duncanem, patrząc mu w oczy. Posłała mu kolejny ze swych pełnych zrozumienia uśmiechów i weszła do kuchni.

Wróciła dziesięć minut później, niosąc jego plecak i strzelbę.

- Wygląda na to, że wciąż cię pakuję, Duncanie McCallum - powiedziała, starając się mówić pewnym, a nawet żartobliwym tonem. Na wierzchu plecaka przywiązała węzełek z żywnością. - Powinieneś być ze swoim bratem, a kimże jestem, żeby cię powstrzymywać?

Stropiony spoglądał na bagaż i na nią.

- Wiesz, że jestem skazańcem. W świetle prawa wciąż jestem więźniem.

- Nie mogę zmienić wyroku - przyznała Sarah. - Jednak nie będziesz zbiegiem, dopóki nikt tego nie zgłosi. A jedyną osobą, która teraz może złożyć na ciebie skargę, jestem ja - wyjaśniła, znów hipnotyzując go ciemnozielonymi oczami. Zarumieniła się i spuściła wzrok. - Moje serce będzie się skarżyć - szepnęła - lecz tej zbrodni nie zamierzam wyznawać rządowi. Są w środku - powiedziała i ruszyła na brzeg rzeki.

Duncan wszedł do kuchni i zastał tam wszystkich, których szukał. Crispin, Lister i dzieci siedzieli przy stole, jedząc chleb z boczkiem. Lister skinął na Duncana, żeby się do nich dosiadł, ale zaraz wyczuł, że coś się zmieniło. Stary Szkot spojrział ku drzwiom i zobaczył na ganku plecak i strzelbę.

- Ach - westchnął i na moment wydłużyła mu się mina, po czym wstał z wymuszonym uśmiechem. - Wódz klanu ma sprawy w wielu miejscach.

Duncan ze ściśniętym gardłem uściśnął mu dłoń, przez moment nie mogąc dobrać się do głosu.

- Zawdzięczam ci wszystko, Klanie McCallum - rzekł Lister.

- Wcale nie. To ja zawdzięczam ci wszystko.

- Nadal musimy odbudować klan.

- Tak, nadal musimy to zrobić - z uśmiechem potwierdził Duncan.

- Nie sądziłem, że to nastąpi tak szybko - powiedział Crispin, gdy Duncan zwrócił się do niego.

- Wiecie, że znów się zobaczymy - obiecał Duncan, wyciągając rękę. - Tak to już jest z przyjaciółmi.

- Wiem.

Wydawało się, że powiedzieli sobie już wszystko. Były niewolnik zamknął dłoń Duncana w ręce i przez długą chwilę nie puszczał. Potem Duncan uściśkał dzieci.

- Macie teraz nowego nauczyciela, znacznie lepszego ode mnie - powiedział im. - Nazywa się Crispin.

Na brzegu rzeki Duncan mocno uściśkał Sarah i długo ją tulił. Gdy pocałował ją w czubek głowy i odsunęli się od siebie, na moment splótła swoje palce z jego palcami, tak jak robili to na statku. Miał ramię wciąż mokre od jej łez, gdy wyszedł z wody w las. Szedł kilka minut w dół rzeki, w kierunku, w którym ruszył Jamie, zanim przystanął, patrząc na kwiatek rosnący na skale w kręgu sączącego się przez listowie światła, i sam nie wiedział, kiedy przy nim ukłęknał.

Idąc miarowym krokiem zwiadowcy, po niecałych dwóch godzinach dotarł do rozłożystego kasztana nad stawem, gdzie był po ucieczce z Edentown - jedyne miejsce, które rozpoznał tego ranka na mapie w bibliotece. Stary Indianin modlił się pod wielkim drzewem, trzymając dłoń na korzeniu,

lecz na moment zaniemówił ze zdumienia, gdy Duncan bez słowa uklęknął obok niego. Potem na jego pomarszczonej twarzy pojawił się rozumny i łagodny uśmiech. Kiedy Conawago podjął przerwane modły, Duncan wyjął kilka tytoniowych liści i zaczął zbierać drewno na ognisko, obserwując przy tym niebo i zastanawiając się, kiedy spadnie pierwszy śnieg. Jeśli zechcą odwiedzić wszystkie stare drzewa, które Conawago zaznaczył na swej mapie, zajmie im to co najmniej miesiąc.

## OD AUTORA

Po 1750 roku oficerowie brytyjskiej armii stacjonującej na północ od Albany, w kolonii Nowy Jork, zaczęli zgłaszać dziwne skargi. Kwestionowali zwyczaj pozwalania Irokezom na biwakowanie w pobliżu garnizonów z powodu wykroczeń będących skutkiem zadawania się Indian ze szkockimi żołnierzami - którzy, zdaniem brytyjskich oficerów, sami niewiele różnili się od tych pogan. Tak więc związki między Szkotami a Irokezami będące podstawą tej opowieści nie są wymysłem autora, lecz historycznym faktem. Przez kilka lat drugiej połowy osiemnastego wieku te dwie niezwykle kultury przelotnie się stykały. Z perspektywy czasu nie powinno to dziwić nikogo, kto studiował dzieje tych dwóch narodów. Zarówno Szkoci, jak i Irokezi kultywowali wojownicze tradycje, mieli wiele przekazywanych z pokolenia na pokolenie opowieści, nie znosili wszelkiej władzy i byli głęboko wierzący. Szczególnym utrapieniem brytyjskich oficerów - i przyjemnością dla tych z nas, którzy studiują przeszłość i mają w żyłach szkocką krew - był zakorzeniony wśród Szkotów i Irokezów zwyczaj tańca wojennego przed bitwą.

Takie więzi między Szkotami i Irokezami mogła umacniać rodząca się świadomość, że oba te narody są uciskane przez te same siły. Żyli w niespokojnych czasach, a lata bezprecedensowych zmian na zawsze odmieniały sposób życia ich oraz ich bliskich. Okres, w którym jest osadzona akcja tej powieści, w istocie stanowi początek współczesnej epoki. Rozkwitu nauki i literatury. Mnogość drukowanych tytułów zaczęła łączyć i motywować ludzi, politycznie i kulturalnie, w nieznanym dotychczas sposób. Przeciętny człowiek zaczął odkrywać swoją tożsamość, co miało ogromne znaczenie społeczne. Pierwszy konflikt, jaki można nazwać wojną światową, rozpoczął się w lasach Pensylwanii, za sprawą młodego oficera, który później miał

odegrać wiodącą rolę w amerykańskiej rewolucji. Te lata stały się osią wielu wydarzeń w późniejszych wiekach.

Jednak historię tego okresu, jak wielu innych, podano nam w suchy, sterylny sposób. Uczymy się jej z map, wykresów i schematów, niemal nigdy nie patrząc na nią oczami jej uczestników, i w rezultacie większość z nas traci kontakt z niezwykłymi ludźmi tych niezwykłych czasów. W znacznej mierze jest to zapomniany okres, pozostający w cieniu znacznie bardziej dramatycznych wydarzeń, które rozpoczęły się w roku 1775, ale mnie on zawsze fascynował. W każdym podręczniku można przeczytać o upadku monarchii i religii, jaki miał miejsce w tych latach, lecz były to tylko symptomy znacznie ważniejszych przemian zachodzących w sercach i umysłach imigrantów - głównie Szkotów, Niemców, Irlandczyków i Anglików - którzy przepłynęli ocean i weszli do bezkresnej puszczy. Podróż do amerykańskiej dziczy była niczym podróż na inną planetę. Żadne doświadczenia nie przygotowały imigrantów na to, co tam napotkali, tak jak nic nie przygotowało tubylców na spotkanie z Europejczykami, którzy zaczęli się pojawiać na ich ścieżkach.

Tajemnice opisane w tej powieści niewiele się różnią od poważniejszych zagadek, które zmieniły tych ludzi. Co czuł szkocki żołnierz walczący za króla, który zniszczył jego sposób życia? Jakie słowa padały przy leśnych ogniskach, gdy Szkoci i Irokezi rozmawiali ze sobą w nocy? Co się działo w sercu Indianina stojącego na skraju lasu i patrzącego na pługi, które grzebały jego tradycje? Nie była to tylko ślepa furia, jaką ukazują nam produkcje Hollywood, gdyż tubylcy byli inteligentnymi, ciekawymi i uduchowionymi ludźmi. Leśne plemiona miały bogatą, żywą kulturę, z której wiele możemy się nauczyć - tymczasem większość z nas nie zna powodów, dla których Ojcowie Założyciele zaczerpnęli od konfederacji Irokezów liczne wzorce sposobów rządzenia. Jak to możliwe, że w tych niespokojnych czasach Morawianie - dobrze wykształceni Niemcy, z zapalem krzewiący wiarę w Boga i eksplorujący dziewicze ziemie - mieszkali wśród Indian nawet w trakcie działań wojennych i żaden z nich nie został zabity? Jaka nieodparta siła gnała te rodziny, które - w pełni świadome niebezpieczeństwa - pakowały swój dobytek i ruszały w głąszę? Jakie wyjaśnienie podawali liczni europejscy osadnicy, którzy zostali pojmani przez Indian i odzyskawszy później wolność, woleli zostać wśród nich?

Te zagadki sprawiają, że ten okres wciąż tak mnie frapuje, i zważywszy na skąpe wyjaśnienia w naszych kronikach, ta książka może być przypadkiem, w którym fikcja literacka jest bliższa prawdy niż podręczniki historii. W końcu historycy mogą uhonorować tylko tych badaczy, którzy wyruszyli do puszczy i wrócili, aby o tym opowiedzieć. Natomiast mnie zawsze bardziej interesowali ci, którzy wyruszyli do puszczy i postanowili nie wracać.

Eliot Pattison

## CHRONOLOGIA WYDARZEŃ

1746 kwiecień

Pod Culloden Moor w pobliżu Inverness zbuntowani jakobici, a wśród nich wiele szkockich klanów, zostali pokonani przez brytyjskie wojska, które rozbiły buntowników i zmusiły ich przywódcę, księcia Karola, do ucieczki na obczyznę. Po bitwie Anglicy wysłali na wyżyny Szkocji ekspedycje karne, które rozbiły tradycyjną klanową strukturę tamtejszej społeczności. Te kampanie i późniejsza ustawa proskrypcyjna zakazująca posiadania broni, a nawet noszenia szkockich kiltów, skutecznie zniszczyły tradycyjny sposób życia wielu klanów.

1754 maj

Great Meadows. Gdy brytyjscy osadnicy od 1750 roku zaczęli osiedlać się w dolinie rzeki Ohio, Francuzi wysłali swoje oddziały, aby chronić to, co uważali za własne dominium. Gubernator Wirginii próbował bronić praw do ziemi w zachodniej części kolonii, wysyłając w ten rejon niewielki oddział milicji pod dowództwem dwudziestotrzyletniego Jerzego Waszyngtona. W maju 1754 roku Waszyngton zaatakował francuski obóz na Great Meadows, obecnie będącej częścią zachodniej Pensylwanii. Ta akcja zapoczątkowała otwarty konflikt zbrojny między Francją (i sprzymierzonymi z nią Austrią oraz Rosją) a Wielką Brytanią (i sprzymierzonymi z nią Prusami), który rozszerzył się na Karaiby, Azję oraz wybrzeże Afryki i obecnie jest nazywany w Europie wojną siedmioletnią, a w Ameryce Północnej wojną francusko-indiańską.



1754 lipiec

Przy Forcie Necessity, wzniesionym przez Waszyngtona w pobliżu Great Meadows, przeważające siły regularnej francuskiej armii i ich indiańskich sprzymierzeńców zaatakowały oddziały z Wirginii. Waszyngton był zmuszony poddać fort i opuścić Ohio. Ta klęska poruszyła brytyjski rząd, który zaczął wysyłać na zachodni front regularne oddziały wojska.

1755 czerwiec

Oddziały brytyjskie przechwyciły Fort Beauséjour (francuski fort w Nowej Szkocji), co było powodem wygnania tamtejszych mieszkańców do brytyjskich kolonii.

1755 lipiec

Brytyjska armia dowodzona przez generała Edwarda Braddocka została pokonana nad rzeką Monongahelą przez połączone siły francusko-indiańskie. Ta klęska i śmierć generała Braddocka boleśnie dowiodły, że sztywne reguły europejskiej taktyki wojskowej są nieskuteczne w puszczy, czego rezultatem było szersze wykorzystywanie nieregularnych oddziałów zwiadowców i lekkiej piechoty. Francuzi i Brytyjczycy zaczęli umacniać stosunki ze swoimi indiańskimi sprzymierzeńcami - Francuzi z Huronami, Ottawami i Abenaki, a Brytyjczycy z sześcioma plemionami Irokezów (Senekami, Tuscarorami, Cayugami, Mohawkami, One-idami i Onondagami).

1755 wrzesień

William Johnson, który utrzymywał dobre stosunki z Irokezami, poprowadził połączone siły kolonialnych wojsk i Mohikanów, pokonując Francuzów na południowym końcu Lake George. Wódz Irokezów, Król Hendrick (Teyonhehkwen), półkrwi Mohawk i Mohikanin, zginął w wieku osiemdziesięciu lat, wiodąc Mohawków do ataku na Francuzów.

1756 maj

Po dwóch latach nieustannych utarczek Anglia i Francja oficjalnie wypowiedziały sobie wojnę.

1756 sierpień

Siły francuskie pod dowództwem generała Louisa-Josepha Montcalma zaatakowały i pokonały siły brytyjskie przy Forcie Oswego nad jeziorem Ontario.

1757 sierpień

Generał Montcalm atakuje i zajmuje Fort William Henry na południowym końcu Lake George. Po złożeniu broni przez Brytyjczyków francuscy Indianie, ignorując rozkazy Montcalma, masakrują wycofujące się oddziały brytyjskie. Ta bitwa i późniejsza masakra zostały uwiecznione w powieści *Ostatni Mohikanin* Jamesa Fenimore'a Coopera.

1758 lipiec

Dysponujące ogromną przewagą liczebną oddziały brytyjskie, dowodzone przez generała Jamesa Abercromby'ego, atakują Francuzów dowodzonych przez Montcalma przy Forcie Ticonderoga. Po serii kosztownych błędów, w tym rzuceniu oddziałów szkockiej Czarnej Straży do ataku na silnie obsadzone umocnienia wroga bez wsparcia artyleryjskiego, Abercromby wycofuje się, poniosłszy ciężkie straty.

1758 sierpień

Po trwającym miesiąc oblężeniu siły brytyjskie zajmują francuski port Louisbourg na wyspie Cape Breton, najsilniejszą fortecę francuską w Ameryce Północnej. W odwecie za masakrę przy Fort William Henry Brytyjczycy wysiedlają z Cape Breton osiem tysięcy francuskich kolonistów.

1758 wrzesień

W bitwie pod Fort Duquesne (obecnie Pittsburgh) siły brytyjskie dowodzone przez majora Jamesa Granta, działając na podstawie raportu wywiadu błędnie oceniającego siłę garnizonu, zostają pokonane przez oddziały nieprzyjaciela, złożone głównie z Indian.

1758 październik

Brytyjczycy odpierają francuski atak na Fort Ligonier w Pensylwanii, po czym ponownie ruszają na Fort Duquesne.

1758 listopad

Wobec znacznej przewagi wroga Francuzi wycofują się z Fort Duquesne, paląc go. Brytyjczycy odbudowują fort i nadają mu nazwę Fort Pitt.

Przez cały 1758 rok Brytyjczycy prowadzą negocjacje z Indianami popierającymi Francuzów, szczególnie z Leni Lenape (Delawarami).

1759 lipiec

Siły brytyjskie atakują Francuzów w Fort Niagara, zajmując ten fort, a następnie Fort Venango i Presque Isle, eliminując ostatnie francuskie bazy na zachodnim froncie. Francuzi wysadzają Fort Ticonderoga i wycofują się przed nadciągającymi dużymi siłami generała Jeffreya Amhersta. Ten wysłał zwiadowców Rogersa, aby w dalekim wypadzie zniszczyli bazę operacyjną Abenakich w St. Francis.

1759 wrzesień

Po krwawej trzymiesięcznej kampanii siły brytyjskie zajmują Quebec. W ostatniej bitwie na Równinie Abrahama giną głównodowodzący francuskiej i brytyjskiej armii - generałowie Louis Joseph Montcalm i James Wolfe.

1760kwiecień

Przetrawszy zimowe oblężenie Quebecu, siły brytyjskie zostają zaatakowane przez Francuzów i ponownie zwyciężają na Równinie Abrahama.

1760 wrzesień

Siły brytyjskie zajmują Montreal w ostatniej znaczącej bitwie francusko-indiańskiej wojny w Ameryce Północnej.

1761-1762

Trwają walki między francuskimi i brytyjskimi siłami w Indiach, Europie, na Karaibach i wybrzeżu Afryki.

1763 luty

Pokój paryski formalnie kończy wojnę siedmioletnią i francusko-indiańską.

Zwiadowcy (American Rangers): Nieregularne oddziały zwiadowców walczących po stronie Brytyjczyków podczas wojny z Francuzami i Indianami były jednymi z najskuteczniejszych sił zbrojnych w historii Ameryki. Po druzgoczącej klęsce Braddocka w 1755 roku armia brytyjska uformowała takie oddziały na wszystkich wojennych frontach. Składały się głównie z miejscowych osadników, którzy szybko dowiedli, że umiejętnościami i wytrzymałością mogą rywalizować z tubylcami. Nie panowała w nich wojskowa dyscyplina, na co dowodzący chętnie przemykali oko po licznych zwycięstwach, jakimi kończyły się ich błyskawiczne ataki na nieprzyjacielskie umocnienia i forty. Niezwykle zróżnicowany skład osobowy tych oddziałów nie miał odpowiednika aż do współczesnych czasów, gdyż wśród zwiadowców można było znaleźć wyzwolonych niewolników, bogatych ziemian, ubogich farmerów oraz wielu ludzi, w których żyłach płynęła europejska i indiańska krew. W 1759 roku trzy kompanie zwiadowców przy Lake George składały się wyłącznie z Indian. Zwiadowcom rutynowo przydzielano zadania, które byłyby po prostu niewykonalne dla regularnych oddziałów, i w przeciwieństwie do żołnierzy, trzymano ich w terenie przez cały rok. W lipcu 1756 roku, poproszeni o nękanie Francuzów na Lake Champlain, zwiadowcy Rogersa szybko poprowadzili drogę przez wiele mil górskiego terenu i przewieźli nią na jezioro łodzie wielorybnicze. Ich nagłe pojawienie się tak daleko za linią frontu i atak na bazę operacyjną Abenakich w St. Francis były wyczynem wymagającym wręcz nadludzkiej wytrzymałości. Jedną z najwspanialszych operacji w historii amerykańskiej wojskowości była czteromiesięczna wyprawa zwiadowców do Detroit i z powrotem w 1760 roku. Kilku oficerów oddziałów zwiadowczych zostało generałami lub pułkownikami amerykańskiej armii podczas rewolucji. Podstawy ich działania, opracowane przez najwybitniejszego z nich, Roberta Rogersa, wciąż są wpajane członkom amerykańskich sił specjalnych i widnieją na pomniku w ich głównej kwaterze w Fort Benning w Georgii.